1472-M/354541

Maryi Dyakowskiej

F. PRÓCHNICKI I K. WOJCIECHOWSKI.

WYPISY POLSKIE

DLA SZKÓŁ ŚREDNICH.

TOM V.

CENA EGZEMPLARZA OPRAWNEGO W PŁÓTNO 3 K 80 HAL.

WE LWOWIE 1911.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH
W WARSZAWIE: E. WENDE I SKA

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Pedagog.
W KRAKOWIE
35.454
M - 140

ODBITO W DRUKARNI „POLONIA“ WE LWOWIE.

SPIS USTĘPÓW

zawartych w tomie piątym.

Str.

1. Pierwsze kroki, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego 1
2. Ze snu, przez Bohdana Zaleskiego 9
3. Jesień, przez Władysława Reymonta 9
4. Jesienią I. i II., przez Lucyana Rydla 11
5. Matejki Hołd pruski, przez Stanisława Tarnowskiego . 12
6. Śmierć i pogrzeb Barbary Radziwiłłówny, przez Karola Szajnochę 19
7. Lach Serdeczny na marach, przez Bohdana Zaleskiego 24
8. Koronacya Stefana Batorego i Anny Jagiellonki, przez Juliana Bartoszewicza 25
9. Jan Bielecki, przez Juliusza Słowackiego 33
10. Słowackiego „Jan Bielecki“, przez Antoniego Małeckiego 45
11. Kwarantanna na pustyni, przez Juliusza Słowackiego . 55
12. Ojciec zadżumionych, przez Juliusza Słowackiego 58
13. Mowa polska, przez Henryka Sienkiewicza 68
14. Miecznik Jabłonowski, przez Karola Szajnochę 69
15. Popas w Upicie, przez Adama Mickiewicza 77

16. Z Listów Ad. Mickiewicza: do A. E. Odyńca, I. 80
17. Ostra Brama w Wilnie, przez Stanisława Tarnowskiego 81
18. Anioł Pański, przez Kazimierza Tetmajera 86
19. Dom możnego szlachcica, przez Henryka Rzewuskiego 87

20. Wesele chłopskie, przez Władysława Reymonta 93
21. Do mojego grajka, przez Teofila Lenartowicza 105
22. Walka o łup, przez Adolfa Dygasińskiego 106
23. Zając i wyżeł, przez Franciszka Morawskiego 113

24. Zwyczaje staropolskie w domu Ad. Mickiewicza, przez Maryę z Mickiewiczów Górecką 114
25. Wesele w zaścianku szlacheckim na Litwie, przez Elizę Orzeszkową 116

Str.

26. Kołacze, przez Szymona Szymonowicza 124
27. „Kołacze“ Szymonowicza, przez Bronisława Chlebowskiego 127

28. Z Listów Ad. Mickiewicza: do A. E. Odyńca, II. . . . 133
29. Polowanie na dziki, przez Kazimierza Wodzickiego . . 134
30. Pieśń myśliwska, przez Adama Mickiewicza 137
31. Z puszczy Białowieskiej, przez Henryka Sienkiewicza 138
32. Muzyka lasu, przez Lucyana Rydla 146

33. Z Listów Ad. Mickiewicza: do A. E. Odyńca, III. . . . 149
34. Wieczór wigilijny na Syberyi, przez Adama Szymańskiego 151
35. List z Sybiru, przez Or-Ota 160

36. O miłości ku ojczyźnie, przez Piotra Skargę 163
37. Matejki „Kazanie Skargi“, przez Stanisł. Tarnowskiego 176
38. Staropolskie wesele, przez Zygmunta Kaczkowskiego 182

39. Srul z Lubartowa, przez Adama Szymańskiego 189
40. Dumka, przez Bohdana Zaleskiego 198
41. Odpowiedzi i zajazdy w Polsce, przez Władysł. Łozińskiego 199

42. O miłości ojczyzny, przez Karola Libelta 203
43. Sława, przez Jana Kochanowskiego 212
44. Cecora i Chocim, przez Józefa Szujskiego 213

45. Z życia Wincentego Pola, przez Lucyana Siemieńskiego 224
46. Śpiew Janusza, przez Wincentego Pola 228
47. Latarnik, przez Henryka Sienkiewicza 229
48. Tęsknota za krajem, przez Konstantego Gaszyńskiego 244

49. Do spowiedzi, przez Stefana Żeromskiego 246
50. Burza na morzu, przez Maryę Konopnicką 249
51. Artur Grottger, według Klemensa Kanteckiego 251
52. Z listów Artura Grottgera. 260
53. Z „Padołu Płaczu“ Grottgera, przez Maryę Konopnicką 263

54. Powrót do kraju, przez Bolesława Prusa 266
55. Limba, przez Adama Asnyka 272
56. Bitwa pod Lwowem, przez Karola Szajnochę 273
57. Karol Szajnocha, przez Bernarda Kalickiego 285

Str.

58. Z Listów Ad. Mickiewicza: do A. E. Odyńca, IV. . . . 290
59. O tem tu dumać...., przez Ad. Mickiewicza 291
60. Kraj lat dziecinnych, przez Józefa Kallenbacha 295
61. Obrazy przyrody w „Panu Tadeuszu“, przez Waleryana Gostomskiego 298
62. Melodye mgieł, przez Kazimierza Tetmajera 314
63. Śpiew i muzyka w domu Mickiewicza, przez Maryę z Mickiewiczów Górecką 314
64. Cześć Mickiewicza dla Najśw. Panny, przez Józefa Tretiaka 316
65. Charakterystyka króla Stanisława Augusta, przez Waleryana Kalinkę 327
66. Z młodych lat ks. Józ. Poniatowskiego, przez Szymona Askenazego 332
67. Wojak, przez Stefana Witwickiego 342
68. O żołnierzu tułaczu, przez Stefana Żeromskiego . . . 342
69. Koń grabarz, przez Stefana Witwickiego 346
70. Śmierć gen. Henryka Dąbrowskiego, przez Wiesława S. 347
71. Życzenie rycerza, przez Or-Ota 355
72. Chopin i Liszt, z Wypisów Flor. Łagowskiego 355
73. Na wiosnę, przez Kornelego Ujejskiego 357
74. Wniebowzięcie, przez Kornelego Ujejskiego 358
75. Śpiew z mogiły, przez Wincentego Pola 353
76. Śmierć i pogrzeb Chopina, przez Ferdynanda Hoesicka 359
77. Muzyka Chopina, przez Władysława Bełzę 363
78. Śmierć i pogrzeb Adama Mickiewicza 364
79. Mowa Ad. Asnyka na pogrzebie Ad. Mickiewicza . . . 370
80. Ku czci Adama Mickiewicza, przez Kazim. Tetmajera 374
81. Zemsta, komedya Aleksandra Fredry (w skróceniu) 376
82. Fredry Zemsta, przez Stanisława Tarnowskiego . . . 418
83. Makbet, tragedya W. Szekspira (w skróceniu) 426

Dodatek. Pieśni ludowe 449
I. Pieśni miłosne 449
II. Pieśni taneczne 450
III. Pieśni obrzędowe 453
IV. Pieśni żołnierskie 457
V. Obrazki z życia 459

Wiadomości o pisarzach, których utwory znajdują się w tej książce 463

SPIS RYCIN.

Str.

1. Artur Grottger (portret własny) 254
2. Fryderyk Chopin (portret Ary Scheffera) 356

SPIS TABLIC.

Po str.

1. Jana Matejki »Hołd pruski« 12
2. Zygmunt I. i Albert (fragment z J. Matejki »Hołdu pruskiego«) 14
3. Opaliński i Zygmunt August (fragment z J. Matejki »Hołdu pruskiego«) 18
4. Jana Matejki »Kazanie Skargi« 176
5. Piotr Skarga (fragment z J. Matejki »Kazanie Skargi«) . . . 178
6. Anna Jagiellonka i Halszka Ostrogska (fragment z J. Matejki »Kazanie Skargi«) 179
7. Artura Grottgera »Żałoba« (z cyklu »Polonia«) 256
8. Artura Grottgera »Bój« (z cyklu »Lituania«) 258
9. Artura Grottgera »Wojna« 262
10. Artura Grottgera »Świętokradztwo« (z cyklu »Padoł płaczu«) . 264
11. Adam Mickiewicz 370

Ważniejsze omyłki druku.

Na *str.*	3.	*wiersz*	18.	z góry	*ma być:*	poglądali
„ „	27.	„	12.	„ „	„	najświetniejszych
„ „	57.	„	3.	z dołu	„ „	wyszedł
„ „	65.	„	314.	„ „	„	je
„ „	96.	„	8.	„ „	„	kwiatów,
„ „	118.	„	13.	„ „	„	bogaty,
„ „	142.	„	6.	z góry	„ „	sobą
„ „	142.	„	11.	„ „	„	śmieszne
„ „	143.	„	13.	„ „	„	wspomnianym
„ „	152.	„	5.	z dołu	„ „	tamże
„ „	160.	„	1.	„ „	„	spytać
„ „	164.	„	13.	„ „	„	o nas
„ „	164.	„	8.	„ „	„	dla was
„ „	171.	„	15.	„ „	„	zdrowia
„ „	186.	„	16.	„ „	„	swej
„ „	187.	„	9.	z góry	„ „	kochaj
„ „	188.	„	4.	„ „	„	łzami
„ „	198.	„	12.	„ „	„	znędzniałej
„ „	198.	„	1.	z dołu	„ „	Wskroś
„ „	226.	„	2.	„ „	„	ostygłe
„ „	233.	„	2.	„ „	„	w Hawannie i
„ „	236.	„	9.	z góry	„ „	falą
„ „	236.	„	12.	„ „	„	jakby
„ „	250.	„	48.	„ „	„	Prużany
„ „	294.	„	93.	„ „	„	Jakże tam o nich
„ „	309.	„	15.	„ „	„	kłód,
„ „	309.	„	17.	„ „	„	szerszeni,

1. Pierwsze kroki.

Wielki ruch panował pomiędzy młodzieżą, zasiadającą ławy klasy piątej w szkole gimnazyalnej w S.... Tylko co był wyszedł po skończonej godzinie poczciwy profesor matematyki i na tablicy, jeszcze posiwiałej od kredy, sterczały formuły, któremi cała zapisana była. Wszyscy uczniowie przygotowywali się do następującej lekcyi literatury, w której wypadało czytać ćwiczenia. Jedni chwytali z seksternów pilniejszych i zdatniejszych uczniów kawałki, z których coś swego zszyć mieli; drudzy za obiecanego kubana zakupywali gotowe wypracowania; inni rozpatrywali się w tem, co mieli przed sobą; a wielka większość, korzystając z chwili swobodnej, wprawiała się do życia praktycznego żywą rozmową, jeszcze żywszymi sporami, nawet maleńką bójką, która pyłem i wrzawą napełniała salę.

Wtem drzwi się otworzyły powoli i na progu ukazała się maleńka, chuda figurka nauczyciela, wchodzącego szybkim krokiem z książkami i papierami pod pachą, w płaszczu z ramion spadającym i jedną swą połą zamiatającym kurzawę z podłogi. Gwar w jednej chwili ucichł, jak burza zaklęta trójzębem Neptuna, szmer tylko wolny przelatuje ponad ławami. Wszyscy usiedli, profesor poskładał części ubioru zbyteczne i zapasy papierowe — i lekcya się rozpoczyna. Nikt się wprawdzie nie lęka łagodnego literata, który z surową na pozór miną, z usty ściągniętemi, z brwią nachmurzoną, z okiem przymkniętem rozpatruje papiery i rozkłada książki, ale dobroć jego silniej tu działa, niż surowość wielu. Podniósł osłabłe od pracy oczy na uczniów i wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu.

— No, kto z was przeczyta mi ćwiczenie?

Jeden i drugi wyrywa się z zasmarowanym papierem na popis, zaczyna pierwszy z brzegu. Ale zgadnijcie, co było zadaniem. Niewinne zaprawdę i miluchne ćwiczenie, poprostu tylko opis wiosny. Któżby go, zdaje się, lepiej mógł dokonać, jak ci chłopcy, którym ona kwitnie i latem i zimą w piersi pełnej uczuć wiosennych? Jednakże gdy im przyszło opisywać wiosnę, jakże to szło trudno! Nigdy jeszcze nie mieli czasu spojrzeć i rozpatrzeć się ani w sobie ani po świecie; i gdy nauczyciel zadał ten opis najpiękniejszej pory roku, co się nastękali biedacy, od czego zacząć, co weń włożyć i na czem zakończyć? I wątku i myśli i barwy tak brakło nieborakom, że się musieli uciekać do wzorów, i przetrzęśli, co gdzie kto na rachunek wiosny wyśpiewał: ale ten poszarpany łup niewielką im przyniósł korzyść. Czyta jeden i drugi tonem deklamacyjnym, a nauczyciel przechadza się po sali, spoglądając z pod brwi, chwaląc pół usty, notując zdania, uśmiechając się nieznacznie, gdy natrafi na znajome ułamki, pokradzione bezwstydnie. Nareszcie przyszła kolej na małego chłopaczka z blond włosami, z niebieskiemi oczyma, zapiętego w mundurek wytarty, ale czysty, odzianego starannie i dosyć nieśmiałego, bo gdy mu czytać wypadło, cały się oblał krwią, zmieszał, seksterna pogubił, głosu znaleźć nie mógł i, ledwo potrzykroć zaczynając, potrafił nareszcie swoją wiosnę wyśpiewać.

Wszystkie wiosny, dotąd odczytywane, były tylko poetyczną pisane prozą, ta pierwsza wystąpiła w rymowanej szacie; nie dziw więc, że jej twórca tak się zarumienił, poczuwszy zapóźno zuchwalstwo swoje. Bał się on tego, co zrobił, lecz chętce oprzeć się nie mógł; sto razy darł ćwiczenie i powracał do niego; nareszcie na ogromną zebrawszy się odwagę, przyniósł do klasy z bijącem sercem owoc rozkosznych i gorących dumań swoich.

Wystąpienie to niespodziane zrodziło szmer podziwienia; wszyscy poczęli się uderzać łokciami.

— Słysz! słysz! — wołali — Piwonia napisał wiersze! (Zwali go Piwonią dla zarumienionej i krwią młodą ciągle oblanej twarzy). Oczy poczciwego literata z zajęciem, z sympatyą zwróciły się na młodego chłopaka; zbliżył się do

jego ławki, sparł na niej i, spuściwszy po chwili źrenice, słuchał milczący, zadumany.

Ale to wytężenie uwagi wszystkich, zwrócenie oczu, uciszenie się klasy, odebrało ostatek niewielkiej odwagi biednemu Piwonii; głos gasł, plątał się i zabrakło tchu nareszcie. Dwie poczciwe łzy, łzy, które całą przyszłość jego wróżyły poecie, popłynęły po policzkach, spalonych rumieńcem.

Nauczycielowi przykro się zrobiło: może pomyślał, że ten, który tak występował na ławie szkolnej, i na świecie rady dać sobie nie potrafi; może się ulitował nad biedakiem: powoli ująwszy sekstern z rąk jego, zbliżył go do przymrużonych oczu i sam już czytał po cichu ową wierszowaną wiosnę.

Tymczasem Piwonia stał, palony oczyma wszystkich, jak pod pręgierzem i zdawało się, że wstyd i bojaźń go spali Uczniowie szeptali, wskazując sobie palcami poetę, który w tej chwili już dostał nowy przydomek. Jedni poglądal. nań ze współczuciem, drudzy z ciekawością, inni z zawiścią prawie, a krok ten stanowczy, na który się odważył, nie obrachowawszy sił swoich, już stanowisko jego względem całej klasy na resztę lat nauki nieodwołalnie wykreślił.

Z biednego ucznia oczy kolegów padały na twarz nauczyciela, szukając na niej oznaki pochwały lub uśmiechu politowania, ale nic nie znalazły. Czytał spokojnie, do samych oczu przybliżywszy papier, przebiegł ćwiczenie całe, oddał je Piwonii i skinął głową, przechodząc do następnego ucznia, nic nie powiedziawszy, wejrzeniem ukradkowem mierząc młodego poetę.

Ten usiadł, spuścił głowę i z biciem serca, w milczeniu pozostał na ławie do końca śmiertelnie długiej godziny. Gdy zegar wybił dwunastą, a profesor na odgłos dzwonka poszedł do katederki i począł zbierać papiery, czapkę, chustkę i płaszcz, którego nigdy na sobie utrzymać nie mógł, Piwonia, czując zbliżającą się chwilę męczarni, ledwie nie umarł w duszy ze strachu.

Za profesorem wyszli z klasy uczniowie, otoczono poetę, szarpiąc go, chwytając, uderzając rękami i słowy.

— Wiwat poeta! — krzyczeli jedni.

— Słyszysz, Piwonia, przyznaj się, skąd wiersze ukradłeś — wołali drudzy.

— Jaki tęgi! — rzekł trzeci — chce nas wszystkich zakasować.

Jak w szkole, tak na świecie: zawsze pierwszem uczuciem większości na widok jakiegokolwiek niezwyczajnego zjawiska jest to nieszczęsne szyderstwo i każdy tryumf poczynać się musi od męczarni. Może też tak być powinno, bo ten tylko zasługuje na wieniec, komu wprzód skroń krwią ociekła, a próba ognia jest próbą powołania i talentu.

Tego dnia wieczorem, korzystając z soboty i pięknego dnia jesiennego, wszyscy współtowarzysze mieszkania wyszli na przechadzkę za miasteczko. Szarski (tak się zwał nasz poeta), potrzebujący odetchnąć, pozostał w domu. Ale zaledwie koledzy oddalili się nieco od dworku, wyjrzawszy oknem za nimi, wyszedł usiąść pod kasztanami w ganku. Cisza sobotnia panowała w spokojnem miasteczku, którego życie stanowili uczniowie, w tej chwili rozbiegający się po okolicy. Po chwili od drewnianego kościółka zabrzmiał dzwonek na Anioł Pański i głos jego smutny, przeciągły, daleko rozlegał się po okolicy. Chłopiec zadumał się, zapatrzył, sparł na pniu kasztana, który ocieniał ganek, i ani się spostrzegł, jak maleńka figurka nauczyciela literatury wysunęła się od strony szkoły i kościółka, przebiegła wszerz piaszczystą ulicę, poszukała dworku pod kasztanami, kierowała się ku niemu — i uśmiechnięty profesor, zbliżywszy się do ucznia, trącił go w ramię, ażeby go przebudzić.

— Coś ty się tak, Szarski, zamyślił? — począł łagodnie profesor.

Uczeń, głos dopiero usłyszawszy, zerwał się i, stanąwszy onieśmielony zjawieniem się niespodzianem tego, o którym właśnie myślał, spuścił oczy jak winowajca, schwytany na uczynku.

— Chciałem trochę pomówić z tobą — odezwał się profesor; — weźno czapkę, masz czas? pójdziemy się przejść trochę do pałacowego ogrodu.

— Idę, panie profesorze.

— Ruszajże po czapkę; może ci chłodno, weź i płaszcz

Ale gdzie mu tam zimno być mogło! on, uszczęśliwiony dobrem słowem i spodziewaną przechadzką, byłby czapki nawet zapomniał, gdyby mu jej nie kazał wziąć nauczyciel.

Powoli szli ulicą ku starej alei grabowej i ogrodowi, do którego wiodła.

— Powiedzno mi, Szarski — zapytał stary, wpatrując się z blizka w chłopaka, bo wzrok miał popsuty i krótki — chciałbym coś wiedzieć o tobie, kto są rodzice twoi, skąd jesteś rodem?

Jakkolwiek mocno zmieszany, onieśmielony, pełen obawy, przecież łagodnem profesora obejściem i mową jego, współczucia pełną, uczuł się Staś zasilonym po chwili i serce mu zabiło, zebrał się na odwagę.

— Moi rodzice, panie profesorze — rzekł, przychodząc do siebie powoli — mieszkają stąd o mil kilkanaście, mają wioseczkę niewielką.

— Gdzie wprzódy do szkół chodziłeś? kto cię uczył?

Szarski wymienił szkoły i nauczycieli.

— Masz widzę żyłkę do poezyi — rzekł, wysłuchawszy opowiadania cierpliwie, staruszek; — no! powiem ci, jak na pierwszą próbę, niezłe to jest, co napisałeś o wiośnie; ale na tej drodze, mój kochany, chcąc dójść do czegoś, wiele, wiele potrzeba pracować, nawet przy darach niebieskich. A lubiszże czytać?

Młody chłopak aż się zatrząsł i zarumienił.

— A któżby czytać nie lubił!

— Nie wiem jeszcze, co będzie z ciebie, ale się uczyć potrzeba i wiele i porządnie, jeśli masz pójść tą drogą która mi się zdaje wyznaczoną dla ciebie. Poeta długo i pożywnie karmić się musi, nim światu zaśpiewa. Ciężka to rzecz stanąć przed ludźmi i poruszyć ich serca, zmuszając szyderców do współczucia; świat nie poddaje się łatwo, a depce ochotnie. — Ciężka to droga, cierniem wysłana, zarzucona skałami; trudno być pierwszym, a nie wolno być drugim i drugim niewarto. Musisz być u szczytu, lub spaść w otchłanie na długie męczarnie; lepiej nie

myśleć o poezyi. Każdemu prawie młodemu zalśni coś w głowie, zakołace w sercu coś — i chciałby śpiewać; ale gdy przyjdzie z pieśnią pójść przed ludzi, zabraknie myśli i słowa. O! pracować potrzeba! pracować! nawet tym, którym Bóg dał wiele od razu, a tym najwięcej może. Nic bez pracy, dziecię moje; wszystko się nabywa w pocie czoła, w serca pocie. Widziałeś, jak towarzysze przyjęli dziś wystąpienie twoje? toż samo czeka cię na świecie. Pamiętaj! A po wiekach, które nas poprzedziły, po wieszczach, którzy im śpiewali, po arcydziełach, co nas karmią, tchnąc życiem przeszłości, którego są najwyższym wyrazem — jakże to wiele potrzeba, ażeby ośmielić się stanąć na scenie, ująć lutnię i zwołać ku sobie słuchaczy! Ten tłum, któremu śpiewać będziesz, składa się z tysiąca ludzi, a każdy z nich przychodzi inszym, a dla nich wszystkich jest pieśń jedna! Musisz skrępować ich, pociągnąć, przekształcić, zmusić, żeby weszli w ciebie i poszli za tobą. Czemże powinien być śpiew, który ma zwyciężyć tysiące miłości własnych i złamać lody wstrętów, obojętności, odrętwień? Jakiej to potęgi potrzeba, żeby wyjść z tej walki zwycięzcą? ile życia wyszafować, ile łez wylać, ile własnych piersi naszarpać?

Profesor szedł i mówił, ale widocznie zapomniał o uczniu, który go słuchał; i lały mu się z piersi wyrazy, jakby rozmawiał sam z sobą, a gdy westchnąwszy obejrzał się na Szarskiego, rozpoczął nieco inaczej.

— Tak, chłopcze, potrzeba pracować koniecznie, pracować wiele, żeby coś zrobić na świecie. Człowiek, myślą pracujący i piórem, do czego, jak sądzę, czujesz się być powołanym, musi być naprzód wyższym od ogółu, którego chce być przewódcą, tłómaczem, pocieszycielem, kaznodzieją. Dwojakie masz więc zadanie: i jako kapłan musisz stanąć na świeczniku i sukni twojego domowego żywota nic splamić nie powinno, bo ten, co się w imię najwznioślejszych uczuć odzywa, sam pierwszy obowiązany mieć je w piersi i na ręku; — jako przewódca ogółu powinien być o stopień wyżej, o krok naprzód przed ludem, który za nim idzie, musi odgadnąć przyszłość, ku której dąży — uczucie, którem jutro serce jego zabije — kierunek Boży na jutro.

Wiele tu pomaga geniusz, talent, instynkt i duch Stwórcy, który w kolebce jeszcze wionął na czoło dziecięcia; ale nasionko, dane ci w posagu, ty sam — ty sam tylko wypielęgnować musisz i powinieneś. Nauczyciele, księgi, świat są to słupy, gdzieniegdzie porozstawiane po stepie, wśród którego wieść się potrzeba samemu okiem i głową. O! pracować musisz, pracować wiele. Bóg ci da myśl i uczucie, ale one nie przemówią z ciebie, dopóki ich nie rozpowijesz, nie rozwiniesz ich skrzydeł, nie rozwiążesz ich pracą żelazną. W młodej piersi rwą się niecierpliwe i zarodki idei i uczuć nasiona, stukając o ściany ciasne, jak zwierz zamknięty w klatce: ale niejeden, niejeden zamorzył w sobie, co przyniósł z drugiego świata, nie karmiąc myśli swojej, wysuszając ją pragnieniem i głodem, a z uczucia robiąc narzędzie powszedniego życia!

Szarski słuchał, a że raz pierwszy słowa tak wielkie i wzniosłe odbijały się o ucho jego i piersi, uczuł, jakby nań zlewał się zdrój ożywczy, otwierały się w oczach jego nieznane i tajemnicze drogi żywota i w dali błyskały niewidziane horyzonty. Nie zastraszała go praca, nie wątpił o siłach, a jednak razem z pragnieniem przejmował go strach jakiś niepojęty i dreszcz przebiegał młodzieńca.

— Patrzaj, co masz przed sobą — rzekł, dalej idąc, nauczyciel — masz nauczyć się całego świata, pokochać, poznać siebie, poznać ludzi, a potem jeszcze zbadać całą mądrość przeszłą, wszystko, co ludzie kiedy stworzyli, żeby nie powtórzyć słabiej, co wprzód gorąco już wypowiedziane było... w ostatku to narzędzie twoje, język i literaturę, na której skibę pot twego czoła ma upaść, musisz przeniknąć, musisz się ich wyuczyć.

— Będę się uczył — odpowiedział Szarski ochotnie, ożywiony z duszy pochodzącemi słowami starego nauczyciela. Ten ujął go za rękę serdecznie.

— O tak! — rzekł — uczyć się, uczyć, uczyć potrzeba całe życie, choćby dla przekonania się w ostatku, że nauka jest niewyczerpanem źródłem rozkoszy. Powiedzą ci później, mój kochany, niedowarzeni mędrkowie, że nauka i ślęczenie zabijają natchnienie, niszczą oryginalność, zacierają indywidualność: — ale to fałsz! to fałsz! Sobą być można

zawsze, panem pracy i myśli, ale pracować i myśleć potrzeba! Praca tylko dać może skrzydła natchnieniu.

I szli tak długo o zmierzchu pustemi już ulicami pałacowego ogrodu; profesor mówił, a słów jego Szarski chciwie słuchał i, im wznioślejsze były i wyższe, tem go bardziej nęciły. Mrok coraz gęstszy poczynał się rozciągać i wieczór chłodnym od stawu powiewał wiatrem, gdy nareszcie nauczyciel, któremu płaszcz nieposłuszny ciągle spadał z ramienia, spostrzegł, że późno już było, i szybko zawrócił się, nie poprzestając rozmowy.

— A kochaszże ty naturę? — spytał z westchnieniem, poglądając w blaski wieczorne na niebie i szarą, zasypiającą ziemię — a bijeż ci serce do codziennych piękności świata, które powszednich nie uderzają ludzi?

— Panie profesorze — gorąco dodał Szarski — nieraz aż mi tego wstyd, aż się ze mnie śmieją.

— Niechże się śmieją, to najlepszy znak! — równie porywczo przerwał stary, klepiąc Stasia po ramieniu — daj się im śmiać i wyśmiewać! oni cię sami, o tem nie wiedząc, uczą cierpliwości, której każdemu na świecie wiele, a w życiu pracy naszej ogromnie, ogromnie potrzeba! Z kogo się śmieją nie dlatego, że głupi, ale dlatego, że inny od tłumu, lub widzi to wszędzie, czego nie dopatrzą drudzy, ten ma przyszłość przed sobą.

Gdy to mówił, wychodzili już coraz śpieszniejszym krokiem z alei i zbliżali się do wielkiego gmachu szkolnego, w którego skrzydle profesor miał skromne mieszkanie.

— Chodźno, zajdź do mnie, dam ci książek. Jak przeczytasz, odniesiesz mi je i weźmiesz inne. Nie opuszczaj nauki szkolnej dla czytania, ale ci czytać potrzeba, jeśli doprawdy myślisz pójść tą drogą.

Szarski, otrzymawszy książki, pokłonił się i znikł, uciekając uszczęśliwiony; a pędził do domu, jakby mu już istotnie na barkach skrzydła wyrosły. Tych kilka książek, które niósł ze sobą, a więcej jeszcze słowa poczciwego nauczyciela wstrząsły młodym umysłem i nieodwołalnie pchnęły go w drogę, z której już zejść nie miał.

Józef Ignacy Kraszewski (Powieść bez tytułu).

2. Ze snu.

Kto dziecięciem w stepów szumie
Szukał sercem sercu nuty
I dzień po dniu dźwięk rozsnuty
Na różaniec nizał w dumie —

I tak wiele w śnieniu potem,
Sam w swem gniazdku pisklę ptasie,
Łuskał piórka w słońca krasie,
Aż wyleciał ptakiem złotym:

Och! wysoko, jak wysoko!
Tam w błękitu toni świeżej
Niebo niżej — Bóg mu bliżej —
Już nie sięga ludzkie oko...

Cicho wrzaski i oklaski!
Wyjdź, narodzie, z solą — chlebem
Ptak twój buja gdzieś pod niebem,
Zniesie ziemi Ojca łaski.

Kto urzeka tam go w locie,
Kto się złotych skrzydeł ima
Myślą tylko lub oczyma:
Grzeszny — zgasił gwiazd już krocie.

Bohdan Zaleski.

---

3. Jesień.

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dnie wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bledsze.

A co świtanie — dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierający; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś z nad zórz, leciały nizko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za niemi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łzy — krwawe łzy umarłego lata i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie — wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy, przytłumione martwotą i pustką pól, i ciszej, trwożniej tętniło życie samo — a niekiedy, przed chałupami albo i w polach, widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i rogate, potężne łby wołów podnosiły się od traw pożółkłych i, prze-

żuwając zwolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką.. daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żałosny ryk tłumił się po pustych polach.

A co świtanie — mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach[1]), to wieszały się na nagich drzewach, lub krążyły nad ziemią, krocząc głucho — jakby pieśń zimy śpiewając żałosną.

Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak łkanie bolesne, a szczątki babiego lata rwały się niewiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smętek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholia żałości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się buremi chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat.

Doorywano podorówki[2]), że niektóry wieśniak kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do dom, obzierał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczerze często spadały deszcze. Krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku — do długiego jesiennego zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szkliły się kałużami puste drogi, a mokra, zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał i którego widywano samotnie brodzącego po łąkach, przychodził aż pod bróg, albo nawet na samo podwórze, gdzie mu skwapliwie podrzucano na przynętę jadło.

---

[1]) grzbiet strzechy, szczyt dachu. [2]) pierwsze, płytkie zaoranie pola, mające podciąć ściernie i chwasty.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś: i te zwyczajne, co z torbą głęboką i pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków — i inne, takie, co od miejsc świętych ciągnęły — i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwaryę, a rade opowiadały długimi wieczorami, co się gdzie na świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały; a trafiał się niekiedy i taki, który po cichu powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cuda prawił, takie kraje znał, przez takie wielkie morza jechał, tylu przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko... Ale chciwie słuchali, jako że każdy rad się czegoś nowego dowiedział, a i wieczory były długie i do świtu wyspać się jeszcze można choćby i na oba boki.

Hej! jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesołych, ni tego ptaszków świegotania, ni nawoływań nie słychać było we wsi — nic, jeno ten wiatr, pojękujący w strzechach, jeno te dżdże, sypiące jakoby szkliwem po szybach, i to głuche, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

Wieś martwiała równo, jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte — w odpocznieniu leżały i cichości tężenia; jako te drzewiny nagie, poskręcane, żałobne — drętwiejące zwolna na długą, długą zimę.

Jesień to była, rodzona matka zimy.

Władysław Reymont (Chłopi: Jesień).

---

4. Jesienią.

I.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko,
Na czarne role, na płowe ścierniska.

We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem ciągnące na roli
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem jak ołów.

Wron stada kraczą nad zoraną smugą
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.

II.

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa:
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

Lucyan Rydel.

5. Matejki Hołd pruski.

Oto w zacnym ubiorze i w złotej koronie
Siadł pomazaniec Boży na swym pańskim tronie,
Jabłko złote i złotą laskę w ręku mając,
A zakon Najwyższego na łonie trzymając.
Miecz przed nim srogi — ale złemu tylko srogi;
Niewinnemu na sercu nie uczyni trwogi.
Z obu stron zacny Senat koronny, a wkoło
Sprawiony zastęp stoi i rycerstwa czoło.
Przystąp, Olbrychcie młody, zacnych książąt plemię,
Który trzymasz w swej władzy piękną Pruską ziemię
Z łaski cnych Królów polskich! uczyń Panu swemu
Winną poczciwość, a ślub[1]) wiarę dzierżyć jemu.

Tak opisywał Kochanowski Hołd pruski — choć nie ów pierwszy — a kto wie, czy go własnemi oczyma nie widział i nie malował z natury. Tak, ledwie nie co do słowa tak samo, widział go »oczyma duszy« Matejko, i tak my widzimy go na obrazie. Jest i ten »pomazaniec Boży w zacnym« (a jak zacnym!) ubiorze i trzyma księgę zakonu na kolanach; jest, nie przed nim wprawdzie, ale przy nim

[1]) tryb rozk. od ślubić: złóż przysięgę.

HOŁD PRUSKI, OB

Z JANA MATEJKI.

i ów »miecz srogi«, nagi miecz, prosto do góry trzymany, jest i koło króla »zacny Senat koronny« — »sprawiony zastęp« stoi zapewne na ziemi, pod estradą, ale »rycerstwa czoło« ukazuje się w postaci stalowego, skrzydlatego jeźdźca na koniu, a »Olbrycht«, tylko, że nie młody, lecz w dojrzałym już męskim wieku, przystąpił już, ukląkł i przysięga. Rzecz dzieje się, jak powiada historya, na rynku, na zbudowanem umyślnie wzniesieniu, które się rozciąga od południowej facyaty Sukiennic ku kościołowi św. Wojciecha. Rozpięte szpalery z wschodniej jakiejś materyi stanowią niby tylną ścianę tej trybuny, a zarazem tło dla figur; z poza nich ukazują się w głębi wieże Panny Maryi i niebo, a po stronie lewej, gdzie się makaty kończą, tam tłem jest facyata Sukiennic z gankiem pełnym patrzących ludzi. Podłoga trybuny wybita czerwonem suknem, które spadając z jej krawędzi, musi dochodzić aż do ziemi, i jest znów tłem dla tych figur, które na ziemi stojąc, dla nas tylko do pasa, lub jeszcze mniej widzialne, podnoszą głowy i chcą widzieć, co się dzieje na górze. Poręcz od wschodów i parę stopni oznaczają jeszcze wyraźniej, że scena odbywa się na poziomie innym i wzniesionym. Połowa prawie estrady przykryta jest od góry tronowym baldachimem, którego sam brzeg tylko wychodzi z pod ramy obrazu. Skoro widać krawędź estrady, skoro widać przed tą krawędzią jeszcze ludzi stojących na ziemi, więc rzecz prosta, że główna akcya i główni aktorowie są w głębi, widzi się ich jakby cofniętych, oprawionych w ramy tych głów i figur, które są bliżej widza.

Przypatrzmy się głównym osobom na tym obrazie i zadajmy sobie pytanie, jak je malarz przedstawił i co chciał przez ich postawę, przez wyraz twarzy wyrazić.

Oto K r ó l. Postać to poważna i dostojna. W tej szerokiej piersi, w tej budowie ciała jest kształt i jest piękność, jak jest siła w ręce króla wyciągniętej i dotykającej drzewca chorągwi, jak jest wielki majestat w całej jego osobie, a głęboki wyraz w jego twarzy. Tylko i majestat i wyraz miarkowany, przez malarza mądrze i właściwie na wodzy trzymany. Ten Zygmunt powagi sobie nie dodaje, bo ją

ma; nie myśli o tem, żeby na króla wyglądał, bo królem jest; a majestatu w nim tyle i tyle razem prostej, dobrej wiary, że ten klęczący i przysięgający książę, jakby go się bał, jakby go coś odpychało, trzyma się od niego jak może najdalej i w oczy mu patrzeć nie śmie. Czy Zygmunt księcia podejrzywa? Czy mu nie wierzy? Gdyby tak było, nie przyjmowałby jego hołdu. Zygmunt myśli, że zrobił dobrze; ale nie jest tego pewnym. On wątpi; w jego twarzy spokojnej jest zamyślenie, w którem nie trudno wyczytać pytania: »Czy nie zrobiłem źle? czy kiedyś nie będzie z tego jakiejś szkody?« W oczach, któremi Zygmunt patrzy w księcia, jakby go chciał przejrzeć na wylot, w tej ręce wyprężonej, sztywnej, która oddając chorągiew zdaje się mówić: »Dałem, postanowiłem, chcę, ale co mnie to kosztuje i co się z własną myślą pasowałem, to tylko ja jeden wiem« — wyraźnie jest, co ten król myśli i czuje.

Przed nim, jak i on w profilu, Książę Pruski. Pomysł był śmiały, może dziwny, te dwie główne postacie w samym środku obrazu, naprzeciw siebie, obie w zupełnym profilu, jak na medalach! ale był pomysł szczęśliwy. Zdaje nam się, że najmniejsze skrzywienie głowy, najmniejsze zwrócenie oka czy króla czy księcia osłabiłoby to natężenie, to skupienie, w jakiem oni stoją jeden przed drugim, a przez to osłabiłoby wrażenie obrazu. Książę ten pojęty jest i wykonany tak, że lepiej nie można. Od wierzchołka głowy, która łysieć zaczyna, aż do ostatniego kolca ostrogi doskonałość zupełna. Jest w nim naprzód wszystko, co w ideale tego księcia być może i powinno: jest żołnierz i Prusak i pod żelazną zbroją żelazna wytrwałość i bezwzględność i zmysł subordynacyi i poszanowanie władzy, a poczucie swojej i niespokojne sumienie, mimowolny wstyd człowieka, co się sprzeniewierzył, i pomimo tego stałe, zuchwałe postanowienie, żeby sprzeniewierzać się dalej, ile razy będzie potrzeba, i rycerska śmiałość i energia człowieka rządzącego, wszystko! Sama postawa, choć poważna i godna, ale sztywna, wskazuje pruskiego żołnierza. On tak klęczy przed królem wyprostowany, wyprężony, jak kapral, kiedy z raportem staje przed oficerem. Korpus

jest cokolwiek podany w tył; zdaje się, że coś tajemniczego odpycha księcia od króla. Co? — złe sumienie, świadomość, że przysięga będzie złamana. Albrecht jest wcieleniem tych własności swojego plemienia, które sprawiły jego wielkość i potęgę.

To, co w pruskim charakterze jest brzydkiego, to znajdzie się w obrazie także, ale wyraźnie występuje w innych figurach. Jest tam brat ks. Albrechta, Jerzy. Włosy żółte, broda cokolwiek od nich czerwieńsza, a rozczesana na dwie strony; twarz szeroka i czerwona, rysy krótkie i tępe, oczy blado-szaro-niebieskie, zimne i ostre jak nóż, wargi mięsiste, grube, zmysłowe; budowa silna, niby piękna a niezgrabna; ruch sztywny, drewniany. A w całej osobie taka zuchwała arrogancya, takie przekonanie, że świat dla niego stworzony, i taka twardość bezwzględna, że się w nim widzi całe plemię krzyżackie. Drugi — Kazimierz, to znowu typ inny. Ma on ten charakter koci, zdradziecki, który przy prezencyi pięknej i wykwintnym układzie tak dobrze przystoi książęciu z czasów Odrodzenia. Te dwie natury, które na przemian powtarzają się w królach pruskich, mają swój typ i ideał w tych dwóch przysięgających książętach.

Za paziami, z których jeden zwłaszcza, bliższy, cały widzialny, jest śliczny, stoi para ludzi w skromnych czarnych togach, a ta prostota niby purytańska wśród tych przepychów, ta czerń wśród świetnych kolorów odbija z wielkim efektem. Wyglądają oni na dwóch protestanckich ministrów i znowu w swoich odmiennych typach zdają się uzupełniać i razem reprezentować dwa główne gatunki ówczesnego protestanta. Jeden jest stary, z gęstą, twardą, krótko obciętą szpakowatą czupryną, z cerą bladą i szarą, nos bardzo garbaty zwiesza się nad usta ściśnięte i nieprzyjemne, a dolna szczęka i broda, mocno naprzód wysunięta, uzupełnia charakter tej fizyognomii, w której widać rozum, dużo nauki, zawistną jakąś i żółciową namiętność, zaciętość równie wielką, jak pychę, temperament zgryźliwy a flegmatyczny razem. Trudno o typ i wyraz równie przykry i odrażający. Kto znał jeszcze niektórych najgorszych

urzędników austryackich z czasów Metternicha, ten może pamiętać typy podobne i podobnie twarde, odpychające wyrazy. Ale pomiędzy reformatorami niemieckimi z czasów Lutra niejeden musiał mieć ten charakter nienawiści zimnej, zarozumiałości i złośliwości. Drugi w czarnym birecie, jest młody i piękny. Ma wielkie czarne oczy, nos i owal kształtny, cerę zlekka różową i słodki, miodowy uśmiech na ustach, złożonych jak do mówienia wierszy lub do całowania. To *Schöngeist*, poeta, sentymentalny marzyciel. Te dwie figury wydają nam się genialnie stworzonymi dwoma typami humanisty-protestanta, a obecność ich na obrazie mamy za szczęśliwe, a niemal konieczne dopełnienie pruskiego w nim pierwiastka.

Grupa kobiet nie tak wspaniała, jak to, co widzieliśmy na obrazach Matejki, wyprzedzających »Hołd pruski«. Nie żeby jej coś zarzucić można. Bona — ma taką minę hardą a grymaśną, jakby chciała dać uczuć, że zrobiła wielką łaskę, że tu przyjechać raczyła; młoda Włoszka nachylająca się do niej, spogląda bardzo figlarnie; stara Księżna Mazowiecka ma śliczną, poważną głowę matrony — wszystkie są dobre, tylko na porównaniu z męskiemi postaciami tracą; może i dlatego, że nie grają tu żadnej roli. Jak one względem hołdu, tak widz względem nich zachowuje pewną życzliwą neutralność; woli patrzeć gdzieindziej. Na tego podskarbiego Kościeleckiego naprzykład, który w pysznem zielonem ubraniu, w złotym jakimś czepcu podnosi głowę do góry; butny, pełen poczucia własnej siły, ma jakąś śmiałość lwią, ale obrażony miałby może i hardość rokoszanina. Jest to także jedna z doskonałości obrazu, jedna z tych figur, które po księciu Albrechcie najwięcej sprawiają wrażenia i podziwu, a która wygląda znowu jak personifikacya oligarchicznego, możnowładczego polskiego pierwiastku; w późniejszych pokoleniach tensam mógłby być Zborowskim albo Zebrzydowskim. Ten Kościelecki, a po przeciwnej stronie obrazu Przecław Lanckoroński na koniu, to znowu dwa może przypadkowe, ale piękne przeciwieństwa, dwa kierunki i typy ówczesnego polskiego życia: jeden wojowniczy, uganiający za Tatarem, trochę surowy i szorstki, trochę jeszcze dziki, ale

jędrny, zdrowy i rycerski — to kresowy wschód; drugi polerowany i cywilizowany, świetny i oświecony, ale dotknięty już i mniej zdrowymi wpływami cywilizacyi, to kres zachodni, to dwór królewski i dwory magnackie, już nie proste w sumieniu, już nie surowe w obyczaju, już przygotowane do przyjęcia różnych niebezpiecznych pokus. Obok nich w samym kącie po prawej stronie stoi znowu dwóch, znowu para, ale innego zupełnie charakteru: dwie twarze delikatne, a smutne, dwie postaci wątłe i jakby wycieńczone troską czy pracą czy chorobą. Jedna z pod szerokiego kapelusza, który na nią cień rzuca, wpatruje się bacznie, troskliwie, z jakimś rodzajem niespokojnego współczucia w znękaną, pochyloną głowę Bartłomieja Berecci, budowniczego Jagiellońskiej kaplicy, który z niewymowną jakąś boleścią myśli czy o Hołdzie i jego skutkach, czy o czem innem, a w którym ze czcią poznaje się podobieństwo Matejki samego.

Z ludzi, którzy stoją przed estradą i których do pół tylko widać, najbardziej zadziwiający jest pachołek z rózgą w ręku, z futrzaną czapką naciśniętą na uszy, który grozi ulicznikom, a śmiać się ma ochotę.

Zobaczmy jeszcze, co jest po drugiej stronie obrazu, za królem. Naprzód w głębi, obok Księcia pruskiego a twarzą do widza wprost obrócony, stoi w cieniu książęcy konsyliarz czy kanclerz, Heydek. Za królem »zacny Senat koronny«, prawdziwy senat Zygmunta Starego, wierne typy czasu, aktorowie pruskiego układu: Krzysztof Szydłowiecki z królewskiem jabłkiem, Hieronim Łaski z mieczem, biskup Tomicki w infule, za nim ksiądz, prymas Łaski, a w rogu po lewej stronie uspokajający tłum Bonar i Tenczyński z chorągwią polską w ręku.

Ale te wszystkie figury, to uroczysta, oficyalna, dworska parada, to obrzędowy, ceremonialny spokój i panowanie nad sobą. A gdzie dramat? gdzie obawa o przyszłość, gdzie przewidywanie skutków, gdzie sąd o Hołdzie Pruskim i jego historyczne znaczenie? Jest tu i to wszystko także. Naprzód gra się dramat po cichu wprawdzie, przytłumionym tonem, ale widocznie przecież pomiędzy królem a księciem, a mają w nim swoje role i ci bracia i nawet

ci protestanccy księża. Ale co w tych figurach delikatnie tylko jest oznaczone, to w innych występuje wyraźnie i patetycznie. Jest oparty o poręcz estrady, plecami do widza obrócony a głową z profilu, stary Firlej, który oczywiście myśli, co z tego będzie, »i waży w siwej głowie utrapień ciężary.« Jest Opaliński, tak wyglądający, jakby małego królewicza uczył wszystkich tajemnic przeszłości i tłómaczył mu, czem teraźniejszość przyszłości niebezpieczeństwo gotuje. Opaliński zna więcej i głębiej, rozumie lepiej od wszystkich polityków, co króla otaczają, i czuje więcej od nich, bo nietylko głowę, ale i duszę ma większą. Może on nieraz mówił im wszystko, co wie i co myśli, może i przed tą sekularyzacyą przestrzegał i przed niejednem dzisiejszem i dalszem niebezpieczeństwem — a przestrzegał na próżno. Nie dziwmy mu się, że taki znękany i wychudły, że taki schylony pod ciężarem swego rozumu, swojej miłości, swojej obawy i marności swoich zabiegów. A drugi, który wszystko rozumie i całą przyszłość widzi aż do Oliwskiego pokoju, aż do Fryderyka i aż do dnia dzisiejszego, to Stańczyk. Ten siedzi na stopniach estrady, nogę ma zwieszoną, grzbiet pochylony, a głowę opartą na ręku odwraca od Hołdu. Ubrany w jaskrawe kolory i we wszystkie godła swego błazeńskiego urzędu, dzwonki, kaptur z oślemi uszami i t. d., on, kryje myśl najgłębszą, najtrzeźwiejszą i najsmutniejszą. Ze wszystkich figur obrazu on najbardziej tragiczny, najstraszniejszy, bo tak pyta: »Co z was będzie i co się z wami stanie?« — tak sobie na to pytanie wątpieniem odpowiada, że patrząc w jego twarz, czuje się taki sam dreszcz przerażenia, jakim przejmuje twarz Skargi na pierwszym obrazie Matejki.

Jego zaś i Opalińskiego złym przeczuciom odpowiada po drugiej stronie obrazu hetman Tarnowski, zamyślony i pochmurny, a zwłaszcza jego najbliższy sąsiad Ostrogski, w którego pięknej, sędziwej głowie mniej żywo, ale widocznie i boleśnie stanęły te same myśli, co dręczą Stańczyka i Opalińskiego.

Stanisław Tarnowski (Matejko).

ANCZYC

ZYGMUNT AUGUST I OPALIŃSKI.

(Fragment z obrazu J. Matejki »Hołd pruski«).

6. Śmierć i pogrzeb Barbary Radziwiłłówny.

Nazajutrz po uroczystej koronacyi Barbary (dnia 9. grudnia 1550) zasiadł król Zygmunt August na rynku krakowskim, ażeby po dawnym zwyczaju odebrać hołd książąt lennych. Z okien pałacu Jordana Spytka przypatrywała się temu aktowi Barbara. Była to pierwsza, ale i ostatnia uroczystość publiczna, w której Barbara jako rzeczywista królowa publicznie miała udział.

Usilnie przez nią przed koronacyą pokonywana i tajona choroba wybuchła tem gwałtowniej po spełnionym obrzędzie. Już z koronacyjnej wracając ceremonii, gdy poufniejsze grono domowników winszowało Barbarze nowego dostojeństwa, miała ona z bolesnym odpowiedzieć uśmiechem: »Do innej wnet korony powoła mię Pan niebieski; proścież go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a męża mojego w żalu po mnie utulił«. — Słowa królowej były istnem proroctwem; pozostawało jej już nie więcej jak sześć miesięcy do życia. Jeżeli Barbara istotnie, jak sądzą niektórzy, goręcej niż się godzi pragnęła blasku i zaszczytów światowych, w takim razie Pan Bóg ciężko ukarał ją za to. Kiedy bowiem wreszcie osiągnęła ostatni cel swoich pragnień, anioł śmierci rozpostarł cień swoich skrzydeł nad nią i kazał jej rozstać się ze wszystkiem.

Przez cały grudzień, styczeń i luty dojrzewała choroba wśród ciągłych cierpień i coraz większego osłabienia. W takim stanie nie można już było myśleć o spełnieniu życzenia obojga królestwa, t. j. by udać się na Litwę dla dłuższego pobytu w Wilnie, miłem miejscu pierwszych wspomnień szczęścia. Królowa nie wstawała już z łoża, a listy jej sekretarza do brata Mikołaja Radziwiłła wyrażają bardzo małą nadzieję życia. Niebezpieczeństwo było już jawne.

Barbara, syta już zaszczytów królewskich, tęskniła teraz w przedzgonnem rozrzewnieniu serca tem żałośniej do wszelkich skromniejszych, ale serdeczniejszych pamiątek przeszłości, do lat dziecinnych, do rodziny. Przybył raz z listem stary dworzanin radziwiłłowski. Słuchając czytanego sobie listu braterskiego, królowa rozpłakała się rzewnie; kazała do siebie przywołać starego sługę. Ale król,

lękając się zbytniego wzruszenia, nie dopuścił starego Litwina przed łoże chorej królowej; lada wstrząśnienie mogło zerwać słabą nitkę jej sił żywotnych.

Wkrótce jednak po całym dworze rozeszła się radosna wieść, iż królowa powraca do zdrowia. Nieszczęsny guz, który się od początku choroby na lewym jej boku uformował, a który właśnie miano rozcinać, sam się otworzył. Lekarze poczytywali to za znak bardzo pomyślny. Cieszyli się więc wszyscy, a królowa wzdychała już do tej chwili, kiedy będzie mogła do ukochanej powrócić Litwy.

Jeszcze jednej radości doznać miała Barbara. Królowa Bona, dotąd ciągle wroga Barbarze, zesłała teraz z Warszawy, swojej stolicy, na zamek krakowski uroczyste do Barbary poselstwo, ofiarując jej przyjaźń i miłość. Aż potąd pracowała ona z daleka wprawdzie, ale usilnie nad zniweczeniem szczęścia Barbary. Kiedy jeszcze za życia Zygmunta Starego nie mogła odwieść syna od poślubienia Barbary, dołożyła podczas pierwszego sejmu piotrkowskiego wszelkich zabiegów pokątnych, aby przeszkodzić uznaniu małżeństwa królewskiego. Kiedy zaś ślubów małżeńskich unieważnić nie mogła, wytężyła podczas drugiego sejmu całą swą biegłość w intrygach, aby utrudnić koronacyę Barbary. A gdy i tego dopiąć nie mogła, przybrała teraz maskę przyjaźni i zbliżyła się z miłością ku synowej. Skłonił ją do tego albo widok spodziewanej śmierci Barbary, w którym to razie pojednanie się z umierającą królową miało ją pojednać znowu z rozżalonym dotychczasową nieprzyjaźnią Augustem, albo potajemny plan, że w postaci przyjaciółki skuteczniej podkopie wpływ Barbary z blizka. Na wszelki wypadek, według bezstronnych świadectw historyi, nie byłaby Bona mogła dopuścić się względem Barbary bezpośredniejszej winy, jak tylko takiej nieprzyjaźni i bezskutecznych intryg.

Teraz w trzeci dzień świąt wielkanocnych odbyła się na pokojach królewskich ceremonia, której sam Zygmunt August pragnął jak największej nadać okazałości. Królowa Barbara leżała na łożu, a otaczał ją świetny dwór pań i panów. Obowiązki ochmistrza dworu pełnił pan kasztelan lubelski, Maciejowski. W głębi zgromadzeni byli dworzanie.

Wobec wszystkich stał przed królową na środku sali mnich zakonu św. Franciszka z dwoma listami w ręku, jednym od królowej Bony, drugim od siostry Zygmunta Augusta, Zofii. Po doręczeniu pism ochmistrzowi przemówił mnich po łacinie: »Najjaśniejsza królowa Bona, z łaski Bożej królowa Polski, Pani moja najmiłościwsza, widząc to wolą niebios, których rozkaz panuje wszystkiemu na ziemi, jakoteż życzeniem Jego król. Mości, najukochańszego syna swego, którego chęciom nie godzi się opierać, aby Waszą król. Mość pojął za najukochańszą małżonkę swoją i uczynił ją tronu uczestniczką — po długim i dojrzałym namyśle przyrzeka uznać i szanować Waszą król. Mość jako swoją córkę i synowę najukochańszą, którą teraz przezemnie, świadka i spowiednika sumienia swego, pozdrawia i nawiedza, zasyłając modły do nieba, aby Waszej król. Mości dało rychłe wyzdrowienie z tej obecnej niemocy i wszelką pomyślność na przyszłość«. — Na te słowa imieniem królowej Barbary odpowiedział jej ochmistrz, »jak można było najukładniej i najwdzięczniej«. Zaczem stanęła już zgoda i przyjaźń pomiędzy obiema koronowanemi paniami Polski. Zygmuntowi i Barbarze, jak pisze brat królowej, »usunęła się ostatnia kłoda z drogi«. Gładka już była droga — ale niestety — do grobu.

W trzy godziny po owej scenie pojednania wzięła nagle choroba Barbary gwałtownie zatrważający obrót. Chorej, długiem cierpieniem wycieńczonej, zabrakło sił, powiększyła się gorączka — i już lekarze poznali, że zbliża się dzień, który położy koniec boleściom i nadziejom. Zygmunt August nie odstępował na chwilę umierającej.

Mając już niewiele dni do spędzenia na ziemi, zapragnęła Barbara zmiany miejsca. Królewskie komnaty na zamku krakowskim wydały się jej za duszne. Wychowanka leśnej Litwy, uczuła jeszcze raz chęć odetchnienia wonnem powietrzem lasu. Miano ją wywieźć do zamku królewskiego w Niepołomicach, śród puszczy leśnej. Król kazał przyrządzić niezmiernie obszerną karetę, mogącą pomieścić łoże chorej i służbę. Sporządzony powóz okazał się szerszym od bramy miejskiej, wzięto się więc do wyłamania obszerniejszego otworu w murze; atoli — nie potrzebowała go

już Barbara. Nad ranem 8. maja, w uroczysty dzień św. Stanisława, ozwało się w królowej przeczucie blizkiego zgonu. Prosiła o wcześniejsze niż zwykle odprawienie mszy św., po której zażądała Sakramentów św. Po namaszczeniu olejem św. nastąpiło pożegnanie z Augustem. Wtedy to ostatnią w życiu prośbą skłoniła Barbara Augusta do przyrzeczenia, iż po śmierci odwiezie ją nazad na Litwę; wolała bowiem spocząć w rodzinnej Litwie, niż w tem mieście, w którem tyle strzał padło w jej serce.

Jeszcze kilka godzin po tem pożegnaniu pasowała się chora ze śmiercią. Wreszcie w samo południe ogarnęła ją dziwna trwoga. Kazała przybliżyć się Augustowi. Nie mogąc go już dojrzeć dokładnie, nadstawiła mu ręce, które on w niemej ujął boleści. Mimo tak blizkiego połączenia się rosła chmura ciemności pomiędzy nimi. Czarne skrzydło anioła śmierci spuszczało się coraz niżej. Ostatnie tchnienie Barbary zgasło na ustach Augusta.

Zaraz nazajutrz wyprawił król do brata nieboszczki, wojewody trockiego, Mikołaja, list z doniesieniem o śmierci. Przy wielu szczegółach ostatniego stanu choroby nie masz tam najmniejszej alluzyi do śmierci nienaturalnej. Wśród publiczności atoli rozeszła się pogłoska, posądzająca królowę Bonę o otrucie Barbary, za sprawą bawiącego podówczas w Krakowie Włocha, lekarza i sekretarza Bony, Ludwika Monti...

Trzeciego dnia po śmierci, w sobotę, ubrano ciało nieboszczki w czarną atłasową szatę i złożono je w trumnie bogatej, ozdobione wszystkiemi oznakami dostojności królewskiej. Złota korona błyszczała na bladej skroni, prawa ręka dzierżyła berło, lewa jabłko królewskie. Tak wystawione były zwłoki Barbary na widok publiczny w sali zamkowej. Odbyło się solenne nabożeństwo żałobne, przy którem w obecności dworu, panów i duchowieństwa spuszczono na zawsze wieko na trumnę.

Gdy się rozszerzyła wiadomość, że król zwłoki Barbary osobiście do Litwy przewieźć zamierza, uczuli wszyscy żal wielki, upatrując w tem jakoby wyrzut za dawny opór przeciw Barbarze. Udali się tedy wszyscy senatorowie i dostojnicy do króla z prośbą o pochowanie Barbary w gro-

bach królewskich. Król jednakże nie dał się zachwiać we własnem i nieboszczki życzeniu. Dnia 25. maja po powtórnem nabożeństwie żałobnem, odbytem uroczyście nad trumną, przeniesioną do kościoła katedralnego, włożono zwłoki do umyślnie na to przyrządzonej kolebki i nastąpiła nadzwyczaj okazała, obecnością króla, wielu biskupów, panów i ludu uświetniona eksportacya ciała z Krakowa w drogę do Litwy pod przewodnictwem samegoż króla.

Trwała ta smutna podróż przez cały prawie miesiąc. W ciągu całej podróży nie odstępował August na chwilę trumny kochanej. W drodze jechał on tuż za nią konno, w żałobnym stroju, w głębokim smutku. Przy wjeździe do któregokolwiek sioła lub miasta zsiadał król z konia i szedł pieszo za ciałem. Nie odwiodła go od tego ani razu żadna niepogoda, żadna przeszkoda. Zwyczajnie odbywało się na każdym noclegu odprawiane przez duchownych miejscowych nabożeństwo żałobne przy trumnie, składanej w miastach na mary wśród kościoła. Kolebkę z trumną ciągnęły ustawicznie rumaki karej maści.

Wreszcie pod koniec czerwca, około św. Jana, wjechał król ze swoim skarbem do miasta Wilna, w towarzystwie młodych panów litewskich, którzy wyjechali byli na jego spotkanie. Pogrzeb odbył się z okazałością prawdziwie królewską. Zwłoki Barbary spoczęły według przyrzeczenia królewskiego w kościele katedralnym, obok Elżbiety Rakuszanki, pierwszej jego żony. Zaraz po pogrzebie dwaj rzeźbiarze włoscy wznieśli nad grobami obu małżonek królewskich dwa kosztowne pomniki marmurowe.

Zygmunt August pamięć o Barbarze zachował do ostatnich chwil życia. Wszystkie po niej pamiątki, wszystkie jej szaty, kosztowności i przybory służyły królowi do śmierci. Przez całe życie nie zdjął z siebie szat koloru czarnego, a pokoje zamku w Knyszynie pozostały zawsze kirem obite. Jest nawet podanie, jakoby król zniewolił był głośnego czarodzieja do pokazania mu cienia Barbary.

Żyła tedy pamięć Barbary aż do zgonu Zygmunta. Z nim zmarły także wspomnienia o niej. Z czasem runął grobowiec Barbary i już go nie odbudowano. Tylko uczonego Starowolskiego księga nagrobków przechowała nam

napis, który znajdował się niegdyś na jej pomniku grobowym i głosił pochwałę zmarłej, że »niejednemu pomogła, nikomu nie szkodziła«. Powtarzano to zdanie często o królowej Barbarze. W życiu prywatnem byłoby ono zapewne dostatecznem. Atoli dla bohaterki dziejów za blada to aureola. Przy wielkich postaciach historycznych, przy ofierze królowej Jadwigi, przy bohaterstwie Chrzanowskiej — gwiazda Barbary przygasa. Wielkość historyczna wykwita zwyczajnie z wielkości poświęcenia, a Barbara niczego nie poświęciła, Barbara własnego pragnęła szczęścia. Ale ponieważ to szczęście wiele łez, boleści, a może i życie kosztowało, ponieważ wiele cierpiała: przeto lgnie do niej chętnie poezya, miłośniczka cierpienia. I często zatem brzmi lutnia polska pieśnią o królewskiej miłości Barbary i płyną łzy współczucia dla jej cierpienia, które każdemu sercu są tak zrozumiałe i blizkie.

Karol Szajnocha (Szkice historyczne).

---

7. Lach Serdeczny[1]) na marach.

Czarnym szlachem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w czarnej dumie, krok za krokiem tuż,
Wielki żal podaje w niebo wszystkimi — och! — dzwony:
Wraca Lach jej, Lach Serdeczny do swej Lanckorony[2])

Wóz się toczy, zrywa oczy, a nie widno w łzach:
Wóz bogaty, hej makaty, na marach bo Lach!
Za marami pan Bohdanko, a między Kozaczą
Jazłowiecki i Sieniawski i Herburt w głos płaczą.

Wóz się toczy, zrywa oczy, prześwietla się wzwyż;
Hej buława! szabla rdzawa! hej czerwony krzyż!
Hej hetmańska zbroja, sławna po świecie szerokim!
Hej hetmański koń sierota! rży smutnie, wie, po kim.

Mogił tyle! — na mogile, co kilkoro staj
Mary stoją, świecą zbroją, i modli się kraj;
A posępni towarzysze i bojów i chwały
Przyhukują naokoło na pochód wspaniały:

[1]) Przecław Lanckoroński, hetman kozacki za czasów Zygmunta I.
[2]) Lanckorona, Lands-Krone, miasteczko w powiecie wadowickim.

„Cześć na dobie, pokłon tobie, atamanie nasz!
Sojusz stary szczerej wiary mołojców swych znasz!
Już ty nie nasz, my nie twoi, hej! sojusz skończony!
Wracasz, ojcze, na słobodę, do swej Lanckorony.

„Lanckorona twa rodzona nie puści cię w świat;
W Ukrainie — och! — jedynie chwała inszych lat
W pieśń powieje przez mogiły od rodu do rodu,
Boś hetmanił i serdecznie i sławnie od młodu.

„Żywot krwawy, krwawej sławy, ktoć zapomni z nas?
Lach nasz chrobry i w czas dobry i w najgorszy czas:
Czem Bóg darzył, żył i białym i czarnym on chlebem,
Leżał z nami w cudzych grodach i w stepie pod niebem.

Żal się, Boże, step i morze obiegliśmy z nim.
Grody dawne, kraje sławne, Wołosza i Krym
Nie zapomną na wiek wieków, jak z pola na pole
Bujał orzeł tam i wodził swe stado sokole.

„Cześć na dobie, chwała tobie, chwała, póki nas!
Hej Serdeczny, pokój wieczny w niepożyty czas!
Póki świata, słońca, żal nasz, żal nieukojony
W pieśń niech wieje od Kudaku[1]) aż do Lanckorony"!

Czarnym szlachem za swym Lachem Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknej dumie w płacz zawodzi tuż;
Nabożeństwem się do Boga na niebie przyczynia,
A wtórują głosy w głosach z Podola, z Wołynia.

Bohdan Zaleski.

---

8. Koronacya Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.

Obrzęd koronacyi króla katolickiego bywał zawsze uroczystością religijną. Było to zlanie błogosławieństwa kościoła na osobę, która rozpoczynała panowanie swoje, wstępowała w nowy zawód życia, nowy okres dziejów zwiastowała swojemu narodowi. W tak uroczystej chwili któżby nie potrzebował błogosławieństwa na trud wielki? któryż król nie ukorzyłby się przed majestatem chwili? Tem bardziej król polski, pan wolnego narodu, który z sobą przynosił dolę lub niedolę milionów, wezwany z obcej zie-

[1]) Kudak, twierdza na Ukrainie.

mi, którego życie łamało się na dwie połowy, przedkoronacyjną i pokoronacyjną? Uroczyste więc błogosławieństwo kościoła było długim szeregiem wspaniałych obrzędów: króla namaszczano, święcono, z człowieka zwyczajnego, równego wszystkim, robił kościół pomazańca Bożego. Ten pomazaniec Boży stawał się już napół kapłanem, osobą świętą, powołaną sprawować lud chrześcijański i, jak w Polsce mianowicie, lud wysoko chrześcijański, ogromnych już zasług dla kościoła, żyjący posiew męczenników, rycerski lud, stojący wiecznym bojownikiem na straży cywilizacyi chrześcijańskiej od muzułmaństwa i gorszej niż muzułmaństwo schizmy i niewoli. Król tego ludu był rycerzem wszego chrześcijaństwa. Obrzędy więc kościelne, które każdego króla podnosiły na stopień pomazańca Bożego, tem bardziej stosowne były w Polsce.

Króla otaczali biskupi i duchowni. Ubierano go w szaty kapłańskie. Z początkiem obrzędu koronacyi rozpoczynała się msza św. wielka, śpiewana. Króla namazańca pomazywano i koronowano w ciągu mszy, odbierano od niego przysięgę. Błogosławieństwo kościoła spływało na niego nie od razu, ale powoli, w ciągu kilku godzin, przez coraz nowsze obrzędy i modlitwy. Król po kilka razy wstawał ze swojego miejsca i zbliżał się do ołtarza, to odstępował od niego, klęczał lub krzyżem leżał. A msza solenna przerywała się po kilka razy, ażeby dać pole koronatorowi do błogosławieństw. Sam obrzęd miał w sobie coś podobnego do konsekracyi biskupów. Pod koniec mszy wielkiej święcący się biskup przez złożenie przysięgi na śluby kościelne, przez nakładanie mu sandałów i rękawiczek, ozdobienie infułą, przez pocałowanie braterskie, kładzenie rąk — stawał się biskupem, pasterzem i szedł przez kościół błogosławić lud wierny z pastorałem w ręku: tak samo król pod koniec dopiero wielkiej mszy, przez szereg świętych obrzędów stawał się wreszcie królem i pomazańcem Bożym i siadał na tronie z berłem i jabłkiem w ręku, a z koroną na głowie i odbierał hołdy i przysięgi wiernych swoich, których przyrzekał bronić i do zbawienia w zakonie pańskim prowadzić.

Takąto religijną i narodową, wielką i świetną uroczystością był obrzęd koronacyi Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.

W dzień, na koronacyę naznaczony, otwarto kościół katedralny; uszykowali się rzędami strzelcy królewscy nadworni i nikomu wejść nie dozwalali. W środku kościoła straż także trzymali żołnierze gwardyi. Ludzi tu było dosyć, ale wskutek wczesnych rozporządzeń uniknięto natłoku tak dalece, że drugie tyle osób do kościoła wejść mogło. Dla królowej wzniesiono miejsce na podniesieniu u wielkiego ołtarza na chórze. Tam zebrało się już grono co najświetlniejszych matron polskich. Poza tem gronem niewiast stali węgierscy panowie, którzy z królem przyjechali. Z drugiej strony ołtarza naprzeciw zajęli miejsce posłowie ziemscy.

Rozpoczął się wtedy pochód królewski. Zaczynali go z kościoła św. Stanisława, postępując wśród szeregów strzelców królewskich i gwardyi, trzej obecni w Krakowie biskupi: kujawski, przemyski i chełmski, oraz sufraganowie i opaci i duchowieństwo starsze, biskupi pontyfikalnie, w infułach i podpierając się pastorałami. Szli tak procesyą do pałacu królewskiego, w którym tymczasem przybierał króla marszałek koronny w suknię, w albę, w dalmatykę, w rękawice, w pierścienie, w koszule złotogłowe, tak dalece, że król wyglądał w tym stroju świetnym, jak kapłan w Rzymie. Dalmatyka była haftowana złotem, bogata, starodawna, bo już nie do jednego obrzędu koronacyjnego służyła; święta, bo w niej Jagiellonowie chodzili. Na głowie miał król czapkę książęcą, czerwoną z perłami, aksamitną, sadzoną w klejnoty na krzyż. Obok niego leżały oznaki dostojności królewskiej: dwa berła, dwa jabłka, miecz i korony, a na straży przy tych klejnotach najdostojniejsi senatorowie. Była tam i królowa, ubrana wspaniale w piękną szatę powłóczystą.

Do otoczonych gronem panów, króla i królowej przybliżył się orszak biskupi. Ks. Karnkowski, który miejsce prymasa zajmował, wodą święconą króla pokropił i kadzidłem okurzył; biskup krakowski zmówił modlitwę po łacinie: »Wszechmogący, wieczny Boże, spraw ziemkich kie-

rowniku, Ty, któryś sługę Twego Stefana raczył do powagi i godności królewskiej wynieść, pozwól, prosimy Cię, żeby uwolniony od wszelkich przeciwności, uzyskał dni kościelnego pokoju, ażeby doszedł za Twoją sprawą do radości wiecznego szczęścia, przez Chrystusa Pana naszego. Amen.«

Wtedy dwaj najstarsi, najdostojniejsi biskupi stanęli każdy po innej stronie króla i rozpoczął się pochód z zamku do katedry. Szło całe duchowieństwo, jak wprzódy, a poza niem, bezpośrednio przed królem, szedł naprzód Piotr Zborowski, wojewoda krakowski, i niósł koronę, szedł wojewoda sandomierski Jan Kostka i niósł jabłko, szedł wojewoda łęczycki Jan Sierakowski i niósł berło, szedł Jerzy Niemsta i niósł miecz koronny i Kasper Maciejowski, który niósł chorągiew Polski. Następnie zaczynał się orszak królowej, przed którą niósł koronę wojewoda kaliski, Kasper Zebrzydowski, jabłko Jan Tarło, wojewoda lubelski, i berło Jan z Tęczyna, wojewoda bełski. Przed królową nie niesiono miecza. Najdostoniejszych sześciu wojewodów sprawowało obowiązki koronacyjne. Za królem szli panowie polscy i węgierscy, oraz posłowie postronnych mocarstw.

Orszak postępował wśród pieśni. Biskupi śpiewali łacińską antyfonę: »Oto ja posyłam anioła mego«.., a chór im odpowiadał. Wreszcie stanął orszak przed wielkim ołtarzem. Ks. Karnkowski wstąpił na stopnie. Klejnoty koronne złożyli panowie na ołtarzu, obok nich znalazło się wino i chleb jako ofiary. Królowa zajęła miejsce swoje na chórze i stanęła osobno przed niewiastami, za nią stanęły dwa karły dworskie. Król zasiadł u ołtarza na wzniesionem krześle, otoczony biskupami, opatami, infułatami, którzy mieli zacząć nabożeństwo.

Biskup krakowski przystąpił do wielkiego ołtarza i rzekł do koronatora, ks. Karnkowskiego, po łacinie: »Oto, przewielebny ojcze, żąda od ciebie kościół św., matka nasza, ażebyś obecnego tutaj najjaśniejszego książęcia Siedmiogrodu Stefana podniósł do godności królewskiej«. Na te słowa biskupi wszyscy i opaci zbliżyli się do ołtarza, ażeby zacząć nabożeństwo, i miejsca swoje zasiedli; dwóch tylko biskupów zostało przy królu, który ukląkł i modlił się. Biskup krakowski podniósł głos i zaśpiewał psalm: »Niechaj

mię Bóg wysłucha«! — Muzyka odpowiadała śpiewem choralnym i organami. Potem znów biskup zaśpiewał: »Boże! zachowaj króla naszego!« — a chór odpowiedział: »Wysłuchaj nas w dniu, w którym wołamy do Ciebie!« Wtedy modlił się biskup: »Boże! upokorzonych ojcze, który nas pocieszasz Ducha św. obecnością, racz nad tym Twoim sługą Stefanem łaskę rozciągnąć, ażebyśmy czuli przez niego, żeś wśród nas wstąpił«! — Po tej modlitwie upomniał biskup króla, mówiąc do niego o wierze, o miłości Bożej i cnotach królewskich, a gdy król potem ukląkł przed ks. Karnkowskim i zdjąwszy z głowy czapkę książęcą, przysięgę złożył, ks. Karnkowski podał mu ewangelię, a król na niej położywszy rękę, rzekł: »Tak mi Panie Boże dopomóż«!

Wtedy prymas koronacyjny ukląkł, król upadł krzyżem na złotogłowie, a śpiewacy zanucili litanię, której chór odpowiadał, aż do słów: »A posłuszeństwo służby naszej, spraw, żeby rozumne było« — na które chór odpowiedział: »Prosimy Ciebie, wysłuchaj nas!« Po tych słowach prymas stanął ponad królem leżącym i, trzymając krzyż w ręku, śpiewał: »I tego wybrańca na króla, mającego się koronować, racz pobłogosławić«! Chór odpowiedział: »Błagamy Ciebie, wysłuchaj nas«! Prymas powtórzył śpiew z dodatkiem: »I tego wybrańca na króla, mającego się koronować, racz pobłogosławić i poświęcić«! Chór odpowiedział: »Błagamy Ciebie, wysłuchaj nas«! Biskupi i opaci poklękli, poczem śpiewacy ukończyli litanię.

Kiedy prześpiewali całą, a król jeszcze krzyżem leżał, biskupi zaś klęczeli wokoło niego: ks. Karnkowski rozpoczął modlitwę Pańską, którą zakończył głośniej: — »I nie wódź nas na pokuszenie«. — »Ale zbaw nas od złego«. — »Zachowaj sługę Twego, Panie!« — »Boże mój, w Tobie pokładam nadzieję«. — »Bądź mu, Panie, wieżą dzielności«! — »Od strony nieprzyjaciela«. — »Panie, wysłuchaj modlitwy naszej«! — »A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie«!...

Wtedyto Górka donośnie na cały kościół zawołał: »Już J. K. Mość przysiędze uczyniła zadość«! Potem marszałek nadworny, w zastępstwie wielkiego, zapytał się przytomnych, czy chcą, ażeby królowi włożyć na skronie koronę

»Chcemy!« zawołali wszyscy. Więc prymas koronacyjny usiadł przed wielkim ołtarzem, a król ukląkł przed nim, biskupi poczęli zdejmować z niego dalmatykę i płaszcz, prymas zaś wziął kielich z olejem św. i, zmaczawszy w nim wielki palec, pomazał królowi rękę prawą od dłoni do łokcia, ramię prawe, piersi i między łopatkami na plecach, wymawiając słowa: »Namaszczam cię na króla z oleju poświęconego w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen. Pokój niech będzie z tobą!« Chór odpowiedział: »I z duchem twoim«. Po tych modlitwach biskup krakowski bawełną ocierał królowi miejsca pomazane, a prymas poświęcał dalmatykę i kapę, poczem wdział je na króla. Odprowadzony na tron, ukląkł król i modlił się, słuchając mszy św. Po Graduale biskup jeden odmówił modlitwy za króla, poczem znowu przyprowadzono pana z tronu przed ołtarz. Panowie, którzy przynieśli koronę, jabłko, berło i miecz, występowali naprzód, każdemu podawano z ołtarza to, co niósł; stanęli przed prymasem porządkiem, a król ukląkł. Wtedy naprzód od Jerzego Niemsty prymas wziął miecz korony polskiej, wydobył go z pochew i podał w ręce królowi. Ten mieczem wstrząsnął na znak, że gotów spełnić to, czego prymas po nim żądał, dla dobra Chrześcijaństwa i Polski, i oddał go Niemście, który włożył do pochew miecz i oddał go napowrót prymasowi. Wtedy prymas przypasał miecz królowi do boku.

Marszałek nadworny zabrał teraz głos powtórnie i znów zapytał się, jak poprzednio, wszystkich, czy chcą koronacyi?

— Chcemy! — zawołali jedni.

— Niechaj tak będzie! — wołali po łacinie drudzy.

— Niech żyje Stefan, król polski, wielki ks. litewski! wołali inni. — Marszałek według zwyczaju trzeci raz się pytał obecnych o pozwolenie.

— Chcemy! Niechaj tak będzie! Niech żyje! — była odpowiedź.

Po takiem trzeciem zezwoleniu prymas koronacyjny wziął od wojewody krakowskiego koronę złotą i włożył ją na głowę króla. Następnie wziął berło złote od wojewody łęczyckiego i włożył je królowi w rękę prawą, a od woje-

wody sandomierskiego wziął jabłko i oddał je królowi w rękę lewą. Potem ciągnęła się msza dalej, a król powrócił na tron w koronie, z jabłkiem, berłem i mieczem, i siedział na tronie, póki nie doszło do ofiarowania. Wtedy król powstał z tronu i zbliżył się do ołtarza. Z wyrazami »Pokój z tobą« podał mu prymas do pocałowania patynę, a zaraz potem i komunię św.

Kiedy już było po mszy św., marszałek podniósł w górę laskę, którą przez całe bezkrólewie nosił schyloną ku ziemi, na znak, że już się skończyło to bezkrólewie i że Polska ma pana, nowego następcę Piastów i Jagiellonów. Biskupi przemyski Kościelecki i chełmski Starozrebski, miecznik Niemsta, kanclerz Dembiński, poprzedzani przez marszałka z podniesioną laską, odprowadzili króla do tronu, wzniesionego wysoko wpośród kościoła, ustawionego pod samemi chorągwiami krzyżackiemi, które król Władysław Jagiełło zdobył w nieśmiertelnym boju pod Grunwaldem i Tannenbergiem.

Kiedy król zasiadł na tronie wśród kościoła, biskupi przyprowadzili Annę Jagiellonkę przed ołtarz, a marszałek zawołał głośno: »Niech wiedzą wszyscy, że królowa będzie ukoronowana!« Tu zgody izby poselskiej i senatorskiej nie było potrzeba, bo małżeństwo samo upoważniało obrzęd. Biskup kujawski (ks. Karnkowski) włożył przy stosownych modlitwach królowej na głowę koronę, dał jej w ręce berło i jabłko. Następnie dwaj opaci w infułach wprowadzili panią na owo podniesienie w środku kościoła, gdzie obok króla wznosił się dla niej przygotowany tron. Zasiedli tedy oboje królestwo w majestacie i siedzieli tak obok siebie podczas całego dalszego nabożeństwa w koronach i z oznakami dostojności w ręku.

Królowej towarzyszyły na tron trzy najdostojniejsze niewiasty z tego orszaku, który ją otaczał przy ołtarzu. Były to: Anna z Sieniawskich Jordanowa, hetmanówna koronna i wojewodzianka ruska, wdowa po Wawrzyńcu Spytku, kasztelanie krakowskim; druga była Jadwiga z Tęczyna, kasztelanka krakowska, dwa razy wdowa, wprzódy po Bartoszu Zebrzydowskim, wojewodzie kujawskim, a teraz świeżo po Stanisławie Myszkowskim, wojewodzie kra-

kowskim; trzecią była Barbara z Myszkowskich Zborowska, wojewodzina krakowska, niegdyś kasztelanka wojnicka.

Wtedy biskup kujawski zaśpiewał uroczysty hymn dziękczynny św. Ambrożego (Te Deum laudamus). Kiedy całe zgromadzenie z zapałem hymn powtórzyło, błagając dla króla o błogosławieństwo w przyszłem panowaniu, nastąpił ostatni akt koronacyi: przedstawiono królowi kilku z młodzieży do obrządku pasowania, a król dopełnił ceremonii, uderzając każdego mieczem koronnym po ramieniu.

Po tym obrzędzie, oddawszy miecz Niemście, król z orszakiem udał się na pokoje zamkowe.

Odbyła się potem świetna uczta, na którą udali się zaproszeni wszyscy panowie polscy i węgierscy, cały senat i posłowie. Było kilka oddzielnych stołów. Król z królową siedzieli w koronach za średnim, pod złotym baldachimem, a obok nich niektóre wybrane niewiasty i dziewice. Przez cały czas uczty trzymano przy obojgu królestwie insygnia koronne, dwa berła i dwa jabłka.

Po południu tego dnia odbyły się rycerskie gonitwy, na które patrzyli: król, królowa, senat, stan rycerski, niewiasty królowej i niezliczone tłumy ludu. Na długie i ostre kopie walczyli z sobą Polacy i Węgrzyni; ci ostatni, uzbrojeni jak Hunnowie, zasłaniali się tarczami. Górka Polakami, Banfy Węgrami dowodził. Po tem widowisku, które trwało dość długo, królestwo oboje, senatorowie i dworzanie zabawiali się tańcami w pałacu wielkim na Stradomiu, nazwanym »głową« z powodu, że wiele głów rzeźbionych zdobiło jego facyatę.

Nazajutrz składali hołd królowi burgrabiowie zamku królewskiego, poczem Stefan Batory udał się na rynek dla odebrania hołdu od miasta. Zapraszał posłów, by mu towarzyszyli, a posłowie spełnili życzenie królewskie z wielką ochotą. Wyjechał pan na przepysznym rumaku, otoczony senatorami i gęstymi szeregami swojej gwardyi, a poprzedzały tłumy szlachty.

Julian Bartoszewicz (Anna Jagiellonka).

9. Jan Bielecki

powieść narodowa polska, oparta na podaniu historycznem.
(W skróceniu).

I.

Wyprawa nocna.

... Posępny — siądę na odłamie głazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach — a godło obrazu
Było: »kraj zdradził, lecz zdrada zabija«.
W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe,
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju? nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka[1]) w dwa ramiona,
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona[2]).
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze:
Co ma król polski, i szlachcic mieć może.
Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki
Wytryska woda, tchnąca wonią róży,
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy;
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.
Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady.
Oto go łatwo rozeznać za stołem:

---

1) Złota Lipa. — 2) Dzisiaj w kościele zamkowym, z ciosowego zbudowanym kamienia, w dwóch bocznych kaplicach znajdują się pięknie wykonane, alabastrowe i marmurowe, pomniki Sieniawskich.

W złocistej szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.
Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi — szlachta wstaje, słucha.
»Bracia! na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie — a ja w krótkiem słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.
»Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem,
Widziałem wroga, nie próżno przychodził;
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem.
»Nasz dumny Stefan do czegoż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemiecki książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże;
Ja się usunę! — niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!...
»Hej! Szlachta! znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany
I tak spokojny między niemi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! — niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże!
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę«.
Miodem i winem i ucztą zagrzany

Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany;
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy:
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się zmieszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.
Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki!
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi:
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi!

II.

Wesele.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary
Jaśnieje ołtarz, potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowymi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.
Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku,
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia husarze, pancerni,
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.

Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.
Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie,
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni;
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.
Dlaczegoż smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.
Wracają tłumnie weselne orszaki.
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały
I pochodniami świecili kozaki.
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
»Stójcie! — zawołał pierwszy swat. — Przedemną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa«...
Kiedy to mówił — przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą — sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu,
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
»Anno« rzekł »Anno! wracaj! — nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.

Już mnie domowe szczęście nie omami.
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa...
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!...« Zadrżał — i spiął konia.
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.
Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.
Bielecki zniknął — żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.
Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III.

Bal maskowy.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstej koronie.
Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie — i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z poblizkiego sioła.
Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty
I czyta głośno, a spokojność wiary,
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.
Wtem zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł — czapkę miał na głowie,

Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: «Niech będzie Chrystus pochwalony!«
— »Na wieki wieków« starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nizko schylił głowy
I rzekł: »Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maszkary«. —
— »Ha! precz mi z oczu!« krzyknął Cześnik stary,
»Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga«... Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło, i zdjęty niemocą,
Już gniewu swego nie mógł wywrzeć słowy...
Była to straszna chwila przed północą.
Wokoło słychać nocnych kurów pianie
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Z nagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:
Wszedł blady człowiek — lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie
Złożył na stole i sam się oddalił.
»O córko! córko! to Jana pieczęcie!«
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy
I znalazł słowa: »Anno! bądź na balu...«
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze.
Anna spojrzała i zbladła: »O! Boże
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nade mną«!

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecyi, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.
Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconemi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty.
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?...

Snują się tłumem pomiędzy kolumny;
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica,
A w ręku jego drżą struny gitary.
Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica,
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu.[1])
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody;
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas[2]) się żali.
Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska[3]) szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask dyamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...
Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska?... Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.

Zemsta.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość, lecz radość nie szczera;
Śmiech słychać!... śmiech to wymuszony świata
Na bladych licach nigdy nie umiera.
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Którymi błyszczy biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna, lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.

[1]) Wenecya. — [2]) Torquato Tasso, sławny poeta włoski w w. XVI., autor epopei »Jerozolima wyzwolona«. — [3]) Kaszmir, cienka tkanina z wełny kóz kaszmirskich i tybetańskich. (Kraje Kaszmir i Tybet w głębi Azyi).

Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jedną chwilę rozkoszy — choć błędną?
Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
W około stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych nie jedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził Starosta, krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.
W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł Starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomieszany, blady.
— »Paziu mój! Paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty...«
O panie! twojej bojaźni nie dzielę.
To jakaś szlachta zjechała kulikiem«. —
— »Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachtaby zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę...
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny .. Lecz cóż to? O Boże!
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzej, paziu młody!«
Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju
Czoło złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,

Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija.
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...
Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgrozo! to miecz dobrze znany;
Nad emalii zaćmionym lazurem
Obraz Najświętszej Panny malowany
I obraz krzyża — pod krzyżem na dole
Herb, jakby srebrne księżyca półkole,
I gwiazda, nad nią hełm ze strusiem piórem.
Błysnęły szabli obrazy święcone —
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.
Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i, jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa;
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana,
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki.
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki
I włos się rozwiał, pełny słodkiej woni,
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara.
A strasznie bladą była twarz dziewicy.
Budzi się — gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
— »Tyż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę — rysy twego czoła...«
I zdjął Bielecki turban muślinowy;
Anna spojrzała i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady,
I znów po chwili, ciężko przebudzona,
Rzekła: »O luby! tak straszny! tak blady!...«
»Cha! blady?« przerwał rycerz z dzikim śmiechem.

»Wszak zdradzam!...« zamilkł—lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: »Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano — zdrada.
Kraj cały we krwi... Wznieś na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkle malowidła.
Gdy błyśnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz, przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy;
Ciemniejszem patrzy i niepewnem licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy.
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy,
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa — od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O! luba moja, poco te rozmowy?
Luba! chodź za mną, wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twojem łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.«
— »Mój ojciec!« — »Ojciec?... Ojciec przeklnie ciebie!
I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie.
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie — wszyscy przyjaciółmi memi,
Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi.«

V.

Kościół wiejski.

Była to cerkiew. z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.

Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.
Daleko słychać wiejski dzwon kościelny.
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny;
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.
Msza się kończyła. — Oto w nizkie progi
Jacyś wędrowcy weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz nie-wesoła.
Bali się zasiąść w ławki lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.
Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył,
Teraz zaczyna mówić Boskie słowo. —
»O! bracia! dzieci! i tegożem dożył
Ja, stary wiekiem, z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w Bożem słowie?
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam«!...
Zachwiał się starzec i zalał się łzami.
Zabrzmiało amen — lecz amen żałoby,
Jakże niechętne! dźwiękiem ledwo żywe.
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.
Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamieszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;

Drugi zaś, drżący i blady straszliwie,
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.
Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca
I tam, na zimnym kamieniu grobowca,
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa.
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi — twarz blada, nieżywa;
I rzekł: »Wyklęty!... my idźmy do domu«!...
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą
I rzekł poważnie: »Bóg jest miłosierny!
A jego litość liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza«.
Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa.
Czy brak w niej czucia? bo sucha źrenica;
Twarz nieruchoma — jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświecone szaty,
We włosach jasne przepaski z korali.
»O! mój najmilszy«! — rzekła — »o! mój drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
Umarli wchodzą i spią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami«!...
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze.
Potem nań kwiaty rzuciła wonnemi:
»Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi«.
Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;

Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.
Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna Boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca,
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca,
Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
Tonące modły — jako śpiew daleki...
Dziewica blada na kamiennym progu
Usnęła — może usnęła na wieki...
I cicho! niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie!
Całego świata gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania,
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

Juliusz Słowacki.

10. Słowackiego „Jan Bielecki".

Przedmiot poematu wzięty jest w części z kronik[1]), w części z ustnej tradycyi, przywiązanej do głównych miejsc zdarzenia, a mianowicie do Brzeżan (w Galicyi wschodniej).

Współczesny zdarzeniu temu Bielski w »Kronice Polskiej«[2]) tyle o Bieleckim zapisał, że kiedy w r. 1587. Tatarzy w wielkiej liczbie na Podole i Ruś wtargnęli, plądrując z niezmierną szkodą dla okolicznych mieszkańców, zaszło z nimi kilka potyczek, między któremi bitwa pod Bawo-

[1]) Prawdopodobnie albo z dzieła Fr. Siarczyńskiego p. t. Obraz wieku panowania Zygmunta III. cz. 1. (wyd. 1828 we Lwowie), albo z dzieła Heidensteina Dzieje Polski. [2]) Ta część dzieła wyszła z druku dopiero w r. 1851.

rowem była jedną ze znaczniejszych. Bitwy tej wprawdzie pohańcy nie wygrali, owszem, od tej dopiero chwili »jęli ustępować«, ustępowali wszelako z niemałą ilością zabranego w niewolę ludu i szlachty. Z tych niektórzy, złożywszy okup niemały, wyszli na wolność po niedługim czasie. »A Korycińskiego — są słowa dziejopisa — Bielecki, mając z nim z dawna przyjaźń, darmo puścił. Był ten Bielecki Polak Lublinianin, herbu Janina, jeno się poturczył i przyjechał z Turek do Polski za króla Stefana i tu chciał mieszkać: jedno, że przecie swej wiary złej odstąpić nie chciał. Król Stefan, chcąc go najwięcej do poselstwa zatrzymać, że to umiał język tatarski i turecki, naznaczył mu był opatrzenie pewne na Podolu. Ale król dał, a panowie wzięli. O co rozgniewawszy się Bielecki, zbiegł do Tatar i Tatary na ojczyznę swą nawiódł«.

Lakoniczne wyrażenie Bielskiego: »król dał, a panowie wzięli« uzupełnia cokolwiek podanie brzeżańskie. Przechowała się w niem pamięć, że jeden z rodu, którego własnością niegdyś były Brzeżany, z rodu Sieniawskich, wioskę Bieleckiego położoną gdzieś w sąsiedztwie najechał, dworek szlachcica wraz z chatami włościan puścił w perzynę, a naostatek całe to miejsce pługiem kazał zaorać i w puste pole zamienić.

Taki więc był surowy materyał poematu. Zdarzenie to przedstawiało różne strony, na których mogła była spocząć wyobraźnia poety. I tak, najbliższe może, co się tu nasuwało jako wdzięczny temat do obrobienia — była to ta zagadkowa postać poturczonego Polaka na tle zygmuntowskiej epoki!

Jakichże to chyba nadzwyczajnych potrzeba było kolei losu, żeby się była mogła wyrobić taka osobistość, jak owa przez historyka odmalowana! Szlachcic polski — poturczony — wrócił do kraju — otrzymał od króla opatrzenie, jest wolny i niezawisły — i mimo tego nie chce czy nie może »złej wiary swojej odstąpić«. Ileż w tem wszystkiem zagadek! Ile domysłów się tu nastręcza względem przeszłości Bieleckiego, względem jego związków z drugą ojczyzną, względem jego własnej indywidualności, czego wszystkiego historya wcale nie odsłoniła. Była wtedy w młod-

szem gronie poetów naszych wogóle wielka skłonność do obrabiania przedmiotów oryentalnych. Sam Słowacki hołdował tej skłonności. Otóż nastręczała się tu jedyna ws woim rodzaju sposobność uczynienia zadość temu pochopowi, przejętemu od Byrona i Moora[1]), bez rozminięcia się z rzeczywistą tradycyą i narodową i nawet historyczną.

Albo rzućmy okiem na inną stronę tejże tradycyi. Autor, któryby dla natchnienia swego szukał podstaw więcej przedmiotowych, byłby się tu uczepił tych słów kronikarza naszego: »Król dał, a panowie wzięli«, i byłby podniósł głównie ów fałsz odwieczny w stosunku możnowładców dawnej Polski do braci młodszej, do szlachty, która choć z prawa we wszystkiem niby równa magnatom, była w rzeczy samej jednak ciągle przez nich traktowana z odtrącającem lekceważeniem. Z danego materyału dałaby się była wysnuć kreacya szerszych rozmiarów, rdzennie trafiająca w samo serce naszych instytucyi i obyczajów, w której żyłyby i kipiały namiętności, może najdalej posunięte i najwięcej też tradycyjne ze wszystkich, jakie tylko były znane dawnemu społeczeństwu naszemu.

Słowacki, pochwycił rzecz z innej zupełnie strony. Jego fantazya zajęła się tu tylko widokiem walki jednego ze wszystkimi, widokiem krzywdy, jakiej doznaje od świata szlachetny, niewinny, słabszy... W całym szeregu ogniw, stanowiących łańcuch zdarzeń, jakie sobie wysnuć było można z podania o Brzeżanach i o Bieleckim, poecie naszemu najpoetyczniejszym się zdawał, nie tyle jeszcze ów pęd namiętny, stromą drogą prowadzący człowieka do zbrodni, byleby tylko się zemścić — ile ów nadmiar cierpień, dojmujących po zemście już dokonanej w taki sposób. Owóż to położenie tragiczne człowieka, który nawet po spłaceniu swej krzywdy widzi się pod stopami tryumfującej przemocy; ten żal do świata, że go tenże zmusił do czynów, których on sam nie może sobie przebaczyć; to osamotnienie na świecie istoty, dla której ani za życia niema nigdzie miejsca pomiędzy ludźmi, ani nawet po śmierci nie

[1]) Czyt. Bajrona i Mur'a. Tomasz Moore (1780—1852), sławny poeta angielski, autor kilku powieści poetycznych. — Jerzy Byron (1788 do 1824), najznakomitszy tego czasu poeta angielski.

będzie kawałka ziemi na mogiłę: — to były motywy w całem onem wydarzeniu dziejowem, dla których zwrócił Słowacki swoją na ten przedmiot uwagę.

Oczywiście wypadło, właśnie z tego powodu, niejeden szczegół, ze strony surowego materyału podany, przekształcić inaczej, aby początki i powody katastrofy odpowiadały założeniu. Rozstęp między opowieścią poety a podaniem polega głównie na tem, że podanie ukazuje w Bieleckim renegata już od pierwszej chwili jego powrotu do kraju; w poemacie zaś był on wprawdzie kiedyś za młodu w niewoli tureckiej, ale wrócił z niej niesturczony. Dopiero później krzywda, jakiej od magnata doznaje, rzuca go na drogi zdrady kraju i zdrady wiary. — Wszystko to zresztą zbywa autor jak najkrócej. Jest to dla niego tylko rusztowanie do właściwej budowy, której ostateczne odsłonienie przypada na drugą dopiero połowę poematu. Ze słów urywkowych dowiadujemy się tedy w początkowych pieśniach tyle jedynie o tem, że działo się to za panowania króla Stefana.

W brzeżańskim zamku żył możny, dumny starosta — mieszkanie jego przepychem nie ustępowało w niczem grodowi królów. Ale na czole magnata od niejakiego czasu zawisła chmura jakaś posępna. Jakaś skryta troska dręczyła go tajemnie, pomimo skarbów i włości, i tłumu sług, i tej szaty złocistej, w której jaśniał. Od tygodnia poczęły się w zamku jego nieustające zjazdy... W komnatach jego gościnność i uprzejmość i biesiady huczne. Znikła z groźnego możnowładcy oblicza zwyczajna duma. Otworzył na oścież serce dla okolicznej szlachty i karmi ją i poi i schlebia chudopachołkom. Pozwala się rozlegać po domu swoim swobodnie hucznemu gości swoich gwarowi. Po tygodniu takowej uprzejmości wypływa wreszcie oliwa na wierzch:

Hej! szlachta, znacie Bieleckiego Jana? —
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny, w darowanej grzędzie...
A kiedy zamki walą się pod gromem:
On podparł domu walące się ściany
I tak spokojnie między niemi żyje

I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije«...

Z dalszej mowy wynika, że ten szlachcic »podły«, jak się starosta o Bieleckim wyraża, miał z nim jakąś zwadę i wytoczył sprawę przed króla.

»I jam był winien, winien był Sieniawski! —
I oko w oko przed króla obliczem
Widziałem wroga!... Nie próżno przychodził:
Król go pochwalił, zachęcił, nagrodził;
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem!

Przy łaskawej pomocy życzliwej braci, która właśnie spija wino starosty, znajdą się jednak jeszcze sposoby powetowania tej krzywdy...

„O! dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni!...
Bracia — noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę"...

Temu wezwaniu okazuje się zgromadzona szlachta powolną:

»Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem —
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni«.

W drugiej pieśni przenosi nas autor w wnętrze kościoła. Rzecz dzieje się w Brzeżanach. Dla dopełnienia obrzędu ślubnego, staje tu przed ołtarzem Bielecki, Anna i cały orszak weselny: tymczasem w domu pana młodego — w niedalekiej odległości od Brzeżan — prawie wyludnionym z mieszkańców, niema nikogo, coby go bronił przed tą hałastrą, niosącą mu zniszczenie. Ta napaść jednak nie wchodzi tu w ramy obrazu. Jesteśmy świadkami tylko sceny ślubnej, która zresztą, równie jak poprzednie ustępy, zbyta jest ogólnymi tylko rysami. Tak młodożeniec, jak panna młoda — są to jeszcze tylko typy powszechne. Do wnętrza ich serc nie zazieramy. Co tu o nich słyszymy, odnosi się więcej do ich powierzchowności, do ich ubioru, do orszaku, który im towarzyszy. Nawet ich uczucia są tylko zwyczajnym w razach podobnych nastrojem duszy. Gdyby nie te kilka

szczegółów, które urywkowo w poprzedzającej pieśni rzucił był o Bieleckim starosta, to bohater poematu byłby dla nas człowiekiem zupełnie nieznajomym, chociaż go w tym ustępie mamy tak blizko przed sobą. Podobnie urywkowo opowiedziane jest i przybycie młodożeńców do domu Bieleckiego. Domu tego jednak oni już nie znajdują. W miejscu, gdzie przed kilku jeszcze dniami był dwór i wioska, znajdują tylko rolę — świeżo zaoraną i głuchość. Cała ta więc sytuacya znowuż naznaczona tylko kilku rysami. Zdaje się, jakby poeta słów żałował dla wszystkiego, co go dopiero prowadzi do właściwego tematu. Nawet burza uczuć, obudzonych w bohaterze poematu tą dojmującą krzywdą, zbyta jest cała w tych oto kilku wierszach:

»Patrzą, nie wierzą... Sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa,
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady,
Na jego szatach widać krwawe ślady...
— »Anno« rzekł »Anno, wracaj! nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu,
Już mnie domowe szczęście nie omami:
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu«!... Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia«.

I oto już wszystko, co o tem mówi poeta.

Odtąd Bielecki zupełnie znika ze sceny. Przez niemały przeciąg czasu ani wieści, co się z nim dzieje. Żona po nim już przywdziała żałobę... Gdy wtem nagle zapowiada się znowu blizka jego w stronach owych obecność przez owo tajemnicze zlecenie, przysłane Annie, ażeby się i ona także znalazła na maskowym balu, który wyprawia w zamku swoim starosta.

Na tym to balu — w przedostatniej pieśni — przychodzi dopiero do takich zdarzeń, że ów aż dotąd dla nas prawie nieznajomy staje się naprawdę najwydatniejszą postacią poematu. Tu dopiero odsłania się w nim typ tego demonizmu, tej dzielności, pchniętej na przepaściste szlaki

zaguby, o której wizerunek jedynie chodziło autorowi. — Jakich przejść w usposobieniu duszy trzeba było, ażeby z normalnego człowieka przedzierzgnąć się w podobnego demona, tego poemat nie odsłania. Ani słowa nawet o tem, co się zewnętrznie działo z Bieleckim od chwili, gdyśmy go stracili z oczu. Ale wynagradza nas za to poeta gotowym widokiem tego, czem on jest teraz, kiedy znowu staje przed nami. Cała postać Bieleckiego tak jest zmieniona, że za pierwszem spojrzeniem własna żona go nie poznaje. Podobne przeistoczenie zaszło i w zewnętrznych jego stosunkach. Pokazuje się bowiem, że aby wywrzeć zemstę na magnacie, który go skrzywdził, człowiek ten wyparł się wiary, ojczyzny i przeszedł na stronę najzaciętszych jej nieprzyjaciół. Zbratawszy się z Tatarami,

»Czoło złocistym przysłonił turbanem
I wiarę złotym księżycem naznaczył«.

Po takim czynie, jako wódz hordy pohańców, naprowadził na Polskę zagon tatarski. Nie wahał się spławić we krwi tysiąca chat i dworków, których mieszkańcy nie zawinili mu w niczem, byleby tylko zawisł ten piorun zagłady i ponad zamkiem starosty. I owóż woli jego dzieje się zadość. Znienacka, kiedy się w grodzie brzeżańskim sproszeni goście bawią w najlepsze, zalały tłumy najeźdźców wszystkie sienie i komnaty zamkowe. Bielecki

»Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył;
Miecz jego w pochwach — on wzrokiem zabija!
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp, w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł jak śmierci mara
I wyjście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara.
Błysnęły szabli obrazy święcone
I padł starosta na twarde granity. —
Zaśmiał się Tatar... śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo — był to jęk kobiety«...

Aż dotąd zdrada i mściwość wiodły Bieleckiego do celu, jakby po drodze, różami samemi usłanej. Dosięgnął

pragnień swoich nakoniec. Widzi dumę, która zniszczyła całe szczęście jego na ziemi, powaloną u stóp swoich i skarconą strasznie. Nie będzie już ten magnat nikogo odtąd krzywdził na świecie. I pierwszy haust*) z podanego do ust zemsty puharu był słodki. Ale słodycze takich upojeń prędko się przemieniają w truciznę. Na najwyższym szczycie swoim Bielecki słyszy jęk, jak echo złowieszcze czynu, którego się dopuścił. Ten jęk przyzywa go do świadomości — powiada mu, co uczynił. Ten jęk najdroższej mu na ziemi istoty staje się dla niego hasłem cierpień stokroć dotkliwszych, aniżeli krzywdy, które aż dotąd od drugich znosił. Własne sumienie się w nim odzywa i mówi mu, że taka zemsta — to sromota, to dopiero ze wszystkich upokorzeń — największe. Teraz dopiero ów wróg jego, nibyto zwyciężony, rzucił go pod stopy swoje — na wieki. Dotąd miał on do czynienia z nim jednym tylko: od tej chwili obraca się przeciwko niemu cała ojczyzna, kościół, rodzina własna. Komu tylko miła cześć prawa, komu tylko święte, co jest świętością — gardzi nim i odtrąca od siebie. Jest wymazanym z liczby synów ziemi, co go zrodziła. Ze społeczności kościoła wyrzuca go klątwa biskupia. Rozbudza się w winowajcy bolesna, niczem nie zagłuszona świadomość zbrodniarza, wywołańca. A mimo tego nie przestał on jednak należeć sercem do tych wszystkich, którzy go odtrącają — gdyż żyć poza ich sferą nie może.

Cała ostatnia część poematu, zawierająca w sobie ten obraz cierpień człowieka, odepchniętego bezlitośnie przez całe społeczeństwo, wykonana jest z taką siłą uczucia, z taką głęboką prawdą poezyi, że śmiało ją stawić można na równi z celniejszemi pięknościami naszej literatury. Szczególnie zaś podnosi wartość rzeczonego ustępu idealna postać Anny, z dziwnym urokiem stawiona na samym przedzie obrazu w pieśni ostatniej.

Jest to niejako kontrast serca, przeciwstawionego bezduszności tych, którzy zdolni są tylko potępiać bezwarunkowo. W osobie Anny wcielił poeta całe współczucie i, że tak powiem, solidarność swoją z tym posępnym ideałem, jaki so-

*) Haust, łyk.

bie w postaci Bieleckiego wymarzył. Anna bynajmniej nie tai tego przed sobą, że czyny jej męża są wobec ludzi i Boga występne wielce i grzeszne. Z jękiem rozpaczy, mdlejąca, ujrzała go idącego po tej drodze zbrodniczej. Ale ta kobieta ma serce. Przyznając zbrodnię, umie ona wnijść i w pobudki zbrodniarza. Odgaduje konieczność, która jej męża skłoniła do powzięcia takiego postanowienia. Lituje się nad nim i w jego upadku, tak jak go miłowała za dni szczęśliwszych. Słowem: Anna rozumie Jana. To też porzuca bez wahania i dom rodzicielski i kraj ojczysty, byle tylko nie opuścić opuszczonego przez wszystkich. I towarzyszy mu wiernie przez całą jego wędrówkę aż do samej godziny zgonu. A kiedy mu świat na ostatek i grobu nawet odmawia, ona to słabemi dłońmi swojemi grzebie dla niego mogiłę. I czując wśród tej ostatniej posługi siły coraz bardziej mdlejące, gaśnie biedna z wysilenia nad grobem — niedokopanym. Gaśnie w niemej boleści zwolna, »jako w Bogu tonące modły — jako daleki śpiew« i usypia przy zwłokach męża — na wieki...

Najpiękniejszy ten ustęp na samym końcu powieści — miała to być ze strony poezyi niejako rehabilitacya człowieka, którego twardy porządek ziemski pokarał nazwiskiem zdrajcy, a nad którym anioł Boży w postaci kobiety owej zapłakał. I te łzy czyste miłości i zlitowania tak zaważyły na szali onego żywota, do połowy złożonego z przestępstw, a do drugiej połowy z cierpień, że i my potomni sympatyzujemy ostatecznie z bohaterem tej staropolskiej tradycyi.

Jeżeli jednak z nim sympatyzujemy, to tylko pod następującem zastrzeżeniem. W formie powieści poetyckiej wielką odgrywa rolę urywkowość i epizodyczność, pozwalająca autorowi część swego zadania co krok pozostawiać domysłowi czytającego. Owóż i w tym razie od czytelnika to jedynie zależy, zapełnić sobie własną wyobraźnią tę przerwę, jaka przypada na środek poematu, kiedy to Bieleckiego po zniszczeniu jego wioski z oczu tracimy, aż do powtórnego jego wystąpienia na scenę, w roli herszta Tatarów. Doznana ze strony starosty obelga i krzywda, a przy niej i ogołocenie z całego mienia, jak są opowiedziane przez autora, mogły wprawdzie i musiały zrodzić

w sercu szlachcica namiętne pragnienie zemsty. Jednakże dalekie to wszystko jeszcze jest od jaskrawości pobudek, jakieby zajść musiały, zanimby się człowiek w położeniu Bieleckiego ówczesnem puścił na takie drogi zapamiętałej żądzy odwetu. Wyprzeć się wiary ojców swoich i nie tylko zapomnieć o ojczyźnie, ale ją jeszcze spławić w powodzi krwi niewinnej — to są rzeczy, o które się nie tak łatwo pokusić. Łatwiej to wszystko pomyśleć i zamierzyć, aniżeli wykonać. Prędzej się kto odważy na wszelką inną zbrodnię, choćby największą, choćby najprzeciwniejszą naturze ludzkiej, niżeli na to. Doprowadzenie rzeczy takiej do końca jest wynikiem długiego pasma planów i środków i obmyślonych sposobów, które potrzebują dla siebie i czasu długiego, zanim zrodzą ostateczny swój owoc. Owóż właśnie z tego powodu szał namiętny, któryby pchnął kogoś na razie w stronę takiego postanowienia, sto razy tymczasem ulotniłby się i ostygł, zanimby dzieło doszło do skutku.

Jeżeli zatem patrzymy na Bieleckiego i w tej jeszcze chwili jego zawodu z pewną wiarą w prawdę poezyi: to chyba już jedynie dlatego, ponieważ wychodzim z przypuszczenia, iż nie zależało na tem autorowi, żeby przedeptać, że tak powiem, krok za krokiem tę całą przestrzeń, jaka człowieka dzieli od normalnego usposobienia aż do najwyższej burzy wszelkich żywiołów w jego jestestwie. Wyobrażamy sobie naprzykład, że Bielecki poprzednio w inny sposób i niejednokrotnie kusił się o dokonanie zemsty; że wszystkie jego usiłowania wywarcia jej były wobec przemocy, wobec przezorności magnata nadaremne; przypuszczamy, że tymczasem mogła i niejedna nowa obraza zajść ze strony tryumfującego możnowładcy, która serce szlachcica już i bez tego zranione, tym zapamiętalszym bolem porwała... Słowem, poddajemy się wrażeniu, jakbyśmy słyszeli z ust poety, że on tę całą skalę pośrednich pobudek, zażegających coraz silniej, wiodących coraz nieuchronniej człowieka do ostateczności, otwiera dla naszej wyobraźni, ale zakrywa dla oczu naszych i że nam wtedy dopiero znowu ukazuje swego człowieka, kiedy ten stanął już na samym szczycie tego szału i opętania, które jak ogień piekący, pozbawia

go niemal odpowiedzialności za wszystko, co przedsiębierze w tym stanie...

Antoni Małecki (Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła).

11. Kwarantanna na pustyni.

...Po ośmiu dniach drogi przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą między Egiptem a Palestyną, blizko miasteczka El-Arish, aby na niej przez dni dwanaście zamieszkać. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz baszy zdawał się wisieć w błękitnem niebie, nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasznego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish. Pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem z daleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble starał się natychmiast mój pobyt pod otwartem niebem uczynić jak najwygodniejszym: wydał ze składu kilka namiotów dla naszej gromadki podróżnej, a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrzystej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło.

Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mię otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza. Za nią była szara wstęga palmowych lasów, od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze, nad morzem zaś na piramidalnej piasku mogile błyszczał białą kopułą grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy, a architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe, a na nich namioty straży i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych ubiorach oryentalnych, w środku zaś doliny niby

stożec piaskowy, z którego muezin donośnym głosem obwoływał wielkość Boga — rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści, a pokażą się mu we właściwszem świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego ze strażników kwarantanny.

W wigilię Bożego Narodzenia (r. 1836), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zgasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy, albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni... Przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze.

Ale nie tu był koniec przestrachów. Krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczoraj zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą i srebrnemi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku. Unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych porwanych domów, zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi

rozbicia, nie mogłem jednak udać się do blizkiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem, a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć, pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli.

Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot. I przyszły dni pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był tłómaczem wielu sławnych ludzi, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne szczegóły ich podróży — i ze mnie zapewne zbierał zapas małych spostrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mię do snu...

Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno oczy moje napotykały konstelacyę Oryona, tak podobną do gwiaździstej lutni zawieszonej przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął.

Wielbłądy moje znów uklękły przede mną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu*). A kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony. Obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w so-

*) Z El-Arish udał się Słowacki do Palestyny, w szczególności do Jerozolimy, gdzie u grobu Chrystusa całą noc spędził na modlitwie.

bie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste. — Odwróciłem się od tej rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku lilie białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus Pan do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilie, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny, odbytej przeze mnie na pustyni; daleko gorszą wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historya jego boleści nie jest zmyślona; opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że tych kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który się zaledwo tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu?...

Juliusz Słowacki.

---

12. Ojciec zadżumionych

w El-Arish.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona —
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A w wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona z synaczkiem przy piersiach warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha —
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam! — O! boleści!

Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści!
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.
O niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w sercu mojem dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu. —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: Starcze, gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha! —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!
Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko jak mały aniołek w obrazku
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. —
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła do braci.
Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować!
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: Niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! tak cicho umierały obie,
Że, choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
Ja nie słyszałem, jak obie umarły!

I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie, sine jak żelazo,
Dwie moje córki, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu:
I porzuciły nas! — i bez powrotu! —
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.
Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą,
Zawsze to niebo niesplamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nierówne złotemu
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca-upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.
I tak dni dziesięć przeszło, choć nieskoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby, wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje!
O! była to więc piekielna godzina,
Gdy, patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. Ach! ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny.
Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem!
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony:
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — na twarzy plam żelaznych krocie.
Więc zawołałem głośno: Śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takimi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka
I żeby na to nie patrzyła — matka.
Przy konającym czuwaliśmy blizcy,
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:

Oby nie umarł lub się był nie rodził! —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzał. Tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć!
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku;
Lecz ledwie ogień zaczął biedz po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży.
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy...
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
Pod kręgiem słońca, jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali,
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie —
Że się ten bałwan zarazy przewali...
Powrócił. — Anioł powrócił morderca!
Ale mię znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: Niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia;
Boleść już była jako chleb powszedni,
I przed oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień:
Skonał i skościał i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: Jesteście przeklęci!
Skonał. Myślałem wtenczas — o, rozpaczy! —
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyśle po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę, a po żonie
Mnie nieszczęsnego powoła przed Stwórcę —
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce
I trwoga o nią nie gryzła mnie żadna.
Ach! ona była młoda! taka ładna!

Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do liliowych brała chłodzić rączek;
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek!
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła; i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią,
Jako na różę, przez me łzy i słońce.
Ach! ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić;
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści
I naliczyłem ranków już trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna; schylały się nizko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho, po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: Ratuj mię, ratuj, mój ojcze!

I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci;
A piękna była, jak anioł, po śmierci.
Przyszli nade mną płakać nieborakiem
Strażnicy, przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożni! zaczepili hakiem; —
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą —
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją przed memi oczyma rozdarli.
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.
Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać;
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci, w grobie! —
Ona inaczej wydaje się tobie.
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezyna;
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci me wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!
Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić ode mnie z daleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się i lekko napięte,
Były jak próchna, z ludzkich trumien zdjęte.

Zarazę było znać na tym namiocie. —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna;
I spostrzegłem to — i było mi smutno.
Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze
I słońca się krąg pochował ponury
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho:
Więc natężałem słuch, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?
I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko:
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy;
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
I tak rozdarty i taki żałosny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty
I tak rozumny i taki przeklęty,
Żeśmy oboje biegli, gromem tknięci
I bez nadziei już i bez pamięci;
I nie zawiodło przeczucie żałoby:
Umarło — z takiej, jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze i moje ostatnie!!!
Śmierć mi je czarna wzięła nielitośnie

I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już obaczy!
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!
Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie; przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
I to już — ani zarazy strażnicy
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama —
Ale ja matka tam zaniosła sama.
W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? Zamiast nas połączyć,
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć;
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści
I stanął czarny, wielki między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną,
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.
Więc tak bezdzietnym było i tak co dnia.
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał,
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,

Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy —
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła
I zachwiała się z jękiem — i upadła;
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i, rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię;
I obudziłem się — na dni czterdzieści.
Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka
Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze niezepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.
I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie
Ani mię ludzie widzieli na stepie;
Stałem się jako zdziecinniali starzy;
W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica!
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną.
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia
Tam nad trumnami; i słuchałem blady,

Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.
I przechodziły mi dni i tygodnie
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach! Boska nade mną opieka! —
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda!
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko — głośno.
I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście.
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które — o Boże wiekuisty, świeć mi! —
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem!
Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy — ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą —
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych!
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!

Juliusz Słowacki.

13. Mowa polska.

Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praojców rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie, dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórniejszych lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów. Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: »Oto na domiar wszystkiego daję wam śpiż dźwięczny, a niepożyty, taki, z jakiego żyjące przed wami narody stawiały posągi swym bohaterom; daję wam złoto błyszczące i giętkie, a wy z tego tworzywa uczyńcie mowę waszą.

I została ta mowa, niepożyta jak śpiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych na świecie, tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać.

Powstali również z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze śpiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawne życie. Czasem huczała jak grzmot w górach; czasem unosiła się ponad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta jak łza, Boża jak modlitwa, słodka jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej harfy największy z mistrzów, Mickiewicz, i położywszy na niej natchnione dłonie, wydostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, jakich nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie nieziemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać,

. . . wszystkim się zdawało,
Że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...

Echo serc polskich... I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu — wszystko, co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu

i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

A jednak znalazł się poeta, który to uczynił.[1])

Lećcie u zorzy prosić purpury,
Pereł u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić...
Tę tęczę wziąć na wrzeciona
I wić! i wić! i wić!

Tak jest! On to uczynił. On zebrał pełnemi garściami pereł, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających dyamentów i osypał niemi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie — niby Harfa-Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła ludu, jak ongi przed harfą Dawida. I oto jego zasługa, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić. A jednak uczynił. Zdołał — bo poezya w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł, bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królewną zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nie tylko żywa, ale i nieśmiertelna.

Henryk Sienkiewicz[2]).

---

14. Miecznik koronny Jabłonowski.

Nie masz tak ciemnej karty w dziejach kraju naszego, którejby nie rozjaśniał jakiś promyk pociechy i podniesienia. Jednym z najsmutniejszych ustępów w księdze tych dziejów jest wygórowanie zamieszek sejmowych w epoce osławionego posła z Upity Sicińskiego — a przecież i w tej porze zdarzyła się tak pamiętna protestacya przeciw wzma-

[1]) Juliusz Słowacki. — [2]) Ustęp powyższy jest to mowa, wygłoszona przez Henryka Sienkiewicza w r. 1899. przy odsłonięciu pomnika Słowackiego w Miłosławiu w Poznańskiem.

gającym się nadużyciom wolnego głosu, iż słuszna jest polecić ją uwadze powszechniejszej.

Zaprotestował podówczas przeciw tym nieszczęsnym początkom miecznik koronny Jan Stanisław Jabłonowski, zmarły w ostatnim roku panowania króla Władysława IV., ojciec sławnego później hetmana w. kor. i kasztelana krakowskiego Stanisława Jabłonowskiego.

Oprócz nadmienionej tu manifestacyi sejmowej nie zostawił Jan Stanisław Jabłonowski ważniejszych śladów bytu swego w historyi, ale to jedyne jego prawo do pamięci czasów późniejszych zasługuje tem bardziej na uwzględnienie, że miecznik okupił je śmiercią swoją. Pod tym względem zaliczył się on do rzędu tych skromniejszych, ale drogich sercu naszemu bohaterów dziejowych, których całą zasługą było oddanie życia za jedno słowo prawdy.

Przed osiągnieniem tego zaszczytu znany był Jan Stanisław Jabłonowski jako jeden z możniejszych panów na Rusi, kolligat wielu domów wyższych i niższych, zalecony wszystkimi przymiotami, jakie wówczas zapewniały wziętość u szlachty... Temito zaletami uskarbił sobie miecznik tak powszechne poważanie u stanu rycerskiego, że na dwóch blizko po sobie następujących sejmach w r. 1637. i 1640. powołano go do laski marszałkowskiej. Jeszcze więcej niż ten niezwyczajny dowód zaufania mogło pociechą być miecznikowi, że oba kierowane przez niego sejmy doszły szczęśliwie do końca.

Chociaż bowiem sejmy pod jego laską kilkunastu latami poprzedziły nieszczęsny sejm Sicińskiego w r. 1652., poczytywany zwyczajnie za początek rwania obrad publicznych — już i w latach 1637. i 1640. liczyło się do niepowszednio pomyślnych zdarzeń, jeżeli dwa blizkie po sobie sejmy dopięły pożądanego kresu.

Jakoż bezpośrednio przed szczęśliwie zakończonym sejmem miecznika r. 1637. zerwano sejm pod laską Kazimierza Sapiehy, a następujące po drugim miecznikowym sejmie zgromadzenia obradne w latach 1642., 1643., 1645. i dalszych albo również nieszczęśliwie się rwały albo tylko osobliwszym zabiegom panów sejmowych zawdzięczały doprowadzenie do skutku. W r. 1645. nawet marszałek

w pożegnawczej swej mowie »utyskiwał na nieszczęście ojczyzny i uskarżał się na swawolę krnąbrnych dzieci, które, obfitością i długim pokojem wytuczone, brykają na napominania starszych«.

Takie żale na niesforność braci poselskiej odzywały się w piersiach wielu gorliwych obywateli — osobliwie zaś w piersi miecznika koronnego Jabłonowskiego. Wraz ze wszystkimi współmieszkańcami zagrożonych od pohaństwa województw ruskich czuł on mocniej niż ktokolwiek inny zgubne skutki nadużyć wolnego głosu, gdyż każdy zuchwale zerwany sejm przymnażał niebezpieczeństw jego stronom rodzinnym, pozostawiając je bez stałe uorganizowanej obrony. Na sejmie roku 1647. doszły te żale i uczucia do srogiego dla miecznika wybuchu.

Był to sejm nadzwyczajny i miał trwać trzy tygodnie, od 2. do 23. maja. Ale przypadające w tym przeciągu czasu dni świąteczne, uroczystości publiczne, wjazdy arcybiskupa i obudwóch hetmanów uszczupliły porę sejmową o więcej niż cały tydzień. W pozostałych trzynastu dniach należało według uczynionej przez kanclerza propozycyi sejmowej radzić o niebezpieczeństwach grożących krajowi od Turcyi, o wzmocnieniu podupadłych twierdz pogranicznych, o zapłacie wojska, wreszcie o pewnym nieprzyjacielu wewnętrznym, który zdaniem wszystkich sprawiał większe spustoszenie w królestwie, niż zagony tatarskie, t. j. o braku monety własnej, a zalaniu kraju poślednią monetą obcą.

Atoli gdy dnia 9. maja zagajono właściwe obrady, zaproponował marszałek izby Sarbiewski, brat poety Macieja, aby zacząć od sprawy Bożej, i wprowadził skargę o zrzucenie krzyżów w dobrach hetmana polnego litewskiego, Janusza Radziwiłła, kalwina. Wszczęły się głośne i długie spory o sądzenie hetmana, spory przechodzące raz po raz w ogólną rozprawę o rozszerzenie lub ścieśnienie wolności dyssydenckich.

Po nader żwawych utarczkach posłów katolickich z dyssydenckimi, po wstawieniu się króla i przednich senatorów, po wysłuchaniu wchodzących w tę sprawę osób duchownych, stanął nakoniec przed posłami przybyły z Litwy pleban katolicki w dobrach hetmana Radziwiłła, niosący

świadectwo o stanie zbrodni. Z zeznań staruszka okazało się, że hetman obchodzi się łaskawie z plebanami katolickimi i często ich do swego stołu zaprasza. Niektóre z wywróconych krzyżów obaliły się same ze starości, od wiatru. Innych używano niesłusznie jako znaków granicznych; przeto kazał je książę wykopać. Tak tedy w miejsce początkowej żarliwości przeciwko hetmanowi wzięło górę łagodniejsze widzenie rzeczy. Powszechnem milczeniem odłożono sprawę do sejmu następnego. Ujęła ona wszakże cały drugi tydzień obradom.

W ostatni dzień rozpraw o krzyżach przybyło do izby poselskiej kilku senatorów z upomnieniem od króla, aby się zajęto uchwaleniem zapłaty wojsku. Rozstrzygnięcie tej kwestyi wymagało dłuższych objaśnień i rachunków. Lada drobnostka dawała wolnym głosom poselskim sposobność do przerywania sprawy najuboczniejszemi uwagami i zarzutami, nierzadko do wnoszenia całkiem odrębnych przedmiotów. Na każdym z kilkudziesięciu sejmików powiatowych, zajmujących się wyborem posłów na sejm, układana bywała osobna dla nich instrukcya, w której mieściło się po kilka lub kilkanaście żądań czysto miejscowych. Wszystkie te postulaty partykularne dobijały się publicznie głosu na sejmie, tamując nieraz sprawy ważniejsze. Przy nieograniczonej wolności przemawiania w każdej chwili o każdej rzeczy — a przy niezbyt długim terminie przeznaczonego do obrad sejmowych czasu — wzmagała się pod koniec sejmu trudna do opisania zamieszka, stawiająca zwyczajnie nieprzełamaną zaporę jednozgodnemu zamknięciu obrad.

Upragniona przez wielu posłów reforma tego niedogodnego sposobu sejmowania wymagała przeto nieodzownie ukrócenia wielomowności posłów o czemkolwiek i kiedykolwiek. Projektu w tym względzie podjął się na sejmie tegorocznym miecznik koronny Jabłonowski. W ciągu posiedzenia dnia 18. maja wniósł on w izbie poselskiej, aby wszystkie do uchwalenia przeznaczone sprawy publiczne i prywatne podawane były marszałkowi w formie gotowej już ustawy. Oszczędziłoby się tem niezmiernie wiele drogiego czasu i przecięłoby się możność rozlewania się swady publicznej bez żadnej tamy od jednego przedmiotu do

drugiego. Wszakże zamiłowanie w dawnym zwyczaju nieokiełzanej niczem wolności mowy poczytało to za ograniczenie jednego z najkosztowniejszych przywilejów rycerstwa. Wniosek miecznika koronnego uchylono z niechęcią.

Zaczem wzbierała dalej powódź słów niepotrzebnych, a naznaczona sejmowi pora upływała z coraz większą szkodą powszechną. Dzień następny był niedzielą, wolną od obrad. Dwa dalsze dnie przeminęły na szerokich rozprawach o sposobie traktowania zaleconych poselstwem królewskiem przedmiotów najpilniejszych. Jedni radzili roztrząsać je w pełnem zebraniu posłów, drudzy przez deputacyę, inni zagaili kwestyę żądania lub nieżądania przysięgi od deputatów i jakaby miała być ta przysięga.

Tymczasem nadarzyła się sposobność poświęcenia jeszcze kilku godzin dawnej sprawie krzyżów Radziwiłłowskich, wysłuchano kilka mów pełnych zapału religijnego. Pobudzeni niemi posłowie mazowieccy wnieśli owszem całkiem nową sprawę religijną, nastając na wolne wykonywanie nabożeństwa przez obecnych w Warszawie posłów niekatolickich. Wywołane tem spory przeciągnęły się aż do dnia następnego, który był przedostatnim dniem sejmu. Kiedy niepocieszony marszałek uprosił wreszcie mowców, aby dla miłości dobra pospolitego odłożono tę sprawę na sejm następny, przybyło nowe poselstwo od króla z wezwaniem do zaradzenia przynajmniej głównej potrzebie kraju — do opatrzenia zapłaty wojsku. Dla spóźnionej już pory dnia nie stanęło dzisiaj nic nowego. Pozostał jeszcze tylko dzień jutrzejszy — tylko dzień jeden.

Atoli kiedy i tego dnia czas schodził na próżnych mowach, przybyło trzech senatorów w nowem poselstwie od króla, z oznajmieniem, iż król i senat czekają przybycia posłów gwoli zamknięcia sejmu. Jeśli sami posłowie nie mogą zgodzić się z sobą, może obecność króla do szczęśliwego kresu przywiedzie rzeczy. — Nie usłuchano przecież natychmiast zaprosin senatorów, lecz za sprawą życzliwych ojczyźnie posłów jeszcze raz pokuszono się o zgodne zakończenie obrad w izbie poselskiej. Opierali się wciąż posłowie poznańscy. Wtem nadszedł hetman polny

Radziwiłł, mianowany świeżo generalnym starostą Żmudzi, i przenosząc się z tej przyczyny do senatu, zabrał teraz nie mało chwil najdroższych pożegnalną oracyą do posłów i odpowiedzią z ich strony.

Po odejściu hetmana pozostało już zaledwie tyle czasu, ażeby się przekonać o niezłomnym oporze niektórych posłów przeciwko żądanemu sposobowi zamknięcia sejmu. Oburzony tem miecznik koronny zawołał: »Jestem posłem całej rzeczypospolitej, a jeśli nic nie sprawiwszy, rozejdziemy się, nie będziecie mi mogli przed królem ust zamknąć, żebym się nie uskarżał i nie protestował przeciwko tym, którzy ojczyznę bez żadnej obrony opuszczają, której i ja, na pograniczu mieszkając, wielce potrzebuję«. Ale żadne groźby ani przedstawienia nie zdołały zmienić już rzeczy. Sejm pozostał bez skutku, wojska bez płacy, kraj bez obrony. Marszałek żałosną mową pożegnał się z posłami i wśród tumultu zaprowadził ich do senatu.

Król w senacie zamiast z tronu, przyjął posłów chory na łożu. Dyrektor izby w pełnym skruchy i upokorzenia głosie oznajmił, że obrady nie doszły. Jedynym takiej klęsce ratunkiem była prośba o prolongacyę sejmu. Ozwał się z taką prośbą do posłów arcybiskup gnieźnieński, ozwali się inni senatorowie, ozwał się imieniem króla kanclerz koronny. Lecz ci sami posłowie poznańscy oparli się teraz stanowczo wszelkiemu przedłużeniu.

Zabrał wtedy głos miecznik koronny Jabłonowski i, jak zapowiedział w izbie poselskiej, podniósł przed królem uroczystą protestacyę przeciw posłom sejm zrywającym — owszem przeciw całemu gorszącemu trybowi sejmowania. Nie przestając zaś na próżnej skardze, rozszerzył się dalej nad gwałtowną potrzebą położenia tamy zrywaniu obrad poselskich i przystąpił do sposobu naprawy złego. Należało — wnosił — zaprowadzić ściślejszy wybór posłów, uchylić wolność zrywania obrad głosem kilku posłów przeczących, ustanowić sejmowanie bez zgody wszystkich... Nie posiadamy tej ważnej w dziejach sejmowania naszego mowy, której pomyślne przyjęcie byłoby mogło nadać szczęśliwszy obrót całej dalszych czasów historyi. Nie mamy jej na piśmie, bo ani ustnie nie dano jej miecznikowi zakończyć.

Nastało niezmierne oburzenie w kole poselskiem. W obecności chorego króla przerwano mowcy głośnymi wykrzykami. Zagrożony powszechną wrzawą głosów i szabel, musiał umilknąć... Umilkł, ale odwaga wygłoszenia tak przeciwnych dawnym zwyczajom słów — nieprzebaczona, jak mniemano, zuchwałość wniesienia tak wstrętnej dla wszystkich »nowotności« — zgubiła miecznika na zawsze w opinii szlachty. Napróżno mądry jego przyjaciel i kolligat, podczaszy koronny Ostroróg starał się w zabranym po nim głosie uniewinnić krewniaka. Obudzona raz niechęć nie dała się niczem ubłagać. Zarzucono miecznika tysiącem głosów zniewagi, tysiącem słów uszczypliwych, tysiącem obelżywych posądzeń. Do niedawna czczony i kochany od wszystkich, ujrzał się teraz celem powszechnego wstrętu i oburzenia.

Dla wyniosłej duszy miecznika była to boleść nad wszelkie bole... Napróżno jeden i drugi z poufniejszych przyjaciół starał się go pocieszać z cicha. Daremną była nawet pociecha nierównie większej wagi, jaką podawały Jabłonowskiemu same wypadki. Okazało się bowiem, że protestacya miecznika nie pozostała bez zbawiennego wpływu na sejm obecny. Mimo srogie przyjęcie jej w kole poselskiem, zrozumieli posłowie głęboką słuszność słów miecznikowych i poskromili się w swoim oporze przeciw wymaganiom rozsądku i dobra pospolitego. Przydłużono sejm najpierwej o dzień jeden, następnie o drugi, trzeci i czwarty. W tym krótkim przeciągu czasu z podwójną gorliwością rzucono się do załatwienia najgwałtowniejszych potrzeb publicznych i prywatnych. Stanęła bodaj częściowa zapłata wojsku i obmyślono jaką taką obronę kraju.

Nie zmieniło to przecież losu miecznika. Przygnębiony ciągłą urazą braci, a niezdolen obejść się bez ich współczucia, ujrzał się nieszczęśliwy potępieniec w najgłębszych posadach bytu swego wstrząśnionym. W niezmiernej też boleści spędziwszy dni kilkanaście, nie zdołał cierpieć tak dłużej. W połowie następnego miesiąca — donosi pokrótce Memoryał Albrechta Stanisława Radziwiłła — »z apresyi swojej mowy na sejmie mianej, nie chorując, umarł«. »Leży

w naszym kościele« — dodaje jezuita Niesiecki. Nie czytamy nigdzie jego nagrobku.

Smutny koniec miecznika koronnego zatrwożył wszystkich współwyznawców jego zdania o zgubności wolnego »nie pozwalam«. Nikt odtąd przez długie lata nie poważył się podnieść głosu przeciw najulubieńszemu z klejnotów złotej wolności — a ośmielona tem anarchia sejmowa coraz zgubniejszą brała przewagę.

W niespełna rok po śmierci miecznika Jabłonowskiego umarł król Władysław IV., a w kilka miesięcy później nastąpiła elekcya jego następcy Jana Kazimierza. Kiedy już arcybiskup nominować miał nowoobranego króla, wystąpił jakiś szlachcic bełski z pomiędzy tłumów i, mieniąc się wygnanym przez Kozaków z swej posiadłości, zażądał od rzeczypospolitej zaopatrzenia — inaczej nie zezwoli na ogłoszenie nowego króla. Cały naród zebrany, który przed chwilą jednozgodnie okrzyknął Kazimierza, nie śmiał innej odpowiedzi dać szlachcicowi, jak tylko »ubłagać go słowy dobremi, iż się nareszcie uspokoił«.

W trzy lata później zerwał obrady osławiony poseł z Upity; według innej relacyi zerwał je właściwie hetman polny Janusz Radziwiłł przez zaprzedanego sobie posła Litwina. Zdało się to wszystkim tak powszednim wtedy wypadkiem, że najdokładniejsi pisarze owych czasów albo bez najmniejszego zdziwienia mówią o niezgodnym pośle upickim, albo wyraźnie dodają, iż to, co podówczas się stało, »było rzeczą od dawnych lat nader zwyczajną«.

Jedynym mniej zwyczajnym rysem zdarzenia możnaby nazwać chyba tę okoliczność, że kontradycent z Upity »nieznacznie zniknął« z sali sejmowej i dopiero po wyjściu nadesłał protestacyę. Nazajutrz chciano go nakłonić do powrotu, lecz on nocą ujechał z miasta. Aż do r. 1652. każdy zrywający poseł narażał swoją osobę i, trwając aż do końca na miejscu, dawał przynajmniej dowód odwagi. Sprzedajny poseł upicki i ten ostatni pozór odjął dziełu swawoli.

Wszakże jak wogóle żadne prawo wyraźne aż do połowy wieku XVIII. nie sankcyonowało wolnego »nie pozwalam«, jak cała praktyka tego nieszczęsnego narowu opie-

rała się jedynie na zwyczaju: tak jeszcze w roku 1652. był to zwyczaj nader nieokreślony, samem zuchwalstwem możnych panów i sprzedajnością niektórych posłów podtrzymywany. Po wyjściu kontradycenta z Upity nikt wprawdzie nie wystąpił z wnioskiem podobnym głosowi Jabłonowskiego, ale wszczęła się zwyczajnym trybem rozprawa, czy kontradykcya jednego posła może w istocie uwłaczać ważności sejmu. »Pro i contra odzywały się głosy«...

Czemuż nie było wtedy miecznika koronnego Jabłonowskiego! Jedno zdanie stanowcze mogło było ocalić sprawę kraju, unieśmiertelnić swego autora.

Karol Szajnocha (Szkice).

---

15. Popas w Upicie [1]).

(Zdarzenie prawdziwe).

Upita, niegdyś miasto, powiatu stolica,
Dzisiaj miasteczko liche: jedna w niem kaplica
I kilkanaście chatek żydowskiej siedziby.
Gdzie były ludne rynki, dziś tam rosną grzyby;
Wzgórek, obronny wałem i zwodzonym mostem,
Teraz broni się tylko pokrzywą i ostem.
Mury w gruzach, na miejscu zamkowego gmachu
Sterczy nędzna karczemka bez okien i dachu.
Tam, na popasie, z nudy rozważać począłem
Miny i mowy ludzi, siedzących za stołem.
Trzech było: pierwszy starzec z posrebrzanym włosem.
Na łbie konfederatka, rzucona ukosem;
Wąs augustowski; żupan, dzisiaj popielaty,
Trudno odgadnąć, jaką miał barwę przed laty;
U pasa karabela. Obok siedział młody,
We fraku z samodziału, krojem nowej mody,
Fryzował sobie czubek, kołnierzyk, a czasem
Bawił się pływającym u buta kutasem
Lub żartował z sąsiada, którego płaszcz długi
I krzyż czerwony znakiem kościelnego sługi.
Czwarty był żydek. Temu człowiek od pałasza
Tak mówił: »Hejno! dobra nasza bez maryasza!
Poco trupami w szabas arendarzów trwożyć?

[1]) Upita, dawniej miasto, dziś wioska w powiecie poniewieskim na Litwie; dawniej należała do województwa trockiego.

Słuchajcie, kumy, gotów z wami się założyć,
Że jak tylko Siciński na cmentarz odjedzie,
Dostaniem garniec miodu. Nie prawdaż, sąsiedzie?«
Arendarz kiwnął brodą. Słuchałem ciekawy:
Siciński? i w Upicie? imię strasznej sławy!
»O jakim trupie, rzekłem, toczycie rozmowy
I o jakim Sicińskim?« Na to kontuszowy:
»O Sicińskim? Z początku całą rzecz wywiodę.
Na miejscu, gdzie żydowską widzimy gospodę,
Był zamek nieboszczyka. Przytem imion wiele,
Konneksye potężne, mnogie klientele,
A stąd ćma poplecznikow i kresek bez liku;
Siciński był dyktator na każdym sejmiku!
Starszych i zasłużeńszych *patricios* zhasał;
Ale nie dosyć na tem: na wyższe się kasał.
Poczęła też kłuć w oczy zbyt rogata duma.
Przyszedł sejmik poselski: nauczono kuma;
Bo gdy, pewny wyboru, posłem się ogłasza,
Kiedy dziękuje szlachcie, na obiady sprasza
I gdy się na Mazowsze wybiera do drogi:
Liczą *turnum* — Siciński padł na cztery nogi!. .
Agitatus furiis et impotens irae[1]),
Umyślił zgubić szlachtę: o *scelus! o dirae!*
Daje obiad. Zwiedziona zbiera się drużyna;
Gnie się stół pod misami, cieką strugi wina,
Łyka *plebs*; wtem blekotem zaprawione męty
Durzą głowę: z wesela niechęci i wstręty;
Dalej kłótnia, hałasy — istna wieża Babel.
Od zębów szło do kijów, od kijów do szabel.
Nie patrząc oka, boku, mordując jak wściekli,
Tros Rutulusve fuit[2]), wszyscy się wysiekli.
Lecz truciznik niedługo wygraną się chwalił,
Bo go piorun z rodzeństwem i mieszkaniem spalił.
Jak ów *Aiax scopulo infixus acuto,*
Exspirans flammas[3]): straszna, lecz słuszna pokuto!«
»Amen!« rzekł dziad kościelny. Ekonom we fraku
Porównywał tę powieść do zboża w przetaku
I, chcąc z bajecznej plewy prawdę wywiać nagą,
Harfował żarcikami, zakończył uwagą,
Że Pan Marszałek, z którym on do stołu siada

[1]) miotany szałem i nie posiadający się z gniewu. — [2]) czy to był Trojańczyk czy ktoś z Rutulów, t. j. bez różnicy (z Wergilego Eneidy).— [3]) Ajaks, wbity na ostrą rafę, płomienie wyziewający. Pallada bowiem Ajaksa, syna Oileusa, powracającego do domu, piorunem zabiła, a ciało jego wbiła na ostrą skałę (Eneida).

I u którego książek niezmierna gromada,
Ilekroć o Sicińskim wspomni, zawżdy mówi:
On zgubił nas, on ręce zawiązał królowi.

Z tych słów Marszałka głowa ekonomska wniosła,
Że nie szło tam o sejmik ani wybór posła:
Że musiała być wojna... Przeciw komu? kiedy?
Trudno zgadnąć: zapewne z Turki albo Szwedy;
Pewno Siciński króla do Upity zwabił,
Oddał w ręce najezdcom i ojczyznę zabił.

Chciał dalej rzecz prowadzić, lecz sługa kościoła,
Zezem nań spozierając: »Nie dobrze — zawoła —
Jeśli księdza plebana chcą uczyć dzwonniki,
Jeżeli przed siwymi biorą głos młodziki.
Ja wam opowiem, jako najlepiej świadomy:
Nie sejmik ani wojna ściąga niebios gromy,
Lecz bezbożność. Siciński, wyrzekłszy się wiary,
Zabrał, jak mówią, grunta należne do fary,
Nie chciał płacić dziesięcin, nie bywał w kościele,
Pędził chłopów do pracy w święta i niedziele;
Chociaż mu nieraz biskup listami zagrażał,
Choć go wyklął z ambony: Siciński nie zważał.
W święto Bożego Ciała, pod samo południe,
Gdy msza była w kaplicy, kazał kopać studnię.
Dokopał się swej zguby i powszechnej szkody!
Bo z owej studni tyle wybuchnęło wody,
Że pola, kędy niegdyś bujały pszenice,
Zarosły w paproć, łąki poszły w trzęsawice.
Sicińskiego, jak słusznie Pan Sędzia namienił,
Piorun zabił, dom spalił, potomstwo wyplenił.
Trup, klątwą uderzony, dotąd cały stoi:
Ziemia go przyjąć nie chce, robactwo się boi.
Nie znalazłszy na ziemi święconej spoczynku,
Strasząc ludzi, rzec można, wala się po rynku;
Bo go nieraz dziad jaki, uniósłszy z cmentarza,
Wlecze w szabas do karczmy straszyć arendarza«.
Skończył i drzwi stodoły odemknął. Tam stało
Szkaradne, starożytne nieboszczyka ciało.
Nogi długie i czarne sterczą mu jak szczudła,
Ręce na krzyż złamane, twarz głęboko wchudła.
Oblicze wywędzone brud śmiertelny szpeci;
Usta wypsute, przez nie ząb gdzieniegdzie świeci.
Zresztą nietknięta ciała zdrowego budowa
Postać ludzką, od żywej niezbyt różną, chowa.
Twarz nawet właściwego nie traci wyrazu;
A jako na powierzchni starego obrazu,
Jeżeli mogły rysy pierwiastkowe zostać,

W tych resztach jeszcze dawna przebija się postać:
Tak owa twarz, choć ogniem żywotnym nie płonie,
Lecz kto ją znał za życia, poznałby po zgonie.
Za pierwszym rzutem oka coś takiego widać,
Czego żadnemi słowy nie podobna wydać.
Dzikość, szpecąca żywych oblicze zbrodniarzy,
Zda się dotąd zamarła grozić z jego twarzy;
Dotąd zdradziecka radość w ustach się uśmiecha,
Gniew rozbójniczy w czole, nade brwiami pycha.
Barki na dół pochylił, głową na pierś zwisnął,
Zda się, że ciężar hańby do ziemi go cisnął,
Albo że ręka gwałtu z piekieł go wywlekła
I znowu radby gwałtem powracać do piekła.
»Jeżeli jama, w której łotrowie mieszkali,
Chociaż ją ludzie skruszą lub piorun rozwali,
Dzikością swych położeń i krwawym ogromem
W gruzach daje odgadnąć, czyim była domem;
Gdy węża po zrzuconej rozpoznasz skorupie:
Poznałbym Sicińskiego żywot po tym trupie«.
O towarzysze! — rzekłem — pocoście niezgodni?
On był nie jednej winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał!
A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych: lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony, czem są wszystkie dzieje.

Adam Mickiewicz.

16. Z Listów Adama Mickiewicza.

Do A. E. Odyńca, w Dreźnie, I.

Paryż, 8. grudnia 1832.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Popsułeś mi się bardzo od czasu, jak zostałeś poważnym małżonkiem: nic do mnie nie piszesz. Obaczysz, że cię wobec żony wyczubię, a przynajmniej za to wyłaję. Tymczasem Zosi osobnym listem zaskarżę z prośbą, aby

cię ukarała. Cóż tam, czy ty gospodarstwem tak zajęty? Dzieci przecież jeszcze nie masz: możesz tedy pisać jak dawniej. Odebrałeś zapewne list, w którym radzę ci, abyś jechał do Lwowa. (Singer pisze, iż zgłaszał się do ciebie). We Lwowie będzie i żonie twojej weselej między rodakami. Tymczasem gołąbka twego, słyszałem, że trwoży przyszłość i że ty sam lękasz się o nią i myślisz zawsze o jutrze. Fi, Edwardzie! Nie skorzystałeś z mego towarzystwa. Czy mię widziałeś kiedy oglądającego się na jutro?... Używaj szczęścia, bo może zniknąć i uciec, szczególniej jeśli rozgniewasz Opatrzność, nie umiejąc cieszyć się z jej darów. Masz tedy kazanie i naukę moralną.

Nowin niewiele odbierzesz. Tomik wyszedł[1]); weź go u Todwena lub gdzie znajdziesz, bo nie wiem dobrze, jak go wysłano. Drukowałem tu broszurkę w stylu biblijnym[2]); wkrótce mieć ją będziesz. Piszę teraz poema szlacheckie[3]) w rodzaju »Hermann i Dorothea«: już ukropiłem tysiąc wierszy. Podoba się bardzo szlachcie tutejszej. Duch poetycki czuję w sobie; ale tyle miałem zgryzot z wiadomej tobie przyczyny, tyle kłopotów korrekty i prócz tego różnych bazgrań, rozprawek, artykułów, projektów, że sam nie wiem, jak czasem mogę kilkanaście wierszy skleić.

Donieś mi w szczegółach o zdrowiu Stefana Garczyńskiego. Choroba jego jest nowym dla mnie ciosem, strasznie mnie smuci; ile razy wspomnę o was, świat mi brzydnie; tyle dokoła smutku. Zosi ręce ode mnie ucałuj. Przyślij mi, proszę, twój portret i Zosi, tylko nie taki, jak miałeś w Dreźnie. Chciałbym mieć i portret Stefana... Możeby panna Pelagia była tak dobrą i podjęła się odrysować.

Twój Adam.

17. Ostra Brama w Wilnie.

Z rycin, z opowiadań i opisów przedstawia sobie każdy człowiek Ostrą Bramę inną zupełnie, niż jest w rzeczywistości. W głębi ulicy długiej, staroświeckiej i bardzo

[1]) Mowa o Dziadów części III. — [2]) Księgi pielgrzymstwa. — [3]) Pierwsza wiadomość o rozpoczęciu »Pana Tadeusza«.

cichej wyobraża sobie bramę wysoką, wązką, daleko smuklejszą może, niż Floryańska w Krakowie, prawdziwie »ostrą«; w niej wysoko nad ludźmi przez otwarte okna z ciemnego wnętrza kaplicy połyskują marmury, świeci złoto, iskrzą się drogie kamienie, migają światła lamp srebrnych; na górę prowadzą po dwóch stronach schody kamienne, a na każdym stopniu grupy klęczących, które spływają aż na ulicę; brama może być poczerniała i obdarta, ale musi nosić widoczne ślady wielu wieków... Czyż nieprawda, że jest się przygotowanym na coś bardzo malowniczego, a w tej malowniczości przeważają dwa pierwiastki — starożytność i przepych?

Rzeczywistość jest zupełnie inna. Jedziesz ku miastu ulicą, podobną do wszystkich najpospolitszych małomiejskich ulic, ani długą ani piękną, dość nową, aż ujrzysz się przed kwadratową ciężką basztą, bramą zapewne, skoro się pod nią podjeżdża: ta brama, bez stylu i bez cechy starości, bo ją zawsze bielą i mażą, pomalowana jest rosyjską modą na żółto, gzymsy na niej i Pogoń nad otworem bramy wysmarowana wapnem na biało. Nie wiesz, na co patrzysz i gdzie jesteś, kiedy widzisz naraz, że twój dorożkarz zdejmuje czapkę, że na ulicy wszyscy bez czapek, że niektórzy klęczą na bruku... Już wiesz, co to za brama! Zrywasz czapkę i ty, chcesz dojrzeć obrazu »Panny świętej, co w Ostrej świeci Bramie«: widzisz tylko kapliczkę, przystawioną do bramy tak, że zdaje się być jedną ścianą, widzisz z trzech jej okien największe środkowe szeroko otwarte, a za tem oknem firanki, które zasłaniają obraz. Ale naprożno szukasz przepychu lub starożytności; owszem, nic skromniejszego, powiedzmy poprostu, nic uboższego, jak ta budowa, dostawiona do bramy tak, że zdaje się być jej facyatą, a tylko z za dwóch boków trójkąta, który stanowi szczyt kaplicy, wyglądają dwa rogi właściwej kwadratowej baszty. Inaczej świeci obraz częstochowski ze swojej Jasnej Góry, której wieży i baszty na kilka mil widne dokoła i z daleka już można mu się pokłonić!

Niegdyś, przed wiekami, obraz stał we framudze tej baszty, tak mniej więcej, jak figura św. Floryana w bramie Floryańskiej w Krakowie; później wystawiono nad wjazdem

kapliczkę drewnianą, już cokolwiek więcej przestronną, a tę dzisiejszą ukończyli księża Karmelici z sąsiedniego kościoła św. Teresy już w początkach XIX. wieku. Na marmury nie było ich stać; jest to prosty mur, niczem nie ozdobiony ani nie zasłonięty, pomalowany na kolor szafirowy, a wszystko, co z muru wystaje, jak gzymsy, pilastry i t. p., wapnem pobielone. Ulica nie cicha, niestety; owszem, najgwarniejsza ze wszystkich ulic wileńskich, bo, prowadząc do kolei, jest główną komunikacyą miasta. Dawniej powozy jeździć po niej nie mogły, a ruch cały szukał sobie dróg innych; dziś wszystkie powozy i dorożki, wszystkie pakunki, ciężary, wszystkie żydowskie fury i wózki jeżdżą popod Ostrą Bramą bez ceremonii i nieustannym turkotem przeszkadzają i do nabożeństwa i do skupienia ducha i myśli.

I schodów kamiennych z ciosowemi poręczami niema. W jakiejś przystawce, w jakiejś żółtej, niepokaźnej budzie po lewej stronie ulicy są ciasne, wązkie drzwiczki, jest ciasny, wązki, ciemny korytarzyk, są schody drewniane, niebardzo ciasne, ale dość brudne; po tych wychodzi się do maleńkiego przedsionka (czy kruchty), znajdującego się zawsze jeszcze we wspomnianej budzie, z niego zaś naprost są ciasne drzwiczki do małej zakrystyi, a na prawo małe, wązkie, na jednego człowieka ledwo, żelazne drzwi do kaplicy.

Kaplica może mieć długości kroków kilkanaście, szerokości ledwo kilka; na pokój nie byłaby bardzo duża. Jak wejdzie pięćdziesiąt osób, już nie mają się gdzie pomieścić, a gorąco staje się dusznem, nieznośnem. Z dwóch ścian dłuższych jedną zajmują trzy okna, wychodzące na ulicę i podczas nabożeństwa zawsze otwarte, drugą przez całą prawie jej szerokość ołtarz i umieszczone przy nim małe organki. Wszystko to nizkie tak, że ten ołtarz, choć dochodzi do samego sklepienia, wydaje się za nizki w stosunku do swej szerokości, jakiś zduszony, przygnieciony.

I tu niema ani marmurów ani złota ani pereł i kamieni ani lamp kosztownych: ściany pociągnięte klejowo szafirowym, a sklepienie zielonym kolorem; ołtarz murowany, pomalowany olejno, udaje marmur, kolumny ołtarzowe i wszystko wokoło nich na pierwszy rzut oka niby ze sre-

bra, ale to wszystko drewniane, obwieszone tylko srebrnemi wotami. Są na ołtarzu nawet dwie figury świętych, drewniane, złocone, tak złe, że mogłyby stać w najskromniejszym wiejskim kościele; nawet lichtarze tylko te, co małe, są srebrne, a wielkie ołowiane są, czy cynowe. I wota skromne. Niema częstochowskich buław hetmańskich ani królewskich darów; srebrne blaszki, przez biedaków zawieszone, wyobrażają to nogi, to ręce, to oczy, to serca; niektóre mają napisy niezgrabne, jak gdyby szpilką wydrapane. Jedyne wotum bogatsze to wielki srebrny półksiężyc, który cały obraz od spodu obejmuje, tak, że na obrazkach wydaje się, jak gdyby był jego częścią.

Nie częstochowskie to bogactwa i wspaniałości! Tam Matka Boska na swojej wysokiej górze, w swojej obronnej fortecy, w swojej wspaniałej kaplicy wygląda, jak królowa na majestacie; tu w tych prostych białych murach, w tej ciasnej przestrzeni, w tem otoczeniu ubogiem wygląda sama, jak w więzieniu, w ucisku, w ubóstwie. I w obrazach samych podobna różnica. Częstochowski ma oblicze surowe i groźne, tak, że mu w oczy popatrzeć trudno; — ten patrzy tak łagodnie, tak łaskawie, a tak smutno, jak gdyby sam chciał płakać nad sobą; a widząc go w tem ubóstwie, w tym ucisku, myśli się o Matce Bolesnej, jak z pod krzyża wróciła do swojej izdebki, a za nią gromadka wiernych, płaczących niewiast i uczniów. I tu tak ciasno, i tu tak mało ludzi wejść może, a ci ludzie, co są, płaczą tak często, i to nie nad sobą tylko, ale, jak tam po powrocie z Golgoty, i nad Najświętszą Panną także, że taka biedna, i nad jej Synem, że zelżony i umęczony przez Heroda i Piłata!... Doprawdy, patrząc na te kobiety, klęczące koło ołtarza i płaczące, myśli się o Salomei albo Weronice, o tych świętych niewiastach, które z takiem uczuciem pojął i przedstawił Delaroche[1]) w »Wielkim Piątku«, jak Matkę Najświętszą znękaną odprowadzają do domu, albo na kolanach próbują krzepić i cucić zemdloną. A sam sobie wydaje się człowiek, jak gdyby należał do tego orszaku, jak gdyby szedł za nim gdzieś daleko, na końcu

[1]) Delaroche Paweł, jeden z największych malarzy francuskich w XIX. wieku.

i przez uchylone drzwi patrzał na te sceny świętych boleści i sam je choć trochę podzielał.

Taki jest charakter Ostrej Bramy, taki rodzaj czci, którą tam Matka Boska odbiera, i takie wrażenie. I gdyby na tem miejscu stanął przybytek tak wspaniały, jak niema żadnego na świecie, gdyby go wszystkie skarby świata zdobiły, gdyby najzawołańsi śpiewacy od rana do nocy śpiewali, jak anioły, a setki tysięcy ludzi klęczały dokoła: nie robiłby ten przybytek większego wrażenia, jak robi dziś, w tej swojej biedzie i przez nią. Obraz sam mało jest podobny do innych. Twarz jest więcej, niż naturalnej wielkości, jej kolor nie czarny wcale, raczej zanadto czerwony; figura cała zasłonięta zwykłą u nas sukienką, tylko że nie jest jak w Częstochowie, na aksamicie perłami i kamieniami haftowana, ale wyrobiona ze srebrnej, pozłoconej blachy i wyrobiona wcale ładnie. Jedyna to rzecz okazała i bogata w całej kaplicy.

Z rana msze wychodzą jedna po drugiej bez przerwy aż do godziny jedenastej, wieczorem zaś o szóstej czyta ksiądz litanię przed odsłoniętym obrazem, a zawsze, tak wieczorem jak z rana, kaplica pełna i na schodach ludzie się tłoczą i na ulicy klęczą.

Przed Ostrą Bramą, po lewej stronie ulicy, stoi rodzaj domu, umyślnie zbudowanego, który na piętrze ma tylko jedną salę, raczej duży pokój z oknami, dającemi wprost widok na ołtarz, z ławkami do siedzenia i klęczenia; to rodzaj loży dla tych, którzy do kaplicy docisnąć się nie mogą, a wolą mszy słuchać pod dachem, niż na ulicy.

Tutaj, na ulicy, dużo żebraków i kalek wszelkiego rodzaju i cokolwiek sklepików i przekupek z obrazkami, medalikami, szkaplerzami i wszelkim takim kramowo-odpustowym towarem. Towaru tego niewiele i dość lichy. Ani mowy o takich pięknych obrazkach, jakiemi pyszni się Częstochowa. Kto więc, jadąc do Wilna, liczy na to, że wróci do domu, wioząc łupy bogate, świętości z Ostrej Bramy, ten niech się z tą nadzieją pożegna. Za to przekupki, które te świętości sprzedają, otoczone są najwyższem uszanowaniem całego miasta, nawet całej Litwy, jako bardzo godna, mądra i typowa część ludności. *Stanisław Tarnowski* (Z wakacyi).

18. Anioł Pański.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone śpiące gaje;
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy z dala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą —
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony....
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Kazimierz Tetmajer.

19. Dom możnego szlachcica.

W powiecie mińskim, nad jeziorem Wieliżańskiem, rozlega się wieś obszerna, dziś[1]) nazwana Korwinowem, która jednak jeszcze niedawnymi czasy nosiła nazwę Niewodowa. Teraz tam wznosi się pałac murowany, blachą pokryty, którego gzymsy opierają się na filarach korynckiego porządku. Od pałacu aż do jeziora rozciąga się ogród angielski, gdzie rośliny z czterech części świata zciągnione, z zadziwieniem spotykają się pośród borów napół hyperborejskiej[2]) Litwy. Sam pałac, oparty na dwóch pawilonach, zdaje się natrząsać z kurnych chat, nad któremi panuje... Dzisiejszy właściciel, założyciel tego gmachu, niczego nie zaniedbał, ażeby ozdoby wewnętrzne i tryb życia były mu we wszystkiem odpowiednie. Okna jednoszybowe, z Petersburga sprowadzone, stały się przedmiotem podziwu nie mniej od mahoniowych mebli, których połysk jasno brunatny odbija od złocistych bronzów. Ognie, z kosztownych pająków, kande-

[1]) Opis ten wyszedł w r. 1845. — [2]) Północnej.

labrów i lamp kryształowych rzucane, powtarzają się w kłamanym mistrzowską ręką marmurze. W niektórych pokojach wiszą materye, w Lyonie wyrabiane, w innych widać naturę pędzlem zwyciężoną. Napatrzyć się można na zegary bogato rzeźbione, na stoły z malachitu i mozaiki włoskiej, na sążniste zwierciadła, na obrazy kosztowne albo przynajmniej kosztownemi ramami ubrane. Przepych stołu odpowiada przepychowi pałacu, a kapela pod wodzą artysty, z Neapolu sprowadzonego, przynajmniej dwa razy na tydzień melodyjnymi tony popisuje się przed gospodarstwem i gośćmi, którzy ich nawiedzają...

Taki jest dzisiejszy Korwinów. Ale jeżeli cofniemy się o lat kilkadziesiąt, wcale inaczej wyglądał, wcale był inny tryb życia jego mieszkańców. Zamiast ogrodu angielskiego były trzy długie ulice lip niebotycznych, jakoby trzy ściany w środku zamknionego sadu, czwartą od południa było jezioro Wieliżańskie, a na jego brzegu widać było kilkanaście grzęd tytoniu, kapusty i innych jarzyn. Między domem a równoległą ulicą lipową jedyne rośliny niby pieszczone były róże mchowe, bzy tureckie, ostróżki i stokroć, oparkanione w koło porzeczkami i agrestem. Z przeciwnej strony rozlegał się dziedziniec tak ogromnie, że jego część była zasiana makiem i anyżem. Parkan był z wysokiego dębowego częstokołu; za parkanem ciągnął się obszerny wygon, zamknięty w półkolu chatami czystemi, których dziedzińce, oszańcowane żerdziami, świadczyły o dobrym bycie mieszkańców.

W obrębie dziedzińca pana wioski był dom niemały, drewniany, ale na podmurowaniu, nieco mniejsza oficyna kuchenna, gdzie oprócz kilku izb gościnnych był jeszcze warsztat sukienny. Naprzeciwko oficyny był imbar czyli świronek, z pod którego wyskakiwały często pierzchliwe króliki, a w samym świronku były znaczne zapasy gorzałki, skór, wosku, słoniny i innych płodów kraju. Ku bramie wznosił się gołębnik, dalej wędlarnia, nakoniec murowana stajnia z wozownią i masztarnią i jeszcze jedną izbą, w której pod strażą drzwi żelaznych spoczywały archiwa domowe.

Sam dom, szumnie od mieszkańców wsi nazwany zamkiem, wysoki a spadzisty dach nosił na barkach swoich, dach, w którego wnętrzach była suszarnia na mąkę. Dom opierał się na ganku przestronnym, na którego facyacie był odmalowany starożytny Lubicz, godło rodu Kunickich, a pod nim napis dużemi literami: »*Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eam*«[1]).

Z ganku wchodziło się do sieni obszernej, w zimie ocieplanej, gdzie czeladź dworska, na zydlach i ławkach siedząc, czekała rozkazów pańskich, nie z założonemi jak dziś rękami, ale robiąc sieci i niewody. W sieniach, nad drzwiami prowadzącemi do bawialnego pokoju, wisiał obraz N. Panny Boruńskiej. Tego pokoju, niby najwykwintniejszego w całym domu, meble składały się z dwóch kanap i tuzina stołków obitych drelichem sinym w warcabnicę, z dwóch stolików i jednej komody, na czarno bajcowanych. Przy oknach były firaneczki z muszlinu, luzowane co miesiąc przez drugie takież; nad kominkiem zwierciadło w tynk wpuszczone, a na ścianach obrazy św. Kazimierza Jagiellończyka, króla Augusta III. i królowej Maryi Józefy, księcia hetmana i księżny hetmanowej Radziwiłłów, ich syna Karola, wojewody wileńskiego, olejno malowane przez niewodowskiego unickiego parocha, który je zdjął z oryginałów zawieszonych w sali familijnej nieświeskiej, i cztery obrazy przodków gospodarza, ale już znacznie uszkodzone.

Po jednej stronie bawialnego pokoju były drzwi do bokówki. Tak nazywano izbę przeznaczoną na sypialnię dla najświetniejszych gości; i książę wojewoda nieraz ją zaszczycił noclegiem. Tej izby sprzęty były jeszcze skromniejsze. Dwa tapczany z siennikami, zakrytymi kilimkiem domowej roboty. Dwa stoły dębowe bez nakrycia, na jednym z nich toaletka z warcabnicą, na drugim krucyfiks drewniany, dalej jedna szaraga, sześć stołków, a na ścianach obraz błogosławionego Fabiana ze Stoupców i św. Antoniego Padewskiego.

Po drugiej stronie pokoju bawialnego był alkierz. Tam za kotarą karmazynowego adamaszku stało łóżko żelazne

[1]) Jeżeli Pan nie zbuduje domu, napróżno trudzą się ci, którzy go budują.

gospodarza, pod opieką dużego obrazu N. Panny Ostrobramskiej, któryto obraz kilka pokoleń, jedno drugiemu, z błogosławieństwem przekazywało; pod obrazem gromnica, woda święcona z kropidłem, kilka gałęzi wierzbowych z ostatniej niedzieli kwietnej i para wianków aromatycznych, na Boże Ciało poświęconych. Przy łóżku duży stół, ponsowem suknem okryty, na nim na postumencie hebanowym mały krucyfiks srebrny z kokosowymi paciorkami i dzwonkiem loretańskim, który w czasie burzy tętniąc w ręku chłopca biegającego w około domu, cały Niewodów od piorunów i gradów zasłaniał. Nad drzwiami do bawialnego pokoju wisiał ogromny ryngraf z wizerunkiem N. Panny Częstochowskiej, który nie w jednej potyczce ocalił życie pobożnemu rycerzowi, z wiarą go noszącemu. A na przeciwległej ścianie sztychowany na żółto-gorącym atłasie konterfekt biskupa Kuncewicza, dedykowany gospodarzowi od OO. Jezuitów mińskich, którzy w tej dedykacyi, także sztychowanej, nie omieszkali wyrazić nazwisk wszystkich domów pańskich i szlacheckich, tak koronnych jako i litewskich, z imieniem Kunickich skoligaconych. Dalej kufer bawoli w żelazo okuty, obwarowany podwójnym zamkiem, a na nim co nie miara motków i kłębków. Naprzeciwko łóżka wielka szafa, ledwo nie dotykająca pułapu, a na niej wyglądały zapylone papiery, zardzewiałe pistolety, smółka do kadzenia, sztof gorzałki na jakieś ziele nalanej, kilka worków z ołowiem myśliwskim i spora karafinka z wiedeńskim prochem.

Od alkierza nie drzwiami, ale obsłoną z drelichu na pręcie żelaznym, obrączkami mosiężnemi na taśmach zawieszoną, oddzielała się izba, pomieszkanie starej klucznicy, na której polegało domowe gospodarstwo. Z tej izby ku ogrodowi wychodziła ciemna śpiżarnia, dokąd klucznica często kierowała swoje kroki. A co tężto wiktuałów mieściło się w tej śpiżarni! Mój Boże, pospolite ruszenie całego powiatu mogłoby się parę dni nakarmić!

Sień, o której wspomniałem wyżej, przedzielała pokój bawialny od sali. Ta była obszerna, kiedy po środku stał nieruchomy od założenia domu stół, za którym czterdzieści osób mogłoby się wygodnie us[illegible]owić na ławkach, także odwiecznych, obitych sukner niegdyś zielonem. Między

drzwiami wchodowemi a kominem był zegar z kukułką, wedle którego odbywał się porządek dzienny całego domu; po drugiej stronie ku oknom była szafa kredensowa, a jej półki zdradzały się kratą drewnianą ukośną. U spodu szafy były trzy wielkie szuflady z bielizną stołową — to wszystko pod pieczą starego kredensarza. Na szafie stał butel z piskorzami, pluskającymi się w wodzie, dwa razy na tydzień odświeżanej. Barometr niekosztowny, ale rzetelniejszy od tych, co je z niemałym wydatkiem aż z Niemiec sprowadzają. Przy szafie wanienka, a w niej dzban szeroki, miedziany, wewnątrz grubo pobielany, z wodą kryniczną czystą jak łza, przeźroczystą jak ranek majowy.

Z sali wchodziło się do skromnej, ale pod pewnym względem najważniejszej izby całego domu: była to kancelarya jegomości. W niej najpierwej uderzało wąziutkie łóżko żelazne, na niem materac zielony, skórzany, sierścią wybity, i poduszka zamszowa; na niem jegomość codziennie odpoczywał godzinę po obiedzie. Nad poduszką wisiał obraz św. Józefa, patrona gospodarza; pod nim mapa Europy, a nad samem łóżkiem mnóstwo kołków, na których zaczepione były rozmaite części zbrojówki szlacheckiej: cztery karabele z furdymentem, ładownica podróżna, torba myśliwska z borsuka, dwie koszule z siatki żelaznej, kordelas, kilka strzelb, nahaj ze srebrną skówką, laska z toporkiem. Przy łóżku stolik z szufladką, na nim krucyfiks, para brzytew, mydlniczka cynowa, pasek skórzany, osełek z grabiny skamieniałej do wecowania brzytew i książka do nabożeństwa, nazwana Żołtarz. Przy jedynem oknie kancelaryi stał drugi stolik, na nim kalendarz tegoroczny, talia kart polskich, w starej kopercie zawinięta i próbki rozmaitych ziarn. Ale najgłówniejszy sprzęt był kantorek, z Kłajpedy sprowadzony, wysoki, wznoszący się na czterech kolumnach żelaznych z mosiężnymi kapitelami, z ponad szuflad dolnych, a dźwigających sam kantorek, oklejony suknem zielonem, na którym generał stojąc pisywał. Szuflad dolnych było dwie; w nich zamykały się księgi regestrowe, kasowe, inwentarz i raporta ekonomiczne. — Między kolumnami leżała biblioteka, wedle ówczesnych wyobrażeń szczupła, ale jak na owe czasy obszerna, gdyż jednak bez wątpienia znaleźć

można było wiele zdrowych myśli i prawdziwej nauki. Szczegóły tej biblioteki były np. następne: Biblia Wujka, Herbarz Niesieckiego, Nowe Ateny Benedykta Chmielowskiego, Rekollekcye św. Ignacego, Swada polska, Żywoty świętych Skargi, Kronika Stryjkowskiego, Psalmy Kochanowskiego... i kilka książek łacińskich. Osobno leżał w szufladzie zamknięty Statut litewski i inwentarz prawa Żeglickiego. Największe dzieło w księgozbiorze było in folio, do większej połowy zapisane; był to zbiór różnych wierszy, mów, kazań, anegdot, spostrzeżeń, uwag medycznych, prawnych, meteorologicznych, pod tytułem: *Otia domestica*, ze zwyczajnem godłem *ad maiorem Dei gloriam*. — Na samym kantorku widać było laseczkę laku, stoczek, kałamarz piaseczniczkę, żelazne piętno, kilkanaście kalendarzów z adnotacyami i jedno pióro do pisania. W kantorku starannie pod kluczem zamknięta była mapa ekonomiczna, kilka liber papieru, kilka funcików (jeden z gallasem, drugi z koperwasem, trzeci z bursztynem, czwarty z minią), zbiór listów od przyjaciół i sąsiadów, genealogia familijna, metryka generała i jego córki Zofii, sepultura jego żony obok jej intercyzy, patent na rotmistrza kawaleryi narodowej, drugi na generał-adjutanta hetmańskiego, laudum dane mu na jedno poselstwo od województwa mińskiego i trucizna na szczury.

Były jeszcze trzy pokoje przybudowane, które wchodziły w ogród, bo gdyby były od strony dziedzińca, popsułyby architektoniczną symetryę dworu. Z tych pokojów jeden był obrócony na garderobę Zosi i jej towarzyszki łowczanki, z przepierzeniem na apteczkę, drugi na ich sypialnię, w trzecim zaś bawiły się, pracowały i przyjmowały sąsiadki, które je nawiedzały.

Takato rezydencya generała Kunickiego istniała rzeczywiście w wieku XVIII; wszystko było pomierne, skromne, pospolite.

Jedyna rzecz, która i z zewnątrz architekturą i w środku ubraniem swojem mogłaby zastanowić przechodnia, obeznanego nawet z cudzymi krajami, była kaplica w Niewodowie, na dziedzińcu dworu wzniesiona. Zbudowana była, na wzór chrzcielnicy medyolańskiej, przez doskonałego architekta

z Paryża, a pokryta blachą miedzianą, na ogniu pozłacaną. Ołtarz był z szlifowanego granitu, kolumny, na których się opierały organy, były z gipsu, barwą i połyskiem naśladującego marmur. Lichtarze, ramy obrazu N. Panny nad ołtarzem, lampa we dnie i w nocy świecąca się przed Najśw. Sakramentem, były ze szczerego srebra, a jakie bogactwa ornatów, kap, apparatów kościelnych!...

Ale wracając do samej tylko architektury, musiała ona być piękną, kiedy jedna tylko kaplica zdołała siebie ocalić od ogólnego wytępienia staroświecczyzny, lubo odmieniono jej przeznaczenie... Gdzie był dwór i zabudowania dworskie, teraz tam są klomby angielskie; na miejscu stajni wznosi się cieplarnia, zamiast grzęd warzywnych, obszerny i pieszczony kobierzec gazonu zalega brzeg jeziora; nawet ciemny szpaler lipowy nie uszedł niszczącego topora. Tylko dawna kaplica, zamieniona w altanę, dotąd zadziwia przepychem swojej budowy. Oprócz niej wszystko się odmieniło — i ludzie i ich dzieła!...

Henryk Rzewuski (Listopad).

20. Wesele chłopskie[1]).

W Lipcach huczało, jakby na jarmarku. Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się od wójta na drogę. Najpierwsze szły skrzypki w parze z fletem, za niemi warczał bębenek z brzękadłami, a basy, przystrojone we wstęgi, wesoło podrygiwały. Za muzyką szły oba dziewosłęby i drużbowie — sześciu ich było.

A wszystko chłopaki młode, dorodne, kiej sosny, śmigłe, w pasie cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe — same rodowe, gospodarskie syny. Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu, aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni, weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszów i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...

[1]) Ustęp ten pisany gwarą ludową.

Krzykali ostro, podśpiewywali wesoło, przytupywali siarczyście i szli tak szumno, jakoby się młody bór zerwał i z wichurą leciał.

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników, gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli, a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem i już wszyscy w jeden głos śpiewali pod oknami druchen:

— Wychodź, druchenko, wychodź, Kasieńko,
Na wesele czas —
Będą tam grały, będą śpiewały
Skrzypice i bas —
A kto się nie naje, kto się nie napije...
Pójdzie do dom wczas!
Oj ta dana, dana, oj ta dana, da!...

Hukali społem i z mocą taką, aż się po wsi rozlegało, aż na pola szły weselne głosy, pod borami śpiewały, we świat leciały szeroki. Ludzie wychodzili przed domy, do sadów, na płoty, a jaki taki, choć nie weselny, przystawał do nich, by się aby napatrzeć i nasłuchać, że nim doszli, już się prawie cała wieś stłoczyła i okrążała weselników ciżbą, iż coraz wolniej szli, a dzieci chmarą nieprzeliczoną i z wrzaskiem a przyśpiewywaniem przodem biegły.

Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

A Witek, któren ze wstęgami u spencerka hardo był spólnie z drużbami chodził, skoczył teraz naprzód.

— Gospodarzu, a to muzyka z drużbami wali! — krzyknął w okna i poleciał do Kuby.

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na rozcież wywarł, witał się, a do środka zapraszał; ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie — urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i postawę już miał zdala widną i powagę w twarzy niemałą; pośmiewał się wesoło z parobkami,

pogadywał, a najczęściej z kowalem, bo mu się wciąż na oczy nawijał. Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił, a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jaguś nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w deskach szparutki czynili i przekomarzali się z druchnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzałką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zwaliło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie. Gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasie znajomkowie, to i z dalszych wsiów zjechali. Juści, że ni Kłęba, ni Winciorków, ni tych morgowych biedot nie było, ni tego drobiazgu, co po wyrobkach chodził i zawżdy ze starym Kłębem trzymał. Nie dla psa kiełbasa, nie dla prosiąt miód!

Dopiero w dwa pacierze otwarli drzwi komory i organiścina z młynarzową wywiodły Jaguś na izbę, a druchny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między niemi najśmiglejsza i kieby ta róża najśliczniejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie, że się widziało niby ten obraz, co go noszają na procesyach; aż przycichło znagła, tak poniemieli i dziwowali się ludzie.

Hej! jak mazury mazurami nie było śliczniejszej. Wnet drużbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj, skrzypku, rozgłaszaj!
A ty, Jaguś, ojca, matkę przepraszaj —
Rozgłaszaj, flecie, rozgłaszaj!
A ty, Jaguś, siostry, braci przepraszaj!...

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknęli, a matka obrazem ich przeżegnała i jęła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy,

a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi.

Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Zosia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała.

Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należytym i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staję.

Muzyka szła przodem i rznęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie — szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rzęs wisiały, weselna, niby ten kierz kwiatny i, kiej słońce, ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią i furkotały, kieby ta tęcza; spódnica biała rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego, jak niebo, aksamitu, wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy, obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury korali i bursztynów aż do pół piersi opadały.

Za nią druchny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał.

A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś całą drogą waliła wieś cała.

Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łunach wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów czerwonych portek pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych, jakoby ten zagon, rozkwitłymi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr zwolna się kołysał — a pośpiewywał, bo druchny raz wraz zawodziły cieniuśkimi głosami:

A jadą, jadą, wozy kołaczą —
A moja Jaguś, po tobie płaczą,
Hej!

A da śpiewają, śpiewają sobie —
A da na smutek, Jagusiu, tobie
Hej!

Dominikowa całą drogę popłakiwała i jak w obraz, wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali.

W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystyi wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury, a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektóren tylko co nie huknął piosenką; dobrze, iż się w czas pomiarkował! Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, jak komu było do upodoby, a rozgłośnie, bo drużbowie z druchenkami zawodzili, jakoby ich kto ze skóry obłupiał.

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli — już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem, nuż się ze wszystkimi z nowa witać, a ściskać i do izby zapraszać! Muzyka rznęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwytał w pół pierwszą z brzega kobietę i puszczał się posuwistym krokiem »chodzonego«, a już tam, niby ten wąż, farbami migotliwy, toczyły się dokoła izby pary, gięły się, okrążały, zawracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się para za parą, głowa przy głowie, niby ten rozkołysany zagon dostałego żyta, gęsto przekwieciony bławatem z makami... a na przedzie w pierwszej parze Jagusia z Boryną.

Aż światła, ustawione na okapie, dygotały, dom się chwiał, zdawało się, że ściany się rozpękną od tej ciżby i mocy, jaka biła od taneczników...

Pochodzili z dobry pacierz, nim skończyli.

Muzyka teraz zaczęła przegrywać pierwszy taniec dla młodej, jak to we zwyczaju z dawien dawna było.

Naród zbił się gęstwą pod ścianami i zaległ wszystkie kąty, a parobcy uczynili wielkie koło, w którem Jagusia

zaczęła tańcować! Tańcowała niezmęczenie, coraz zmieniając taneczników, bo choć raz wokoło z każdym przetańcować musiała. Muzykanci grali ostro, aż im ręce mdlały, ale Jaguś jakby zaczęła dopiero, wywijała tak zapamiętale — aż jej wstęgi z furkotem za nią latały, chlastając po twarzach. A parobcy z uciechy pięściami walili w stoły i pokrzykiwali siarczyście.

Dopiero na ostatek wybrała Młodego. Czekał na to Boryna, bo skoczył do niej kieby ryś, ujął w pół i wichrem zakręcił w miejscu, a muzykantom rzucił: »Z mazurska, chłopcy, a krzepko«! Krzyknęli w instrumenty z całej mocy, aż w izbie się zakotłowało. Boryna zaś ino mocniej Jagnę ujął, poły na rękę zarzucił, poprawił kapelusza, trzasnął obcasami i z miejsca jak wicher się potoczył.

Muzyka rznęła siarczyście, zapamiętale, z mazowiecka. Hej! tańcował też, tańcował, a okręcał w miejscu, a zawracał, a hołubce bił, aż wiory leciały z podłogi, a pokrzykiwał, a Jagusią zawijał, że się jak to pełne wrzeciono po izbie wili, że ino wicher szedł od nich i moc. Zbili się wszyscy we drzwiach, to po kątach, przycichli i ze zdumieniem poglądali, a on hulał niezmordowanie i coraz siarczyściej. Już się niejedni wstrzymać nie mogli, bo same nogi niesły, więc ino do taktu przytupywali, a co gorętszy dziewczynę brał i puszczał się w tany, na nic już nie bacząc.

Jagusia, choć mocna była, rychło jęła mu przez ręce lecieć; dopiero wtedy przestał i odprowadził ją do komory...

Muzyka zaraz umilkła — i zaczął się poczęstunek.

Dominikowa, synowie, kowal, Jagustynka, zwijali się raźno z pełnemi butelkami i kieliszkami w garściach, a do każdego z osobna przepijali. Józia i kumy roznosiły na przetakach chleb pokrajany i placki.

Wrzawa podnosiła się coraz większa, bo każden swoje głośno powiadał, a wszyscy chętnie się do kieliszków brali, by wesela rzetelnie zażyć. Na ławach pod oknem przysiadł młynarz z Boryną, wójt, organista i co pierwsi gospodarze. I na izbie dosyć stało narodu; pozbijali się w kupy i poredzali[1]) głośno. A w komorze, oświetlonej lampą, poży-

[1]) Radzili, rozprawiali.

czoną od organistów, zebrały się gospodynie z organiściną i młynarzową na czele, po skrzyniach, po ławach, przyrzuconych wełniakami, godnie się rozsiadły, miód przez zęby cedziły i słodki placek delikatnie palcami poskubywały, a z rzadka jeśli która rzuciła słowo jakie: słuchały uważnie, co młynarzowa rozpowiadała o dzieciach swoich. A młodzież wysypała się przed dom, w opłotki i na przyzby. Noc była zimna, cicha i gwiaździsta, to się przechadzali i bawili wesoło, aż się trzęsło od śmiechów i wrzasków...

...Młynarz, wójt, organista, Boryna i gospodarze podnieśli się z ław, bo już zaczęli szykować do wieczerzy i wszelki sprzęt potrzebny znosić na stoły i ustawiać... Wtem wszedł Jambroży i prosto do nich przystał. Spóźnił się, z dobrodziejem do chorego jeździł aż na trzecią wieś, do Krosnowy; to teraz ostro wziął się do picia, aby dogonić... Nie zdążył jednak, bo już starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła, drużbeczkowie, dokoła,
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!...

A na to, rumor czyniąc ławkami, odkrzykli drużbowie:

A dyć my już poprosili, już siedzą,
Dajcie ino co dobrego, to zjedzą!

I zwolna wszyscy zaczęli za stoły iść, a usadzać się na ławach. Juści, że na pierwszem miejscu państwo Młodzi, a w podle nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie, aż do druchen i dzieci, a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian. Tylko drużbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał w głos modlitwę, jeno kowal powtarzał za nim, bo pono na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po kieliszeczku na zdrowie i dobry smak.

Kucharki wraz z drużbami wnosić poczęły dymiące, ogromne donice z jadłem i przyśpiewywały:

Niesiem rosół z ryżem,
A w nim kurę z pierzem!

A przy drugiej potrawie:

Opieprzone flaki,
Jedzże siaki taki!

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała z cicha piosneczki różne, by się smaczniej jadło. Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie i skrzybot łyżek zapełniały izbę; a gdy sobie już nieco podjedli i głód pierwszy zasycili, kowal znowu flaszkę puścił w kolejkę, przyczem już i poczynali prawić z cicha i przemawiać do się przez stoły.

Kucharki znowu zaśpiewały:

Niesiem miski tłustej jagły,
By se chudziaki podjadły.

Mówić już wszyscy zaczęli, śmiać się, trącać kieliszkami, a coraz wolniej pojadać, aby się do syta najeść; nie jeden już i pasa popuszczał, przeciągał się, by więcej zmieścić.

Kucharki znowu z miskami nowemi szły i śpiewały:

Chrząkała, kwiczała, w ogródeczku ryła:
Będzie teraz gazdom za szkodę płaciła!

— Wysadzili się, no, no! — dziwili się ludzie.

— Jakże! z tysiąc złotych kosztuje wesele...

Muzyka przycichła, grajkowie jeść poszli na drugą stronę, bo wieczerza się skończyła. Cicho się nagle uczyniło; po chwili jednak gwar buchnął jeszcze mocniejszy, aż się zakotłowało; wszyscy naraz mówili, krzyczeli, a dowodzili sobie przez stoły, że już jeden drugiego nie słyszał.

Podali na ostatku, dla wybranych, krupnik, miodem i korzeniami zaprawiony, a reszcie szczodrze stawiali piwo. Ale mało kto zważał, co pije, bo już się ze łbów kurzyło niezgorzej i kontentność rozbierała... Więc pogwarzali sobie, gęsto przepijając, a każdy wypowiadał, co miał na sercu i co mu dawno ością stało w grdyce[1]). A najwięcej i najgłośniej gadał Jambroży; juści, że go niewiela słuchali, bo kużden mówił i swojego chciał dowieść, mało bacząc na drugich...

W izbie wrzało już i kotłowało się coraz bardziej, gdy Ewka z Jagustynką weszły, niosąc przed sobą z wielką paradą przystrojoną warząchew. Muzykant któryś szedł za niemi i przygrywał na skrzypkach, a one śpiewały:

[1]) Gardło (krtań).

Da powoli, powoli,
Da od stołu wstawajcie!
Po trzy grosze za potrawę,
Po dziesiątku za przyprawę
Da kuchareczkom dajcie!

Naród był syty, podochocony i zmiękły dobrem jadłem i napitkiem częstym, to niektórzy i srebrne pieniądze rzucali na warząchew.

Wraz też dźwigać się jęli z za stołów i zwolna rozchodzili, którzy na powietrze wytchnąć, którzy w sieniach albo na izbie przystawali i dalej dyskursa ciągnęli... Młódź zaś wysypała się w opłotki, to trzymając się w pół, na drogę wylegali gwarzyć i gonić się, aże dudniło od przegonów i wrzawy. Noc była jasna, księżyc wisiał nad stawem tak mocno błyszczącym, że i najsłabsze kręgi, co się roztaczały jakby od uderzeń światła, widne były niby węże, półkulisto sunące w cichości; przymrozek brał niezgorszy, gruda się łamała pod nogami i szron pobielił dachy i już przytrząsnął se bielizną ziemię.

Późno już było, bo pierwsze kury odzywały się po wsi. A w izbie tymczasem czyniono porządek i szykowano do tańców. I skoro muzykanci podjedli i nieco wypoczeni[1]), jęli z cicha przygrywać, by się weselnicy pościągali do kupy.

Jagnę uprowadziły kobiety do komory, Boryna na przyzbie z Dominikową siedział, a co starsi zalegli ławy i kąty i poredzali, że ino na izbie dziewczyny ostały i prześmiewały się między sobą. Ale że im się to zmierziło rychło, zarządziły zabawę w gry różne, by prędzej chłopaków rozruchać.

Najpierwej zabawiali się w »chodzi lis koło drogi, nie ma ręki ani nogi«. Na lisa przebrali w kożuch do góry wełną Jaśka, z przezwiska Przewrotny; zajączkiem zaś była Józia Borynianka. Śmieli się też, śmieli, mój Jezu! Co krok, to Jasiek się rozczapierzał i bęc jak ta kłoda na ziemię, że mu to i nogi podstawiali — a Józia tak kicała[2]), stawała słupka i wargami ruchała, niczem żywy zając.

---

[1]) W lud. gwarze zam. wypoczęli. — [2]) Kicać, hycać (o zającu), biedz powoli, biedz skacząc.

A potem w »Przepiórkę«. Nastka Gołębianka prowadziła, a tak się zwijała, tak raźno śmigała po izbie, że nijak jej chycić nie mogli, aż sama im właziła w ręce, by ino obtańcowywać koło.

I w »Świnkę« się zabawiali. A na ostatek któryś z drużbów, widzi mi się, że Tomek Wachnik, »bociana« pokazywał: w płachtę na głowę się przyokrył, z pod niej za dziób długi kij wypuścił i klekotał tak zmyślnie, kiej bociek prawdziwy, aż Józka, Witek i co młodsze zaczęły za nim gonić i krzyczeć:

Kle, kle, kle!
Twoja matka w piekle!
Co ona tam robi?
Dzieciom kluski drobi.
Co złego zrobiła?
Dzieci pomorzyła.

I rozbiegały się z wrzaskiem i kryły po kątach jak kuropatki, bo gonił, dziobał i bił skrzydłami. Izba aż się trzęsła od tych śmiechów, krzykań i przegonów.

Z dobrą godzinę trwała zabawa, gdy starszy drużba dał znak, by przycichli. Kobiety wyprowadziły z komory Jagusię, nakrytą białą płachtą, i usadziły ją pośrodku na dzieży; druchny zbiły się naprzeciw i smutno, jakby z płakaniem w głosach, zaśpiewały:

A już ci to, już!
Po wianeczku tuż!
Kornet wity, czepiec szyty,
To la ciebie przyzwoity,
To na główkę włóż!...

Odsłonili ją wtedy. Czepiec już miała na zwiniętych, grubych warkoczach, ale się jeszcze urodniejszą wydała w tem przebraniu, bo i roześmiana była i wesołemi oczyma wodziła po wszystkich.

Muzyka zagrała ze wszystkiej mocy — i naród w tany szedł. Zadudniało z nagła, jakby sto cepów biło w boisko i nierozplątana gęstwa zaroiła się w izbie, bo jedni za drugimi szli, para za parą, głowa przy głowie, a pędu nabierali, więc kapoty puścili na wiatr, kołysali się szeroko, przybijali obcasami, kapeluszami potrząsali, a czasem któryś

piosneczkę huknął, to dziewuchy zawiedły »da dana«! I wili się coraz prędzej, kolebali do taktu i szli w taki tan chybki, zadzierżysty, kołujący, zapamiętały, że już i nie rozeznał nikogo w ciżbie. A co skrzypki huknęły nutą drygliwą, to sto hołubców biło w podłogę, sto głosów krzykało z mocą i sto narodu zawracało w miejscu, jak kieby wicher zakłębił, że ino furkot szedł od kapot, wełniaków, chustek wiewających po izbie, niby te ptaki barwiste. Przeszedł pacierz, dwa i trzy, a oni cięgiem tańcowali bez wytchnienia, bez przestanku podłoga dudniła, ściany się trzęsły i izba wrzała hukiem, a ochota jeszcze rosła, jak te wody po ulewie...

Boryna muzykantom pieniądze rzucił, by smyków nie żałowali... To i z nagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości. Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, po izbie się nosił szeroko, od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał i dalej hulał siarczyście. I wiódł tan zapamiętale, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrywać i przytupywać, śpiewać, tańcować i co największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z turkotem i okręcało tak szybko, jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wiła coraz prędzej, wścieklej, zapamiętalej. Aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała taneczników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchłą, świetlistą smugą i skrzyła się wrzącem srebrem wskróś ciemności i wskróś wirującej gęstwy ludzkiej...

A ciągnęły się już te tany łańcuchem jednym bez przerwy, bez przestanku... bo co muzyka zaczynała rznąć nowego, naród się podnosił z nagła, prostował jak bór i szedł z miejsca pędem takiej mocy jak huragan; trzask hołubców rozlegał się jak bicie piorunów, krzyk ochotny trząsł całym domem i rzucali się w tan z zapamiętaniem, z szaleństwem, jakoby w burzę i bój na śmierć i życie.

I tańcowali... Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące — ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwemi przyśpiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swa-

woli, pełne weselnej gędźby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości i wraz pełne figlów uciesznych, przegonów i waru krwi młodej. Hej!

...Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie niby te równie nieobjęte, przyciężkie a strzeliste, tęskliwe a zuchwałe, posuwiste a groźne, godne a zabijackie i nieustępliwe, jako te chłopy, co zwarci w kupę niby w ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić i na obcasach roznieść i samym przepaść, a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołubca bić i ostro, po mazursku pokrzykiwać: »da dana«!

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekłe, oszalałe, zawadyackie a rzewliwe, siarczyste a zadumane i żalną nutą przeplecione, warem krwi ognistej tętniące a dobrości pełne, jako chmura gradowa z nagła spadające a pełne głosów serdecznych, pełne wiośnianych tchnień, woniejących poszumów, okwietnych sadów, jako te pola o wiośnie rozśpiewane, że i łza przez śmiechy płynie i serce śpiewa radością i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca — i »oj da dana«! przyśpiewują...

Takieto tany nieopowiedziane szły za tanami. Bo tak chłopski naród się weseli w przygodny czas. Takoż się i zabawiali na weselu Jagusinem z Boryną.

Godziny biegły za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznem zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na wschodzie i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbielały noc. Gwiazdy pobladły, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności; oknami naglądały kudłate, poskręcane drzewa i coraz niżej chyliły ślepe, oszroniałe i senne łby, a dom wciąż śpiewał i tańcował!

Jakby łąki i pola i sady zeszły się na gody i porwane wichurą poszły społem w długi, zawrotny, ognisty korowód! Wywarli drzwi na rozścież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał

i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jakoby te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty i ten dom stary i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłąb, splątało, i pijane, oślepłe, na nic nie pomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni kołowało, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało...

Władysław Reymont (Chłopi: Jesień).

---

21. Do mojego grajka.

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
A basista nie najgorzej;
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nieproszone,
Na ten smyczek, na tę stronę;
Przepióreczka pomkła w proso,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą,
Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo,
Zabłąkane nuty chwyta;
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
ta koło ciebie.

A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina,
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchnu ano w koło,
Potem raźno na odsiebkę,
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Raźno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą źrebce,
Dziecko śmieje się w kolebce;
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędy,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednem okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca, co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża.
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!...

Teofil Lenartowicz.

22. Walka o łup.

Szczodry wieczór! Zimno i głodno w puszczy. O zimno! Nie ma się chęci najmniejszej do podniesienia skrzydeł: mróz natychmiast wtargnie pod pachy wygrzane, wszyje się pod skórę, przejmie na wskróś, do szpiku kości.

Głodno! Śnieg już od dawna pokrył ziemię, utworzył skorupę lodowatą, grubą i twardą. Nieszczęście ostatnie tych wszystkich, którzy muszą wygrzebywać obrok powszedni życia z pod powłoki zlodowaciałej! »Śmierć wije się po płotu!«

Jastrząb, samotnik dziki i nietowarzyski, siedzi obwyż na gruszy — sam sobie wystarcza. Żarłoczny, chciwy, nawet nienasycony, zachowuje spokój stateczny i z krwią zimną rozpatruje okolicę, chociaż już od trzech dni pości: umie panować nad sobą ten łowca potężny. Inaczej zachowują się wrony, które właśnie siedzą na jodłach u skraju Bohboru — motłoch krewki, krzykliwy, zawzięcie sejmikujący.

Uchwała sejmowa zapadła widać, gdyż oczy wszystkich wron spoczęły na samcu, którego gromada powoływała, aby działał w jej imieniu i dla jej dobra. Naturalnie, oceniano dobrą głowę wybrańca i przeto dano mu do zrozumienia:

— Mężu zaufania, idź w świat, zbawiaj rzeczpospolitą, najsławniejszą w świecie! My poczekamy tutaj na skutki twej wyprawy i, skoro tylko obwieścisz hasło umówione, w lot pośpieszymy do żeru gotowego lub, jeśli zajdzie potrzeba, przybędziemy, ażeby działać zbiorowo.

W ten sposób załatwiono część pierwszą sprawy głodowej. Na zwiady wypchnięto wrońca-mądralę, który zasłynął z obrotności i roztropności życiowej: był to jeden z takich, co się o nich mawia:

— Słyszy, jak trawa rośnie, i wie, gdzie raki zimują! — Głowacz niepospolity, mąż stanu zawołany, ogromnie biegły w rozbieraniu wszelkich zawiłych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Przedewszystkiem wybornie odróżniał kij w rękach ludzkich od każdego oręża zabójczego dla ptaków. Następnie odgadywał na rzut oka wszelką złobę

skrytych zamiarów człowieka i nigdy, przenigdy nie dałby się omamić pozorom jakiejś udanej dobroduszności. Przytem posiadał sąd bardzo zdrowy o rzeczach, który go zawsze wiódł najprostszą drogą do żeru. Mistrz istny, kiedy szło o zmylenie czujności matki-gęsi lub kwoki-kury, jednocześnie odznaczał się bezczelnością i takiem zuchwalstwem, że wydzierał psu z gardła kawałki padliny! Jako złodzieja bezwstydnego znały go po siołach psy, kury, wróble, sroki, dzierlatki i wogóle wszystkie zwierzęta, które w kupach śmieci poszukują kęsa chleba. Wieki czekały, aby się urodził taki wrona-bohater.

Ten to prowodyr, zaszczycony wyborem swojaków, co tchu otrząsł śnieg ze skrzydeł i poleciał ku ludzkiej osadzie bartników na Bugaju.

— Gdzie tylko przebywa skrzętny człowiek, tam zawsze można znaleźć jaki ochłap.

Leciał, a rozumował po drodze i w cichości ducha rozwijał swoje pomysły znakomite.

— Przecież to jest niepodobieństwo czyste, ażeby podczas zimy tak ciężkiej nie zdechł gdzieś jaki baran chorowity, albo — szkapa dychawiczna... Czuję, że wkrótce dusza moja się rozraduje.

Leciał, a nic nie uchodziło jego uwagi: ciągle kręcił głową mądrą, zwracał oczy już na dół, już na lewo, już na prawo; łeb chodził mu jak na zawiasach.

A wrony pozostałe na skraju Bohboru, głodne, skostniałe od mrozu, spoglądały za nim z wiarą i niejaką dumą narodową.

— Śmiało możemy polegać na takim pośle! Bestya — nadzwyczajnie zdolny! Prawdziwie z naszych! Tylko słuchać, jak na nas krzyknie:

— »Żreć, żreć, żreć!«

Mróz piekący naglił różne ptastwo do przetarcia oczu ze snu i niewolił je do ruchu, tembardziej, że każdemu chodziło o śniadanie. Praca dzienna, mozolna, zaczęła się więc na dobre i puszcza wyglądała jak miska, z której każdy wydobywał jakiś kąsek pożywny.

Strzyżyk sam jeden śpiewał, nie zważając na to, że ptaki zajęte żerem, powtarzały wokoło:

— Mysikróliku, marzycielu głupi!

A poseł wron głodnych, lecąc obacznie, z daleka obegnał gruszę dziką, gdzie jastrząb posępny czynił spostrzeżenia nad swoim ujazdem, napiął się, wzleciał wyżej w podniebie, sięgnął wzrokiem precz poza kresy panowania jastrzębia. Wtem ujrzał w oddaleniu jakiś przedmiot ruchomy, plamę ciemną, migającą na olśniewająco białem prześcieradle śniegów.

— Jeśli mię wzrok nie myli, jest to czworonóg... Miałem przeczucie dobre, że gdzieś tu znajdę kąsek pożywny... Kiż dyabeł — zając, nie zając? Zając, i to widocznie zraniony! Przewybornie! Bogowie mądrzy i dobrzy stworzyli zajączka słabego, ażeby zapewnić wronom zdobycz łatwą, a pokarm smaczny.

Słońce stoi na niebie jeszcze bardzo nizko dla patrzących z poziomu. Jego tarcza jaskrawa, płomiennie rozpalona, leży na brzegu widnokręgu, łuną krwawi wokoło obłoki i złoci ubielone śniegiem wierzchołki drzew puszczy. Właśnie pod tę porę zajączek jeden pochuchrany, starzany, okrutnie zbiedzony, brnął przez zaspy na polu, niedołężnie wyciągał skoki spracowane i utykał jakby chromy. Może go jaki kondel, ordyniec gruby, niewolnik człowieka, dopadł i skrzywdził. Może miał przeprawę z lisem, podstępnym kitą, i tylko przypadkiem uniósł duszę w skórze podziurawionej jak sito.

Biedak czuje w sobie upad sił, cierpi widać ciężko i dawa folgę skokom. Usiłuje jakbądź przekołatać się od Bugaju do Bohboru, do swojej leży rodzinnej, aby tam wylizać, wygoić rany, odebrane w boju o życie. Czyż słabi mają zawsze ginąć?... On sobie myśli w duszy:

— Jeżeli mnie śmierć zdejmie ze świata, to przynajmniej na ziemi ojczystej, w kotlinie ukochanej! Tam, w kącie ciemnym, milej mi jest płakać i cierpieć, niż gdzieindziej używać i pękać od śmiechu.

Ale goniec wron, oprawca plugawy, jadowity, już spostrzegł zająca-charłaka i — dalejże do niego!

— U tego zdechlaka, widzę, dusza na wylocie! Smyka się, z ledwością pełza po śniegu, jakby kołem tłuczony: znać po nim mnogie uciski na ciele i na duszy. Ogromnie lubię

dobijać takich niedołęgów, którzy są jedną nogą na tamtym świecie... Ma się zasługę, wyzwalając dusze zgorzkniałe, smętne, z lepianek cielesnych, które stoją w gruzach ostatnich. Dobić męczennika — jest to łaska szlachetnego!

Zdrajca, tak myślał w głębi czarnej duszy, a nie wydał okrzyku, nie wygłosił hasła, oczekiwanego z takiem upragnieniem przez ziomków zgłodniałych!

— Przecież spełniam służbę publiczną, jestem przedstawicielem sławnej rzeczypospolitej, a nie dostałem ani grosza strawnego. Przytem, cóż znaczy jeden zajączek na tuzin głodnych żołądków wronich? Rozdziobią to po kąsku drobnym i wszyscy będą niezadowoleni. Niesnaski, wojny domowe mogą łatwo stąd powstać, rozedrzeć nasze społeczeństwo. O znam ja dobrze swoją drużynę wronią! Sobkostwo tego gminu wyzyskuje dzielność i zdolności umysłowe jednostki. Uczynili ze mnie rękę społeczną, chcą, ażebym się na czczo narażał dla dobra ogółu: oszukiwał na ich korzyść, kradł, rozbijał w razie potrzeby i za to wszystko odpowiadał gardłem. Potem w nagrodę za dzieła dokonane — jeżeli się przedtem wymigam od szubienicy — będę używał nazwy ojca ojczyzny. Ależ moja osoba przedewszystkiem ma wartość dla mnie samego i uważam za pierwszy swój obowiązek dbać o głowę myślącą, którą noszę na swoim własnym karku. Niech ci się, luba ojczyzno, nie zdaje, że to jest twoja głowa!... Ja muszę się najeść, aby rzeczpospolita miała myśliciela sytego!...

W ten sposób rozumował i powtórzył sobie samemu po cichu, hasło wronie:

— Żreć, żreć, żreć!...

Mądry w żarłoczności swojej, spadł na pole z wielkim rozmachem skrzydeł. Pchany chęcią pożerania, wpatrzył się pożądliwie w ciało zająca schorzałego, łykał ślinkę i szedł pieszo na jego spotkanie. Ciało wrońca wahało się na podobieństwo kaczki, a dziób wystawiony naprzód, godził widocznie w jakiś punkt upatrzony.

Szarak przystanął na widok wroga i przycupnął: może chciał zachwycić tchu, może się zastanawiał, a może zląkł się i zgłupiał ze strachu. Dopiero napastnik poskoczy, bieży co tchu w derdy na jednej nodze. Zmierzał prosto do ofiary,

knując w duszy zamiar podły wsadzenia jej dziobiska grubego w ślepie szeroko wytrzeszczone.

— Rozum nakazuje mi przedewszystkiem oślepić tego słabaka, a potem...

Zaweźmie się bitwa. Przy pierwszem starciu wyszło na jaw, że i zając nie w ciemię bity, umie sobie radzić w niebezpieczeństwie.

Napadnięty, natychmiast stanął słupka i skokami przednimi sprawnie odbił natarcie napastnika, obrócił w niwecz jego zamach na trzeszcze. Cóż z tego, kiedy postawa słupkowa odsłoniła inne znowu słabe miejsca ciała. Dziób silny wroga sięgnął teraz do podbrzusza i stamtąd, jakby kleszczami, wyrwał garść turzycy białej, którą wyrzucił w powietrze.

Zając, ugodzony dotkliwie, wykrztusił mruk ponury:

— Prr... prru!... — Szybko poruszał wargą górną i wąsami — zupełnie tak, jak człowiek, kiedy mu się na płacz zbiera. Chciał uniknąć ciosu powtórnego, przeto zebrał się w kupę, zwinął, odsadził i w mgnieniu oka wyciął w powietrze susa potężnego. Teraz już bez pamięci pomykał wśród kurzawy śniegu sypkiego jak piasek, położywszy słuchy po sobie. Kalectwo zabrało mu było siły, przestrach je powrócił.

Jednak wroniec już był dotknął dziobem, a może i językiem ciała ciepłego, poczuł w sobie żądzę namiętną żarłoczności, chłeptania krwi żywej. I w takiej chwili właśnie zdobycz mu się wymykała...

— O nie, z pod ziemi go wygrzebię, jeśli na to przyjdzie!...

Uderzył w skrzydła, leciał ponad grzbietem szaraka, ciągle go podskubywał i grzmocił dziobem po głowie. Zając, doprowadzony do rozpaczy, jął kniazić, wrzeszczeć w niebogłosy:

— Litości, litości!

Jastrząb podczas tego siedział poważnie na swym wyszogrodzie, wpatrywał się w okolicę, wsłuchiwał się w jej szmery.

— Baczność! Jakieś odgłosy wojenne dolatują do moich uszu...

Zawsze spokojny, milczący, rozwinął skrzydła potężne, wzleciał i z wysokości badał oblicznie przyczynę zgiełku. Przystanął w powietrzu, oblany światłem różowem słońca wschodzącego i wkrótce już wiedział wszystko. Ma się rozumieć, że napad wrony na zająca jest i zniewagą i krzywdą pana ujazdu. Więc szparko popłynął szlakiem górnym w kierunku najechanych granic.

— Prawo łupieży skóry zajęczej w tem państwie do mnie należy!

Gniewny, dotarł i z szybkością wartkiej strzały rzucił się na kark szaraka. Ale chybił celu: bo zając właśnie w tejże samej chwili wyciął szczupaka, skoczył ponad głową wrony i poszedł. Drapieżnik władny wpadł na poboiszcze, zasłane kłakami zającymi, i tu spotkał się oko w oko z wrońcem. Wzniósł skrzydła, wyciągnął szyję, a straszne jego oczy rzucały pioruny gniewu, buty zuchwałej, wzgardy dla przeciwnika. Rzeźbić go i nie podpisywać! — »Siła jest prawem mojem!«

Zawrzał burzą gniewu strasznego na widok tej wrony, zawsze natrętnej, wrzaskliwej, a nigdy nie zdolnej stawić czoła w boju otwartym.

— Wara ci kokoszyć się w moim domu! — Syknął, piorunując wzrokiem posła wron wystraszonego. Bo skok szalony zająca i spadek jastrzębia odbyły się jednocześnie, tak, że wroniec — zwykle mądry — zgłupiał, widząc przed sobą ptaka groźnego, miasto czworonoga, który się trząsł ze strachu. Odskoczył też natychmiast jak oparzony, z miejsca strzelił w górę prostopadle i wrzasnął przeraźliwie:

— Strach, strach, strach!

Hasło to poleciało do Bohboru, niby głos dzwonu na trwogę, czy wici pospolitego ruszenia. Wszystko to było dziełem jednej chwilki.

Teraz jastrząb wzleciał lekko, opisał wrońca kołem szerokiem i wzbijał się coraz wyżej. Robił to z taką swobodą przedziwną, jak gdyby chciał tylko poigrać, napędzić strachu wronie, ciągle jeszcze powrzaskującej.

Szarak — rzecz prosta — korzystał tymczasem ze zdarzeń; wziął nogi za pas i — bez względu na kalectwo — rączo śmigał ku kniei. Biedactwo, nie spodziewał się, że

wpadnie z deszczu na okap!... Wrony na wezwanie swego dowódzcy naprzód odpowiedziały wrzaskiem, którego echa wstrząsnęły borem; potem porwały się z wielkim łopotem skrzydeł i, rozpierzchłe po dwie, po trzy, leciały na wyścigi w stronę Bugaju. Naraz zoczyły po drodze zmykającego zająca i w tej chwili zapomniały o swojaku, wzywającym je co tchu na pomoc.

Cała czerń, chciwa żeru, w mgnieniu oka spadła na pole. Obyczajem tatarskim opasały szaraka obręczą, wzięły go w środek i dopiero, podskakując raźno, szły nań z nastawionemi włóczniami dziobów.

— Musisz zginąć, nędzarzu!

On już teraz ustawał i zdrętwiał na widok tylu wrogów. — Spostrzegł to jastrząb, mocarz, który doskonale rozumie, że nietykalność granic stanowi u ptaków od stworzenia świata podstawę prawa międzynarodowego. — Bez zwłoki czasu zaniechał igraszki wyścigowej z wrońcem, a rzucił się całą siłą swych wioseł w stronę, gdzie śmierć męczeńska zaglądała zającowi w trzeszcze. Wnet, niby napowietrzny korab wojenny, zawisł nad karkami zgrai zgłodniałej i zdawał się grozić z góry:

— Dam ja wam!

Krzyk straszny powstał, popłoch niewypowiedziany. Strach pokonał żądzę żeru i wszystkie wrony, jak jedna, wyleciały w powietrze, uderzyły na wroga wśród okrzyków:

— O-ha! o-ha!

Wrzeszczą, rzekomo dopadają do jego karku; żadna jednak nie śmie należycie natrzeć. Otoczony przez czerń rozwydrzoną, spokojnie płynął w powietrzu: znać lwa po pazurach. Był pewny siebie, dobrze wiedział, że wrony nigdy nie zmogą jastrzębia. Czasem wykonał jakiś ruch nadzwyczajny, wprawiający nieprzyjaciół w zdumienie; czasem wyciął tęgiego kułaka temu, który się zanadto zbliżał.

Nareszcie sprzykrzyły mu się widać takie harce i powrócił do gruszy, usiadł z krwią zimną na gałęzi.

— Walczy się tylko dla korzyści, albo — dla sławy.

Teraz wrony uderzyły do odwrotu i, krakając pieśń zwycięstwa, co żywo pognały za szarakiem niedobitkiem,

którego sroki sprośne już opadały pod borem. Zamierzały skończyć dzieło rozpoczęte. Jastrząb natychmiast zrozumiał, o co chodzi czarnym wrzaskulom. A że uważał zająca za swą własność wyłączną i niezaprzeczoną, więc postanowił znowu wystąpić przeciw bezprawiu.

— Mnie jednemu prawo przysłuża! Ja tutaj panem i tylko ja go zjem albo — nikt!...

Poleciał w skok, zagroził przywłaszczycielom, natarł, ile sił stało. A tak się był zawziął w obronie tej sprawy słusznej, że wydarł ogon sroce najzuchwalszej i podskubał rzetelnie dwie wrony. Rozlał krew winowatą i dumny, spokojny, odprowadzony przez zgiełkliwy motłoch, powrócił na swoje siodło.

— Słońce, ty stwarzasz niedolę słabych ; ale sprawiasz, że wojny mocnych dają słabym ocalenie! W twojej dłoni orężem na mocnych są jeszcze mocniejsi, którzy nie ostoją się przed najmocniejszymi. I zając biedny z jedną nadzieją w Bogu może wyżyć pod twem panowaniem.

Adolf Dygasiński (Gody życia).

---

23. Zając i wyżeł[1]).

Cezar, wyżeł znakomity,
Nagle upatrzył zająca w kotlinie,
Który, pewny, że już zginie,
Drżał i leżał jak przybity.
»Poddaj się! — grzmiącym głosem zawoła; —
»Jestem Cezar, z zwycięstw znany;
Najtęższe zwalam brytany
I nikt mi uciec nie zdoła!«
Struchlał nasz zając na tak straszną groźbę:
A więc w prośbę:
— Poddam się, poddam, Najjaśniejszy Panie!
Lecz gdy się poddam, cóż się ze mną stanie?...
— »Zjem cię!« — Co? zjesz mnie? — »Bez żadnej litości
Zjem cię do kości!«
— A jeśli drapnę? — »Zgonię cię i zduszę!«
— Gdy więc, tak czy owak, zawsze umrzeć muszę,

[1]) Jest to naśladowanie bajki, którą ułożyć miał Napoleon I. w czasie pobytu swego w szkole wojskowej w Brienne.

Więc zmykam! — wrzaśnie zając i — hula babula!
Zerwie się, leci jak kula.
Srogiby Kato
Zgromił go za to,
Ale my go nie poganim,
Że śmiał zawierzyć losowi
I nie dał się zjeść wyżłowi.
Bo szczęsnym trafem, gdy pies gonił za nim,
Strzelec, co się niemylnym zawsze strzałem chlubił,
Źle mierząc, chybił zwierza, a Cezara ubił.

Zdaj się na los, gdy los cię tylko zbawić może,
A zresztą — pomóż sobie, a Bóg ci pomoże.

Franciszek Morawski.

24. Zwyczaje staropolskie w domu A. Mickiewicza.

P. Marya Górecka, córka Adama Mickiewicza, wydała w 20 lat po śmierci matki i ojca, wiązankę wspomnień o obojgu rodzicach, jakoteż o domowem życiu całej rodziny, przeznaczając je dla najmłodszego brata Józefa. Są tam szczegóły bardzo zajmujące, a sposób opowiadania tak jest prosty i niekiedy tak rzewny, że czytając te wspomnienia trudno jest oprzeć się głębokiemu wzruszeniu. Szczególnie miłe są wzmianki o przywiązaniu poety do rodzinnej ziemi i obyczajów narodowych.

Mieszkając na Batignolles, rue de Boulevard 14 — czytamy w pamiętniku p. Góreckiej — mieliśmy domek z ogródkiem, co było dla nas wielkiem szczęściem. W ogrodzie mieliśmy kurnik i ku wielkiej naszej radości maleńkie gospodarstwo, składające się z kur i gołębi, dla których zbudowaliśmy osobny gołębnik. Ptastwo to tak nas zajmowało i tyle zawsze miałam ojcu do opowiadania o naszych kurach, o ich przymiotach i życiu codziennem, że mi raz ojciec powiedział, abym spisała te swoje spostrzeżenia. Zrobiłam to równie poważnym stylem i z takiem przejęciem się, z jakiem Liwiusz kreślił dzieje rzeczypospolitej rzymskiej.

W ogródku naszym było i drzewko jarzębiny, które sam ojciec zasadził; gdziekolwiek bowiem mieliśmy ogród

zawsze dbał, aby w nim było to drzewo, które Litwę mu przypominało i którego gorzkie jagody przez przypomnienie lubił. Sosny przyjąć się nie chciały, niezapominajki więdły, jedna jarzębina utrzymać się mogła w ciasnym ogrodzie i nam dzieciom wyobrażała coś ojczystego. Ojciec brał nas na spacery, czasem bardzo dalekie, najczęściej na grzyby, bo i to przypomnienie litewskiego grzybobrania miłe mu było. Nauczyliśmy się wcześnie rozpoznawać dobre od złych grzybów. Nieraz wracając do domu, obciążeni wiankami dobrych grzybów, spotykaliśmy Francuzów, niosących tryumfalnie muchomory; ojciec długo im perswadować musiał, aby trucizny nie zanosili na obiad do domu; tak mało znają się oni na grzybach, co każdego roku sprowadza przypadki zatrucia. Jesienią ojciec zawsze choć na parę dni jeździł do Fontainebleau, aby zebrać i zamarynować zapas rydzów na zimę, któryto przysmak wraz z litewskimi kołdunami[1]) nad wszystko przekładał. Inne potrawy polskie też często ukazywały się na naszym stole, pomimo zadziwienia i zgrozy francuskich kucharek.

Zwyczaj »kucyi« i »święconego« ściśle był u nas zachowywany, szczególnie kucya, na którą też przypadały ojca imieniny. Dzień ten, u nas najsolenniejszy w roku, w takie mnie wprawiał wzruszenie, że noc całą przepędzałam prawie w gorączce. Rano szliśmy wszyscy razem ojcu winszować, składać nasze życzenia i podarki; później zaczynała się długa procesya przyjaciół i znajomych, która przez dzień cały trwała bez przestanku. Wieczorem, na stole, sianem zasłanym, ukazywała się kucya. Na nitce, spuszczonej u sufitu, wisiała gwiazdka z opłatka i kolebka, które ojciec sam przygotowywał, i przesuwały się z wielką nieraz trudnością pod dozorem mamy sporządzone tradycyjne potrawy. W ostatnich latach, z wielką satysfakcyą ojca, znalazła się nawet żydówka polska, która przychodziła ugotować szczupaka po żydowsku, a na Wielkanoc przynosiła mace, bo ojciec i to znajdował smacznem i nieraz słyszałam, jak wspominał, że niema na świecie ciasteczek wyborniejszych, nad żydowskie obwarzanki nowogrodzkie.

[1]) Kołduny, litewska potrawa, pierożki mięsem siekanem nadziane.

W każdą kucyę wieczorem dawała się słyszeć za drzwiami kolęda: »W żłobie leży, któż pobieży«, której ojciec z widocznem rozrzewnieniem słuchał, półgłosem wtórując ulubionej pieśni. Byli to przyjaciele i znajomi, którzy zawsze z tą samą, a zawsze miłą występowali niespodzianką. Ojciec dopiero otwierał im drzwi i sam ich śpiewowi przewodniczył. Wieczór kończył się śpiewem, a jak było więcej gości i ożywienia, tańcami i polonezem, w którym ojciec występował, zawsze powtarzając, że to jedyny taniec tak piękny, poważny, dla każdego wieku stosowny. Nieraz przytem wspominał, że w pierwszych czasach emigracyi prowadził czasem w polonezie starą księżnę Wirtemberską, która się od tego tańca nie wymawiała. Zasypialiśmy z myślą, rozmarzoną temi pieśniami i wspomnieniami krajowemi.

W wielki piątek wieczorem ojciec zgromadzał nas u siebie, a przeczytawszy Ewangelię, śpiewał z nami »Gorzkie żale«. Przy święconem dzielił się z nami i gośćmi jajkiem, zamieniając przytem życzenia, których treść, zawsze ta sama, głęboko nam utkwiła w pamięci.

I cóż dziwnego, że wychowani wśród tych zwyczajów krajowych, nie przyrośliśmy sercem i duszą do miejsca urodzenia, a wyobraźnią i myślą żyliśmy w rodzinnych stronach ojca!

Pierwsze przeczytanie »Pana Tadeusza«, gdzie te strony w tak cudnych przedstawiały się kolorach, ogromne na mnie zrobiło wrażenie, nie zatarte żadnym późniejszym poematem. Ojciec też ze wszystkich swoich utworów ten najwięcej lubił. Kazał mi nawet czasem na pamięć powtarzać opisanie wschodu słońca i z widoczną słuchał przyjemnością.

Marya z Mickiewiczów Górecka
(Wspomnienie o A. Mickiewiczu).

---

25. Wesele w zaścianku szlacheckim na Litwie.

Ranek był jeszcze, bo może trzech godzin do południa brakowało, gdy okolicę napełnił gwar niezwykły. Długo i nieustannie turkotały tam koła, parskały konie, rozlegały

się powitalne wykrzyki. Ze wszystkich dróg, przerzynających równinę ku Fabianowej zagrodzie, zjeżdżały się bryczki, cwałowali jeźdźcy, pieszo dążyli mieszkańcy bohatyrowieckich zagród.

Na kilka mil wokoło powszechnie wiedziano, że byli to weselnicy, przez Fabiana na gody małżeńskie jego córki pospraszani. Szeroko w powiecie słynęła ambicya, mowność i skłonność ojca panny młodej tak do ochoczej zabawy, jak do zuchwałych zadzierek, więc chętnie ci i owi, przez szacunek, ciekawość, a najbardziej nadzieję wesołych tańców i zalotów, dążyli do człowieka, który choć był ubogim, wszelako gdyby i z głodu miał mrzeć nazajutrz, przy »okazyi« wystąpić musiał hucznym sobie-panem.

Naturalną było rzeczą, że na weselu Bohatyrowiczówny i Jaśmonta — Bohatyrowiczów i Jaśmontów znajdowało się najwięcej. Jednak przy powitalnych okrzykach, przy wzajemnem przywoływaniu się znajomych, wiele jeszcze innych nazwisk rozlegało się w powietrzu i, nad trawami lecąc, sięgało spokojnej, przeźroczej wody Niemna, za którą je echa powtarzały i niosły aż w głębiny boru.

Wszyscy tu zgromadzeni dbali wielce o to, aby odzienie ich było weselu przystojne, ale nie krępowała ich żadna wcale moda. Na sukniach dziewcząt ukazywały się gdzieniegdzie ozdoby, ale powszechnie były to bardzo skromne spodniczki i staniki, kolorowymi paskami objęte, jesienne kwiaty w gładkich warkoczach, gdzieniegdzie złoto udający pierścionek na palcu, a u szyi szpilka z błyszczącem szkiełkiem, u wędrownego przekupnia nabyta. Mężczyźni różnobarwniejszy przedstawiali widok, niżeli kobiety. Czarne tużurki mieszały się tutaj z surdutami z białego płótna; obok szarych kurt samodziałowych, jaśniały ubrania z kanarkowej dymki, wśród ciemnych, długich kapot, które nosili najstarsi, zieleniał trawiasty surdut... Wszystkiemi barwami światła iskrzyły się na szyjach fantazyjnie zawiązane chustki i krawaty, a tylko u piersi śnieżne przody koszul i po kolana wysokie buty z wpuszczonymi w nie spodniami, ujednostajniały w części ten lud rosły i ogorzały.

Był to lud wiejski, ale lud, który nigdy nie ulegał

przymusowej pracy. Był to lud, ale lud, za którym w dalekiej przeszłości jaśniało słońce ludzkich praw i dostojeństw. Był to lud namiętnie, niepohamowanie, aż do występku czasem chciwy tej ziemi, którą uprawiał; ale lud z tą ziemią, jak z matką spojony. Był to lud ogorzały, w obfitym pocie skąpany, z grubą skórą na twarzach i rękach, ale z gładkiemi i prostemi plecami, z wielką siłą ramion i z okiem, które patrzyło śmiało i bystro. Gdziekolwiek stanęła ich większa nieco gromada, tam zdawać się mogło, że z ziemi wyrastał las dębów.

W całem tem zebraniu, na parę godzin przed południem, uczuć się dało niecierpliwe i trochę niespokojne oczekiwanie. Państwo młodzi i »asysta« weselna, jako to: dwaj swatowie, dwie »swanie« i sześć par drużbów, nie ukazywali się wcale przybyłym gościom, z których bardzo nieliczni tylko wchodzili do domu, a prawie wszyscy przechadzali się po ogrodzie i drodze, albo siadali na długich ławach, tu i ówdzie ustawionych, na stosie desek pod stodołą, na kamieniach, na nizkich płotkach. Wiedziano dobrze, że panna młoda już jest do ślubu ubrana i że pora już była wielka wyruszać w drogę do kościoła, lecz brakło jeszcze jednej z najważniejszych osób, mianowicie: pierwszego »drużbanta«. We wszystkich siedzących, stojących i przechadzających się gromadkach o tym tylko opóźniającym się, a tak ważnym gościu była mowa.

Nie dziw, że opóźniał się!... taki człowiek! Bogaty przystojny i z tęgą głową, musiał przecież »fanaberyę« jakąś okazać i nie dopuścić, aby go za pierwszego lepszego uważano. Goście weselni mówili o tem, że Kaźmirz Jaśmont najmniejszym urodzajem ze sto kóp żyta i ze trzydzieści pszenicy na polach swoich użyna, bydła może ze dwadzieścia sztuk posiada i piękne konie hoduje, a potem z zyskiem sprzedaje. Pracować — pracuje, bo nikomu ptaki same do garści nie lecą, z pługiem i kosą chodzi, ale dwóch parobków trzyma, »złotny« zegarek ma, a którejś niedzieli Michał Zaniewski, za interesem do niego z rana przyszedłszy, w szlafroku go nawet zastał. W szlafroku sobie siedział, fajkę palił i herbatę pił!

Dziewczęta, w ścisłą gromadkę zbite, oczy sobie wyślepiały, na drogę patrząc, a zajmującego kawalera wypatrując.

Wtem na zielonej uliczce, od bramy ku domowi wiodącej, coś zaturkotało, zaparskało, przegalopowało i pod gankiem domu stanęło. Pierwszy drużbant przyjechał; przyjechał bryczką i jednym koniem, ale jaką bryczką i jakim koniem! Jednemu z młodszych synów Fabiana wodze oddał, a sam do wnętrza domu wpadł, gdzie kilka minut zaledwie zabawił, poczem znowu na ganek wybiegając, gromko zawołał:

— Muzyka!

Na ten okrzyk z tłumu wypadli trzej młodzi, szeroko na okół znani bracia Zaniewscy, którzy na weselach sąsiedzkich bezinteresownie do tańca grywali. Od dwóch już godzin o ścianę domu stały oparte dwoje skrzypiec i basetla. Muzykanci porwali je i z niemi do domu wbiegli. Ku domowi też pocisnęli się weselnicy wszyscy, jedni do wnętrza jego wchodząc, inni otwarte drzwi i okna tłumnie obstępując.

Świetlica u Fabiana była obszerna, z otynkowanemi ścianami i podłogą. Zwykłego jej umeblowania nie było dziś ani śladu. Pod trzema ścianami stały tam teraz trzy długie stoły, z desek na prędce zbite, białem płótnem ponakrywane, dobrze już napoczętemi pieczeniami, pierogami i serami zastawione, a zydlami i stołkami otoczone. Pomiędzy stołami, w głębi dość ciasnej przestrzeni, stali rodzice panny młodej i rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie i panna młoda, w sukni z białego muślinu i z kawałkiem tiulu, który jej od włosów aż do ziemi spadał. — U boku swego miała narzeczonego, któremu szyję obwiązano białym krawatem tak szerokim i twardym, że najlżejszego nawet poruszenia głową uczynić nie mógł. Dalej plecami do drzwi stało sześć par drużbów, u drzwi przy ścianie umieściła się muzyka.

Nikt z obecnych głośno nie przyznałby się do tego, ale wszyscy z niepokojem oczekiwali, czy też pierwszy drużbant wypowie mowę weselną.

Ale pan Kaźmirz cierpliwości obecnych nie nadużył, stanął obok umieszczonej na stole, wiązkami mirtu piętrzącej się tacy, rękę w białej rękawiczce po złocistej czuprynie

przeciągnął i głosem tak donośnym, że go za oknami i aż w ogrodzie słychać było, mówić zaczął:

— Oto jest wianek, uwity nie z pereł ani z dyamentów, ale z zielonego mirtu, znak panieński, oku ludzkiemu przypodobujący się, a tobie, panno młoda, w dniu dzisiejszym chwalebną ozdobą być mający...

Mówiąc to, wskazywał na tacę, napełnioną mirtem. Wziął z niej mały mirtowy wianek i, delikatnie go w wyciągniętej ku państwu młodym ręce trzymając, ciągnął dalej, a coraz dobitniej i głośniej:

— Teraz bierz sobie na uwagę, przenajdostojniejsza paro, te kilka moich myśli, które w następującej zawrą się formie:

Niechaj wam życia dzionek wije się jako wianek. Troski po szczęściu i szczęście po troskach znosić będziecie w spokojności, jedno od drugiego czerpiąc pocieszenie w przyjaźni i miłości. Cieszcie się, że dnia dzisiejszego w kościele świętym złączy się para, a przez mężczyznę kobietę wzajemnie sobie będzie dana wiara. Oto już grzmi muzyka!...

Tu istotnie dwoje skrzypiec i basetla zagrzmiały czemś, trochę do hucznego marsza, a trochę do zawiesistego mazura podobnem. Tę huczną muzykę głosem przenosząc i tacę mirtem napełnioną w obie ręce ujmując, pierwszy drużbant kończył:

— Czas do kościoła po siódmy Sakrament Święty jechać, a wprzódy do kolan rodzicielskich po ojcowskie i macierzyńskie błogosławieństwo upaść. Proszę tedy, panno drużko, niezmarszczonem czołem, wesołem okiem i łaskawą ręką te mirty przyjąć i drużbującym na znak dnia weselnego rozdać!...

Z nizkim ukłonem tacę z mirtem pierwszej drużce podawał; ona w zamian położyła na niej cienką, białą chustkę, z pięknie wyhaftowanemi jego cyframi.

Wtem muzyka nagle umilkła i po świetlicy rozchodzić się zaczął do niepoznania zmieniony głos Fabiana. Panna młoda jak długa do nóg mu była runęła, a pan młody ze stukiem na kolana upadł.

Ojciec błogosławił córce i rad licznych udzielał jej i zięciowi, ale nim dokończył oracyi, rozpłakał się tak, że ostatnich słów jego nikt dosłyszeć nie mógł. Z kolei błogosła-

wili młodą parę rodzice pana młodego i również płakali, a panna młoda, a za nią i pan młody, prawie już ryczeć zaczęli.

Płacząc, obejmowali się i całowali rodzice panny młodej i rodzice pana młodego, swatowie i swanie, drużki i drużbantowie; a w świetlicy, za oknami, za drzwiami przez kilka minut nic więcej słychać nie było, tylko szlochania, całusy, a wśród szlochań i całusów zaczynane, urywane, niedokończone powinszowania, podziękowania, błogosławieństwa i życzenia. Drużki, płacząc i śmiejąc się, całując i winszując, kręciły się wśród obecnych i wszystkim wiązki mirtu do ubrania przypinały.

Pierwszy Kaźmirz Jaśmont w tem powszechnem zamieszaniu i wezbraniu uczuć porządek czynić zaczął. Kilka razy palcami stryknął, usta otworzył i zamknął, aż nakoniec, czupryną jak grzywą wstrząsnąwszy, wyprostował się jak struna i doniosłym głosem krzyknął:

— Jazda!

A potem, niby wieloryb wodę, piersią i bokami tłum prąc, wołał ciągle:

— Jazda, państwo! ja-zda! ja-zda! ja-zda!

Przeszło połowa obecnych rzuciła się ku zaprzężonym bryczkom i osiodłanym koniom; ale pierwszy drużbant przed tą ściśliwą falą z rozpostartemi ramionami stanął, piersią własną jej nawał wstrzymując i wołając:

— Wolniej, państwo! wol-niej! po porządku! po porządku! Proszę siadać! Niechajże państwo siadają! Panna młoda ze swoją swanią! Pan młody ze swoim swatem! Druga swania i drugi swat razem! Pierwsza panna drużka! Gdzie pierwsza panna drużka? Proszę za mną! ślicznie proszę! Druga panna drużka z drugim panem drużbantem... Muzyka! hej! słyszycie tam, muzykusy! Zaniewscy, hej! siadać na tę bryczkę... tam za asystą...

I tak dalej, i tak dalej, przez dobry kwadrans, aż nakoniec wszystko razem runęło, zagrzmiało, zatętniło, wybuchnęło muzyką, śmiechem, krzykami, parskaniem koni i z gęstego tumanu kurzawy, który wzbił się nad Fabianową zagrodą, wytoczyło się na drogę.

W zagrodzie Fabiana przecież nie zapanowała zupełna

cisza. Przynajmniej połowa zebranego towarzystwa pozostała tu i raczyła się żywnością, rozstawioną na stołach, przy których potem aż do zachodu słońca coraz zmieniali się biesiadnicy. Do rosołów, pieczeni, kiełbas, naleśników, makaronów, miodu i piwa zasiadano, dla ciasnoty miejsca, partyami, z kilkunastu osób składanemi. Gdy jedni w świetlicy zajadali, inni, czekając na swoją kolej, lub ją odbywszy, w ogrodzie i na drodze przechadzali się, gwarzyli.

Powrócono z kościoła.

Wieczór zbliżał się, nadchodziła pora rozpoczynania tańców, a naprawdę już nawet i nadeszła, bo rzeźwy chłodek wieczoru muskać zaczynał twarze rozgorzałe od jedzenia, rozmów i chychotów.

Na słupach, wznoszących się nad tokiem, syn Fabiana Julek, zapalił świece w latarniach. Słońce za bór już zapadło. W szarej godzinie, za rzadkimi ogrodami, Niemen tu i ówdzie srebrnie połyskiwał. Po ogrodach, gajach, trawach toczyły się męskie i kobiece głosy, pojedynczo, chórem, wstydliwie, to niecierpliwie wołające:

— Panie Jaśmont! Jaśmont! panie Kaźmirzu! Kaziu! Panie Jaśmont! Jaś-mont! Jaś-mont!

Na te wołania pan Kaźmierz, bystro wśród obecnych rozejrzawszy się, przed pierwszą drużką — jak to obowiązkiem jego było — stanął i do tańca ją zaprosił, a gdy ona na znak przyzwolenia, lekko mu się odkłoniła, ku muzykantom rękę wyciągnął i huknął:

— Zaniewscy, rznijcie!

Muzyka skoczną polkę zagrała; tańce, od godziny już niecierpliwie oczekiwane, rozpoczęto. Na toku wirowało par ze dwadzieścia, to jednocześnie, to, gdy ścisk zbyt wielkim się stawał, po kilka i kilkanaście.

Zmieniały się i dobierały pary coraz inaczej. Niektórzy z kawalerów mieli na rękach glansowane lub bawełniane rękawiczki; ci zaś, liczniejsi, którzy ich nie mieli, przed rozpoczęciem tańca, chustkami poowijali sobie rękę, w której spoczywać miała ręka ich tancerki. Wszyscy po przetańczeniu tancerki swoje ku ławom i stołkom albo przynajmniej ku ścianom przyprowadzali i na podziękowanie składali przed niemi grzeczne ukłony.

Po polce nastąpił kontredans, tańczony skocznym, przyśpieszonym krokiem, po kontredansie polka, po polce krakowiak. A gdy i krakowiak się skończył, wybiegł w uliczkę syn Fabiana, Julek i na cały głos zawołał:

— Na Niemen! Na Niemen! Wszystkich państwa proszę na Niemen, bo już czajki i czółna przygotowałem... po całej okolicy zebrałem i na brzegu postawiłem... Na Niemen proszę!... na Niemen!...

Dziewczęta pierwsze przyjaźnie odpowiedziały wezwaniu.

— Pływać! pływać! ze śpiewaniem pływać! Panie Michale! panie Władysławie! panie Zaniewski! panie Jaśmont! panie Bohatyrowicz! na Niemen popłyniem! Ze śpiewaniami popłyniem! Na Niemen! Na Niemen!

Tym kobiecym głosom odpowiadały męskie:

— Jestem! Idę! Biegnę! Do usług! A kto z kim? Panno Kaźmiro! Panno Cecylio! Panno Antonino! Panno Maryo!

I mnóstwo znowu imion i nazwisk leciało po trawach zroszonych, po ogołoconych ogrodach i przerzedzanych gajach, a nad wszystkimi wykrzykami i odpowiedziami górowało wołanie:

— Na Niemen! Na Niemen!

Ktoś w wielkiem zmieszaniu głosów potężnym basem nucić zaczynał:

Za Niemen tam precz...
Ach, pocóż za Niemen?
Czy błoń tam kwiecistsza?...

. . . . . .

Po Niemnie, osrebrzonym światłem księżyca, posuwały się łodzie z gośćmi weselnymi, a w powietrzu rozlegały się echa pieśni. Więc naprzód rozbrzmiała tęskna piosenka o biednym żołnierzu, który idzie borem, lasem, przymierając z głodu czasem. Potem płynęły słowa piosnki Szopena:

Lecą liście z drzewa, co wyrosły wolne,
Z nad mogiły śpiewa jakieś ptaszę polne:
Nie było, nie było, Polsko, szczęścia tobie,
Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie...

A wnet dziewczę jakieś zanuciło śpiewkę inną:

Jak ja mogę być wesołą,
Kiedy zdrój w żałobie?
Jak tu z ziemi podnieść czoło,
Kiedy matka w grobie?

Po prześpiewaniu tej pieśni męski już tylko chór zagrzmiał, zahuczał inną skargą:

Jak to pięknie, jak to ładnie,
Kiedy żołnierz z konia spadnie:
Koledzy nie pożałują,
Jeszcze go końmi stratują!

Nic na niebie ani na ziemi nie przeszkadzało szerokiemu rozleganiu się pieśni, śpiewanych na łodziach i czółnach, nic ich nie mąciło; woda je srebrnie od szklistej powierzchni odbijała, echa podwajały i nieść zdawały się w dal coraz dalszą.

Eliza Orzeszkowa (Nad Niemnem).

---

26. Kołacze.

Panny. Pań sześć par.

Panny.

Sroczka krzekce na płocie — będą goście nowi;
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powi.
Gdzie gościom w domu rado[1]), sroczce zawsze wierzą
I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Sroczko! umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała,
Z którejeś strony goście jadące widziała.
Sroczka krzekce na płocie — pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje[2]).
Jedzie z swoją drużyną panic[3]) urodziwy,
Panic z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy[4]),
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać — już wjeżdża we wrota,
Już z koni pozsiadali: wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze[5]).
Witamy cię, panicze, dawno pożądany,
Czeka cię upominek tobie obiecany,

[1]) Roz. jest, nieosob. zam. osob. radzi są. — [2]) przeczuwa (że jedzie). — [3]) dawna forma jak: starościc, wojewodzic. — [4]) dobry do chodu, chyży, rączy. — [5]) dawny 2. przyp.

Obiecany od Boga i od domu tego.
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego[1]),
A ty się gdzieś zabawiasz. Już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię. Winieneś nie mało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny[2])!
Cobyś rzekł, gdyby to[3]) był otrzymał kto inny?
Bardzoś się ubezpieczył[4]). Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,
Deszcz go zlewa. Nie trzeba spać[5]) i w pewnej rzeczy;
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.
Często zazdrość o tobie złe powieści[6]) siała,
Ale cnota zazdrości wiary nie dawała.
Trudno stateczność ruszyć[7]): niechaj zły wiatr wieje,
Jako chce, przedsię ona nie traci nadzieje.
Kędyś się nam zabawiał, mój panicze drogi?
Serce przez ciebie mdlało i te piękne progi
Pustkami się widziały. Czyliś na jelenie
Z myślistwem jeździł? Wami, wami, leśne cienie!
Świadczymy, jakośmy wam częstokroć łajały,
Jako często zabawy wasze przeklinały...
Czyli cię krotofile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały
Ani słoneczko jasne. Komuż do wesela
Przyjść może, gdzie miłego nie masz przyjaciela?
Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne. O tobie tego nie trzymamy,
I owszem się pociechy wszelkiej spodziewamy.
Sokół wysoko buja, a bujawszy siła,
Jedno mu drzewko, jedna mu gałązka miła.
Młodość przestrono[8]) patrzy i daleko strzela
Z myślami, aż Bóg nawet[9]) każdego oddziela[10])
Własną cząstką. Kto na niej przestawa spokojnie,
Wszystkiego ma dostatek, wszystkiego ma hojnie.
I ty myśli uspokój, mój panicze drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi.
Pryskał[11]) we wrota wchodząc; znać, żeśmy tu radzi,
Radziśmy wszyscy tobie i twojej czeladzi.
Już i matka i panna witać cię wychodzi

---

[1]) Roz. konia; co obiecano, trzeba chwytać zaraz, bo obietnice często z wiatrem ulatują. — [2]) czasu upłynionego już nie dogonisz, bo czas się nie wraca. — [3]) to, co ci obiecano t. j. pannę. — [4]) zbyt jesteś bezpieczny, siebie pewny. — [5]) zasypiać, zaniedbywać się. — [6]) wiadomości, wieści. — [7]) stałej, silnej wiary wzruszyć, zachwiać. — [8]) daleko. — [9]) na koniec, na ostatek. — [10]) oddzielać syna lub córkę — znaczy: dać im wyprawę. [11]) parskał.

Poprzedź ich ręką[1]), tobie poprzedzić się godzi;
I czołem nizko uderz: jest dlaczego czołem
Uderzyć, a nie chciej sieść za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz,co pragniesz. Wszystko z czasem płynie —
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie.
I ty, matko! nie zwłaczaj; czyń, coś umyśliła:
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmysłów siła.
Panno! czas już rozpuścić warkocze rozwite,
Czas oblec szaty takiej sprawie przyzwoite,
Strójcie pannę do ślubu, sąsiady życzliwe!
Ślub święty jest i wasze prace świętobliwe.
Wszak też wam tę posługę przedtem oddawano,
Toż i za matek waszych w obyczaju miano.
Kapłanie! gotuj stułę. Zbladłeś nam, panicze!
Ba! i pannic łza za łzą płynie przez oblicze.
Przelękłeś się, panicze! Bojaźń to od Boga;
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.
Nie płacz, panno! bo rzeką, że płaczesz z radości.
Pomyśli ktoś i gorzej, bo siła zazdrości!
Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki!
Aboś chciała na łonie jej mieszkać na wieki?
I ona przy matce swej nie wiecznie mieszkała,
I tyś się nie dlatego tak tu wychowała.
Jużeście w stadle świętem! Wszyscy wam dajemy
Na szczęście[2]) i miłego życia winszujemy:
Bodajeście długi wiek z sobą pomieszkali!
Bodajeście wszelakich pociech doczekali!
Potrawy postawiono: do stołu siadajcie,
W pośrodku miejsce pannie z panem młodym dajcie!
Imci z sobą być; tak więc dwa szczepy zielone
Stoją w nadobnym sadu[3]) pospołu sadzone...
Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojno nalewają —
Kołacze grunt wszystkiemu, a może rzec śmiele,
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.
Laską w próg uderzono. Już kołacze dają,
A przed kołaczmi panie nadobnie śpiewają
I taniec prędki wiodą i kleszczą rękami:
Zabawmy oczy tańcem, a uszy pieśniami!

(Następuje sześć zwrotek, każda przez inną parę Pań śpiewana).

Sroczko! z dobrąś nowiną do nas przyleciała:
Bodajeś i u sąsiad także zakrzeczała!

Szymon Szymonowicz (Sielanki).

---

[1]) Wyprzedź ich, witając je ręką z daleka. — [2]) składamy podarunki z życzeniami. — [3]) zam. w sadzie, jak w boru, w domu, w panu.

27. „Kołacze“ Szymonowicza.

W nielicznej grupie zabytków dawniejszej poezyi, unieśmiertelnionych artyzmem formy, jedno z najwydatniejszych miejsc, ze względu na mistrzowskie wykończenie, zajmuje drobnych rozmiarów obrazek rodzajowy, znana powszechnie sielanka: »Kołacze«.

Szymonowicz pierwszy i jedyny przed Mickiewiczem zdołał urzeczywistnić w tym maleńkim utworze to, o co się kusiło z różnem powodzeniem tylu poetów, od Reja począwszy: ujęcie pojawów życia narodowego w formy artystyczne.

Wydane w roku 1614. w Zamościu »Sielanki« pochodzą z epoki, kiedy dojrzałość uzdolnień artystycznych Szymonowicza (urodzonego r. 1558) zeszła się z wysokiem wydoskonaleniem języka i stylu, za sprawą Kochanowskiego, a pod wpływem kultury obyczajowej i umysłowej, rozwiniętej przez prądy odrodzenia w ciągu drugiej połowy wieku XVI. W dedykacyi »Sielanek« powiada poeta, iż prócz innych pobudek skłonił go do poświęcenia tych utworów Mikołajowi Wolskiemu, marszałkowi nadwornemu kor., wzgląd, iż tenże »prawie sam z grona onego ludzi chędogich został, którzy ozdobnego wieku kwitnęli«.

Ostatniemu więc, wydatniejszemu przedstawicielowi pokolenia, wykształconego na humanistycznej kulturze renesansu włoskiego, poświęca poeta ostatni, nie najwspanialszy zapewne, lecz najdoskonalszy pod względem artystycznym kwiat, jaki na niwie polskiej wydała ta kultura.

Przeważną część zbioru Szymonowicza wypełniają przekłady, dość swobodne zresztą, idylli Wergilego[1]) i Teokryta[2]). Z pomiędzy oryginalnych sielanek, doniosłością społeczną pomysłu górują »Żeńcy«, pięknością formy zaś i subtelnością charakterystyki uczuć przewyższają wszystkie inne »Kołacze«.

Ten miniaturowy obrazek odtwarza moment, wprost z życia współczesnego pochwycony i ujęty w ramy szczęśliwie obmyślonej i wytwornie wykończonej kompozycyi.

---

[1]) Sielankopisarz rzymski z I. w. przed Chrystusem. — [2]) sielankopisarz grecki III. w. przed Chrystusem.

Pomysł prosty bardzo. W zamożnym dworze szlacheckim odbyć się ma ślub córki dziedziczki z bogatym paniczem z dalszych okolic. Zebrani na ten obchód goście przechadzają się po obszernem podwórzu, wypatrując niecierpliwie oczekiwanego pana młodego, który opóźnia swój przyjazd. Nudę i niepokój rwącej się do zabawy młodzieży tłumi chwilowo głos sroczki, uważany za dobrą wróżbę. Upragniony panicz ukazuje się nareszcie ze swą drużyną w bramie podwórza. Oczekujący witają go okrzykami radości i osypują gradem zapytań i docinków Dobry humor usposabia do żartów, przebyte nudy oczekiwania pobudzają lekką złośliwość. Wszędzie i zawsze zresztą narzeczeni, zwłaszcza w dzień ślubu, służą za przedmiot obserwacyi i cel żartów otoczenia. To też »panicz« nie może nadążyć z odpowiedziami na rzucone mu z licznych ust pytania, docinki, uwagi żartobliwe, przyjazne oświadczenia i pouczające przestrogi. Tymczasem na ganku dworu okazuje się przy boku matki panna młoda. Goście, chcąc być świadkami spotkania się narzeczonych, prowadzą »panicza« ku dworowi, gdzie starodawnym obyczajem na powitanie pochyla czoło i ręce do kolan przyszłej teści.

Niecierpliwość zebranych, pragnących rozpocząć zabawę, wybucha w natarczywych upomnieniach o przyśpieszenie ślubu, zwracanych z kolei do pana młodego, matki, panny młodej i obecnego śród gości księdza. Ślub odbywa się zapewne w miejscowej kaplicy, z której orszak przechodzi wprost do sali jadalnej. Państwo młodzi po drodze odbierają życzenia i dary »na szczęście«. Obfitość dań i napojów przeciąga długo ucztę weselną ku udręczeniu młodej pary, której wzruszenie nie pozwala dzielić uciechy zgromadzenia. Wreszcie na ostatnie danie wnoszą w uroczystym pochodzie strojne »kołacze«, których ukazanie się daje hasło do rozpoczęcia zabawy śpiewami i tańcami.

Opowieść całą wygłaszają »Panny«. Poeta przedstawia nam cały przebieg drobnych zapewne, ale ważnych dla uczestników zebrania momentów, z punktu widzenia towarzyszek panny młodej i umie wybornie odtworzyć zarówno myśli, jak i uczucia, ożywiające całe zgromadzenie, a zwłaszcza grono młodzieży.

Tło krajobrazowe, zaledwie lekko zaznaczone (podwórze, płot, wrota, ganek, sala jadalna); charakterystyki zewnętrznej zebranych gości ani przybyłej z paniczem drużyny nie daje poeta. Naszkicował wierzchowca pana młodego i lśniącą od złota uprząż, przytem zaznaczył niektóre ruchy (jedzie z swoją drużyną, zajeżdża we wrota, koń parska, z koni pozsiadali, matka z panną wychodzi na ganek), całą za to staranność zwrócił ku subtelnemu odtworzeniu drobnej gamy uczuć zebranego grona i pary młodej.

Próbował już Kochanowski w »Sobótce« odmalować uczucia bawiących się dziewcząt z dworu szlacheckiego. W drugiej zwłaszcza pieśni (»To moja nawiętsza wada, że tańcuję bardzo rada«) wywiązał się wcale udatnie z tego zadania. Śpiewak czarnoleski jednak zbyt żywy wtedy brał udział w zabawach młodego grona, by, zostając zwłaszcza pod urokiem czarnookiej Doroty, mógł zdobyć się w tym młodzieńczością jeszcze tchnącym utworze na spokój i przedmiotowość w przedstawieniu, jaka znamionuje obrazy starszego znacznie (w chwili tworzenia) i dojrzałego co do rozwoju ducha i talentu Szymonowicza. Jaka prawda, wdzięk i smak cechują pierwszy ustęp »Kołaczów«! Jak wybornie poeta pochwycił stan duszy dziewcząt, oczekujących niecierpliwie zapowiedzianej zabawy! Nie są one tak naiwne, by wierzyły że »krzektanie« sroczki sprowadza gości, ale rade zawsze odwiedzinom, gotowe są na podstawie tak błahej wskazówki ociągać wieczerzę w domu rodzicielskim.

> Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powi.
> Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą
> I nie każą się kwapić kucharzom z wieczerzą.

Czyż te rozumujące z tak naiwnym wdziękiem dziewczęta nie wydają się rodzonemi siostrami młodszej o półtora wieku towarzyszki, której uczucia z równą prawdą, ale daleko mniejszym artyzmem odtworzył Kniaźnin w »Krosienkach«? I ona czeka na przyjazd lubego (»Filona«, nie »panicza«), i ona z głosu sroczki, która niestety »skrzeczy«, nie zaś »krzekce«, jak Szymonowicza, wnosi o rychłem przybyciu gościa.

Jedzie wreszcie oczekiwany (u Kniaźnina »leci«) ze swą drużyną. Widok grona strojnej i dorodnej młodzieży rozjaśnia oblicza oczekujących.

...Wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze.

Radość ta wylewa się w chóralnem, serdecznem powitaniu przybyłego. Dopytywania o przyczynę opóźnienia i czynione przytem wymówki, jakkolwiek tchnące serdecznością, a po części w tonie żartobliwym wypowiedziane, nie są wolne od delikatnych ukłuć, podejrzeń i poważnych upomnień.

Tę ujmującą wdziękiem, prawdą, prostotą i pięknością gamę delikatnych odcieni uczuciowych rozpoczyna grzecznie karcąca, pół seryo, pół żartobliwie wygłoszona apostrofa:

Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego,
A ty się gdzieś zabawiasz. Już nam nie stawało
Oczu, wyglądając cię. Winieneś niemało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny.
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto inny?
Bardzoś się ubezpieczył! Czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,
Deszcz go zlewa. Nie trzeba spać i w pewnej rzeczy;
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.

Chcąc załagodzić ukłucia, zawarte w tych wymówkach i naukach, stają się obecni z kolei tłómaczami uczuć panny młodej i malują wymownie jej miłość i niepokój.

...mój panicze drogi,
Serce przez ciebie mdlało i te piękne progi
Pustkami się widziały...
. . . . . .
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały
Ani słoneczko jasne: komuż do wesela
Przyjść może, gdzie miłego niemasz przyjaciela.

Wobec tego mistrzowskiego odtworzenia niepokoju młodej narzeczonej jakże blademi wydają się rysy, którymi Kniaźnin maluje stan serca oczekującego na Filona dziewczęcia. A przecież o ile większą popularnością cieszyły się »Krosienka«!

Za niepokój, sprawiony pannie młodej, odpłacają towarzyszki delikatnymi docinkami, poddającymi w podejrzenie stałość uczuć »panicza«.

Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli
Co z oczu, to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne...

Od starszych niewątpliwie pochodzą rady, zalecające poskromienie burzliwych popędów temperamentu młodzieńczego, połączone z zapewnieniem serdecznej życzliwości ze strony całego grona zebranych.

I ty myśli uspokój, mój panicze drogi!
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi.
Pryskał, we wrota wchodząc: znać, żeśmy tu radzi.

Ci sami zapewne starsi krewni, czy sąsiedzi, zwracają uwagę panicza, iż panna młoda w towarzystwie matki ukazała się na ganku, by go powitać, radzą przytem, by nie zasiadał do stołu, póki nie pozyska tego, czego pragnie. Z tych samych ust wychodzą przypomnienia i dyspozycye, mające na celu przyśpieszenie opóźnionego z winy pana młodego obrzędu. Wzruszenie naturalne bardzo u kochającej matki na myśl, iż nadeszła chwila rozstania się z córką, którą mąż ma zawieść w »dalekie strony«, nie pozwala jej zająć się energicznie przygotowaniami ślubnemi. Wobec tego starsi krewni obejmują kierownictwo sprawy. Przypomniawszy matce, że »żadna rzecz się nie kończy gdzie rozmysłów siła«, a więc dalsza zwłoka na nic się nie przyda, wzywają pannę, by szła ubierać się, nawołują sąsiadki »życzliwe«, by zajęły się strojem panny młodej, zalecają obecnemu na miejscu księdzu, by gotował stułę. Dyspozycye te, zapowiadające zbliżenie się stanowczej chwili, wywołały w młodej parze nieuniknione wzruszenie, jakiego doznajemy w momentach przełomowych życia.

Starsi z zadowoleniem śledzą objawy tego wzruszenia i starają się uspokoić łzy panny zwykłemi w takich razach uwagami:

..zbladłeś nam, panicze!
Ba! i pannie łza za łzą płynie przez oblicze;
Przeląkłeś się, panicze. Bojaźń to od Boga,
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga.

Obrządku ślubnego poeta nie przedstawia, raz, że nie czuje się zdolnym do narysowania szczegółów materyalnych tego aktu, a powtóre, że odmalowanie nastroju duszy uczestników wymagałoby podniosłości tonu, niezgodnej ze skalą, jakiej trzyma się w całym obrazku.

Wyprowadza więc od razu — nie zaznaczywszy ni słowem samego aktu — orszak weselny z kaplicy, czy kościoła i śród życzeń, składanych wraz z darami młodej parze, wiedzie do sali jadalnej. Charakterystykę uczty weselnej zbywa ogólnikami, nawet o »kołaczach«, prócz wzmianki o uroczystem ich wniesieniu:

> Laską w próg uderzono. Już kołacze dają,
> A przed kołaczmi panie nadobnie śpiewają;

nic więcej powiedzieć nie chce.

Pieśni śpiewane po kolei przez sześć par mężatek, tworzących pochód przy wnoszeniu kołaczy, stanowią zakończenie obrazka.

Ostatnia zwrotka wzywa pannę młodą, by gotowała się do tańca, a muzyce nakazuje zagrać »coś rzeźkiego». Na tem mianowicie kończy swą opowieść poeta. By związać koniec z początkiem, wkłada na zamknięcie całości w usta opowiadających figlarny zwrot do skrzydlatej wróżbiarki:

> Sroczko, z dobrąś nowiną do nas przyleciała:
> Bodajeś i u sąsiad także zakrzeczała.

Na niepospolitą piękność tego utworu złożyły się, obok doskonałej obserwacyi i trafnej charakterystyki duszy dziewczęcej, zalety kompozycyi, polegające na zręcznym wyborze i odpowiedniem rozmieszczeniu szczegółów, proporcyonalności części, a nadewszystko na wybornem stopniowaniu wprowadzonych w grę uczuć i czynności. Najświetniej jednak artyzm poety uwydatnił styl, najdoskonalszy z pewnością, jaki do czasów Trembeckiego wypłynął z pod pióra pisarza polskiego. Cała żywość, naiwność, żartobliwość z odcieniem złośliwości, uprzejmość i dobroć dziewczęcia polskiego odbijają się, jak w zwierciedle, w żywym, giętkim, prostym a tak malowniczym języku poety. Przymiotników spotykamy tu niewiele, bo określenia przedmio-

tów wymagają pewnej refleksyi, niezgodnej z temperamentem dziewcząt opowiadających, ale za to język ich błyszczy od bogactwa czasowników i zwrotów, zaczerpniętych zarówno z mowy potocznej (sroczka krzekce, koń pryska, kleszczą rękami, taniec prędki wiodą, łza za łzą płynie przez oblicze, serduszko taje, strzela myślami i t. p.), jak i z urobionego już przez poprzedników poety języka literackiego.

Dlaczego Szymonowicz w tym jedynie utworze osiągnął tak wysoki stopień doskonałości artystycznej, trudno odgadnąć. Zapewne jedną z przyczyn była wszczepiona w jego duszę za młodu cześć dla pisarzów starożytnych, wiara w ich doskonałość i przekonanie, że tylko ścisłe trzymanie się tych mistrzów może zaprowadzić na wyżynę artyzmu. Ilekroć bowiem zapomina o wzorach próbuje malować otaczające go życie, tworzy obrazki ujmujące prostotą, uczuciem i prawdą.

Jako obraz, odtwarzający nie tyle zewnętrzne cechy postaci, ile subtelne odcienie stanów uczuciowych duszy ludzkiej wogóle, a dziewczęcej w szczególności — »Kołacze« wytrzymują porównanie z najlepszemi w tym rodzaju kreacyami naszej poezyi. Zosia z »Pana Tadeusza«, Klara i Aniela ze «Ślubów« mogą śmiało uznać za swe siostry »Panny« z »Kołaczów«.

Bronisław Chlebowski.

28. Z listów Adama Mickiewicza.

Do A. E. Odyńca, w Dreźnie, II.

Paryż, 23. maja 1833. roku.

Kochany Edwardku!

Odebrałem od Stefana list z Drezna, a razem mam i późniejszą wiadomość z drogi, że on tam znowu zapadł Odgadniesz, ile mię to boli. Stefan jest z ludzi, którzy i drugim i nam tak są potrzebni do życia, a tak ciągle słaby. Pisałem do niego list do Strasburga. Załączam kartkę, prześlij ją, jeśliby Stefan był gdzie zatrzymany chorobą.

Twój listek jest bardzo melancholiczny, co mi się nie podoba. Mało donosisz o tem, co robisz. Czy przepisałeś swoje tłómaczenia? Co z niemi myślisz robić? Jeśli mnie pieniądze przyjdą, wezmę je tu sam drukować; jeśli nie, trzeba je zawsze na świat puścić. Tu możebym przedał wydanie. Wygotuj jedną kopię dla mnie i przyślij do Paryża.

Jeżeli będę mógł, pobiegnę do Szwajcaryi do Stefana. Dotąd siedzę w Paryżu. Robię dosyć wiele; oprócz różnych postronnych, mimojazdowych pisań, kropię moje poema, którego pieśń czwartą dz[illegible] kończę. Żyję tedy w Litwie, w lasach, karczmach, ze szlachtą, z żydami etc. Rzadko gdzie wychodzę; ciągle chodzimy i gawędzimy z Witwickim, moim blizkim sąsiadem, czasem z Zaleskim. Gdyby nie poema, uciekłbym z Paryża. Czytam mało; w domu teraz jadam o południu, po wiejsku, i ledwie mam kiedy potrzebę zajrzeć w miasto.

Proszę cię bardzo o portret twój, Zosi i Stefana. Musisz mieć przecie jaki portret Stefana. Nie odpisałeś mi, czy Lindego w Poznańskie odesłano; bardzo mi to cięży na karku. W tych dniach byłem chory na grypę, alem się wychodził z choroby i teraz zdrów jestem jak ryba. Wzdycham bardzo do dalszych części Dziadów, czasem kawałki do nich sztukuję. Poematu szlacheckiego, jak się przepisze, poślę tobie z mojego rękopismu część przynajmniej. Zosię uściskaj i bądź zdrów, kochany Edwardzie!

Twój Adam.

29. Polowanie na dziki.

Dzień grudniowy mija szybko, zegarek już znaczył pierwszą po południu: więc śpiesznie gończy i psy ruszyli w jedną stronę, my zaś podążyliśmy na stanowiska krętą drożynką w staropiennym lesie jodłowym w okolicy Skolego. Mnie postawiono pod odwieczną jodłą, mogącą bronić od napaści kilkunastu rozjuszonych odyńców. Przede mną pięły się ku niebu zuchwałe drzewa, cisza zapanowała grobowa, a umysł liczył godziny i minuty oczekiwania. Mija

jedna godzina, mija druga; powietrze poczyna się oziębiać, słońce blednąć, a ręce kostnieć; knieja głucha, jedynie szumem i tajemniczym szmerem jodeł śle modlitwę ku niebiosom.

Naraz nakształt niespodziewanego grzmotu wstrząsnął nami głos przeciągły, żałosny, istny lament dusz pokutujących: niebawem pies zaszczekał, inne zawtórowały, ujadanie się rozpoczęło, a z niem gon, szybko ku nam dążący. Dzień począł szarzeć, słońce ustępować; powiew zimny przemienił się w lodowaty wiatr, ścinający krew w żyłach. Wtem widzę: przede mną jakby rój dzików, ruszający się i wirujący; fuka, huczy, rechta i świszcze, a żadnego na cel wziąć nie można, bo niestety muszki na lufie nie można już dojrzeć. Widzę dwie olbrzymie postaci ku psom zwrócone; naszczekujące sobaki, widocznie spłoszone i poturbowane, najmniejszego warchlaka uchwycić nie mają odwagi, a matki po kilku bezowocnych zapędach zbierają do kupy dzieci i strzegą ich walecznie, gotowe do ostatecznego boju. Odległość dzików ode mnie była nie do obliczenia przy zapadającym zmroku. Wtem padł strzał do niesfornego warchlaka, który się wysunął na mego sąsiada. Warchlak kwiknął i runął na ziemię. Samura w susach skoczyła do niego, a przekonawszy się o śmierci widocznie ukochanego dziecięcia, podniosła szczeć, podwoiła swe rozmiary, fuknęła kilkakrotnie i rozwścieklona popędziła na miejsce zadymione, poczęła kłapać zębami, wietrzyć i rozglądać się wszędzie; potem dalej ruszyła, a nie upatrzywszy mordercy, wolnym krokiem, jakby w ciężkiej żałobie, powróciła do stada. Druga samura, niemniej potwornych rozmiarów, już obojętna na napady psów, bacznie słuchała, wietrzyła głośno, stado w kupie trzymała. Nareszcie wolno i rozważnie, nie wietrząc strzelca, pod nogi mu przyprowadziła stado; on już w nocy na odległość kilku metrów strzelił i cała czereda cwałem znikła w cieniach zapadającej nocy.

Tak wielkich i tak rozwścieklonych dzików już po raz drugi nie widziałem w mem życiu. Obraz ten do tego stopnia mnie wzburzył i takie na mnie sprawił wrażenie, że pomimo mego nawet zbytecznego bezpieczeństwa dech mi zaparło, zimno i gorąco naprzemian mię ogarniało, trząść mi się poczęły nogi i ręce, a przez głowę przesunęła mi się

myśl o żyjących jeszcze u nas potworach. Zgromadziwszy się, ujrzeliśmy strugę ciemnej farby, za którą kroczyć nie można było w nocy, tem mniej, że gon psów na drugiej górze przekonał nas o pochodzie całego stada. Noc była ciemna, a do obozu cztery były godziny chodu; wiatr doskwierał, mróz się potęgował, a tu próżne były nasze torby i manierki. Powoli więc, plątając nogami, a dzwoniąc zębami, podążyliśmy do tego raju, jak go nam wyobraźnia nasza przedstawiła, i nareszcie po wielu trudach dobiliśmy się do obozu. Tutaj wódka, wino i herbata obudziły w nas życie, opowiadanie wypadków dnia ostatniego wnet nas ożywiło, a pewna nadzieja, że waleczną samurę jutro znajdziemy, mile nam kołysała umysły. Nareszcie jeden po drugim, otuliwszy się jak najcieplej, poczęliśmy drzemać.

Nazajutrz, zaledwie słońce wychyliło się z poza mgły i jasnymi, choć zimnymi strzeliło promieniami, wyruszyliśmy z obozu i poczęli brnąć po śniegu za krwawym śladem samury. Kiedyśmy przeszedłszy jedną górę, wydrapali się na szczyt drugiej, szepnął mi jeden z górali, że leżeć musi samura. Spojrzałem za wskazującą górala ręką i w znacznem oddaleniu, na białej ścianie, ozdobionej odłamami skał i skąpym, skarłowaciałym porostem, zobaczyłem ku mej największej, nie objętej myślą radości smugę ciemnej farby, jakby wylanej z olbrzymiego węża, znikającą w małej gąszczy z tajemniczem wnętrzem. Przybliżywszy się do tego grobu dziczego, nikt z nas nie zamierzał iść do środka, gdzie żywa lub bez życia spoczywała samura, lecz rozstawiwszy się w koło, puściliśmy na trop jednego z rycerskich psów. Szybko pomknął, lecz zatrzymał się przed gaszczą i począł ujadać przez chwilę dość długą; potem jęknął żałośnie, nie mając śmiałości rzucenia się w krzaki. Nareszcie i umierającej sprzykrzył się ten hałaśliwy napad; powstała i wolnym krokiem posunęła się ku psu z ryjem, czerwoną pianą napełnionym; kłapiąc zębami, starała się psa pochwycić i rzucić pod siebie. Zdawało się, że ten potwór kości zdruzgoce; i niezawodnie byłby to uczynił, gdyby mu siły dozwoliły były powtórzyć natarczywy atak: lecz sił już zabrakło! Siadła więc, krwawem okiem ścigała ruchy psa, zębami kłapała, lecz się już z miejsca nie ruszyła. Tymczasem

koło myśliwych ścieśniało się i otoczyło dzika na kilkanaście kroków z ostrożnością, nikt bowiem przewidzieć nie mógł, co jeszcze uczynić może w tym rozpaczliwym stanie. Kazałem puścić resztę psów, i sobaki, zniecierpliwione, bo je trzymano na drążkach, obces na zwierza skoczyły, szarpać go poczęły i za uszy ciągnąć.

Obrona wobec blizkiej śmierci już była bezowocna. Z wysileniem trącała ryjem psy, usiłowała łapać zębami, aby którego z napastników dostać pod siebie; ale niebawem powaloną ną ziemię zakłuto kordelasem. Było nas trzynastu obecnych, i to nie dzieci, a nie mogliśmy jej ruszyć z miejsca. Widoczne były na śniegu ślady odegranego ubiegłej nocy dramatu. Obiedwie samury z rojem warchlaków dotarły do gąszczy i tutaj ranioną opuściły już siły; musiała towarzyszce powierzyć swe dzieci, pożegnać je i polecić jej opiece, a w końcu do wiecznego snu się ułożyć. Poza gąszczą, na uboczy śnieżnej, niezliczona ilość tropów popisanych wskazywała pochód stada dzików ku połoninom.

W takito sposób zgmęła największa i najwaleczniejsza z samur, jakie w życiu widziałem, istna córa ciepłych, górskich moczarów, wychowana na owsie i kukurudzy.

Kazimierz hr. Wodzicki.

30. Pieśń myśliwska.

Śród opok i jarów
I plonów i głogów,
Śród wrzasku ogarów
I rusznic i rogów;

Na koniu, co w cwale
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:

Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Hop, hop!

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko
Bój zaczął myśliwy.

Czy do chmur wypali
Czy w przestrzeń wśród pól,
Tu zwierza powali,
Stąd leci grad kul.

Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Hop, hop!

Czyj dowcip gnał rojem
Latawców do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary z ich skrzydeł?

Hej, wiatry! w burzliwy
Ozwijcie się chór!...
Zatrąbił myśliwy,
Król ptaków i gór.

Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Dalejże, dalejże tropu w trop, z tropu w trop,
Hop, hop!

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Hej! skały i niwy,
Zadrżyjcie na strzał!...
Wystrzelił myśliwy,
Król borów i skał!

Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Dalejże, dalejże z tropu w trop, z tropu w trop,
Hop, hop!

Adam Mickiewicz.

31. Z puszczy białowieskiej.

Ujrzeliśmy nareszcie widnokrąg zamknięty pasem boru. Była to puszcza. Dojrzeć ją można z większej odległości, niż inne lasy, nie tylko z powodu równości gruntu, ale z powodu ogromu drzew i wielkiej głębi obszarów leśnych. Skutkiem tych głębin puszcza odrzyna się na skłonie nieba niezmiernie czarno, bez porównania wyraziściej i twardziej niż knieje, jakie zdarzyło mi się widzieć w Królestwie. Gdyśmy zbliżyli się jeszcze więcej, przed nami była jak gdyby wstęga kiru, której końce szły dalej, niż wzrok. Ciągnie się też puszcza siedm mil wzdłuż i pokrywa 22 mil kwadratowych.

O ile mi wiadomo, jest to największy las w Europie. Drzewa też w nim nie ustępują wyniosłością i grubością żadnym innym. W pierwszej chwili jednak nie mogłem sprawdzić tego własnemi oczyma, gdyż zaraz z brzegu gościńca, wiodącego przez puszczę, ogarnął nas mrok. Za puszczą było jeszcze dość widno, gdyż słońce ledwie co zaszło, ale odblaski zorzy z trudnością przedzierają się przez mroczne głębie, a odwykłe od lasów oczy tem mniej widzą, im naglej przechodzą z światła w cienie. Gościniec tylko bielił się między dwiema czarnemi ścianami, które

jednak o kilkadziesiąt kroków dalej zdawały się zlewać ze sobą. Droga jest równa, szeroka, okopana rowami. Idzie ona do Białowieży, leżącej w środku boru, potem dalej przez całą puszczę.

Jest to dawny gościniec królewski. Ujechawszy do ośmiu wiorst drogi wozem, resztę szliśmy piechotą aż do osady leśnika, w połowie drogi do Białowieży. W osadzie tej mieliśmy zamieszkać przez czas pobytu w puszczy. Noc zapadła zupełna. Nad gościńcem widać było pas nieba, zasiany gwiazdami, a tam gdzieś daleko, na brzegach leśnych, wschodził księżyc. Jednakże promienie jego nie rozświecały wnętrza puszczy, które przysłaniał opar, podnoszący się z wilgotnego gruntu. Było ono zamglone, zmącone, ciemne. Czarne sylwetk drzew przydrożnych rysowały się ledwie widomie dla oka, a dalej drzewa, opar i ciemność zlewały się w jeden nieprzenikniony bezkształt. Nie poruszała się żadna gałąź. Wszędzie cisza nieprzerwana. Czasem tylko zaskrzypiało koło wozu, idącego za nami. Mimowoli poddawaliśmy się tej ciszy i rozmawialiśmy półgłosem. Jeśli każdy las sprawia w ciemnościach pewne drażniące wrażenie czegoś nieznanego i tajemniczego, tembardziej musi sprawiać je puszcza tak wielka, w której się jest po raz pierwszy.

Tymczasem księżyc żeglował coraz wyżej i wyżej. Gościniec rozwidnił się, wilgoć połyskiwała we wklęsłościach drogi, a opar poczynał zesuwać się ku dołowi. Do osady leśnika było już niedaleko, gdyż od czasu do czasu słyszeliśmy szczekanie psów. Szliśmy jeszcze z pół godziny, poczem droga otworzyła się nagle w niewielką polankę leśną. Sama osada leśnika składała się z dworku, lamusa, w którym przechowywują się skóry żubrze, i ze stodoły.

Rankiem wyszliśmy pod przewodnictwem leśnika, obiecano nam bowiem widok żubrów. Po dniu można się było doskonale puszczy przypatrzyć. Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedynczych straży, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk rosną tu obok siebie w bezpośredniem sąsiedztwie. Spoglądając w dal, widzisz wszystkie odcienie zieloności — od ciemnej aż do jasno-żółtawej. Roz-

maitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny, jednostajny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, którego tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie rozrasta się tam szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Lipy, które w ogrodach przykrywają cieniem gałęzi takie szerokie przestrzenie, tu podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Owoż i w tych miejscach dostrzegamy przedewszystkiem gładkie, smukłe pnie, podobne do szeregów masztów, ustawionych obok siebie i nakrytych jedną zieloną kopułą. Dąb nie krzywi się w puszczy, nie zawiązuje w węzły, ale wyrasta jak trzcina. Sosny mają 24 metrów do pierwszych gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła, wyrasta więc cienki, gonny — rzekłbyś: drzewo o grubości myśli dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może. Stare drzewa stoją jednak dość rzadko. Młodzież pod niemi przeważa. Tylko w części znajdują się miejsca, pokryte jednolitym starodrzewem, stojącym w zbitych masach. Ale tam też, u stóp olbrzymów, z powodu wiecznego mroku młody las rosnąć nie może; tam ledwie gdzieniegdzie tuli się paproć blada, rdzawa — zresztą grunt pokryty jest tylko uschłem igliwiem, zwiędłem liściem, próchnem z umarłych dawno drzew, które nocą świeci błękitnie, i zwałami.

W tej części, którą przechodziliśmy teraz, olbrzymy stoją pojedynczo, jak strażnicy, jak ojce. Pod nimi młoda gęstwina się zieleni. Grunt zwierzyńca, nizki i wilgotny, w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, pochylał się coraz bardziej i stawał się miejscami bagnisty. Wytężaliśmy wzrok, czy gdzie wśród zieleni nie zobaczymy żubrów. Chłopi, których trzeba nająć umyślnie, znalazłszy stado, naganiają je na zwiedzających i wówczas, schowawszy się za sosny, można przyjrzeć się mu dokładnie. Należy tylko uważać, by nie wychylić się zawcześnie, bo spostrzegłszy ludzi przed sobą, spłoszone zwierzęta zmieniają natychmiast kierunek i nikną, nim oko pochwycić zdoła ich kształty.

Przez długi czas szliśmy w milczeniu, wytężając wzrok i nie widząc nic. Naokoło rozlegało się tylko kucie dzięcio-

łów w spróchniałe sosny, krzyk sojek i żołn. Droga stawała się błotnistą. Gdzieniegdzie błyszczały dość głębokie kałuże wody, w których kąpią się jelenie. Miejscami widać było wyraźnie odciśnięte w błocie ślady potężnych racic żubrowych — ale na żubry nie mogliśmy trafić. Natomiast coraz częściej pierzchały w oddali jelenie, których rudawa odzież miga, jak błyskawica, wśród zieloności Puszcza stawała się gęstszą. Nakoniec zeszliśmy stadko łań tak blizko, że można się im było dokładnie przyjrzeć.

Krótko to jednak trwało. Wkrótce wysmukłe szyje poczęły się chwiać i podnosić, rozwarte, ruchome nozdrza badały niespokojnie powietrze, nastawiane uszy poruszały się szybko — i nagle stado mignęło, zaszeleściały zarośla. Kilka grzbietów błysnęło ponad krzakami i znikło.

Zrobiliśmy mały odpoczynek.

Po chwili zjawił się jeden z budników. — Schowajcie się, schowajcie! — wołał. Zaraz będą szły tędy. Skoczyliśmy coprędzej do sosen — żubry szły rzeczywiście.

Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyncze sztuki. Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitymi kudłami, zwieszającymi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas czy też zwietrzywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtora sta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne.

Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu. Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić

się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z nimi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze poprzednio. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy.

Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać ze obą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwał się nie dalej, jak o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czas jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, mieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem, a małą resztą ciała, myrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu i tę widzieliśmy najlepiej. Małe jej nie tylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniej się boją, niż ludzi, przybyłych z daleka i noszących nieznane im ubiory.

Wogóle jednak żubry są płochliwe i gdy ranny jeleń rzuca się na strzelca nader często, żubr, należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich posępnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje na poprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki i nie ustępuje nie tylko pojedynczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać swą olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawemi oczyma wydaje głuchy mruk, podobn do chrząkania i chrapania zarazem, i rzuca się na oślep. Naówczas biada zaczepionym. To też chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdalej. Bywają także wypadki, że żubr w ostępie rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni lub jeśli nie chce strzelać, jest: uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubej sosny,

która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością strzelca, depce go i rozmiażdża racicami, potem porywa na rogi i ciska w górę.

Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszów, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potem, iż zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką, sposobem wyżej wspomnianym.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnętrznie mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu. Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz litwin nie ustępuje amerykaninowi ani o też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo gdy bizonów są jeszcze na wysokich i nizkich stepach setki tysięcy, liczba żubrów nie przenosi sześciuset sztuk. Za rządów pruskich liczba tych zwierząt zmniejszyła się była tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów da się wytłómaczyć po części złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, po części rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach, wiodących przez ostępy, zwiększa się, nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czując się swobodnym.

Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś niema już kłusowników i szkód między żubrami. Wiemy od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczystości do dziś dnia zastawiają w chatach żubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest potrosze kłusownikiem. Latem trudniej im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głuszy

strzał, a śnieg zasypie ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu.

Jeździliśmy na wózkach budników do Zamczyska i do Białowieży.

Niebo dopisywało nam znakomicie, dni były prawdziwie jesienne, blade, ale pogodne, tą smętną i chłodną pogodą jesieni, która zdaje się być ostatnim uśmiechem słońca przed zimą. Zabarwiony na czerwono liść spływał milionami z drzew na ziemię, napełniając puszczę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego napróżno szukać poza nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkiem, nawet o sobie samym; można rozmiłować się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite.

W głębokich przestrzeniach leśnych grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bladem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań i łagodnych połączeń każdej barwy, a nad wszystkiem jakaś melancholia jesienna. Taką wzorzystą puszczę widzieliśmy szczególniej podczas wycieczki do Zamczyska, w ostępie tym bowiem klon, dąb, sosna i inne drzewa rosną w pomieszaniu obok siebie. Ostęp zwie się Zamczyskiem, gdyż niegdyś stał tam zamek. Ale napróżno pytać ludzi i kronik, kiedy to było. Dziś są to kupy ogromnych głazów, między którymi wyrastają stuletnie drzewa. Czasem laska, wetknięta między dwa głazy, zapada nagle jakby w jakieś podziemie; czasem grunt się ugnie pod nogą, czasem uwagę zwróci dół czworoboczny, obramowany głazami — widocznie ślady budowy — ale nic więcej.

Pod staremi drzewami szarzeje gęstwina umarłych dąbków i grabów, pokrytych srebrnym mchem. Tu rośnie także suche drzewko, dziwna roślina, która wydaje się uschłą, a jednak żyje i rośnie. Chłopi mówią, że niema jej nigdzie za puszczą, w puszczy zaś upodobała sobie szczególnie tę miejscowość.

Białowieża leży w samym środku puszczy; jest to zamożna, ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości. Nazwę swą zawdzięcza ona zapewne, jak i cała

puszcza, jakiejś białej wieży, która kiedyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — nikt nie pamięta.

Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworków wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty, oświecony i dawnych czasów pamiętny. Podania tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącej na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i zczerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie. Niedaleko od cerkwi wznosi się pawilon cesarski, zbudowany w stylu wiejskich domów moskiewskich, z wysokim dachem, powycinanymi słupami i mnóstwem koronkowych ozdób, rzniętych w drzewie.

Lud, w puszczy osiadły, zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty, odłączony, rzecby można, od reszty świata, uległ on mniej zewnętrznym wpływom, zachował więcej dawnych zwyczajów, tradycyi i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem, puszczy przyległych. Lud to przytem, który nie znał nigdy pana — puszcza była królewska — więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą był wolny. Wsi puszczańskie zamieszkane są przez Litwinów, Rusinów i Mazurów. Ci ostatni, sprowadzeni przed wiekami dla wyrabiania smoły, terpentyny i potażu, zamieszkują niektóre wsi całkowicie, w innych pomieszani są z Litwą i Rusinami. Puszcza, lub inaczej mówiąc, jednakie warunki bytu wyrodziły i cechy jednakie w mieszkańcach, tak, że nie różnią się oni między sobą ni ubiorem ni sposobem życia ni typem twarzy. Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubiór ich stanowi szara siermięga, sięgająca kolan, płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem, okręconym koło nogi, czem nie różnią się zresztą od swych zapuszczańskich sąsiadów. Co mnie w nich uderzyło, to nadzwyczaj delikatna cera, jakiej gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją oni zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych niewielu pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie, zamyślone, niebieskie oczy

Lud to trzeźwy, gościnny i nadzwyczaj pobożny. Po zniesieniu kościoła w Narewce mają teraz cztery mile do swej parafii w Narwi, a jednak jeżdżą do kościoła, jak tylko mogą najczęściej. Puszczę swoją kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Ponieważ była między nami mowa o tem, że dla zwierzostanu puszczy lepiejby było przenieść wsi na zewnątrz niej, spytaliśmy powożącego nas budnika, czyby nie zgodzili się na to, gdyby im dano dwa razy więcej ziemi.

— Za nic, panie! — odpowiedział swoim śpiewnym, pieszczonym głosem. — W puszczy najlepiej; a tam tak goło... widno... Ot, żeby panowie wiosną przyjechali, to u nas ślicznie! Ach! Ach!

Jaka szkoda, że ten tak ciekawy lud tak mało, jak dotąd, zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni.

Mnie i moim towarzyszom miłoby było dłużej z ludem i puszczą przestawać, poznać wszystkie jej zakąty i tajemnice, zanurzyć się w nią głębiej, zżyć się z nią lepiej; ale po kilku dniach musieliśmy niestety zaśpiewać Mohortową piosenkę:

»Czas do domu, czas!
Zabawili nas«!

Przytem niebo zawlekło się chmurami i począł padać deszcz, obfity a uparty. Zasępiła się cała puszcza i zaszła mgłą. Bagienka wezbrały. Niepodobna było robić wycieczek. Słotna jesień zastępowała pogodną. Siedliśmy tedy na nasz wóz podróżny i po kilku godzinach wyjechali na świat otwarty.

Henryk Sienkiewicz.

---

32. Muzyka lasu.

LEŚNY DZIADEK i GŁUPI MACIUŚ (*siadają przed norą*).
(*Milczenie*).

GŁUPI MACIUŚ (*po chwili*). Dziadu! tak w tym boru cicho...
Tak cichusieńko!...

LEŚNY DZIADEK: A jużci,
Odkąd w tym przeklętym stawie

Nie tłucze się ono licho
Dzwonami...
GŁUPI MACIUŚ: Ino zasuści
Wiater po łozach, po trawie
I liściem na drzewach rusy...
Strzepną się ta kajsi ptaki
I tyla!...
LEŚNY DZIADEK (*po chwili*). W tej leśnej głuszy
Jestci takie ciche granie,
Jakoby muzyki jakiej...
GŁUPI MACIUŚ: Ono się tak wsędy głosi
Po świecie i na polanie,
Kędy bez dzień pasę krowy;
I kiej na połednie gonię,
To i w polach kajsi cosi
Gra i gra... Ten gaj wierzbowy
Podle młyna i te błonie —
Wsyćko ma głos, a po rosie
Wiatrem się to nosi... nosi...
(*po chwili — zwolna*).
Wiecie wy, kiedy najwięcej?
Kiej za Jaśka pasę konie,
A tu wkoło nocka carna:
To ja se legnę pasęcy
Na serokim, na wygonie,
A tu gwiazdy jak te ziarna
Złote, ozsiane po roli...
I nic — ino pies zasceka,
I cicho. A tu powoli
Woła mnie cosi z daleka...
I załośliwość mnie chyta
Okrutna i takie smutki,
Ze nie wiem... Bo i ktoby-ta
Mógł wiedzieć, co na człowieka
Przychodzi. A ja samiutki
Jak palic w tę nockę ciemną.
Ino się słowik nade mną
Urzewnia i tak mi gada:
— »Biednyś — biednyś!
Boli — boli — boli!...
Oj, tak — tak!
Zal mi cię, zal, zal, zal!
Maciuś-ciuś-ciuś-ciuś-ciuś!
Biednyś! — Oj tak!
Ciérp, ciérp, ciérp, ciérp, ciérp«!
LEŚNY DZIADEK: To słowik do ciebia gada
I powtarza twoje imię?

A inszą mowę ptaszęcą
Znasz-li?
GŁUPI MACIUŚ (*z miną znawcy*). A znam ta co nieco.
LEŚNY DZIADEK: A wróble?
GŁUPI MACIUŚ Wróblego stada
Śmiech posłuchać, jak to w zimie
Kole stodoły się kręcą:
Spatrzeć chcą. Jaz za topolą
Wsyściuśkie chmarą się zlecą
I tak do siebie świergolą:
— »Wiés, gdzie psenica?
— Wiem — wiem! — Wiés? — Wiem! — Wiés? — [Wiem!
— Lećmy, lećmy! Mnie ćwierć, tobie ćwierć!
— Mnie ćwierć, tobie ćwierć!
— Ćwierć! ćwierć! ćwierć! ćwierć«!
(*Śmieją się obaj. — Milczenie*).
LEŚNY DZIADEK: Któż cię tej mowy ptaszęcej
Uczył?
GŁUPI MACIUŚ: A ktoby? Dyć przecie
Sam słysę, bydło pasęcy!
LEŚNY DZIADEK: A każdy cię głupim zowie?...
GŁUPI MACIUŚ: Ono tak widno być musi,
Zem głupi... Boze na świecie!
Nie mam tego zmysłu w głowie,
Co trza! — Jesce u matusi
To tam dobrze było wprzódziej,
Pókim miał matusię swoją;
Ale na służbie u ludzi!...
Mocno trzymam — mówią: Zdusi«!
Słabo trzymam — mówią: »Puści«!
I śmiechy ze mnie stroją...
Ano!... (*Macha ręką*).
LEŚNY DZIADEK: I biją?
GŁUPI MACIUŚ: A juźci!
Nie biliby? Młynarz stary
I Jasiek tez i Maryna...
Oni wsyscy mają ręce...
Co mi ta?! Ja se fujary
Na pociechę z wierzby kręcę,
To ta cłowiek zapomina
I o biciu i o głodzie.
Kiedy fujarę udłubię
I gram onemu lasowi
I gwiazdom gram i tej wodzie,

I gram wselkiemu ptakowi.
Wiécie? ja grać straśnie lubię!
(*Długie milczenie*).
Dziadu? Prawda? Kwiat paproci,
Co na święty Jan zakwita
I tak się pali a złoci
Kieby gwiazda rodowita
Z nieba jasnego... doprawdy?
Cy jest moc taka w tym kwiecie,
Ze kto go najdzie, to zawdy
Ma, co ino chce, na świecie?

LEŚNY DZIADEK: A czemuż ty pytasz o to?
Chciałbyś skarbów mieć bez miary?
Chciałbyś mieć koronę złotą?
Królem chcesz być?

GŁUPI MACIUŚ (*z pogardą*) Nie! — Na flecie
Chciałbym grać... A tu daremnie
Człowiek se fujary struga...
Kręcę z wierzbowego łyka
I dłubię w brzozowej korze,
A myślę: nie ta, to druga
Wygra wsyćko, jak się patrzy,
Wygra niebo, wygra zorze,
I ten miesiącek, co bladsy
Srybła, i słonko, jak wstaje,
I nad rzeką te opary,
I wygra wsyćko, co kwitnie,
I te pola i te gaje...
Bogać-ta! Takiej fujary,
Jak trza, nijak człek nie wytnie!...
(*Wstaje i zabiera się w drogę*).

Lucyan Rydel (Zaczarowane koło).

---

33. Z listów Adama Mickiewicza.

Do A. E. Odyńca, w Dreźnie, III.

Paryż, dnia 13. listopada 1833 roku.

Kochany Edwardzie!

Przybyłem do Paryża z chorobą, która mi przez kilka miesięcy dokuczała, chodząc po zębach, głowie, piersiach. Zamknąłem się i po trzech dniach kuracyi wypędziłem

wszystko złe; jestem znowu zdrów i świeży. Wziąłem się do roboty, wychodzę rzadko, piszę a piszę. Piątą pieśń Tadeusza skończyłem, trzy jeszcze zostają. Wyjątki tobie trudno przesłać, bo z nich nic się nie dowiesz, jak z kilku kart wyrwanych z Walter-Scotta[1]) (wybacz nieskromne porównanie), a całość zbyt jest obszerna. Czekaj więc ogłoszenia.

W liście twoim pytasz o szczegóły ostatnich dni naszego Stefana. Nie czuję się w humorze pisać o tem. Zostawmy to do przyszłych rozmów ustnych. Dziwaczysz sobie, myśląc, że Stefan miał przeciwko tobie jakieś nieukontentowanie za jakieś dysputy. Stefan mile zawsze ciebie wspominał i twoją Zosię, o której mnie wiele mówił i którą bardzo szacował. Kiedy mu czytałem twój list w Bex, gdzie pisałeś o projekcie przyjazdu do nas, o gospodarstwie przyszłem: Stefan, niezmiernie słaby, wzruszył się aż do łez, i zdawało mu się, że cały ten projekt wkrótce przyjdzie do skutku. Nalegał na mnie, ażebym nie puszczał w zapomnienie owego listu. Dysputy i wszelkie małe przykrości, które sobie wyrządzamy w życiu, tak się zapominają między przyjaciółmi, jak małe odmiany powietrza latem. Inaczej nie byłoby przyjaźni. Ilużto najlepszym przyjaciołom nieraz ja dokuczyłem i oni mnie. Nieraz nawet Stefanowi w czasie jego choroby, nie mogłem wstrzymać się, aby co przykrego nie powiedzieć, albo milczeniem zagniewanem karciłem dziwactwa słabości, którym trzeba przebaczać. My, mężczyźni, nigdy nie osiągniemy tej doskonałości moralnej w pobłażaniu i przebaczaniu; przekonałem się o tem, patrząc na Potocką[2]). Jeżeli twoja Zosia jest taką, to jest czego tobie winszować.

Gadałem z Jełowickim o interesie. Za *Czcicieli ognia* ofiaruje ci tyleż, co za *Korsarza*[3]), pod tymiż warunkami. Jabym życzył zgodzić się, bo czasy teraz złe dla literatury.

---

[1]) Walter Scott, poeta angielski (1771—1832); pisał ballady, powieści poetyczne i powieści historyczne. — [2]) Klaudya z Działyńskich Potocka. — [3]) Są to powieści poetyczne, tłomaczone przez Odyńca: *Czcicielе Ognia*, powieść Tomasza Moore'a (1780 — 1852), *Korsarz*, powieść Jerzego Byrona (1788—1824).

Odpisz więc, a lepiej przyślij rękopism; mając w ręku, rzecz się łatwiej zrobi. Na przypadek potrzeby pieniędzy, mógłbym ci zaraz część przesłać. Bądź zdrów. *Adam.*

34. Wieczór wigilijny na Syberyi.

Jeżeli wieczorem, w czasie mrozu wielkiego, przechodząc przez puste ulice X., dojdziesz do końca ulicy Kozackiej, znajdziesz się w punkcie, skąd jak na dłoni przedstawi ci się mniejsza dzielnica miasta, oddzielona od głównego grodu w tem właśnie miejscu, starem, zamulonem łożyskiem rzeki. Im bardziej mróz ci dopiecze, z tem większą przyjemnością zatrzymasz się na tym punkcie, aby ucieszyć się widokiem, który stąd się roztacza. Mnóstwo jaśniejszych i bledszych, silniejszych i słabszych światełek widnieje tu zawsze, nawet przez mgławicę śnieżną. W kraju bezludnym, pustym, widok większego siedliska ludzkiego jest tak pociągający, że nie przechodziłem tędy ani razu aby nie nakarmić oczu tym tak widomym dowodem siły i żywotności człowieka. Znam tu już każdy dom. Najbliżej błyszczą jasnem światłem domy bogatszych kupców i urzędników, dalej podobne do jurt[1]) domy kozackie, jeszcze dalej dom szewca i dyaczka zarazem, kuźnia Jana Piętrzaka, jeszcze dalej, ledwie widzialne z poza szyb lodu, błyszczą słabe światełka z jurt jakuckich i poza niemi — koniec życia, bezbrzeżne śnieżne obszary.

O, jakże zimno tam być musi! jakże opuszczonym, jak słabym czuje się człowiek samotny wśród tych obszarów, zasypanych śniegiem, błyszczących lodem, czerniejących tajgą ponurą, ziejących mrozem, mrozem i tylko mrozem!

To też pamiętam to dobrze, drgnąłem i serce uderzyło mi silniej, gdy jakoś parę tygodni temu zatrzymawszy się jak zwykle na wzgórzu, ujrzałem poraz pierwszy, jak z pustej przestrzeni, zaczynającej się za jurtami jakuckiemi, słaby, słabiutki ogień błysnął mgławem światełkiem, znikł i pokazał się znowu. Przywidzenie, czy co?! Nie wierzyłem

[1]) Jurta, namiot, np. tatarski, kirgiski.

oczom własnym, przetarłem je raz i drugi, ale ogień sierocy, daleki, odcięty od siedzib ludzkich, migoce coraz wyraźniej.

Długo stałem tu wówczas, nim domyśliłem się nareszcie, że to straszny, wyklęty dom, z przestrachem wymijany dom przez ludność miejscową, świecił ogniem samotnym. W domu tym, kiedyś, przed laty konali ludzie chorzy na ospę[1]), ale do dziś każdy z miejscowych mieszkańców prędzej zmarznie, niż wejdzie do tego domu. Domyślić się już w żaden sposób nie mogłem, ktoby tam odważył się rozniecić ogień w nocy. Przechodził właśnie Jakut jakiś koło mnie, zatrzymałem go więc, i wytłómaczywszy, jak mogłem, o co mi chodzi, zapytałem, czy nie wie, skądby się ogień wziął w dawnym szpitalu. Jakut słuchał mnie uważnie, dopóki nie rozumiał, o co się pytam, ale jak tylko pojmować zaczął, cofnął się o krok, dwa, trzy, a gdy następnie zrozumiał zupełnie, zdjął czapkę i wrzasnąwszy głosem nieludzkim: »Kabyś abasá!«[2]) uciekł przerażony.

Na drugi dzień dopiero dowiedziałem się, że w domu zadżumionym kilku Polaków, ludzi bez jutra, nie mających dachu nad głową, zamieszkało na stałe. Czasami, choć nie na długo, tulili się tu także i tacy ludzie, których losy chwilowo tylko pozbawiały właściwego przytułku.

W taki to sposób poza miastem w opuszczonem pustkowiu uformowała się mała kolonia, składająca się z ludzi dwóch typów: stałych i czasowych pustkowia mieszkańców. W pustkowiu tem bywałem dość często i teraz oto, po dość długim namyśle, wigilię postanowiłem przepędzić tamże.

* * *

Około godziny piątej wyruszyłem z domu, zdając się na łaskę i niełaskę mrozu, który, gdyby tchnął swym zabójczym »chijusem«[3]), wbrew wszelkim z góry ułożonym planom, mógł mnie wegnać do najbliższego znajomego do-

---

[1]) Ospa jest tu chorobą nierównie straszniejszą, aniżeli u nas. — W czasie epidemii ospy wymierają doszczętnie całe liczne, bo po kilkaset głów liczące rody. — [2]) »Kabyś abasá« = idź precz szatanie! — [3]) Tak nazywają Jakuci ruch wysoce oziębionego powietrza.

mu, ale na szczęście moje, choć mróz był piekielny, cicho było jak w grobie. Straszny »chijus« nie wyszedł jeszcze ze swych kryjówek biegunowych i powietrze stało nieruchome, zastygłe. Dzięki tej okoliczności bez szwanku dotarłem do miejsca.

W dwóch nieopalanych pokojach, przez które przejść musiałem, aby się dostać do mieszkalnej części domu, ostro i przeraźliwie dźwięczało echo śniegu skrzypiącego mi pod nogami; wydawało mi się nawet, że zimniej tu jest, niż na dworze. Okna zabite były deskami, więc w ciemności nieprzejrzanej utykałem co chwila to na garnek rozbity, to na inne sprzęty połamane, ale choć z hałasem rozbijały się graty, głośno piszczały zardzewiałe zawiasy, nikt z będących tu ludzi nie wyjrzał nawet, nikt nie zwracał uwagi. Wchodzę nareszcie do mieszkania ludzkiego.

W dużym pokoju nie o wiele jednak widniej, niż w pustych stancyach, przez które tylko co przechodziłem. Cienka łojówka na nizkim warsztacie szewskim słabo oświeca zaledwie jeden kąt pokoju. Przy warsztacie pracuje dwóch ludzi.

Siedzący bliżej, wysoki i chudy mężczyzna, szewc z urodzenia niejako, wbija w podeszwę, wprawną i pewną ręką, sztyfty drewniane. Dostał się on do miasta niedawno, ale ma już roboty dosyć i w pustkowiu napewno długo się nie zasiedzi.

Drugi, siedzący dalej mężczyzna ze śliczną męską twarzą, znacznie niższy od p. Józefa, wyrównywa i wygładza obcas, ale powoli, bez owej szparkości, z którą pracuje p. Józef. Dość spojrzeć na twarz niższego szewca, aby odgadnąć, że człowiek ten nie przy warsztacie siedział niegdyś. Rzeczywiście, p. Jan Horodelski był niegdyś słuchaczem medycyny, później... ale o tem, czem on bywał później i we dwa wieczory nie opowiedzieć, teraz od lat już pięciu jest on szewcem i, powiedzmy prawdę otwarcie, szewcem-pijakiem. Nałóg jego nie pozwala mu nawet pomyśleć o zaprowadzeniu własnego warsztatu, więc też tuła się on po wszystkich warsztatach tutejszych, pracując cudzem narzędziem i ciężko mu bardzo. Za naczynie każdy właściciel pobiera

znaczny procent i nawet p. Józef niewiele podobno odstąpił mu od ceny, pobieranej od innych majstrów.

Harda to niegdyś i rogata była dusza, ale życie starło ją i wdeptało w takie błoto, z którego wychodzą cało dusze nie tylko piękne i szlachetne, ale i silne zarazem. Horodelski nie miał tej mocy, której nie gną żadne burze, i był dziś stałym mieszkańcem pustkowia. Jego dni na ziemi są policzone; rozum, oświata, którą posiadał niegdyś, dają mu teraz zupełną świadomość swego położenia, a jaką napełniają goryczą, o tem zapewne nikt nigdy nie dowie się na ziemi.

Czy to piętno zagłady wyryte na jego czole, czy też może inne, głębsze przyczyny, nadają twarzy jego szczególny wyraz. Powiedziałem wyżej, że twarz ta była piękna męską pięknością, i dodać winienem, że tchnęła ona łagodnym, miękkim wyrazem i napiętnowana była nieopisanym jakimś smutkiem. W obejściu był on inny trochę; i sposób wyrażania się i maniery często zdradzały wpływ otoczenia, w którem oddawna się znajdował — często, ale nie zawsze; mógł on jednak zapanować nad sobą i wtedy na twarzy jego zjawiała się nowa cecha człowieczeństwa, jeszcze nie startego zupełnie: rumieniec wstydu nad położeniem swojem.

Szewcy, gdym wszedł, jak przystoi ludziom pracującym, nie poruszyli się nawet na swych stołkach; rozebrałem się więc i oczyściłem z zamarzłego lodu w milczeniu i dopiero, gdym podszedł ku nim bliżej, podniosły się obie nachylone głowy, witając mnie przyjaznym uśmiechem. Pan Józef ze względu na sztyftów parę trzymanych w zębach, podał mi rękę, mrucząc coś nieokreślenie i puścił ją natychmiast w ruch automatyczny; Horodelski po przywitaniu obejrzał obcas jeszcze nie skończony i stawiając but na ziemi, wyrzekł z westchnieniem: »I dieło s koncom«.[1]) Było to ulubione przysłowie jego.

— Co skończone? — zapytałem jednak.

— Wszystko — brzmiała również stereotypowa odpowiedź.

---

[1]) I sprawa skończona.

— Tylko nie obcas — mruknął pan Józef, wyjmując ostatni sztyft z zębów.

— A właśnie, może i obcas, jeżeli, rozumie się, nie rzucę tej ruiny przeklętej i nie wrócę znowu do dyaczka — odparł żywo Horodelski.

— A czy tu panu źle, czy co? — przekomarzał się pan Józef. — Warsztat chwała Bogu dobry, naczynia dosyć, a i pokojów, choć *kotrydansa* wywijaj.

Ale Horodelski nie słuchał i ciągnął dalej:

— Tak, bardzo być może, że rzucę to szewstwo moje, jeżeli tylko póki czas do dyaczka się nie przeniosę. Rzucę, bo szewc ten oto dowiódł mi czarno na białem, że psu na budę nie zdało się to rzemiosło moje, że partaczem jestem i szewcem tylko u dyaczka partacza być mogę.

Pan Józef zachychotał wysoce zadowolony i już się zabierał do odpowiedzi stosownej, gdy bas poważny:

— *Cy u djacka, cy nie u djacka, a siewcem nigdy pon nie bandzie* — przerwał mu w chwili najwłaściwszej.

Bas wychodził z ciemnego kąta tegoż samego pokoju. Spojrzałem więc tam uważniej.

Na tapczanie dość nizkim siedział ze spuszczoną głową, ustawicznie z lulki pykając, chłop okazały, zwykle Bartłomiejem, rzadziej Bartkiem owczarzem zwany.

— Dla czegoż nie? — zapytałem, witając się z mówiącym.

— *Dlatygo ni* — odparł Bartłomiej — *że nijaki stworzenie od przeznacynia swoigo ucic ni moze...*

— Przecież to co innego zupełnie!

— *Ono widzi się tak tylo, co insego, a w rzecy jedno, bo choćby jo som na ten przykład: od roboty, już i nie mówićby mi o tem, nie uciekam, ale nie idzie mi przecie. A dlacygoj? Dlatygo, ze nie przy swojej robocie stojem...*

Bartłomiej był czasowym mieszkańcem pustkowia. — Chłop to był wielkiej zacności, ale fatalność jakaś ciężyła nad nim; pracowity, uczciwy, nigdzie jednak nie mógł znaleźć zajęcia, któreby mogło uwydatnić jego przymioty, zwrócić nań uwagę. Niedawno przybył on tu, ściągniony

obietnicami jakiegoś dostawcy; obietnice nie ziściły się i Bartłomiej, korzystając z chwilowego przytułku, oczekiwał tylko, dopóki nie spadną trochę mrozy, aby wyruszyć w odwrotną drogę.

W drugim pokoju znajdowało się jeszcze dwóch stałych mieszkańców pustkowia: ślusarz Porankiewicz i exobywatel, niegdyś jaśnie wielmożny, p. Feliks Babiński.

Gdym wszedł, Porankiewicz dłubał coś około swego stolika, nazwę warsztatu noszącego. Blady, chudy i drobny, jeszcze drobniejszy wydawał się wskutek pochyłego trzymania się; chodził tak zgięty, że zapewne rzadki starzec przewyższał go w tym względzie.

— A wyprostujże się pan choć raz! — mawiałem mu nieraz.

— Chi, chi, chi! — śmiał się dobrodusznie Porankiewicz — ziemia, ziemia kochany panie, wyprostuje już mnie chyba! Od dziesiątego roku życia przy warsztacie, od rana do nocy, to i stal się wygnie powoli.

Życie tego człowieka było prawdziwą Odysseją, tylko on biedaczysko Ulissesem nie był nigdy. Złe losy obegnały go po wszystkich ziemiach syberyjskich i dogorywać wypadło mu w najgorszej.

Babiński, gdym wszedł, spał; wstał jednak, usłyszawszy naszą rozmowę. Wysoki, barczysty, był on silny fizycznie, a jego twarz ciemna, okolona czarnym jak węgiel zarostem, z wielkiemi nastroszonemi brwiami miała zawsze wyraz surowy. W pracy niezmęczony, mógł i umiał pracować i jeszcze do niedawna jak wół pracował.

Są w Rosyi konie pociągowe, bitiugami zwane, czarne, złe, rosłe i silne niezmiernie. Idzie sobie bestya taka krokiem równym, miarowym, bez cienia wysiłku, a zapytaj, ile ciężaru na teledze?[1]) — 60 pudów[2]) co najmniej, a często i sto ciągnie.

Babiński do bitiuga był podobny i chodził tak nawet, jak bitiugi chodzą. Gdy pójdzie, bywało, krokiem wielkim, posuwistym, nigdy mu nie nadążysz. Wszystkie zakupy z miasta: chleb, mięso, wódkę, on zawsze nosił, bo nikt tak

[1]) Telega, wóz ciężarowy w Rosyi. — [2]) 1 pud = 16·381 klg.

prędko nie chodził i nikt tak mrozu, choćby największego nie znosił.

Twardy to człowiek okrutnie, a ile ciężaru ciągnie nieraz za sobą, nigdy się nie domyślisz — »bitiug« prawdziwy! Miał on prócz tego jakiś spryt szczególny, który go już nieraz z toni prawdziwej ratował; on to zajął pustkowie i był gospodarzem *de iure*, a co jeszcze dziwniejsza, umiał odnaleźć Jakutkę, brzydką, jak piekło, ale uczciwą, jak tylko dzicy ludzie bywają, która zgodziła się być kucharką w kolonii. Eudoksya tedy była szóstą duszą w pustkowiu.

* * *

Nie wszyscy mieszkańcy pustkowia zgodzili się od razu na uroczysty obchód wigilii. Bartłomiej, i, co dziwniejsza, Horodelski, opierali się najdłużej. »Nie i nie! — upierał się Horodelski — wódki mogę wypić, ile chcecie, zjem, co dacie, ale wigilia? Nie!« I dopiero gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiewicz, zmiękczyła upór Bartłomieja, ustąpił od razu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki po zapasy i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem, »pępkami«[1]) i gąsiorkiem wcale pokaźnym. Zakąsiwszy więc potrosze, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkadzać przygotowaniom, które Eudoksya pod kierunkiem Porankiewicza miała prowadzić. Dumny on był niezmiernie z okazanego mu zaszczytu i z odrzuconą w tył głową, jak zawsze, gdy usiłował trzymać się prościej, spoważniał niezmiernie, a był tak wzruszony, że prawie zupełnie stracił dar mowy, wypuszczając zamiast słów jakieś chrząkanie nieokreślone, które, z początku szczególniej, dławiło go zupełnie. Chrząkanie ucichło nareszcie i tylko łupanie drzazg, wybijanie ciasta i skwierczenie masła w kuchni dawały nam znać, że owładnąwszy wzruszeniem, Porankiewicz skierował wreszcie sprawy kuchenne na właściwą drogę.

I w pierwszym pokoju gwarniej się teraz zrobiło; Bartłomiej i Horodelski, popuściwszy sobie wodzów, rwali już

[1]) Pępki, od ruskiego »pupki«, są to brzuszki solone z wielkich tłustych ryb, poławianych w Lenie; jedzą się jak śledzie.

teraz z kopyta; zaczęły się przypomnienia, wyliczania, ile to lat niektórzy nie widywali żadnej wigilii, a gdy Bartłomiej zauważył, że wartoby było »ochędożnie trochę« zasiąść do »*tycho* świętych godów«, zaczęło się ogólne mycie i przebieranie, jak gdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

Pan Józef tedy wysunął zabójcze kołnierzyki, aż do połowy policzków dochodzące, wdzięcznym fontaziem z chustki kraciastej szyję swą ozdobiwszy.

Bartłomiej wydobył ze skrzynki jakiś węzełek niewielki i szperając w nim długo, wyciągnął kawałek rzadziuchnej, kraśnej wstążeczki, próbując zawiązać ją na szyi, ale bezskutecznie. Zgrabiałe i odwykłe ręce nie słuchały go wcale i wstążeczka wymykała mu się z palców. Wtedy Bartłomiej, zwabiony widać wdzięcznym fontaziem szewca, zwrócił się doń z prośbą: »*A niech-no pon i mnie ot tyz!*« Szewc wziął się do roboty, lecz czy to wziął się niedbale, czy też mruknął coś o błahości ozdoby, bo dopiero, gdy Bartłomiej wymówił po cichu: »*A dyć to jescej z domu*« — szewskie »Aaa!« zabrzmiało innym tonem i Bartłomiej przyprowadzony do światła, otrzymał fontaź, z którym »*choć w zalicanki idź śmiało*«. Bartłomiej chodził z fontaziem, jak gdyby kij połknął, ale za to, gdy jeszcze i Babiński przypiął wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną żakietkę, nad której plamami biedził się z pół godziny, zewnętrzny wygląd całej naszej kompanii harmonijnie licował z jej uroczystym, wewnętrznym nastrojem. Całej, powtarzam, bo gdy wkrótce drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się na oścież, zjawił się w nich Porankiewicz, również świątecznie przybrany: w długim wytartym surducie, i choć z mniejszym kołnierzykiem, ale za to z fontaziem wcale nie gorszym od szewskiego.

*

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim attencyę głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacya gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu ukazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem białem, jak należy, nakryty — przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane, dobrze pogięte wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych »oładi«[1]), na drugim końcu znajdowała się miska z »pępkami«, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszem, a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdyś białym, a dziś zżółkłym i poszczerbionym talerzu, leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatka nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie wywołane tylu niespodziewanemi akcesoryami było potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód i zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, i prostując się, aż mu zatrzeszczało w krzyżach, chrząknął, usta otworzył i gdy wszyscy z najwyższą ciekawością oczekiwali całej oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy...

I złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwsi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach »oładi« górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka...

— Poświęcony?! — z radosnym podziwem przerwał lękliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się, innego-by nie przysłali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — cią-

---

[1]) »Oładie«, rodzaj placków z przaśnego ciasta.

gnął dalej — hm, to jest, chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, to się podzielimy?

— Podzielimy! a juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej...

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan jako gość nas wszystkich obejdzie.

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyi króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły. Babiński zbladł, aż zbielał i gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przede mną nieruchoma, jak z marmuru wykuta i, gdyby nie to, że powieki zalatały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, te wypadały mu ustawicznie i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmiększego serca, pierwszy zaszlochał jak dziecko i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: »*Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę jak baran!*« — nic to nie pomagało. Więc też kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nizko schylił swą głowę osiwiałą i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i *Świentygo* — powtórzył ciszej i ryknął głosem wielkim...

Adam Szymański (Szkice).

---

35. List z Sybiru.

Mamo! Piszę do ciebie ten list! Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! czy dojdzie? Nie wiem! Chciałbym spytać.

Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem,
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe, duszę, ach, całego siebie,
A nie wiem, czy tak chociaż powrócę do ciebie!

Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym cię żegnał! Ta chwila jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś z bolu, obłąkana,
Przed potworem dymiącym runąć na kolana...
I ten wieczór — i słońce gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce »Pamiętaj«! ostatnie.

»Pamiętaj«! Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! Gdyby wyryć słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać: z żalu głaz-by spękał!
Niema dnia, niema nocy, bym we łzach nie klękał,
Powtarzając »Pamiętaj«! straszne jak przekleństwo!
O, matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo,
Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając: »Zapomnij«!

Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty,
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę, jak głos dzwonu!...

Co tu robię? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patrząc — nie chcę widzieć! myśląc — nie chcę myślić!
Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza,
A mną — jest dusza moja, która przeinacza
Rzeczywistość — i sprawia, że złudzony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami,
I dzień po dniu przeżywam, i chwilkę za chwilką,
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam: tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! jest w nich jakaś szczera
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzyłem niegdyś na piskle bezdomne.
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba —

Na progu pieniądz srebrny, albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka! —
Jem chleb ten, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój »Złoty Ołtarzyk«,
Tyś go włożyła, mamo! To mój relikwiarzyk!
Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak ty przeczułaś, mamo, czem mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą!
I co dzień na te pustki srogie, nieskończone,
Idzie moja modlitwa: »Pod Twoją obronę«!

Mamo! Napisz mi wszystko! Czy tak samo z rana
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz, jak dziecku!

Ach, mamo! jak mi tęskno! A śnię, co noc prawie,
Żem w kraju: nasz pokoik widzę, jak na jawie!
Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w ręku,
Ty, mamo, jak to zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, mamo!

Zosia!... Nie mogę o tem... Mamo! Powiedz Zosi
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem, prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć inaczej!
Stasia ucałuj, mamo! Mów z nim często o mnie!
Mów, jak jest, choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on niech pamięta!

Mamo! Bądź zdrowa, mamo! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy, wszystkich, wszystko! Pozdrów, jak od brata!
Mamo! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo ja stamtąd — nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być spokojny!
Ale kiedy pomyślę: Nigdy! nigdy! nigdy!
O, mamo!...

Or-Ot.

36. O miłości ku ojczyźnie.

To wam rozkazuję (mówi Pan Jezus), abyście się społecznie miłowali. Pokój mój daję wam, pokój mój zostawuję wam, Jan 13, 14 i 15.

Dwoje przedniejsze rozkazania umierając Pan Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno, abyśmy się wspólnie miłowali; drugie, abyśmy pokój między sobą i zgodę świętą zachowali. Jedno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźnim, im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada; lepiej wszytkie, którzy w mieście jednem są, a pogotowiu jeszcze lepiej wszytkie obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim albo dla nich co cierpim. Także dobra zgoda i pokój między pospolitym ludem, ale lepsza między pany, którzy ludźmi rządzą abo o nich radzą, a nalepsza między królmi, którzy wszytkiemu światu pokój zgodą swoją przynoszą. Do tej szerokiej i przestronnej miłości przywodzić się macie, przezacni panowie, którzyście tu na to się zjachali, abyście o tem myślili i radzili, jakoby lud wszytek nie ginął, a wasza ku rzeczy pospolitej miłość gorąca i szczera pokazać się mogła.

Przykład tej szerokiej i przestronnej miłości postawił nam, uczniom swoim, na sobie Pan Zbawiciel i mistrz nasz, gdy wszytkim i kupom onym wielkim ludzi dobrodziejstwa czynił. *Uźrzawszy*, mówi Ewangelista, *lud wielki, użalił się nad nimi*, bo byli strapieni i leżący (w chorobach), jako owce nie mające pasterza, i wnet je leczył, karmił i nauczał. A jeszcze więtszą miłość pokazał, gdy zdrowie i żywot swój dał nie za jedno królestwo, ale za wszytkie na świecie ludzie, chcąc, aby każdy, kto weń wierzy, nie ginął, ale miał żywot wieczny.

Taką miłością ku ludziom abo Rzeczypospolitej zapalać się macie wy, którzy o dobrem pospolitem radzicie, wy, które Pismo bogami zowie, bo nic tak własnego Panu Bogu nie jest, jako ludziom wszytkim dobrze czynić; i kto taki jest, boskie naśladowanie i obraz na sobie nosi. Przeło-

żeni nad ludźmi bogowie są ziemscy, nie tylo dla tego, iż moc Bożą mają na gubienie złych i na ożywienie abo uweselenie dobrych i niewinnych, bo sam Pan Bóg umarza i ożywia, ale nawięcej dla tego, iż oni miłosierdziem i staraniem swojem nędzę ludzką odganiać mają, aby, ile z nich jest, każdy pomoc jaką miał, jako to Pan Bóg czyni, który wszytko, co stworzył, opatruje i żywi i na nie hojnie dary miłosierdzia i dobroci swej wylewa, nie tylo ludźmi rozumnymi, ale i bestyami nie gardząc, jako Psalm mówi: »*Oczy wszytkiego stworzenia patrzą na cię, Panie, a ty im dajesz pokarm ich czasów swoich; gdy ty dajesz i sypiesz, oni zbierają; gdy otworzysz rękę twoję, wszytkiego dobra pełno jest*«.

Słusznie też do was mówić tak mam, przezacni obmyślacze dobra pospolitego; wszytkiej tej korony, to jest ludzi i dusz, lile ich jest w Polszcze, w Litwie, w Rusi, w Prusach, w Żmudzi, w Iflanciech, oczy się do was obracają i ręce do was podnoszą, mówiąc, jak oni Egipcyani do Józefa: Zdrowie nasze w ręku waszych: wejźrzycie na nas, abyśmy nie ginęli i w domowej niesprawiedliwości i w pogańskiej niewolej. Wyście ojcowie naszy i opiekunowie, a my sieroty i dzieciny wasze. Wyście jako matki i mamki nasze; jeśli nas odbieżycie, a źle o nas radzić będziecie, my poginiem i sami zginiecie. Wyście rozumy i głowy nasze, my jako proste dzieci, na wasze się obmyślanie spuszczamy; i Pan Bóg wam myśleć o was rozkazał. Wyście jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskają, a my jako pola, które się onemi rzekami polewają i chłodzą. »*Góry* (jako Psalm mówi) *przyjmujcie ludkom pokój i pagórki spuszczajcie im sprawiedliwość*«. Was Pan Bóg podniósł na wysokie urzędy nie dla nas, abyście sami swoich pożytków pilnowali, ale dla ludu, który wam Pan Bóg powierzył, abyście nam sprawiedliwość i pokój, który od Pana Boga bierzecie, spuszczali.

Toć są głosy i wołania ich do was; zmiłujcież się nad nimi. Miłujcie ojczyznę tę swoję i to Hieruzalem swoje, to jest koronę tę i rzpltą, a mówcie tak z serca z Dawidem: »*Jeśli cię zapomnię, ojczyzno miła moja*

i Hieruzalem moje, niech zapomnię prawice ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszytkich pociech moich nie położę«. O jakie zaklinanie! Którem się wiązać macie, abyście nic sobie tak miłego, tak wesołego nie mieli, jako dobro Hierozolimy swojej, to jest rzpltej i ojczyzny swojej, życząc sobie onego w psalmie błogosławieństwa »*Błogosław ci Bóg, abyś patrzył na dobre Jerozolimy po wszytkie dni wieku twego*«.

Jako namilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała, wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoję. A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszystko, co macie, od niej jest? Która gniazdem jest matek wszytkich i powinowactw wszytkich i komorą dóbr waszych wszytkich? *Jeruzalem, matka nasza* — mówi Apostoł — *nad wszytki matki czci i szanowania godna.*

Rozmyślcie, jakie od tej matki, od korony i rzpltej tej, dobrodziejstwa i upominki macie. Ona wam wiary św. katolickiej, przez którą do wiecznej ojczyzny przychodzicie, dochowała i Chrystusa, zbawienie wasze, i jego Ewangelią przyniosła. Ona jej od fałszywych nauk i jadów heretyckich obroniła. Ona Husa przed stem kilkadziesiąt lat i jego przeklęte kacerstwo odpłoszyła. Do tego czasu kapłany wam i biskupy i duchowne pasterze wasze daje, przy których przystęp do łaski Bożej i obrony od wszytkich nieprzyjaciół macie. Ona wszczepiła tu ołtarz służby Bożej i ofiar przedziwnych, z których wam ubłaganie Boskie zawżdy płynie. Ona się i dzisiejszych złych wieków srogim heretykom odejmuje i wilki te jadowite, jako może, od was odgania i stara się, abyście nie byli bez kapłana, bez ołtarza, bez nauki i zatem bez Boga, jako się to innym narodom przydało, którzy tak dobrej i czujnej matki nie mieli. Jakoż jej miłować nie macie?

Ta matka, ojczyzna namilsza, wszczepiła wam i dochowała stan i majestat królewski, który jest zatrzymaniem i ozdobą wszytkich dóbr i sławy waszej, iż król po królu do tego czasu nie ustał, iż dostojność ich dobrze obwaro-

wana jest, iż po dziś dzień patrzycie na pany i króle swoje, pomazańce Boże, i z ich się ozdoby i możności uweselacie i ono błogosławieństwo macie, które prorok obiecuje: »*Jeśli mię słuchać będziecie,* mówi Pan Bóg, *przez te bramy wjeżdżać królowie i panowie waszy będą, siedzący na stolicy Dawidowej, na wozach i koniach, oni i panowie ich.* Biada narodom, którym Pan Bóg króle i pany pobrał abo królestwa ich porozdzielał, które z Danielem płaczą, mówiąc: »*Niemasz teraz króla i pana i kapłana i proroka, które Pan Bóg pokarał oną plagą«!* — »*Będą,* prawi, *siedzieć bez króla, bez pana, bez ołtarza, bez ofiary*«. Błogo wam teraz, którym Pan Bóg w tej ojczyźnie tego wszytkiego dochował. Ta matka skupiła wam do jednego ciała rzpltej tak szerokie i zacne narody! Rozszerzyła państwo swe od morza do morza i sąsiadom was straszliwe poczyniła, iż oburzyć się na was nie śmieją!

Ta miła matka podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sobie sami obieracie, których moc, prawy okreszona[1]), żadnego wam bezprawia nie czyni, żadnego od postronnych panów i od swoich uciśnienia nie cierpicie. Samiście tylo sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a do sprawiedliwości fałszywą wolnością abo raczej swowolnością przeszkody sami sobie czynicie. Tureckiego i moskiewskiego państwa obywatele, patrzcie, jakie uciśnienie i tyranią cierpią. Nie taka to ojczyzna wasza! Matką wam jest, a nie macochą! Na ręku was swoich nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści. Sami sobie szkodzicie i jeden nad drugim tyranią podnosicie, praw nie egzekwując, a moc pańską tam, gdzie nie potrzeba, krócąc. Z strony matki nie masz nic, w czembyście się żałować na nią mieli — chyba sami na się!

Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało

1) Prawami określona.

ma. Pierwej rzadki miał piwo w domu, a teraz winem piwnice wasze woniają. Pierwej samodziałki boki nasze pokrywały, a teraz aksamity i jedwabie. Pierwej proste rydwany i rzadkie, częstsze siodła miasto poduszek, a teraz złote kolebki i karety. Pierwej proste potrawy, a teraz ptaki i kapłony. Pierwej jedna misa wszytkim, a teraz półmisków kiladziesiąt. O namilsza matko! Już zbytkują dzieci twoje! Źle tych dostatków używają: na grzechy, na sprosności, na utraty, na próżności. A ja co winna? mówi: mają rozum, mogą tych darów Bożych używać na kościoły i chwałę Bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi; ja niewinna, iżem w dawaniu matką; oni winni, co mnie nie słuchają, a dobroci mojej i Boskich darów źle używają.

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napełniły się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze. »*Potwierdził*«, jako Psalm mówi, »*zamki wrót granic twoich i błogosławił Pan Bóg synom twoim. Dał granicy twej pokój i tłustością zboża to jest okwitością wszytkiego nakarmił cię*« Boże! Abyście dobrze tego pokoju użyli, a zwłaszcza tak, jako on król Aza, o którym mówi pismo: »*Pobudował mocne miasta, bo za czasów jego wojny nie powstawały, gdy Pan Bóg pokój dawał,* — a mówił do poddanych: *Budujmy miasta i otoczmy je murami, utwierdzajmy wieże i bramy, póki mamy odpocznienie od wojen*«. A u was pokój i dostatki, które z niego rostą, w próżne się utraty obraca, w zbytki i w gnoje; a zamki puste, wieże próżne, drugie się obalają i gniją! na przyszłe wojny i niepokoje oka nie macie. Dosyć wam ta matka pokojem takim ukazuje, do czegobyście się pokwapiać mieli, póki czas jest. Bo zda mi się, iż się już od niewdzięcznych ten tak bogaty pokój oddali i przerwie.

Macie od tejże ojczyzny do tego czasu sławę wojenną, która się tych wieków nawięcej za szczęśliwem panów i królów waszych panowaniem podniosła. Rodzi wam ta matka mężne i mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nieustraszone rycerstwo i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają.

Taż matka namilsza uczyniła wam sławę u wszytkiego chrześcijaństwa i pogaństwa, iż od zachodu i wschodu zacnemi poselstwy uczczony król i pan nasz wielką wam u postronnych powagę i mniemanie czyni.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymawać i dla zdrowia jej wszytkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujcie, a nie utracicie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe, a pospolite burzycie — i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli. Nie tak jest, ale jako pan rzekł: »*Kto zdrowie swoje miłuje, traci je. A kto je utraca, najduje je*«. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłumoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszytkiem, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majętnością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innymi się do obrony okrętu uda, swego wszytkiego zapomniawszy, dopiero swe wszytko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował. Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszytkich nas niesie, wszytko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności jego wszytkiem, co w domu jest, nie pogardzamy, zatonie i z nim my sami poginiemy.

W tym okręcie macie syny, dzieci, żony, imienia, skarby i wszytko, w czem się kochacie; w tym tak wiele dusz jest, ile ich to królestwo i państwa przyłączone mają; nie dajcie im tonąć, a zmiłujcie się nad krwią swoją, nad ludem bracią swoją; nie tylo namiętnością, ale i zdrowiem im własnem usługujcie, wy, którzyście je pod swój rząd i opiekę wzięli. Bo nie tylo majętności dla miłej braciej i rzpltej nie żałować, ale i umierać winni jesteśmy, jako Jan św. mówi: »*Jeśli Chrystus za nas zdrowie swoje położył, i my je kłaść za bracią naszę mamy*«; skąd jest i u Pana Boga zapłata, bo jest własne Chrystusa naśladowa-

nie, i u ludzi wieczna sława. Lecz jeśli majętności żałujem i dla niej rzpltej szkodzim, jako zdrowia nastawim? wżdy tę mniejszą rzecz czyńmy.

Patrzcie na przykłady świętych, jako w tej miłości ku ludu swemu, to jest rzpltej, gorący byli. Mojżesz, acz często na swój on lud i na jego twardość do dobrego narzekał, jednak gdy je Pan Bóg zgubić chciał, nie tylo zdrowiem swojem, ale i zbawieniem swojem zastąpić je i odkupić chciał, mówiąc: »*Abo im odpuść, Panie, ten grzech, abo, jeśli tego nie uczynisz, wymaż mię z ksiąg twoich, w któreś mię napisał*«.

Aod, widząc swój lud barzo od Moabitów tyrańskwem uciśniony, zdrowie swoje ważył i na pokoju Eglona tyrana zabił i wyzwolił bracią swoję.

Samson o krzywdy braciej swej z Filistyny sam jeden wojny zwodził i rad z nieprzyjaciółmi ludu swego, salę onę z nimi obalając, umarł.

Dawid gniew Pański i karanie na się obracał, aby poddani jego nie cierpieli, mówiąc do Pana Boga: »*Jam zgrzeszył, a ta trzoda co zasłużyła, Panie Boże mój? Proszę, obróć rękę twoję na mię i na dom ojca mego, a ludu tego nie zabijaj*«.

Joab, hetman Dawidów, rad za sąsiady swe zdrowie niósł na wojnę, mówiąc: »*Walczmy o lud nasz i o miasto Boga naszego, a Pan niech czyni, co się jemu podoba*«. Za lud, prawi, nasz i za miasto Boże. Dwie go te rzeczy śmiałym na wojnie czyniły, gdyż nie dla korzyści ani dla swej sławy, ale dla braciej swojej i dla chwały Boga swego, na ostre żelaza nieprzyjaciół nacierał.

Patrzmy na onę parę świętych młodzieńców, na Neemiasza i Zorobabela, jako dobre ojczyzny swej i rzpltej nad wszytkie swoje dobra przekładali i onych dla niej radzi odbiegali. Neemiasz, będąc pojmany w niewolą babilońską, utraciwszy z ludem swoim ojczyznę miłą, od nieprzyjaciół zburzoną, do takiego szczęścia przyszedł, iż u króla Artakserksa, którego pojmańcem był, podczaszym został. — I gdy mu wino podawał, rzekł mu król: »*Czemuś tak smutny, chorym nie będąc? Nie darmo to, coś złego jest w sercu twojem*«. A on, przelększy się, rzekł: »*Królu, żyj na*

wieki! Jako ja smutnym być nie mam, gdyż dom, miasto pogrzebów ojców moich, spustoszało i bramy jego ogniem są popalone?« I rzekł król: »*A o cóż mię prosisz?*« Mógł namilszy młodzieniec prosić o pożytki i pociechy i czci swoje, ale wszytkiego swego szczęścia odstępując, o naprawę ojczyzny swej prosił, w tem nawyższe swoje pociechy kładąc, gdy nie jemu, ale wszytkiemu ludowi, braciej jego, dobrze się dziać miało. Obyście takie serce ku ojczyźnie mieli, a za własnymi pożytki domów swoich nie biegali! Jakobyście za tę miłość wielką u Pana Boga prędkie pociechy na zachowanie rzpltej odnosili! *Ale łakomstwo i ciasne a tylo do swoich własnych pożytków przywiązane serce wszytkie dobre rady rozprasza.*

Co mówić o Zorobabelu i o gorącej jego ku pospolitemu dobru miłości? Gdy mądrością komorne towarzysze swoje u monarchy świata Daryusza przeszedł, a mądrą gadką, coby na świecie było namocniejszego, prawdę wyniósł i wysławił, dowodząc, iż ta mocniejsza i trwalsza, niźli wino, niźli król, upominki zakładne odniósł i wygrał takie: »*aby w szarłacie chodził, aby ze złota pił i na złocie sypiał i na wozie ze złotem jeździł i czapkę miał z bissu*[1]) *i na szyjej złoty łańcuch, ażeby wtóre miejsce miał po królu dla mądrości swojej, i powinnym był Daryuszowym*«. A gdy go spytał Daryusz, mówiąc: Nad to, co na zmowie i zakładzie napisano, proś jeszcze o więcej (boś mędrszym nalezion jest nad towarzysze twoje, wedla mnie siedzieć będziesz), on rzekł: »*Pomni, królu, na ślub, któryś uczynił dnia tego, w którymeś królem został: zbuduj Hieruzalem i skarby kościelne pobrane odeśli, które Cyrus oddzielił; zbuduj kościół spalony, napraw ziemię judzką spustoszoną; o to ja, panie, proszę, o to majestatu twego żądam*«.

O błogosławiony miłośniku braciej twojej! Nie ruszyło cię ono złoto i dobre mienie i cześć ona po królu wtórym być i świat rządzić i u ludzi tak wielką sławę mieć; wszytkoś to porzucił i podeptał, abyś ojczyźnie i braciej swej i rzpltej służył. Wolałeś sam poniżonym być, aby ona głowę podniosła; wolałeś zostawać ubogim, aby ona zbogaciała. Darowałeś matce swej wszystkie pociechy swoje; wy-

1) Biss, bisson bisior, droga tkanina wschodnia.

lałeś na nię wszytko szczęście swoje, w jej dobrem i powstaniu i pomnożeniu wszytkie dobra swe zamykając. Naśladujmy, a za nic sobie własnych pożytków nie ważmy, gdy Rzeczpospolita tego potrzebuje, abo gdy się jej do szczęścia naszemi chciwościami przeszkadza.

Matatyasz dla rzpltej, która na zakonie Bożym fundowana była, dla oddalenia niewolej i tyraństwa króla Antyocha i innych postronnych nieprzyjaciół zdrowie swoje ważył. I mając sześć synów, na testamencie im umierając rozkazał, aby żaden na łóżku swojem nie umierał, ale mężnie o lud swój i o zakon Boży i wiarę wojując i ojczyzny broniąc umierał; i posłuchały go dobre dzieci wszyscy, i szczęścił im Pan Bóg w wielu wygranych i niepodobnych do zwycięstwa bitwach i potykając się jeden drugiego upominał: *Podnośmy upadek ludu naszego, a walczmy o lud nasz i o kościół nasz*«. I wszyscy bracia oni, na bitwach pozabijani, sobie śmierć a ludowi swemu i rzeczy pospolitej wolność i wybawienie od tyranów przynieśli. Nad których śmiercią płakali, mówiąc: »*Jakoć polegli mocarze, którzy wybawiali lud izraelski?*« Żadna ich korzyść do tego nie wiodła i męstwa im onego nie czyniła, jedno miłość ku uciśnionej braciej i ku ojczyźnie i sławie ludu swego.

A nie tylo mężowie, ale i niewiasty słabej płci, tę cnotę chęci ku dobru pospolitemu mając, rady i zdrowi swego odstępowały. Wspominam sobie córkę onę Jeftego, której ociec Jefte, gdy się z wojny z wielkiem zwycięstwem wracał, ona przeciw jemu z swemi rówieniczkami panienkami z bębny i z tańcy wyszła. A ociec, za głowę się jąwszy, do niej rzekł: »*Oszukałaś mię i sama siebie, namilsza córko! Ślubiłem Panu Bogu, jeśli mi da zwycięstwo, cokolwiek pierwszego wynidzie z domu mego, abych to Panu Bogu ofiarował i zabił*«. A ona się na to nic nie przelększy, rzekła: »*Gdyż ci Pan Bóg dał zwycięstwo, a takeś Panu Bogu obiecał, uczyń ze mną, coś obiecał*«. Ale, namilsza córko, śmierć sroga tobie, panience młodej? Aleś jest jedynaczka u ojca twego? Aleś tak młoda i urodziwa, dom wszytek pociechy z ciebie czeka? A ona mówi: Nic to, wesele pospolite i szczęście ludu mego i wybawienie jego

od nieprzyjaciół wszytkie te pociechy we mnie gasi, rada ich odstępuję, rada za to takie wesele ludzkie zdrowie daję. O nieoszacowana dobroci i ku rzpltej miłości, kto cię dziś naśladuje? Już i panny mdłe i bojaźliwe męże i chłopy w miłości rzpltej i szkód dla niej podejmowaniu przechodzą.

Druga, Judyt, co uczyniła? Oblężono Betulią, lud od głodu i pragnienia umiera; a ona się nad nędzą ludzką użaliwszy, zdrowie swoje na to ważyła, aby lud swój wybawiła. I poszczęścił Pan Bóg rady jej i lud wybawiła i sama przy zdrowiu została i wiecznej sławy jako dobrodziejka narodu swego dostała.

A Hester, także mężna i miłości ku swemu ludu pełną będąc, zdrowiem swojem wzgardziła, gdy nad zakazanie do Aswera przystąpiła, wkładając się o lud swój, aby od onego Amana zgubiony nie był; i wywiodła naród swój z wielkiej trwogi i złej toni barzo.

Lecz i poganów się wstydźmy, którzy tak nauczali i pisali: »*Rzeczpospolita zowie się powszechnem miastem, za którą umrzeć i we wszytkiem się jej oddać i w niej wszytkie nasze pociechy położyć i onej je poświęcić winni jesteśmy*«. (Cicero). I niewiasty u Rzymian w pogaństwie mówiły: »*Dlatego syny rodzimy, aby był, ktoby za rzeczpospolitą umierał*«.

Pomnicie na ony Kodry, Decyusze, Reguluse, jako za lud swój radzi umierali. To wżdy jeden dziwny i łez naszych dobywa ten Regulus! Gdy był w pojmaniu, nieprzyjaciele go do domu, słowu jego dufając, puścili, aby zamianę za się, więźnie ich uprosił i odesłał, a sam został. On widząc, iż więźnie nieprzyjaciół byli godniejszy i mężniejszy, niźli on sam z drugimi, odradził urzędom, aby tego nie czynili, a sam się do nieprzyjaciół, słowo swoje iszcząc, na wielkie i pewne męki, w których go niespaniem umorzono, wrócił. Kto się na taką miłość ku pospolitemu dobremu nie zdumieje, w człowieku zwłaszcza, który się samym tylo rozumem przyrodzonym rządził, a po śmierci żadnej pewnej obietnice nie miał? A nie dziwuję się jednemu mądremu z pogaństwa ale całym wojskom ich, które dla

rzpltej z ochotą tam szły, gdzie wiedziały, iż się stamtąd nie miały wrócić.

Znaczna i ona nauka ich, gdy piszą: »*Którzy rzpltą rządzą, dwie te nauce chować mają: jednę, aby pożytków sąsiad swoich tak bronili, jakoby wszytko, co poczną, do nich obracali, swoich zapominając; drugą, aby się o ciało wszytkiej rzpltej starali, aby jednych broniąc, drugich nie opuszczali*«. (Cicero). A my pierwsze oko na swoje domy obracamy; by dobrze rzplta przepadła, byle nasze zbieranie całe było i codzień się szerzyło, nic nie dbamy. Przetoć całe będzie, gdy się dom wszytek królestwa obali, a okręt się za wszytkimi zanurzy! A my, o pospolitem radząc, jeden stan ucisnąć, a drugi podnieść chcemy. Duchowny stan poniżyć i zniszczyć, a heretycki abo świecki na górze postawić usiłujemy, kmiotki i poddane gubić, a sami sobie folgować w poborach i innych ciężarach chcemy. Nie tak bracia! źle ręce, gdy jedna chora; — obie zdrowe być mają.

Cóż wżdy czynim? Izali się z tego pogaństwa około miłości ku rzpltej nie zawstydzim, a nie poprawim? Oni z samego rozumu przyrodzonego widzieli to, iż słuszna rzecz jednemu dla wszytkiej rzpltej szkodę mieć, aby się ich wiele zachowało. Widzieli, iż ręka na obronę głowy rada ranę i ucięcie cierpi, aby wszytko ciało nie umierało. Widzieli, iż lepiej sto zdradziec zgubić, aby wszytka ojczyzna nie ginęła. Widzieli, iż dla lepszego rodzaju jedny gałęzie ucinają, aby drugie lepiej rodziły. — Tak też człowiek jeden dla pożytku pospolitego żałować się i majętności swojej nie ma. A my, cośmy od Chrystusa w takiej szerokiej miłości nauką i przykładem jego wyćwiczeni są, słabszy i oziębleiszy ku bliźnim być mamy? Nie daj Boże!

Poganie nie mieli o miłości ku braciej rozkazania od Boga, jedno sam rozum; a my tak surowy, tak pilny Boga naszego o tem mandat mamy. »*Rozkazuję wam,* prawi, *abyście się spólnie miłowali tak, jakom ja was umiłował*«. A jako Panie? »*Jam zdrowie swoje za was i za wszytkie położył: i wy tak braty swoje miłujcie*«.

Poganie do pełnienia takiego zakonu pomocy i łaski

z nieba nie mieli, a nam Chrystus przez Ducha Św. wlewa miłość, abyśmy się ją zapalali, a nic nam dla braciej naszej ciężko nie było! Jakoż słusznego potępienia ujdziem?

Poganie za rzpltą umierali, nic się po śmierci nie spodziewając, abo nic pewnego o zapłacie na onym świecie nie mając, na samej tylo poczciwej sławie u ludzi przestając. A my tak wielkie i tak pewne o zapłacie po śmierci Boga naszego obietnice mamy, jeśli to przykazanie o miłości wypełnim. I tu na ziemi nieśmiertelną sławę daje tym, którzy dla braciej i dobra pospolitego ucierpieli! Jaka sława tych słynie i dziś, w Piśmie św. i innych dziejach opisana jest.

O wielmożni panowie! O ziemscy bogowie! Miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobre braciej swojej i narodów swoich, wszytkich dusz, które to królestwo z swemi państwy w sobie zamyka. Nie cieśnicie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach; nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich; niech się na lud wszytek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa. Naśladujcie onego chrześcijańskiego[1]) króla, który z wojskiem wyciągnąwszy, na chorągwi swojej namalować kazał ptaka, który swoją krwią ptaszęta od węża zarażone ożywia, dając znać, iż za swój lud rad umrzeć chce, sobie śmierć, a im żywot obierając.

Są drudzy, co mówią: co mnie po królestwie i rzpltej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę? To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate! Pana Boga proś o potrzeby swe, przestawaj na swym stanie, ale nie bądź utratnikiem i próżnującym, a dla siebie jednego tysiąc tysięcy ludzi, braciej swojej, nie gub! — Boże! Aby się takich, jako monstrów jakich, mało najdowało, którzy sroższej niźli bestye nieludzkości i krwie rozlania pełni są.

Takich podobno więcej, którzy służyć rzpltej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, abo gdy im za to król nie płaci. Ci są dziwnie głupi, którzy nie wiedzą, iż cnota nie patrzy na zapłatę, jedno na swoję

---

1) Portugalskiego.

przystojność; nie widzą, iżby tak nikt nigdy dobrym nie był; nie widzą, iż tak wiele nie tylo u króla, ale i monarchy świata wszytkiego bogactwa niemasz, aby każdemu dobry jego uczynek mógł płacić. Sam tak możny i bogaty Pan Bóg jest, do którego zapłatę naszę odkładać mamy. I tego nie widzą, iż u króla i u innych dobrego mniemania o cnocie swej mieć nie mogą, gdy co cnotliwego z najmu czynią. Bo pomyśli pan: owo ma rzplta gotowego zdrajcę, byle kto miał gotowe pieniądze, bo, jeśli za dobry postępek chce pieniędzy, podobno się i na zły utargować da. Nakoniec, nikt za to zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy, bo w niej jego wszytko się dobre, jako się rzekło, zamyka. Nikt nie mówi: płać mi, iż swego zdrowia i domu swego, żony i dziatek moich bronię. Sama obrona zapłatą tobie jest; czegoż się upominasz? Gdy jesz, pijesz, śpisz, zdrowie swoje opatrujesz, izali za to zapłaty chcesz?

Ma być zasługom zapłata, ale cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i zakon jego i dobry rozum każe. Możeć się i na zapłatę obejrzeć, ale niebieską naprzód, a potem na tę doczesną. Lecz wszytka się myśl z początku sadzić na tem w swojem przedsięwzięciu nie ma. Jeśli Pan Bóg płacić ma i tu na świecie chce, królewskie serce obróci, abo skądinąd mu nagrodę poda. Jeśli nie chce, dosyć mam na zapłacie po śmierci; i sam dobry uczynek, gdy się przez nas komu, a zwłaszcza wszytkim, dobrze czyni, ma swoję serdeczną zapłatę i pociechę wnętrzną wielką: *jakobych się najadł i ubogacił, gdy komu co dobrego uczynię* — mówi mądry.

Zaprawże was Pan Bóg w wielką miłość ku braciej waszej i wszytkim obywatelom korony tej, abyście o nich uprzejmie i szczerze, nic swego nie pragnąc, radzili, na samego tylo Pana Boga i na ludzki pożytek patrząc. Boże! Spuśćże wam szeroką i głęboką miłość ku braciej waszej i ku namilszej matce waszej, ojczyźnie świętej, abyście jej i ludowi swemu i samem zdrowiem, swoich pożytków zapomniawszy, służyć szczęśliwie mogli.

Piotr Skarga (Kazania sejmowe).

37. Matejki „Kazanie Skargi“.

Kiedy Matejko o przeszłości dumał, nie przestawał na zobaczeniu jej tylko w swojej wyobraźni; on — jak Mickiewicz, jak Krasiński, jak wielu przed nimi, a zwłaszcza wielu po nich — chciał wiedzieć i rozumieć, dlaczego taki upadek! Wtedy stawały mu w pamięci wszystkie moralne i polityczne powody. Odgadywał je uczuciem, wyjaśniał rozumowaniem. Znajomość XVI. wieku dopomagała, ułatwiała. Nie mógł nie dojrzeć tych strachów, tych złych przeczuć, które w tym wieku odzywają się tak groźnie. A one się sprawdziły! Dlaczego się sprawdziły? Dlaczego po Zygmuntach i Batorym — Siciński, Chmielnicki, straszne Jana Kazimierza czasy, a po nich nie lepiej, tylko gorzej, aż do Stanisława Augusta?

I wtedy może zapytał sam siebie: gdzie jest w historyi ten punkt, w którym wszystkie powody późniejszych klęsk byłyby razem zebrane, skupione? Wtedy zapewne dojrzał, iż wszystkie przeczucia XVI. wieku zbiegły się jak ognie pod ziemią w jednej duszy i wybuchły jak wulkan w »Kazaniach Sejmowych«, a wszystkie następne wypadki i dzieje sprawdziły je co do słowa. To jest ten punkt, to wielkie serce człowieka, w którem się treść wieków skupia; to jest to słowo, które z ich teraźniejszości przewiduje ich przyszłość, a naszą teraźniejszość ich przeszłością tłómaczy.

Wyobraźnia Matejki zatrzymała się jak osłupiona nad Skargą i jego kazaniami, wszystko jednym zamachem odsunęła od siebie na bok, nie miała spokoju, dopóki tego obrazu z siebie nie wydała. W nim schodziły się wszystkie cierpienia artysty za przeszłość, wszystkie wyrzuty, upokorzenia, wstydy, od Piławiec aż do Grodna, wszystkie uciski i bole, jakie w sercu polskiem nagromadził wiek XIX., i wszystkie troski o przyszłość, jakiemi dręczył to serce ten wiek cały. Dlatego Matejko postanowił malować »Kazanie Skargi«, dlatego malował je w tych latach (1863 i 1864) i dlatego tak je wymalował.

Trzeci wiek się kończy, jak wszyscy o Skardze myślimy i mówimy; sto lat się kończy, jak powtarzamy: »biada nam, żeśmy go nie słuchali, bo spełniły się jego prze-

KAZANIE SKARG

BRAZ JANA MATEJKI.

ANCZYC

powiednie«. Pisali o nim, wynosili go wszyscy pisarze, mowcy i kaznodzieje, historycy i poeci. Mickiewicz określił go wybornie, kiedy powiedział, że Skarga stoi na pograniczu dwóch epok historyi polskiej: skupia w sobie wszystko, co było mądrego i wielkiego w duchu jednej, a przeczuwa, co było strasznego w dziejach drugiej. Ale trzy wieki myślenia i mówienia nie zdołały tak Skargi zgłębić i dać poznać, jak jest zrozumiany i postawiony nam przed oczy w obrazie Matejki. To jest ten pomnik, dotąd największy, jaki mu wzniosła nasza wdzięczność; to świadectwo najwymowniejsze, jakie mu złożyła nasza skrucha. To jest wyraz zupełny i doskonały tego, co naród w uciskach swoich czuł dla swego wielkiego kaznodziei, dla tego, który go ostrzegał, jak Izraela prorocy, a jak oni, napróżno.

Przypatrzmy się nieco obrazowi, a przedewszystkiem głównej jego postaci.

Mówią niektórzy, że ruch Skargi jest za gwałtowny. Ale czy może on ręce trzymać inaczej, jak je trzyma? Gdyby błagał, mógłby je złożyć i przycisnąć do piersi; gdyby pytał: »Cóż mam z tobą zrobić, nieszczęśliwe królestwo«? — mógłby je załamać rozpaczliwie i splecione przed siebie wysunąć. Ale on grozi, on jest takim w gniewie, że — jak trafnie powiedziano — »choć zaklina, prawie przekląć gotów«. On musi podnieść ręce do góry, jak gdyby niemi także rzucał te gromy, które padają z jego ust. Jego słowa, jego wyraz — to sam szczyt świętego oburzenia i świętej trwogi: oburzenie to i trwoga, z miłości poczęte, nią natchnione i dręczone, dochodzą do proroczego jasnowidzenia, które dopiero jest tej męki koroną. Jak Izajasza i Jeremiasza słowa »ósmemu kazaniu«, tak głowa i wyraz tego Skargi przystałyby Izajaszowi i Jeremiaszowi.

Zresztą obraz tłómaczy się odrazu, bez objaśnień i komentarzy. Kto o polskiej historyi i o Skardze nie wie nic, i taki jeszcze, choć całej grozy obrazu nie zgłębi, zrozumie, że to kazanie, i kazanie groźne. Nie będzie może wiedział, że mowca grozi upadkiem ojczyzny, pomyśli zapewne, że grozi piekłem; ale zobaczy, że grozi straszliwie i że lepszych skruchą, zatwardziałych gniewem przejmuje.

Dlaczego w Zamoyskim nie znać ani gniewu ani skruchy? Niektórzy sądzą go z tego powodu obojętnym. Nie jest on obojętny, a ze wszystkich, którzy słuchają, on rozumie najlepiej, on jeden wzrokiem sięga tak daleko, jak Skarga. Jeden ze znawców mawiał, że w całym obrazie tylko ci dwaj rozumieją się zupełnie i że sam główny prąd tragicznej siły przepływa między nimi. Zdaje mi się, że miał rację. Wspaniała orla twarz Zamoyskiego ma swój wyraz tak potężny, jak Skargi, tylko inny. Mąż stanu nie jest uderzony moralną stroną kazania, nie przymierza jej do własnego sumienia, nie pyta, czy sam jest bez winy, nie rozpacza także i nie o tem myśli, żeby modlitwą szukać ratunku w niebie, jak prymas albo królowa. On chwyta polityczną stronę rzeczy, a przypuszczając możliwość tego, co Skarga przewiduje, on już natęża myśl, żeby to niebezpieczeństwo zmierzyć, żeby odgadnąć, skąd, w jakiej formie, w jakim rozmiarze ono przyjdzie. On nie jest wzburzony, bo na taki obrachunek trzeba zachować całą trzeźwość umysłu, całą zimną krew, całą moc nad sobą. Dla niego te złe wróżby nie nowe, bo on nieraz, choć innym tonem, słyszał podobne od króla Stefana i sam je potwierdzał. On zdaje się myśleć: »Gdyby król Stefan żył, to we dwóch jeszczebyśmy te niebezpieczeństwa odwrócili. Ale jego zabrakło już — a ja? Czym jeszcze taki, jak za jego życia? Któż tu da radę, kto podoła«?

Nie ten, co poniżej niego siedzi na swojem królewskiem krześle, taki poważny, taki dostojny i tak uczciwie, tak sumiennie zamyślony, że na prawdę w »każdym calu król«. — Zygmunt III Matejki jest od historycznego zapewne większy, piękniejszy. Kiedy siedzi tak spokojnie i wrażenia po sobie poznać nie daje, on nie jest nieczuły ani nie myślący. On o przyszłości swego królestwa myśli to, co jego kaznodzieja, a czuje, że z koroną wziął i część wielką odpowiedzialności za tę przyszłość. Ale on Szwed, więc tak, jak Skarga, jak stara Jagiellonka czuć nie może. On król, na wzorze Filipa II kształcony, i za warunek królewskiej powagi ma tę sztukę spokoju i posiadania siebie, która poddanym w duszę królewską spojrzeć nie daje. On Zygmunt; więc przewidując złe, mówi sobie, że z obowiązku

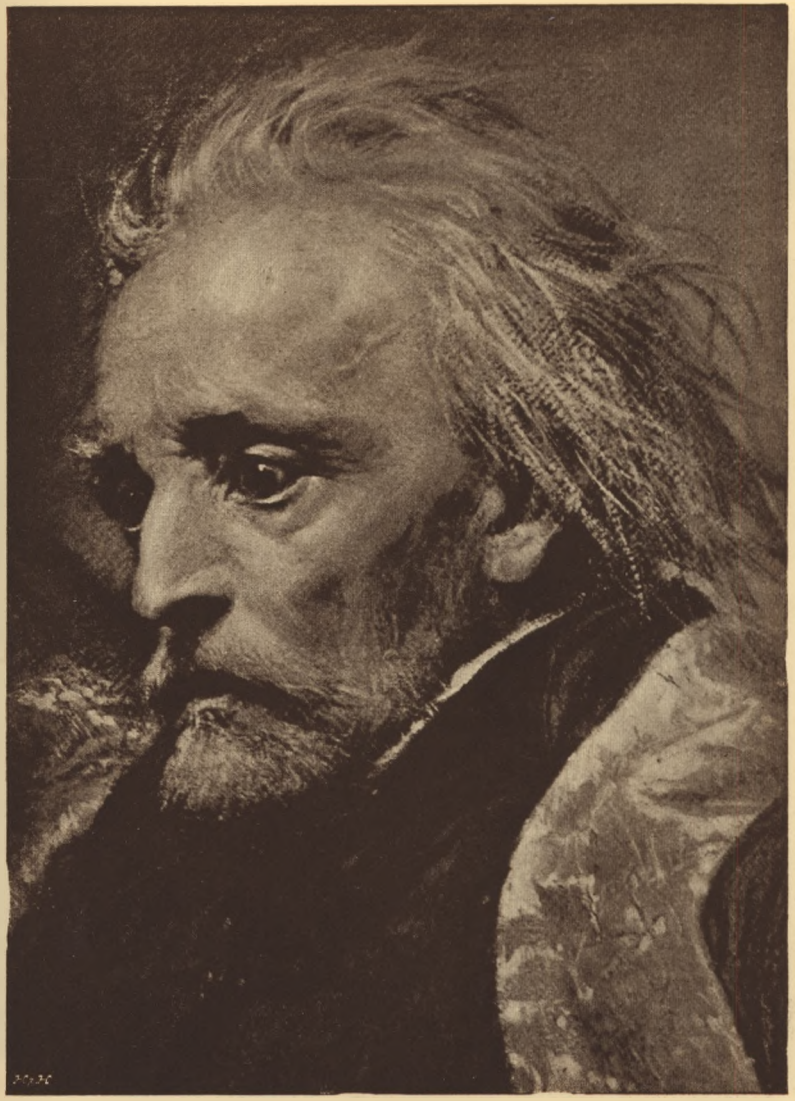

SKARGA.

(Fragment z obrazu J. Matejki »Kazanie Skargi«).

ANNA JAGIELLONKA I HALSZKA OSTROGSKA.

(Fragment z obrazu J. Matejki »Kazanie Skargi«).

i z przekonania ze złem walczyć będzie; ale czuje zarazem, że go nie pokona, a jeżeli nie pokona, to zniesie to ze spokojem. Poradzić nie mógł, próbował, zrobił, co był powinien, a więcej nie może. Przyszłość w ręku Boga; jeżeli będzie złą, to ten naród sam sobie winien. On ręce umyje, z czystszem sumieniem niż Piłat, bo temi rękami królestwa nad brzegiem przepaści utrzymać nie mógł.

Czy w dziecinnej głowie królewicza nie utkwiły w tej chwili po raz pierwszy te wrażenia, z których zrodzi się kiedyś ta gorąca chęć a myśl niejasna ratunku? Co pewna — to, że łzami królowej Anny płacze, jej ustami modli się jej brat i ojciec i zbiorowa miłość wszystkich, ilu ich było, Jagiellonów. Młoda kobieta przy niej jest jedną z najlepszych, które Matejko wymalował; śliczna i szlachetna w rysach, jest prosta w wyrazie i ruchu.

Słowo jeszcze o układzie. Trudno jest ułożyć w obraz kazanie. Głównej figury, kaznodziei, nie można postawić na ambonie: siedziałby w niej schowany do połowy, a byłby tak wzniesiony nad słuchaczy, że albo on na swojej wysokości musiałby być bardzo małym, albo ich widać by było tylko po ramiona, i naturalnie większych daleko od kaznodziei. Matejko więc każe Skardze mówić nie z ambony, ale od ołtarza; i w tem ma słuszność. Odstępuje od kościelnego zwyczaju, ale inaczej zrobić nie może. Stawia Skargę na stopniach kaplicy św. Stanisława, tyłem do trumny, przodem do wielkiego ołtarza. Chce przytem być wiernym, nie zmienić na włos katedralnego prezbiteryum. Z tego wynika, że w miejscu bardzo szczupłem ledwo króla z dworem i głowy senatu może pomieścić. Może to szczęśliwie, bo siła rzeczy wstrzymuje go od zbytku, od natłoku figur. Niema też w obrazie owych ukrytych pomysłów, które w późniejszych obrazach zdarzają się nieraz; obraz jest szczerze obrazem. A jednak, dlaczego król siedzi na jednym poziomie ze wszystkimi? dlaczego nie ma swego tronu na stopniach? To tem dziwniejsze, że na ten tron jest miejsce i wyraźnie oznaczone. Makata z herbami królestwa, ze »snopkiem« Wazów w środku, zawieszona nad stallami, wskazuje, że na tronie czy w stalli, król tam powinien siedzieć. Tymczasem on siedzi na dole, a na tle tej makaty rysuje się wzniesio-

na o parę stopni postać Zamoyskiego. On stoi, nie siedzi, ale on góruje nad wszystkimi: jego głowa, jedyna, wypada na tej samej wysokości, co głowa Skargi. Tym sposobem nieznacznie daje Matejko poznać swój sąd, swoje rozumienie historyi — a zarazem i swoją skłonność do pomysłów i zamiarów ukrytych, ale mających głębsze znaczenie i cel.

Nie może być wątpliwości, które to z kazań sejmowych mówi Skarga. To nie najszacowniejsze ze wszystkich, drugie o »Miłości« i o »Nieżyczliwości ku ojczyźnie«, to nie trzecie, które tak mądrze upomina i błaga, »byście się nie dzielili Bogiem, królem i ojczyzną«. Ani szóste o monarchii ze straszliwym wizerunkiem »królików *popularitatis*« i ich praktyk? Nie, to ostatnie, to oczywiście ósme. Matejko widzi Skargę, kiedy mówi te słowa Jeremiasza, słyszy je z obrazu widz: »Tak was pogruchoce Pan, jako ten garniec, którego skorupy spoić się i naprawić nie mogą«. Ale kiedy te słowa mówi Skarga, to Matejko obrazem swoim mówi te dalsze, z samego końca kazania: »Ja wam, najmilszym bratom moim, i ludowi memu i ojczyźnie mojej miłej życzę, aby wam Pan Bóg groził, jakoby wam dał pomoc do powstania i pokuty na odmianę dekretów i pogróżek swoich«.

Na zakończenie niech się godzi przytoczyć sąd Siemieńskiego: »Czujemy się umocnieni w naszej wierze co do przyszłości sztuki ojczystej, gdy, wpatrując się w wielką historyczną kartę »Kazanie ks. Skargi«, skreślona pędzlem Matejki, czujemy głos, wyrywający się z piersi: »Historya nasza ma już swego malarza«! Nie powierzchnia płótna szeroka — (niestety! jeszcze dla artysty za mała) — nie samo wprowadzenie na scenę postaci drogich pamięci Polaka, nie okazałość strojów Zygmuntowskiego dworu, nie żadna alluzya w związku z interesem obecnej chwili — stanowią wartość tej kompozycyi. Przeciwnie niema tu nic wyrachowanego na efekt, dla zyskania oklasków. Sama tylko powaga dziejów, surowa, lecz pełna prawdy, życia i ciepła, wieje z tego obrazu i zdaje się przemawiać złotym językiem Piotra Skargi, nie tylko przez usta samego kaznodziei, ale przez wszystkie postacie, wskrzeszone wyobraźnią artysty i naznaczone piętnem charakterów, tchnących ener-

gią lub niedołęstwem, piętnem namiętności wzniosłej lub poziomej — gorącą wiarą lub szydzącą obojętnością, miłością bez granic i samolubstwem, pychą i pokorą... Gdy spojrzysz na te kilkanaście figur Zygmuntowskiego dworu i na samego Zygmunta Wazę i na tych duchownych i świeckich senatorów, fantazya twoja i pamięć czuje się podrażnioną, rozgorączkowaną. Ileż to zdarzeń nie miga ci przed oczyma, ile tryumfów, ile zawodów, jakie boje, jacy bohaterowie, jakie olbrzymie dusze cnotą i występkiem! Kompozycya, tak pobudzająca do myślenia, nosi w sobie wszystkie przymioty i zalety historycznego rodzaju.

»Obraz ten — to nie jest malowane sprawozdanie z jakiej uroczystości dworskiej, zawartego traktatu, ceremonii chrztu lub ślubu, ale żywa karta dziejów, narodowa, jak narodowym jest Skarga lub Woronicz, a przytem drgająca rzeczywistością, jak spełnienie proroczych słów boskiego mowcy...

»Co do techniki — zdaj się, że artysta pokonał wszelkie trudności; co do kolorytu — powiem bez przesady, że jak śpiewak, władający najszerszą skalą tonów, prym trzyma, tak samo w kazaniu Skargi zagrał artysta wszelkiemi gamami bogatej palety...

»To pewna, że wielkie dusze, wielkie geniusze, wywierają wpływ nie tylko w jednym kierunku. Skarga mógł stworzyć u nas dobrych mowców kościelnych, dobrych prozaików, nawrócić niejeden zbłąkany umysł; — pokazuje się, że jeszcze stworzył historycznego malarza. Dlatego do znanych Woroniczowskich słów: »Chceszli zostać dobrym kaznodzieją? czytaj Skargę; filozofem? czytaj Skargę; teologiem? czytaj Skargę; dziejopisem? czytaj Skargę; politykiem? czytaj Skargę« — możnaby dodać jeszcze te słowa: chcesz zostać malarzem historycznym? czytaj Skargę; jakkolwiek nie każdemu daną jest ta wyższa łaska, jakiej doznał Matejko«.

Stanisław Tarnowski (Matejko).

38. Staropolskie wesele.

W połowie ośmnastego stulecia odbyć się miały w ziemi sanockiej zaślubiny stolnikowicza Józefa Bobowskiego z panną Barbarą Karsznicką, córką Franciszka Karsznickiego, podkomorzego halickiego. Obrano na tę uroczystość dzień 4. października, zarazem dzień imienin ojca panny młodej.

W baligrodzkim zamku już od połowy września robiono przygotowania do jak najświetniejszego przyjęcia gości, a na kilka dni przed św. Franciszkiem ruch był taki w całej sanockiej ziemi, jakby miano wychodzić na wojnę. Po wszystkich dworach i dworkach prano bieliznę, szyto suknie, sprzęgano konie, czyszczono wozy i nie mówiono o niczem innem, tylko o baligrodzkiem weselu; a chociaż dzień św. Franciszka wypadał dopiero w niedzielę, w piątek wieczorem już kilka powozów pojawiło się na zamku w Baligrodzie; przez całą sobotę co godzina prawie nowi wjeżdżali goście, a w niedzielę już od samego rana podkomorzy prawie ani na chwilę nie mógł się ruszyć z pod kolumn ganku, bo co chwila gość jakiś zajeżdżał.

Pan stolnikowicz miał na sobie dnia tego żupan biały jedwabny, po którym porzucane były złote muszki dziwnie misternej roboty. Pod szyją miał spinkę lśniącą ogniście; był to soliter[1]) wielkości dorodnej fasoli, okrążony brylantami wielkości ziarn soczewicy. Ta spinka była najdroższą sztuką, przechowywaną w skarbcu jego domowym, i miała pochodzić jeszcze od onego Zygmunta z Bobowy, który żył za Władysława Jagiełły, a potwierdzała to gruba i staroświecka jej oprawa. Na wierzchu miał pan Józef kontusz prawie purpurowego koloru: kontusz ten był staroświeckiego kroju i na szwach już dobrze wytarty; ale była to po ojcu pamiątka droga i właśnie na taką uroczystość stosowna. Kontusz ten był podszyty białym, ciężkim jedwabiem; guzy miał z wielkich granatów, w srebro czysto oprawnych, a na podszewce przy brzegu pod lewą połą był podpis, czarną nicią wyszyty: Michałek *fecit, Varsoviae*

---

1) Duży, ozdobnie oprawny dyament.

1667. Na biodrach miał pan Józef pas prawie z samego złota utkany i tak ciężki, że go nawet lada kto nie mógł nosić, boby mu były biodra omdlały od jego wagi. Do tego wszystkiego ubierały pana Józefa buty złote na srebrnych podkówkach, własnoręcznie kupione w Krakowie; szabla w srebrnej pochwie z rzeźbą i rękojeścią, w perły i kamienie oprawną, i czapka biała, rogata, z kasztankiem i czaplem piórkiem, które także spięte było soliterem, w brylanty oprawnym.

Tak ubrany przyjechał pan stolnikowicz karetą z dwiema po bokach szybami, co było wielką rzadkością na owe czasy i niemałe obudzało zdziwienie. Kareta była malowana zielono i żółte miała po wszystkich brzegach obwódki, a na wszystkich czterech jej rogach u wierzchu stały ptaszki, misternie z drzewa wyrzezane i pozłocone; brzegi zaś były osadzone galeryjką, która wyobrażała liście zielone, złotemi przeplatane jabłkami. Pudło to spoczywało na czterech kolosalnych sprężynach, mając pod sobą cztery ogromne koliska; było od ziemi tak wysoko, że sześć stopni wprowadzało do jego drzwiczek; kozioł atoli przed niem był jeszcze wyższy i, jeżeli sama kareta wyglądała jak mały kościółek, to kozioł doskonale przedstawiał dzwonicę. Na tym koźle siedział stary wąsaty woźnica, który, służąc jeszcze u nieboszczyka stolnika, sam tylko jeden umiał powozić tą ogromną landarą; za nim, obydwiema rękami trzymając się za ramiona jego, stał młody i smukły chłopaczek, po węgiersku od samego złota ubrany; za karetą zaś na desce, malowanej na czarno, rękami się trzymając rzemieni, do pudła przymocowanych, stało dwóch pajuków, ogromnych wzrostem, w hajdawerach czerwonych, kaftanach błękitnych, szamerowanych złotem, przy szablach szerokich a krótkich, i w kołpakach czerwonych z galonami i piórami. Do karety było zaprzężonych pięć koni siwo jabłkowitych[1]), rosłych i wypasionych jak gałki, a na nich był szor z skóry glancowanej ze srebrnymi kluczami i obwódkami, z herbami właściciela na okularach i z pękami piór strusich na czołkach. Taki był ekwipaż pana młodego; ale prócz tego miał

1) Mających na maści plamki niby jabłka.

on jeszcze i brykę, czterema gniadymi końmi ciągnioną, i wóz drabny, w którym biegły cztery bułane.

Jak tylko pan stolnikowicz zajechał, zaraz szlachta, będąca na pokojach i na dziedzińcu, obstąpiła tę całą karawanę, ażeby się statkowi pana młodego przypatrzyć; wyszedł też sam podkomorzy, a podczas kiedy wszyscy nie mogli się dosyć nachwalić to karety, to koni, to sług ubioru, przyszły teść pana Józefa aż się uśmiechał z wewnętrznego zadowolenia; jednakże, całując w głowę swego przyszłego zięcia, mówił przy wszystkich: — Na co to, panie Józefie, takie zbytki, takie przepychy dla ubogiego domu Karsznickich?! cztery mierzynki[1]), pokrytek wyplatany — ot! i dosyćby było.

Ale widać było panu podkomorzemu z oczu, iż to mówił tylko dla formy; jakoż zaraz na to odezwał się pan chorąży, który jako swat razem z Bobowskim w tej karecie przyjechał: — Ot! bogdaj cię Pan Bóg kochał, panie Franciszku! a pamiętam, kiedyś przed laty, na tenże sam zamek po Jmć pannę Urszulę przyjechał, to miałeś sześć koni w landarze, podobno pięć bryk szło za tobą, i, co większa, pół sotni twoich dworskich kozaków.

— Cha, cha, cha, panie bracie! — rzekł podkomorzy. — A jak pamiętasz! prawda, prawda; no, ale to inne były czasy natenczas.

W chwilę potem przyjechał przyjaciel i drużba pana młodego, pan łowczyc Stanisław Osuchowski. Był on także strojno i bogato ubrany, prawie tak całkiem jak stolnikowicz, z tą tylko różnicą, że jego kontusz był granatowy z koralowymi guzami, pozostały mu po ojcu, i szyty przez nieznajomego krawca w Krakowie.

Niebawem szlachty najechało się i sam widok tych ludzi otwartego czoła, śmiejących oczu, pięknych postaci, kapiących od złota, drogich kamieni i karmazynu, był śmiejący się, wesoły. Wkrótce też dziedziniec tak się napełnił końmi, powozami i ludźmi, że nawet przejść nie było którędy. Równie tłumno było w pokojach, tłumno po oficynach, a kiedyby kto okiem rzucił w ogród, to i tam jesz-

---

1) Konie robocze.

cze kilka par przechodziło się po alejach; grupa szlachty siedziała w altanie, a pomiędzy drzewami i różną krzewiną tu mignął wylot biały od karmazynowego kontusza, tam płynęło kilka czapek z piórkami ponad strzyżonym szpalerem, ówdzie brzękały szable, a gdzieindziej migały buty żółte i czerwone na przemian, pomiędzy pnie drzew, krzaczystych u góry, ale okrzesanych u dołu.

Śród tego rozprószenia się gości po wszystkich kątach zamkowego obejścia, pannę ubierano do ślubu i wkładano na nią suknię ciężką jedwabną, cielistego koloru, wkładano wieniec mirtowy we włosy i zarzucano welon długi na głowę, jak to kazała nowa moda onego czasu. A kiedy już i pannę ubrano i przybyli wszyscy oczekiwani goście, poczęło się to wszystko gromadzić w wielkiej gościnnej komnacie i przystąpiono do ceremonii oddawania panny panu młodemu i błogosławieństwa. W tym celu rozścielono pyszny kobierzec na środku komnaty, na nim poustawiano przy jednym brzegu krzesła szeregiem, na których najpierw usiedli podkomorstwo oboje, za nimi zaś wujowie, stryjowie i ciotki panny młodej, a przed podkomorstwem, więc niby na pierwszem miejscu, posadzono jeszcze jedną osobę, na około której najciekawiej gromadziła się całą prawie komnatę tłumnie zajmująca szlachta i panie. I było się tam rzeczywiście czemu przypatrywać ciekawie: w tem krześle bowiem siedział bardzo już zgrzybiały staruszek, który, głowę pochyliwszy na piersi, martwemi oczyma patrzał na malowane kwiaty kobierca i zdawał się już prawie mało co być przytomnym. Staruszek ten, istny grzybek, nad otwartym grobem stojący, nie miał już na głowie ani jednego włosa i tylko naokoło karku się snujący i ponad uszyma urwany wieniec z włosów bielutkich, istna zgrzybiałej starości korona. Twarz tego starca była w samych zmarszczkach i cery już prawie brunatnej, od której dziwnie pięknie odbijały gęste brwi srebrnego koloru i takież wąsy, krótko podstrzyżone i tylko końcami zawiesisto na brodę się spuszczające. Staruszek ten miał na sobie żupan biały jedwabny, a na nim kontusz karmazynowy, także jedwabny, ale cały popielicami podbity, dalej pas cieniuteńki bawoli i buty żółte safianowe, futrzane i futerkiem wyło-

żone na brzegach cholewy. Przy boku miał kordzik niewielki, lekki, w skórę czarną oprawny, i ten trzymał w swej lewej; prawą rękę zaś mając opartą na grubej trzcinie ze złotą gałką, siedział tak i patrzał na one kwiaty kobierca. Staruszek ten był to pan Bal ze Średniej Wsi: miał już wtenczas sto dwa lata; urodził się jeszcze za Jana Kazimierza, chłopcem młodym był na dworze króla Michała; przez całe panowanie Jana III służył wojskowo, był pod Chocimem, pod Kamieńcem, pod Żurawnem, pod Wiedniem i Parkanami; sprawował potem różne powiatowe urzędy, a kiedy nakoniec podkomorstwa swej ziemi dla podeszłego już wieku przyjąć nie mógł, osiadł w Średniej Wsi i tam od trzydziestu lat czekał spokojnie, rychło go anioł śmierci powoła przed oblicze Tego, któremu wiernie służył przez całe życie. Starzec ten był pani podkomorzynej stryjeczno-stryjecznym dziadem, więc już prawie nie krewnym; szanowano jednak onego czasu i tak dalekie krewieństwa i, uprosiwszy staruszka, ażeby swoją stuletnią ręką pobłogosławił to nowe małżeństwo, posadzono go przy tym obrzędzie na pierwszem miejscu.

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach zasiedli, przy drugim brzegu kobierca, opartym o tłum szlachty ciekawej, stał już stolnikowicz z łowczycem po lewej, a z panem Błońskim, staruszkiem jak gołąb siwym, po prawej swej stronie. Zrobił się nagle szmer między gośćmi, tłumy się rozsunęły — i weszła wraz z drużkami i starościną panna młoda do tej komnaty. Była ona piękną jak zawsze, a dzisiaj przez wspaniałość ubioru i przejęcie się uroczystością chwili jeszcze piękniejszą i miała coś tak wyniosłego i prawie imponującego w swej całej postaci, że już weszła i stanęła naprzeciw pana młodego, a ów szmer podziwienia pomiędzy szlachtą jeszcze nie mógł ucichnąć. W krótkiej chwili atoli wystąpił z poza krzeseł kapelan zamkowy, białowłosy już staruszek, przysunął się do Barbarki i ujął ją delikatnie za rękę, spojrzał potem na rodziców, na gości, na stolnikowicza, a odchrząknąwszy i obróciwszy się wraz z panną ku panu młodemu, zaczął swoją perorę w ten sens: — Niech będzie pochwalony Pan Jezus!

Pan Błoński odpowiedział na to: — Na wieki wieków.

A kapłan tak zasię: — »Nizkiemu słudze znakomitego domu tego, a najniższemu w kościelnej hierarchii powierzony jest mnie dostojny urząd oddawania panny oblubieńcowi. Oto jest dzisiaj dzień i ten moment, w którym dawno już uproszoną i przyrzeczoną do rąk własnych odbierasz, upodobaną przez ciebie towarzyszkę przyszłego życia. Pannę samą, jako kwiat wiosny jaśniejącą wszystkimi promieniami młodości i życia, oddają ci jaśnie wielmożni tu przytomni rodzice i mówią przytem: »Bierz, szanuj jak matkę, kocha jak siostrę i prowadź jak dziecko twe własne przez przepaściste drogi tego ziemskiego życia«!

Długo jeszcze prawił ksiądz kapelan takim tonem podniosłym, wyliczał zasługi około Rzeczypospolitej i ciche cnoty domowe przodków panny młodej po mieczu i po kądzieli, przeplatając swoją oracyę wedle ówczesnego zwyczaju przykładami i cytatami z Pisma św. i z pisarzów starożytnych.

Na tę przemowę odpowiedział z kolei pan młody. Przypomniał dzieje i zasługi swego rodu, wyraził swoje szczęście z połączenia się trwałym związkiem z takim znakomitym domem i, zwracając się do przyszłych rodziców, tak zakończył: Chociaż się od was oddalamy, pamięcią, miłością i posłuszeństwem zostajemy przy was na zawsze, a całem naszego życia staraniem będzie, ażebyśmy stali się pociechą i podporą waszej (oby to dał Bóg!) jak najdłuższej i najweselszej starości. — Czego życzę z całego serca — dodał pan Błoński, kłaniając się podkomorstwu, stolnikowiczowi i Barbarce — czego życzę z całego serca w mojem i całej tu zgromadzonej kompanii imieniu!

Na to powstał szmer przyznający w całem zgromadzeniu, niektórzy nawet głośno wymawiali: »Życzymy! winszujemy! daj Panie Boże!« — Za co podkomorzy z podkomorzyną, z miejsc swoich powstawszy, kłaniali sie gościom w tę i ową stronę, goście zaś im się kłaniali, i to trwało przez długą chwilę.

Śród tych ukłonów stolnikowicz, wziąwszy pannę młodą za rękę, przystąpił do rodziców i rzucił się im do nóg z nią razem: w ten moment też ustały pokłony, a poczęły się błogosławieństwa. Błogosławili tedy najpierw śród łez i gło-

śnego płaczu rodzice, kładąc ręce swoje na głowach obojga młodzieży, którzy ich ściskali za nogi; — błogosławiły potem stryjenki i ciotki; błogosławili wujowie, a wszyscy ze zami w oczach i niezrozumiałemi słowami w ustach. Kiedy się państwo młodzi onemu stuletniemu staruszkowi rzucili do kolan, wstał tenże ze swego krzesła i, laskę swoją opuściwszy na zaścielony kobierzec, podniósł obiedwie ręce nad ich głowami, i bez łez w oczach, chrapawym, trzęsącym się głosem powiedział te słowa: — Błogosławię was, dzieci moje, i życzę, ażeby wam się stało tak długie szczęście, jak długiem jest moje życie.

Tymczasem w głównej komnacie dawno już wszyscy z miejsc powstali, ruch się zrobił niezwykły, gwar nawet podniósł się w całem zgromadzeniu. Wnet drużbowie z panną już siedzieli w powozie, pan młody z drużkami już był na wschodach, a reszta gości zbierała się także, szukając swych czapek, przypinając szable i podając damom chustki, szale inne zarzutki.

Wkrótce potem przed kościołem, murowanym z kamienia, a stojącym przy samym rynku w miasteczku, stało kilkadziesiąt powozów. Około nich zbijały się nieprzeliczone tłumy różnego ludu, które ciekawość z okolicznych wsi posprowadzała. Niewielką nawę domu Bożego, dziś przystrojoną w światła, kobierce i kwiaty, zalegli całkiem goście zamkowi; i był to widok dziwnie piękny i nie codzienny, który przedstawiał tłum ludu, cały od stóp do głowy strojny w jedwab, karmazyny i złoto. Przed ołtarzem, otoczeni drużbami i starostami, stali państwo młodzi, a kapelan w komżę i stułę ubrany, na stopniach ołtarza stojący, miał do nich mowę długą i obszerną, w której wykładał im przyszłe ich obowiązki. A kiedy po skończeniu się tej ceremonii powozy, jeden za drugim rączo ruszając z miejsca, długim łańcuchem posuwały się ku zamkowi, można było widzieć podkomorzego, jak pchając się między tłumy, tę i ową przytomną tam szlachtę drobną, szlachcianki i podstarościne, a nawet i lud prosty na przekąskę do zamku zapraszał.

Zygmunt Kaczkowski (Bracia ślubni XI).

39. Srul z Lubartowa.

Było to w roku... ale mniejsza o rok, dość że było, a było w Jakucku w początku listopada, w kilka jakoś miesięcy po moim przyjeździe do tej stolicy mrozów.

Ciepłomierz spirytusowy Reaumura wskazywał 35 stopni zimna. Ze strachem więc myślałem o przyszłym losie mego nosa i uszu, które jako niedawno przywiezione z zachodu, dotąd zawsze dotkliwie dla mnie znaczyły swój protest cichy przeciw aklimatyzacyi przymusowej, a dziś właśnie miały być wystawione na przydłuższą próbę. Groziła im ta próba, ponieważ parę dni temu w szpitalu miejscowym umarł jeden z członków naszej kolonii, kurp, Piotr Bałdyga, i dziś rano mieliśmy oddać mu ostatnią usługę: złożyć w ziemi zamarzłej jego sterane kości.

Czekałem tylko na jednego ze znajomych, który miał zawiadomić mnie o czasie pogrzebu; czekałem niedługo i, zabezpieczywszy najstaranniej nos i uszy, podążyłem za innymi ku szpitalowi.

Szpital był za miastem.

W podwórzu, trochę opodal od innych budynków, stała szopa niewielka — trupiarnia.

W tej trupiarni leżało ciało Bałdygi. Otworzono drzwi; weszliśmy i wnętrze na całej naszej garstce przykre wywarło wrażenie; było nas dziesięciu, może kilkunastu, i wszyscyśmy mimowolnie spojrzeli po sobie: staliśmy wobec rzeczywistości zimnej i nagiej, nie okrytej żadnym łachmanem pozoru... W szopie, nie mającej ani stołu ani stołka, nic okrom ścian, ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanej, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę, ogromny, wąsaty trup. Był to Bałdyga.

Ciało zmarzło okropnie i, aby łatwiej je włożyć w przygotowaną już trumnę, przysunięto je do drzwi ku światłu.

Nigdy nie zapomnę twarzy Bałdygi, którąm ujrzał teraz w świetle dziennem oczyszczoną ze śniegu. Surowe oblicze nacechowane było dziwnym jakimś nieopisanym bolem, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się z wymówką, sterczały het daleko, ku mroźnemu, surowemu niebu.

— Zmarły był to chłop zacny — opowiadał mi tymczasem jeden z sąsiadów, widząc wrażenie, jakie na mnie wywarł widok Bałdygi — zawsze był zdrów i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał do siebie kogoś z biedniejszych; tylko, że i uparty był jak kurp, więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie.

Włożono tymczasem skamieniałe zwłoki do trumny postawiono na małe, jednokonne sanki jakuckie i, gdy krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: »Witaj Królowo Nieba, w smutku i radości«, podtrzymując ją urywanymi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi.

Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pośpiechu. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarzłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych uderzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana kupka ziemi świadczy o niedawnem jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć będzie jednak niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje, zrówna się z ziemią, porośnie trawą i zielskiem; po roku, dwóch wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać nikt zmarłego na ziemi nie będzie. I pies nawet o cię nie zapyta!

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśmy i my — i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.

* * *

Nazajutrz po pogrzebie mróz stężał jeszcze. Po drugiej stronie dość wązkiej ulicy, na której mieszkałem, nie było widać ani jednego budynku: gęsta mgła śnieżnych kryształów jak chmura zawisła nad ziemią. Z poza mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk rozsadzanych w ścianach domów grubych bierwion lub pękającej szerokiemi szczelinami ziemi, to podobny do jęku żałosny śpiew

Jakuta. Widocznie zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to na próżno, że wróg nieubłagany prędzej czy później zwycięży.

I Bałdyga jak na jawie coraz częściej stawał przede mną. Od godziny siedziałem nad rozłożoną robotą; robota jednak nie kleiła mi się jakoś, pióro samo wypadało z ręki i myśl nieposłuszna wyrywała się daleko poza granice śnieżnej i mroźnej ziemi. Napróżnom powtarzał sobie po raz dziesiąty rady lekarza; dotąd trawiącej mnie od kilku tygodni chorobie stawiłem jaki taki opór, dziś czułem się zupełnie ubezwładniony, bezsilny. Tęsknota za krajem pożerała mię, trawiła nielitościwie.

Tyle już razy nie mogłem oprzeć się ułudnym marzeniom, czyżbym dziś mógł się ostać pokusie? I pokusa była silniejsza i ja sam słabszy, niż zwykle.

Precz więc mrozy i śniegi, precz, rzeczywistości jakucka! Rzuciłem pióro i, otoczony chmurami dymu tytoniowego, puściłem wodze rozgorączkowanej wyobraźni.

Więc i poniosłaż mnie swywolna!...

Przez stepy, przez góry i rzeki, przez carstwa i ziemie niezliczone pomknęła myśl lotna na daleki zachód, roztaczając przede mną czary prawdziwe: nędzy i złości ludzkiej pozbawione, piękne i harmonii pełne moje niwy nadbużne. Ustom mym dziś nie opowiedzieć, pióru nie opisać tych czarów!

Widziałem łany pozłociste, łąki szmaragdowe, lasy stare, dawne dzieje mi szemrzące.

Słyszałem szum fal kłosistych, gwar Bożych piewców skrzydlatych, pomruk dębów olbrzymów, hardo wichrom urągających.

I napawałem się wonią tych lasów balsamicznych i tych pól kwiecistych, ubarwionych dziewiczą świeżością chabrów niebieskich i krasą wiosny, fiołkiem niewinnym.

...Każdy mój nerw czuł muskanie powietrza rodzinnego. Czułem ożywcze działanie promieni słonecznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wścieklej i coraz

groźniej szczerzył do mnie na szybach swe zęby, krew jednak żywo zakrążyła w mych żyłach, zapałała głowa i jak zaklęty, zapatrzony, zasłuchany, nie widziałem i nie słyszałem już nic koło siebie...

* * *

Nie widziałem i nie słyszałem, jak się drzwi otworzyły i wszedł ktoś do mnie; nie spostrzegłem kłębów pary, buchających tu za każdem drzwi otwarciem w takiej ilości że i nie dojrzysz od razu wchodzącego; nie czułem zimna, które z jakąś bezczelną, rozmyślną natarczywością wrywa się tu do ludzkiej siedziby; nie widziałem i nie słyszałem nic i dopiero, gdym poczuł około siebie człowieka, wprzód zanim go dojrzałem, mimowoli rzuciłem mu zwykłe w Jakucku pytanie:

— Czego potrzeba?

— To ja, proszę pana — brzmiała odpowiedź.

Podniosłem oczy. Nie wątpiłem, że przede mną, pomimo wpakowanego nań przeróżnego ubrania, skór bydlęcych i jelenich, stał typowy, małomiasteczkowy żyd polski. Kto go widywał w Łosicach lub Sarnakach, ten pozna go nietylko w jakuckich, lecz i w patagońskich skórach. Poznałem go przeto od razu. A ponieważ, jak to rzekłem, i pytanie swe, niezupełnie jeszcze przytomny, rzuciłem mu bezwiednie, więc żyd stojący teraz nade mną, nie przerywał mych dumań zbyt brutalnie obrazem obcej rzeczywistości, nie był kontrastem zbyt przykrym. Przeciwnie. Z pewną przyjemnością wpatrywałem się w znajome mi rysy; zjawienie się żyda w chwili, gdym myślą i sercem przeniósł się do ziemi rodzinnej, wydało mi się dość naturalnem, parę zaś słów polskich mile pogłaskało ucho. W pewnem tedy jeszcze zapomnieniu przyglądałem mu się przyjaźnie.

Żyd postał trochę, następnie odwrócił się, cofnął ku drzwiom i pośpiesznie zaczął ściągać z siebie przeróżną swą odzież.

Wtedy dopiero opamiętałem się i spostrzegłem, żem mu nic nie odpowiedział i że domyślny współziomek, wytłómaczywszy sobie najopaczniej moje milczenie, zechce

mi rozłożyć swój towar. Pośpieszyłem wyprowadzić go z błędu.

— Bój się Boga, człowieku, co robisz?! — zawołałem żywo. — Nic nie kupuję, nic mi nie potrzeba, nie rozbieraj się napróżno i ruszaj z Bogiem dalej!

Żyd przestał się rozbierać i pomyślawszy chwilkę, wlekąc za sobą na poły ściągniętą dachę, zbliżył się do mnie i głosem urywanym, prędko i bezładnie tak mi prawić zaczął:

— To nic; ja wiem, że pan nic nie kupi. Widzi pan, ja tu dawno już jestem, bardzo dawno... Ja dotąd nie wiedziałem, że pan przyjechał. Pan z Warszawy przecie? Wczoraj mi dopiero powiedzieli, że pan tu już cztery miesiące przeszło. Co za szkoda, żem się tak późno dowiedział! Byłbym zaraz przyszedł. Dziś szukałem pana z godzinę; byłem aż na końcu miasta, a tu mróz taki, niech go dyabli wezmą!... Niech pan pozwoli, ja długo przeszkadzać nie będę, kilka słówek tylko...

— Czegoż ty chcesz ode mnie?

— Ja tylko chciałbym pogadać trochę z panem.

Odpowiedź ta nie zdziwiła mnie wcale; ludzi rozmaitych, przychodzących jedynie po to, aby »pogadać trochę« z człowiekiem, niedawno przybyłym z kraju, spotykałem już niemało; byli pomiędzy nimi i żydzi. Przychodzący interesowali się przedmiotami najróżnorodniejszymi: bywali i prości ciekawscy i gadulscy, bywali i ludzie, którzy o krewnych tylko pytali, bywali i politycy, pomiędzy którymi niejednemu już się zupełnie w głowie przewróciło. Wogóle jednak pomiędzy przychodzącymi polityka miała zawsze szczególny mir i poważanie. Nie zdziwiło mnie więc powtarzam, żądanie nowego przybysza i chociaż radbym był uwolnić mą chatę coprędzej od nieprzyjemnego zapachu źle zwykle wyprawianych bydlęcych skór dachy, poprosiłem go uprzejmie, aby się rozebrał i usiadł.

Żyd, widocznie ucieszony, po chwili już siedział koło mnie i teraz mogłem mu się przyjrzeć uważniej.

Wszystkie najpospolitsze rysy plemienia żydowskiego, zdaje się, wcieliły się w siedzącą obok mnie postać: i gruby, pałkowaty, trochę na bok przekrzywiony nos i przenikliwe

jastrzębie oczy i broda klinowata, barwy dobrze dojrzałego ogórka, i wreszcie czoło nizkie, grubym włosem okolone — wszystko to posiadał mój gość, lecz rzecz dziwna, wszystko to razem wzięte, być może okraszone wyrazem twarzy znędzniałej, tchnącej jakąś szczerą otwartością i przyjaźnią, nie sprawiło na mnie w tej chwili złego wrażenia.

— Powiedzże mi, skąd jesteś, jak się nazywasz, co tu porabiasz i czego chcesz się dowiedzieć ode mnie?

— Jestem, proszę pana, Srul z Lubartowa, może pan dobrodziej wie, to zaraz koło Lublina; nu, bo u nas wszyscy myślą, że to tak bardzo daleko, dawniej i ja tak myślałem; ale teraz, dodał z przyciskiem, to my wiemy, że Lubartów od Lublina bardzo blizko, zaraz koło niego.

— A dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno, trzy lata bez mała.

— To jeszcze nie tak dawno przecie; są tacy, co po 20 lat przeszło tu mieszkają, a w drodze spotkałem staruszka z Wilna, co blizko 50 lat tu mieszka; ci rzeczywiście są tu dawno.

Ale żyd ofuknął:

— Jak oni, to ja nie wiem; ja wiem, że jestem tu bardzo dawno.

— Zapewne sam tylko jesteś, jeżeli ci czas tak długim się wydaje.

— I z żoną i z dzieckiem i z córką; miałem czworo dzieci, kiedy tu szedłem; ale to podróż taka, niech Pan Bóg zachowa; szliśmy rok cały; pan nie wie, co to etapy?... Troje dzieci od razu mi umarło; w jednym tygodniu, to jakby od razu. Troje dzieci?! łatwo powiedzieć... nawet pochować nie było gdzie, bo cmentarza naszego tam niema.

I umilkł wzruszony.

— Mój kochany, w takiem położeniu trudno już o tem myśleć; wszystko to jedno przecie, ziemia Boża wszędzie — starałem się go choć czemkolwiek pocieszyć, ale żyd skoczył jak oparzony.

— Boża, jaka Boża! co za Boża! co pan mówisz? Boża ziemia! Nie mów pan tak, wstydź się pan! Boża ziemia, co nigdy nie rozmarza? Bóg nie chce, aby tu ludzie mieszkali. Żeby On chciał, nie byłaby taką. Tfu! tfu!

I zaczął pluć koło siebie i tupać nogami; z zaciśniętemi usty, skurczonymi palcami groził niewinnej ziemi jakuckiej, szeptał jakieś przekleństwa żydowskie, aż zmęczony wysiłkiem, upadł raczej, niż usiadł na stołku obok mnie.

Wszyscy zesłani, bez względu na religię i narodowość, nie lubią Syberyi; widocznie jednak fanatyczny chasyd nie umiał nienawidzieć połowicznie. Czekałem, aż się uspokoi. Wychowany w twardej szkole, żyd prędko przyszedł do siebie, prędko owładnął wzruszeniem i, gdym po chwili spojrzał mu w oczy pytając, odpowiedział natychmiast:

— Niech pan daruje, ja z nikim o tem nie mówię, bo i z kim tu mówić?

— Alboż żydów tu mało?

— Czy to żydzi, panie? To już tacy jak tutejsi... zakonu nikt nie pilnuje. — Bojąc się jednak nowego wybuchu, nie dałem mu już skończyć, postanowiłem skrócić rozmowę i zapytałem wprost, o czem to on chciał ze mną pogadać.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tam słychać, panie. Tyle lat tu jestem i jeszcze nigdy nie słyszałem, co się tam dzieje.

— Kiedy pytasz trochę dziwnie, nie mogę ci przecież opowiedzieć od razu wszystkiego; nie wiem, co cię interesuje, polityka może?

Żyd milczał.

Sądząc, że gość mój, jak i wielu innych, interesuje się polityką, nie rozumiejąc samej nazwy przedmiotu, zacząłem stereotypową już dla mnie, ze względu na wielokrotne powtarzanie, opowieść o politycznem położeniu Europy, naszem i t. d. Ale żyd zakręcił się niecierpliwie.

— Więc to ciebie nie interesuje? — zapytałem.

— Nigdy o tem nie myślałem — odrzekł otwarcie.

— A! teraz wiem, o co ci chodzi; pewno chcesz wiedzieć, jak się żydom powodzi, jak handel idzie?

— Im się lepiej powodzi, niż mnie.

— Słusznie. W takim razie pewno chcesz wiedzieć, czy

życie u nas teraz drogie, jakie ceny na targach, po czemu mąka, mięso i t. d.

— Co mi z tego przyjdzie, kiedy tu nic dostać nie można, choćby tam najtaniej było.

— Jeszcze słuszniej; ale ostatecznie o cóż u licha ci chodzi?

— Kiedy ja nie wiem, proszę pana, jak to powiedzieć. Widzi pan, ja tak nieraz myślę, myślę, że aż Ryfka — to moja żona tak się nazywa — pyta się: »Srul, co tobie?« A co ja jej mam powiedzieć, kiedy ja sam nie wiem, co mi jest. Bo to może nawet i ludzie śmieliby się ze mnie? — dodał, jakby badając, czy ja się zeń śmiać nie będę.

Ale ja się nie śmiałem. Byłem zaciekawiony: widocznie gniotło go coś, z czego sam sobie sprawy zdać nie umiał i czego wypowiedzenie w języku, którym władał nadzwyczaj słabo, było dlań jeszcze trudniejszem. Chcąc dopomódz mu, uspokoiłem go, aby się nie śpieszył, że robota moja niepilna; nic na tem nie straci, jeżeli pogadamy z godzinę i t. d. Żyd podziękował mi wzrokiem i po krótkim namyśle rozpoczął taką rozmowę:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było czy ciepło?

— Ciepło zupełnie, jechałem z początku w letniem ubraniu.

— Nu, patrz pan! A tu mróz!

— Cóż to, zapomniałeś czy co, przecież w kwietniu pola już u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone!

— Zielone? — radość błysła w oczach Srula. — A tak, tak, zielone, a tu mróz!

Teraz już wiedziałem, o co mu chodzi: chcąc się jednak upewnić, milczałem; żyd ożywił się widocznie.

— Nu! niech mi pan powie, czy jest u nas teraz... tylko ot, widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem — tłómaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy — to jest białe, takie jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielkich kijach?...

— Fasola?

— A to właśnie! Fasola, fasola — powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

— Rozumie się, jest, i dużo, a tu czyż niema?

— Tu! Przez całe trzy lata ani jednego ziarnka nie widziałem; tu groch taki, co u nas z przeproszeniem tylko... tylko...

— Świnie jedzą — podpowiedziałem.

— Nu, tak! tu na funty sprzedają, i to niezawsze dostać można.

— Czy tak lubisz fasolę?

— Nie to, że lubię, ale to właśnie ja sobie tak nieraz myślę o tem, bo to ładnie przecie, nie przymierzając, jakby lasek rośnie wedle domu. Tu nic niema!

— A teraz — zaczął znowu — teraz niech mi pan powie, czy w zimie są u nas jeszcze małe, ot takie — i na palcu pokazywał — szare takie ptaki? także zapomniałem, jak to się nazywa. Dawniej dużo ich było! Bywało, modlę się koło okna, a tego maleństwa jak mrowia się nazbiera. No, ale ktoby tam na nich patrzył? Wie pan co? nigdybym nie uwierzył, że o nich kiedy myśleć będę! Bo tu, tu wrony nawet na zimę uciekają, to maleństwo takie tem bardziej nie może wytrzymać, ale u nas pewnie są jeszcze? Nu, panie, są?...

Ale teraz ja mu nie odpowiadałem; nie wątpiłem, że żyd stary, chasyd fanatyczny, tęsknił za krajem tak samo, jak i ja, że obaj byliśmy chorzy na jedną chorobę; niespodziane takie znalezienie współkolegi cierpienia rozrzewniło mnie wielce, wziąłem go więc za rękę i sam z kolei zapytałem:

— Więc to o tem pogadać ze mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza i ziemi rodzinnej? Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach Bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś czasu poznać nawet dobrze, i dziś, gdy obrazy miłe znikają z twej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrą drogie wspomnie-

nia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył; chcesz, abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza?

— O tak, panie, tak, panie! po to tu przyszedłem! — i ściskał me ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie...

I słuchał mnie Srul, cały w słuch zamieniony, z otwartemi usty, wlepionym we mnie wzrokiem; wzrokiem tym palił mnie i podniecał, wyrywał mi słowa, chwytał je spragniony i kładł głęboko, na dnie swego serca gorącego... kładł tam, nie wątpię, bo gdym kończył swą opowieść, zajęczał żyd boleśnie, zatrzęsła się broda ruda i łzy duże, łzy czyste, potoczyły się po znędzniałe twarzy... I długo szlochał chasyd stary i ja płakałem z nim razem.

* * *

Dużo wody od tego czasu upłynęło w zimnej Lenie i łez ludzkich niemało zapewne spłynęło po twarzach zbolałych. Dotąd jednak, choć to dawno już było, w ciszy nocnej, w czasie nocy bezsennej, często staje mi przed oczyma posągowa, stygmatem bolu wielkiego ożywiona twarz Bałdygi i obok niej zawsze się zjawia zżółkła i pomarszczona, łzami czystemi oblana twarz Srula.

Adam Szymański (Szkice).

---

40. Dumka.

Smutnoż tu — smutno, bracia za Dunajem!
I w oczach mokro, bo sercami tajem;
Ludzie nas nudzą i świat cały nudzi;
Cudzo, och! pusto wśród świata i ludzi!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! I bujnie i miło!
Hej! nie zastępuj na drodze, mogiło!
Nie ściel się cieniem! niech sokole oko
Kąpię w burzanach lubo a szeroko!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Ponad Ukrainą,
Wkróś okolicą jarzącą się, siną

Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmącony;
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Wciąż nuta żałoby,
Bo nadmogilna, bo pomiędzy groby,
Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
O ich minionych i bojach i chwale;
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Miłość i Tęsknota —
To jak dwie prządki naszego żywota.
Bożeż mój, Boże! łzami modlę Ciebie:
Jak umrę, daj mi Ukrainę w niebie!
Niema bo rady dla duszy kozaczej:
U nas inaczej — inaczej — inaczej!

Bohdan Zaleski.

41. Odpowiedzi i zajazdy w Polsce.

Odpowiedzią nazywano pisemne uwiadomienie, które szlachcic przesyłał szlachcicowi, wypowiadając mu walkę na śmierć lub życie i wzywając go, aby się strzegł na każdym kroku. Nie był to zwyczaj polski, nie urósł z gruntu swojskiego — dostał się do nas z Niemiec; sama nazwa jest niezgrabnem przetłómaczeniem niemieckiego terminu *Absage*. Ze zwyczaju, prawnie nie uznanego, lecz tylko cierpianego, odpowiedź stała się od r. 1588. rodzajem legalnego aktu, środka obrony na wypadek następstw kryminalnych po krwawej jakiejś waśni osobistej. Konstytucya z pomienionego roku stanowi: „Gdyby kto, będąc pozwany *criminaliter*, bronić się chciał „odpowiedzią", którąby *ante crimen* miał posłać, tedy się inakszą bronić nie może, jedno taką, którąby przez woźnego i dwóch szlachciców uczynił i onę dał do ksiąg grodu, pod którymby mieszkał ten, komu odpowiedział, wpisać *personaliter;* po wpisaniu nie ma przeciwko stronie on odpowiednik nic *violentim* poczynać do sześciu niedziel. Gdyby się tak nie zachował, tedy takowa odpowiedź nie ma iść ad *defensionem criminis*". — Odtąd zaczynają się w aktach pojawiać odpowiedzi.

Spotykamy je często aż do pierwszych kilkunastu lat XVII. stulecia; poczem zwyczaj ten ginie powoli. Najwięcej było ich w ziemi przemyskiej; mniej w innych ziemiach.

Odpowiedź miała swoją stałą formę, której się zawsze trzymano z małemi odmianami: zaczynała się od powodu, który ją wywołał, a kończyła się przestrogą, aby wyzwany strzegł się odpowiadającego w domu, w kościele, w łaźni, na polu, pijąc, jedząc, śpiąc, w drodze i na każdem miejscu, bo się na nim mścić będzie i na gardle jego usiędzie. Za zwyczaj jednostka przestrzega w ten sposób jednostkę; zdarzają się jednak przykłady, że całe grono osób przesyła odpowiedź jednemu lub jeden całemu gronu. Zdarza się także, że wyrwie się szlachcic „lew i rezolut“, który na wzór niemieckich *Raubgrafów* posyła odpowiedź całemu miastu. Tak zrobił w r. 1623. Janusz Tyszkiewicz, który odpowiada burmistrzowi, wszystkim rajcom i całemu miastu Lwowowi, tak, że mieszczanie lwowscy, niepewni życia w domu i podróży, uciekają się pod opiekę króla.

Nie było żadnej władzy, którąby zapobiegała z urzędu swego takim jawnym groźbom, takim głośnym, publicznym zapowiedziom gwałtu i zabójstwa. Był tylko jeden środek, na pozór bardzo potężny, w istocie rzeczy błahy i płonny. Były to zakłady czyli t. zw. *vadia*. Jeszcze w XV. wieku takie *vadium vallatum* albo *treuga pacis* zakładane bywa między stronami przez wojewodów, starostów i t. zw. *tutorów* ziemskich, a rzadko bardzo przez samego króla; później już tylko król je ustanawia. Na zażalenie i prośbę zagrożonej strony, czasem także, ale rzadziej, za wdaniem się osób trzecich król zakładał między przeciwnikami *vadium* pieniężne, stanowiąc, że strona, która pierwsza rozpocznie kroki nieprzyjacielskie, zapłacić ma stronie, która zachowała się spokojnie, połowę zakładowej sumy, druga zaś połowa ma wpłynąć do skarbu królewskiego. Zakłady opiewają na sumy rozmaite, czasem na bardzo wysokie; najniższy zakład wynosi złotych 300, najwyższy dochodzi do 200.000 zł.

Niestety nikogo te wadya królewskie nie obroniły i żadnej wojnie prywatnej nie zapobiegły. Nie spotykamy się też z najmniejszym choćby śladem, żeby ktokolwiek

zapłacił vadium królewskie. Bo też powaga króla w Polsce w XVII. wieku była już tylko cieniem i echem.

Jak „odpowiedź“ była uprawnieniem bezprawia, tak znowu zajazd był ubezprawnieniem prawa. *Inequitatio* (zajazd) — to pierwotnie akt prawny objęcia w posiadanie rzeczy, przyznanej wyrokiem sądowym. Wykonywać się miał całkiem legalnie za interwencyą organu urzędowego, a w razie oporu pokonanej strony następować miała egzekucya z ramienia króla. Ale gdy tym organem urzędowym był woźny, zazwyczaj prosty chłop, poddany szlachecki, nie umiejący czytać ani pisać, a jako asystę miał jedynie dwóch szlachciców, władza egzekucyjna zaś istniała tylko z imienia, więc po całym szeregu intromisyi, niedopuszczonych przez dłużnika, zniecierpliwiony wierzyciel wykonywał zajazd zbrojny i zajmował przemocą majątek strony pokonanej prawem. W takim stanie rzeczy zrobiły się zajazdy rozbójniczymi napadami, a jeśli strona przeciwna miała środki po temu i pomyślała o obronie, przychodziło do krwawych bitew, do zabójstw i spustoszeń całych majątków.

Zajazdy bywały tak częste, tak weszły w obyczaj, zresztą wobec niemocy władz bywały niekiedy tak konieczne, że wyrobiła się klasa specyalistów, którzy z prawdziwą znajomością rzeczy trudnili się ich organizacyą i dostawą potrzebnych szabel. Udawano się do nich z zamówieniami, godzono się z nimi stosownie do trudności i niebezpieczeństwa wyprawy. I nie mogło być inaczej: jak był specyalista — prawnik do „prawa“, tak musiał być specyalista — rębacz do „lewa“.

Osobliwością w swoim rodzaju bywały zajazdy „rolnicze“, w których chodziło o gwałtowne odjęcie zbiorów. Pod silną eskortą zbrojną wyjeżdżano w setkę pługów i orano rolę, spędzano setki żeńców i zaraz wywożono snopy. Takim był w r. 1604. zajazd, wykonany przez Kaspra Wielżyńskiego z Temerowic, słynnego z gwałtowności, na Medynię Olbrychta Odrowskiego. „Zebrawszy ludzi: jezdnych Kozaków i usarzy i inszego towarzystwa także liczbę niemałą, która wynosiła dwieście — czytamy w akcie prote-

stacyi — z działki, hakownicami i inszą armatą wojenną, ręką zbrojną, umyślnie i gwałtownie przyszedłszy i sprawiwszy ławami ludzi do bitwy..., we zboże jare i ozime weszli; piechotę na dwa boki z strzelbą ręczną wprzód puściwszy, a potem poddanych z różnych majętności swych na 100 człowieka z kosami przywiódłszy..., cały tydzień zboże medyńskie kosili takim ordynkiem, gwałtem, zbrojną ręką, jako na Tatarzyna pewnieby się nie stawił; zboże jako trawę wywożono, a nakoniec bydła i stada zagnano ku wiecznemu zniszczeniu tej wsi«.

Były też zajazdy, które możnaby nazwać „pogrzebowymi". Na śmierć chorego czekali w pogotowiu krewni, jeden czujniejszy od drugiego, każdy przemyśliwający wcześnie nad tem, jakby uprzedzić innych członków rodziny i mieć za sobą *ius primum occupantis*. Leżały jeszcze niepogrzebione zwłoki spadkodawcy, a już wykonywano zajazd zbrojną siłą, aby zająć majątek i nie dopuścić współzawodnika roszczącego sobie również prawo do schedy. Działo się to niekiedy pod pozorem uczczenia zmarłego, wzięcia udziału w pogrzebie z licznym honorowym orszakiem. Oto jeden przykład: Trzej bracia Pełczyccy na wieść o śmierci Wiktoryna Łodzińskiego, który był ożeniony z ich owdowiałą matką, zjeżdżają tłumnie przed samym pogrzebem nieboszczyka do Czaszyna, wypędzają rodzinę ojczyma i fortyfikują się we dworze. Ale Łodzińscy, zwerbowawszy sobie na prędce zbrojną kupę, uderzają na nich szturmem i oto stacza się krwawa potyczka, w której dwór i całe obejście czaszyńskie idzie z dymem, a jeden z Pełczyckich ginie od kuli. Ze spalonego domostwa wynoszą dwie trumny i podwójny odbywa się pogrzeb.

Okrucieństwo jednakże nie leżało nigdy w naturze polskiej. Jak zabójstwa, popełnione w pierwszem uniesieniu gniewu, jak krwawe starcia, do których przychodziło o lada słowo, były nadzwyczaj częste i nadawały społeczeństwu, nie tylko szlacheckiemu, cechę dzikości, tak znowu przykłady zimnego, obmyślanego okrucieństwa były rzadkie. Zdarzały się, ale należały do wyjątków. W sąsiednich Polsce krajach, nie wyjmując Niemiec, działo się wówczas nie lepiej, ale gorzej. *Władysław Łoziński* (Prawem i lewem).

42. O miłości ojczyzny.

Ojczyzna est to naprzód ta ziemia, na której mieszkamy, z całą rozmaitością okolic, rozlicznością płodów, z całym osobnym typem, charakterem kraju tego; jest to klimat, niebo, powietrze i woda, z wszystkiemi miejscowemi własnościami; powtóre jest to jeden lud, jeden ród, jedno plemię, z którego wyszli nasi rodzice, którego sami jesteśmy cząstką; nakoniec jest to państwo z wszystkiemi swobodami i korzyściami moralnemi.

Nie można zaprzeczyć, że pomiędzy ziemią a człowiekiem, tę ziemię zamieszkującym, jest bezpośrednie powinowactwo fizyczne. Zmiana pokarmu i powietrza wyraźny na cały organizm człowieka wpływ wywiera i działa przez ciało na umysł i na wszystkie władze duszy jego. Ziemia, dostarczająca pokarmów ludziom, przeistaczająca w ich ciała wszystkie pożywne cząstki swoje, jest istotną ich matką. Nic oczywistszego nad to, co mówią księgi święte, że Bóg stworzył człowieka z mułu ziemi. Co ziemia wydaje, to się staje pokarmem człowieka i zamienia się w jego ciało. Ziemia, woda, powietrze i to ciepło klimatyczne ożywiają nieustannie ciało nasze. Jeżeli, jak sztuka lekarska uczy, co kilka tygodni odnawia się i przerabia cały organizm nasz, przeobrażanie się to nieustanne ciała naszego odbywa ziemia, którą ojczyzną nazywamy. Myśmy rzeczywiście jej skibą: i jakże jej nie kochać?

Z tego to względu, im bliżej człowiek z naturą złączony, im mniej odbiegł przez cywilizacyę od pierwotnych praw przyrodzenia, tem wydatniej odzywa się to powinowactwo ziemi do człowieka. Jest to owa tęsknota do kraju, na którą rzuceni w dalekie strony, zdala od ojczyzny chorują. Między nimi a krajem, zda się, jak gdyby była niewidzialna siła, którą ziemia rodzinna przyciąga ciała swoje, a ta walka dwóch sił, niemożności wrócenia i owego pociągu do kraju, targa duszę nieszczęśliwego wychodźcy i jak ów sęp w Erebie wyrywa mu wnętrzności na dzień, które przez noc odrastają. — Niedowiarku, co nie wierzysz w miłość ziemi rodzinnej, w miłość matki-ojczyzny, patrz na

współrodaka z okiem obłąkanem, wytężonem ku stronom rodzinnym, z licem owiędłem i bladem, z sercem, do którego nic z wdzięków i rozkoszy świata nie przypada, z duszą spragnioną i łaknącą by też jednego tchnienia ojczystego powietrza; — a to wszystko wśród rozkosznego południowego nieba, wśród bogactw przemysłu i kultury, wśród światła nauk i oświaty: — a przekonasz się, jak sama ziemia domaga się na tych, co z niej ulepieni zostali, praw swoich.

Nie idzie więc wcale zatem, aby ta ziemia, którąś jako ojczyznę ukochał, obfitowała w dostatki i wdzięki przyrody. Pewien autor, opisując podróż swoją do Włoch, opowiada, że gdy go przewodnik po górach Styryi oprowadzał i pomiędzy szczelinami skał pokazał mu widok na rozległą równinę, dziką, kamienistą, rzęsisto obsutą łomami skał, wskazując na ten obszar rozległy, zawołał z uniesieniem: to ojczyzna moja! i we wzroku jego malowała się taka duma narodowa, takie zadowolenie, jak gdyby mu był jakie Eldorado*) okazał. Tak góral pokochał obnażone szczyty gór i duszno mu w strojnych ogrodami dolinach; — i mieszkaniec północy z pod skwarnych i barwistych okolic południa wraca do krain zimy, mgły i szarego nieba, bo to miejsca jego rodzinne, duszy jego tak lube, w nich on się czuje najswobodniej.

Wszystko, co tę jedność z naturą powiększa lub niweczy, zwiększa lub zmniejsza przywiązanie do ojczyzny. Ludy dzikie stosunkowo więcej mają przywiązania do miejsc rodzinnych, niżeli narody oświecone. Tęsknią do dziczy lasów, w których leżą święcone ich gaje, do skał urwistych, po których jak gazele przebiegali; — tęsknią do krainy śniegów i lodów Skandynawii, równie jak Etyopowie do spalonych słońcem piaszczystych pustyń Afryki, i umierają z tęsknoty. Amerykanin na każde cięcie siekiery europejskiej, co się głuchem echem po lasach odwiecznych rozlega, truchleje, bo czuje, że z prześwietleniem tych kniei uszczuplają się granice siedlisk jego. Narody rolnicze z tego

*) Kraj bajecznego władcy, w południowej Ameryce, niesłychanie bogaty; przenośnie: kraina rozkoszy, raj ziemski.

samego powodu mają więcej miłości ojczyzny, niżeli narody przemysłem idące; narody lądowe więcej, niżeli nadbrzeżni i wyspiarze, których przemysł i handel w odległe kraje prowadzi i od ziemi ojczystej odrywa.

Dlatego kolonie wychodziły zawsze, już od Fenicyan począwszy, od narodów handlowych i nadmorskich. Rzadko kiedy byli ku wędrówkom skorzy rolnicy. Stosunek ten u naszych włościan mianowicie tak przeważny wpływ wywiera, że się z trudnością za swoje strony przenoszą i dla tego każda okolica, w okręgu mil kilku, jest stałym tych samych zawsze rodzin odciskiem, i co okolica natrafiamy na osobne, jej tylko właściwe rysy twarzy, na te same obyczaje, a nawet ubiory.

Ziemia zatem ojczysta jest pierwszą, główną podstawą miłości ojczyzny — ale nie jedyną, inaczej zamieniłaby się ta miłość na prowincyonalizm, a w dalszem następstwie rozdrobnićby się musiała na przywiązanie do stron i okolic, w których zrodziliśmy się i wychowali. Gdzie naród nie uczuje jedności swojej w innych żywotnych stosunkach, jakoto: w języku, literaturze, w rządzie, w instytucyach, w wychowaniu, tam się rozpaść koniecznie musi na prowincyonalne interesy, rozpierające się i wyosabniające się nawzajem ze szkodą całości; tam miłość ojczyzny szwank ponosi i upadek krajowi zagraża. Nie z innego powodu odpadły Niderlandy od Hiszpanii, a Kozacy od Polski.

Człowiek rozmoże w sobie miłość do całej ziemi ojczystej, gdy tę ziemię pozna na wszystkie strony, wzdłuż i wszerz ją przebieży, wszystkie malowne obrazy natury z niej zdejmie i w wyobraźni i pamięci swojej wiernie zachowa; — gdy się napije pełnemi piersiami ojczystego powietrza, z różnej jego krynicy: — i tam, gdzie szumią puszcze czarne, i tam, gdzie porohami woda sina się rozbija, i gdzie szerokie łany złotem kłosiem powiewają, i tam na turniach gór ojczystych, strażnicach odwiecznych jego ziemicy.

Miłujeż ten ojczyznę swoją, kto obce zwiedził kraje, a swojego własnego nie poznał? — co wróciwszy z dalekiej wędrówki, prawi z uniesieniem o wszystkiem, co widział, a tego uniesienia nie czuje, które na widok ziemi

ojczystej natchnęło tylu młodych poetów, piewców Podola i Ukrainy, które wylało poematy Sybilli, okolic Krakowa i rzewną pieśń *o ziemi naszej?* — Miłujeż ten ojciec kraj swój rodzinny, choć zapewnia, że miłuje ojczyznę, co podróż po cudzych krajach uważa za dokończenie wychowania syna i na to dostatków majątku swego nie żałuje, a ani mu przez myśl nie przejdzie, że zwiedzić kraj własny, jest religijnym obowiązkiem naszym, jest podróżą nakazaną do Mekki, przynajmniej raz w życiu, od którego to przykazania ojczyzna tylko niemożnych uwalnia.

O młodzi mojego narodu! Cóż ci potem, że w duszy swojej i pamięci swojej porozwieszasz obrazy obcych ziem, a obrazu własnej matki-ziemi tam nie zawiesisz? Każdy twej ciekawości i znajomości świata odda sprawiedliwość, ale cię nazwie niewdzięcznym synem, nieczułym na drogie rysy matki-ojczyzny, co cię wykarmiła! Ona zawsze cudna, strojna, nie starzejąca się nigdy macierz, a w jej łonie tysiące tysięcy pokoleń, cały przemarły naród twój, ojciec twój. Jeśli więc chcesz być podobien ojcu i matce, zwiedzaj kraj ojczysty, a zwiedzaj, pókiś młody.

O te skarby, te obrazy
I natury i swobody,
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!

Poznanie kraju ojczystego jest więc uczuciową, poetyczną, religijną stroną miłości ojczyzny, na tej pierwszej podwalinie opartej. Drugą rzeczywistą, prozaiczną, socyalną stroną jest posiadanie ziemi, czyli własność gruntu, podnosząca wysoko patryotyzm przez podstawę czysto materyalną. Źle sądzi, kto rozumie, iżby się bez tej podstawy w miłości obejść mogło. Stan społeczny na istotnych potrzebach jest oparty, którym samo uczucie nie starczy. Własność gruntowa, położona za wyłączną zasadę patryotyzmu, byłaby najbrudniejszym egoizmem, którym się kalały zwykle pokolenia ujarzmiające: lecz w połączeniu z innemi moralnemi podnietami miłości ojczyzny jest nie tylko godziwą, ale nawet potrzebną.

Atoli z ziemią połączeni jesteśmy samem tylko ciałem naszem. Wyższy duchowy związek jest z ludem na tej ziemi mieszkającym. Ojczyzna staje się dopiero ożywionem wyobrażeniem, gdy sobie na tej ziemi wystawimy roje mnogiego ludu, naszych równoplemieńców równojęzykowych. Bez tego wyobrażenia ojczyzna byłaby grobem. Nieprzyjemne robi wrażenie dom opuszczony — smutno, głucho, ponuro w nim: — daleko okropniejsze wrażenie czyniłby kraj pustkami stojący.

Kocham nie tylko ziemię, ale i naród na tej ziemi mieszkający. Jestem skibą tej ziemi, ale jestem oraz kością z kości, krwią z krwi współplemieńców moich. Ich prochami i ich tchnieniem napełnione to powietrze, które i ja do piersi mojej posyłam i z krwią moją powinowacę, a raczej spokrewniam. Ich zwłoki weszły w cząstki tej ziemi ojczystej, która mnie na odwrót wykarmiła i wykarmia i tym chemicznym ciał składem i rozkładem nieustannym wiąże się ze sobą materyalnie naród i ziemia i nierozerwanym spojem jednoczy.

Oderwij część narodu od ziemi, a uczynisz, jakbyś kilkoro dzieci od łona matki oderwał; i one płaczą, i ona płacze, i rzewny nieutulony jest ich żal. Żegna wędrowiec z rozczuleniem kraj swój rodzinny który opuszcza dobrowolnie z nadzieją powrotu, choć nierychłego, i sto razy jeszcze się nań obejrzy, dopóki ostatniego szczytu góry, co się na pograniczu ojczystej ziemi wznosi, z oczu nie utraci. Jakże dojmujący musi więc być żal wygnańca! Jaka rozpacz przerażająca tysiąców ludu, gdy im przychodzi na granic rozstaju rzucać — może na zawsze — ziemię ojczystą, ziemię przodków, ziemię, z której wapienia ich kości i ciała ich z jej cząstek roślinnych. Z taką rozpaczą rzucali Żydzi Jeruzalem i ziemię Abrahamów i Jakóbów; płacze starców i niemowląt, szlochy kobiet, ryk, jakby bydlęcy, całego ludu pędzonego do niewoli babilońskiej byłby kamienie poruszył, a nie miałże poruszyć sędziego sprawiedliwego na niebie, by wziął zemstę z tyrana, a po wyjściu dni kary, by wrócił lud swój wybrany do ziemi przodków?

Tu się więc uczmy miłości ojczyzny, upatrując ją w tej jedności ziemi z narodem.

To pokrewieństwo ziemi z narodem, tworzy znowu pokrewieństwo narodu między sobą i obudza miłość, jaka się z tego powodu między współrodakami objawia. Przekonywamy się o tem najoczywiściej, gdy nam na obcej ziemi, stęsknionym do niej, zdarzy się napotkać krajowca. Pokrewieństwo narodowe odezwie się wtenczas w całej sile, i byle serca były prawe, powitanie będzie jak braci rodzonych. Od razu wstąpi w nich zaufanie i przyjaźń rzetelna, a przedmiotem ich najczęstszych rozmów będzie ojczyzna, co ich spokrewniła. Bo jeśli strefy kuli ziemskiej są różne, różna w nich roślinność, różne wody, różny klimat, — różny też będzie typ ludzi, różna, że tak powiem, krew różnokrajowców. Ludy jak ludzie mają dla tego osobną, sobie właściwą fizyognomię duszy i ciała, osobne piętno, osobny charakter, po którym je poznasz i odróżnisz. Na milionach twarzy i na milionach dusz, od siebie indywidualnie różnych, wyciskają się te same narodowe rysy i cechy. Jest narodowe, jak jest familijne, podobieństwo. Współrodacy nasi, z tych samych atomów ziemi ojczystej złożeni, są jednem rodzeństwem wspólnej matki, ojczyzny.

Kto miłuje ojczyznę, miłować powinien naród swój.

* * *

Narodowością w najściślejszem znaczeniu są te przyrodzone usposobienia i skłonności narodu, od których zależy jego sposób życia i jego charakter; następnie to wszystko, w czem się te skłonności objawiają, urzeczywistniają i ustalają. Nic zaś nie jest tak czystym i bezpośrednim wypływem właściwości narodowej, jak obyczaje i zwyczaje — do nich to szczególniej przywiązujemy znaczenie narodowości.

Obyczaje narodowe odnoszą się do samej kolebki, do samych początków narodu — przez narodowość (w tem znaczeniu) nigdy nie rozumiemy życia tegoczesnego pod wpływem nowej oświaty i nowych wyobrażeń, które się jeszcze w krew i soki narodowości nie zamieniły; — ale życie domowe przodków naszych.

Naród się kocha w obyczajach swoich. To tylko jest narodowe, co na tej podstawie, jak na tle się odbija. Krom tej podstawy niema narodowości. Słaba więc miłość ojczyzny, a może żadna w człowieku, na cudzoziemskich obycza-

jach zrosłym i wychowanym. Podobien do syna, na łonie i w pieszczotach obcej niewiasty wychowanego; serce jego nie zadrgnie radością, gdy głosem, choćby serdecznym, własna matka się doń odezwie.

Niema zatem nic świętszego nad to, aby pierwsze wychowanie dzieci rozwijało się na narodowych podstawach. Jak kwiat bez słońca rośnie blado bez koloru, tak młódź bez narodowego żywiołu wyrasta blado, bez barwy, bez ciepła ojczystego.

Narodowość złożona jest w sercach, uczuciach mieszkańców, jest ich najrzetelniejszą własnością, której im nikt odjąć nie może. Jest to »święta arka przymierza, między dawnemi a nowemi laty«. Narodowości nikt nadać i też nikt z serca wyrugować nie potrafi. Jeżeli naród byt polityczny utraca, nie utraca przez to jeszcze narodowości swojej; tleć w nim będzie niepokalanym ogniem, dopóki go skażenie obyczajów, nadpsuta moralność wodą obojętności i lekceważenia nie zaleje.

Narodowość tak przerosła z uczuciem naszem, że nie ma narodu bez narodowości. I gdyby było podobna wytracić narodowość, naródby zarazem wytracić trzeba. Narodowość jest duchowem piętnem, charakterem niezmazanym, którym Bóg lud nacechował, aby go od innych ludów odróżnić. Kto się więc targa na narodowość, bluźni Bogu i podnosi rokosz przeciw wyrokom jego. Z tego to tytułu obyczaje każdego narodu są tak święte i szanowne, i tylko niedowiarek, tylko człowiek bez Boga i bez miłości ojczyzny może się z nich natrząsać. Ty, co szydzisz z obyczajów narodowych, nie wiesz może o tem, że bez narodowości jesteś gałązką uschłą i odpadłą od pnia dębu ojczystego, nie przydatną ani swoim ani obcym, dobrą chyba na ogień ku spaleniu.

* * *

Narodowość jest sercem, język jest krwią ojczyste ciało narodu opływającą. Wytocz z człowieka krew, a ubiegnie z nią i życie jego — wytocz z narodu język, a ubiegnie z nim żywot jego. Naród żyje, dopóki język jego żyje, bez języka narodowego niema narodu.

Język już jest wyższą duchową potęgą ojczyzny, niżeli były obyczaje, jest obrazem myśli i uczuć narodu. Jest to głos ojczyzny, z jej serca i ducha wydobyty. Ojczyzna nim do swych dzieci przemawia, i dziatwa rodzona między sobą nim przemawia i rozumieją się dzieci z macierzą.

Po języku, jak po odsadzonych warstwach ziemi poznasz wiek i żywot narodu; poznasz jego charakter, jego stopień oświaty, odgadniesz nawet jego przeznaczenie i jego losy przyszłe. Chcesz zbadać stan zdrowia lub choroby narodu, przyłóż palce tam, gdzie tętno języka bije; a poznasz stan gorączki, agonii lub niebezpieczeństwa. Chcesz je odwrócić, działaj na tę krew narodową, napraw soki pożywne, z których się rozwija, wydal cudzoziemczyznę, wychowaniu daj kierunek narodowy. Tak sobie poczęła sławna w dziejach naszych komisya edukacyjna. X. Onufry Kopczyński, Pijar — ten nieśmiertelny Kopczyński, czuł całą duszą swoją, miłości ojczyzny pełną, ile na zamiłowaniu i kształceniu języka narodowego zależy. »Kochany narodzie! powiada*), przedsiębierzesz razem ze mną poznanie ojczystego języka, i jako tłómacza myśli twoich i jako wiecznej imienia twego pamiątki. Losy bytu naszego bardzo go chylą ku zgubie i język też za sobą ciągną. Jeżeli sąsiedztwo cudzoziemców tyle czystości ujęło naszemu językowi, czegoż się nie lękać od spojenia? O miłości ojczyzny! o żądzo narodowej sławy! o zacności polskiego języka! czyliż razem z odmianą panów ziemi ginąć macie? Dwa sławne przykłady Greków i Rzymian nie dadzą nam rozpaczać o nieśmiertelności naszego imienia. Wymazane są z geograficznej karty dwa te najsławniejsze narody, a imię ich w porządku historyi politycznej i moralnej błyszczy przed wszystkimi. Cóż im tę sławę zjednało? Język«.

Zaprawdę, z rozbitej nawy narodowej, na jednej łodzi języka naszego możemy się ratować od zupełnego zatracenia. Umiłujmyż ten język, jako świętą krew matki ojczyzny. Powinna ona nam być tak drogą, jak drogą była pierwszym chrześcijanom krew przelana w męczeństwie za Chrystusa. Zbierali ją w flaszeczki i dawali męczennikom do

*) Wstęp do gramatyki polskiej. Dzieło pozgonne w Warszawie, 1817. roku.

grobu z napisem: *pro Christo.* Podobna zasługa jest uprawiaczy i kształcicieli języka narodowego; i dzieła ich, w tym przedmiocie pisane, powinny im być dawane do trumny z napisem: *pro patria.* A ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś, co pogardzają i poniewierają nim, a nawet zatracają go w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary przelewali.

Bo zajrzyjmy głębiej, co jest język. — Gdy dziecię się z jego wiadomością nie rodzi, musi być język utworem narodu, osobny szczep lub pokolenie stanowiącego. Siła twórcza ducha człowieczego naprzód się w tem objawia, że głos swój na wyrazy urabia, którymi myśl swoją wewnętrzną do zrozumienia oddaje. Wszystkie więc przyrodzone zdolności jednoplemieńców zlewają się w tę siłę twórczą i do tego pierwszego dzieła duchowego, i język odblaskiem być musi ich wyobrażeń, ich myśli i uczuć, ich pojęć, ich całej potęgi ducha. Wszystkie geniusze z tego plemienia dały dań językowi swemu; jasne błyskawice ich ducha jaśnieją tym ogniem w języku. Cokolwiek naród miał wielkiego, to w języku złożył. I stąd to taka głęboka w nim mądrość, taka logiczność, taka filozofia, że człowiek zdumiewa się nad nią i prawieby sądzić był skory, że sam Bóg języka człowieka nauczył.

Zaprawdę, że nie kto inny, tylko Bóg był tu nauczycielem, ale Bóg duchem swoim w duchu narodu jednoszczepowego objawiający się. I tego to dzieła najszczytniejszego, tej mądrości czysto narodowej, tej puścizny po talentach i geniuszach wszystkich wieków istnienia narodu twojego — ty śmiałbyś nie uszanować?

O bracia! słuchając wciąż mowy ojczystej, nie czujecie słodyczy jej brzmienia, co wnika i przenika w głąb duszę, ale oddalcie się na czas w obce kraje, pożyjcie między cudzoziemcami, zachowując serce prawe i nieskażone, a zatęskni dusza wasza do tych głosów duszy waszej pamiętnych, co się niegdyś o niemowlęce uszy wasze z pieszczotliwych ust matki odbijały, co potem same z piersi waszej dziecięcej płynęły, co później ogień i zapał młodzieńczego

ducha waszego nieciły. O! jest tyle wspomnień czułych świętych w pamięci naszej, które wszystkie głos rodzinny obrzmiewa, że gdy żal duszę ogarnie, te brzmienia odzywają się, jak dzwony pogrzebowe za minionemi laty, w których się żyło między swymi, a żyło się środkiem mowy ojczystej. A komu Bóg da wrócić w swoje strony, jaka radość ogarnie ducha, gdy rodzinne powietrze, już w granicach ojczyzny, zabrzmi dźwiękiem dawno upragnionym narodowego języka.

Karol Libelt.

---

43. S ł a w a.

Jest kto, coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy,
Chciał ze mną dobrą tylko sławę mieć na pieczy,
A starać się, ponieważ musi zniszczeć ciało,
Aby imię przynajmniej po nas tu zostało?

I szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęce[1]) żyje,
Tkając, lejąc w się wszytko, póki zstawa szyje[2]);
Nie chciał nas Bóg położyć[3]) równo z bestyami,
Dał nam rozum, dał mowę, a nikomu z nami.

Przeto chciejmy wziąć przedsię myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie:
Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje;
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega.

A ty, coć Bóg dał siłę i serce po temu,
Uderz się z poganinem, jako słusze cnemu[4]);
Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje:
Zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje.

Śmiałemu wszędy równo, a o wolność miłą
Godzi się oprzeć, by więc i ostatnią siłą;

---

[1]) Po bydlęcemu, jak bydlę. — [2]) 2. przyp., dziś: szyi. — [3]) Postawić na równi. — [4]) Przystoi cnotliwemu.

Nie przegra, kto frymarczy[1]) na sławę żywotem:
Azaby go lepiej dał w cieniu darmo[2]) potem?

Jan Kochanowski (Pieśni).

44. Cecora i Chocim.

Cecora i Chocim — nazwiska te długo trwały w pamięci narodu. Pierwsze pobudzało bolesną zadumę, nie bez wyrzutu sumienia, rozpamiętywanie grzechów narodowych, których ofiarą padł jeden z najczystszych i najdzielniejszych ludzi w ojczyźnie; — drugie dźwiękiem swoim przypominało aż trzy, drogie i podniosłe wspomnienia: wojnę chocimską, będącą odwetem za Cecorę; walne Sobieskiego zwycięstwo, ów powtórny, świetny odwet za krew pradziada, przez prawnuka dany; i owo cudo odwagi Kazimierza Pułaskiego, gdy przy świetle płonącego Żwańca przeprawiał się przez kry dniestrowe z okopów św. Trójcy, pod opiekę tureckiego baszy, który zmienną losów koleją był przyjacielem Polski i walczącej za jej niepodległość konfederacyi.

Treścią niniejszego opowiadania naszego będzie wyprawa cecorska i wspomnienie o ratującej Polskę i Chrześcijaństwo wyprawie chocimskiej r. 1621., tuż po Cecorze następującej. Obie te potrzeby, jak ojcowie nasi w duchu prawdziwie chrześcijańskim każdą wojnę nazywali, należą do siebie i wiążą się z sobą, jak upadek i powstanie z upadku, rezultat grzechów i rezultat wejścia w siebie i poprawy.

Ojcowie nasi, acz pomni obowiązku walczenia z wrogami chrześcijańskiej cywilizacyi, zatrudnieni też nieustannymi harcami z Tatarstwem, nie byli skłonni do lekkomyślnego zerwania sojuszów, które ich z Portą otomańską wiązały. Tkwił żywo w ich pamięci zgon Władysława pod Warną, spowodowany wpływami Rzymu, wywieszającego święty sztandar krucyaty, ale nie uwzględniającego dosyć wszystkich okoliczności. Tkwił w pamięci zgon Ludwika Jagiellończyka pod Mohaczem, będący wynikiem szczerego zapału, niedosyć z siłami się rachującego. Pamiętna była i klęska

[1]) Oddaje żywot za sławę, handluje (niem. Freimarkt). — [2]) Czyżby lepiej było, gdyby potem żywot darmo oddał w ukryciu?

bukowińska, owoc porywczości Jana Olbrachta, gdzie tureckie szable z wołoskiemi srogą między szlachtą rzeź sprawiły. Ilekroć też stolica Apostolska, dom Austryacki, Wenecya i książęta włoscy zapraszali Polskę do chrześcijańskiej ligi przeciw Turkom, polityka polska była ostrożną w słusznej obawie, aby cały ciężar nie spadł na jej barki, a sojusz nie był illuzorycznym. Stefan Batory uważał wyprawę na Turcyę za ukoronowanie dzieła swego żywota — ale droga do tego wieńca chwały, jak u królów poprzedników, prowadziła u niego na Moskwę. Pierwej pokonanie współzawodnika, kwestyonującego posiadanie Litwy i Rusi — potem wojna z Turcyą. Trafności tej polityce odmówić nie podobna, zwłaszcza, że Rzeczpospolita, rozpocząwszy wojnę z Turcyą, nie mogła być pewną, czy tej chwili właśnie śmiertelny jej nie zużytkuje nieprzyjaciel.

Tymczasem zmienił się powoli prąd wojenny w samymże narodzie. Polityczna przewodniczka Rzeczypospolitej, Korona, ciążyć zaczynała coraz bardziej ku wschodniopołudniowym swoim granicom. Szlachta krakowska, sandomierska, lubelska rozpościerała się coraz bardziej nowemi sadybami, dobrami ogromnemi na żyznej ziemi Podola, Wołynia i Ukrainy. Ludzie wszelkiego rodzaju, szlachta, utworzyli na kresach gwarną rzeczpospolitą rycerską, orzącą z mieczem przy boku, walczącą z Tatarami, a odwetu za najazdy tatarskie szukającą wyprawami czarnomorskiemi pod mury samego sułtana. Zachodni szlachcic nabierał innej natury, rozprzestrzeniała mu się pierś, otwierały mu się szerokie widoki. Trzy przeciwne dążenia biły się w usposobieniu tej nowej Polski między Dnieprem i Dniestrem: jedno pragnęło w ziemi mlekiem i miodem płynącej — pokoju, drugie wojny stanowczej, kończącej z najazdami Krymu, trzecie nareszcie chciało utrzymania *status quo* wojny jako rzemiosła. Pokoju mogła pragnąć szlachta, osiadająca tamte strony; wojny stanowczej możni i butni panowie, marzący o świetnych z niej korzyściach; wojny nieustannej Kozacy, żyjący w niej jako ptak w powietrzu. Wogóle można było powiedzieć, że kwestya wojny ze Wschodem nie da się długo powstrzymać, że chcąc tym stronom zapewnić stan normalny, trzeba walną wyprawą zniszczyć Krym,

zmierzyć się z Turcyą, niepotrzebnymi uczynić Kozaków, jeżeli się nie chce, aby Kozacy lub wojowniczego ducha magnaci wyprawami na własną rękę tę wojnę sprowadzili.

Za panowania Zygmunta III. obie walne sprawy Rzeczypospolitej stanęły na porządku dziennym: moskiewska i turecka.

W r. 1617., gdzie się opowiadanie nasze rozpocząć musi, przedsięwzięto ostatnią wyprawę na Moskwę, aby poprzeć prawa Władysława, noszącego od r. 1610. tytuł carski, przeciw Romanowom. Gdy Chodkiewicz ruszał z królewiczem na północ, pod Możajsk, gdy raz jeszcze próbowano odzyskać to, z czego w lepszych okolicznościach korzystać nie umiano: Turcy pod Skinderbaszą stanęli u Dniestru, grożąc Polsce najazdem. Nad Dniestrem oczekiwał ich Stanisław Żółkiewski z nielicznem wojskiem, które niedawno jeszcze Marcin Kazanowski, obożny koronny, dla wzmocnienia wyprawy królewicza z kilkutysięcznym hufcem opuścił. Skinderbasza zgłosił się natychmiast o traktaty. — »Trwa przymierze między nami, mówił, a co znaczą napady Kozaków, co Potockiego, Koreckiego i Wiśniowieckiego wyprawy«? — Układający się z nim Ożga, starosta trembowelski, odrzekł, że się to dzieje wbrew pisanemu zakazowi królewskiemu. — »Nie listami ich było wypędzać, odrzekł Skinderbasza, ale nie dopuszczać wchodzić, a potem wygnać«. I Skinderbasza miał słuszność.

Państwo nie może mieć kilku naraz polityk, musi powściągać anarchiczne usiłowania polityczne, jeżeli ma być za państwo uważane. Żółkiewski z nieliczną wojska garstką nie odepchnął ręki potężnego nieprzyjaciela, zgodził się na powściągnięcie Kozaków pod warunkiem, aby Porta Tatarów na wodzy trzymała; zobowiązał się, że nikt do Multan i Wołoszy »chciwością panowania uwiedziony lub dla uczynienia szkody jakiej« chodzić nie ma. Taki był traktat, w Jarudze 28. września 1617 zawarty, będący tylko wykonaniem i potwierdzeniem paktów, w roku 1591. między Polską a Turcyą zawartych.

Gdy w lutym sejm w Warszawie się zgromadził, podniósł się krzyk powszechny na hetmana. Kto krzyczał, łatwo pojąć; krzyczeli ci, którzy widzieli w punktach o Moł-

dawii i Wołoszczyźnie poważną krytykę swego postępowania. Krzyczeli ci, którym moskiewska polityka króla była nie na rękę, którzy nie chcieli, aby w tę stronę dalsze czyniono wysilenia. »Winowali mnie ludzie, mówił hetman na sejmie, żem nie zwiódł bitwy, nie poraził Skinderbaszy. Z młodości mojej nie byłem na to skąpy«. W istocie, nie był skąpy Żółkiewski. Pamiętają dzieje bitwę rewelską, gdzie pogromił Karola Sudermańskiego; pamiętają kłuszyńską, gdzie na 80.000 sprzymierzonych Moskali i Szwedów posłał jak grom Boży 4.000 husaryi polskiej, podnosząc ręce jak Mojżesz nad swym ludem i wołając: Boże Abrahamów, Boże Jakóbów, daj nam zwycięstwo! »Ale tu — mówi hetman dalej — gdzie szło o niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej (gdyby było, uchowaj Boże, wojsko szwankowało), musiałem się zatrzymać. Gdyby to było pod Adryanopolem lub pod Konstantynopolem, ważyłbym był wojsko, bo nie szłoby mi tylko o zgubę wojska; ale *in limitibus regni* — Rzeczypospolitej ważyć nie mogłem«.

Nie pomogło to proste i sprawiedliwe wytłómaczenie rzeczy. Sejm uchwalił drobny tylko podatek na wojnę moskiewską — widoczny dając znak, że się z niej pokojem chciał wycofać. Król Zygmunt III. tylko, chcąc pokazać, że umiarkowanie hetmana za czyn politycznie mądry uważa, dał mu swoje *votum* zaufania, powierzając mu wakującą pieczęć kanclerską. Od Zamojskiego czasów nie widziano tego połączenia w jednej ręce dwóch najważniejszych ministeryów Rzeczypospolitej.

Ale w republikańskim narodzie łaska władcy nie nagrodzi bolesnego uczucia, jakie sprawia nieufność, gniew, zawiść obywateli. Spotykać każdej chwili spojrzenia niechętnych, uprzedzonych, nie chcących poznać się na najlepszych zamiarach, jest jedną z największych boleści w społeczeństwie, tem większych, że dla tego męczeństwa niema współczucia; rehabilitacya zwykle dopiero trumnę cierpiącego aureolą swoją otacza. W pismach też Żółkiewskiego z owej epoki wszędzie przebija ton gorżki, boleść niesłusznego prześladowania. Cóż dziwnego, że wielka dusza hetmańska, ubodzona do żywego zarzutem braku odwagi, tchórzostwa, zapragnęła gorąco zadośćuczynienia, choćby je śmiercią przypłacić przyszło? Tak się też stało.

Rzeczpospolita, z poświęceniem praw królewicza Władysława, zawarła rozejm z Moskwą. W radzie królewskiej, jak w narodzie, wojna stanęła na porządku dziennym. Król podejmował tę nową pracę w interesie Kościoła, skoro chybił wielki zamiar opanowania i nawrócenia Moskwy. Gracyan, wojewoda wołoski z ramienia tureckiego, Styryjczyk rodem, oświadczył się z gotowością przejścia na stronę Polaków, byleby wstępnym na Wołoszczyznę wkroczyli bojem. Panowie ruscy i wołyńscy popierali sprawę wszelkiemi siłami. Uchwalono wyprawę w celu objęcia Wołoszczyzny; stary hetman z czystem sumieniem mógł puścić wodze ulubionej myśli — pokazania, że umie walczyć, a w danym razie zginąć za wiarę i ojczyznę.

Jakoż skoro Żółkiewski odebrał od króla polecenie posiłkowania Gracyana, odżyło wszystko w rodzinnym jego zamku. Zaczęto się krzątać koło uzbrojenia i przygotowania pocztów. Aby dobry dać przykład, aby kłam zadać potwarzom, w ostatnich latach rzuconym, cała rodzina hetmańska wzięła prym w ochotniczych przygotowaniach wojennych. Syn i synowiec stanęli na czele rot osobnych, Tomasz Zamojski, bratanek hetmanowej, Stanisław Koniecpolski h. p. k., Jan Daniłowicz, zięciowie hetmańscy, jedni z pierwszych wystawili hufce na wyprawę, w której Stanisław Koniecpolski osobiście uczestniczył. Ale wezwał pan hetman i opozycyę lat przeszłych, która najgłośniej domagała się wojny: Samuela ks. Koreckiego, Aleksandra Kalinowskiego i Mikołaja Potockiego. Punktem zbornym był Bar. Tam w miesiącu sierpniu zebrał się cały zastęp, nie liczący więcej nad 9 tysięcy ludzi. Tam porozdzielano komendy, a stary hetman na samem ruszeniu w drogę przesłał do króla list, będący najwymowniejszym pomnikiem, co wtedy czuł i myślał.

»Jużeż teraz do tego przychodzi, że albo, Panie Boże daj, zwyciężym nieprzyjaciela, albo nieprzyjaciel nas zwycięży a ja wtedy nie chcę przeżyć nieszczęścia Rzeczypospolitej Dawnom tego szukał: nie nad wolę żywot mój położę dla wiary św., dla służby W. K. M., dla Rzeczypospolitej, choć od niej za wiele prac, za trudy miasto wdzięczności wielkiem znosił obelgi żale«... Tu radzi królowi wy-

tężenie sił wszystkich na podjętą raz wojnę zaczepną, nie odporną, odsłania Stefana Batorego i Zamojskiego plany; widocznie pojmuje wyprawę swoją jako straconą czatę, po której wielka ma nastąpić walka. »Zawierając ten list, żegnam W. K. M. pana mego; tak się czuję i z tem idę pod sąd Boży, żem wiernie i życzliwie W. K. M. służył: jeślim w czem jako człowiek nie dogodził, racz W. K. M. miłościwie odpuścić, a synowi memu, jeżeli cało wyjdzie z wojny, racz być miłościwym panem«.

Kto tak pisze, przewiduje śmierć; jakoż przewidywał ją hetman. W ostatnich chwilach rozstania z żoną zaświecił nad Żółkwią kometa, a stary hetman rzekł w duchu czasu: Na moją to głowę. Na wyjezdnem z Baru burza ogarnęła hufiec i piorun strzaskał znak...

Przeszedłszy Dniestr 7. września, już na mołdawskiej ziemi oczekiwał hetman Gracyana z Wołochami. Tu spotkało go pierwsze, zapewne przewidywane rozczarowanie. Wołosi, dowiedziawszy się o małej liczbie wojska polskiego, odbiegli hospodara, on sam już zamknąć się chciał w Chocimie, gdy ostry list hetmana skłonił go do zmiany zamiaru. Przybył, ale w 600 koni, nadrabiając obietnicami i świetnymi widokami.

Bez Wołochów chybioną była wyprawa; pochód zaczepny na Białogród, gdzie stał Skinderbasza, niepodobnym: zwrócił się tedy hetman ku Cecorze, dawnemu obozowisku Jana Zamojskiego, aby tam napad turecki powstrzymać, dalszego biegu rzeczy na Mołdawii przeczekać, a w razie niebezpieczeństwa obronną ręką cofnąć się ku granicom Polski.

Wśród zarośniętych bujnie wałów starego obozu rozłożyło się wojsko dnia 12. września. Niestety, wojsko to nurtowała niezgoda, z Polski przyniesiona. Gdy hetman okopy poprawić kazał, ozwały się pierwsze szemrania. Wnet ucichły one i żwawiej do roboty brać się poczęto, bo oto niebawem otoczyła obóz hetmański straszna rzeczywistość: doborowe wojsko Skinderbaszy, wielekroć przenoszące siły polskie. Nie wiedziano o tej liczbie; nad 40.000 nieprzyjaciela nie liczono. Dnia 19. września hetman otworzył szranki rycerskiego popisu. Ruszyła z domu husarya, hufce Koreckiego

Kalinowskich; stanęły po obu stronach taboru z lekką artyleryą, mające powściągać napad nieprzyjaciela; Lisowczycy i Kozacy rozsypali się szeroko, aby harcami trzymać nieprzyjaciela i przeszkadzać oskrzydleniu. Pomimo cudów waleczności, cofnięto się wieczorem do obozu, straciwszy kilkaset zabitych i lewy tabor z armatą. Wojsko przekonało się, że ma z ogromną siłą do czynienia.

Odwrót taborem wydał się hetmanowi jedynym ratunkiem. Tabor był wielkim, poruszającym się obozem: wozy, skute łańcuchami, obsadzone strzelbą i armatą, miały objąć wojsko, wśród marszu zmieniające się w służbie na wozach. Wracać miano ku Dniestrowi, ku Mohylowu.

Wieść o tem rozeszła się z rady wojennej po obozie. — »Czemu nie uchodzić za Prut, przez Mołdawię i Bukowinę«? — poszepnął hospodar Gracyan. »Czemu nie próbować zajęcia Jass i podniesienia tam sprawy mołdawskiej«? — Korecki, Kalinowscy, Chmielecki, Odrzywolski gorąco chwycili się tego zdania — i oto gotowy bunt wybucha w obozie, w nocy drugiej po chwalebnej 19. września bitwie. — »Hetmani uciekają«! brzmi z ust do ust; hospodar Gracyan pierwszy rzuca się ku Prutowi, za nim inni; Kalinowski ginie w nurtach rzeki — na czas przybywa stary hetman, aby Koreckiego z nich wyciągnąć.

Spojrzeli sobie w oczy obaj starzy wojownicy, nieprzyjaźni sobie. Korecki należał widać do rozsiewaczy wieści, że hetman uciekać zamierza. Żółkiewski ukarał go kilku spokojnemi słowy: »I ja tu stoję, a przecież ze mnie woda nie ciecze«!

Wśród dwóch pochodni każe się hetman po obozie oprowadzić, aby rycerstwo przekonać o obecności swojej. Niestety, z uszczuplonej bojami garstki ubyło 2.000 ludzi, którzy zawiedli się srogo na swojej ucieczce. Hetman, obierając trudniejszy pochód do Mohylowa, wiedział, co czyni. Wiedział, żeby mu Turcy i Tatarzy Prutu przebyć nie dali; obawiał się, aby zmienna Wołosza nie sprawiła powracającym drugiej łaźni Olbrachtowej.

Wyprawił tedy hetman list do króla dnia 24. września z naleganiem o posiłki, już nie celem ratowania straconej garstki cecorskiej, ale celem powstrzymania napadu nie-

przyjaciela po jej rozgromie. Pocztowy Kozak wiózł go do Krakowa. Czatowali widać na drodze ludzie hetmanowej, której tylu boleściami dręczone serce tak gorąco pragnęło nowin od męża i syna. Nie było listu do niej, tylko na liście do króla czytała wyrazy: *cito! cito! citissimo!* Serce matki odgadło złowrogą treść pisma. Ale matka była jeszcze żoną sędziwego bohatera Polski, wspólniczką ostatnich jego cierpień obywatelskich. Zanim pomoc od króla nadejdzie, rozumuje hetmanowa, może być za późno. Bliższą może być pomoc bratanka, Tomasza Zamojskiego. Do niego też udaje się hetmanowa z gorącą prośbą o pomoc.

Dni następne przeszły tymczasem w obozie na zwlekaniu boju układami z nieprzyjacielem, na uspokajaniu umysłów. Przyszło do tego, że hetman na ewangelię przysiągł nie opuszczać wojska. W sam dzień św. Michała zbudowany przez Marcina Kazanowskiego tabor ruszył rozkopanym wałem obozu, a rozpoczęła się straszna, złowróżbna do ojczyzny wędrówka.

Siedm dni i nocy, wśród nieustannych napadów wieszającego się zewsząd Tatarstwa, wśród ogniów zapalonych wiosek, wśród dymu płonących traw stepu, posuwał się tabor polski, tracąc konie i ludzi, upadając na duchu i siłach. Niezgoda wobec zaglądającej w oczy śmierci przycichła na chwilę; Korecki wiódł przednią czatę taboru, Szemberg armatą zasłaniał jego tyły. Ale im bliżej było ziemi obiecanej, im więcej wzrastało prawdopodobieństwo ocalenia, wracała dawna niesforność, a pośpiech hetmana w marszu, miarkowany potrzebą porządku i odpierania nieprzyjaciela, nie wydał się dostatecznym raz już z karbów posłuszeństwa wyszłemu rycerstwu. Półtory mili od granicy, na ostatnim noclegu, rozpoczęły się nowe rady i bunty. Żółkiewski wiedział, że u przejścia Dniestru jeszcze raz ze Skinderbaszą mierzyć się trzeba, że do tej ostatniej walki trzeba żelaznej odwagi, karności i zręczności bez granic, że każdy popłoch był śmiercią. Jeżeli od początku wyprawy przeczuwał śmierć, teraz jako doświadczony wódz wyrachował ją prawie.

Mamy w tej chwili strasznej list jego pisany do żony... list nieporównanej prostoty, tak wysokiego nastroju, jaki

tylko wielkim ludziom w wielkich chwilach bywa właściwym.

Nazajutrz obawy Żółkiewskiego się ziściły. Wobec coraz gwałtowniej nacierającego nieprzyjaciela, wobec uciekania ciurów obozowych na wszystkie strony — tabor posuwać się nie mógł, można się było spodziewać ostatniego szturmu i zguby. Rozkaz w zdemoralizowanem wojsku nie mógł się spodziewać posłuchu: radę zwołać należało.

Różniły się zdania: czy zmniejszyć tabor wozowy czy uciekać taborem konnym. Taborem konnym zwało się powiązanie koni w wielkie półkole; jeźdźcy zsiadali i gnali konie przed sobą, ochraniając się w ten sposób przed natarczywością nieprzyjaciół. Zwyczaj ten kozacki zwano także batożeniem. Za konnym taborem wbrew hetmanowi oświadczyła się rada podwładnych. Żółkiewski zsiadł z konia i na znak, że ginąć chce z innymi, przebił go szablą. Co uczynił hetman, nie uczyniło tego wojsko zdemoralizowane: skoro konie od wozów odprzęgnięto, każdy dosiadał pierwszego lepszego i gonił, ratując życie.

Garstka walecznych stopniała z 500 na kilkunastu. Podawano Żółkiewskiemu konia. »Nie wsiędę na konia, rzekł, miło mi przy was umierać; niech Bóg wyrok, który uczynił, kończy«! Gdy przyszło do spotkania z wrogami, ramię jego raz jeszcze podniosło miecz i miecz z ramieniem odleciał od cięcia; drugi zamach zadał mu cios śmiertelny. Głowa odcięta, jak niegdyś głowa Warneńczyka, na oszczepie Tatara rusza do Skinderbaszy — ten śle ją w upominku sułtanowi, aby zdobiła pałac padyszachów.

Miejsce, gdzie hetman głowę położył, odnalazła dla serca swego i pamięci historyi żona Żółkiewskiego i ozdobiła pomnikiem.

Takimto sposobem trafność swojej polityki, głębokie przekonanie o trudności przedsięwzięcia, przypieczętował śmiercią zwycięzca w tylu bitwach.

W tejże samej sejmowej sali, gdzie hetman usprawiedliwiał się z zawartego w Jarudze traktatu, w listopadzie 1620. roku wśród głuchego milczenia przytomnych, oddawał T. Zamojski pieczęć i buławę zmarłego. Obudziło się w narodzie sumienie, sejm odznaczył się dawno niewidzianą

zgodnością. Skąpi zwykle posłowie uchwalili pobór, zaciągnięcie pożyczki; liczni kandydaci do buławy i pieczęci spokojnie znieśli zatrzymanie wakansów, dopóki krew Żółkiewskiego pomszczoną nie będzie. Karol Chodkiewicz, hetman w. lit., sławny z żelaznego rygoru, który w wojsku utrzymywać umiał, miał stanąć na czele wojsk Rzeczypospolitej. Rozesłano poselstwa po Europie, do dalekiej Anglii nawet jeździł Jerzy Ossoliński. Polska przez zimę 1621. roku stała się jednym wielkim, gotującym się do wojny obozem.

Rezultat tych przygotowań wszakże nie przenosił 40.000, drugie czterdzieści dostawił Konaszewicz, hetman Zaporoża. Tureckie wojsko, »gdzieś widział Azyę i Afrykę, mieszkańców z nad Eufratu i Nilu ruszonych«, dochodziło ogromnej naonczas liczby 300.000 żołnierza. Nigdy, odkąd Polska stała, taka potęga turecka nie zagroziła jej granicom. Rok przedtem byłaby ona zwycięski swój sztandar zatknęła na murach Krakowa, teraz śmierć hetmańska opamiętała wszystkich, a najsilniejszą Polski warownią stał się człowiek, którego już nie było między żyjącymi!

Jakoż o ile buta, zuchwalstwo, lekkomyślność garstki rycerstwa cechuje wyprawę cecorską; o ile o miedzę graniczy w niej, jak to zwykle bywa, przemądrzanie wodza i zapał wielki na oślep z buntem i strachem panicznym: o tyle chocimska wyprawa jest wzorem roztropności i zręcznego użycia mniejszej siły przeciw ogromowi. Pozbywszy się szybko myśli o spotkaniu nieprzyjaciela we wstępnym boju, zataczają głównodowodzący, Chodkiewicz i St. Lubomirski, obóz pod twierdzą chocimską, a przebieg wojny jest oblężeniem, pełnem szczęśliwych wycieczek i utarczek z nieprzyjacielem.

Cała to Iliada walk, których krótkość czasu opisywać nie pozwala, a w której kolejno, niby królowie Homera, odznaczali się Lubomirski i Chodkiewicz, Aleksander Sapieha i Piotr Opaliński, Mikołaj i Prokop Sieniawscy, Wejer, wojewoda chełmiński, z piechotą niemiecką, Teofil Szemberg z armatą, Konaszewicz z Kozakami swymi. Wśród boju nie ustają układy o pokój, prowadzone za pośrednictwem Wewellego, Włocha, przez Jakóba Sobieskiego dyplomatę polskiego obozu.

Ale nie chciała Opatrzność, aby ta dzielność i zręczność sama dank odniosła. Jeśli wojsko Osmanowe srogich od niewczasu, braku żywności i napadów doznawało klęsk, zazierać poczęły i do polskiego obozu choroby i głód. Na wielką boleść rycerskiego serca przechorował całą wyprawę królewicz Władysław, którego ojciec na ciężką wysługę publiczną nie poskąpił. Uległ śmiertelnej chorobie sam wódz wyprawy, stary Chodkiewicz; a oto tyle ceniono magiczną siłę rygoru starca, że zatajono śmierć jego i w jego imieniu prowadził komendę Lubomirski.

Ale w jednej szczególnie okoliczności pokazał Bóg miłosierną rękę nad Rzecząpospolitą. W chwili, gdy między wysilonemi wojskami stawał traktat, przypominający we wszystkiem warunki, w Jarudze opisane, będący zatem jedną więcej rehabilitacyą Żółkiewskiego — traktat wszakże, który całą Polskę i Chrześcijaństwo od zguby ratował — w tej chwili, mówię, zwleczenie o jeden dzień, przerwanie układów na kilka godzin, przypuszczenie jednego szturmu więcej — byłoby śmiertelnem, bo w obozie jedna już tylko prochu beczka pozostała!...

Takie są dzieje dwóch pamiętnych wypadków historyi naszej, Cecory i Chocimia. Do odległej należą już one przeszłości, a przecież, jak każdy ustęp dziejów, głosem wielkim przemawiają do dzisiejszego pokolenia.

Czem rachunek sumienia dla człowieka, tem rachunek z dziejami dla narodu. Obudzeniem takiego sumienia powstają narody z upadku. Godzina takiego powstania jest w naszej ręce, zależy od nas samych! W najstraszniejszej doli ona jest blizką, jak blizkiem każdego człowieka jest obranie dobrej drogi, a porzucenie złej; z niej jako z gorczycznego ziarnka ewangelii strzela roślina przyszłości, zwrot ku lepszej doli, zwrot ku odrodzeniu. Najprzychylniejsze wypadki miną bez skutku, jeśli tego zwrotu niema; najgorsze dadzą się przetrwać, jeżeli on się obronną ręką na jaw wydobędzie. Dlatego niech nam wolno będzie zakończyć słowo nasze niniejsze gorącem życzeniem: Po Cecorze klęsk naszych daj nam, Panie, ducha ojców naszych, który pod Chocimem pozwolił wytrzymać atak barbarzyń-

stwa w wałach fortecznych, strzeżonych karnością, poradnością, odwagą i łaską Bożą!

Józef Szujski (Roztrząsania i opowiadania).

45. Z życia Wincentego Pola.

W Lublinie, starem mieście trybunalskiem, w kamienicy przy Grodzkiej bramie, urodził się Wincenty Pol w r. 1807. z ojca Franciszka, urzędnika sądowego w służbie austryackiej, i z matki Eleonory Longchamps. Województwo lubelskie należało wtedy do Austryi, atoli w r. 1809. wraz z częścią województwa krakowskiego i sandomierskiego połączyło się z Księstwem Warszawskiem. Wtedy to, z tą zmianą polityczną i terytoryalną, rodzice Wincentego przenieśli się napowrót do Lwowa, gdzie ojciec jego urzędował dalej aż do roku śmierci (1823). Póki ojciec żył, Wincenty używał chwil bardzo szczęśliwych, chwil niefrasobliwej i swobodnej młodości. »Od śmierci głowy rodziny — mówi on sam w pamiętniku — spadły na mnie cierpienia; żyłem w bardzo wielkim niedostatku, samotnie«. Wysłano go do gimnazyum OO. Jezuitów w Tarnopolu, gdzie nauczycielem był ks. Wiktor Ożarowski, kapłan gorącego ducha i wielkiej świątobliwości. Jemuto winien Wincenty, jak sam wyznaje, to światło prawdy Bożej, które go utwierdziło w wierze i uchroniło w dalszym zawodzie, narażonym na tyle pokus, pochlebiających próżności lub pysze rozumu, że się nie rzucił na manowce bałamutnych wyobrażeń, lecz zawsze pozostał wierny nauce Kościoła, którego był synem.

W r. 1830. wyjechał na Podole do Kamieńca, stamtąd znów był na Ukrainie i Wołyniu, a nareszcie dostał się do Wilna w zamiarze otrzymania miejsca lektora języka niemieckiego przy tamtejszym uniwersytecie. Atoli niebawem wybuchło powstanie listopadowe i Wincenty Pol wstąpił w szeregi wojska narodowego, a zaciągnięty do 10. pułku ułanów, dzielił z innymi przygody i trudy obozowe, a w bitwie »otrzymał ranę i krzyż wojskowy«.

Z upadkiem powstania Pol wszedł z wojskiem do Prus, a stamtąd udał się do Drezna, przez które przeciągało

wszystko, co do kraju albo wrócić nie mogło albo nie chciało. Wielu znakomitych mężów zatrzymało się dłużej w saskiej stolicy, mającej dla nas pewien urok historycznego powinowactwa, a przytem dogodność blizkiej granicy. Tam zastał Pol Mickiewicza, Odyńca, Garczyńskiego i innych. Zbliżył się do nich i pokazał im piosenki, które przywiózł ze sobą. Wspomnienia i obrazy z świeżej wojny były ich głównym przedmiotem. Piosenki te podobały się bardzo. Pochwycono je z zapałem, przyciśnięto do serca, jak przyjaciela, który umiał tak dobrze odgadnąć, co każdemu dolega, co myśl zaprząta, czego uczucie pragnie, czego się spodziewa. Proste, wszystkim zrozumiałe, proszące się o nutę piosenki były wyrazem tego, co drzemało w duszach wszystkich, a co wypowiedzieć mógł tylko poeta. Już w r. 1832. obiegały niektóre z nich po kraju na skrzydłach tonów i nie było prawie domu, gdzieby nie śpiewano: »Lecą liście z drzewa« lub »Nie masz pana nad ułana« i wielu innych.

W następnym roku wyszedł w Paryżu tomik p. t.: »Pieśni Janusza«. Gdy się pojawił, powitano go z uniesieniem i odtąd popularność poety, jak kropla upadająca na jasną szybę jeziora, zakreślała coraz szersze koło rozgłosu.

Dar pieśni jest darem cudownym. Można znać wszystkie tajemnice sztuki, tworzyć pieśni, które umysł i serce zachwycą, a jednak będzie im nie dostawało czegoś, coby je lotnemi zrobiło...

Jest legenda o Dzieciątku Jezus, które zabawiało się lepieniem ptaszków z błota i piasku, a gdy stanął długi ich szereg, klasnęło w rączki i zaraz w powietrze uniosło się stado wróbli. To samo dzieje się z pieśnią; i jeśli klaśniesz, a pieśń w świat poleci, już twoja wygrana. Taką wygraną cieszyły się pieśni Janusza. Popularność swoją winny były nie tylko opiewaniu wojennych czynów czy to w Koronie czy na Litwie lub Rusi, lecz głównie szczęśliwie pochwyconemu i użytemu tonowi i zakrojowi pieśni gminnej. Ta właśnie naturalność i prostota, to jakieś wsłuchanie się w piosenkę gminną i, że tak powiem, zaszczepienie na niej fantazyi szlacheckiej — oto największy wdzięk tych pieśni. W gęśli jego cudownej siedział jakoby zaklęty duch jakiegoś lechickiego grajka; bo któż go nauczył grać na niej tę

nutę rodzinną, od razu wpadającą do ucha, od razu chwytającą za serce jeszcze nie ostygłej po wielkiej klęsce narodowej? Ton ten tak umiał trafić w ogólne usposobienie, iż wszędzie znalazł dla siebie echo, czy w pańskim dworze czy w zaściankowym dworku czy za warsztatem czy pod słomianą strzechą; i to nie w jednej okolicy, powiecie, prowincyi, lecz tak dobrze w Koronie, jak na Litwie, na Rusi, jak na dalekiem Pomorzu, w górach jak na stepie — wszędzie, gdzie mówiono i modlono się po polsku i gdzie uczucie narodowe wołało o kroplę rosy, żeby nie zwiędnąć w wielkich tęsknotach. Tą rosą były pieśni Janusza.

Charakter ich wędrowny; nie trzymały się jednego miejsca, lecz ciągle coś je pędziło z końca w koniec; nie jakaś awanturnicza niespokojność, lecz prędzej niepokój braterskiego serca, które sobie wyrzuca: tegom jeszcze nie uścisnął, tamtegom nie pocieszył, z tym jeszcze nie zapłakałem — a przecież to wszystko moi, a ja do nich należę.

o wszystkiem marzę, roję —
I to wszystko niby moje,
Nibym polski król.

Kiedy inni współcześni mu poeci zaczęli się dzielić na powiaty i ziemie, on od samego wstępu w zawód pisarski uznał się nieoddzielną cząstką dziejowej całości, a to uznanie dawało mu prawo szukania łączności duchowej z każdą cząstką ogółu. W przygrywce do pieśni Janusza mówi wędrowny śpiewak:

Byłem w Litwie i Koronie,
Byłem w tej i owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam.

Wszędzie też uważał się nie za gościa przybysza, lecz za dziecko wielkiej rodziny; wszędzie umiał się wsłuchać w ten język, jakim przemawiały równiny chleborodne lub posępne bory, góry potokami szumiące lub zaciszne jary, step bezbrzeżny lub bagna i trzęsawiska Polesia.

Jeszcze raz w ten sam ton uderzył Wincenty Pol w kilka lat później.

Powróciwszy z zagranicy, osiadł w Galicyi, w ziemi sanockiej, w majątku hr. Ksawerego Krasickiego. Mieszkał tu w cichym zakątku gór malowniczych, otoczony sąsiedztwem, wśród którego się utrzymywał jeszcze staroświecki obyczaj; ciągle niemal przebywał w towarzystwie starca, będącego żywą tradycyą ostatnich dni Rzeczypospolitej: niemniej jednak głos poety nie przedzierał się do publiczności; niektórzy przypuszczali nawet, iż zaczął i skończył na pieśniach Janusza...

Po długiem milczeniu wyszła w Poznaniu »Pieśń o ziemi naszej« w roku 1843. bezimiennie, ale wszyscy poznali w niej pióro Januszowe. Na niewiele przed jej wyjściem na świat, zainteresował publiczność mały obrazek, umieszczony w »Orędowniku«, w którym odmalowano gościnny domek poety na podgórzu Karpackiem. Patryarchalne życie rodzinne, liczne grono gości, przybywających z różnych stron Polski, aby poznać poetę i usłyszeć jakie słowo ożywcze, rozprawy w rzeczach przyrodniczych, które gospodarza mocno zajmowały, uczty familijne, pożegnania z odjeżdżającymi przyjaciółmi — oto była sielanka, której za widownię służył domek poety. Wyobraźnia wprzód już otoczyła osobę pieśniarza nowym urokiem i znalazła analogię z Janem z Czarnolesia.

Wtem wyszła »Pieśń o ziemi naszej«, poemat szczupłych wprawdzie rozmiarów wobec przedmiotu obszernego raczej naszkicowany, niż wielostronnie wykończony: ale jeżeli nie sprawiał wrażenia wspaniale płynącej rzeki, odzwierciedlającej ruch i życie nadbrzeżne i niebo ze wszystkiemi odmianami pór i dni — to był tak wdzięczny, jak górski potok, pędzący po łożu kamiennem. Pieśniarz przeleciał całą ziemię polską od morza do morza, wszędzie zatrzymał się chwilkę i dość mu było schwycić kilka tych rysów, które charakteryzują i ziemię i lud mieszkający na niej. Prawda jest, że w tej napowietrznej podróży migają się i uciekają obrazy tak prędko, że kiedy się znajdziesz u końca pieśni, żal aż zbiera i myślisz sobie: Czemuż tak krótko?

Zapewne liryczny ton dumki, jaki utwór ten przybrał z początku, naglił poetę do pośpiechu, już może z tej przy-

czyny, że chciał tylko sparafrazować przed laty napisaną piosneczkę »Mazur«, znajdującą się w zbiorze Januszowym, w której w drobniejszych jeszcze rysach mieści się to, co szerzej i barwniej i szczegółowiej wymalował w »Pieśni o ziemi naszej«. Piosneczka ta, zaczynająca się od zwrotki:

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemała!
Wiele krajów, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

jest jakby naczółkiem streszczającym późniejszy poemat.

Co do obrazów, charakteryzujących różne ziemie dawnej Polski, najdosadniej naszkicowana Litwa i święta Żmudź N ektóre wiersze od razu stały się przysłowiem narodowem co uważam za jeden z niepoślednich tryumfów poety. Rzeczywiście Pol miał ten w każdym czasie rzadki dar, że nie będąc trywialnym ani rubasznym, przenikał przez wszystkie warstwy społeczeństwa i stawał się ich własnością, co było wynikiem tej filozofii popularnej, jaką ma każdy naród, a w którą się tak głęboko wczytał, a raczej odgadł ją przez jntuicyę.

»Pieśń o ziemi naszej« podniosła najwyżej sławę poety, Jest też to najbardziej oryginalny z jego utworów. Wszystko tu brał z pierwszej ręki, z tego, co widział, a widziane w ogniu ducha swego przetwarzał i złocił...

Lucyan Siemieński
(W. Pol i jego poetyczne utwory).

---

46. Śpiew Janusza.

Śpiewak wita w wasze strony:
Niechaj będzie pochwalony!
Pokój z domem tym!
Śpiewak wita w ojców wierze,
A kto w dom go przyjmie szczerze,
Pieśń i Pan Bóg z nim!

Pieśń ojczysta, narodowa,
Prosta, rzewna i surowa,
Jak nasz lud i czas;

A więc w imię pieśni waszej,
Dziejów waszych i krwi laszej,
Witam, witam was!

Lubię tylko powitanie,
Niech też po mnie tu zostanie
Ten jedyny ślad,
Byście rzekli: Tu przebywał,
Tutaj Janusz nam zaśpiewał
I gdzieś ruszył w świat.

Byłem w Litwie i w Koronie,
Byłem w tej i w owej stronie,
Byłem tu i tam;
Od Beskidów do Pomorza,
Z Litwy aż do Zaporoża
Całą Polskę znam.

Znam to całe szczere plemię,
Polskie morza, polskie ziemie
I tę polską sól!
I o wszystkiem marzę, roję,
I to wszystko niby moje,
Nibym polski król.

Choć nieznany i ubogi,
Gdy nawiedzę czyje progi,
Każdy z duszy rad;
Czy to w dworze czy w klasztorze,
Na swobodzie czy w gospodzie,
Wszystkim Janusz brat.

Kędy bracia moi smutni,
Brat po mieczu i po lutni,
Niosę piosnkę im;
I, obecną słodząc dolę,
Na grochowskie ciągniem pole,
A sławą brzmi rym.

Czasem brząknę mej drużynie,
Kiedy czarna chwila minie,
I weselszy śpiew:
O Krakusach dzieciom nucę,
A powiastką w starych cucę
Staropolską krew.

Nieraz z dziadem w puhar dziarsko
Na powiastkę brzękniem barską,
Sławiąc polski ród;
Wówczas stary wre jak z młodu,
Woła wnuczkę: »Nalej miodu!
Boć to polski miód«...

Moja skarga was nie znudzi;
Ja pieśń z ludu mam dla ludzi,
Żale toną w głąb:
Mego serca pieśni własnej
Słucha tylko miesiąc jasny
I stuletni dąb.

Hej mogiły! skały! zdroje!
Stepy! orły! dęby moje!
Z wami ja się znam!
Lecz ty, dziatwo, żądasz pieśni,
To już sobie Janusz nie śni;
Cóż zaśpiewać wam?

Czasem śpiewak zgadnąć umie,
Co się w głębiach piersi tłumi,
Boć i w nim ta krew;
Więc o Lachu, o orlęciu
I o krzywej szabli cięciu
Przynosi wam śpiew.

Wincenty Pol.

47. Latarnik.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinval, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został spłukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jaknajprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie, tak dla

ruchu miejscowego jak i dla okrętów idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swojej skalistej wysepki. Łódź z Aspinva , przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce mającej morgę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku, w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc dostać się z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr.[1]) Izaak Folcombridge[2]) był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiej następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona

[1]) Czyt. Mister, pan. — [2]) Czyt. Folkombridż.

i smutna ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, skąd wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański, z wojny karlistowskiej, ten trzeci, to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko? Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Jorkiem a Kalifornią).

— *All right!*[1]) Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów.

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

) (Czyt. Ol rajt) wszystko dobrze.

— *Sir!*[1]) — odezwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, *Sir!* to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well!*[2]) — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem *Good bye!...*[3]) Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyę.

— *All right!*

Tego samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony, tęczowy krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż obok olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego czarnego punkcika. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by

---

[1]) (Czyt. Sör) panie. — [2]) (Czyt. Uel) dobrze. — [3]) (Czyt. Gud baj) do widzenia.

mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indyach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami, zamieszkującemi wnętrze Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach skalistych dostał się w ręce Indyan i cudem tylko wybawiony został przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahia i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i — został okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na »vomito«. Wreszcie przy-

był do Aspinval — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż bowiem mogło go doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że go prześladują wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko! On sam wreszcie stał się trochę manjakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, wskazywał tajemniczo gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indyanina i wielką, spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu jako środek ratunku, i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Lazł pod górę pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że chorym oddał wszystką swą chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugiemi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — zaczął tracić energię. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu

tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, iż prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkiem szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony; że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przesłaniały księżyc

Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą: w izbie zaś było spokojnie i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik! tak! zegara kołysało utrudzonego starca, jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu te nawoływania. Ale aby ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeżeli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa człowiekiem zazwyczaj niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swą latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłem życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem się styka latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. Niebo: to jeden ogół, woda, to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którem myśl jest raczej ciągłem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcie. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różańcu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Ska-

wiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem, turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które passatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne ze drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinval, ciągnąc za sobą długi, spienionv szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni Aspinval i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki, nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, kamiennym bulwarku. Zrana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo na błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnem szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności; myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwalał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latar-

nią, z urwiskiem, z ławicami piasku i z samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załomach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni, chodził na ryby, któremi roiły się załomy skalne. Wkońcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi tłustemi roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się przeźroczystą, widać było całe międzymorze aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinvalu. Dalej między Aspinval a Panamą widać było ogromny las, na którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał z blizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Wiedział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał z blizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakiem jarzmem żyje człowiek w tych nie-

zgłębionych puszczach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na te lasy, podziwiać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę zrana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: »Porządnego mamy latarnika«. — »I nie heretyk!« Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub new-yorskiego »Herolda«, pożyczanego u Folcombrigde'a i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź przywożąca mu codzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i chodzić na polityczne rozprawy Johnsa[1]). Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnacyę. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś

[1]) Czyt. Dżons.

dali. W ciągłem odosobnieniu i wobec otoczenia, nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jako osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie; ale wkońcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy — to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół czuwaniu, pół śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: »*Skawiński Esq.*«[1]) wypisany na grubem żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki; wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczem ręce zaczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swojej latarniczej karyery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula Heraldzie o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinval, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych cza-

[1]) Esquire (czyt. Eskuajr) wielmożny pan.

sów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta jest książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wielkiemi literami wypisany tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W 49. roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczem życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącem sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły 5-tą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinvalu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, aby siebie samego lepiej rozumieć:

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze; opanował się i czytał dalej:

Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
»Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(»Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
»Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu) —
Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię: jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego, przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz, »wracał cudem« — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą; on wciąż leżał. Mewy przeleciały nad latarnię pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad pierwotnym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych.
. . . . . .

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie; zmierzch krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas »Ta, co jasnej broni Częstochowy«, zabrała jego duszę i przeniosła »do tych pól malowanych zbożem rozmaitem«. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: »pamiętasz?« On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna; nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta przedstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie; zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. »U-ha! U-ha!« To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tak nudno samemu na koniu! Godziny wleką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz jak okiem sięgnąć mgła i mgła nieobejrzana; opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś, zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli; jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty! wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rześko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie; z cienia wychylają się lasy,

zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! O jedyna! jedyna!

Cicho! czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim.

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns. — Chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie. Szczęściem nikt nie utonął: inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku jadącego z Aspinval do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To też stary przez to kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

H. Sienkiewicz.

48. Tęsknota za krajem.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną?
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bór się śmieje jedliną i sosną?
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn usrebrzonych mchami?
Gdzie biała brzoza i jawor zielony
Błyszczą malownie nad łąk kobiercami?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy i niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie stary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
Gdzie krzyże z drzewa lub święci z kamienia
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę!
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości,
Wszystkiem, czem może, dzieli z przyjacioły
I tęskni w domu, kiedy nie ma gości?
Gdzie lud choć biedny, rad w święto się stroi.
W tańcu czy w pracy zawsze piosnki śpiewa?
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi
Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie p o l o n e z a koło
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym m a z u r z e
Brzękiem podkówek gromko takt wybija?
Gdzie żywym wieńcem przy piosenek chórze
W rączych się pląsach k r a k o w i a k przewija?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

Konstanty Gaszyński.

49. Do spowiedzi.

Wązka drożyna przeciska się przez las zwarty, podszyty młodą sośniną, tworząc między szczytami drzew przedział nieznaczny. Gałęzie świerków, na których leżą grube, sopłami obwieszone kiście śniegu, zginają się pod ciężarem nad tym leśnym przesmykiem, zaledwie oznaczonym dwiema skibami śnieżnemi, które sanie chłopskie odwróciły.

Dzień był marcowy—jasny a mroźny.

Teraz, gdy się na zachodzie rozpościerać zaczyna półzmierzch błękitny, nawet zaspy, pozataczane dokoła pniów, stają się sypkie jak mąka. Na przedziwnie czystej przestrzeni niebieskiej, jaka płonie już zorzą wieczorną—las stoi nieruchomo, niby wielki ejkonostas[1]) świątyni greckiej: nieznaczne podmuchy strącają z wierzchołków drzew drobniutkie pyły śniegowe i płyną między gałęziami po tle purpurowem, jakby poplątane smugi nikłego dymu, wzbijające się z niewidzialnych kadzielnic...

Cisza tam głucha, nieskończona, śmiertelna...

Drożyną ową idzie stary, zgrzybiały, siwy jak gołąb chłopowina Felek z wnuczką Teofilką; — poły lichego kożucha za pas zatknął, kij daleko przed się stawia, szeroko rozkracza nogi, sapie i kaszle, lecz nie ustaje, choć mu zaczerwienione oczy łzami zachodzą, choć pot się sączy zmarszczkami zwiędłej, przez wiatr wychłostanej twarzy. Teofilka staje swymi wielkimi butami w śladach dziadowskich, co chwila chuścinę na piersiach zawiązuje mocniej i pomimo że upada ze znużenia, dotrzymuje staremu kroku. Z trwogą

[1]) Ścianka z obrazami, oddzielająca prezbiteryum od nawy w cerkwiach.

spoglądają na zorzę, rozniecającą się nad szczytami, i śpieszą coraz bardziej. Od czterech dni idą tak, krótko odpoczywając przy stogach siana i pustych szopach, nocując po chatach, z daleka za wsiami stojących, przebywają pustkowia bezludne, lasy czarne i głuche, brną po zaspach głębokich, po lodach rzek i stawów, śniegiem przyprószonych, pod nogami dzwoniących — idą leśnemi, dalekiemi, a zapadłemi drogami — z pod samego Drohiczyna, aż za Warszawę-miasto... spowiedź »uhopić»...

Co rok tak chodzą we dwoje — odkąd na wiarę cudzą zapisani[1]). Grzesznicy oni wielcy, oboje, zdrajcy oboje...

Odtąd rok rocznie przed Wielkanocą idą Bogu się kajać za zdradę. Dziad taką drogę zna, gdzie nie tylko żandarma, ale człowieka żywego nie spotkasz.

Jest daleko, za Warszawą-miastem, kościółek maleńki, stary; ksiądz tam jest młody, świątobliwy, a miłosierny. Oczy u tego księżyka we łzach, słowo ciche, a takie mądre, a takie słodkie!...

Przyjdą w nocy, zastukają, dziad przez szybkę poszepce — wnet ksiądz ich boczną furtką do kościoła prowadzi, spowiedzi słucha, a sam płacze, serdeczny, ślózami[2]) gorzkiemi. Potem wszyscy krzyżem leżą, aż do rannego świtania. Gdy odchodzą, naucza ich ten sługa Boży zawsze jednakowo: miłujcie nieprzyjacioły wasze...

Nim słońce wejdzie, nim się ludzie pobudzą, już oni od miejsca tego daleko... Teraz oto, gdy dzień się szybko nachyla, śpieszą już co tchu, aby na wiadomy dziadowi nocleg trafić. Las rzednie, otwiera się pole czyste, śniegiem równo zasłane, bezludne, dalekie, bezmierne.

Na skraju lasu Felek przystanął, oczy dłonią od blasku nakrył, z nogi na nogę przestępuje, wargi mu drżą. Pola tego on nie zna, chałup tu kilkoro powinno stać pod asem.

— Obce pole... szepce do siebie w trwodze. Na środku pustkowia wiatr wzdyma sypkie bryłki śniegu, to je rozmiata, to wieje, jak zboże szuflą, to cały obszar przestworza ciągnie za sobą, jak obrus, to go daleko, daleko lej-

---

[1]) Z katolickiej (unickiej) na schizmatycką. — [2]) Łzami (z rusk. słezami).

kiem w górę podrywa, to jakby w falach dymu, od końca do końca leci.

— Zbłądził ja stary głupiec, hej! — mówił cicho, w tył zasuwając czapkę.

— Za tym torem chodźmy, dziadku...

— Za torem...

Ruszają znowu i brną po kolana. Śnieg na polu głębią leży, wiatr luty [1]), burza idzie. Bylinki [2]) zeszłoletnie, suche, cieniutkie, gdzieniegdzie nad śniegiem stoją, kiwają się w wichrze żałośnie, jakby nad tą dziewczyną zawodziły, jakby za nią świstały: ej, ej... Tarnina od lodu i sopli błyszcząca, badyle głogu czepiają się jej spodnicy, jak ręce miłosierne, co chcą zatrzymać...

Buty obojgu przemokły do cna, nogi kostnieją, tchu brak.

— I s z t y, wnuczko, jak nas ten wiatr od Boga odpędza — mamle niezrozumiale dziadowina.

Nagle coś dudni i wre głucho za nimi. To wicher w las uderzył. I zakołysał się las, zastękał... Teraz burza w nich bije, szmaty rozmiata, w oczy garściami śniegu, ostrego jak tłuczone szkło, ciska. Chwilami jak żywy siłacz, brzemiona śniegu z miejsca na miejsce przerzuca, zdziera go aż do gruntu nagiego i fryga wysoko — nad las.

Kamień tam był wielki na polu, do niego się dowlekli, usiedli odpocząć...

Noc zeszła nagle ciemna. Burza w niej wre długo, długo. Czasem znienacka ucichnie. Wówczas z wysokości niebieskiej pada na oblicze pustkowia blade, zimne, znikome półświatło miesiąca, dotyka lodowatymi promieniami przytulonych do siebie, skrzepłych, śniegiem przysypanych głów, zimnych oczu otwartych i łez na rzęsach wiszących, co się w sople lodu ścięły...

Gdy wstaje i płonie zorza poranna, znowu na równinie cicho, tylko z wierzchołków drzew niewidzialne podmuchy strącają pył lekki śniegowy, i płynie niby biały dym znikomy, wzbijający się z niewidzialnych kadzielnic...

Stefan Żeromski.

---

[1]) Srogi. — [2]) Źdźbła trawy.

50. Burza na morzu.

(Opowiadanie pana Balcera, kowala wiejskiego, który wraz z wielu chłopami, z różnych stron ziemi polskiej pochodzącymi, udał się do Brazylii za chlebem).

— A tuż nawalność bliżyła się sroga.
Już z nieba strugi polały się srebra...
Już gasną, lecą jak ołów w głębinę,
Stygną i w wały staczają się sine.

Jak kiedy hutnik w staw szlakę[1]) wypuści,
A wody ze dna podniosą się z sykiem:
Tak wnet przyrosło tych morskich czeluści.
Już pokład liżą spienionym językiem,
Już fala jedna drugiej przez łeb szuści,
Jako te owce, gdy lecą za trykiem[2])
Przez wązki wierzej[3]), a wszystkie chcą razem,
A owczarz licząc nawraca je płazem.

A już i niebo spuściło się nizko,
Ciężkie chmurami, i męt po niem chodził,
Rwąc na paździerze[4]) to szare płachcisko,
Którem się od nas dzień biały przegrodził.
Chwyciłem masztu, bo stać było ślizko:
A wtem mnie bałwan jeden tak ugodził
Jak chłop, gdyć nogi podbije kłonicą[5]),
I uciekł, cały siny błyskawicą.

Jakże nie rykną wichry! Jak po niebie
Nie zaczną trzaskać z okrutnym grzechotem!
Jak się nie porwą, nie wpadną na siebie,
Jak się nie cisną o morze pokotem!
To koń takiego dołu nie wygrzebie,
Kiedy go jezdnik uwiąże pod płotem,
Jak one wodę skopały kopytem,
W błyski kowanem, a w gromy podbitem.

Nie tak się w sobie rozszumi, rozchwieje
Bór, gdy się sośnie zamiotą od burzy,
I nie tak rola zorana czernieje,
I nie tak żyto pokwiatem się kurzy,
Jako więc morze pod oną zawieją.

[1]) Żużle. — [2]) Za baranem idącym na czele trzody. — [3]) Drzwi. — [4]) Skórka na lnie lub konopiach, która pokrywa włókna, a przy czyszczeniu odlatuje. — [5]) Cztery drążki u wozów, jednym końcem umocowane u końca osi, a drugim podtrzymujące drabiny lub półkoszek na wozie.

Wał na wał pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada.

Huknęły teraz niebieskie harmaty,
Które sam Michał Archanioł nabija.
Mrok upadł gęsty i tylko się szaty
Jego czerwoność skrós chmury przewija.
Pękły nad światem ogniste granaty,
Świszczą, żądłami kręcą jako żmija...
Lecą do morza pobite czerepy,
A strugi deszczu tak walą jak cepy.

Znam ci ja burze tęgie, bom od dziecka
Po leśniczówkach, jak wilczę, chowany;
Wiem, jak Kampinos[1]) grzmi, jak Myszeniecka,
Jak i Zielona, aż het za Prażany
Onać to sławna puszcza Białowieska,
Gdzie się zataił żubr, potopem gnany,
W gąszcz taki, że nikt doń drogi nie wiedział,
Poniechać musiał, a zwierz się osiedział.

Jest ci tam wojna, gdy wicher uderzy
W krętych róg sosen lub puści ze smyczy
Ogary wietrzne po pustej trzebieży[2]),
A tur go ciągnie w chrap[3]) mokry i ryczy.
Lecz przecie się to do morza nie mierzy!
Tu strach osobny jest, co kości liczy
Tak, że ci każda do szpiku dygota...
Strach większy, niźli przed końcem żywota.

Jeszczeć to chłopu mniejsza. Chłop dostoi,
Choć się w nim duszne ruszą fundamenty;
A drugi taki, im ciężej się boi,
Tem twardszy bywa w śmiertelne momenty:
I za trzech zuchów tchórz nieraz nabroi.
Lecz baby mnogie czyniły lamenty,
Od których że już prawie uszy puchły:
Kapitan kija podniósł — i tak zgłuchły.

Do samej nocy goniły nas sine
Oczy błyskawic i grzmot bijał z warkiem,

[1]) Nazwy puszcz w ziemiach polskich: Kampinowska na lewym brzegu Wisły na Mazowszu; Myszeniecka, dokoła miasta Myszeńca, leżącego nad Rozogą, która pod Ostrołęką wpada do Narwi; Zielona, koło Białego Stoku, również w dorzeczu Narwi; Białowieska na Litwie. — [2]) Obszar przetrzebiony, zrąb. — [3]) Nozdrze, nos.

Aż my się w wichrów wcisnąwszy szczelinę,
Przebili z tuczy. Tak skrzydłem ptak szparkiem
Pruje na ukos powietrzną głębinę
I przed nawalnic uchodzi poswarkiem.
Lecz piorun jeden dognał nas, wypalił
I sążeń drzazgi od masztu odwalił.

Zaraz też, jakby na to tylko czekał,
Jął się wichr ciszyć i składać po sobie
Zjeżone grzywy. A grzmot tak uciekał,
Jak gończy z troka, gdy w kniei przeskrobie.
Raz, drugi, trzeci skróś mroków zaszczekał,
Zacichł, znów drogę oszczeknął na globie,
Aż ciszej, dalej z ostatnim skowytem
Schował się w niebie chmurami nakrytem...

Marya Konopnicka
(Pan Balcer w Brazylii).

51. Artur Grottger.

Bylo to we Lwowie 1851. r. 16. października, około drugiej godziny z południa. Od Gródeckiego ku placowi Maryackiemu ciągnął świetny orszak dostojnych gości w towarzystwie wszystkich miejscowych władz i dygnitarzy, a dalej roiła się różnobarwna rzesza ludu. Młody cesarz Franciszek Józef — bo na jego to przyjęcie wylały się te tłumy — dosiadłszy konia przy koszarach Ferdynanda, zdążał do miasta, witany radosnymi okrzykami ludności. Mieszkańcy ulic, któremi postępowała ta ogromna kawalkata, zaległszy wygodnie i bezpiecznie okna, przypatrywali się wspaniałemu pochodowi.

Ale, gdy tak wszyscy wytężają ciekawe oko dla przypatrzenia się tak niezwykłemu widowisku, w jednem z okien hotelu na rogu ulicy Akademickiej i Maryackiego placu, w pobliżu bramy tryumfalnej, ktoś z innego powodu stara się zatrzymać w pamięci główne zarysy widoku. Jest to młodziuchny, kilkunastoletni chłopiec, szczupły i wątły, nizkiego wzrostu, z którego drobnej twarzyczki biją rozum i żywość. Z gorączkowym pośpiechem, a przytem ze zręcznością i rozwagą, starszą nad lata, przenosi na papier to, co widzi, a szybkość i pewność jego ołówka, zwłaszcza,

gdy rzucając kontury w kilku pobieżnych rysach nadaje im pewne charakterystyczne cechy, wskazuje wyjątkowe uzdolnie w młodym rysowniku, pozwala się spodziewać, że dziecko to wyrośnie kiedyś na mistrza.

Był to Artur Grottger, przyszły twórca »Wojny«.

Urodzony 11. listopada 1837. r., od najmłodszych lat okazywał wielką pojętność i roztropność, ale szczególny talent i zamiłowanie objawiał do rysunku. Widząc to ojciec, sam doskonały rysownik, przytem człowiek niepospolicie wykształcony, kierował pierwszymi krokami syna na polu nauk i sztuki: wskazywał, co i jak ma rysować, nie szczędząc mu papieru i ołówków, zachęcając do wytrwałości pochwałą i podarunkami. To też dziecko, zaledwie odrósłszy od ziemi, mało się bawiło, przenosząc ciągle ćwiczenia z ołówkiem w ręku nad zwykłe swego wieku rozrywki. Zaledwie mogło utrzymać ołówek w drobnej rączce, a już nim władało wcale biegle i zręcznie, kreśląc z upodobaniem różne zwierzęta domowe, osobliwie konie i psy, widoki otaczającej je natury, postaci ludzkie i t. p. Ojciec zwykł był dawać mu na model żywe owce, krowy, konie, niekiedy zachęcał go także do zdejmowania portretów ze znajomych osób. A kiedy już Artur wprawił się w stawianiu figur i koni, ojciec zaczął mu opowiadać sceny z życia obozowego, opisywać bitwy, w których sam uczestniczył; a widząc, że ciekawy malec słucha z żywem zajęciem, dodawał z uśmiechem: »A no, Arturku, możebyś ty to wyrysował, coś słyszał ode mnie«. Chłopiec rwał się wtedy z zapałem do ołówka i z zachwytem illustrował ojcowskie opowiadanie.

Widząc zadziwiające postępy syna, zaczął się stary Grottger kłopotać o środki dalszego kształcenia tak bogato przez naturę uposażonego dziecka. Nauczył go niemal wszystkiego, co sam umiał, a na wysłanie go w świat dla nauki brakło zasobów. Wysłał go więc przynajmniej do Lwowa, aby młody artysta mógł się przygotować do egzaminów. Tutaj we Lwowie obok nauki szkolnej uprawiał Artur gorliwie sztukę, która mu się już stała nieodbitą potrzebą życia. Szczęśliwy wypadek zdarzył, że w tej samej kamienicy, którą zajmowała rodzina jego matki, mieszkał

znany zaszczytnie artysta Juliusz Kossak. Ten, spostrzegłszy w 14-letnim chłopcu niepospolity talent, udzielał mu bezinteresownie lekcyi. Odtąd też popęd młodego artysty do tworzenia coraz bardziej wzrastał. Wylewał na papier wszystko, czem się zachwycało jego serce, do czego rwały się pełna poezyi dusza i wyobraźnia młodzieńca; nadewszystko odtwarzał rodzimą przyrodę z głębokiem przejęciem się i siłą.

Wobec tak niezwykłego talentu i tak znacznych postępów, tem bardziej niepokoiła rodziców myśl o tem, jakby ułatwić chłopcu trudną wędrówkę po stromych ścieżkach sztuki. Straciwszy ufność we własne siły, udała się rodzina do ówczesnego namiestnika Galicyi, Agenora hr. Gołuchowskiego, z prośbą, ażeby wyjednał chłopcu u Cesarza stypendyum, któreby mu pozwoliło udać się do akademii malarskiej we Wiedniu. Hr. Gołuchowski podał wówczas proszącym szczęśliwą myśl, ażeby chłopiec dla zaskarbienia sobie względów Monarchy odmalował wjazd jego do Lwowa. Dlatego to z takim zapałem zabrał się chłopiec do pracy: siedział nad nią tak wytrwale i cierpliwie, że przez jeden dzień wykonał akwarelę na półtora łokcia szerokości, na której roiły się setki figur konnych i pieszych, a członkowie rodziny i znajomi podziwiali w niej ruch i życie, wyborne odtworzenie koni i strojów, a nawet uderzające podobieństwo Cesarza i najznakomitszych osób.

Zwiedziwszy Lwów, zdążał Cesarz ku Bukowinie. Zanim przybył do Stryja, zawieszono ukończoną już akwarelę obok widoków Galicyi w pokojach, przeznaczonych dla Monarchy. Cesarz Franciszek Józef, spostrzegłszy trafny wizerunek tak niedawno odbytego wjazdu, spytał z zajęciem o malarza, a dowiedziawszy się, że jest nim ubogi, niespełna czternastoletni chłopiec, nie mający funduszów do dalszego kształcenia się, wyraził życzenie poznania tak wiele obiecującego talentu. Jakoż wkrótce nastąpiło posłuchanie. Stanąwszy przed Cesarzem, doznał Artur jak najżyczliwszego przyjęcia, a zaszczyt, jaki go spotkał, sprawił na jego młodocianym umyśle bardzo silne wrażenie. Monarcha przyrzekł łaskawie, że o nim nie zapomni; rzeczywiście niedługo potem nadeszło z Wiednia pismo, dono-

szące, że Cesarz Franciszek Józef wyznacza mu ze swojej prywatnej szkatuły stypendyum, polecając, ażeby się udał

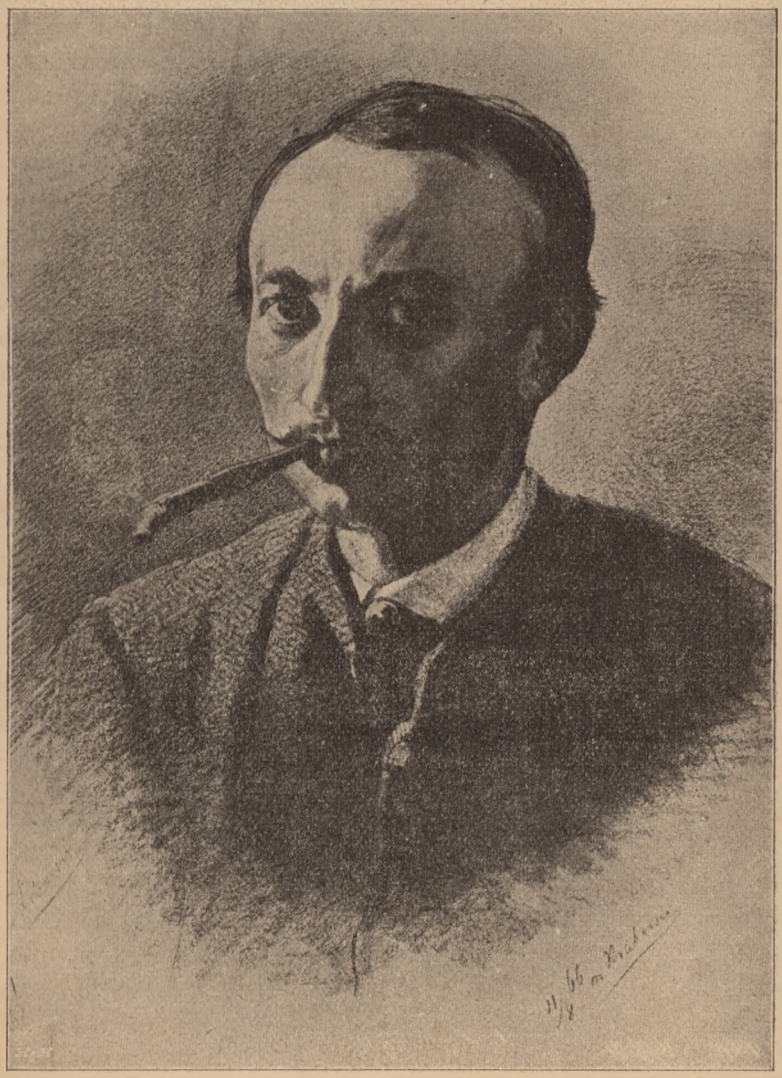

ARTUR GROTTGER (portret własny).

naprzód do szkoły malarstwa w Krakowie, następnie zaś do wiedeńskiej akademii sztuk pięknych. To rozstrzygnęło o losie i zapewniło przyszłość Grottgerowi.

W jesieni r. 1852. udał się Artur Grottger do Krakowa, gdzie w szkole sztuk pięknych rozwinąć i udoskonalić miał swoje zdolności. Z zapałem młodzieńczym rzucił się do nauki, a chociaż znacznych niekiedy doznawał przykrości, zapomniał o nich w dobranem gronie towarzyszy, którzy wzajemnie wpływali na siebie, dodając sobie otuchy i chęci do pracy. Do grona najbliższych znajomych artysty należeli Zdzisław Suchodolski i Andrzej Grabowski, malarze, Ludwik hr. Wodzicki, Władysław i Stanisław hr. Tarnowscy i inni. W chwilach, wolnych od nauki, tworzył tutaj Grottger, jak dawniej we Lwowie, bitwy, sceny zbiorowe, szkicował wycieczki na Tatarów, potyczki ze Szwedami i całe szeregi figur charakterystycznych w malowniczych strojach.

W r. 1853. utracił ojca, a cios ten nie tylko moralnie przygnębił artystę, ale dotknął go także i materyalnie, bo odtąd matka, z resztą rodzeństwa bez żadnego pozostawiona zaopatrzenia, pracując ciężko na utrzymanie rodziny, nic mu pomagać nie mogła. Jak długo Grottger w kraju bawił, czy to w Krakowie czy we Lwowie, nie zaznał niedostatku, bo obrazami swymi coraz większą zyskiwał sławę, a tem samem nie brakło mu i funduszów, na wydatki potrzebnych. Atoli kiedy w końcu r. 1854. wyjechał do Wiednia, położenie jego coraz stawało się przykrzejszem. Rozpoczął nowe życie, pełne trudów i trosk o potrzeby codzienne, bolesnych kłopotów i walk z niedostatkiem, którego widmo blade coraz częściej zaglądało mu w oczy, gdyż tutaj trudniej było o odbiorców, niż we Lwowie, wśród znajomych, przyjaciół i krewnych, a biedny artysta zbyt był dumny, ażeby się miał ze swymi utworami komukolwiek narzucać. Pomimo tak ciężkiego niedostatku, pozbawiony niekiedy najniezbędniejszego pokarmu, pracuje bez przerwy, często nad siły, jak najpilniej korzysta z wykładów, czytuje skwapliwie dzieła poważne, np. »Historyę wojny 30-letniej«, a nadto rysuje i maluje bez wypoczynku, do czego niejednokrotnie brał przedmiot czyto z życia wiedeńskiego czy z dziejów stolicy Habsburgów.

W r. 1858. zwiedził Monachium. Wypadek ten wywarł pewien wpływ na rozwój jego talentu. Przedtem, na wzór

swego nauczyciela Kossaka, był malarzem bitew, koni, psów; odtąd od ulubionych koni zwraca się do króla całego stworzenia — do człowieka, bierze motywy z jego życia wogóle i dąży do uwydatnienia gry fizyognomii, do psychologicznego odźwierciedlania duszy ludzkiej w oczach i twarzy. Pierwszym w tym kierunku obrazem jego jest »Modlitwa Konfederatów«.

Rok 1861. stanowi epokę w dziejach twórczości Grottgera; ten dopiero rok dał go nam poznać jako wielkiego artystę i poetę, którego duch pod wrażeniem wypadków ocknął się nagle i okazał w całej swej odrębności i sile. »Malarz trafił na swoją drogę — powiada hr. Tarnowski — na swoje źródło natchnienia, na swoją własną, sobie tylko właściwą formę. Zaczął się wtedy drugi okres w życiu Grottgera, okres, we wszystkiem od pierwszego wyższy: w rodzaju, w sposobie wykonania, w pomysłach, w natchnieniu«.

Pierwszy cykl utworów na nowy temat — »Warszawa« — ten początek wspaniałej epopei, ogromne wywołał wrażenie we Wiedniu, wśród społeczności obcej i w innym kierunku zwróconej. »Przed wystawami sklepów — powiada Korneli Ujejski — w których na widok publiczny rozwieszono obrazy Grottgera, stawały tłumy przechodniów; oni wracali z jednej uciechy i śpieszyli zapewne do innej; mimochodem zatrzymali się na chwilę, aby oglądnąć nowość. I stali potem długo, jakby przykuci, bo te obrazy odkrywały nowe, nieznane im światy. I stali zaniepokojeni, niezadowoleni ze siebie i odchodzili zadumani, smutni, ze spuszczonemi głowami, a odchodzili już nie na miejsca publiczne, ale — między rodzinę, do domu«.

Bez przerwy i niestrudzenie pracował artysta we Wiedniu i wiele w tym czasie powstało większych i mniejszych obrazów i szkiców. Atoli pomimo nieznużonej gorliwości w pracy znajdował się w ciągłych kłopotach finansowych, bo pojmując idealnie obowiązki syna, brata i przyjaciela, wspierał nad możność rodzinę i przyjaciół, nie pamiętając o sobie.

Powróciwszy w r. 1865. do kraju, odżył tu i odetchnął po tylu doznanych przykrościach. Lata 1865. i 1866. należą

ŻAŁOBA, RYSOWAŁ ARTUR GROTTGER.

(Z cyklu »Polonia«).

do najpomyślniejszych w dziejach rozwoju jego talentu. Przebywając bądźto na wsi (szczególnie u Stanisława hr. Tarnowskiego w Śniatynce), bądź we Lwowie, bawił się i odpoczywał, a w wolnych od zabaw chwilach nowe tworzył arcydzieła.

Do głośnych należą znane dziś dobrze ogółowi polskiemu cykle: »Polonia« i »Lituania«.

Otwórzmy album »Polonii«. Na pierwszym obrazie postać niewieścia, zakuta w dyby. To Polska w niewoli. Przy niej trzech młodzieńców, pełnych zadumy i smutku. Jeden z nich wszystkiemi siłami muszkularnych ramion stara się rozerwać kajdany, krępujące ręce Matki. Czy rozerwie? Obraz ten jest wstępem do dalszych, stanowiących poniekąd »historyę« powstania styczniowego »w obrazach«. Widzimy tam okrutne, wśród nocy, przemocą dokonywane porywanie młodzieży polskiej do szeregów moskiewskich, kucie kos — więc przygotowanie do wybuchu, »obronę sztandaru«, bitwę pełną ognia i siły, świadczącą o niesłychanem męstwie i poświęceniu dzielnej młodzieży, dalej widzimy schronisko rannych bohaterów, obronę dworu, obraz pobojowiska w lesie i wreszcie żałobę po poległych w walce o wolność.

Również wspaniałą jest »Lituania«. Pierwszy obraz przedstawia nam teren, na którym się przeważnie odbywały walki powstańcze na Litwie, a więc głęboką puszczę leśną, przez którą złowrogo przesuwa się postać śmierci; drugi obraz to chata leśnika, w której w postawie siedzącej spi gospodarz, aby każdej chwili być gotowym na wezwanie. Wezwanie nadeszło. Na dany u okienka »znak« żona budzi męża, aby śpieszył do walki z wrogiem; potem następuje »Przysięga« powstańców na łączce leśnej przy świetle księżyca; dalej oglądamy »Bój«, wykazujący niezachwiane męstwo i bohaterską pogardę śmierci u naszych bojowników; rysunek piąty wyobraża »Ducha« poległego w boju leśnika, który się objawia żonie u progu chaty z piersią przestrzeloną. Ostatni obraz, to wynędzniała małżonka poległego bohatera, przykuta w podziemnych kopalniach Syberyi do taczek. W podziemiu nieszczęsna ma »Widzenie«: objawia jej się postać Matki Boskiej Częstochow-

skiej, koi jej smutki, chroni od rozpaczy i budzi nadzieję, że kiedyś przecie wybije godzina sprawiedliwości.

Nikt tak jak Grottger nie umiał odczuć i uplastycznić cierpień narodu w tych latach strasznej klęski i strasznego rozczarowania. Zwłaszcza niektóre sceny z »Lituanii« mają nieporównaną siłę poetyczną, uderzają miarą i szlachetną powagą, która także stanowi cechę »Pochodu na Sybir«, nie należącego do żadnego cyklu, a tak słusznie podziwianego. Unika w nim artysta taniego efektu szarpania nerwami, przedstawianiem realistycznem mąk fizycznych, ale przeprowadza przed nami całą skalę tortur duchowych, malujących się na tych pięknych twarzach w najsubtelniejszem stopniowaniu odcieni. Podobnie w innych luźnych obrazach z epoki powstania, których wykonał bardzo wiele, umie zawsze wywołać potężne wrażenie, zachowując jednak nawet w scenach pełnych grozy granice piękna i szlachetnej powagi.

W roku 1866. rozpoczął Grottger najznakomitsze swe dzieło »Wojnę« czyli »Padoł płaczu«. Pracował nad niem kilka miesięcy. Całość składa się z 11 obrazów.

Nie są to zwykłe sceny i epizody wojenne; to raczej rozpamiętywania na tle okropności wojny. Wyraźnym tego dowodem postaci artysty i geniuszu jego, powtarzające się na każdej scenie; postaci te odzwierciedlają wrażenia i uczucia, wywołane okrucieństwami zorganizowanej walki ludzi z ludźmi. Poeta włoski Dante w dwóch pierwszych częściach swojej »Boskiej Komedyi« przesunął przed nami straszne obrazy mąk piekła i czyśćca — Grottger, malując okropności wojny, przedstawia geniusza towarzyszącego »artyście« w postaci Beatryksy, która przewodniczyła Dantemu w wędrówce po niebie. Istotnie było w naszym artyście coś dantejskiego, było coś z głębokiego myśliciela i filozofa: dziełami swemi pobudzał, zmuszał do myślenia; miłością swą ogarniał ludzkość, odczuwał jej nędze i cierpienia i w tem jest tajemnica wpływu, jaki wywarł, powodzenia, jakiego doznał w całej pełni. Jego »Wojna«, wydawana w tysiącach egzemplarzy, rozeszła się szeroko po całej Europie, a szczególniej po Niemczech.

ANCZYC

BÓJ, RYSOWAŁ ARTUR GROTTGER.

(Z cyklu »Lituania«).

W końcu roku 1866. wyjechał Grottger do Paryża, spodziewając się, że pobyt w stolicy świata utoruje mu drogę do lepszej przyszłości. Nadzieja zawiodła. »Wojna«, wraz z wielu innymi obrazami na widok publiczny wystawiona, nie znajdowała kupca, a tymczasem zdrowie artysty, pracą nad miarę wyniszczone, coraz się pogarszało. Wreszcie choroba przybrała charakter zastraszający. Lekarze radzili choremu wyjechać do Pau. Marceli Krajewski, przyjaciel i nieodstępny towarzysz artysty, chcąc uzyskać potrzebne do tego fundusze, starał się wszelkiemi siłami, ażeby sprzedać który z obrazów, chociażby za połowę ceny. Wszelkie usiłowania były daremne. Wówczasto, jak niegdyś w zaraniu artystycznego zawodu Grottgera, tak teraz na schyłku dni jego, podał mu pomocną rękę Cesarz Franciszek Józef: zakupił »Wojnę« za 3.000 franków. Uzyskanie tej sumy umożliwiło biednemu artyście wyjazd w miejsce wskazane. Atoli choroba się wzmagała, trzeba było wyjechać dalej na południe, do Amelies les Bains[1]). I to jednak nic nie pomogło. Dnia 13. grudnia zgasł artysta zdala od rodziny, za którą tak tęsknił, zdala od ojczyzny, którą tak kochał.

W lecie następującego roku przewieziono zwłoki do kraju, a w dniu 4. lipca pogrzebano je uroczyście we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim. Nad grobem, otoczonym tłumami ludu, uczcił pamięć zmarłego wymownemi słowy Korneli Ujejski.

»Wpatrując się w ten żywot, przebiegając kartki wspomnień — powiada J. I. Kraszewski — czuje się ból, ściska się serce nad tragicznością tej doli; ale widać w niej dłoń Bożą, która chciała, aby ten wdzięczny, wonny kwiat nie przekwitł, nie opadł, nie stracił swych blasków, nie zwalał się w pyle ziemi, w prozie starości... Trzeba mu tak było umierać z marzeniem, nadziejami, z całą wonią poezyi, która grób jego otacza«.

Według *Klemensa Kanteckiego.*

---

[1]) W południowej Francyi malowniczo położone miejsce kąpielowe.

52. Z listów Artura Grottgera.

(»Wojna«).

5. września 1866.

...Co to będzie z tego wszystkiego, co mi się po głowie marzy?... Czy doczekam się tej radosnej chwili, w której idąc długo i długo za złotą nitką marzenia, w końcu doszedłszy do kłębka, zawołam uszczęśliwiony: Mam! — już go mam! — już on moim! Ach, gdybym przewidział, jaki los czeka w przyszłości moje obrazy, z których jedne jużem w duszy utworzył, a drugie przeczuł!...

Słuchaj!... Czytałeś Dantego... Wszystkie i okropne i cudowne obrazy jego «Komedyi« jeszcze żywo stać ci muszą w pamięci: więc przeczuwasz ważność tego dzieła dla dzisiejszej ludzkości, a cóż dopiero dla tego wieku, w którym powstały... A gdyby dziś Dante z grobu powstał albo duch jego narodził się po raz drugi i tak samo zawołał do ludzkości?... A gdyby tym drugim Dantem być?!... Powiedziałem to dlatego, bo przedmiot, który wybrałem sobie na teraz, radbym w obrazach zupełnie podobnie obrobić, jak to w słowach Dante uczynił...

Wojna i Wojna!... Czem ona się stała dla ludzkości, o tem mówić nie potrzeba: plaga dzisiejszej ludzkości, najobrzydliwszy zabytek średnich wieków — żywioł, którym się wszyscy brzydzą i przed którym jak najdalej uciecby pragnęli, a przecież taki, który do dzisiaj w nas samych żywimy i cierpimy. Dużo o tem pisano, ale przecież nigdy nie malowano... Przedstawiano straszną i okropną bitwę lub rzeź, ale nikt jeszcze nie postawił obrazu wojny przed oczy biednych ludzi z takiem wrażeniem, jakie my w życiu przez całe trwanie tej strasznej plagi odbieramy.

Pomyśl teraz, a raczej posłuchaj: Gdyby teraz otworzył się przed piszącym cały świat nieznanych mu widoków... jeden po drugim... a on stał... smucił się, straszył i wzdrygał?... Jak ci się to wydaje?

* * *

6. września.

Głowa pełna myśli i obrazów... Pójdę w trop za okropną wojną, która groźno jak rycerz niezłomny pociągnęła w świat

przed nami, aby ludzi, w spokojnej zaciszy szczęśliwie żyjących, o ich szczęście przyprawić! — Pociągnęła tam do nich, aby ich do zbrodni i bezprawia, a nakoniec do rozpaczy i zwątpienia przywieść. Biedni ludzie!... Jakie to obrazy być mogą!... A co powiesz, że może ich będzie jedenaście?... Radbym, żeby ich mniej było, ale wszystkiego nie mógłbym tam powiedzieć, o czem zamilczeć nie mogę... Cały plan już gotowy — już wszystkie obrazy ożyły, już je wyraźnie widzę...

* * *

11. września.

...Pierwszy obrazek do »Wojny« już na tyle podłożyłem, że jeżeli jutro tak posiedzę, jak dzisiaj, to i skończyć potrafię... Przedstawia Artystę w chwili, w której siedząc przy pracy, naraz się głęboko zamyślił, a zamrużywszy oczy, w duszy zaczął wywoływać obraz myśli swoich. Wówczas zjawiła się przed nim Beatrix jego. Dlatego w ten sposób, aby wszystkim następnym obrazom wolno mi było nadać barwę nie realnej prawdy, ale strasznego marzenia, ciężkiej zmory. Zdaje mi się, że w tym kolorycie wszystko trzymając, najprędzej na imaginacyę, a przez to na serce patrzącego oddziaływać można i narzuca się mu niejako poetyczne, czysto uczuciowe zapatrywanie się na wojnę. Jeszcze sam nie wiem, ale zdaje mi się, że wszystkie obrazy wypadną w nocy, raz od księżyca, a raz od ognia oświecone. Przez to tem łatwiej rzecz cała jako senna mara wystąpi...

* * *

13. września.

...Przez dzień wczorajszy i przez dzisiaj do południa skończyłem już pierwszy obrazek do mojej »Wojny« i dosyć z niego kontent jestem. Do wieczora naszkicowałem sobie następny. Przedstawia on chwilę, w której sama »Wojna« przelatuje... Jest to postać kobieca, herkulicznej, pięknej budowy ciała, do pół w żelazo odziana, z mieczem w prawej ręce, a w lewej z pochodnią, z gęstym, długim, grzywiastym włosem na głowie, uniesionym od wiatru, siedząca na rozpędzonym, dzikim rumaku... Tak jakby ją

prześcignąć chciały, tuż przy niej, w szalonym locie, towarzyszą jej trzy postacie: Nędzy, Śmierci i Rozpaczy. Niebo jakby ołowiane zaciężyło i cała okolica smutna i złowroga. Tylko tam, gdzie się niebo z ziemią zetknęło, jeszcze ostatni, słaby promień światła się przedarł i blado ziemię oświecił. Na przedzie obrazu, po prawej stronie, stoją obaj wędrowcy zadumani i w stronę przelatującego widma patrzą... Oto treść rozpoczętego obrazu. I ten drugi jest tylko prologiem do mającego się odegrać strasznego dramatu... Jeżeli zadaniu temu podołam, będzie to coś bardzo porządnego...

* * *

17. września.

...Oprócz godziny przechadzki już nad samym wieczorem, od rana siedziałem nad robotą aż do tej chwili... Jedno mię bardzo zabawiło, że przy całem wytężeniu, z jakiem podczas rysowania oddaję się myśleniu, przecież jestem roztargniony, kiedy o jednej bardzo ważnej figurze w obrazie rozpoczętym mogłem zapomnieć. Tą jest postać Niewoli. Jakkolwiek się to zdarza, że i bez wojny nawiedzić może niewola, to przecież w poczcie wojny jest ona konieczna... Myślałem o tem długo, dlaczego właśnie o niewoli zapomniałem. A teraz wiem dlaczego — bo jestem Polak, a chociaż jako taki mam może więcej prawa do zdania o tej rzeczy, aniżeli Francuz albo Niemiec, to właśnie w poczcie wojny nie domyślałem się jej od razu, bo tam częściej jej przeciwną Wolność widziałem albo się jej spodziewałem, a Niewolę byłbym był przeczuwał raczej po stronie mającej cierpieć ludzkości... Otóż przybyła ona do grona towarzyszek Wojny — i bardzo jej za to jestem wdzięczny, bo postać jej znacznie się przyczyniła do lepszego zaokrąglenia głównej grupy obrazu... Ale muszę Ci powiedzieć, że mnie już dawno robota tak nie męczyła, jak właśnie ta, którą mam pod ręką. Jak to raz szczęśliwie skończę, to następne obrazy będą o wiele łatwiejsze. To, co mi wszystko utrudnia, jest okoliczność, że wszystkie figury tego obrazu jako symboliczne muszą być utrzymane w duchu antycznym, w duchu posągowym, a przytem każda z tych figur musi być zastosowana do pojęć dzisiejszych, więc wszystkie te

WOJNA, RYSOV

RTUR GROTTGER.

czynniki, którymi się posługiwali Grecy dla obudzenia pewnych wzruszeń moralnych u widza ówczesnego, mnie służyć nie mogą — i zastąpić je muszę nowymi, własnymi...

* * *

18. września.

...Dziś siadłszy do sztalugi, nie mogłem długo zrozumieć, dlaczego wszystkie figury orszaku Wojny są przerażające, sama Wojna najmniej z nich wszystkich wrażenia robi. Wszakże nie mogłem tego ścierpieć. Zacząłem też po zwyczaju swoim wycierać i poprawiać, aż wióry leciały i z papieru i z mojej nieszczęśliwej radyrki, ale po dwugodzinnem usiłowaniu stanęła Wojna taką, jaką być powinna. Pochyliłem ją bardziej do konia, wyciągnąłem rękę z mieczem więcej poza siebie, pochyliłem naprzód głowy, a w miejsce rozczochranej grzywy zrobiłem jej szyszak rzymski, zamknięty, tak, że jej ani twarzy, ani oczów, ani uszów nie widać. Na ślipie są tylko dwie szpary. I nie tylko że postać ogromnie przez to zyskała, ale przystrojenie jej odpowiada więcej charakterowi wojny — bo czyż ona nie jest i ślepą i głuchą na wszystko, choćby na najwyraźniejsze wołanie do głębi oburzonego uczucia ludzkości?!

(Z »Lamusa«).

---

53. Z „Padołu Płaczu“ Grottgera.

Na miejsca puste, na miejsca bezwodne
Zawiedź mnie, jasna, a posadź mnie w ciszy!
Niechaj przepaście obejmą mnie chłodne,
Niech się pierś moja ciemności nadyszy;
I tam mnie zawiedź, skąd słońce ucieka,
Abym oblicza nie widział człowieka.

Rzekłem, a pani moja bardzo cicha
I w tajnych myślach swoich pogrążona,
Szła przeciw wiatru małemu, co wzdycha
W przydrożnych trawach, a miała ramiona
Jak zwiędłe liście, a oczy na niebie...
I rzekłem: Dozwól, a puść mnie od siebie.

Albowiem cięższe to jest, co zaznałem,
Od grobowego na piersi kamienia,

A dosiężony jestem w serce strzałem
Takiej żałości, co w jady krew zmienia.
A żywot sobiem zbrzydził...
Rzekła: »Mało
Już drogi onej jeszcze nam zostało.

Bo nie jest wszystko tobie przekazanem,
A tylko rąbek uchylon zasłony,
A świat się oto niech modli przed Panem,
Aby choć jeden z was był naleziony,
Któryby całe piekło to obaczył
I wrócił z drogi tej i nie zrozpaczył.

Albowiem przyszłość ziarn swoich nie siewa
Na polu ornem ani na ugorze,
Ale na sercu, co się jej spodziewa...«
A ja wspomniawszy, com widział w tym dworze,
Zaprawdę — rzekłem — krwawe są te ziarna,
A rola ogniem spalona i czarna.

. . . . . .

A tam, gdzie z sobą mieliśmy te mowy,
Leżał niewielki grodek, snadź w pośpiechu
Opustoszały, jakby w czas morowy,
A ci, co uszli, zostawili echu
Dziwnie żałosne skargi, które drżały
Śród pustych domostw, jęk czyniąc niemały.

A wszystkie one pogwałcone mury
Przeciw nam z bramy zdawały się cisnąć,
A stosy sprzętów zrąbanych na wióry
Na czterech rogach rynku miały błysnąć
Pożogą, która nie jest zwykłą klęską,
Ale haniebną zemstą i nie męską.

A gdyśmy idąc odeszli niewiele
Od tego miejsca, rozległy się dzwony
Na starym, bardzo wyniosłym kościele.
A świat się cały zdawał być ruszony
Tym wielkim głosem żałości i trwogi,
Który łkający był, a razem srogi.

Kościół zczerniały, lipami nakryty,
Nad których zieleń błyskały z wież krzyże,
Miał smukłe, pełne gniazd gołębich szczyty.
A gdy tak nad nim rozbrzmiały się spiże,

ŚWIĘTOKRADZTWO, RYSOWAŁ ARTUR GROTTGER.

(Z cyklu »Padoł płaczu«).

Zdawał się w niebo róść i iść przed nami
Razem z tym jękiem dzwonów błękitami.

A dzwon przed sobą powietrzne gnał kręgi,
A ziemia pod nim jak pod grzmotem drżała,
Aż gdy najwyższej dosięgnął potęgi,
Nagły go zdławił huk, jakby huk działa...
Pękła spiżowa pierś i tylko długo
Serce zgrzytliwą jęków grzmiało fugą.

A wtedy stanął kościół oniemiony,
Jakoby we mgle i w chmurach zawisnął,
A ten krzyk trwogi, którym był niesiony,
Na wzdychające echa się rozprysnął;
I tylko dzwonnik martwy chwiał się w górze
Na tym, którego nie chciał puścić, sznurze.

A pani moja wejrzawszy na niego:
»Oto się — rzecze — pozostał na straży,
Jak kruk powietrzny u gniazda swojego...
A oto trup ten miastu gospodarzy
I jest pustego grodu hospodynem...«
A on też patrzał na nią licem sinem.

A w tem z kościoła gwar buchnął i krzyki
I śmiech hulaszczy i rozpustna wrzawa,
A między lipy, skąd pierzchły słowiki,
Konie wodziła pijana czerniawa
Obozującej wśród ognisk drużyny,
A u drzwi w kozłach stały karabiny.

Zaczem my na próg weszli...
Wielka nawa,
W łuki gotyckie sklepiona, zczerniała,
Przez pół od ognisk rozpalonych krwawa,
A przez połowę w grubym mroku stała,
Podobna piekieł otwartej czeluści.

. . . . . .

A jeśli kiedy Bóg na mnie dopuści

Szatańskich widzeń mękę przed skonaniem
Tak, jako o tem mówią ludzie starzy,
Niechaj napełni uszy me zgrzytaniem
Wszystkich piekielnych mar, lecz niechaj twarzy
Tych nie oglądam, które mi tam były
Zjawione, bobym przenieść nie miał siły.

A to, co oczy moje tam widziały,
Nigdy nie będzie nikomu wiadomem.
To tylko powiem, że Chrystus zczerniały
Głowę na krzyżu odwrócił ze sromem
Od onej zgrozy i na pierś ją skłonił
I wielkie, krwawe łzy po licu ronił.

A wtedy ono ciche światło Boże
Zgasło nad czołem mojej Beatrycze
I zaszło jako wieczorowe zorze...
A ona, czarnym kirem swe oblicze
Z głową nakrywszy, raz tylko westchnęła
I z oczu moich zeszła i zniknęła.

Marya Konopnicka.

54. Powrót do kraju.

Wróciwszy cało z piątej w życiu kampanii, pułkownik Z., który już liczył sobie lat 65, wziął w końcu roku 1871. dymisyę i osiadł w Lyonie, gdzie miał domek z ogródkiem. Ale że znudziła go już Francya, postanowił wrócić do swoich i zaczął nawet szukać kupca na swój domek.

Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpierwszej jego kampanii (1831). Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i odtąd chodzili sobie we czterech. Chcąc pijać razem czarną kawę w polskiej kawiarni, musieli razem jadać obiad w jednej restauracyi. Potem każdy mógł iść, dokąd go oczy poniosą, byle wieczorem stanął na czas do wista. Ponieważ jednak trafiały się spóźnienia, więc dla porządku pilnowali się wzajemnie i — cały dzień chodzili razem, czasem po dwóch, czasem gęsiego, a zwykle rzędem.

Głównem zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampaniach i o polityce bieżącej. W ciągu roku starzy odkryli wszystkie błędy sławniejszych polityków i dawniejszych wodzów. W roku zaś następnym poukładali tak szczęśliwe plany wojen, że gdyby je wykonano, świat wyglądałby całkiem inaczej, niż obecnie. W trzecim roku jeden z nich umarł: opłakali go jak brata. W czwartym roku umarł im drugi towarzysz, całkiem niespodzianie. Pułkownik aż po-

łożył się do łóżka ze zmartwienia i od tej pory z pozostałym kolegą kapitanem nie grywał w wista, tylko w maryasza. Starzy mniej teraz rozmawiali ze sobą, ale za to czytywali więcej gazet...

Nareszcie pewnej zimy umarł i kapitan. Pułkownik na razie nie okazał żalu; zajął się pogrzebem i sprawił taki, jaki należał się oficerowi dwóch armii. Nie uronił ani jednej łzy; ale gdy nad grobem rozległy się salwy piechoty, żegnającej kolegę, starzec nagle zachwiał się i padł, jak gdyby wszystkie strzały skierowano w jego piersi. Ledwie go otrzeźwili. Przez kilka minut odpoczywał, potem, bez niczyjej pomocy, wsiadł do dorożki i kazał się odwieźć do domu.

Na drugi dzień w miejscowych dziennikach ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu pułkownika. Kupiec znalazł się prędko, a w tydzień później starzec gotował się do pożegnania gościnnej Francyi na zawsze.

— Nie żal ci też, pułkowniku, opuszczać nas? — spytał go rejent, u którego robiono akt sprzedaży.

— Żal i nie żal — odparł starzec. — Żal, boście szlachetny naród i warto za was krew przelewać. A nie żal, bo się u was dużo zmieniło... Gadacie tylko o handlu, pieniądzach, kuchni, zabawach... Wrócę ja lepiej do swoich śniegów... Tam są inni ludzie, moi ludzie... Oni zrozumieją mnie, a ja ich. A tu, u was, jest mi już strasznie pusto...

Rejent pokiwał głową, ale widząc gorączkę starca, nie wdawał się w namowy. Zrozumiał, że człowieka czasami porywa burza tęsknoty i niesie go jak liść, który, gdyby umiał myśleć, możeby i myślał, że wraca na dawne drzewo i że znowu do niego przyrośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacanie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenty i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby pozostał choć do lata. Ale napróżno. Starca, od chwili, gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że poprostu nie mógł sobie znaleźć miejsca. W rozmowie był nieuważny, w towarzystwie cierpki. Gdy dla rozerwania się wziął jaki dziennik, zdawało mu się, że drukowany jest po polsku. Wszędzie na

coś czekał, jakby lada chwila miał ukazać się ktoś jeszcze nieznany, ale — od dawna wyglądany. Na bulwarach, ponad tysiącem świateł i gwarnem mrowiskiem ludzi, widywał ciche równiny, śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzieniegdzie małe domy ze słomianymi dachami albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wywiózł z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem wspomnień i pragnień. Było mu źle w Lyonie, źle w Paryżu, źle w teatrze, źle w pociągu. Dzień przeszkadzał mu myśleć, a w nocy zdawało mu się, że ktoś rzuca nim po łóżku, wygania go z pokoju, że w nim szlocha i krzyczy rozdzierającym głosem: — Odwieź mnie, odwieź tam, do moich!

Starzec opuścił Paryż, nie pożegnawszy się nawet z wielu osobami. Dniem i nocą jechał do kraju...

Do granicy pociąg przyjechał nad ranem. Formalności paszportowe zabrały kilka godzin czasu. Jedni podróżni jedli, drudzy drzemali. Pułkownik nie mógł ani jeść ani spać; wyszedł na przechadzkę na stacyę. Szedł wzdłuż toru drogi żelaznej, może kilometr, a może i więcej. Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazał się jasny pasek, który stopniowo wzrastał, aż całe niebo przybrało barwę zielonego szkła, poplamionego szarymi, białymi i bladoróżowymi obłokami...

Chłodny wiatr orzeźwił starca, ale nie uspokoił. Pułkownikowi zdawało się, że gdy raz stanie na otwartem polu, na swojem polu, w jego piersi nie wytrzyma tęsknota, wyrwie się i gdzieś odleci, jak gołąb wypuszczony z klatki. Lecz stało się inaczej; zamiast ukojenia uczuł zdziwienie. Horyzont, niegdyś taki szeroki, wydał mu się ciasnym. Lasów nie widać, tylko tu i ówdzie sterczą dymiące kominy fabryk. Nie widać ani chat ani ogrodów przy nich, tylko posępne, ceglane domy na śnieżnych wydmach. Nawet wiatr, zamiast szumieć między gałązkami wierzbiny, tłukł się o nieskończenie długi szereg słupów albo w telegraficznych dzwonkach płakał jak zabłąkany sierota...

To już nie ta ziemia, którą przed pół wiekiem opuścił...

Na dworcu zadzwoniono. Pułkownik ledwie zdążył zająć miejsce w wagonie — i pociąg ruszył.

Przez całą drogę starzec rozglądał się, chcąc choć jakąś nitkę nawiązać między rzeczywistością a wspomnieniami.

Daremna praca! Inny kraj leży na dnie duszy, inny przed oczyma. Chłopi bez sukman, żydzi bez lisich czapek, domy bez drzew, ziemia bez lasów. Nie był nawet pewny, czy ptaki nie straciły głosu.

Do Warszawy przyjechał już późnym wieczorem i umieścił się w hotelu, który mu z pozoru przypominał dawne »zajazdy«. Lecz i tu spotkało go rozczarowanie. Zamiast prostych sprzętów, obitych włosieniem albo skórą, jakie bywały za jego czasów, zastał modne meble, popsute dzwonki elektryczne i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary »zajazd«, ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jako tako, pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i kazał się obwozić po wszystkich znanych niegdyś ulicach.

Niepojęte zmiany... Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane słupy latarniowe, znikły dworki i rozległe ogrody, a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawe tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczki, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale — jakieś inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów ani z twarzy. Co dziwniejsza, chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczuł pustkę jeszcze większą, niż we Francyi, i postanowił wejść w towarzystwo ludzi. Miał tu znajomych między różnemi osobami, które spotykał w Paryżu albo u wód. Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego odźwiernego o wyszukanie adresów. Na drugi dzień przyniesiono mu tylko jeden adres, człowieka dość majętnego, z którym przed dziesięciu laty poznał się w Vichy. Pułkownik natychmiast udał się do niego i szczęściem zastał go w domu.

Gospodarz na razie nie poznał go, a poznawszy, zmieszał się. Gorączkowo ściskając gościa, troskliwie począł go wypytywać, czy nie miał kłopotów z paszportem, a gdy uspokoił się co do tej sprawy, zapytał, jak też długo myśli bawić w Warszawie.

— Chciałbym osiedlić się tutaj, naturalnie, jeśli uda mi się zawiązać stosunki — odparł pułkownik.

O!... stosunki u nas zawiązują się łatwo. Znajdzie tu pan może nawet i swego kolegę...

— Któż-to? — przerwał mu prędko starzec.

— Jest to także były oficer francuski. Biedaczysko!... Przyjechał bez grosza i ledwo znalazł jakąś lichą posadę... Dziś nie może odżałować, że opuścił Francyę. Och!... u nas bardzo trudno o zajęcie... tysiące młodzieży szukają go próżno...

— No, ja tego nie potrzebuję — odparł gość, śmiejąc się pierwszy raz od kilku miesięcy. — Mam trochę gotówki i emeryturę pułkownika.

Uśmiech tak widać ozdobił marsowatą twarz starca, że gospodarz, poprzednio dość chłodny, nagle wpadł w zachwyt. Porwał gościa w objęcia, kilkanaście razy nazwał go pułkownikiem, przypomniał mu mnóstwo przyjemnych chwil, spędzonych razem w Vichy, przedstawił mu całą swoją rodzinę i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby raczył uważać ten dom jak własny i ażeby jutro wieczorem zaszczycił go swoją wizytą.

— Będzie u nas kilka osób — mówił zachwycony gospodarz — które z przyjemnością złożą hołd bohaterowi..

— Emerytowi!... — poprawił go pułkownik.

Pomimo tak szczególnego przyjęcia, pułkownik przyszedł na wieczór. W przedpokoju przyjął go sam gospodarz, ledwie nie zdjął mu kaloszy i z wielkim szumem wprowadził go do salonu.

Był to wieczór taneczny, więc starzec znalazł od razu kilkadziesiąt osób. Porobił prędko znajomości z damami, z których jedna zapewniała go, że pamięta kampanię włoską, choć mogła znać doskonale węgierską, druga dziwiła się, że opuścił »ten piękny Paryż«, a najmłodsza zapytała nieśmiało, czy pan pułkownik nie tańczy już nawet kadryla...

Ponieważ przeszło siedmdziesięcioletni weteran już nie tańczył, więc gdy odezwała się muzyka, pomimo całego szacunku — zapomniała o nim. Żołnierz z pod Solferino i Gravelotte musiał ustąpić bohaterom walca i kontredansa — tak samo jak we Francyi.

Wyszedł do dalszych salonów. Tam grano w karty. Gościnny gospodarz ofiarował się w tej chwili zebrać mu towarzystwo do wista z dwu radców i jednego prezesa: ale starzec podziękował, może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista. Więc i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był zadowolony, mogąc przypatrzyć się ludziom. Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o polityce... Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał niedługo. Przechodząc od kwestyi do kwestyi, usłyszał w końcu, że realna polityka powinna wojnę traktować jak interes przemysłowy, a nie wojować za cudze sprawy, dla idei. To samo niejednokrotnie słyszał we Francyi: pocóż ją więc opuścił?...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka, począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni towarzysze. Gdy zaś ocknął się, szeptał: Pocom ja tu wrócił?... I uczuł tęsknotę do Francyi.

Na drugi dzień przypadała niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli, namyślając się, kiedy wracać do Francyi — dziś czy jutro. Tu był już obcym dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał pokój na dole. Gdy około 10. podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem chodzi tam i napowrót jakiś ubogo odziany człowiek z małym chłopcem. Był silny mróz, więc ubogi człowiek dla rozgrzania się tupał nogami w chodnik, uderzał się w ramiona, albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce dziecka...

Ponieważ chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spy-

tał kelnera, co za jeden jest ten człowiek. Kelner uśmiechnął się i rzekł:

— To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

— Mnie pokazać? A skądże on wie, kto ja jestem?...

— Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem albo rozcierał zmarzłe rączyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc śpieszniej i zaciekawiony, wyszedł na podwórze. Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął jak wryty, zmarszczył brwi, wyprężył się, zacisnął pięści i wciąż patrzał na starca, myśląc, że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety.

Starzec zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy i pułkownik zwolna poszedł w stronę ulicy. Wtedy szewc odezwał się do dziecka:

— Wojtuś!...

— Abo co?

— Będziesz taki?...

— Co nie mam być? Ojej!...

— Pamiętaj, ażebyś był!

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale jadł nie wiele, bo śpieszył się. Potem wybiegł do miasta i wkrótce najął sobie mieszkanie.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go nie razili. A gdy przypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spojrzał na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont jak niegdyś, takie same lasy — i uczuł orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

— Zostanę tu! — pomyślał.

Bolesław Prus (*Aleks. Głowacki*).

55. Limba.

Wysoko na skały zrębie
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu...
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków, rosnących nizko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej, na nowo!
Ona się w chmurach kołysze —
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie —
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej...
Woli samotnie z błękitu
Upaść, strzaskana przez gromy.

Adam Asnyk.

56. Bitwa pod Lwowem r. 1675.

Założenie plantacyi na górze zamkowej we Lwowie przyozdobiło miasto nadzwyczajnie piękną przechadzką. Swoi i obcy, wszyscy cenimy wysoce jej przyjemności, zachwycamy się jej wielorakimi powabami, nie znając przecież albo nie przypominając sobie najwspanialszego jej wdzięku. Jest to wdzięk wielkiego wspomnienia historycznego, jest to otwierający się z niej widok miejsca, na którem spełniony został wiekopomny czyn bohaterski.

Patrzymy codziennie na jego scenę, przechadzając się po wschodnim rąbku plantacyi, ponad łazienkami Kiselki i wiodąc okiem po tej niezmierzonej płaszczyźnie, która od rogatki żółkiewskiej rozpościera się i niknie poza przylądkiem dalszego pasma wzgórków na prawo. Na tejto równinie stoczyła się za czasów króla Jana Sobieskiego między pięciotysięcznem rycerstwem polskiem a 40 do 60 tysiącami ordy tatarskiej i Turków szczęśliwa dla chrześcijan walka, liczona do najświetniejszych tryumfów króla Jana III., który, według wyrażenia się dziejopisów późniejszych, »nie był nigdy tak wielkim, jak na pobojowisku pod Lwowem«. »Na tejto równinie« — mówi spółczesny historyk angielski, osobiście obeznany z dworem warszawskim, a nieprzyjazny w ogólności Polakom — »odniesiono największe może zwycięstwo, o jakiem kiedykolwiek słyszały dzieje«. — »Na

tejto równinie« — wtórzy mu wreszcie pisarz dzisiejszy, głośny historyk francuski — »rozstrzygnęły się losy podziwienia godnej kampanii, która może nie ma równej sobie w wiekach poprzednich, a ledwie ustąpi którejkolwiek z kampanii wieku naszego«. »W dzień tego zwycięstwa« — donosi wreszcie urzędowa »Gazeta Francyi« w nr. 103. z dnia 22. października r. 1675. — »zajaśniała Opatrzność widomiej, niż kiedykolwiek, nad Polską i okazało się jawnie, że samo niebo opiekuje się tem przedmurzem świata chrześcijańskiego, które przed wszystkimi narody chroni go od gwałtu najsroższych nieprzyjaciół«.

Czasy »zniesienia« ordy pod Lwowem, tylko ośmiu laty wcześniejsze od szturmów armii tureckiej do murów Wiednia i odsieczowej wyprawy króla Jana, były czasami największej potęgi półksiężyca. Więcej niż połowa Węgier, znaczna część Ukrainy i Podola zostawały pod panowaniem Osmanów. W węgierskiej stolicy Budzie, w świeżo zdobytym Kamieńcu podolskim tureccy zasiadali baszowie. Rok po roku wojska tureckie wdzierały się w coraz dalszą głąb państw chrześcijańskich po coraz dalsze podboje. Osobliwie Polska znalazła się w tej chwili narażoną na ciosy muzułmańskie. Z dworem wiedeńskim miała Porta od lat 12 pokój nader pomyślny. Cały ciężar zwycięskiej potęgi sułtanów spadał na omdlałe królestwo obudwóch ostatnich Piastów: króla Michała Korybuta i Jana III. Sobieskiego. Przez kilka z kolei lat uderzała ta potęga siłą rozhukanego morza w nadszczerbione granice polskie, zalewając je raz poraz, mianowicie w latach 1672., 1673., 1674., 1675., 1676., zbrojnymi tłumy ogromnych wypraw podbójczych. Co tylko w najważniejszych wydarzało się wojnach, sami cesarze osmańscy przewodniczyli wyprawom. Podczas gdy nawet tak wielkie przedsięwzięcia wojenne, jak oblężenie Wiednia, powierzane były mniej dostojnemu naczelnictwu wezyrów: nad Dniestr, przeciwko Polsce, sam cesarz Mahomet IV. po trzykroć w sześciu latach z całym wyruszył dworem. Na łowach, podczas przeglądu wojska, u stołu, nawet w nocy powtarzał cesarz Mahomet IV. jedyne słowo: »Gdańsk!» — marzył o rozprzestrzenieniu krańców swojego państwa od morza indyjskiego po Bałtyk.

Ale i padyszachowie miewają marzenia nieziszczone. W poprzek drogi do Gdańska, w poprzek drogi do Wiednia stanął Mahometowi IV. mąż jeden, lecz mąż wielki, Sobieski. Oparł się on całemu nawałowi Islamu i bajecznie szczupłemi siłami ocalił nie tylko własną ojczyznę, ale cały wschód Europy. Pierwszym z ważniejszych ku temu kroków była przesławna bitwa chocimska roku 1673., odwdzięczona wyniesieniem zwycięzcy na tron królewski — drugim przedkoronacyjna kampania z roku 1674., przezwana przez Francuzów »cudowną«, rozpoczęta szeregiem korzyści oręża tureckiego śród lata, a zakończona nagłą klęską pod zimę — trzecim wreszcie chwała również przedkoronacyjnej jeszcze kampanii z roku 1675., nasza wygrana pod lwowską górą zamkową.

Chodziło Porcie o uiszczenie pokoju buczackiego, który jej przyznawał Podole, Ukrainę i coroczny haracz ze strony Polski, a którego egzekucyi nie dopuścił naprzód sejm, następnie zaś zwycięski oręż nowego króla. Doświadczeniem roku zeszłego nauczyli się Turcy, iż chcąc jakąkolwiek wojnę z Polską szczęśliwym zakończyć skutkiem, należy zakończyć ją wcześnie przed zimą. Stąd już o pierwszej wiośnie wyruszyły tego roku wojska sułtańskie w pole. Wyruszyły z dwóch stron, od Dniepru i Dunaju, dwiema wielkiemi armiami, »zdolnemi (jak mówiono) zawojować nie tylko Polskę, ale pół świata«. Jedną, tatarską, rozsypującą się co chwila w drobne łupieskie oddziały, prowadził chan Selim-Geraj, przodkując pięciu podrzędnym sułtanom krymskim, pomiędzy którymi słynął osobliwie stryj chański Ssafa-Geraj, zwany powszechnie od godności swojej »sułtanem Nureddynem«, t. j. wtórym z domniemanych następców tronu chańskiego. Drugiej armii tureckiej przewodził najwyższy dowódca wojsk otomańskich, Sziszman Ibrahim, mający pod sobą 15 baszów, pomiędzy tymi 5 wezyrów, a nadto obudwóch hospodarów wołoskich. Razem liczono siły nieprzyjacielskie na 150 do 200.000 wojowników.

Przeciw tak wielkiej potędze broniła całej Polski garstka rozmaicie uzbrojonego wojska: cośkolwiek starodawnej husaryi, kilkanaście chorągwi pancernych i kozackich, kilka pułków piechoty krajowej i cudzoziemskiej,

razem zaledwie 25 do 30.000 ludzi, rozrzuconych maleńkiemi kupkami na szerokiej przestrzeni, po miasteczkach, zamkach, obozowiskach. O rychłem powiększeniu obrony, o pospolitem ruszeniu, uznanem od dawna za tłum wcale gnuśny, niesforny, bezużyteczny, nie można było myśleć. Tylko cud cud geniuszu wojennego, korzystającego przedewszystkiem z błędów nieprzyjaciela, mógł zbawić kraj. Nieukoronowany jeszcze król — obozował w świeżo oswobodzonej Ukrainie. Nieskończenie większy jako wojownik głową, niż jako wojownik szablą, wlepił on chciwie wzrok w poruszenia nadciągających wrogów, śledząc z niespokojnością, na którą z wschodnich prowincyi polskich, na Ukrainę czy od razu na Ruś Czerwoną, uderzy wyprawa tegoroczna.

Muzułmanie wymierzyli cały swój zamach przeciw królowi, rozlali się po Ukrainie. Jan Sobieski odetchnął, »Seraskier Ibrahim niedołęga! — zawołał. — Nim jesień minie, ubędzie jego ogromnej armii!« Zaczem umyślnie ustępując mu miejsca, cofnął się Sobieski na Ruś, a Tatarzy i Turcy zaczęli dobywać zamków i miast ukraińskich. Zabrało im to wiele czasu i nie przyniosło najmniejszego pożytku, gdyż prawie wszystkie oblężone twierdze oparły się nieprzyjaciołom, kiedy tymczasem król coraz warowniejszą pozycyę umacniał sobie na Rusi. Obrawszy Lwów za centralne stanowisko obrony, opasał go Jan z daleka szerokiem półkolem twierdz, poruczonych najdoświadczeńszym mężom. W Brodach i Załoźcach zamknął się z trzema tysiącami żołnierza hetman polny koronny, książę Dymitr Wiśniowiecki; w Złoczowie z takąż samą liczbą wojewoda ruski, Stanisław Jabłonowski; w Brzeżanach chor. w. kor. Sieniawski, w Podhajcach Makowiecki, w Zbarażu pułkownik Desauteuils, w Trembowli Samuel Chrzanowski. Całe pogranicze między Wołyniem i Podolem a Rusią najeżyło się warowniami, uzbrojonemi za staraniem wielkiego króla bodaj mieszczańską, bodaj chłopską załogą. Nadto jął się Sobieski zwyczajnego środka paraliżowania wojny traktatami o pokój. Na wezwanie chana udało się trzech pełnomocników królewskich do obozu Tatarów, aby za pośrednictwem Selim-Geraja zawiązać układy z Ibrahimem.

Tym sposobem postęp oręża otomańskiego coraz szkodliwszej doznawał zwłoki. Cesarz Mahomet IV., czyli właściwie, wszechwładny wezyr w. Achmed Kiupriuli, dziedzic dostojeństwa, geniuszu i światoburczych zamysłów swego ojca Mahometa Kiupriuli, zżymał się z niecierpliwości. Ibrahim otrzymał rozkaz zawojować czemprędzej bezbronną Polskę z jej królem albo dać gardło. Gdyby mu wojska nie stało, nadejdzie druga armia, która już przeprawia się przez Dniestr; gdyby i ta nie starczyła, zbierze się trzecia pod dowództwem samego padyszacha, na polach Adryanopola.

Dumny Ibrahim złożył się przed dywanem, że już dawno byłby schwytał króla polskiego, lecz nie wie, gdzie się podział. Aby go więc odszukać, aby własne ocalić gardło, rzucił się przyśpieszonym pochodem ku ziemiom ruskim. Pod Husiatynem połączyły się obie armie najezdnicze, licząc przeszło 100.000 ludu zbrojnego. Owi orędownicy polscy, stanąwszy za tatarskiem pośrednictwem przed naczelnym wodzem tureckim, zostali nadzwyczajnie hardo przyjęci. »W dwóch słowach zamknijcie waszą prośbę« — ofuknął ich Ibrahim — »bo trzeciego słuchać nie będę«. — »Dwa za mało!« odpowiedzieli smutno posłowie.

Ibrahim kazał wziąć ich pod straż i prowadzić z sobą za wojskiem, jako świadków spodziewanych teraz tryumfów muzułmańskich. Nastąpiły też w istocie wszelkie wysilenia przemocy i srogości. Palono wszystkie sioła przed sobą, wbijano na pal mieszkańców, uprowadzano w jasyr całą ludność okolic. Zdradnie opanowaną twierdzę zbaraską kazał Ibrahim zapalić na czterech rogach i wyprowadził uwięzionych posłów polskich na wzgórze, aby się przypatrywali płonącemu dokoła miastu. Z krwawo zdobytych Podhajec zagnano przeszło 30.000 ludu w niewolę. Przeszło 30 znaczniejszych miast i grodów uległo zniszczeniu. Niezmierna trwoga ogarnęła kraj wszystek. Kto mógł, unosił życie za Wisłę. Cała nawałnica nieprzyjacielska zdążała już ku Złoczowu, mierząc prosto na Lwów.

Lwów został po raz wtóry głównym szańcem królestwa. Troskliwy o niego król przybył spiesznie do miasta. Za nim zjechała tamże z całym dworem królowa. Przygo-

towano się do przebycia długiego oblężenia, do przebycia wielkiego niebezpieczeństwa, które wszyscy pragnęli podzielać społem.

Mimo wszelką jednak obawę, mimo zupełne prawie ogołocenie z środków, mimo zwyczajny wreszcie rozsądek, nie odstępowała króla pewna zuchwała odwaga, podnosząca strwożone dokoła serca. Mając wjeżdżać do Lwowa, zakazał król wszelkich powitalnych ceremonii i ogniów w mieście. Wtem doszła go wiadomość o owem doniesieniu Ibrahima do Carogrodu, jakoby Jan skrył się przed nim. Natychmiast wyszedł rozkaz królewski, aby miasto zagrzmiało na powitanie ze wszystkich dział dla oznajmienia Ibrahimowi, gdzie może znaleźć króla. Ta starorycerska śmiałość, jak zbawienna dla swoich, tak szkodliwą okazywała się wrogom. Dziki, zabobonny, oryentalną wyobraźnią mamiony Tatar i Turek był aż nadto skorym do powodowania się wrażeniami dziwów mniemanych. Toć przed niewielu dopiero dniami, przystępując do zdobywania Załoziec i chcąc zasięgnąć wróżby w tej mierze, wypuszczono z obozu tureckiego czarną kokosz ku miastu. Czarodziejska kwoka wróciła z gdakiem w szeregi muzułmańskie, a Turcy uszli w popłochu z pod Załoziec.

Wiadomo, jak dalece później sama obecność króla Jana rzucała bajeczny postrach na wrogów. Może takąż samą i teraz nadrabiając nad nimi władzą, nie zapomniał król o przysposobieniu im także nierównie rzeczywistszych powodów lęku. Po ściągnięciu wszelkich możliwych w obecnej chwili posiłków znalazło się przy królu 6 do 8.000 ludzi, którymi dowodzili częściowo szwagier królewski i hetman polny litewski, Michał książę Radziwiłł, chorąży kor. Sieniawski, strażnik kor. Bidziński, słynny kawaler maltański Lubomirski, generał Korycki, pułkownikowie Mężyński i Polanowski. Bezpośredniemu dowództwu króla pozostało zaledwie 2.000 żołnierza. Ustawił go król obozem o ćwierć mili od murów miejskich, ku Krzywczycom, w niewielkiej dolinie pomiędzy wzgórzami i parowami leśnymi, poza ową nagą piaskową górą i jej odroślami bocznemi, które przechadzającym się po dzisiejszych plantacyach ponad łazienkami Kiselki ograniczają widok na prawo. Jakkolwiek

szczęśliwem mogło być położenie, jakkolwiek ufano wojennej sztuce króla, nalegali przecież senatorowie obecni, aby król w bezpieczniejsze miejsce schronił swoją osobę. Sobieski odpowiedział, iż tu oczekiwać będzie nieprzyjaciela i, jak przed ośmiu laty w Podhajcach, pobije go podjazdami lub zginie.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Dość pomknionа już pora roku, rozkazy z Konstantynopola, świeżo rozbudzony zapał armii tureckiej — wszystko zniewalało Turków do kroku stanowczego. Na polach między Płuhowem a Jezierną, stanowiskami Ibrahima i chana Selim Geraja, odbyła się wielka rada wojenna. Wiedząc już teraz o pobycie króla w stolicy ruskiej, postanowiono wyprawić znaczną część armii pod Lwów, dla rozbicia obozu królewskiego i odparcia króla (jak o tem wyraźnie była mowa) aż pod Lublin albo Jarosław, a potem z resztą armii chciano otoczyć i zdobyć miasto.

Pierwszą połowę dzieła, wymagającą nadewszystko szybkości, poruczono głównie Tatarom. Prawie cała orda wyruszyła pod naczelnictwem Nureddyna w 40.000 wybrakowanych junaków całym pędem na Lwów. Dnia 23. sierpnia otarła się przelatująca chmura tatarska o zamek złoczowski, skąd waleczny wojewoda ruski Jabłonowski przez kilka dni armatnim smagał ją ogniem. Tegoż samego dnia, w piątek przed św. Bartłomiejem, doszła do Lwowa pierwsza wiadomość o grożącym zamachu, nadesłana przez pułkownika Miączyńskiego, który, w 2.500 ludzi wyprawiony na podjazd, zabrał pod Uniowem kilka języków tatarskich i natychmiast dostawił ich królowi.

Wyprawa Nureddyna zerwała się tak nagle, że sami jeńcy uniowscy nie wiedzieli dokładnie, jaka właściwie siła ciągnie na Lwów. Musiał tedy przypuścić Jan Sobieski i przypuszczano w rzeczy powszechnie, że przyjdzie wytrzymać zamach obudwóch połączonych armii nieprzyjacielskich. Oczekując co chwila ich przybycia, pośpieszyło wszystko na stanowiska. Mieszczanie rzucili się z bronią w ręku na mury; lud, kobiety, duchowieństwo zaległ wszystkie świątynie; wraz z dzwonami, wzywającymi do modlitw w niebezpieczeństwie, uderzały z wyższego zamku

armaty, dając znać mieszkańcom przyległych siół, aby uciekali przed ordą nadciągającą. W niedzielę 25. sierpnia, o samem południu, postrzeżono z wyższego zamku ogromne tumany kurzu na gościńcu gliniańskim. Od ustępujących stamtąd czat przednich rozniósł się powszędy głos: »Nieprzyjaciel!« Zatrzymany dotychczas w mieście Sobieski pożegnał teraz królowę, która wraz z ludem udała się w procesyi do kościoła katedralnego, a król z całym dworem wojennym pognał do obozu za miastem.

Ze szczytu wzgórz zamkowych i przyległych (skąd Sobieski przez jakiś czas przypatrywał się uważnie dalekiemu pochodowi nieprzyjaciela) odsłonił się nagle dziwny widok natury. Nieprzyjaciel znajdował się w odległości Biłki królewskiej. Najpiękniejsza pogoda niedzieli sierpniowej rozpromieniła cały widnokrąg. Wtem naraz zaczerniało niebo okropną tuczą nad Biłką i ciągnącymi tamtędy nieprzyjaciółmi. Podczas gdy nad Lwowem najjaśniejsze świeciło słońce, uderzył w Biłce na Muzułmanów gwałtowny grad ze śniegiem, który w jednej chwili wszystkie okoliczne pola pobielił. »Nie sprzyja Bóg zamachowi« — przeniknęło tajemną trwogą ordę i Turków, głośną otuchą chrześcijan. Korzystając z pomyślnego pomiędzy swymi wrażenia, zachęcił król do tem ściślejszego wykonania rozkazów. Szczupłe, pięcio- a najwięcej ośmio-tysięczne wojsko królewskie otrzymało następujący szyk bitwy. Pewną część wojska, pod wodzą książęcia Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego, wyprawił król gościńcem sichowskim aż ku Bóbrce, aby z tej najdalszej na prawo strony zastąpić drogę Tatarstwu i nie dać mu obejść króla z ubocza. Reszta sił została podzielona na troje. Jedna część czyli prawe skrzydło, pod generałem Koryckim, stanęło poza rogatką łyczakowską, na gościńcu winnickim. Lewe skrzydło, złożone z kilku chorągwi husarskich, prowadzonych przez chorążego koronnego Sieniawskiego i podkomorzego bełskiego, oparło się o podnóże zamku wysokiego, ku rogatce żółkiewskiej i szerokim tamże błotom od strony Zboisk. Król ze swoim obozem na dolinie pomiędzy wzgórzami dzisiejszego Zniesienia tworzył centrum. Zawierało ono kilka chorągwi wołoskich pod strażnikiem koronnym Bidzińskim,

kilka husarskich, siedm pancernych, trzy kozackie i cokolwiek piechoty z niewielu działkami — razem mało co nad 2.000 ludzi.

Nie za tąż jednak osłoną, nie w samymże obozie zdało się wytrzymać główny atak nieprzyjaciela. Przyzwyczajony uprzedzać go z nienacka, zamierzył król i dzisiaj użyć tej zuchwałości, szczęśliwej, gdy posiłkowanej geniuszem. Zaczem obwarowawszy należnie obóz, wyprowadził Sobieski wojsko swoje na wzgórza nad równiną, aby w danej chwili rzucić je gdziekolwiek na płaszczyznę. Ponieważ zaś ciężkie chorągwie husarskie, stanowiące główną siłę królewską, dobre do rozbijania nieprzełamanych zastępów, lecz mniej użyteczne w spotkaniu z lekkiem, pierzchliwem jak wiatr Tatarstwem, niewielką wróżyły tam skuteczność: przeto zabłysnął królowi nagle jeden z owych pomysłów, który dogadzając naprzód pewnej poszczególnej potrzebie, okazuje się z wielu innych jeszcze względów korzystnym. Przeciwko mniemaniu najstarszych wojowników, wierzących przesądnie w bezwarunkową zbawienność zbroi husarskiej, wydał król rozkaz, aby cała husarya złożyła swój rynsztunek żelazny i ciężkie kopie, a przybrała natomiast lekkie dzidy kozackie. Przybyło tym sposobem kilkanaście set luźnych kopij i rynsztunków husarskich, w które nowy ordynans króla kazał ustroić się niezmiernej podówczas liczbie ciurów i służby obozowej. Zaimprowizowana tak niespodziewanie husarya, nie mająca innego przeznaczenia, jak tylko stać pomiędzy zaroślami na wzgórzach, jakoby gotowa do uderzenia rezerwa, w dwójnasób na pozór powiększyła siły królewskie. Cudownym wpływem geniuszu ubożuchna armia obronna sprawiała wrażenie wielkiego, szeroko rozpostartego wojska; wzgórza i lasy zamieniły się w twierdze, słabszy gotował się uderzyć na mocniejszego, ci, którzy w innym razie byliby blizcy rozpaczy, teraz tuszyli sobie tryumf!

Tymczasem Nureddyn ze swoją ordą postępował naprzód śród gromów burzy gradowej, śród huku ciągłych strzałów sygnałowych z zamku wyższego, śród bicia dzwonów nieszpornych w mieście. O godzinie czwartej z południa ukazały się szyki nieprzyjacielskie w pobliżu wzgór-

ków zamkowych, posuwając się ku nim ogromnym półksiężycem, rozciągniętym od Zboisk aż do Krzywczyc. Jednocześnie wrócił od Bóbrki podjazd hetmana polnego Radziwiłła z relacyą, iż niemasz nigdzie Tatarów w tamtej stronie. Powziął tedy król Sobieski zamiar zwarcia się wstępnym bojem z pogaństwem. Sprowadził więc swoje wojska ze wzgórków na płaszczyznę i o sporą ćwierć mili pomknął się naprzeciw ordzie.

Zaledwie to nastąpiło, oznajmiono królowi, iż na lewem skrzydle, pod zamkiem wyższym, u przeprawy przez błota koło Zboisk, przyszło już do spotkania. Silnie od przemożniejszego wroga ściśnięte chorągwie poczęły się tam mieszać i cofać. W tej stanowczej chwili wydał król hasło do boju na wszystkich punktach. Zwyczajem swoim przeżegnał i pobłogosławił pobożny Sobieski całe wojsko i z trzykrotnym okrzykiem: »Żyje Jezus!« na ustach, rzucił się w zastępy nieprzyjacielskie.

Gwałtowne natarcie powstrzymało impet Tatarstwa i dozwoliło poprawić się chorągwiom na lewem skrzydle. Gdy jedne oddziały armii muzułmańskiej z trudnością pasowały się z jazdą, innym oddziałom, chcącym przez wąwóz i przyległe parowy przedrzeć się w obóz królewski, celne pociski strzelców i ukrytej w zaroślach piechoty niezmierną czyniły szkodę. Z tym samym szczęśliwym skutkiem zagrzmiały także działa ze wzgórków. Raźne wykonanie trafnie obmyślanych rozkazów zrównoważyło nierówne siły walczących. Długo jednakże trwał bój. Długo czekały zgromadzone w świątyniach miejskich rzesze, aby nadeszła wieść ocalenia. Z przed obrazu Matki Boskiej w katedrze udała się królowa z ludem do kościoła jezuickiego i upadła tam na kolana przed wizerunkiem św. Stanisława Kostki. Dopiero z zachodem słońca zabrzmiała wiadomość o wygranej. Obawa, aby mrok wieczorny nie wsparł przeważnego nieprzyjaciela, natchnęła walczące rycerstwo polskie do ostatecznych wysileń. Złamany wróg stracił ducha. Nim jeszcze owa mniemana husarya na wzgórzach świeży (jak myślano) przypuści szturm, wypadło myśleć o bezpieczeństwie. A równie nagłe w odwrocie jak i w natarciu, pierzchnęło Tatarstwo w jednej chwili na wszystkich punktach.

O pierwszym cieniu nocnym nie było go już na widnokręgu. »Jakby widmo straszliwe« — mówi jeden ze współczesnych — »zjawiła się ta ogromna armia w przeciągu kilku godzin przed oblężonem miastem i znikła«. Tylko czerwieniejący zdala pożar Lesienic, Mikłaszowa, Kamienopola, zapalonych przez ordę dla utrudnienia pogoni, wskazywał płomienne ślady ucieczki.

Ciemność nocy przeszkadzała ścigać uciekających. Nie wiedziano zresztą z pewnością, czy nagła rozsypka tak przemożnego nieprzyjaciela nie była tylko zwyczajnym fortelem tatarskim, po którym on z podwójną wściekłością ponowi zamach. Nie wiedziano w ogólności, czy z samym jedynie Nureddynem, czy z całą armią Ibrahima i chana stoczono bitwę. W każdym razie zdało się niewątpliwą, że nazajutrz przyjdzie powtórzyć walkę. Dlatego kazał król pozostać wojsku na pobojowisku, a sam odjechał do obozu. Nie chciał nawet wrócić przedwcześnie do miasta, gdzie teraz w niebogłosy brzmiały modły dziękczynne.

Było to jedno z owych dziwnych zwycięstw tureckopolskich, w których nieraz sama wrażliwość i przesądność fantazyi oryentalnej, sam postrach imienia dowódcy chrześcijańskiego rozstrzygały o losie bitwy. Wygrana pod Lwowem kosztowała niewiele ofiar. Nierównie większą stratę ponieśli zwyciężeni, zwłaszcza u przeprawy przez błota koło Zboisk. Nigdy jednakże nie wykryła się liczba poległych nieprzyjaciół, ponieważ Tatarzy swoim zwyczajem porwali trupy ze sobą i spalili je w drodze. Po całym gościńcu do Złoczowa i Pomorzan płonęły nocą te stosy pogrzebowe.

Dopiero nazajutrz okazała się istotna wielkość wygranej. Ranek 26. sierpnia ujrzał armię nieprzyjacielską w ucieczce, już o 8 mil od Lwowa; jednej nocy ubiegli Tatarzy tyle drogi z pod Lwowa, ile, ciągnąc pierwej pod Lwów, uszli w trzech dniach i nocach. Można z tego wnosić o wieściach, jakie z uciekającymi nadbiegały do obozu Ibrahima i chana. Przedstawiono króla polskiego panem ogromnej armii, w zwycięskim pochodzie naprzeciw Turkom. Przerażeni wodzowie obydwóch wojsk kazali coprędzej zwinąć namioty. Dla przyozdobienia odwrotu jakąkol-

wiek pomyślnością wojenną, postanowili Turcy w drodze ku Wołoszczyźnie zdobyć zamek w Trembowli. Dowódca tameczny Chrzanowski utrzymywał się aż do przyobiecanej odsieczy króla. Jakoż nie dał Sobieski czekać długo na siebie. W pięć tygodni po zwycięstwie pod Lwowem znalazł się wielki wojownik na czele 20.000 żołnierza, pościganego z bezpieczniejszych w tej chwili twierdz i z tem wielkiem dla niego wojskiem pośpieszył ścigać podwójną armię nieprzyjacielską, która do niedawna liczyła 180.000 ludzi.

Dnia szóstego października dowiedział się przerażony seraskier pod Trembowlą o nadciąganiu króla, a w kilka dni później, po nagłem ustąpieniu Ibrahima i ujściu ordy, nie było już nieprzyjaciela na ziemi polskiej.

Takim sposobem wygrana pod Lwowem rozstrzygnęła kampanię roku 1675. Z kampanią tą spełzł na niczem jeden z owych gwałtownych szturmów, jakimi Wschód od wieków uderzał w świat zachodni. Na owej szeroko rozpostartej płaszczyźnie, po której codziennie spoglądamy z góry zamkowej, odegrała się jedna z najheroiczniejszych scen, jakiemi Zachód opierał się i oparł tym szturmom. Miasto oswobodzone, kraj ocalony, całe chrześcijaństwo zwycięskim puklerzem zasłonięte — oto pojedyncze rysy tego wielkiego wspomnienia historycznego, które jednym z mniej znanych, acz najwspanialszych wdzięków przyozdabia codzienną przechadzkę naszą. Patrząc na owe domki pobliskiej wsi Zniesienia, które na prawo od łazienek Kiselki wznoszą się na wzgórzach i wśród parowów, widzimy żywe pomniki odniesionego tutaj zwycięstwa.

Wieś Zniesienie, nazwana według wiadomej tradycyi od zniesienia Tatarów w r. 1675.[1]), stanęła na jednym z najpamiętniejszych punktów tej bitwy. U spółczesnych, nie znających jeszcze Zniesienia, nazywa się ona bitwą pod Lesienicami.

Karol Szajnocha (Szkice).

---

[1]) Według innych (Czołowski: Wojna polsko-turecka 1675. r. p. Kwartalnik historyczny 1894.) nazwa wsi pochodzi od nazwy tamtejszej cerkwi »Woznesenia« czyli »Wniebowstąpienia«.

57. Karol Szajnocha.

Karol Szajnocha urodził się w Komarnie, w b. obwodzie samborskim, r. 1818. z Wacława i Maryi z Łozińskich. Ojciec jego, Czech z rodu, był mandataryuszem. Właściwe jego nazwisko brzmiało Scheynoha de Wtelleńsky.

Karol odebrał początkowe wychowanie w domu, potem w szkołach samborskich, wkońcu we Lwowie. Odznaczał się zawsze wielkiemi zdolnościami i celującym postępem w naukach. Już od lat najmłodszych usposobieniem swojem wskazywał przyszły kierunek życia. Mały, zaledwie czytać umiejący chłopaczek nie znajdował przyjemności w zabawach dziecinnych, lecz pełnym był zawsze niezwykłej swemu wiekowi powagi i zadumy. Do książek miał popęd niesłychany, czytanie stanowiło najmilszą jego rozrywkę.

Razu pewnego jako uczeń początkowych szkół gimnazyalnych odważył się pójść na ślizgawkę. Pierwsza ta i ostatnia próba zakończyła się bolesnym upadkiem i złamaniem ręki; musiał przez kilka tygodni leżeć w łóżku i znosić ból bardzo przykry. Ojciec z tego powodu pozwolił mu dowoli korzystać ze swojej biblioteczki. Oddawał się chłopak tej przyjemności z takiem zamiłowaniem, doznawał takiej rozkoszy z nieograniczonej swobody, jaką mu w czytaniu zostawiano, iż epokę tę zaliczał do najmilszych wspomnień dziecinnych.

Wyłącznie na nauce i na czytaniu książek upłynęło Karolowi kilkanaście lat życia. Przeniósłszy się do Lwowa na uniwersytet, zetknął się bliżej z ówczesnem narodowem życiem politycznem, lecz niebawem w r. 1835. dostał się do więzienia. Wśród cierpień więziennych znalazł ulgę w modlitwie. »Zagrzebałem myśl całą w sobie (tak sam opowiada), aż pogrążając ją coraz głębiej, dokopałem się tam na dnie ukrytego w każdej duszy ziarnka, promienia religijności. Wyłoniwszy się w skruszeniu całego jestestwa na wierzch, oświecił mnie ten promień nagle nieznanym dotąd blaskiem. Po całych dniach leżałem na kolanach w modlitwie, we łzach nieustających. Książka religijna zdała mi się zbawieniem. Prosiłem o nią: nie dozwolono mi żadnej. Mia-

łem z sobą jedyną książkę, gramatykę francuską. Umieszczone na pierwszych kartach po polsku i po francusku »Ojcze nasz« i »Zdrowaś Marya« stały mi za całą księgę żywota. Rzuciłem się na nie, jak umierający z głodu potępieniec na pokarm zbawczy. Pokarm ten pokrzepił mnie zaprawdę. Po nim nastąpił jakiś błogi spoczynek, spokój wewnętrznego wesela«...

Oswoiwszy się powoli z trybem życia więziennego, pocieszał się chyba rozmową, prowadzoną ze współwięźniami przez okno, lub układaniem wierszy. Książki w więzieniu były zakazane, a tem bardziej jeszcze i tem surowiej materyały do pisania. Nie pozostawało więc nic innego, jak szpilką na ścianach celi więziennej spisywać poemata, których układanie zajęło wnet całą uwagę i fantazyę młodego więźnia. Ale to spisywanie i odczytywanie wierszy w celi, mocno zaciemnionej umieszczonymi przed oknem koszami, dało pierwszy początek nadwerężenia wzroku, które później tak bolesnymi zakończyło się skutkami.

Po dwóch latach uwolniono Szajnochę. Było to w r. 1837. Nie pozwolono mu dalej odbywać nauk, więc szkolna jego edukacya skończyła się bardzo prędko, bo właściwie na samych szkołach gimnazyalnych. Odważnie jednak wszedł młody Szajnocha na drogę, która mu przyniosła bardzo wiele trudu i mozołu, ale zarazem wielką sławę i zasługę. Jak trudną zaś jest droga podobnego kształcenia się o własnych siłach, dowiódł najlepiej Szajnocha sam na sobie. Potrzebował on dziesięciu lat najusilniejszej pracy i nauki, dziesięciu lat próby, zanim zdołał poznać swój własny talent, zanim potrafił doszukać się pola, na którem jedynie ten talent odpowiednio mógł się rozwinąć.

Od czasu wyjścia z więzienia zajmował się Szajnocha prawie bez przerwy studyami i pracami literackiemi. W początkach szło mu bardzo trudno. Lekcyami zarabiał na chleb dla siebie i dla rodziny (bo ojciec już nie żył, a matka i siostry pozostały bez żadnego utrzymania); — resztę zaś czasu poświęcał pracy nad sobą samym, naukom i — próbom literackim.

Uczył się głównie historyi. Czytał i pracował po całych dniach i nocach, odrywał się zupełnie od życia towa-

rzyskiego, nie wyłączając nawet najbliższych stosunków z przyjaciółmi. Prócz samego zamiłowania pracy przyczyniało się do tego jego usposobienie, skłonne przeważnie do życia odosobnionego. Towarzystwem jednakowoż wogóle nie gardził; miewał nawet chwile, w których mu ono miłem było i pożądanem. Żył w ściślejszych stosunkach z Józefem i Leszkiem Borkowskimi, z Wincentym Polem, Karolem Balińskim i Kornelim Ujejskim. Najdawniejszym jednak i najważniejszym był dlań stosunek z Augustem Bielowskim. Długie lata przeżyli w szczerej przyjaźni, przy wspólnych nieraz pracach, a Szajnocha zachował do końca życia dla najstarszego ze swych przyjaciół chętne serce jako dla człowieka i szczere uznanie zasług uczonego autora.

Zaczął Szajnocha zawód swój literacki od powieści. Wkrótce jednak, widząc, iż ten rodzaj zajęcia nie odpowiada jego zdolnościom, zwrócił się do poezyi dramatycznej. Ale i tutaj nie znalazł właściwego dla siebie pola. Po kilku takich latach młodzieńczych prób i usiłowań przeszedł na inne pole — do historyi.

Pierwszym owocem tej nowej pracy były dwie znakomite monografie historyczne: »Bolesław Chrobry« i »Pierwsze odrodzenie się Polski (1279—1333)«. Odtąd już stanął Szajnocha w rzędzie najznaczniejszych pisarzów narodowych.

W r. 1852. był redaktorem »Dziennika literackiego«, w następnym zaś roku został kustoszem biblioteki Zakładu narodowego im. Ossolińskich. Jako kustosz sumiennie pracował dla dobra Zakładu, a jako autor pilnie korzystał z bogatych zbiorów biblioteki. W tymto czasie powstały liczne drobne obrazki historyczne, wydawane tomami, p. t.: »Szkice historyczne«, których tom czwarty wyszedł już po śmierci autora. Jul. Bartoszewicz nazywa autora nieocenionym za to dzieło, a jego szkice brylancikami literatury. Do najważniejszych należą: »Matka Jagiellonów«, »Barbara Radziwiłłówna«, »Krzysztof Opaliński«, »Wnuka Jana III«. W tym samym czasie dokonał autor największego z dzieł swoich, monografii historycznej p. t.: „Jadwiga i Jagiełło“. Jest to owoc kilkoletniej, sumiennej pracy. W pierwszem

wydaniu (1855 i 1856) wyszło to dzieło w trzech, w drugiem w czterech tomach (1861).

Był to najpomyślniejszy okres życia Szajnochy. Miał wszystko, czego w skromności swojej mógł zapragnąć: miał możność pracy swobodnej, zapewniony kawałek chleba i ukochaną rodzinę (ożenił się w r. 1856). Ale to szczęście niedługo pozostało jasnem i pełnem. Choroba oczu, z dawna już zagrażająca, zaczęła się nagle wzmagać w sposób zatrważający. Niebawem okazały się daremnymi wszelkie środki ratunku. Przedsięwzięta do Brukseli podróż przyniosła jedynie pewność, że ratunek jest niemożliwy. Był to wyrok okropny. Smutną tę podróż rozjaśniło jedno tylko miłe na całą przyszłość wspomnienie — osobistego poznania się z Joachimem Lelewelem. Lelewel przyjął go sercem, pełnem przyjaźni i uznania; Szajnocha odwdzięczył mu się stałem i serdecznem przywiązaniem; Lelewel był dla Szajnochy zawsze przedmiotem prawdziwej czci i miłości.

Wróciwszy do domu, musiał Szajnocha zrzec się niebawem posady w Zakładzie im. Ossolińskich. W r. 1858. nie mógł już czytać ani pisać: ociemniał zupełnie. Pomimoto w pracy nie ustawał. W braku własnych oczu wyręczał się cudzemi albo posługiwał się osobnym przyrządem, zapomocą którego sam pisał dosyć czytelnie. Tak powstał „Mściciel", prześliczny wstęp do opowiadania o Janie III (1860); tak powstały „Dwa lata dziejów naszych, 1646 i 1648" w 2 tomach (1865 i 1869), należące do najpiękniejszych dzieł, jakie wyszły z pod pióra Szajnochy.

Tymto pracom wyłącznie poświęcał Szajnocha cały czas. Tryb jego życia był bardzo prosty. Jeden dzień podobny był do innych, a każdy zajęty był tylko myślą o tem, co właśnie przedmiot studyów i pisania stanowiło.

Z rana, już o godzinie piątej zasiadał przy małej drewnianej tabliczce, pokrytej wązkiemi linijkami, i na umieszczonym pod nimi arkuszu papieru kreślił ołówkiem ustępy, obmyślone w ciągu napół bezsennej nocy. Około godziny dziesiątej przychodził lektor, z którym czytywał źródła, robił wyciągi i notaty. Jedne i drugie spisywano w osobnych książkach i arkuszach, zawsze pod ręką autora zostających, bo w ciągu dnia często musiano je odczytywać, dopóki nie

wbiły się dokładnie w pamięć. Wnet po południu rozpoczynała się znowu dwugodzinna praca z lektorem. Później wieczorem był czas już oddany rodzinie i przyjaciołom. Wszyscy znajomi znali dokładnie te godziny i dopiero wieczorem odwiedzali Szajnochę.

Już w r. 1863. stan zdrowia Szajnochy pogorszył się niesłychanie; wkrótce niemoc doszła do tego stopnia, że już wszelka praca była niemożliwa. Dwa ostatnie lata życia były dla takiego, jak Szajnocha, człowieka, dwoma najdotkliwszymi wiekami cierpienia. Umarł we Lwowie dnia 10. stycznia r. 1868. Pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.

Jako historyk był Szajnocha pierwszorzędnym talentem, czego dowodzi najlepiej ta okoliczność, iż nie zostawił ani jednej pracy, któraby nie nosiła piętna tego talentu. Nie umiał on się tknąć żadnego, najsuchszego nawet przedmiotu historyi z zaparciem się tego poczucia artystycznego, którem Bóg ducha jego napełnił. Największe jego dzieła i szkice najdrobniejsze, opowiadanie o najciekawszem zdarzeniu i rozprawka o najpodrzędniejszym przedmiocie archeologicznym czytają się z równym podziwem, bo każde z nich pisał artysta, bogato talentem historycznym uposażony.

W pismach jego podziwiamy cześć dla przeszłości — bez bałwochwalstwa, sprawiedliwość — bez goryczy, miłość wszystkiego, co nasze — bez zaślepienia. Zanurzał się on w zamglonych głębiach dziejowych, nie żeby dogadzać pociągom erudycyi, nie żeby hasłami dzisiejszych nawoływań mieszać pokój umarłych, lecz aby lampą miłości i rozwagi rozświecać te groby minionej wielkości narodu i przeszłością tłómaczyć teraźniejszość, krzepiąc wiarę w przyszłość.

A jeżeli Szajnocha był przykładem jako pisarz, jako badacz i uczony, to był także niemniej wzniosłym wzorem jako człowiek, w publicznem i prywatnem życiu. Wychowany w ciężkiej szkole pracy i niedostatku, odznaczał się zawsze szlachetną dumą, prawością i nieskazitelnością charakteru. Dla siebie surowy, dla nieszczęścia drugich pełen był zawsze współczucia. Jakkolwiek odosobniony, jakkolwiek później do łoża boleści przykuty, był on przecież przez długi lat przeciąg jakby ogniskiem życia i ruchu literac-

kiego. Odwiedzali go wszyscy, starsi i młodsi, szukając jego rady i pomocy, a on przed nikim drzwi swoich nie zamykał, chętnie udzielał rady, a nawet niekiedy własną pracę przerywał, ażeby dla zdrowych i najczęściej młodszych oczu sprawdzić lub wyszukać potrzebne szczegóły.

Był on zjawiskiem, którego widok niezatarte sprawiał wrażenie; był człowiekiem, którego każde serce prawe musiało czcić, kochać i podziwiać.

Pamięć zasług jego uczcił wdzięczny naród przez zebranie ze składek publicznych znacznego funduszu, który pod imieniem „funduszu K. Szajnochy“ przeznaczono na wspomaganie zasłużonych pisarzy.

Wedł. *Bern. Kalickiego.*

58. Z Listów Adama Mickiewicza.

Do Edwarda Odyńca, w Dreźnie, IV.

Paryż, w lutym 1834.

Kochany Edwardzie!

Od czasu, jakem pisał do ciebie, długo i ciężko chorowałem na zęby, fluksye i kaszel uporczywy. Wszystko to skończyło się z nowym rokiem; odtąd ciągle mi lepiej i wróciłem do pracy. List twój z nowego roku był bardzo smutny; przewidywałem, że przecierpisz na świecie. Dotąd zdawało mi się, że krążyłeś po brzegach życia, nigdy o nic mocno nie uczepiwszy się i nie zabrnąwszy głęboko. Teraz żyć zaczynasz na seryo. Wszakże jesteś szczęśliwszy od drugich, że w położeniu twojem jako mąż i w uczuciach twoich religijnych znajdziesz obronę i pociechę. Nie bywszy nigdy bardzo złym, łatwiej ci się stać bardzo dobrym. A wierz mi, że to grunt szczęścia, a oprócz win własnych innego prawdziwego nieszczęścia niema. Nie oglądać się na nikogo, tylko na siebie; mało dbać o świat i ludzi: to jest jedyna nauka, którą łatwo powtarzać, ale której ważność późno daje się czuć w całej rozciągłości. Ja tu żyję prawie samotny, z ludźmi coraz mi trudniej, a im mnie[illegible]ch widzę, tem lepiej mnie. Przekonywam się, że się nadto żyło i pra-

cowało dla świata tylko, że nigdy już pióra na fraszki nie użyję. To tylko dzieło warte czegoś, z którego człowiek może poprawić się i mądrości nauczyć. Możebym *Tadeusza* zaniechał, ale już był blizki końca. Więc skończyłem wczoraj właśnie. Pieśni ogromnych dwanaście! Wiele marności, wiele też dobrego. Będziesz czytał. Za parę tygodni druk zaczynam. Mnóstwo pracy w przepisywaniu. Co tam najlepsze, to obrazki z natury kreślone, naszego kraju i naszych obyczajów domowych. Ledwiem skończył; bo mnie już duch porywał gdzieindziej, do dalszych części *Dziadów*, których kawałki oderwane mimojazdem pisałem. Z *Dziadów* chcę zrobić jedyne dzieło moje warte czytania, jeżeli Bóg dozwoli skończyć. Żyję prawie tylko ze Stefanem[1]) i Antonim[2]); z Stefanem Z.[3]) gram w szachy, z Bohdanem[4]) czasem dysputuję. Odpisz mi i daj adres. Zofii twojej całuję ręce. Miałem ją często w myśli, malując heroinę poematu mego Zosię. Wszakże lepiej jest patrzeć na żywą, niż stworzyć najpiękniejszą malowaną tylko. Jełowicki już ogłosił drukowanie *Korsarza*[5]) i czeka tylko rękopismu.

Bądź zdrów! Czytam bardzo mało, najczęściej Saint Martina, którego dzieła, jeżeli gdzie znajdziesz, czytaj wszystkie pilnie.

---

59. O tem tu dumać...

O tem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów!...

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy!
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga;
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha
I każą oddać co najprędzej ducha.

A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski jako dzwon cmentarza;

---

[1]) Witwickim. — [2]) Czajkowskim. — [3]) Zanem. — [4]) Zaleskim. — [5]) Powieść poetyczna Byrona, przetłómaczona przez Odyńca.

Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,
Wrogi ich wabią zdala jak grabarze;
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą:...
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie ohydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich[1])!

* * *

Chciałem pominąć, ptak małego lotu,
Pominąć strefy ulewy i grzmotu
I szukać tylko cienia i pogody:
Wieki dzieciństwa, domowe zagrody...

* * *

Jedyne szczęście: kto w szarej godzinie,
Z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie,
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów
I dumał, marzył o swojej krainie...

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,
O łzach, któremi płynie Polska cała,
O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała:
O nich pomyślić nie mieliśmy duszy!...
Bo naród bywa na takiej katuszy,
Że, kiedy zwróci wzrok ku jego męce,
Nawet Odwaga załamuje ręce...

* * *

Te pokolenia żałobami czarne —
Powietrze tylą klątwami ciężarne —
Tam — myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów
W sferę okropną nawet ptakom grzmotów[2])!...

* * *

O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie
Złożona... Nie masz sił mówić o tobie?...

* * *

Ach, czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że znajdą dzisiaj to czarowne słowo,
Które rozczuli rozpacz marmurową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy, tylą łez brzemienne?...

Kiedyś... gdy zemsty lwie przehuczą ryki,
Przebrzmi głos trąby, przełamią się szyki,
Gdy orły nasze lotem błyskawicy
Spadną u dawnej Chrobrego granicy,
Ciał się najedzą, krwią całe opłyną,

---

[1]) Jest to alluzya do sporów emigracyjnych polskich w Paryżu po r. 1831. — [2]) T. j. orłom.

I skrzydła wreszcie na spoczynek zwiną;
Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,
Umilknie, światu swobodę obwieści:
Wtenczas... dębowym liściem uwieńczeni,
Rzuciwszy miecze, siędą rozbrojeni
Rycerze nasi, słuchać o przeszłości;
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami
I wtenczas łza ta ich lica nie splami...

Dziś... dla nas, w świecie nieproszonych gości,
W całej przeszłości i w całej przyszłości,
Jedna już tylko dziś kraina taka,
W której jest trochę szczęścia dla Polaka:
Kraj lat dziecinnych... On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Nie zaburzony błędów przypomnieniem,
Nie podkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.

* * *

Te kraje radbym myślami powitał,
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał:
Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie
Biegł jak po łące, a znał tylko kwiecie
Miłe i piękne, jadowite rzucił,
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest Boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia,
Jak każdy kącik ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy!

A jeśli czasem i Moskal się zjawił,
Tyle nam tylko pamiątki zostawił,
Że był w błyszczącym i pięknym mundurze:
Bo węża tylko znaliśmy po skórze[1])...

I tylko krajów tych obywatele
Jedni zostali wierni przyjaciele,
Jedni dotychczas sprzymierzeńcy pewni!
Bo któż tam mieszkał? Matka, bracia, krewni,

[1]) W początkach XIX w. jeszcze Rosya nie tępiła żywiołu polskiego na Litwie.

Sąsiedzi dobrzy!... Kogo z nich ubyło,
Jakże tam o nich czule się mówiło!
Ile pamiątek, jaka żałość długa,
Tam, gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża;
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,
Niż tu syn ojca; po psie płaczą szczerze
I dłużej, niż tu[1]) lud po bohaterze...

* * *

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie
I do pieśni rzucali mi słowo po słowie:
Jak bajeczne żórawie na dzikim ostrowie,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną,
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...

* * *

O, gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy;
Żeby wieśniaczki, kręcąc kołowrotki,
Gdy odśpiewają ulubione zwrotki
O tej dziewczynie, co tak grać lubiła,
Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła,
O tej sierocie, co piękna jak zorze,
Zaganiać ptastwo szła w wieczornej porze:
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi proste jako ich piosenki!...
Tak za dni moich, przy wiejskiej zabawie,
Czytano nieraz pod lipą na trawie,
Pieśń o Justynie[2]), powieść o Wiesławie[3]);
A przy stoliku drewnianym pan włodarz
Albo ekonom lub nawet gospodarz
Nie bronił czytać i sam słuchać raczył
I młodszym rzeczy trudniejsze tłómaczył,
Chwalił piękności, a błędom wybaczył.
I zazdrościła młodzież wieszczów sławie,
Która tam dotąd brzmi w lasach i w polu,
I którym droższy, niż laur Kapitolu[4]),
Wianek rękami wieśniaczki usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty...

Adam Mickiewicz.

---

[1]) T. j. w Paryżu, we Francyi. — [2]) Franciszka Karpińskiego. — [3]) Kazimierza Brodzińskiego. — [4]) Na Kapitolu w Rzymie wieńczono bohaterów i poetów.

60. Kraj lat dziecinnych.

Nowogródzkie pełne jest uroczych krajobrazów. Ziemia to pagórków leśnych, ziemia łąk zielonych, o takiem bogactwie i rozmaitości widoków, że nawet oko, oswojone z zagranicznemi, osławionemi z nadzwyczajności miejscami, znajdzie tu czem wzrok popieścić i zachwycić. Domejko jeszcze w czterdzieści lat po wyjeździe z Litwy miał w sercu i oku te strony i świetnie je scharakteryzował w liście do Bohdana Zaleskiego: „Ledwo wyjedziesz z Nowogródka ku Koreliczom, Szczorsom i Mirowi, otwierają się we wszystkich kierunkach wzgórza i zwolna podnoszące się i zniżające pola, przyozdobione miejscami w dębowe i brzozowe gaje. Co kilka mil schodzisz na szerokie, zielone łąki, wygony, sianożęcia, po których środkiem, jak okiem zajrzysz, wiją się srebrzyste rzeki i ruczaje, a po brzegach ciągną się długie wsi i zaścianki, sznury naszych nieoszacowanych pereł. Od każdej wsi spuszczają się ku sianożęciom warzywne ogrody sielskie, wiśniowemi drzewami ocienione, a nad wsią górują uprawne poletki, żółte, płowe, zielone, zmieniające barwę według pory roku. Opodal ujrzysz kościółek na wzgórzu, karczmę, wiatrak i dwór szlachecki z lipowym szpalerem i topolami wysadzoną drogą".

Odrębność krajobrazów jest zdumiewająca. Na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst coraz to inny charakter widoków. Na północny wschód od Nowogródka, w poblizkiej Horodziłówce i Horodecznej p. Zygmunta Kiersnowskiego, mamy falisty krajobraz, jakby żywcem wyjęty z kantonu fryburskiego. Jakże inaczej wygląda krajobraz na południowy-wschód od Nowogródka w kierunku Świtezi. Lasy tu przed stu laty panowały niemal wyłącznie, „pełne zwierza bory", drogi wązkie, niełatwe na wiosnę i w jesieni do przebycia, widoki, godne Ruysdaela, pełne niespodzianek zachwycających, jak cicha, przeźrocza Świteź, lub parowów, umajonych zielenią, ożywionych stawami, jak w Sienieżycach. Cała droga z Zaosia i Tuhanowicz do Nowogródka, którą Mickiewicz od dzieciństwa i w młodości tylekroć przebył, jest prześliczna, zwłaszcza między Tuhanowiczami a Siohdą. Student nowogrodzki bywał zapewne często z ko-

legą, Nikodemem Kiersnowskim, w poblizkiej Horodecznej na majówkach w Zielone Świątki. Z rodziną Kiersnowskich wiązały Mickiewiczów blizkie stosunki. Najstarszego syna Mikołaja Mickiewicza, Franciszka, trzymał do chrztu łowczy nowogrodzki, Waleryan Kiersnowski z Imć panią Rozalią Orzeszkową.

Mimowoli a ustawicznie szuka po tych okolicach wzrok nasz tła do Pana Tadeusza. Z poznanych miejscowości najwięcej, acz niezupełnie, przypada do opisu poety dwór w Cząbrowie p. Juliana Karpowicza. Cząbrów, niedaleko Świtezi, należał przed stu laty do Uzłowskich. U nich to przebywała jako panna respektowa, Barbara Majewska, i stąd, z Cząbrowa, wyszła za mąż za Mikołaja Mickiewicza. Aniela Uzłowska trzymała też do chrztu Adama Mickiewicza. Nie można wątpić, że gdy dziecko podrosło, nieraz odwiedzało tu z rodzicami swymi matkę chrzestną. Dla matki poety Cząbrów był jakby domem rodzinnym. Dwór w Cząbrowie był może pierwszym z większych dworów wiejskich, zapamiętanych przez dziecko, które w Zaosiu i okolicy tamtejszej skromniejsze tylko widywało zabudowania. Dwór w Cząbrowie leży właśnie wśród pól, malowanych zbożem rozmaitem, na pagórku niewielkim;

> Dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany,
> Świeciły się z daleka pobielane ściany,
> Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
> Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
> Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi
> I stodołę miał wielką...

Dziś to o tyle zmienione, że topole wycięto przed dworem, a front ganku nieco podwyższono. Nie można zresztą upierać się przy tem przypuszczeniu, że Cząbrów jedynie był podstawą topografii Soplicowa; owszem, z góry zaznaczyć należy, że inne szczegóły mogły być wzięte to z Tuhanowicz, to z Horodziłówki; ale w Cząbrowie najwięcej przypomina się Soplicowo. Mickiewicz, który wedle własnego określenia, „nie tworzył prawie nic, lecz przypominał“, gdy na bruku paryskim przeniósł się duszą utęsknioną „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych“, nie wytrwał przy jednej jakiejś miejscowości. Zwiedzał w nadzwyczaj-

nej swej pamięci jedną okolicę po drugiej, aż z tej pielgrzymki duchowej utworzył najwspanialszą syntezę nowogrodzkiego krajobrazu. Las w nim panuje, jak panował w rzeczywistości. Już młodzian rozkochał się w olbrzymach puszczy, w równiennikach litewskich wielkich kniaziów w drzewach Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa, co mu wśród ciszy ostępu świadczyły o zamierzchłych wiekach. Do nich, jak do druhów, tęsknił poeta:

Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

„Błahy strzelec“ tu nie zwierzyny, a dumań szukał samotnych, podpatrzył życie lasu i przeniósł urok jego, zapach i kolory do kart nieśmiertelnego arcydzieła.

Nad ludźmi z „Pana Tadeusza“ przeszła niszcząca fala zdarzeń i zmiotła ich z powierzchni. Ludne, rojne przed stu laty zaścianki i okolice, bądź znikły, bądź też zubożały, zdrobniały i blizkie są zaniku. Przecież nie zaginęły jeszcze do szczętu. Po mowie, po głosie, po jasnem czole i bystrym wzroku, poznasz potomków Mazurów, którzy przed czterystu laty karczowali tu lasy i szerzyli niekrwawe zdobycze pługa polskiego. Dziś strzechy ich pochyliły się, ściany zczerniały, wszystko zgnębione ubóstwem:

Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
Świeciły się jak gdyby od zielonej blachy
Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna...

I tu natura dotrwała dłużej od ludzi...

A już jeśli gdzie, to tutaj, zdawało się, przetrwają po wieki stosunki, które wydały największego naszego poetę. Kraj był jakby w sobie zamknięty; nieprzebytym borem, jak wałem, objęty, chroniący miłośnie ludzi od wpływów niedobrych. Sieć gęsta wspólnych zasad, upodobań, tradycyi, tysiącznymi splotami wiązała tę drobną rzeszę ze sobą i tworzyła z niej jakby żywą, wzorzystą tkaninę...

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest Boży, tak on był nasz własny,

Jakże tam wszystko do nas należało!...
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy...

Stąd szły soki żywotne, którymi żył nie tylko wielki poeta, ale wielki obywatel. Z tej drobnej rzeszy zaściankowej wyszedłszy, on się po sam koniec życia czuł wygnańcem, bo mu wszędzie było tem gorzej, „im dalej od Nowogródzkiego powiatu“, im dalej od zaścianków. U szczytu sławy i natchnienia, o nic Boga nie prosił, tylko o to, by mu z wędrówki pozwolił wrócić

I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
Nie znać innych, prócz kosy i sierpa rynsztunków,
I innych gazet, oprócz domowych rachunków!...

Dziś życzenie takie okrzyczanoby jako — filisterskie, ale kto sięgnie na samo dno tych pragnień, kto dotrze do źródła tej gorzkiej tęsknoty, ten zrozumie, dlaczego nad wszystkie zagraniczne ponęty on stawiał wyżej kraj lat dziecinnych.

Według *Józefa Kallenbacha* (Czasy i ludzie).

61. Obrazy przyrody w „Panu Tadeuszu“.

(W skróceniu).

I. Stało się ogólnem w naszych czasach przekonaniem, iż każdy człowiek wyższego umysłu winien zwracać się do przyrody, w niej szukać podstawy dla pojęć swego rozumu i źródła natchnień swego serca. Pogląd ten określa rzeczywistą potrzebę nowoczesnego człowieka. Istotnie cywilizacya nieraz nadto oddala nas od przyrody, wytwarza dokoła nas sztuczne warunki, które powodują mniej lub więcej znaczne zboczenia od normalnego typu człowieczeństwa. Zwrot do przyrody odświeża uczucia, zatęchłe w dusznej atmosferze zawodowych zajęć, dostarcza realnych wrażeń umysłom nadto pochłoniętym przez abstrakcye, w ogóle przyczynia się do wytworzenia wewnętrznej harmonii i równowagi w duszy ludzkiej...

Stosunek Mickiewicza do przyrody wyróżnia się głównie prostotą, a zarazem głęboką i wszechstronną prawdą w odczuciu różnych jej zjawisk. Przedewszystkiem poeta nasz ma tę zaletę, iż pojmuje naturę naturalnie, zwraca się do niej szczerem i prostem sercem głęboko czującego człowieka, spogląda na nią jasnem okiem zdrowego rozumu i odczuwa ją niezmiernie czułym i wysoce rozwiniętym zmysłem poety-artysty.

Z takiego stosunku poety do przyrody wynika realistyczny sposób odtworzenia jej, harmonizujący doskonale z zasadniczym tonem całego poematu: jak charaktery ludzkie, stosunki życia, obyczaje, podobnie i objawy przyrody w *Panu Tadeuszu* odzwierciedlają się w istotnej prawdzie rzeczywistych swych cech i właściwości. A tak samo jak w innych sferach poematu, realizm Mickiewicza przejawia się tu nie w suchem, mechanicznem odbiciu, lecz w artystycznem, pełnem poezyi obrazowaniu.

Na czem polega poetyczność obrazów Mickiewicza?

Najpierwszym, zasadniczym warunkiem obrazowania poetyckiego jest plastyka i żywość zarysów; jest to wogóle główny warunek wszelkiej twórczości artystycznej. Chodzi o to, aby opis poetycki nie był zawarty w ogólnych określeniach, które działają tylko na rozum, lecz aby zdołał wywołać w wyobraźni żywy, konkretny całokształt obrazowy, zbliżony do realnego widzenia. Cel ten wtedy zostanie osiągnięty, gdy w danym opisie zawierać się będzie wiele charakterystycznych i wybitnych rysów, które, silnie uderzając wyobraźnię, wytworzą w niej pożądany obraz...

Rozważmy z tego stanowiska jeden z obrazów *Pana Tadeusza*. Weźmy plastycznie przedstawiony obraz wschodu słońca w ks. XI., choć skreślony tylko w zarysie zjawisk atmosferycznych. Rozpoczyna go krótki opis stanu niebios bezpośrednio przed świtaniem: czysty błękit firmamentu, kilka gwiazd świecących z głębi i jedna biała, samotnie ulatująca po niebie chmurka. Lecz oto rozpoczynają się stopniowe zmiany na sklepieniu niebieskiem. Ostatnie gwiazdy gasną; niebo, ciemne jeszcze na zachodniej stronie, rozjaśnia się coraz na wschodzie; pojawiają się żywe blaski zorzy porannej, samotna chmurka biała nagle rozjaśnia się

złotawą barwą; i wnet, niby na dnia hasło: »pęk ogniów wylata, tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata«. Wśród tych błysków świetlanych ukazuje się »oko dnia« — słońce, które, przechodząc przez cały szereg barw i natężeń światła, osiąga pełnię swego dziennego blasku.

Zobaczmy teraz plastyczność opisów Mickiewicza w krajobrazach. Wybieram dla przykładu opis kniei litewskiej na początku ks. IV-tej.

Poeta przedstawia tu siebie samego, jak, siedząc w dzikim ostępie, rozgląda się dokoła. Słusznie podniósł w tym obrazie Stanisław Witkiewicz[1]) stopniowanie w wyrazistości poszczególnych rysów, w miarę tego, jak odnoszą się do bliższych lub dalszych przedmiotów. W najbliższem otoczeniu widne są dokładnie drobne szczegóły: srebrzący się mech siwobrody, „zlany granatem czarnej zgniecionej jagody"; dalej nieco czerwieniejąwrzosiste pagórki, a na dalszym jeszcze planie dziki zamęt zwalonych kłód drzewnych i chaotyczna plątanina gałęzi, traw i roślin leśnych. Obok tych wrażeń wzrokowych mamy również wrażenia słuchu: różne odgłosy lasu. I tutaj to samo stopniowanie: w górze słychać szum wichru między gałęziami, a w głębi ostępu, wśród panującej w nim ciszy, dochodzi uszu lekkie stukakanie dzięcioła w drzewo. Cały obraz uzupełniony jest prześlicznym opisem wiewiórki »gajów tanecznicy« i jeszcze piękniejszą idyllą chłopca i dziewczyny, zbierających orzechy; kończy go wreszcie odgłos rogów myśliwskich, oznajmiający zbliżające się polowanie.

Ten ostatni obraz daje nam doskonały wzór innego jeszcze zasadniczego jej warunku, mianowicie: optycznego układu szczegółów.

Malarz, przedstawiając obraz na płótnie, musi go ująć z pewnego punktu widzenia i wszystkie jego szczegóły tak przedstawić, jak one się z tego punktu wydają. Poeta nie może przedstawić swego obrazu w liniach i barwach, ale za pomocą żywego opisu może wywołać go w naszej wyobraźni; atoli wtedy tylko ten skutek zdoła osiągnąć, gdy

---

[1]) W rozprawie: Mickiewicz jako kolorysta (Sztuka i krytyka u nas).

wszystkie szczegóły tak opisze, jakby one z pewnego przypuszczalnego punktu widzenia przedstawić się nam mogły: w przeciwnym bowiem wypadku w wyobraźni czytelnika nie powstanie żaden obraz, lecz tylko uprzytomni się jej pewna ilość niezłączonych organicznie zarysów. W opisie kniei widzieliśmy doskonałe ugrupowanie optyczne rysów szczegółowych; toż samo można zauważyć i w innych opisach, np. w przytoczonym poprzednio obrazie wschodu słońca: każdy z nich wzbudza w naszej wyobraźni całokształt obrazu o zarysach odpowiednio ustosunkowanych i odniesionych do określonego punktu widzenia. Atoli te obrazy poetyckie różnią się od malarskich nie tylko swym idealnym charakterem, ale także zmiennością kształtów. Poeta ma tę wyższość nad malarzem, iż może przedstawić swój obraz w ruchu, czyli wywołuje w wyobraźni cały szereg obrazów, przechodzących stopniowo jeden w drugi, przyczem jednak muszą one przedstawiać się tak, jakby mogły być widziane z pewnego przypuszczalnego stanowiska; w ten sposób istotnie rozwijają się przytoczone powyżej opisy zjawisk atmosferycznych w *Panu Tadeuszu*...

II. Obfitość trafnie dobranych rysów charakterystycznych i umiejętne ich połączenie — są to nader ważne warunki obrazowania poetyckiego, ale nie jedyne; również doniosłą rolę odgrywają tu przenośnie i porównania. Spełniają one potrójne zadanie w obrazach poezyi: naprzód nadają im więcej plastyki, a przez to żywiej uprzytomniają je naszej wyobraźni; następnie uwydatniają zawarte w nich pierwiastki piękna; wreszcie, rozszerzając zakres poetyckiego przedstawienia, pobudzają żywszą grę wyobraźni, a przez to potęgują ogólne wrażenie estetyczne. Bogaty zasób trafnych i pięknych przenośni jest najpewniejszą miarą geniuszu poetyckiego; przez nie głównie wyróżniają się najwięksi mistrze poezyi od miernych, a nawet wyższych talentów. Mickiewicz jak w każdym względzie, tak i w tym najpierwsze zajmuje miejsce między naszymi wieszczami: jego obrazy przyrody swą plastyczność i piękność zawdzięczają w znacznej części licznym i przepysznym przenośniom.

Ponowny rzut oka na rozpatrywany powyżej obraz wschodu słońca w ks. XI. dowodnie nas o tem przekona.

W tym ustępie przenośnie głównie mają na celu okazanie całej piękności i blasku wspaniałego zjawiska przyrody, a niektóre z nich same przez się stanowią przedziwnie piękne i pełne treści obrazki. Taką jest np. przenośnia, upodabniająca samotną, białą chmurkę, ulatującą po niebie, do niknących piór anioła stróża:

Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między wspólniebiany.

To skończony w sobie obrazek, który unosi naszą fantazyę daleko poza granice przyrody, w nadziemskie dziedziny wiary, a jednocześnie wzrusza głęboką swojską prostotą i wzniosłą ideą chrześcijańską.

Przepysznie również przedstawiona jest w tym samym opisie chwila ukazania się słońca:

Pierwszy jego promień
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce, jako złoty grot, zawisnął.

W ten sposób poeta uplastycznia nagłe rozjaśnienie samotnego obłoku na niebie: zjawisko bardzo zwykłe przy wschodzie słońca, uwydatnione w całej swej piękności przez powyższe porównanie. Jaskrawe blaski, towarzyszące pojawieniu się słońca, uplastycznione przez cały szereg porównań: pęki ogniów, tysiące krzyżujących się rac, krwawa barwa rubinu, żółta topazu, przeźroczystość kryształu i świetność brylantu; — wszystkie te porównania uprzytomniają nam żywo stopniowe wzmaganie się blasku słonecznego. Wreszcie ostatni wiersz opisu („Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce“) zarówno przez zawarty w nim obraz, jak i przez uroczysty spadek rytmiczny oddaje doskonale majestat wznoszącego się powoli słońca.

Również szczęśliwe i trafne zastosowanie przenośni i porównań poetyckich widzimy w licznych krajobrazach *Pana Tadeusza*. Weźmy np. krajobraz wieczorny w ks. VIII-mej. Spotykamy tu przykłady bogato rozwiniętych przenośni, uwydatniających znakomicie pierwiastki piękna w bardzo pospolitych nawet zjawiskach przyrodzonych. Zdawałoby się, iż w skrzeczeniu żab, w brzęku owadów, w krzykach ptaków nocnych, wreszcie w widoku dwóch błotnistych stawów i sączącej się przez pole strugi, niewiele

jest estetycznych żywiołów: a jednak jak cudny obraz wysnuła z tych motywów twórcza fantazya poety! Na czarodziejskie jej zaklęcie cała przyroda zdaje się osiągać nowe, osobiste, indywidualne życie, wieczorne odgłosy pól zamieniają się na wspaniały koncert, śpiewający odwieczną pieśń natury. Oto słychać akord muszek i półton fałszywy komarów, i skrzypcowe dźwięki derkacza, i głęboki bas bąków i bębenki bekasów: wszystko to zlewa się w finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy, stanowiący akompaniament podwójnego chóru żab, w którym odzywają się jakieś jęki głębokie lub krzyki żałosno-namiętne, wreszcie w dalszem rozwinięciu przenośni przytłumiony, cichy szept miłosny. I oto dwa sąsiednie stawy zamieniają się na parę kochanków:

...prawy staw miał wody
Gładkie i czyste, jako dziewicze jagody,
Lewy ciemniejszy nieco, jako twarz młodziana,
Smagława i już męskim puchem osypana.

Strugi, łączące oba stawy, są jako ręce „związane pospołu“, młyn klekocący między niemi, upodobniony do starego opiekuna, co podsłuchał miłosną kochanków rozmowę: „gniewa się, szamoce, trzęsie głową, rękami i groźby bełkoce“. Fantazya poety nie zatrzymuje się na tym obrazie; strumień, wypływający ze stawów, daje powód do nowych przenośni: wody jego, połyskujące w blasku światła miesięcznego, leją się srebrem i złotem z bezdennego dzbanka Świtezianki, a dalej, płynąc przez pole, przypominają wzorzystą łuskę węża żmudzkiego, wreszcie giną w krzakach olszyny, co na widnokręgu krańcach:

Wznoszą swe kształty lekkie, niewyraźne oku,
Jak duchy nawpół widne, na poły w obłoku.

Czyż potrzeba zwracać uwagę na całą piękność i niewymowny urok tych obrazów?...

W związku z przenośnem odtwarzaniem przyrody pozostają uosobienia jej poetyckie. Jest to upostaciowanie przenośne nie tylko zewnętrznej strony, lecz wewnętrznej istoty zjawisk przyrodzonych; wynika ono również z najgłębszych pokładów naszej natury psychicznej. Jest w nas dążność do przejęcia się wewnętrznem życiem przyrody,

uprzytomnienia go sobie w jak największej pełni; atoli wszelkie objawy życiowe możemy odczuć dokładnie w takiej tylko postaci, w jakich one w nas samych istnieją, t. j. w postaci świadomej i osobowej; dlatego ludy pierwotne, żyjące w bezpośredniej łączności z przyrodą, przeniknięte całkowicie jej życiem, pojmowały ją zawsze osobowo. Człowiek ucywilizowany, wyosabniając się z ogółu tworów przyrody, dzięki sile swego umysłu, może wprawdzie pojmować ją w oderwaniu od siebie, ale jeśli pragnie odczuć ją w całej swej wewnętrznej istocie, musi zespolić się z nią, czyli musi jej nadać swą osobowość. Owóż tak właśnie postępuje poeta, uosabiając zjawiska przyrodzone. Atoli jak we wszystkich objawach twórczości poetyckiej, tak i tutaj zasadniczym warunkiem jest prawda i naturalność; — uosobienie będzie prawdziwe i naturalne, gdy wyniknie z istotnego, realnego odczucia przyrody.

Mickiewicz posiadał dziecięco naiwną nieomal świeżość i żywość poczucia przyrody, a dzięki niezmiernie potężnej fantazyi twórczej, zdołał wszelkie wewnętrznie odczute jej objawy oddać na zewnątrz w niezmiernie jasnych i plastycznych kształtach, przemawiających do nas całą siłą wiekuistej prawdy natury i całą głębią wzbudzanych przez nią uczuć. Uosobienia Mickiewicza służą jedynie ku temu, aby nam uprzytomnić wewnętrzne życie przyrody, aby uczynić ją bliższą i bardziej swojską naszemu sercu, a co za tem idzie, szczerzej i głębiej umiłowaną. Ta zasadnicza właściwość obrazów Mickiewicza jaśniej się okaże w dalszym rozbiorze, za pomocą którego postaramy się głębiej wniknąć w treść ich wewnętrzną.

III. Dotąd zwracaliśmy przeważnie uwagę na artystyczne środki obrazowania Mickiewiczowskiego; z kolei należy nam teraz zbadać przejawiający się w niem stosunek poety do przyrody, oraz sposób pojmowania i odtwarzania rozlicznych jej objawów.

Pierwszym warunkiem poetyckiego odtwarzania jakichkolwiek przedmiotów i stosunków zewnętrznych jest uchwycenie ich rysów typowych. Przy pomocy podobnych rysów poeta przedstawia nam nie tylko powierzchowne i zmienne cechy swego przedmiotu, ale także głębokie i trwałe jego

właściwości; na tem polega głównie różnica między artystycznem odtworzeniem a fotograficznem odbiciem. Atoli typowość w obrazowaniu poetyckiem, podobnie jak w charakterystyce postaci zawiera się nie w ogólnych cechach, lecz w miejscowych: przez to tylko może ona osiągnąć plastyczną wyrazistość.

W obrazach natury *Pana Tadeusza* miejscowe cechy są tem bardziej nieodzowne, iż przenikają i charakteryzują całą jego osnowę. Zresztą Mickiewicz nie mógłby nawet odtworzyć innej jak tylko rodzimą przyrodę. Wierne jej odbicie, w całej swej charakterystycznej odrębności, stanowiło integralną część twórczego natchnienia poety; wiemy, jak głębokie i wyłączne żywił on uczucie dla natury litewskiej, uczucie, które pod wpływem tęsknoty do kraju posuwał aż do przesady, obojętnie zachowując się wobec najpiękniejszych krajobrazów Europy. To też w *Panu Tadeuszu* na każdym kroku uderza nas swojskość i miejscowa odrębność wszystkich opisów i obrazów przyrody. Zarysy ich są tak dalece miejscowe, iż odbijają z całą wiernością nie tylko charakter przyrodzony ojczystego kraju poety, ale nawet pewnej szczególnej okolicy, i to w bardzo szczupłych, zamkniętych granicach, mianowicie powiatu nowogródzkiego, rodzinnych stron Mickiewicza.

A pomimo tego ciasnego obrębu, odtworzona w *Panu Tadeuszu* przyroda, nie tylko że nie jest wyłącznie prowincyonalną, lecz ogólnie krajową, ale nadto posiada pewne cechy powszechne i wiekuiste. Zapewne, dla Polaka będzie ona zawsze najbliższą i najzrozumialszą, lecz niewątpliwie zrozumie ją i odczuje także obcy człowiek, jeśli tylko posiada prawdziwe i żywe dla natury uczucie. Bo natura w swej istotnej treści wszędzie jest jednaka, wszędzie ulega tym samym niezmiennym i odwiecznym prawom i z tych samych nieśmiertelnych i niezniszczalnych składa się żywiołów, tylko różne są kształty zewnętrznych jej objawów, różne w nich ustosunkowanie pierwiastków zasadniczych. Ale kto umie patrzeć w serce przyrody, kto zdoła wniknąć w jej życie wewnętrzne, ten pod nieskończoną rozmaitością kształtów odnajdzie jedność treści i w chaosie zmiennych szczegółów dojrzy trwałą harmonię całości.

Mickiewicz w przyrodzie nowogródzkiego powiatu odczuł tętno powszechnego jej życia. Twórca *Pana Tadeusza* należy też niewątpliwie do poetów, którzy najgłębiej wniknęli w duszę przyrody; on odtwarza ją nie tylko w prawdzie zewnętrznych kształtów, lecz również w prawdzie wewnętrznej istoty; w obrazach jego przyroda pojawia się, że tak powiem, z duszą i ciałem: posiada jasno określoną fizyognomię miejscową, a zarazem tętni pełnią powszechnego życia... W tem właśnie tkwi głęboka prawda realna obrazowania naszego poety.

Zaraz we wstępie do I-szej księgi kreśli poeta w nielicznych, ale nader typowych rysach piękny krajobraz litewski, wywołany w twórczej jego fantazyi siłą wspomnień, w których dźwięczy głębokie uczucie tęsknoty. Sam on mówi w apostrofie do Litwy:

piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Ale to osobiste uczucie poety nie zmienia wcale przedmiotowej prawdy obrazu. Zarysy pól litewskich nie ulegają żadnym przeobrażeniom ani upiększeniom poetyckim; proste epitety, jak: zielone łąki, leśne pagórki służą tylko do uprzytomnienia rzeczywistych, przedmiotowych rysów krajobrazu. Każdy człowiek, w jakimkolwiek nastroju podmiotowym będzie nań patrzał, ujrzy go tak, jak jest przedstawiony w poemacie: boć każdy, kto ma zdrowe oczy, dostrzeże i zieloność łąk i lesistość pagórków i grusze siedzące na miedzy i różne barwy zbóż, okrywających pola. Przytem cała fizyognomia obrazu posiada typowo-litewski charakter.

Atoli oprócz tej rzeczywistości jest tu jeszcze coś więcej. Od tych pagórków leśnych i łąk zielonych i pól malowanych zbożem rozmaitem wieje świeże tchnienie przyrody, tem żywiej nas pociągającej, iż tak jest swojska, tak dobrze nam znana; wrażenie to płynie nie tyle z samych zarysów obrazu, ile z przenikającego go nastroju poety, w którym przebija odczucie wewnętrznego życia przyrody w całej jego bujnej krasie i świeżości. Połączenie tego uczuciowego nastroju z niezrównaną plastyką opisową wytwa-

rza obraz pełen trzeźwego realizmu, a zarazem ożywiony głęboką poezyą, wiekuistą poezyą prawdy i natury.

Te same właściwości spotykamy i w innych krajobrazach Mickiewicza.

Weźmy pod uwagę krajobraz wieczorny w ks. VIII-mej. Rozważaliśmy go poprzednio ze względu na piękność i malowniczość jego przenośni: — obecnie zdajmy sobie sprawę z ogólnych wrażeń przezeń wywoływanych. Mamy tu te same pola i niwy, które poznaliśmy w pierwszym obrazie, ale ich kontury niejasno się zarysowują w pomroce nocnej, rozjaśnionej tylko bladem światłem księżyca. Ziemia i niebo zdają się zbliżać do siebie, gdzieniegdzie błyszczą ognie pastuszych noclegów, dwa stawy i strumień, płynący przez pole, jaśnieją w blasku miesięcznym, a na widnokręgu czernieją niewyraźne kształty zarośli. Przyroda, niewidzialna dla oka, tem silniej przemawia do słuchu tysiącznymi głosami wieczornej muzyki pól: stąd przedstawia się niejako bardziej uduchowioną: dźwięki bowiem z natury swej wydają się mniej materyalnymi, niż kształty. Przy ich pomocy wnikamy tu głębiej w bujne życie przyrody: w poprzednim obrazie daje się ono poznać pośrednio tylko w poczuciu świeżości, wiejącej od rozległej przestrzeni pól — tutaj przemawia do nas bezpośrednio w różnorodnych odgłosach świata zwierzęcego. Poeta odtwarza przyrodę nie tylko w estetycznych jej formach, lecz [illegible]e pełni jej objawów i sił żywotnych; dlatego nie gardzi najpospolitszymi jej tworami, drobne owady, rozliczne gatunki ptastwa wodnego, nawet, tak pogardzane zwykle dla swej brzydoty, żaby znajdują miejsce na jego obrazie. W ten sposób daje nam odczuć przyrodę we wszechstronnej pełni wszelkich jej żywiołów, uczy ją czcić i miłować w każdem najdrobniejszem żyjątku, w najpospolitszem zjawisku. Na tem polega niezmiernie doniosłe, wyjątkowe znaczenie w poezyi obrazów Mickiewicza. Każdy prawie myślący człowiek, a tem bardziej każdy poeta, umie wielbić przyrodę we wzniosłej potędze jej sił i w piękności jej kształtów, ale tylko niewiele wyższych umysłów zdołało tak wszechstronnie ją ogarnąć, iż wszelkie, najgłębiej na dnie jej leżące żywioły stały się dostępne dla ich myśli i uczucia...

Poznaliśmy poezyę pól litewskich, zarówno w pełnem oświetleniu dziennem, jak i w nocnej pomroce. Drugim zasadniczym motywem litewskich krajobrazów są lasy; dlatego też wielokrotnie spotykamy się z nimi w poemacie. W opisie ich poeta tem pełniej mógł rozwinąć siłę swej twórczej fantazyi, iż sam przedmiot zawierał w sobie wiele fantastycznych żywiołów: bogactwo i bujność form roślinnych, różnorodna gra światła i cieniów, szumy i szmery wśród gałęzi drzew, wreszcie ów tak osławiony przez romantyków niemieckich urok samotności leśnej: wszystko to są motywy, stanowiące naturalną poezyę lasu, która i na mało nawet wrażliwą naturę silnie musi oddziaływać.

Rozległe lasy do dziś dnia są, jak wiadomo, ozdobą wielu okolic Litwy; za czasów Mickiewicza było ich znacznie więcej. Poeta za młodzieńczych swych lat oglądał własnemi oczyma niedostępne puszcze i knieje, podziwiał ich bujną roślinność i wznoszące się wśród nich wspaniałe olbrzymy drzew. Na jego wrażliwą wyobraźnię widoki te silnie musiały oddziaływać i, jak wszystkie wrażenia młodzieńcze, niezatarte pozostawiły ślady, które stały się źródłem licznych i niezrównanie pięknych krajobrazów leśnych w *Panu Tadeuszu*. Jak zawsze Mickiewicz wierny jest ściśle prawdzie realnej: każdy, kto zna lasy litewskie lub wogóle obszerniejsze lasy w naszym północnym klimacie, dowodnie może się o tem przekonać...

Najwspanialsze krajobrazy leśne zawiera ks. IV-ta. Tutaj przenikamy stopniowo do wewnętrznych tajników puszczy. We wstępie, po hymnie na cześć drzew litewskich, wprowadza nas poeta do wnętrza ostępu leśnego i ukazuje wspaniałe choć dzikie jego piękności. Słusznie podniósł dr. Biegeleisen[1]) kontrasty zawarte w tym obrazie: dziką grozę zwalonych kłód, a pełne wdzięku opisy skaczącej wśród drzew wiewiórki i młodzieńczej pary zbierającej orzechy; dalej szum i łoskot wichru u góry, a głęboką ciszę we wnętrzu kniei. Kontrasty te potęgują żywość wrażenia; niewysłowiony urok poszczególnych motywów obrazu czyni go jednym z najpiękniejszych w poemacie; szczegól-

[1]) Pan Tadeusz, studyum estetyczno-literackie 1884.

nie kończąca go idylliczna scena jest niezrównana pod względem lekkości, wdzięku, a zarazem naturalnej prostoty boć owa urocza para zbieraczy orzechów to nie konwencyonalne figury dawnych sielanek, lecz zwyczajni wieśniacy litewscy, którzy tylko w danych warunkach otoczenia wydają się tak poetycznymi. Odgłos rogów, który spłoszył chłopca i dziewczynę, łączy ten wstępny obraz z głównym tematem ks. IV-tej — polowaniem.

W następującym obrazie wnętrza puszczy rozwinął Mickiewicz całą potęgę swej twórczej fantazyi i ożywił go wzniosłą poezyą wspaniałości i grozy przyrody. Wyobraźnia nasza, idąc w ślad za natchnieniem poety, przenika tu do samego jądra nieprzebytej gęstwiny. W tej wędrówce fantastycznej napotykamy coraz bardziej ponure, dzikie i groźne obrazy: bory, podszyte knieje, wał pniów, kłód korzeni, nieprzebyte trzęsawice, tysięczne strumienie, sieci zielsk zarosłych, rojące się mrowiska, gniazda os, szerszeni kłęby wężowisk. Wreszcie na zakończenie tych wszystkich okropności, najdzikszy i najbardziej ponury widok małych jezior, »w których woda plamista rdzą krwawą, z wnętrza dymi ciągle, zionąc woń plugawą«; a nad ich brzegami drzewa łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore

> Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
> Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Porównanie to podnosi jeszcze całą dzikość obrazu, a zarazem przenosi nas w fantastyczną dziedzinę baśni ludowej. Bo też tu kończy się już rzeczywistość, a baśń obejmuje panowanie: w niezgłębionych otchłaniach owych studni leśnych siedzą dyabły; a dalej poza mglistym obłokiem zasłaniającym wnętrze puszczy, ukrywa się przed wzrokiem ludzkim legendowa roślin i zwierząt stolica. Poeta, w tonie naiwnego podania, kreśli tu obraz pierwotnej, rajskiej szczęśliwości świata zwierzęcego, w którym symbolicznie wyraża się wiekuisty spokój i niewinność przyrody, w przeciwstawieniu do zamętu i zepsucia cywilizacyi ludzkiej.

Opis przepastnych krain puszczy stanowi zakończenie, a zarazem koronę wszystkich krajobrazów leśnych *Pana Tadeusza*. Jak widzieliśmy, zachowane w nich jest stopnio-

wanie wrażeń poetyckich, począwszy od czysto realistycznego opisu gaju i rosnących w nim grzybów aż do pełnych grozy tajników gęstwiny leśnej; wewnętrzne jej okropności, wciąż się potęgując, przechodzą w końcu w dziedzinę baśni, która nagle rozjaśnia mroczne głębie natury blaskiem rajskiej legendy. Tutaj poezya lasu osiąga swój punkt kulminacyjny: wzniosła pieśń, śpiewająca dziką i groźną wspaniałość puszczy, kończy się harmonijnym akordem legendowego ideału.

IV. Oprócz krajobrazów polnych i leśnych mamy w *Panu Tadeuszu* liczne opisy zjawisk atmosferycznych: niektóre z nich łączą się z krajobrazami, inne zawarte wyłącznie w sferach firmamentu niebieskiego. Najliczniejsze są opisy wschodu i zachodu słońca.

Nie bez racyi to zjawisko przyrodzone tak często powtarza się w poemacie; na litewskich i polskich równinach należy ono do najwspanialszych i najbardziej charakterystycznych, przedstawiając nieskończoną rozmaitość gry światła i nieprzebrane bogactwo barw. Pod tym względem północne i równe krajobrazy przewyższają południowe i górskie, które nigdy nie mogą posiadać ani tak pełnego widoku ukazującej się lub ginącej kuli słonecznej, ani tak żywych blasków zorzy porannej i wieczornej. Wrażliwa natura Mickiewicza żywo odczuła urok tych pięknych zjawisk przyrody rodzimej, a jego geniusz twórczy nadał im plastyczny i typowy wyraz w poezyi. Każdy z tych obrazów posiada właściwe sobie piękności i wyróżnia się odrębnym tonem i nastrojem.

Wszelako nie wszystkie zjawiska atmosferyczne w *Panu Tadeuszu* są tak promienne i świetliste; bo w krainie północnej niebiosa nie zawsze uśmiechają się blaskiem błękitów i jasnością dnia słonecznego; nierównie częściej pokryte są posępnym całunem chmur lub szarą, melancholijną zasłoną mgły. Wierny niezachwianie rzeczywistości poeta, nie pominął tej drugiej, mniej efektownej, strony swej rodzimej przyrody i odtworzył ją z jednakiem zamiłowaniem i z jednaką prawdą.

Różnego kształtu chmury i obłoki często się pojawiają w obrazach Mickiewicza, podobnie jak w rzeczywistości na-

szej przyrody. W ks. III-ciej mamy ich opis, włożony w usta Tadeusza. Jest tu chmura jesienna, co »pełznie jak żółw leniwa», spuszczając długie deszczu smugi, i pędząca z szumem groźna chmura gradowa i drobne obłoczki, rozprószone po niebie, które, łącząc się i skupiając, tworzą rozmaite i dziwne kształty. Owe małe, porozrywane obłoki stanowią bardzo zwykłe zjawisko w naszym klimacie; to też w *Panu Tadeuszu* najczęściej się pojawiają. Widzimy je przy zachodzie słońca w ks. XII. w postaci drobnych świecących obłoczków, wróżących pogodę. Przeciwnie przy wschodzie w ks. IX-tej są to gęste, poszarpane chmury, »jak bryły lodu«, pędzone wiatrem i prószące zimnym deszczem. Naprzód rozprószone, przelatując jedna za drugą po niebie, coraz gęstnieją, gromadzą się i łączą w jedną olbrzymią chmurę, która zalega całe sklepienie niebieskie i niesie w sobie burzę z brzemieniem wichrów, piorunów i ulewy.

Burza ta przedstawiona jest w całej swej wspaniałości i grozie na początku ks. X-tej. Jest to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych obrazów w *Panu Tadeuszu*, a być może, iż ze względu na niezmiernie pełne rozwinięcie i niezrównaną typowość wszystkich szczegółów, należałoby naczelne przyznać mu miejsce. Mamy tu burzę we wszystkich głównych jej rysach, począwszy od gromadzenia się i wzrostu chmur aż do wyczerpania się ich w potężnej ulewie. W pośrednich momentach widzimy stopniowy jej rozwój w różnorodnych objawach, wywołanych w całej przyrodzie: poeta ukazuje nam stan nieba, ziemi i powietrza, skutki i wrażenia zarówno w świecie roślinnym jak zwierzęcym, grę światła i cieni, wycie, ryk i świst wichrów, unoszone przez nie tumany kurzawy, liści, gałęzi i traw, wreszcie grzmoty, błyskawice, pioruny z nieustannym szumem ulewy, wśród gęstej, nieprzeniknionej ciemności. Dodajmy, iż wszystkie te objawy szalejących żywiołów oddane są przez odpowiednie brzmienia i rytmiczne spadki wiersza, uplastycznione przez liczne i wspaniałe przenośnie, ożywione bogatemi i świetnie rozwiniętemi uosobieniami...

Rozpatrzone powyżej opisy zjawisk atmosferycznych uzupełnione są licznymi drobnymi rysami, rozrzuconymi

po całej osnowie poematu, które, łącznie z większymi obrazami, uprzytomniają nam wszystkie prawie ważniejsze momenta stanu pogody w naszym klimacie, w porze letniej, a częściowo i wiosennej. Mamy w *Panu Tadeuszu* świeżość poranku i skwar południa, zmierzch wieczoru i cichą zadumę nocy księżycowej, palącą atmosferę lata i świeży powiew wiosny; najpiękniejszą pogodę, promieniejącą blaskiem słonecznym, i dziką walkę żywiołów lub posępny nastrój dnia pochmurnego. Słońce w najrozmaitszych swych postaciach, księżyc, gwiazdy, chmury, obłoki, mgła, nawet ognista kometa przesuwają się kolejno nad horyzontem Soplicowa. Jednem słowem, poeta przedstawia zjawiska atmosfery naszego kraju w całej charakterystycznej ich pełni i rozmaitości, uwydatniając zawarte w nich typowe i estetyczne rysy przyrody. Artystycznie wszystkie te obrazy zespolone są z główną osnową poematu przez to, iż zawsze prawie rozwijają się równolegle do jej przebiegu i na jeden ton z nią są nastrojone.

I tak w ks. I-szej, w której, jak to sam tytuł wskazuje, główną rzeczą są obrazki życia gospodarsko-domowego, i zachód słońca ujęty jest z tego punktu widzenia: czerwoność jego porównana ze zdrowem obliczem gospodarza, co po pracy na spoczynek powraca, jego blask ognisty, nad lasem z pożarem na dachu; dalej nieco słońce nazwane »robotnikiem Bożym« i wreszcie stopniowe obniżanie się tarczy słonecznej ściśle złączone jest z ruchem w świecie gospodarskim. Wschód i zachód w dwóch ostatnich księgach, przedstawione w jasnych i wesołych barwach, odpowiadają ogólnemu nastrojowi akcyi, pełnej radości i wesela; przytem przypadają one na początek i koniec tego samego dnia kwietniowego, w którym rozwija się akcya obu ostatnich ksiąg, przez to ujmują ją niejako w naturalne ramy czasu. — Posępny i mglisty wschód na początku ks. VI-tej pozostaje w harmonii z ogólnem usposobieniem w Soplicowie, w którem wszyscy wstali nieradzi i smutni po kłótni dnia poprzedniego. Krwawy wschód słońca w ks. IX-tej zapowiada bitwę, burza zaś stanowi niejako jej dopełnienie. Wogóle stan nieba jest jakby sympatycznie związany z rozwojem akcyi. W pierwszych księ-

gach pogoda na niebie odpowiada pogodnemu nastrojowi wśród ludzi; następnie niebo zachmurza się, gdy stosunki ludzkie ulegają zamąceniu, wybucha walką żywiołów, zlewającą się w jeden akord z walką, stoczoną na ziemi, wreszcie w ostatnich dwóch księgach wypogadza się znowu, gdy wśród ludzi powróciła ponownie niezmącona pogoda; ale jego światła i barwy świetniejsze są teraz, bardziej wyidealizowane i eteryczne, jak i nastrój życia ludzkiego na wyższy, podnioślejszy ton się podnosi.

Nie mniej od zjawisk atmosferycznych urozmaicone są, jak widzieliśmy, krajobrazy *Pana Tadeusza.* Ukazują się w nich pola i lasy w różnych porach dnia i nocy, w różnem oświetleniu, liczne gatunki zwierząt i roślin, w rozmaitym stanie i nastroju, pod odmiennymi wpływami pogody i stanu atmosfery. Kształty i zarysy przyrody, jej rozliczne odgłosy i dźwięki, barwy i wonie — wszystko to zlewa się w niezmiernie pełny i wszechstronny obraz, dający nam wierne wyobrażenie natury litewskiej w jej najbardziej typowych rysach.

Ogólnie biorąc wszystkie obrazy w *Panu Tadeuszu*, tak zjawisk niebieskich jak i ziemskich, złączone są w jeden wspaniały obraz przyrody litewsko-polskiej, odtworzonej z całą swą rozmaitością, w rysach pełnych plastyki i typowej prawdy: cały zaś ten obraz życia przyrody łączy się logicznie i artystycznie z życiem ludzkiem, które w różnych charakterystycznych swych objawach rozwija się wspaniale na pięknem i różnobarwnem tle jego.

Cechy stosunków i charakterów ludzkich, zarysowane w *Panu Tadeuszu,* dzisiaj należą już do przeszłości, żyją jedynie w świecie wspomnień; ale rysy przyrody rodzimej zawsze jeszcze są istniejącą rzeczywistością: — bo przyroda, nie ulegając zmiennym kolejom rzeczy ludzkich, wiecznie jest niezmienna, młoda i świeża i tym samym głosem przemawia do nas, którym niegdyś przemawiała do naszych ojców.

Walery Gostomski
(Arcydzieło poezyi polskiej, rozdz. V.).

62. Melodya mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy błękitną.

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie.
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą,
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

---

63. Śpiew i muzyka w domu Mickiewicza.

W pamiętniku Maryi Góreckiej, z którego powyżej dłuższy przytoczyliśmy ustęp, znajdujemy także wzmiankę o zamiłowaniu, jakie Mickiewicz miał do muzyki, i o pieśniach ludowych, które sam w kole rodzinnem nucił.

W Lozannie — opowiada córka poety — kiedyśmy byli sami, o zmroku, mama zasiadała do fortepianu, a ojciec uczył mnie śpiewać: »*Wanda leży w naszej ziemi*«, »*Poleciała przepióreczka w proso*«, »*Nasza dziewczyna robocza była, wziąwszy kądziołkę, po wsi chodziła*«, i bardzo mu ulubioną piosenkę: »*Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój*«. — Często też ojciec nucił mi smętną piosenkę: »*Idzie żołnierz borem, lasem, przymierając z głodu czasem*«, ale ta zawsze mnie wprawiała w wielki smutek. Ponieważ mowa tam była o bracie i siostrze, wyobrażałam

sobie zaraz Władzia żołnierzem i konika, powracającego do mnie po jego śmierci: nigdy nie mogłam dosłuchać do końca żałosnej tej śpiewki. Raz Bohdan Zaleski przyjechał do Lozanny i coś mówiono wieczorem o poezyi; ja, siedząc na ziemi, przysłuchiwałam się niby rozmowie, lecz w istocie nic nie rozumiałam. Wtem ojciec nucić zaczął: »*Idzie żołnierz borem, lasem...*« Nim doszedł do końca, rozbeczałam się rzewnie i zaczęłam zanosić się od płaczu.

— Otóż widzisz — rzekł ojciec do przyjaciela — jak silnie działa poezya ludowa.

Ale od tej pory piosnki tej już mi nie śpiewał.

Pamiętam też, że ojciec mój, który z ogromnych okien salonu często z upodobaniem przypatrywał się szalejącej na jeziorze burzy, lubił czasem, aby mu wówczas grano. Bawił przez jakiś czas w Lozannie znany gitarzysta Szczepanowski i często u nas bywał. Ojciec rad słuchał jego muzyki i szczególniej lubił burzliwą hiszpańską *cachuchę*[1]), którą ja z małemi Jundziłłami nibyto tańcowałam. Otóż raz ta *cachucha* odbyła się z towarzyszeniem wichru i grzmotów. Stąd i ja nauczyłam się nie lękać burzy i podziwiać piękność błyskawic, rozdzierających chmury...

W Paryżu dom nasz na *rue d' Amsterdam* był utrzymany na stopie skromnej, ale wygodnej; gości bywało dużo i często wieczorem zbierano się na herbatę. Jak się wówczas bawiono, nie wiem, bo o wpół do dziewiątej przychodziła po mnie bona i pomimo żalów i gniewów pakowała mię do łóżeczka, gdzie tak smutno było zasypiać przy szmerze rozmów, dźwięku muzyki i brzęku filiżanek w salonie. Raz jednak ojciec zatrzymał mnie i pokazał jakiegoś pana w białych rękawiczkach, który siadał do fortepianu. W około słyszałam, jak powtarzano imię Chopina. Grał długo, wszyscy byli zachwyceni, ale dla mnie, ze wstydem to wyznaję, niezrozumiałą była ta muzyka...

Ojciec muzykę tak lubił, że sam nawet parę rzeczy ułożył, n. p. do wiersza Horacego i do piosnki ludowej: »*Szedł szlachcic do piekła gościńcem bitym*« — choć sam

[1]) Czyt. Kaczucza. Jest to taniec hiszpański z kastanietami (rodzajem grzechotek drewnianych, przy tańcu używanych).

nie grywał wcale, a śpiewem nie można było nazywać tego, co sobie czasem półgłosem nucił. Lubił też bardzo, aby mu śpiewano chór Aniołów z Dziadów cz. III. (sc. 4.):

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy,
Braciszka miłego sen rozweselmy,
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Oczami, gwiazdami twarz mu oświećmy,
Śpiewając i grając latajmy wiankiem
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

Chór ten ojciec układał na nutę Haydna do angielskiego hymnu narodowego.

Ulubionymi ojca autorami byli Haydn, Beethoven, a szczególniej Mozart, którego »Don Juana« i »Flet czarodziejski« nad wszystko przekładał; szkołę włoską mniej cenił. Za czasów profesury w *Collège de France,* kiedy miał przygotowywać prelekcyę, najczęściej w wigilię wieczorem przechadzał się po salonie, a mama grywała mu Mozarta godzinami całemi. Notat nie robił nigdy żadnych i nazajutrz rano wychodził z prelekcyą gotową. Muzyka klasyczna zawsze mi przypomina zachwycenie, z którem ojciec ulubionych swoich autorów słuchał, i niektóre utwory wielkich mistrzów, zarówno z piosnkami niańki, wykołysały dziecinne nasze lata.

Marya z Mickiewiczów Górecka
(Wspomnienia o Ad. Mickiewiczu).

---

64. Cześć Mickiewicza dla Najśw. Panny.

Cześć dla Najśw. Panny nie jest wyłączną cechą katolicyzmu polskiego ani nawet katolicyzmu wogóle, bo i w kościele wschodnim ważną odgrywa rolę; nie da się jednak zaprzeczyć, że w Polsce ten kult przybrał pewne cechy odrębne, narodowe, że przyniesiony z zachodu, znalazł w charakterze narodowym podatny grunt dla siebie, a w nieszczęśliwych kolejach dziejowych silną podnietę. Najstarszą z dochowanych pieśni polskich jest »Bogarodzica«, a fakt, że pieśń tę śpiewało rycerstwo polskie przed bitwą i że umieszczano ją na czele statutów, polecając

w ten sposób opiece Bogarodzicy w pierwszym razie powodzenie orężów, w drugim porządek społeczny — otóż fakt ten zdaje się być wyraźną wskazówką odrębnego charakteru czci dla Najśw. Panny w Polsce. Nie tylko losy jednostek, ale losy całego narodu poruczano Jej opiece, a kiedy nadeszła chwila, w której wśród buntów domowych, pod silnymi ciosami z zewnątrz, zaczynały pękać sklepienia Rzeczypospolitej i zdawało się, że w gruzy runie wielka budowa państwa: — wówczas, w powszechnym pogromie, tylko wiara w cudowną pomoc Opiekunki pozostała niezachwianą opoką i z Jasnej Góry, opromienionej cudowną opieką Najśw. Panny, błysnął pierwszy promień ratunku, wyszło ówczesne ocalenie narodu.

I dokonał się wówczas akt jedyny w swoim rodzaju i bardzo charakterystyczny: królowę niebios ogłoszono królową Polski. Naród, przywykły do szafowania koroną królestwa swojego i z powodu tego szafowania narażony na wojny zewnętrzne i zatargi domowe, zapragnął ofiarować najdroższy klejnot, jakim rozporządzał, i ofiarował go rękami swego króla Tej, która się zmiłowała nad nim, nad narodem i w chwili groźnego niebezpieczeństwa wzięła go pod swój płaszcz cudowny i ocaliła. Znaczyło to: tylko Ty godna jesteś panować nad nami, boś tylko Ty nas nie opuściła i zdolna była nas obronić. Mogło to znaczyć także: tylko Ty potrafisz panować w Polsce, gdzie najlepsze zamiary królów rozbić się mogą o *liberum veto* jednego śmiałka. Naród, trwożny o to, aby go ziemscy królowie nie pozbawili złotej wolności i nie narzucili mu *absolutum dominium*, nie lękał się tego ze strony macierzyńskich rządów królowej Niebios. Właśnie takie rządy szły w najlepszej zgodzie z zasadą idealnej jednomyślności: wszakże matka, kochająca wszystkie dzieci swoje, żadnego z nich nie zechce zasmucić i stara się wszystkim dogodzić.

Ale z ofiarowaniem korony polskiej Najśw. Pannie wiązała się jeszcze myśl inna, głęboka i zbawcza, że klęski, które spadły na Polskę, były karą za jej grzechy, że przyczyn ich trzeba szukać w samym narodzie. Głosy Skargi i Starowolskiego o ucisku kmiotków nie przebrzmiały bez echa, a udział ludu wiejskiego w obronie od najezdców-

heretyków dawał wiele do myślenia, wskazując, ile to siły spoczywa w tej warstwie drzemiącej. Królowa Niebios miałażby być królową wielmożnych i herbownych? Zgodziłażby się nosić koronę polską Ta, która słynie jako orędowniczka uciśnionych, gdyby w Polsce miały być nadal warstwy uciśnione, gdyby kmiotkowie mieli nadal być »jako ziarno pod kamieniem młyńskim?« Królom elekcyjnym dawano do zaprzysiężenia *pacta conventa;* z królową Niebios, która nie ubiegała się o koronę polską, musiało być inaczej: ona mogła żądać od narodu zaprzysiężenia paktów, zanimby zechciała królować nad Polską. I oto Jan Kazimierz, który przy swej naturze pełnej sprzeczności miewał blaski dziwnych jasnowidzeń, w imieniu narodu w kościele lwowskim składa swoje śluby, które mają obowiązywać naród szlachecki pod rządami królowej nie z tego świata.

Ślubów nie dotrzymano, a nawet zapomniano o nich, ale w Najśw. Pannie widziano królowę polską i w Jej pomoc wierzono święcie. Częstochowa, stolica tej królowej, stała się siedliskiem cudów. Ufność w jej pomoc zasilała odwagę konfederatów barskich, którzy chcieli być u »Chrystusa na ordynansach« i nazywali siebie »sługami Maryi«. Królowa, której paktów nie dotrzymano, tym razem poddanych swoich nie obroniła; nastąpiły katastrofy polityczne, jedna po drugiej, wreszcie zniknęło państwo polskie z karty Europy. W ostatnich chwilach już się nawet nie zwracano do Niej o pomoc: filozoficzny duch wieku rozwiewał dawny urok Jej imienia. Niebawem na niebie, zaróżowionem łuną rewolucyi francuskiej, miała zejść inna gwiazda, do której miały zwrócić się wszystkie nadzieje Polaków.

Ale choć gmach państwa polskiego runął i ostatniemu z królów kazano zdjąć z czoła koronę, która od dawna już była błyskotką bez znaczenia: królowej polskiej, z niebios królującej nikt się nie ośmielił detronizować, bo też i niełatwo było sięgnąć ręką po Jej koronę. Pozostała tedy Najśw. Panna królową nad tą idealną Polską od morza do morza, którą nosili Polacy w piersiach swoich, straciwszy ją pod nogami.

I to jest jedno źródło tej szczególnej czci dla Bogarodzicy, jaka się w poezyi Mickiewicza przebija. On, wieszcz

narodowy, który tę idealną Polskę nosił w duszy piękniejszą, niż każdy zwykły śmiertelnik, bo »umalowaną promieni tysiącem« poetycznej wyobraźni, nie mógł nie czuć, ile było poezyi w tem królowaniu z niebios nad sierocym narodem.

Było inne jeszcze źródło, któreby można nazwać osobistem lub rodzinnem. Matka poety poleciła go, gdy był dzieckiem, w chwili, gdy życiu jego groziło niebezpieczeństwo, opiece Najśw. Panny i dziecko cudownie wróciło do zdrowia. Uwiecznił tę chwilę poeta w »Panu Tadeuszu«:

Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu)...

W Nowogródku, podobnie jak na Jasnej Górze i w Ostrej Bramie, był cudowny, choć nie tak sławny, obraz Najśw. Panny, »co gród zamkowy nowogródzki ochrania z jego wiernym ludem«. Jak w chwili ocalenia, tak i nieraz potem musiała matka z dziećmi klęczeć przed tym obrazem, a z jej oczu wzniesionych, westchnień głębokich i szeptu ust pobożnych płynęła ku sercu przyszłego poety fala harmonii religijnej, obejmowała je, kołysała słodko i kojarzyła się z wyobrażeniem łaskawego oblicza piastunki Bożego dziecięcia... I obraz dzieci, odmawiających litanię do Najśw. Panny w balladzie »Powrót taty«, jest zapewne odwzorowaniem wspólnych modłów rodzeństwa poety w chwilach jakiejś trwogi lub zmartwienia. Te uroczyste wrażenia legły niezatartem wspomnieniem w sercu poety, który tak doskonale przechował w pamięci »święty i czysty« »kraj lat dziecinnych«, i one to były w duszy Mickiewicza źródłem czci dla Najśw. Panny, niewątpliwie jeszcze żywszem od pierwszego. Wychowanie w szkole nowogródzkiej, gdzie nauczycielami byli zakonnicy, niczem tej czci podkopać i osłabić nie mogło.

Wiózł ją tedy siedmnastoletni młodzieniec z Nowogródka do Wilna zapewne całą i nietkniętą, a niejako symbolicznym jej wyrazem, a także symbolem tej opieki, której matka poety polecała syna, w wielki i nowy świat ja-

dącego, był ów dukat z wizerunkiem Matki Boskiej, który wraz z kilku innymi dała mu na drogę, jako wszystko, na co zdobyć się mogła. Dała też synowi polecenie, aby zaraz po przybyciu do Wilna udał się do cudownego obrazu Najśw. Panny, co w »Ostrej świeci Bramie«, i prosił o protekcyę niebieską, zanim się do ludzkiej będzie musiał odwołać...

I nad światem, w »Panu Tadeuszu« skreślonym, unosi się cześć dla Najśw. Panny, i tu poeta znalazł sposobność złożenia Jej hołdu. Już we wstępnej inwokacyi poszedł on za przykładem dwu poetów katolickich: Tassa, którego »Jerozolimę wyzwoloną« studyował jeszcze kilkunastoletnim młodzieńcem, i Wespazyana Kochowskiego[1]): za muzę obrał sobie Najśw. Pannę i wezwał Jej pomocy na czele poematu. Ale nie sam przykład tych poprzedników zachęcał go do tej inwokacyi: pobudzał go do tego, zwracał w tę stronę i sam materyał wrażeń i wspomnień, z których miał zbudować wielką epopeję. Cały ten materyał pochodził z owego szczęśliwego »kraju lat dziecinnych«, o którym z taką rozkoszą w poetycznej przedmowie wspomina twórca »Pana Tadeusza«. Fala wspomnień z dzieciństwa, która go wówczas ogarnęła, przynosząc mu barwy, wonie i szumy łąk, pól i lasów litewskich, przynosiła na skrzydłach swoich i echa błogiej dziecinnej czci dla Najśw. Panny, wspomnienia wspólnych modłów rodzinnych przed Jej obrazem, cudownych łask Jej dla pobożnych. Jedno z drugiem wiązało się, łączyło, przenikało wzajemnie.

Bo i o jakąż to pomoc prosił poeta królowę natchnień pobożnych? Co miało być przedmiotem jego natchnienia w chwili, gdy rozpoczynał poemat i stawiał wezwanie do Najśw. Panny? Przedmiot był bardzo różny od tych, które mieli opiewać Tasso i Kochowski, a stąd i pomoc była zupełnie inna. Jeden miał śpiewać »wojnę pobożną i hetmana, który święty grób Pański wyswobodził«, drugi chciał »ojczystym rymem wspomnieć« — »mężnego króla wiekopomne dzieła«, sławny pogrom niewiernych pod Wiedniem. Mickiewicz nic podobnego nie miał na myśli, nie tylko żad-

[1]) Twórcy »Dzieła boskiego albo pieśni Wiednia wybawionego«.

nej »pobożnej wojny«, ale i żadnej wogóle, bo, jak wiadomo, w pierwotnym planie, z którym przystępował do pisania, nie miał jeszcze zamiaru roztaczać tła napoleońskich wojen. Chciał on wyśpiewać tylko to, co mu zostało w głowie i sercu z czasów dzieciństwa, z całą niezrównaną świeżością barw, wypukłością kształtów i urokiem, płynącym z tęsknoty: litewską przyrodę i litewski obyczaj. Chciał jednem słowem wyśpiewać Litwę taką, jaka się na widnokręgu jego życia dziecinnego dokoła roztaczała. Mamże przytaczać wiersze, które wszyscy umiemy na pamięć?

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Przytoczyłem, aby się zastanowić nad tem, co poeta rozumiał przez piękność Litwy. Niewątpliwie obyczaj litewski był mu drogi: ileż tam widział rzeczy pięknych, ile cnót patryarchalnych, których brak tak go raził na Zachodzie, we Francyi. Ale myślę, że piękniejszą od obyczaju wydawała mu się przyroda litewska. Dowód znajduję nie tylko w szczególnej tęsknocie do niej, której tak liczne ślady mieszczą się w korespondencyi poety i w różnych wspomnieniach o nim, ale przedewszystkiem w samym »Panu Tadeuszu«. Na obyczaj spogląda poeta *najczęściej* z miłym uśmiechem, ale z uśmiechem pobłażania; na przyrodę *zawsze* z uwielbieniem. Obrazy przyrody, mówiąc stylem samego Mickiewicza, są *o jakie pół tonu wyżej nastrojone*. To też sądzę, że ta »piękność w całej ozdobie«, którą chciał opisać, to jest przedewszystkiem piękność przyrody ojczystej.

I teraz dopiero możemy zrozumieć dokładnie, o jaką to pomoc prosił poeta Najśw. Panny. Wyraziwszy ufność, że jak mu niegdyś, gdy był dzieckiem, cudownie ocaliła życie, tak go kiedyś cudem powróci na Ojczyzny łono[1]), prosił następnie:

[1]) W pierwotnym tekście zamiast: »Tak n a s powrócisz cudem na Ojczyzny łono«, było: Ty m i ę i t. d.

Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Ludzi w tym obrazie nie widać, tylko przyrodę. Prawda, że jest to przyroda przeważnie uprawna, zbliżona do człowieka, świadcząca o jego pracy, ale tylko przyroda. Poeta nie wzywa Najśw. Panny, aby jego duszę utęsknioną przenosiła pod strzechy dworów szlacheckich, tylko do lasów, łąk i pól litewskich. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, dlaczego tak robi, i skłonny jestem wierzyć, że działał instynktownie, ale ten instynkt twórczy jakże był rozumny! Wzywać Przeczystą Dziewicę, aby pomagała opiewać grzybobranie i łowy, procesy i zajazdy, Maćków i Bartków z całym ich animuszem zaściankowym i t. p. — nie byłożby to dopuszczać się pewnej profanacyi? Ale wzywać Najśw. Pannę, aby mu pomagała opiewać piękność przyrody, która jest jakby bezpośrednim odblaskiem piękności Bożej i jakby odzwierciedleniem piękności, czystości i niewinności dziewiczej — jakież to harmonijne połączenie pojęć!...

Tak więc poeta, czy to świadomie czy też pewniej cudownym instynktem wiedziony, nie wzywał Przeczystej Dziewicy, aby mu pomagała opiewać obyczaj ojczysty, drogi wprawdzie jego sercu, na który jednak spoglądał z pewnej wysokości, który oblewał światłem swego humoru — ale wzywał ją tylko, aby mu zsyłała natchnienie do opiewania tego, co było prawdziwie godnym Jej tematem i co też opiewając, podnosił nastrój utworu co najmniej o pół tonu wyżej...

A kiedy już powieść szlachecka miała się ku końcowi, kiedy już wielkich ksiąg dziesięć leżało napisanych: — pozostawało zakończenie, w którem poeta miał rozwiązać wszystkie węzły fabuły i jako tło pokazać wejście legionów na Litwę, »piękną marę senną«, którą nosił w pamięci,

a która zamknęła złote czasy jego dzieciństwa. Więc miały być zaręczyny Zosi z Tadeuszem, jako ostateczne rozwiązanie sporu Horeszków z Soplicami, a jakby dla towarzystwa im zaręczyny dwu par innych; miał być akt rehabilitacyi Jacka Soplicy, ciągle jeszcze i po śmierci zakrytego dla współpowietników kapturem mnicha; miał być wreszcie obraz radości patryotycznej Litwinów na widok wkraczających wojsk polskich.

Oglądając swoją budowę przed jej uwieńczeniem, poeta mógł czuć zadowolenie, że poemat jego przerósł znacznie rozmiary, zakreślone mu pierwotnym planem. Sam przyznawał (już po napisaniu całości), że widział w swojem dziele »wiele dobrego«, a za najlepsze uznawał z natury kreślone obrazki naszego kraju i naszych obyczajów domowych. Ale widział w swem dziele i »marności«. Teraz przed zakończeniem poematu miał możność jeszcze w ostatnich dwu pieśniach zaokrąglić, uzupełnić to, co mu się niepełnem wydawało, dostroić, co było niedostrojone. Zrobił to w rozmaity sposób i w rozmaitych kierunkach; ale nas tu obchodzi tylko cześć poety dla Najśw. Panny...

Wiemy z listów współczesnych poety do Kajsiewicza i Odyńca, że wtedy zaczynał w nim znowu górować nastrój religijny. Ale i bez tego nastroju mógł poeta, oglądając wyprowadzoną już pod dach budowę, przypomnieć sobie, czyjej wzywał pomocy przy kładzeniu fundamentów, i wdzięcznem spojrzeć okiem na swoją dawczynię natchnienia. I mógł zapytać siebie, czy poemat był godnym wezwania, czy był godną zapłatą za udzielenie natchnienia; czy nie należało okazać szczególnej wdzięczności dla Tej, która tak łaskawie spełniła jego życzenia i tak cudownie przenosiła jego duszę utęsknioną pod ojczyste niebo, do lasów, pól i łąk litewskich. Całe szeregi uroczych obrazów ojczystego nieba i ziemi świadczyły o Jej łasce, ale nie świadczyły wyraźnie o wdzięczności poety.

Czy takie były rozmyślania poety w czasie, o którym mowa, zaręczyć trudno; ale faktem jest, że poeta postanowił w zakończeniu swego poematu, w ostatnich dwu pieśniach uczcić Najśw. Pannę w szczególny sposób. Tem uczczeniem jest wprowadzenie do powieści Jej święta, obrazu

cudnej pogody i uroczystego nabożeństwa w ten dzień świąteczny...

Do jakiej pory roku odnieść to święto? Kiedyżto się odbyły zaręczyny Tadeusza i Zosi, poprzedzone owym promienistym rankiem, który poeta tak pięknie odmalował?

Zdawałoby się, że poeta chce być bardzo dokładnym w oznaczeniu tego czasu: dzień ten nazywa »*uroczystym* dniem Najśw. Panny Kwietnej«; dowiadujemy się, że w dniu tym wieśniaczki »na ołtarz Matki Zbawiciela — niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela«. Obraz dnia tego uroczystego poprzedzony jest ogólnym obrazem wiosny 1812. roku. Ale takiego święta Najśw. Panny niema ani w kwietniu ani w maju ani w czerwcu, co gorsza, niema w całym kalendarzu święta Matki Boskiej pod tą nazwą. Jest jedno święto, do którego w zupełności odnosić się może obraz nabożeństwa, przedstawiony w »Panu Tadeuszu«, kiedy lud przynosi zioła do święcenia; ale to święto przypada na dzień 15. sierpnia, a ma nazwę ludową Matki Boskiej Zielnej: jest to Wniebowzięcie Maryi Panny.

Nie wiemy tedy, co myśleć o porze roku, do której się odnosi najwspanialszy wschód słońca w »Panu Tadeuszu«, do której odnoszą się całe ostatnie dwie księgi.

Ale jeżeli kalendarz nie mógł nam objaśnić intencyi autora, może je objaśni historya. Otóż wiemy, że Francuzi przeszli Niemen pod Kownem dnia 24. czerwca, a król westfalski Hieronim stanął w Grodnie 30. czerwca, w Nowogródku 10. lipca. Nie podobna wątpić, że poeta tę porę roku, koniec wiosny i początek lata, miał w wyobraźni, gdy kreślił obrazy dwu ostatnich ksiąg »Pana Tadeusza«. I z tą porą zgadzają się dobrze wszystkie drobne wskazówki, rozsiane w ostatnich dwu księgach — tylko niestety! nie zgadza się uroczystość Najśw. Panny, jej nazwa i obrzędy, jakie jej poeta przypisał. W lipcu są dwa święta Matki Boskiej, w kalendarzu uwidocznione (Nawiedzenie i Szkaplerzna), ale żadne nie jest uroczyste, do żadnego z nich nazwa Kwietnej nie może być zastosowaną, podczas żadnego z nich nie święcą ziół i kwiatów...

Cóż więc mamy myśleć o poecie i jego święcie? Na tle jakiej pory roku wyobrazić sobie mamy zaręczyny Zosi?

Odpowiedź na to może być tylko taka. Mickiewicz nie mógł nie pamiętać, w jakiej porze roku wojska napoleońskie zawitały do jego okolic rodzinnych i miał ją żywo w wyobraźni, gdy zabierał się do przedstawienia scen, w ostatnich dwu pieśniach zawartych. Miały być opowiedziane tylko jednego dnia dzieje, ale ten dzień jaki uroczysty! Dzień radości patryotycznej, rehabilitacyi Jacka, zaręczyn Zosi z Tadeuszem, ostatecznie rozwiązujących spór Sopliców z Horeszkami, wreszcie dzień uwolnienia włościan soplicowskich z poddaństwa. Wypadało dzień ten szczególnie ozdobić i zrobić uroczystym. Potrzebne też było uroczyste nabożeństwo dla rehabilitacyi Jacka wobec miejscowej ludności. Poeta mógł obrać do tego celu dzień niedzielny albo jakieś uroczyste święto z końca wiosny lub początku lata, a miał do wyboru św. Piotra i Pawła, Boże Ciało z jego malowniczą procesyą i ze święceniem wianków, nawet Zielone Świątki z malowniczem umajeniem kościołów i domów, z lepiechem czyli tatarakiem na podłogach. Jeżeli poeta ani niedzieli ani żadnego z tych świąt nie wybrał, które właściwa pora roku nasuwała, ale szukał uroczystego święta Najśw. Panny tam, gdzie go znaleźć nie można było, to tylko oczywisty dowód, że chciał przy zakończeniu poematu szczególnie uczcić Tę, którą o natchnienie prosił na początku i która się tak łaskawą okazała dla niego. A nie mogąc znaleźć uroczystego Jej święta ani w czerwcu ani w lipcu, postanowił nie oglądać się na kalendarz i skorzystał z prawa licencyi poetyckiej w sposób zupełnie oryginalny.

Ze wszystkich uroczystych świąt Najśw. Panny najpoetyczniejsze jest w swoim obchodzie święto Wniebowzięcia. Przypada ono pośród lata, kiedy roślinność w pełnej jest krasie, nie zwarzona jeszcze jesiennymi chłodami; w dzień ten wieśniaczki przychodzą do kościoła z pękami ziół i kwiatów, ażeby je tam poświęcono. Dlatego też w dniu tym Najśw. Panna występuje jako królowa roślinności, błogosławiąca swemu królestwu i zgodnie z tem pojęciem nazywana przez lud Zielną.

W dniu tym też najstosowniejsze strojenie Jej ołtarzy, Jej obrazów kwiatami. Z tych tedy powodów ze wszystkich

świąt Bogarodzicy to święto zapewne najwięcej pociągało wyobraźnię poety. Na niem się jego wybór zatrzymał, a że nie przypadało w czasie, którego tło historyczne wymagało, postanowił sierpniową uroczystość Wniebowzięcia przesunąć na czas nieco wcześniejszy, nieokreślony wyraźnie, jednem słowem zbliżyć ku wiośnie i zamiast nazwy Zielnej nadać jej pokrewną, ale bardziej poetyczną nazwę Kwietnej. Tym sposobem mimowoli stworzył nowe święto Najśw. Panny, święto poetyczne, nieznane kalendarzowi, a uczcił je najwspanialszym obrazem jutrzenki, na jaki się poezya zdobyć może, i niezrównanie wdzięcznym obrazem pobożności ludu litewskiego.

Wyszła msza — nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka,
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy;
Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,
Pozłacał się jako łan dojrzałego żyta;
Gdzieniegdzie kraśna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy;
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich, jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie.
Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie
I rozlewa jak z mszalnej kadzielnicy wonie.

Jak lud w dzień poświęcony Najśw. Pannie Zielnej czy Kwietnej wszystko stroił w bukiety i wianki, tak i poeta obraz pobożności ludu, który miał być hołdem, złożonym jego muzie przeczystej, stroił w porównania wzięte ze świata roślinnego, z roślinności tych pól, na które jego duszę święta muza przenosiła. Klęczący lud, którego głowy tylko widać, porównany jest z łanem dojrzałego żyta, dziewicze główki wśród ludu — to w zbożu bławat i kąkole; chylenie się głów na głos dzwonka — to uginanie się kłosów pod wiatrem.

Wszystkiego tego poeta nie wyszukiwał, to samo płynęło mu przez wyobraźnię pod pióro: ale jakże wybornie odpowiadało jego intencyom, jego czci i wdzięczności dla Najśw. Panny!...

Józef Tretiak (I., V., VI.).

---

65. Charakterystyka króla Stanisława Augusta.

Mało jest epok w historyi polskiej tak trudnych do poznania i przedstawienia, jak czasy Stanisława Augusta. Już sama nieprzystępność ważniejszych z owego wieku źródeł, które dotąd kryją się po archiwach, znaczną jest przeszkodą w prawdziwem ocenieniu wypadków i ludzi... Niemniejszą przeszkodą jest uczucie boleści, powiedzmy więcej, uczucie wstydu, który pognębia każdego, kto w tych czasach rozpatruje się sumiennie. Po sto razy w tej pracy ręka opada i umysł może niejasno spostrzega, bo serce z żalu się ściska. I być może, że, aby zasłonić przed obcymi, a nawet przed samym sobą ten gryzący opis naszego zepsucia w wieku XVIII., nasuwa się nieraz i niejednemu myśl kusząca: pożyteczna jest dla ocalenia chwały narodu jednego lub kilku zniesławić ludzi!...

Kiedy czasy, o których mówimy, bardziej się w przeszłość oddalą i ostygną wspomnienia, dziś jeszcze tak palące, stanie się może widocznem, że Stanisław August był typem wszystkich ludzi celniejszych, którzy od pierwszego podziału aż po koniec XVIII. w. u nas zaświecili, że zatem sąd, jaki spadnie na niego, musi i tamtych dosięgnąć. Były to w ogólności głowy mocne, charaktery wątłe. Na ludzi tak usposobionych do pewnego tylko kresu liczyć można: w czasach mniej więcej spokojnych mogą oddać ważne usługi; lecz gdy nadejdzie czas próby i konieczność narażenia się, zmiękną i wstydem się okryją. Charaktery zwodnicze, trudne do określenia; ani chwalić ani ganić ich nie można bez ciągłych zastrzeżeń. Są w życiu Stanisława epoki, które wymuszają uznanie na jego nieprzyjaciołach; są inne, w których systematyczni obrońcy odstąpić go są zniewoleni.

Stanisław August miał z urodzenia niepospolite zdolności, a gruntownem wykształceniem wysoko je rozwinął Zanim dom opuścił, władał dobrze językiem polskim i francuskim i pisał po łacinie; następnie doszedł do znacznej doskonałości w niemieckim, angielskim, rosyjskim i włoskim. Przykładał się szczególnie do historyi, filozofii i wymowy, pracował nad matematyką, w rysunkach i architekturze okazywał wiele delikatnego gustu i zamiłowania. Z dzieciństwa powziął wstręt do pijaństwa i karciarstwa; lecz i polowania nie lubił i wogóle rozrywek męczących. Wychowanie domowe, które pod okiem matki do 16. roku życia odbierał, uchroniło go od wielu wad społecznych, lecz zarazem wszczepiło weń pewną miękkość, która go nigdy nie opuściła i nadała mu charakter człowieka, usposobionego bardziej do gabinetowej pracy, niż do czynu. Ojciec spodziewał się temu zaradzić, wyprawiając go w r. 1748. na wojnę. Zawarty w Akwisgranie pokój przeszkodził zamiarowi, do którego później Stanisław nie mógł już powrócić, wystąpiwszy zbyt wcześnie na scenę polityczną. Tak więc do śmierci pozostał obcy rycerskiemu rzemiosłu, czego sam gorzko żałował, czując, że to było jedną z przyczyn jego niepowodzeń na tronie.

Podróżował wiele, zwiedził Niemce, Holandyę, Austryę, Francyę i Anglię. W podróżach swoich oglądał budowy i zakłady, podziwiał z zapałem arcydzieła sztuki, lecz przedewszystkiem szukał ludzi głośnego imienia i domów najcelniejszych w każdej stolicy. Zyskanie ogłady towarzyskiej i znajomości świata było, można powiedzieć, głównem jego w młodości dążeniem; doszedł na tej drodze do wysokiej doskonałości. W obejściu swojem, jak świadczą najbieglejsi owego czasu znawcy, miał tyle wdzięku i ujmującej słodyczy, że każdego zniewalał od razu.

Jak u większej części ludzi XVIII. wieku, w usposobieniu Stanisława Augusta przeważał rozsądek. Do złudzeń i uniesień nie był sposobny, sądził zazwyczaj trafnie. Bystry spostrzegacz, prędko poznawał ludzi, chwytał ich słabości i przedstawiał je z pewnym humorem pobłażliwym. Żartować lubił, oburzyć się nie umiał; występek raził go bardziej ze swej nieestetycznej, niż niemoralnej strony.

Rozmawiał z życiem i dowcipem; w małem kole, lub, co jeszcze lepiej, w cztery oczy posiadał wielki dar przekonywania; w publicznych przemówieniach czuć było brak siły. Bywał jasnym, ścisłym, oględnym; odzywał się do rozsądku: lecz zapalić i porwać nie był zdolny. Nawet głos jego, dźwięczny i miły w poufnej rozmowie, tracił wiele przez natężenie w publicznych zebraniach.

Był to jeden z najpracowitszych królów polskich, przynajmniej najwięcej piszący. Sesye z ministrami, Radą nieustającą, rozmowy z ambasadorami moskiewskimi i innymi reprezentantami zagranicznych dworów, posłuchania, dawane swoim i obcym — zabierały mu znaczną część dnia, a w czasie sejmowym i dzień cały. Ważniejsze narady i rozmowy spisywał lub w treści notował, jeśli nie zawsze, to w latach, w których mniej bywał zatrudniony. Wszystko, co do niego pisano, czytywał sam. Co dzień odbierał ośm, dziesięć do dwudziestu depesz i raportów i albo własnoręcznie na nie odpisywał, albo gotował odpowiedzi do kopiowania, albo wreszcie przygotowane odpisy poprawiał.

Był to człowiek przezorny i ważący, rachował i przewidywał daleko; ale między jego zamiarami i wykonaniem przepaść była wielka. W portrecie własnym powiada, że chce długo tej samej rzeczy. W istocie miał on wytrwałość, nie tę, która przeciwników zdobywa i łamie, ale giętką, uchylającą się łatwo, a powracającą do swego. Wstępując na tron, przewidywał ruinę państwa niewątpliwą, jeśli nad sejmem nie zapanuje i władzy królewskiej nie wzmocni. Przy tym programie stał z uporem przez dwa lata, dla niego w r. 1766. chciał narazić koronę i dopiero wtedy od niego odstąpił, kiedy go wszyscy odstąpili, nawet wujowie, Czartoryscy. Po pierwszym podziale Polski wrócił do swej myśli; wiele go wówczas zajmował przykład szwedzkiego Gustawa. Dążył do podniesienia swej rodziny, do zapewnienia korony jednemu z synowców; widząc zaś w możnych domach stałą dla siebie nieprzyjaźń, zostawił je na boku, a uboższych do znaczenia podnosił. Tem wytrwałem dążeniem małymi środkami przyszedł do znacznej powagi w kraju. Ale obok tego, zbyt wrażliwy, Stanisław prędko

z jednego usposobienia w drugie przechodził, przed wolą, objawioną mu stanowczo, uchylał się i kroki swe stosował do narzuconych warunków. Ufał swej cierpliwości; liczył, że choć niejedną przykrość przecierpieć wypadnie, to przecie wkońcu do swego doprowadzi, przybliży się do celu. Ci, co go sądzą z jednego słowa lub czynu, dobrego lub złego, zawsze go mylnie osądzą. Jak wszyscy ludzie bujnego umysłu, a zasad niepewnych, zależał on od tych, co go otoczyli. Niekoniecznie z rachuby, z samego instynktu czuł on potrzebę oparcia się na charakterach silniejszych i, byle oni się nie chwiali, razem z nimi odważał się na wiele. Lecz gdy przeciwnie czuł się opuszczonym lub gdy ci, na których polegał, nie odpowiadali ważności zadania i wszystek ciężar decyzyi spadał już tylko na niego: wtedy wahał się, tracił odwagę, wpadał w rozpacz i, mimo całą przezorność i doświadczenie, w ostatniej chwili do zupełnego doprowadzony rozstroju, gotów był przyjąć radę, choćby najgorszą, by tylko wyjść z tej walki, którą czuł nad swe siły.

Kochał on uczonych i artystów i przyczynił się wiele do rozszerzenia w Polsce światła, jakkolwiek niezupełnego. Literatura epoki Stanisławowskiej zawsze nas ujmować będzie trzeźwością myśli, pięknością formy; podobnie, jak w królu, nie widać w niej gorących uczuć i silnego zapału, ale dowcip, zdrowy rozsądek i wdzięczną ogładę. Kto chce poznać, jak wielki postęp zrobił naród w ocenieniu swych instytucyi i potrzeb, niech porówna pisma z pierwszych lat z temi, co wyszły pod koniec jego rządów: mniejszość Czartoryskich, która podczas bezkrólewia żadnych ze swych reform bez obcej pomocy przeprowadzić nie mogła, zmieniła się w ciągu niespełna trzydziestu lat w przeważną, rodzimą większość za sejmu czteroletniego. Było więc pod tym względem rzeczywiste ulepszenie. Ale ów dowcip krytyczny, który obalił tyle politycznych przesądów, sam przez się nie wystarczał: trzeba było czegoś więcej, a tego właśnie za przykładem króla i w narodzie zabrakło.

Pomimo staranne, jakie odebrał, wychowanie i nieustanną w latach późniejszych umysłową pracę, zbywało Stanisławowi na głębszej moralnej podstawie. Kwestye re-

ligijne obchodziły go w pierwszej młodości, zajmując wszakże bardziej umysł jego, niż serce. Rzucony między cudzoziemców zbyt wcześnie, dał się owionąć chłodem ówczesnych stolic europejskich; chłód ten razi w jego opisach podróży. W pamiętnikach swoich pełen dowcipu, elegancyi, a nawet honorowych uniesień, nie zwraca się ani razu z głębszem uczuciem do Boga. Później wprawdzie, pod naciskiem doświadczenia i ponawianych nieszczęść, obudziła się w nim nieco żywsza wiara. »Moja siostro«, rzekł on do pani Krakowskiej, gdy była mowa o darowaniu uraz, »ja w pacierzu szczerze te słowa wymawiam: i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«. Ale i później, choć wiara się ocknęła, nie było w nim, jak w całem społeczeństwie polskiem, rzetelnego jej zastosowania do życia. Bywało, zwłaszcza w towarzystwie cudzoziemców, Stanisław słuchał lekkich rozmów o Kościele, pomagał nawet żartownisiom; ale wieczorem, gdy wrócił do siebie i znalazł się sam z swojemi myślami, padał na kolana przed obraz Matki Boskiej, błagając ze łzami miłosierdzia.

Takim był Stanisław August Poniatowski; natura bogata, wychowaniem domowem bujnie, lecz delikatnie rozwinięta, wpływem wieku i towarzystwem, w którem młodość przepędził, misternie ogładzona, ale i nadpsuta, wystawiona przez lat trzydzieści na trudności tak wielkie, że i najzdrowszy organizm nie łatwoby im mógł podołać. Własną zasługą, jeśli wolno czynić przypuszczenia, byłby Stanisław doszedł do pierwszych godności w rzeczypospolitej; w radzie państwa jako senator lub kanclerz byłby zaszczytnie odpowiedział swoim obowiązkom i zostawił świetną pamięć swego imienia. Wyniesiony na tron z woli obcych i ponad swe siły, długo względem swoich nie miał dość śmiałości i do końca nad sobą i drugimi nie umiał panować. Pracowity, rozpraszał się w drobiazgach; uczynny i hojny, wpadał w niewolę swych długów; głęboki polityk, miał wszystko, co daje rozum, nic z tego, co daje hart duszy; miły i słodki w obejściu, utonął w życiu zniewieściałem. Wszakże, by o nim jako o królu wydać sąd sprawied-

liwy, pamiętać trzeba, że przyszedł w czasach cięższych nierównie, niż one były za któregokolwiek z jego poprzedników, i że dano mu było rządzić narodem, stuletnią anarchią tak rozstrojonym, że własnego rządu utworzyć i słuchać nie potrafił.

Waleryan Kalinka
(Ostatnie lata panowania Stan. Augusta).

---

66. Z młodych lat ks. Józefa Poniatowskiego.

Józef Poniatowski urodził się dnia 7. maja 1763. roku w Wiedniu, w pałacu Kinskich przy Herrengasse, z 29 letniego ojca Andrzeja, starosty ryckiego, generała, potem feldcechmistrza wojsk austryackich, młodszego brata stolnika litewskiego, późniejszego króla Stanisława Augusta — i z 23 letniej matki Teresy z Kinskich. Ochrzczony tegoż dnia tamże w sąsiedniej Schottenkirche, otrzymał imiona Józef Antoni; do chrztu trzymał go wuj, pułkownik Józef Kinsky.

Szczegół to mało znany: książę Józef — *ein wiener Kind*, choć dotychczas we wszystkich biografiach jako miejsce jego urodzenia mylnie podawano Warszawę. Ale bo też w rzeczy samej ten nasz książę Józef, choć po raz pierwszy otworzył oczy w Wiedniu jako generałowicz austryacki, a po raz ostatni zamknie je pod Lipskiem jako marszałek francuski; choć było mu przeznaczonem pierwsze i ostatnie tchnienie wydać na obczyźnie: jednak naprawdę sam się uczynił rodowitem, ukochanem dzieckiem tej naszej Warszawy, uczynił się wcieleniem pewnych najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został nie tylko jednym z najświetniejszych, lecz z najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli.

Przez ojca miał szlachetną krew litewską (po babce Konstancyi z książąt Czartoryskich Poniatowskiej), przez matkę starą krew czeską z domieszką włoskiej (po babce Maryi z markizów Rofranko Kinskiej). Sam wkrótce zyskał podwójnie godność książęcą, gdyż w rok po jego urodzeniu skutkiem elekcyi stryja na króla polskiego, całą rodzinę Poniatowskich na sejmie koronacyjnym warszawskim

obdarzono dziedzicznym tytułem książąt polskich, a nadto jego ojcu nadała cesarzowa Marya Teresa dyplom książęcy czeski z prawem pierworodztwa. Ale nie z tych świeżych, przygodnych tytułów będzie on czerpał istotne swoje dostojeństwo: własnem czuciem i czynem własnym on się uksiążęci w opinii swego narodu i świata. Z dziedzictwa krwi wziął po swoich prawie wszystko, co lepsze — wszystko, co najpośledniejsze, odrzucił. Po ojcu, który ostatnią swą kampanię odbył w ostatniem polskiem bezkrólewiu przeciw własnym rodakom, oprócz osobistej odwagi nie wziął nic albo nic celnego. Po dziadzie, towarzyszu broni Karola Szwedzkiego, wziął wspaniałą postawę i animusz rycerski; ale od awanturniczego kasztelana krakowskiego, który na przemiany sługiwał Karolowi, Leszczyńskiemu i Sasom, jakże daleko odbiegł wnuk — sługa jednej sprawy. Przejął się poczuciem pańskiej godności i obowiązków obywatelskich Familii; ale jakże obcym pozostał jej popędom zaciętości stronniczej i ambicyi rodowej! Doprawdy, skoro z pominięciem rysów drugorzędnych rozpatruje się w główniejszych liniach tej szlachetnej postaci, rozważanej jako zjawisko dziejowe, a odbijającej tak silnie od najbliższego, rodzinnego swego środowiska — chciałoby się rzec o niej z Tacytem: *Curtius Rufus videtur mihi ex se natus.* Ale to byłoby mylne. Zapewne, był on istotnie więcej »z siebie zrodzony«, aniżeli ze starszej generacyi krewniackiej; lecz przedewszystkiem był już z tej młodszej generacyi narodowej, jaką z łona swego wydało społeczeństwo, był przedewszystkiem nieodrodnym tworem tego własnego społeczeństwa rodzimego, a tem samem był jednem z wielkich, żywych świadectw odbywającej się w niem naprawy i odnowy wewnętrznej, wiodącej je od zmierzchów XVIII. do świtań XIX. stulecia.

Ojciec ks. Józefa, Andrzej, siódme dziecko kasztelana Stanisława i Czartoryskiej, pochodził z rodziny jak na pańską niebogatej, dorabiającej się dopiero magnactwa, a zbyt licznem obarczonej potomstwem. Wyprawiony dla karyery za granicę, za młodu oddany do armii austryackiej, uczestniczył w wojnie siedmioletniej, lecz zaraz w pierwszem spotkaniu z Fryderykiem Wielkim pod Pragą ranny dość cięż-

ko, ledwo uszedł niewoli. Awansował odtąd szybko, dosłużył się pułkownikostwa i orderu Maryi Teresy. Wtedy poślubił Herulę Teresę, córkę Leopolda Kinskiego, ze starszej, hrabiowskiej linii tego możnego domu, dobrze widzianego na dworze habsburskim. Z tego małżeństwa nasamprzód urodziła się w Wiedniu córka, późniejsza pani Tyszkiewiczowa, którą do chrztu osobiście trzymała cesarzowa Marya Teresa; w trzecim roku urodził się syn, ks. Józef. W walce elekcyjnej po zgonie Augusta III. Andrzej Poniatowski nader był czynny koło wyniesienia starszego brata na tron polski, popierał jego kandydaturę swymi wpływami w Wiedniu, a w kraju uczestniczył w egzekucyi wojskowej, dopełnionej przez posiłkowe wojska rosyjskie na rzecz Familii przeciw opozycyi hetmańskiej i republikańskiej. Jednak sam, już po obiorze Stanisława Augusta, dalszą swą karyerę z powodzeniem oparł na służbie cesarskiej w Austryi, dworską protekcyą dorabiając się tutaj nietyle fortuny, ile wysokich zaszczytów i urzędów, mitry książęcej, inspektorstwa piechoty, feldcechmistrzostwa austryackiego. Słabowitego zawsze zdrowia, nękany ciężką chorobą piersiową, zmarł w sile wieku; pochowany w katedrze św. Szczepana w Wiedniu.

Ks. Józef, tak wcześnie, w dziesiątym roku życia, utraciwszy ojca, wychowywał się w Wiedniu i Pradze pod okiem owdowiałej generałowej, schorowanej, unikającej towarzystwa, a czułej, przeczulonej matki, która wybuchowo kochając syna jedynaka, obsypywywała go naprzemiany zbyt wyrozumiałą pieszczotą i zbyt ostrym wyrzutem. Ale doznawał także już odtąd stałej, nad wyraz troskliwej opieki króla Stanisława Augusta. Ta opieka stryja, zwłaszcza pod względem materyalnym była nader potrzebna nieletniemu sierocie. Pozostawiony był przez ojca w nieświetnych warunkach majątkowych, w każdym razie do stanowiska księcia krwi królewskiej nie dostosowanych. Scheda po zmarłym Andrzeju Poniatowskim polegała głównie na dobrach starostwa wielońskiego, położonych w księstwie żmudzkiem, a w dzierżawie podskarbiego Tyzenhauza mocno zniszczonych. Od matki pomoc była szczupła, gdyż pochodziła ona ze stosunkowo niezamożnej linii Kinskich i wniosła była

w posagu głównie wpływy dworskie tego domu. Tem gorliwiej tedy losem sieroty zajął się Stanisław August.

Król przelał zaraz na niego wakujące starostwo żyzmorskie, wyjednał mu następnie konsens[1]) na cesyę[2]) starostwa wielońskiego, pod dożywociem matki będącego, na rzecz syna; wyrobił mu cesyę starostwa uszpolskiego przez ówczesnego posiadacza hetmana Ogińskiego; przekazał mu wreszcie dziedzictwo wielkiego starostwa chmielnickiego, choć od dożywotników posiadania dlań wydobyć nie zdołał.

/Ale nie ograniczał się król na tej opiece nad jego majątkiem; rozciągał ją również na edukacyę młodzieńca. Wchodził osobiście w najdrobniejsze szczegóły jego ukształcenia fizycznego i umysłowego. Z pierwszem było łatwiej, bo chłopak dziwnie był zręczny i żywy; trudniej z drugiem, bo do nauki książkowej mało okazywał chęci, choć zresztą, przynaglony, roztropnie odrabiał swoje zadania. Król go zachęcał, naganiał; kazał sobie donosić o jego przewinieniach, odznaczeniach, postępach — przysyłać sporządzane przez niego wypisy z dzieł przeczytanych, zwłaszcza w zakresie wojskowości i historyi. Wychowanie księcia było przeważnie w ręku cudzoziemców: Niemca Königsfelda, starego sługi Familii, który kierował ćwiczeniami ciała i wydoskonalił pupila w jeździe konnej; Francuza Hennequina, surowego metra, który prowadził właściwe nauki książkowe; Anglika Plunketta, głośnego później za wojen koalicyjnych generała i dyplomaty, który udzielał instrukcyi militarnej i ogólny miał nadzór. Kierownictwo naczelne zachował sobie przecie sam Stanisław August i śród wszystkich swoich ciężkich kłopotów królewskich nie zaniedbywał stałej korespondencyi pedagogicznej z tymi wychowawcami. Nie było wśród nich Polaków, ale byli przynajmniej w otoczeniu młodego księcia, czemu on zawdzięczał, że nauczył się od dziecka dobrze mówić i jędrnie, choć niebardzo poprawnie, pisać po polsku. A na polskość synowca król, sam skądinąd niedość mający jej w sobie, pilne, chwalebne dawał baczenie. Nie pozwalał mu żadną miarą zniemczyć się: o Polsce mu prawił, do Polski sprowadzał,

[1]) Pozwolenie, zgodę. — [2]) Ustępstwo, odstąpienie.

w Polsce przyszłe wskazywał powołanie; i pod tym pono względem najzbawienniejszą wyświadczył mu przysługę.

Miało w sobie coś całkiem wyjątkowego, coś wzruszającego to szczególniejsze, tak głębokie, czujne, nie słabnące, owszem z biegiem lat coraz żywsze przywiązanie Stanisława Augusta do tego właśnie synowca, do ukochanego Pepi. Nikogo tak, w ten sposób, król nie kochał. Wprawdzie i dla drugiego, starszego swego synowca, ks. Stanisława bywał równie hojny, a może jeszcze hojniejszy, skoro nawet po sobie przeznaczał mu koronę; — lecz czynił to, wiedząc dobrze, co był wart ten kandydat, powodując się racyą polityczną i obowiązkiem familijnym. Względem ks. Józefa powodował się zgoła czem innem. Tutaj szedł za popędem serca, a zarazem za nieodpartym głosem niespokojnego sumienia. W tym świetnym młodzieńcu kochał on nie tylko krew swoją, ale samego siebie takim, jakim byłby chciał być, a jakim nie został. Widział go wstępującego w życie z impetem, z blaskiem, jak sam przychodził ongi, w swojej dobie wiosennej; widział w nim własną swoją młodość górną, tak już teraz daleką, niemiłosiernie ściętą szronem klęsk męskich i mrozem beznadziejności starczej, a niestety także sponiewieraną przez własną ciężką winę. Takim, jak ten synowiec, młody, piękny, ubóstwiany — i on był niegdyś, ale nie był nigdy takim, jakim był nadto ten młodzieniec: szlachetny, rycerski, ofiarny, czysty. Kochał w nim stary król to połączenie swoich błyskotliwych zalet i swoich nieodżałowanych braków; kochał tego niedoścignionego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego nigdy sam posiąść nie umiał, i ten honor, który sam utracił. W jego osobie on jak gdyby brał odwet za samego siebie, jak gdyby zasłaniał się przed ścigającą go własną samowiedzą moralną. A nieszczęśliwy, słaby do końca, skazany grzęznąć do końca w swojej topieli, będzie też usiłował zasłaniać się jego osobą przed groźbą realną i swoje przywiązanie i dobrodziejstwa drogo opłacić mu każe.

Ks. Józef tymczasem chował się pod berłem habsburskiem. W r. 1777. na manewrach pod Pragą przedstawiono go Józefowi II. Cesarz zachęcał go, choć to był niedorostek jeszcze, do austryackiej służby wojskowej, do której od lat

kilku, od pierwszego podziału Rzpltej, skwapliwie ściągano polską młodzież szlachecką i wielkopańską. W roku następnym 1778. i znów w r. 1779. przywieziony do Warszawy, piętnastoletniem chłopięciem został już wprowadzony w tutejszy świat towarzyski i dworski. Uczestniczył w uroczystościach rodzinnych z okazyi małżeństwa siostry swej Teresy z Wincentym Tyszkiewiczem, referendarzem[1]) w. l. Z Warszawy wyprawiono go na Litwę do ojczystego majątku dla otarcia się o stosunki miejscowe i interesy. Odtąd kilkakrotnie, na wyraźne życzenie króla ponawiał te wycieczki do kraju.

Tymczasem coraz natarczywiej zapraszany był do służby austryackiej przez wpływy w otoczeniu matki, przez krewnych Kinskych, przeniknionych tradycyjnem do domu Habsburgów przywiązaniem, przez przyjaciół i rówieśników, którzy już przywdziali świetny mundur cesarski; a wreszcie pociągał go przykład zmarłego ojca i własna wrodzona chęć do konia i szabli. Trzeba było jednak uprzednio zasięgnąć zgody Stanisława Augusta. Król zezwolenia nie odmówił, wszelako zastrzegł, że książę wstępuje do służby austryackiej jedynie czasowo, dla tem lepszego wyćwiczenia się na wypadek, jeśli zajdzie potrzeba służenia ojczyźnie własnej; że w takim wypadku na pierwsze wezwanie stawi się pod ojczysty sztandar; że na razie regularnie za urlopami zjeżdżać będzie do kraju; że nie wstąpi do korpusu szlacheckiej gwardyi galicyjskiej, lecz do jakiegoś zwyczajnego pułku jazdy, przyczem będzie się starał, niezawiśle od służby w konnicy, nabyć dokładnej znajomości innych także rodzajów broni. Zobowiązania te książę chętnie przyjął i ściśle odtąd wykonywał.

---

[1]) Na dworze królewskim polskim było od r. 1507. czterech referendarzy (2 koronnych, 2 litewskich), którzy słuchali skarg lub odbierali »żałoby« na piśmie do tronu i zdawali z nich sprawę (referowali) kanclerzowi.

W początku lutego 1780. r. zaliczony został do armii austryackiej. Stało się to na mocy odręcznego pisma cesarza, w wykonaniu woli cesarzowej Maryi Teresy. Książę wstąpił natychmiast do służby czynnej jako podporucznik stojącego w Czechach II. regimentu karabinierów im. W. Ks. Franciszka Toskańskiego, wnuka cesarzowej, późniejszego cesarza. Tegoż roku w ceremoniach żałobnych w Wiedniu z powodu zgonu Maryi Teresy uczestniczył jako zastępca Stanisława Augusta. Awansował szybko — dzięki cenionej przez przełożonych sumienności służbowej, a bardziej jeszcze dzięki osobistej o nim pamięci cesarza. Już we wrześniu 1781. r. został rotmistrzem, w styczniu 1782. r. dowódcą szwadronu, a w 1784. r. majorem. W lipcu tegoż roku, podczas letnich ćwiczeń pułkowych nad Łabą, skutkiem zakładu, w pełnym rynsztunku, na osiodłanym koniu przepłynął wezbraną od deszczów i szeroko rozlaną rzekę. Kawalerzysta nadzwyczaj śmiały, w służbie bardzo gorliwy, zimą tego roku spadł z konia i złamał nogę, lecz dość rychło powrócił do zdrowia. W 1785. r. został drugim, a w r. 1786. pierwszym podpułkownikiem, w tym też jeszcze roku przeszedł do pułku szwoleżerów cesarskich im. Józefa II., (a był to regiment wyborowy, do którego należeć za wysoki uważano zaszczyt)...

Jesienią tego roku przez Berlin, gdzie przedstawiony był Fryderykowi Wilhelmowi II., udał się na dłuższy pobyt do Warszawy. Otrzymał wtedy od Stanisława Augusta wstęgę św. Stanisława, a następnie i Orła Białego, a kiedy następnego roku powrócił do Wiednia, uzyskał zaraz od cesarza pozwolenie noszenia tych orderów polskich. Po niewielu dniach, już w lutym 1787. r. wezwano go ponownie z Wiednia do Warszawy, ażeby towarzyszył królowi w podróży kaniowskiej na historyczny zjazd z cesarzową Katarzyną II.

Dość nudna zapewne dla niecierpliwego młodzieńca była powolna podróż oficyalna w landarze królewskiej, w towarzystwie Stanisława Augusta i biskupa Naruszewicza, a pod uciskiem niezliczonych ceremonii programu urzędowego. Król, jak wiadomo, dużo obiecywał sobie po tej wyprawie, a obok wielkich spekulacyi politycznych miał

też sprawy rodzinne na widoku: zabierał obu synowców, chcąc ich pokazać i los ich wedle swego rozumienia zabezpieczyć. Gdy po przybyciu na miejsce długo jeszcze wypadło czekać na cesarzowę, ks. Józefa wysłano naprzeciw niej do Kijowa. Zaraz przy pierwszej prezentacyi powiedziała mu cesarzowa z uznaniem, że znajduje w nim wielkie podobieństwo do Stanisława Augusta, ale — dodała, zwracając się do posła austryackiego Cobenzla — »kiedy był taki, jakim widziałam go przed dwudziestu kilku laty«.

W Kijowie zabawił książę blizko miesiąc wśród ustawicznego balowania, w atmosferze dusznej, odurzającej, gdzie nie trudno było utracić głowę, gdzie jednak znalazł przypadkiem rzuconego w te same wiry dobrego, pewnego przyjaciela, niewiele starszego od siebie Karola Ligne, który się z nim odtąd złączył najserdeczniejszem braterstwem. W jegoto towarzystwie umknął teraz z Kijowa; letnią nocą siadłszy w łódkę, popłynął Dnieprem do Kaniowa, skąd, nie czekając na spotkanie się króla z cesarzową, powrócił do swego regimentu na Morawach. W ten sposób w krótkim czasie poznał osobiście trzech monarchów trzech państw ościennych, z któremi po kolei, w pokoju i wojnie, będzie miał do czynienia.

W styczniu 1788. r. mianował go cesarz Józef na czas kampanii adjutantem swoim przybocznym, z rozkazem stawienia się w połowie marca do Pesztu w pełnym rynsztunku bojowym. Już w rzeczy samej zanosiło się na ową fatalną wojnę turecką, do której od dawna palił się cesarz, a która miała go wpędzić do grobu. W ślad za monarchą rwano się na tę wojnę, jak do tańca w rozkarnawałowanym tego roku Wiedniu. Był to ostatni, na długie lata, na przeszło ćwierć wieku, huczny karnawał wiedeński: odtąd zacznie się tutaj długi karnawał klęski, doba rewolucyjna, Napoleońska, aż hen do nowego karnawału Kongresu wiedeńskiego, którego już nie dożyje książę Józef...

Pierwszą swoją kampanię 1788. r. rozpoczynał 25-letni młodzieniec przy boku i pod okiem cesarza. Jednak; zaszczytna, ale mniej czynna rola adjutanta cesarskiego niezupełnie odpowiadała jego pragnieniom; wyrywał się on raczej do samodzielnej akcyi bojowej; ofiarował się nawet

razem z Ligne'm zebrać w Galicyi oddział ochotniczy ze szlachty polskiej i na jego czele prowadzić na własną rękę walkę podjazdową z Turkiem. Projektu tego nie przyjęto. Wypadło tedy księciu pozostać przy głównej kwaterze cesarskiej.

Wojna ta turecka nie przyniosła szczęścia ks. Józefowi. Zaraz przy wstępnem oblężeniu twierdzy tureckiej Sabaczu, bronionej uparcie przez agę janczarskiego Mehmeda, zgłosił się na ochotnika do pierwszego szturmu; uczestniczył przy wzięciu przedmieścia warowni; ale 24. kwietnia 1788. r. zrana, prowadząc osobiście z nadzwyczajną odwagą kolumnę szturmującą na sam zamek i przedostawszy się już najpierwszy z kilku zaledwie ludźmi przez rów forteczny, padł ciężko ranny kulą w udo i ledwo uratował go prosty szeregowiec Kroat Körner, później zaufany jego sługa. Przeniesiony do lazaretu w Semlinie, dzięki starannej opiece lekarskiej, uniknął grożącego mu kalectwa. W listopadzie t. r. cesarz posunął go na nadliczbowego drugiego pułkownika szwoleżerów cesarskich »w łaskawem uwzględnieniu wyświadczonych Nam i Domowi Naszemu, a i nadal spodziewanych wiernych, gorliwych i pożytecznych usług, zdobytego doświadczenia wojskowego, okazanej chwalebnej wobec nieprzyjaciela odwagi i innych posiadanych przymiotów«.

Ledwo z ran wyleczony, wyprosił sobie uczestnictwo w następnej kampanii 1789. r. i już rozkazem odręcznym cesarza odkomenderowany był ze swego pułku w stopniu drugiego pułkownika do regimentu Modena armii czynnej na plac boju: — kiedy nagle odwołano go do kraju pod sztandar Rzpltej.

Uchwała Sejmu Wielkiego warszawskiego (1788. r.) o wojsku stutysięcznem spowodowała konieczność wezwania oficerów rodaków z obcych służb: wezwano więc do powrotu i księcia Józefa. Jeszcze w lecie tego roku pisał on w liście do swojej siostry: »gdybym mógł przez swoje wiadomości wojskowe być w czemkolwiek użytecznym ojczyźnie, gdybym z narażeniem życia mógł zachować jej prawa i przywileje: — wtedy nie chcę spoczynku, wszystko poświęcę«. To też nie zawahał się teraz, kiedy pora po temu nadeszła i kiedy go zawezwano do gromadzących się

szeregów nowej, prawdziwej armii krajowej. Deputacya Sejmu warszawskiego, wybrana do egzaminowania etatu wojskowego, zalecając przywołanie oficerów polskich z zagranicy do wojska Rzpltej, upomniała się w czerwcu 1789. r. w szczególności o ks. Józefa Poniatowskiego, »w służbie wojskowej cesarskiej zostającego, który i sobie i narodowi przynosi sławę, ażeby w krajowem wojsku mógł być pomieszczony«. Stanisław August zaraz nazajutrz napisał do synowca: »Wczoraj senatorowie i posłowie, przez Sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali ode mnie publicznie na sesyi sejmowej, abym Cię odwołał do służby w ojczyźnie. Po tym publicznym kroku nie mogę jak tylko oświadczyć Ci życzenie i wolę moją, abyś nam tu powrócił«. To rozstrzygnęło ostatecznie o losie ks. Józefa, który ledwo na kilkanaście dni przedtem wybierał się jeszcze na Turków.

Po ułatwieniu przeszkód formalnych przez pismo królewskie do cesarza, natychmiast w początku lipca wniósł podanie o uwolnienie ze służby austryackiej. Stosownie do obowiązujących przepisów musiał dołączyć napisany przez siebie tegoż dnia rewers, w którym składał oświadczenie formalne, iż »nigdy nie będzie obcemu mocarstwu służył przeciw Najdostojniejszemu Domowi austryackiemu«. Aliści, czyniąc zadość tej koniecznej formalności, równocześnie z podaniem dymisyjnem wystosował prośbę o zwrot owego rewersu, a tem samem o »zwolnienie od rzeczonych zobowiązań«. Niezwłocznie, już w dni kilka, otrzymał żądaną dymisyę, lecz — na wyraźny rozkaz cesarski — z odmową żądanego zwrotu rewersu. Jednakowoż z właściwym sobie w sprawach honoru wojskowego ścisłym rygoryzmem, nie dał bynajmniej na tym punkcie za wygraną, nie przestawał i nadal upominać się o zwrot owego rewersu, i istotnie, po ponawianych w tym względzie naleganiach, w kwietniu następnego roku wymógł pozwolenie cesarza Józefa na wydanie mu tego pisma na ręce posła polskiego w Wiedniu, Woyny. Przyszły wódz z pod Raszyna i z pod Lipska, jak gdyby przewidywał przyszłe swoje zadania, żadnej, choćby najbłahszej przeszkody nie chciał zostawiać na drodze przyszłego swego obowiązku.

Tym sposobem nareszcie znalazł się na stanowisku właściwem, w służbie kraju własnego. W sierpniu 1789. r. stanął w Warszawie, a 3. października 1789. r. uchwałą sejmową mianowany był generał-majorem wojsk polskich, wraz z Kościuszką i z innymi...

Szymon Askenazy (Książę Józef Poniatowski).

67. Wojak[1]).

Rży mój gniady, ziemię grzebie:
Puśćcie, czas już — czas!
Ciebie, ojcze — matko ciebie —
Siostry, żegnam was!

Z wiatrem, z wiatrem! Niech drżą [wrogi,
Krwawy stoczym bój!
Raźni, zdrowi wrócim z drogi:
Z wiatrem, koniu mój!

Dumnie patrzysz tam po błoniu,
Z złością wstrząsasz grzbiet;
Śpieszę, śpieszę, luby koniu,
Skaczę, lecim wnet.

Tak, tak, dobrze! na zawody!
Jeśli poledz mam,
Sam tu, koniu, do zagrody
Wolny wróć tu, sam!

Słyszę jeszcze sióstr wołanie;
Zwróć się, koniu, stój!...
Nie chcesz? Lećże! Niech się stanie!
Leć na krwawy bój!

Stefan Witwicki (Piosnki sielskie).

68. O żołnierzu tułaczu.

Krzysztof Cedro był niezwalczony w zwykłem, wysadzającem z siodła »broń do ataku!« — w szarżach en avant-pointez! — w parowaniu w lewo, czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych, a niezwalczonych ciosach w tył i w bok. Uczył się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosia najtrudniejszych napaści, zadawanych z wysoka, z ponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były to piorunowe a lekkie pociski w twarz, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możność codziennie pokazywać uczniowi, jak te »prztyki« rozdawać

[1]) Do tej pieśni muzykę ułożył Fryd. Chopin (17 Pieśni polskich z towarzyszeniem fortepianu przez Fr. Ch. Op. 74.).

w obskoczeniu. Rzucali się w gęstwinę hiszpańskiej konnicy, *gerilleros,* lub regularnej piechoty samowtór, czy samotrzeć w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Skokiem, co siły w bachmacie, wpadali w tłum. Byli nie dosięgli ani dla bagnetu, ani dla szabli. Sztuka walki z przemagającym stokroć tłumem polegała na tem, że grot lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sześciu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnąc cios zadać, musiał zbliżać się o dwa i trzy kroki. Furkot chorągiewek i błysk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy place, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wyłom w murze fortecy. Widziano też nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony piechoty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierzchały w pola, jak zgraja dzieci, przed byle garsteczką ułańską, pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcye nad rzeką Ebro, pobierane przez Cedrę od Gajkosia, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23. listopada. Po te bitwie, gdzie bataliony piesze legii — pierwszy pułkownika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski — wsławiły się męstwem nieustraszonem, zlały krwią ziemię i przyczyniły się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów, Krzysztof Cedro po szarży w tej bitwie został oficerem. Już po upływie kilku dni w stanie nowego dostojeństwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo, jak on właśnie, prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak, jak on w Saragosie i pod Tudelą...

Z pod Tudeli, w ślad za cofającym się w popłochu dowódcą Hiszpanów, marszałek Ney pociągnął do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis... Wiedziano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równolegle zdąża do Madrytu na Burgos.

Generał Lefebvre Desnouettes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrzawszy olbrzymią porażkę ośmdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tu-

delą przez armie marszałków francuskich, Lannes'a, Ney'a i Victor'a, Cedro nabrał pewności siebie i ślepej wiary w szablę ułańską.

Były ciągłe deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górskiemi drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawalerya nadwiślańska szła wciąż, zdrowa, jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułanów zbliżały się do Calatayud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i śnieżycy widziano przednie straże jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do tawerny, zwanej Burviedro i wstąpił na górską płaszczyznę, otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco zcichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie.

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie otulał nim ciała. Zuchowi między lansyery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrzysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu ochronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinki. Czyniąc zadość kanonowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyzny, utrzymywał czapkę, zsuniętą na prawe ucho bez niczego, »sposobem głowy«. Giął wiatr czaplą kitę, ale czapka nie drgnęła. Oczy ułana, przeźroczyste jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i zawieję. Konie, wolno idące, dymiły się i grzały pod czaprakami i oponami z płaszczów, rzuconych poza siodła. Wtem, jak pistoletowy strzał, rozległ się głos komendy: — Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszczów na ramię odrzuconych. We mgle ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szablę. Wziął konia we władzę kolanami, lewą dłonią, spięciem ostróg. Furknął młyniec cho-

rągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrazu wolno, miarowym kłusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie ujrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenadyerski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinów. W mig po strzale, rozdzieliwszy się we dwa skrzydła, pierzchnęła równiną w prawo i w lewo. Konie pod Polakami szły już chyżo. Cedro, widząc przed sobą umykających na prawo, zakomenderował:

— Pędem!

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzeli jasny piorun, lecący po ziemi. Był to strzał linii piechoty, ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztofa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociałe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne samotne w polu latały, rżąc, po kamienistej równinie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu, pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiekby jej było.

Puszczono bieguny w przecwał ścigania.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztof uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy — tchu aż brak... Już, już — karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne.

Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsyą ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i nizkie tarniny... Aż oto pierwsza, przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

W tem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rżą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył źrebce?

— Paniczu! — ryczy kapral Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi rękami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza nam zabili! — ryczy na cały szwadron. — Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo! Bodaj was jasne pierony zapaliły!...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

Stefan Żeromski
(Popioły).

---

69. Koń grabarz.

Już cię więcej nie utrudzę,
Pójdziesz sobie sam po błoniu;
Ku ostatniej dziś posłudze
Wygrzeb jeszcze dół mi, koniu!

Śpiesz się, póki z rany mojej
Krew do reszty nie ubieży.
Póki nie odejmę zbroi
I nie skończę mych pacierzy.

Śpiesz się, pracuj całą siłą!
Głębiej, koniu, głębiej jeszcze,
By mnie słońce nie paliło,
By nie doszły do mnie deszcze.
Gasną oczy, dech się ziębi...
Ach, żal braci, żal mi chatki!
Głębiej, proszę, głębiej jeszcze
By nie zbudził mnie płacz matki.

Dość, dość, koniu! Jak zawoła
Wszystkich zmarłych Bóg do siebie,
Bym mógł słyszeć głos anioła
I co prędzej stanął w niebie.
Stefan Witwicki (Piosnki sielskie).

70. Śmierć generała Henryka Dąbrowskiego.

(R. 1818.).

Do Targowej Górki[1]) wpadł jeździec na zdyszanym koniu i zatrzymał się przed dworem generała Amilkara Kosińskiego. Koń aż stęknął chrapliwie, obłokiem kurzu się okrył i zaryl kopytami.

Sam gospodarz wyszedł przed bramę, a poznawszy jeźdźca, rękami strzepnął i zakrzyknął raźno:

— Szczaniecki! A waszmość co za harce wyprawiasz?

Zagadnięty zsunął się z siodła, postąpił ku Kosińskiemu, zatoczył się jak pijany, powietrza chwycił i wyrzucił: — Wódz kona!

Kosiński zatrząsł się. Palce jego rąk wpiły się w ramiona Szczanieckiego, z gardła dobył mu się głos dziwny:

— Wódz?... nasz wódz?... Jeden jest, słyszysz?... Jeden!

— Dąbrowski! — szepnął Szczaniecki i pierś mu zadygotała spazmatycznie.

W pół godziny potem już kocz generała, czwórką gniadoszów zaprzęgnięty, zajechał przed dwór. Pan Amilkar wsiadł, za nim pośpieszył Szczaniecki.

Jechali długo w milczeniu, jakby wsłuchując się w przytłumiony turkot kół i kołatanie orczyków. Wreszcie generał dotknął ramienia Szczanieckiego.

— Panie Ludwiku! powiadajcie mi wszystko!

Szczaniecki pochylił głowę i zaczął cichym, nierównym głosem:

[1]) W Wielkopolsce, w powiecie średzkim.

— Z sejmu warszawskiego wrócił smutny, zasępiony... Ani go rozerwać, ani czem pocieszyć! Zabiegamy z Prądzyńskim, aby »naszego starego« orzeźwić — gdzie, z której strony zaczniesz, ku legionom wraca, o poległych wspomina. A co i rusz, mówi: »Pora i mnie do swoich, do rodzonych« — albo: »Dziw, dziw, że jeszcze po świecie chodzę«. Raz mnie dojęło i powiadam: Generale, gdzie tu dziw? toć szósty krzyżyk panu generałowi się skończył. — A on mi: »Bajesz, Lutek; patrz w okół, co się dzieje, i dopiero rachuj, a zobaczysz, że takim dawno czas!« — I tak ciągle. Aż tu niebo nam zsyła pismo rotmistrza Kępińskiego z zaprosinami na kuma. Nasz stary się otrząsł i z Prądzyńskim do Krakuszowic [1]) ruszył. Tam zdjęła go raptem ochota w sąsiedztwo zajrzeć. Ziąb był, kapuśniak: — samotrzeć konno, w surduciku się wybrał. Nazajutrz na wyjezdnem już czegoś słabował. Po drodze, w Krakowie, Prądzyński chciał medyka wołać; lecz generał nie pozwolił. — »Poddawać się nie myślę — mówił — jadę do dom«. — Ledwie Prądzyński ubłagał go, żeby dwa dni wypoczął. Aleć wypoczynek na nic się nie zdał. Duszność napadła generała: ledwie co do ust wziął. Trzeciego dnia Prądzyński gwałtem medyka się napierał. Generał mu: »Niema kiedy! do dom mi pilno — do dom muszę!« — Prądzyński ustąpił, bo myślał: Pani generałowa łacniej sobie z naszym starym poradzi — więc jeno do pośpiechu nakłaniał. Ale generał sam, jakby go paliło, na przeprzęgach niecierpliwił się, a pędzić konie przykazywał. Aż gdy nareszcie przed pałac winnogórski zajechali, generał, jakby go poderwało, niby młodzik skoczył ku gankowi... noga mu się powinęła i runął na ziemię. Było to wczoraj. — Akurat nadjechałem dowiedzieć się, kiedy generał wraca. A tu gwałt, rejwach w Winnogórze [2]): Chirurg z Wrześni, medyk ze Środy, cyrulików trzech; generał chory, żar odeń bije, płucami zarabia, noga od stłuczenia zczerniała na węgiel. — Noc zeszła jako tako. Leżał na wznak — ani się użalił, ani słowa nie rzekł, ani się nie żachnął. Rano przywlókł się kapelan ks. Radziwiłła, lekarz

---

[1]) W powiecie wielickim. — [2]) Nieopodal od Targowej Górki, w pow. średzkim.

zawołany. Opatrzył generała, potem do mnie: »Płuca pół biedy — ale z nogą strach, bo może gangrena!« — Na południe generał się niby ocknął i woła mnie z Prądzyńskim. — »Na mnie czas! — powiada. — Do roboty trzeba się wziąć, ażeby nieładu nie było.« — Mnie jakby kto pałką w ciemię. Mocuję się. — Generale, powiadam, nie dopuszczaj takich myśli! — A on uśmiechnął się dobrotliwie: — »Znam ja staruchę! Nabiegała się za mną, napatrzyłem się jej w ślepia: już mi nie sfolguje — do jutra chyba wytrzymam«. — I zaczęło się. Prądzyński musiał zasiąść do pisania. Generał ostatnią wolę podyktował, potem panią generałowę przyzwał i mówił z nią długo na osobności, a gdy ta łzami się zalewała, cieszył ją i otuchy dodawał; potem dzieci pieścił i tulił... aż mówi Prądzyńskiemu: »Wezwij proboszcza, niech co należy uczyni!« — Prądzyński po księdza na plebanię, a generał do mnie znów: »Lutek, poadjutantuj mi raz jeszcze!... Amilkara wezwij — niech go uścisnę przed śmiercią!« — Chciałem ruszać, a on: — »Czekaj, czekaj, przyjacielu, a może nie zdążysz; radbym po dniu odejść, ale kto wie, kto wie... Daj mi rękę — czuwaj nad mojemi sierotami«...

Szczaniecki odetchnął i zakończył: Tak było, a co teraz, w tej chwili...

Kosiński rzucił się na siedzeniu i zakrzyknął na stangreta:

— Hej tam! — konie wypuszczaj!

Kocz zadudnił gwałtownie po kamienistej drodze. Generał tarł czoło, niby myśli szukał....

— Widzisz, pułkowniku — da Bóg, że się to ku dobremu wyklaruje... No, bo toć niepodobna... Cóżbyśmy bez niego?... Gdzieżby tam gangrena! I lekarze mogą się mylić. Gdybym medykom wierzył, tobym już od dwudziestu lat ziemię gryzł...

— Ja też nie wierzę — mruknął Szczaniecki; — ale generał powiedział!

Kosiński stęknął, zasunął się w róg kocza i słowa nie rzekł.

Dojeżdżali już do dworu. Winnogóra czuwała. Mimo późnej nocy wszystkie bramy na ścieżaj rozwarła, łunami

świateł i światełek biła, a gorączkowym niepokojem w każdym zakątku pulsowała.

Kocz generała Kosińskiego zatoczył się cicho przed pałac winnogórski. Nikt go nie witał, nikt nie przyjmował. Generał wysiadł, rzucił zapytanie jednemu z ciżby sług — i ruszył wraz ze Szczanieckim do pałacu.

Wieści były złe. Pan Dąbrowski pod noc opadł z sił i leżał bez ducha. Medycy radzili między sobą, koncypowali leki, nadrabiali minami, wywodzili, że, byle kryzys przeszedł, to i niebezpieczeństwo minie; raz ufali siłom przyrodzonym pana generała, to znów wyszukiwaniem przykładów uleczenia podobnych cierpień próbowali i siebie krzepić i innym otuchy dodawać. Nie udawało im się ani jedno ani drugie.

W bocznej komnacie było tłumno, rojno, lecz cicho. Przychodzili jedni, drudzy wychodzili, ani się pozdrawiając ani mówiąc ze sobą. Niekiedy mignęły akselbanty[1]) adjutanckie Prądzyńskiego; ktoś zrywał się i szedł ku nim, nikł, a gdy wracał, ktoś inny rzucał pytanie nadchodzącemu; następowała odpowiedź i znów cisza zalegała komnatę, głębsza, smutniejsza. Niekiedy ktoś zagadywał półgłosem do najbliższego sobie sąsiada, choć go nie znał, choć go pierwszy raz w życiu oglądał. Przedmiot rozmowy i jej forma były zawsze jedne. Niekiedy któryś z medyków do komnaty zajrzał, znajomego oczyma wyszukał i relacyę mu zdawał. Wówczas jeden i drugi z najbliższych do mówiącego podchodził i słuchał, zaczem tworzyła się gromadka — nikt na dyskrecyę nie zważał.

Dniało. Dopalały się świece w pająku. W komnacie osób wciąż przybywało, tak, że otworzono drzwi do sali obok, aby miejsca przysporzyć. Nad ranem dopiero w komnacie ukazał się generał Kosiński. Był blady, wyczerpany.

— Jednakowo wciąż? — zapytał go jeden z obecnych.

— Nieprzytomny.

Mijały godziny. Słońce dźwignęło się, roziskrzyło różową tarczę, rozpaliło ją do białości i wzbiło się pod nie-

---

[1]) Akselbant (z niem.), sznur zawieszony na prawem ramieniu, jako ozdoba u munduru niektórych wojskowych.

biosa, ukazując w całej krasie piękny, jasny dzień czerwcowy.

Wódz legionów od wczorajszego wieczora na poły obumarły, odetchnął głębiej, poruszył się i oczy otworzył. Postać niewieścia, czuwająca u wezgłowia, zerwała się i bez szelestu do ręki chorego przypadła.

— Daj mi pić, Basiu!

Postać wśród półmroku komnaty pośpieszyła do stolika i podała napój. Wódz pił długo, chciwie.

— Późno już?

— Po południu.

— A tak mroczno.

— Przywarliśmy okiennice.

— Otwórz je, otwórz... niech widzę, niech patrzę...

Fale światła wpadły do komnaty. Wódz oczy zmrużył, oswoił je z jasnością, rozwarł znów i poglądał w okół. Tak, toć w tej komnacie zawarł całą swoją tęsknicę, wszystkie smutki i radości, w niej najmilsze zebrał pamiątki. Toć w tej komnacie roiło się od skarbów nad skarbami, od relikwii, od świętości.

Więc ściany miały kunsztownymi freskami wyrażone cmentarzysko bohaterów a towarzyszów broni. Tu na tle italskiego nieba i Apenińskich łańcuchów, śród żałosnych cyprysów i rzymskich zwalisk — szły pomniki: umiłowanego Tremona, prawego Liberadzkiego, Darewskiego konfederata-legionisty, Lipczyńskiego szefa, kapitana Zadery: — dalej pod palmami Jabłonowskiego, co na San Domingo umarł, i Sułkowskiego, co w Egipcie poległ; — i tak w okół komnaty aż do rogu, kędy strzęp olszyny unosił się nad imieniem Godebskiego.

W komnacie zaś, tuż pod Godebskim, stały na ziemi dwie armatki mosiężne, a przy nich, na kobyłce, czaprak, dar rządu włoskiego, złotem haftowany i kulami z pod Novi zryty, na nim siodło i rząd w ogniu złocony. — Bliżej okna biuro, księgami założone i czarą króla Jana III. harde; — a tuż z lewej, we wgłębieniu, mała zbrojowienka generalska, co przytulniejsza, co kochańsza. Więc pałasz złoty, dar Naczelnika — więc starucha żelazna, co dwadzieścia dwa lat wojowała — więc pistolety księcia Józefa, bando-

lety i ładownice, ryngrafy i epolety od prochu zczerniałe — czapy i kapelusze, ołowiem znaczone, a pośrodku znak legioński czyli sztandar. W przeciwległej stronie sekretarka, kunsztownie wykładana a kryjąca i gwiazdy orderowe i krzyże i puzderko ze słynną agrafą brylantową, najwaleczniejszemu a rannemu pod Friedlandem Polakowi przez lud warszawski ofiarowaną, i perspektywę, co tyle rozstrzygała bitew, i pierścień z napisem: »ojczyzna swemu obrońcy«, co go Kościuszko od narodu dostał, a panu Dąbrowskiemu oddał, i papierzysków co niemiara, papierzysków ważkich, pieczęciami królewskiemi napuszonych... A przy sekretarce rzędem, w ordynku, niby na straży, trzy marmurowe kolumny: na pierwszej Czarniecki, na drugiej Sobieski, a na trzeciej Bonaparte, chmurny, zadumany. Ponad tym żołnierskim dobytkiem, hen pod sufitem, godło — tarcza z Orłem i Pogonią.

Wódz poglądał w okół długo a rzewnie, wreszcie ku żonie skinął:

— Daj mi rękę, Basiu! — Ciężko mi cię opuszczać, ale tak trzeba — trzeba, kochanie!

Kobieta padła na kolana przy łóżku i łkaniem wybuchnęła.

— Przed tobą zadanie wielkie... dwoje dziatek... Ku nim patrz i krzep się... Daj mi pić jeszcze. — Tak!... teraz mi lżej... Szczaniecki wrócił?

— Jest, Henryku. Pan Amilkar przyjechał, starosta Chłapowski...

— Proś ich do mnie, proś wszystkich... i kto z domowych, także wołaj — czasu nie wiele zostało.

Drzwi do komnaty skrzypnęły. Dwóch medyków weszło na palcach. Dąbrowski postrzegł ich.

— Czego waćpanowie — czego?

— Miłościwy panie, chcieliśmy nogę opatrzyć!

— Nie warta honoru.

— Jedna chwila.

— Więc jej szkoda. Opatrzycie sobie za godzinę. Teraz podnieście mnie wyżej. Dajcie czego, z sił opadam — pragnienie dławi.

— Może wina.

— Co chcecie.

Wódz osłabł nagle — oczy przymknął i dyszał ciężko — aż się targnął i spojrzał w głąb, kędy w rozwartych na ścieżaj drzwiach stała zwarta gromada towarzyszów broni, podkomendnych, sąsiadów, domowników i sług.

I wódz legionów wyciągnął ku nim ręce i żegnał się z każdym, i każdego zwał po imieniu, i każdemu słowo rzekł serdeczne, i każdemu upominek przeznaczył. I szli do wodza, chylili się doń i cisnęli do rąk. I szedł Amilkar Kosiński generał, i szedł Wawrzon, niegdyś sierżant, szedł Chłapowski, starosta kościański, i Balceżak, chłop z krzyżem żołnierskim na sukmanie, i Niegolewski pułkownik, i Marcin strzelec, i Prądzyński adjutant, i Mielżyński, pan na Miłosławiu, i Bobolecki ekonom, i foryś Snopek, i wojewoda Wybicki, posiwiały w jednych z wodzem zabiegach, i pan Kwilecki z Wróblewa, i Ludwik Szczaniecki, z dziewiątego roku najmilszy pana Dąbrowskiego sztabowiec, i Filip kołodziej, i Janek, sierota po doboszu, pana Dąbrowskiego chrzestny, i Łukasiński major, choć obcy, i Sitko kmieć, i Solecki proboszcz, i Zajączkowska szafarka, i stangret Jędrek, i Siamsio żyd.

I szli jeszcze inni, bo wódz sam jeszcze szukał w gromadzie, nikogo nie pominął, każdego dojrzał.

A potem adjutanta Prądzyńskiego przyzwał i ordynans ostatni mu wydał.

— Po żołniersku mnie pochowacie. Mundur legioński, nie inny... Trzy kule moje — z pod Novi, Tczewa i Berezyny — i trzy szable, wierne drużki, do trumny... Nic zresztą, żadnych wstęg, żadnych orderów!... Nie chcę okazałości — żołnierzem jestem, nie personatem, nie dygnitarzem...

Po tych słowach znów wódz legionów osłabł i umilkł.

Cisza zaległa komnatę, cisza dławionych łkań, łez stężałych z bólu, zamarłych serc. Aż twarz wodza znów płomieniem życia zajaśniała: — Amilkar!

Generał Kosiński ujął rękę Dąbrowskiego.

— Powiedz im — powiedz, niech się łączą... niech ławą idą!... Niech na własne liczą siły... niech rąk nie opuszczają!...

Przy tych słowach głos wodza spotężniał, szare jego oczy zabłyszczały.

Kosiński oburącz dłoń wodza cisnął.

— Błogosław nam — szeptał — błogosław, generale!

— Miłujcie się!... Strzeżcie się niezgody!... Łączcie się... łączcie!... Dzieci moje!... Basieńko!...

Pani generałowa z dwojgiem sierotek u wezgłowia uklękła. Dąbrowski już dyszał, już odchodził, gdy naraz jakaś myśl straszna sfałdowała mu wyniosłe czoło. Szarpnął się, ostatek sił zebrał.

— A od tych... nic nie przyjmiesz, o nic nie poprosisz! Nie im służyłem... Niech żadne z dzieci moich ani tknie złota najezdcy!... Bóg z wami...

I twarz wodza rozchmurzyła się, ostatni błysk życia źrenicami spłynął, pierś wezbrała raz jeszcze i opadła na zawsze. Skonał.

Sześć dni biły dzwony winnogórskie, sześć dni głosiły ziemi polskiej wieść żałobną, sześć dni jeszcze widokiem drogiego oblicza wodza legionów krzepiły się tłumy ludu — aż zawarło się wieko trumny, aż ukochane zwłoki dźwignęli posiwiali w komendzie generała żołnierze, aż je ponieśli.

Kościół winnogórski kirem się okrył, zielenią umaił i zajaśniał światłami, a lud skupił się u stóp stojącej w pośrodku trumny, bo trumna ta zawarła w sobie wszystko, co przez ćwierćwiecze było ziemi polskiej chwałą, nadzieją i wiarą.

Po ukończeniu modłów, które w licznej asyście odprawił ksiądz Miaskowski, proboszcz katedralny poznański, stanął u stóp katafalku w legionskim mundurze Amilkar Kosiński, na głowni pałasza drżącą wsparł rękę, powiódł dokoła groźnem a łzami lśniącem spojrzeniem i zawołał: — Jeden był ziemi naszej generał! Na te słowa pierś ludu żałosnym zadygotała jękiem.

A Kosiński słów nie dobierał, ani sztucznych nie układał zwrotów, jeno mówił z serca, a mówił tak, że chwilami zdawało się, jakby łomot bitwy tuż się rozlegał, jakby z grobu dźwigali się wojownicy na wtóre za ojczyznę

umieranie, jakby ognie biwakowe[1]) wygnańców modlitewnym sekundowały poszmerem, jakby wódz ukochany szedł wciąż na czele, wiódł, prowadził, zwyciężał. A kiedy w ostatku Amilkar Kosiński twarz ku trumnie zwrócił i zakończył gromko: Panie generale Dąbrowski! a kiedy raport swój niebieski zdasz, wróć na ziemię ojczystą, trwaj w nas i wiedź nas, bo my pod twoim dalej iść chcemy przewodem! — tysiąc piersi załkało: »pod twoim przewodem!...«

Wiesław S. (Księżna Łowicka).

71. Życzenie rycerza.

A gdy będą mnie chowali,
Niech zadzwoni trąbka w dali,
Niech zadzwoni w cichym szlaku
Jakby sygnał do ataku!

A gdy padną pierwsze bryły,
Zaśpiewajcie u mogiły,
Zaśpiewajcie zamiast płaczu:
O żołnierzu, o tułaczu!

A gdy grabarz grób zawali,
Niech się lampka na nim pali,
Niech się płomyk tli pomału
Jakby lonty u zapału!

A gałęzi wierzby starej
Niech mi szumią jak sztandary,
Jak te ptaki z krwawem pierzem
Sumujące nad rycerzem.

A gdy pusto w krąg już będzie,
Niech nad grobem piosnka siędzie
I niech dzieciom bajkę plecie
O żołnierzu na pikiecie...

Or-Ot.

72. Chopin i Liszt.

Chopin jednego tylko miał współzawodnika: był nim Liszt. Jednak ze współzawodnictwa tego z czasem wywiązała się pomiędzy nimi przyjaźń. Nie mieli też powodu zazdrościć sobie wzajemnie: Liszt, namiętny, dramatyk, gotowy do burzy, Chopin, równie entuzyastyczny, lecz równocześnie rzewny, oddziaływający głównie na serce, często rozmarzony, a zawsze poetyczny. Mogli więc obaj panować, nie wkraczając w dziedziny właściwego im władztwa.

[1]) Ognie rozpalane przez wojska obozujące pod gołem niebem.

Pewnego wieczoru było liczniejsze, niż zwykle, zebranie w Nohand u pani Georges Sand, która oprócz Liszta Chopina i domowników swoich zaprosiła tego dnia jeszcze

Fryderyk Chopin. — (Portret Ary Scheffera).

kilka rodzin z sąsiedztwa. Na tem zebraniu Liszt, zaproszony do fortepianu, wykonał nokturn Chopina, dodając od siebie kilka szczegółów.

Podczas gry twarz Chopina wyrażała niepokój i pomieszanie: artysta, którego utwór kaleczono, nie mógł dłu-

żej powstrzymać niecierpliwości, powstał i rzekł do Liszta głosem poważnym, zimnym:

— Mój drogi, jeżeli robisz mi ten zaszczyt, że grasz moje kompozycye, to raczże grać tak, jakem je napisał.

— A więc graj je sam — odpowiedział Liszt, nieco urażony, i wstał od fortepianu.

— Chętnie, niech wyniosą światło — rzekł Chopin. — Światło księżyca wystarczy.

Gdy uczyniono zadość jego żądaniu, zaczął improwizować. Jakaż to była improwizacya! Niepodobna słowami określić natchnienia, jakie płynęło z pod czarodziejskich palców Chopina.

Skończył i światło wniesiono: wszystkich oczy były zwilżone łzami. Liszt, głęboko wzruszony, wyciągnął do przyjaciela ramiona:

— O! masz racyę, mój drogi; takich dzieł jak twoje nikt nie powinien się dotykać: tyś prawdziwy poeta!

— Ach, to nic, tylko że każdy z nas ma inny styl. Przecież wiesz, że nikt tak nie gra Beethovera i Webera jak ty. Zagraj nam teraz Adagio Beethovena — ale tak, jakto grać umiesz, kiedy chcesz.

Liszt zaczął grać.

Z Wypisów *Flor. Łagowskiego.*

---

73. Na wiosnę.

(Dzieło 33. Mazurek 3).

Och wiosno! W ślicznym świecie
Świeć ty dla mnie, długo świeć!
Skowronku! Boży dzwonku,
Z mojem sercem w niebo leć!
Promienie, woń i kwiecie!
Ja w nich dźwięczę nito zdrój —
W pokorze ręce złożę:
Boże dobry!... Mój Ty, mój!

Ja pieszczotka taka wiotka
Biegnę w słońcu przez wrzos —
Zgięci bólem i rozpaczą
Gdzieś po kątach ludzie płaczą!

We mgle rannej, lotny, szklanny,
Dźwięczy szczęściem mój głos —
Po ciemnicach smutną nutę
Wybrzękują ręce skute!

Och wiosno! w ślicznym świecie
Świeć ty wszystkim, jasno świeć!
Skowronku! Boży dzwonku,
Z moją prośbą w niebo leć!
Wy nieba! czy wy wiecie,
Że tu krwawy ciecze znój?
Ach śpieszaj i pocieszaj,
Boże dobry! — Mój Ty, mój!

Korneli Ujejski (Tłómaczenia Chopina).

74. Wniebowzięcie.

(Dzieło 28. Preludyum 7).

1.

Leżę na obłoku,
Roztopiony w ciszę,
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;
Fiołkowej woni
Opływa mię morze,
Dłoń złożywszy w dłoni,
Lecę, płynę gdzieś...

2.

Nie wiem, gdzie, czem jestem —
Czym anioł na poły?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.
Chyba Bóg określi
Moją słodycz... — Boże!
Ach, nie zbudź mej myśli
I serca nie wskrześ!...

Korneli Ujejski (Tłómaczenia Chopina).

75. Śpiew z mogiły.*)

Leci liście z drzewa,
Co wyrosło wolne;
Z nad mogiły śpiewa
Jakieś ptaszę polne:

»Nie było — nie było
Polsko, dobra tobie!
Wszystko się prześniło,
A twe dzieci w grobie.

»Popalone sioła,
Rozwalone miasta,
A w polu dokoła
Zawodzi niewiasta:

Wszyscy poszli z domu,
Wzięli z sobą kosy,
Robić niema komu,
W polu giną kłosy.

*) Do tej pieśni prześliczną muzykę ułożył Fryd. Chopin (17 Pieśni polskich z towarzyszeniem fortepianu przez Fryd. Chopina. Op. 74.).

»Kiedy pod Warszawą
Dziatwa się zbierała,
Zdało się, że z sławą
Wyjdzie Polska cała.

»Bili zimę całą,
Bili się przez lato;
Lecz w jesieni za to
I dziatwy nie stało.

»Skończyły się boje,
Ale pusta praca,
Bo w zagony swoje
Nikt z braci nie wraca.

»Jednych ziemia gniecie,
A inni w niewoli,
A inni po świecie
Bez chaty i roli.

»Ni pomocy z nieba
Ani z ludzkiej ręki;
Pusto leży gleba,
Darmo kwitną wdzięki.

»O polska kraino!
Gdyby ci rodacy,
Co za ciebie giną,
Wzięli się do pracy

I po garstce ziemi
Z ojczyzny zabrali:
Jużby dłońmi swemi
Polskę usypali...«

Wincenty Pol (Pieśni Janusza).

76. Śmierć i pogrzeb Chopina.

Z nadejściem lata r. 1849., kiedy się zaczęły upały, poradzono Chopinowi, ażeby zamieszkał gdzieś pod Paryżem, na świeżem powietrzu. Jakoż wynaleziono mu odpowiednie mieszkanie, położone w ogrodzie, zdala od miejskiego gwaru i pyłu. Mimoto stan jego zdrowia nie poprawiał się, przeciwnie, widać było, że choroba postępuje; nie dość, że kaszlał i dusił się, ale jeszcze i nogi zaczęły mu puchnąć. Lekarze nie umieli zaradzić złemu, gdyż choroba była nieuleczalna. Chory, jak zwykle suchotnicy, nie wiedział o tem, a w rozmowach z przyjaciółmi nie tyle ubolewał nad swoim beznadziejnym stanem, ile nad przykrem swem położeniem materyalnem: nie mógł bowiem dawać lekcyi, które były głównem źródłem jego dochodów, ani komponować. Kiedy jedna z bardzo bogatych uczenic Chopina dowiedziała się o jego kłopotach, natychmiast przysłała mu 25.000 franków. Łatwo sobie można wyobrazić, jak to bolało chorego, że datek ten musiał przyjąć.

Tak upłynęło sześć tygodni. Zbliżała się jesień. Zaczęto zastanawiać się nad tem, czyby nie było dobrze wysłać

chorego do Włoch. Lekarze sprzeciwili się temu; radzili tylko, ażeby wyszukać mu mieszkanie z oknami na południe. Skoro znaleziono takie mieszkanie (przy Place Vendome nr. 12), nastąpiły przenosiny. Chopin był tak bezsilny, że nawet siedzieć nie mógł niepodtrzymywany, jednakże nowem mieszkaniem cieszył się niezmiernie.

Atoli stan jego zdrowia pogorszył się do tego stopnia, że postanowiono napisać do jego rodziny. Na to wezwanie przyjechała jego siostra, Ludwika Jędrzejowiczowa, z mężem i córką. Chory ucieszył się ich przybyciem, ale ciało jego trawiła gorączka, a morderczy kaszel wyczerpywał ostatek sił. Lekarze zwątpili już o możności ratunku, tylko sam chory nie wątpił. Kiedy zwołano konsylium, nalegał, ażeby wezwano najsławniejszego podówczas lekarza chorób dziecięcych. »On mnie najprędzej pomoże — mówił — bo we mnie jest coś dziecka«.

Dnia 15. października począł tracić głos, dostał chrypki. Otoczony gronem przyjaciół i uczenic, pielęgnowany przez siostrę, która nie odstępowała jego łoża, uśmiechał się do nich. Tegoż dnia przyjechała z Nizzy Delfina Potocka. Chopin, ujrzawszy ją, ucieszył się niezmiernie, a po chwili wyraził życzenie, że chętnie posłuchałby jej śpiewu. Delfina Potocka była wzruszona, głos jej łamał się z bolu, ale nie mogła odmówić życzeniu umierającego. Wsunięto więc fortepian ze sąsiedniego pokoju, a gdy się wszyscy uciszyli, zaśpiewała aryę z jednej opery Belliniego.

Tegoż dnia Chopin polecił siostrze, ażeby spaliła wszystkie papiery po nim, a nawet i kompozycye jego, które uzna za gorsze. »Winienem to publiczności — mówił — i sobie, ażeby ogłaszać tylko rzeczy dobre. Trzymałem się tego przez całe życie, chcę trzymać się i teraz«.

Tymczasem, kiedy te rzewne sceny rozgrywały się w sypialni chorego, w przyległych pokojach panował tłum, ścisk: cały Paryż muzykalny i ziomkowie najpoważniejsi, bawiący na emigracyi, dowiedziawszy się, że Chopin umiera, chcieli go jeszcze widzieć i pożegnać.

Ale nie wszystkich można było dopuścić do niego... Ci, którzy mieli to szczęście, byli zdumieni jego spokojem:

ze wszystkimi rozmawiał uprzejmie i żegnał się po prostu, jak przed podróżą...

Noc z dnia 15. na 16. października była bardzo ciężka. Nie spał, a dusząc się ciągle, cierpiał okropnie. Rano polepszyło mu się. — »Czuję ulgę — rzekł; — to źle, bo mię to przywiązuje do życia, a ja powinienem się od niego odrywać«. A zwracając się do przyjaciół, rzekł: »Będziecie grywali na moją pamiątkę, a ja was będę stamtąd słyszał«. — »Będziemy grywali twoją sonatę« — wtrącił jeden z przyjaciół. — »O nie! nie moją — odrzekł; — będziecie grali Mozarta na moją pamiątkę«.

Tego dnia wyspowiadał się przed ks. Jełowickim, swoim przyjacielem z lat dziecięcych i przyjął sakramenta św., a po chwili, ochłonąwszy z wzruszenia, wyraził szczerą radość z tego powodu. Potem żegnał się z najbliższymi przyjaciółmi, a widząc ich płacz, mówił z anielskim spokojem: »Dobrze mi, że tak umieram... Siostro moja kochana, nie płacz!... Nie płaczcie, przyjaciele moi: jam szczęśliwy! Czuję, że umieram... Módlcie się za mnie!... Do widzenia w niebie!...«

W nocy zaczęło się konanie. Leżał na wznak, niemy. Zdawało się, że stracił przytomność, ale gdy lekarz zapytał, czy cierpi, odrzekł wyraźnie: »Już nie!« Po północy zażądał wody z winem. Wtedy przyjaciel jego Gutman podniósł go z poduszek i podał mu do ust szklankę. Chopin napił się, a kiedy Gutman układał go na poduszkach, rzekł doń: »Drogi przyjacielu!« To były ostatnie jego słowa. Umarł między godz. 2. a 3. w nocy.

Nad ranem malarz Kwiatkowski narysował jego portret tak, jak wyglądał po skonaniu: z głową rzuconą w tył, z dziwną słodyczą rozlaną na całej twarzy. Potem zdjęto maskę pośmiertną... Nazajutrz, gdy już leżał ubrany na łóżku, zniesiono tyle kwiatów, że wyglądał, jakby spoczywał w jakimś zaczarowonym ogrodzie...

Pogrzeb odbył się dopiero dnia 30. października. O g. 12. w południe na placu przed kościołem św. Magdaleny i na wszystkich przyległych ulicach cisnęły się nieprzejrzane tłumy ludu. Fronton kościoła był żałobnie przystrojony, do wnętrza zaś wpuszczano tylko za biletami. We-

wnątrz, w olbrzymiej nawie kościoła, tłoczyło się przeszło 3000 osób. W samym środku nawy wznosił się katafalk, przybrany zielenią i otoczony lasem jarzących się świec. Kiedy wniesiono trumnę ze zwłokami, zabrzmiały przejmujące dźwięki Chopinowskiego »Marsza pogrzebowego«, a gdy już trumnę złożono pod sklepieniem katafalku, orkiestra i chóry Konserwatoryum wykonały »Requiem« Mozarta, przyczem partye solowe śpiewali artyści opery. Następnie odbyło się nabożeństwo, podczas którego słynny organista kościoła św. Magdaleny grał na organach dwa smętne preludya Chopina i improwizował waryacye na różne z dzieł jego tematy.

Po nabożeństwie wyniesiono trumnę z kościoła. Za wozem z niezliczoną ilością wieńców i za karawanem postępował olbrzymi orszak pogrzebowy ku cmentarzowi Père Lachaise[1]). Na czele szli Mayerbeer i książę Adam Czartoryski, sznury od trumny trzymali przyjaciele zmarłego. Na cmentarzu nie było żadnej mowy, tylko gdy trumnę spuszczano już do dołu, wysypano na nią garść polskiej ziemi, tę samą, którą przed 20 laty Chopinowi, wyjeżdżającemu z Warszawy, dali w srebrnej czarze żegnający się z nim przyjaciele.

Serce Chopina przewieziono w urnie do Warszawy, gdzie spoczywa wmurowane w lewą ścianę głównej nawy kościoła św. Krzyża. Było to życzeniem samego mistrza, choć mu bowiem połowę życia wypadło spędzić wśród obcych, to jednak serce jego ani na chwilę nie przestało bić dla kraju, którego — pomimo niepolskiego nazwiska — był jednym z najprzywiązańszych synów.

Pięknie powiada Stanisław Tarnowski: Kiedy się ma do czynienia z naszą poezyą XIX. wieku, mianowicie z jej wielką trójcą poetyczną, mimowoli myśli się o Chopinie jako o czwartym poecie Polski ówczesnej. Mimowoli słyszy się w duszy jego Poloneza, który jest jakby akompaniamentem do końcowego obrazu Pana Tadeusza. Kiedy czytamy tęskne i rzewne skargi Słowackiego, któremu tak »trudno do tego życia, jakie miał, przywyknąć« i »zapom-

[1]) Czyt. Per Laszez.

nieć wdzięku, co młodość odludną wodził na starych opłotki cmentarzy«: przypominają się jakieś oderwane, żałosne, tęskne dźwięki Preludyów lub Mazurków Chopina, jak gdyby ta muzyka była tylko innym wyrazem tej samej myśli, tego samego uczucia. A kiedy Krasiński opowiada »czyściec dni teraźniejszych« i »jak Dant za życia przechodzi przez piekło«, wtedy zda się, jak gdyby do tego straszliwego pochodu grały mu głuche, ponure, przerażające akordy Marsza żałobnego. A kiedy tamci trzej »archanielskiemi skrzydłami i głosem« strzegli »narodowego pamiątek kościoła«, ten czwarty był jak ów słowik Wajdeloty, co

Brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby —

a pieśń jego — szczęśliwsza od tamtych przez to, że wyśpiewana w uniwersalnym języku muzyki — jedna na prawdę »tłum ludzi obiegła«.

Ferd. Hoesick
(Fryd. Chopin. Zarys biograficzny).

---

77. Muzyka Chopina.

Z kłębka bolów, z przędzy smutku,
Z wątłych nitek pajęczyny;
Z łez, co płyną pocichutku
I wsiąkają w serc szczeliny;
Z szumu dębów, z kos pobrzęku,
Od porannej rosy czystsza;
Z pogrzebowych dzwonów jęku:
Narodziła się pieśń Mistrza.

Ileż razy w nocnej ciszy,
Za dotknięciem jego ręki
Wybiegały z nad klawiszy
Symboliczne jakieś dźwięki:
Jakiś mazur zadumany
Lub krakowiak dziwnie smutny,
Co, nim poszedł w skoczne tany,
Już się rozwiał w marsz pokutny...

Nie do tańca tańce były,
Które tworzył Mistrz natchniony;
Był to niby jęk z mogiły,
Własnym głosem przerażony;
Nawet owe posuwiste
Poloneza męskie ruchy
Były takie jakieś mgliste,
Jakby go tańczyły duchy.

Bo on duchów był kochankiem,
Chociaż ziemskie dźwigał brzemię;
Był jak zorza, co porankiem
Złoci smutną mogił ziemię;
Nad grobami zadumany,
Wierzył w rozbłysk życia nowy
I wśród zwalisk stał, wsłuchany
W ducha pieśni narodowej.

Z nią też odszedł Mocarz tonów,
Nakształt gwiazdy, drogą mleczną;
Tę pieśń polską, z jękiem dzwonów,
Biorąc z sobą w podróż wieczną.
Ku niej gasnąc zwracał oko
Z życia swego tchem ostatnim,
By ją zagrać tam, wysoko,
Archanielskim hufcom bratnim.

Władysław Bełza.

* 1798 (24 XII) w Nowogródku
† 1855 (26. XI.) w Konstantynopolu

78. Śmierć i pogrzeb Adama Mickiewicza.

Było to dnia 26. listopada 1855. roku. W osamotnionym domu przy ulicy Kalendżi Kuluk, w ciemnym i wilgotnym pokoju, do którego światło dzienne wpadało skąpo przez jedyne okno, zabezpieczone od zewnątrz gęstą, żelazną kratą, na ubogiem łożu, stojącem w kącie izby, konał największy geniusz nie tylko Polski, ale całej Słowiańszczyzny.

Ciężki oddech dobywał się z piersi umierającego, a z przymkniętych ust wydzierał się od czasu do czasu jęk wstrząsający serce lub jakiś wyraz, którego znaczenia trudno się było dorozumieć.

Przy łożu, u nóg poety, siedział z załamanemi rękami wierny towarzysz jego wschodniej podróży, Henryk Służalski, a trochę opodal stał drugi jego przyjaciel, pełniący przy nim obowiązki sekretarza, Armand Lévy, rozmawiając półgłosem z lekarzem, którego ruchy i smutny wyraz twarzy kazały przypuszczać, że dla chorego niema już żadnego ratunku. Pułkownik Kuczyński i ks. Ławrynowicz, Litwin, którzy również w tej chwili znajdowali się w izbie, ciężko strapieni, stali u wezgłowia poety.

Nagle chory poruszył się na łożu; przymknięte dotąd powieki rozwarły się z wysiłkiem. Obecni skwapliwie nachylili się nad umierającym, który utkwił w nich wzrok szklany i z niewymowną trudnością wyszeptał: »Powiedzcie moim dzieciom, niech się zawsze kochają pomiędzy sobą«.

Były to ostatnie jego wyrazy. Poczem głowa z ciężkością opadła na poduszkę; z piersi raz jeszcze wydarł się jęk stłumiony i za chwilę nastąpiła cisza. Mickiewicz już nie żył. Zegarek, leżący obok łoża zmarłego, wskazywał właśnie trzy kwadranse na dziewiątą wieczorem.

Obecni — a byli to ludzie zahartowani w ciężkich walkach i trudach życia, na których oku od dawna łza nie postała — »zaryczeli« z żalu i rozpaczy, jak gdyby z tem ulatującem życiem wieszcza zerwała się także nić ich własnego żywota. Wierny kozak Służalski zawodził głośno, jęcząc i skarżąc się jak dziecko; wzruszony lekarz oparł głowę o ramę u okna; pułkownik Kuczyński daremnie starał się zapanować nad sobą, a ksiądz Ławrynowicz zaledwie mógł dokończyć obrzędowych modłów, które co chwila przerywało mu łkanie. Po chwili dopiero zbliżył się do łoża nieboszczyka Armand Lévy i drżącą ręką przymknął mu powieki.

Noc całą Służalski z Lévym i Kuczyńskim spędzili na straży przy zwłokach Mickiewicza, »płacząc, dopóki łez stało«, i oddając się boleści i rozpamiętywaniu. Nazajutrz zjawili się dwaj lekarze konsulatu francuskiego, którzy z polecenia swego rządu zabalsamowali ciało i podpisali akt zejścia nieboszczyka.

Nastąpiła teraz druga, niemniej smutna dla towarzyszów jego chwila ubrania ciała i włożenia do trumny. Czynności tej dokonał Lévy ze Służalskim. Ubrano zwłoki w ulubione futerko Mickiewicza, które miał w darze od Bohdana Zaleskiego, na głowę włożono konfederatkę, a w ręce mały drewniany krucyfiks i zamknięto je w dwóch trumnach, ołowianej i drewnianej, przepasanej na krzyż sznurem, którego węzeł przymocowano do wieka zapomocą pieczęci konsulatu francuskiego.

W braku katafalka, wyjęto skrzydło drzwi wchodowych od izby, które oparto na dwóch drewnianych kozłach, i na tem podwyższeniu ustawiono trumnę. W tej izbie spoczywała ona aż do dnia 31. grudnia, to jest aż do chwili nadejścia pozwolenia od rządu francuskiego na przewiezienie ciała poety do Paryża.

Ten dzień 31. grudnia, wyznaczony na eksportacyę zwłok Mickiewicza, był ponury i słotny. Od samego rana przepadywał deszcz drobny, ale gęsty i przenikliwy; niebo, zaciągnięte ołowianemi chmurami, zdawało się przytłaczać ziemię swoim ciężarem; ludzie brnęli w błocie, a mimo tego było ich tak wielu, stanęła ich tak imponująca liczba, że orszak pogrzebowy, zebrany przed mieszkaniem nieboszczyka, zaledwie dozwalał ogarnąć się oku widza. Wszystkie narodowości zachodnie i słowiańskie pośpieszyły z oddaniem ostatniej posługi wieszczowi polskiemu. Widziałeś w tym orszaku Ormian i Żydów, Turków i Greków, Francuzów i Włochów; widziałeś w narodowych strojach Bułgarów, Serbów, Dalmatyńców i Czarnogórców; widziałeś wreszcie liczny zastęp kolonii polskiej, złożonej z rodaków naszych, przebywających podówczas na Wschodzie. Wszyscy oni w żałobnem skupieniu postępowali za trumną, która spoczywała na wozie, okrytym czarnym kirem, a ciągniętym przez parę wołów, użyczonych do tego ubogiego zaprzęgu przez szpital francuski w Konstantynopolu.

Pogrzeb zaczął się o godzinie 11. Poprzedzał go i zamykał oddział piechoty tureckiej w sile dwustu żołnierzy, z lufami od karabinów na znak żałoby spuszczonemi ku ziemi, pod komendą majora Jagmina. Po drodze wóz pogrzebowy zatrzymał się przed kościołem św. Antoniego,

gdzie ks. Ławrynowicz celebrował żałobne nabożeństwo. Zaraz z południa ruszono w tym samym porządku do portu Top-hane. Tu już czekał w pogotowiu do drogi parowiec »Eufrates«, na którego pokładzie ustawiono trumnę dla przewiezienia jej do Francyi. Tegoż samego dnia jeszcze »Eufrat« odbił od brzegów Turcyi i po siedmiodniowej podróży zawinął do portu w Marsylii.

Jakkolwiek zwłoki Mickiewicza już 9. stycznia 1856. roku złożone były w dolnym kościele św. Maryi Magdaleny w Paryżu, to wszakże z uwagi na rozprószonych po całej Francyi rodaków, którzy pragnęli wziąć udział w uroczystym pogrzebie poety, żałobny ten akt odbył się dopiero 21. stycznia. Był to znowu dzień słotny i mglisty, jeden z tych dni deszczowych, tak częstych w Paryżu, które zatrzymują mieszkańców w domach i wpływają fatalnie na ruch uliczny ludnego i gwarnego miasta. Pomimo tego liczne tłumy pośpieszyły do kościoła św. Magdaleny, tak, iż ogromna nawa tej świątyni zaledwie mogła pomieścić tłoczącą się do jej wnętrza publiczność.

W środku kościoła wznosił się wysoki katafalk, rzęsiście oświetlony, a u stóp jego stała trumna ze zwłokami poety, również jak on okolona tęczą światła i kwiatów, gdyż z powodu jej wielkich rozmiarów niepodobna jej było ustawić na katafalku.

Po odprawieniu żałobnych ceremonii wyruszył przez ulice Paryża imponujący swoim ogromem orszak pogrzebowy, na oddalony od miasta cmentarz w Montmorency.

W chwili zbliżania się orszaku, niebo, zasute dotąd ciężkiemi chmurami, poczęło się wypogadzać; deszcz ustał i dzień, który wstał »bez światła w oku«, rzucił o samem południu garść słonecznych promieni na trumnę poety.

Ale Bóg nie chciał, ażeby ten, co tak gorąco ukochał swój naród, iż »chciał go dźwignąć, uszczęśliwić, chciał nim cały świat zadziwić« — pozostał zdala od ojczystej ziemi, na tułactwie. Po trzydziestu czterech latach spoczynku w obcej ziemi zwłoki największego poety polskiego wróciły do ojczyzny i zajęły należne im miejsce w pobliżu grobów królewskich — na Wawelu. Złożono je tutaj dnia 4. lipca r. 1890. z największą uroczystością, przy współ-

udziale najdostojniejszych mężów całego kraju, wobec kilkudziesięciotysięcznego tłumu współziomków, przybyłych z najdalszych stron naszej ziemi, ażeby cześć oddać poecie.

Niezwykle podniosły był nastrój zebranych tłumów.

Kiedy z dworca kolejowego wyniesiono drogie szczątki wieszcza, a z okien pierwszego piętra zarzucono je kwiatami, łzy rozrzewnienia zabłysły w oczach wszystkich.

Złożono trumnę na wysokim, w kształcie ściętej piramidy zbudowanym karawanie, na posłaniu z kwiatów polnych, które przywieziono z rodzinnych stron poety, tak gorąco przez niego ukochanych. Na kąkolu, rumianku i bławatach, przeplatanych śnieżystymi pękami lilii i zieloną rutą, legł on, który niegdyś powiedział, iżby mu był

droższy, niż laur Kapitolu,
Wianek, rękami wieśniaczek usnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty.

Nad zwłokami wznosił się wspaniały baldachim, zawieszony na czterech kopiach, których groty sterczały wysoko: na nim widniały słowa poety: »O grób dla kości naszych w ziemi naszej prosimy Cię, Panie!« Po obu zaś bokach karawanu umieszczono obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej i Częstochowskiej.

Naprzód zabrał głos poseł sejmowy hr. Koziebrodzki, jeden z członków delegacyi, która z polecenia Wydziału krajowego jeździła do Paryża po zwłoki poety, i do rąk Marszałka krajowego złożył dokument, stwierdzający tożsamość zwłok wieszcza. Następnie przemówił syn poety, Władysław Mickiewicz, który oddając krajowi drogie szczątki swego ojca, wyraził gorącą wdzięczność za tak podniosły sposób oddania czci Zmarłemu.

Po pięknej mowie ówczesnego marszałka, hr. Jana Tarnowskiego, który imieniem kraju przyjął drogie narodowi polskiemu szczątki — ruszył olbrzymi pochód przybyłych ze wszystkich ziem Polski deputacyi z wieńcami. O wielkości pochodu wyobrażenie dać może to, że czoło pochodu było już u kościoła P. Maryi, kiedy karawan z trumną dopiero z miejsca ruszał. Kiedy zwłoki wieszcza

wjechały w ulicę Grodzką, wspaniale przystrojoną, spadła ze wszystkich okien na trumnę prawdziwa ulewa kwiatów.

Tak doszedł orszak do stoków Wawelu. Tutaj przemówił przedstawiciel młodzieży, poczem zdjętą z karawanu trumnę złożono na marach, które aż do katedry niosła młodzież akademicka. Ozwały się dzwony kościelne, zagrzmiał i stary dzwon Zygmunta, a wrażenie tej uroczystej chwili było tak wielkie, że obecni, zwłaszcza z dalszych stron ojczyzny przybyli, z wzruszenia płakali.

U wejścia do katedry czekał przybycia zwłok poseł dr. Adam Asnyk, najsławniejszy z żyjących wówczas poetów, który wraz z hr. Koziebrodzkim odebrał w Paryżu i przywiózł do kraju drogie szczątki wieszcza. Po nim jako profesor uniwersytetu jagiellońskiego przemówił jeszcze Stanisław hr. Tarnowski, poczem wniesiono trumnę do wnętrza katedry. Tutaj nabożeństwo żałobne odprawił kardynał Dunajewski, biskup krakowski, otoczony przybyłymi z całego kraju dostojnikami kościoła i ogromnym, bo przeszło 500 osób liczącym orszakiem duchowieństwa.

Po modłach kościelnych zniesiono trumnę wieszcza do podziemi katedry, gdzie spoczęła w osobnej krypcie, w pięknie wykonanym sarkofagu na piasku z Nowogródka i z rzeki Niemna.

Tak spełniły się gorące życzenia narodu.

Wieszcz nasz spoczął nad Wisłą pod strażą trzech mogił — a na ostatnią drogę dzwonił mu królewski Zygmunt, »co już wieków przedzwonił tyle«. Bóg spełnił korną modlitwę piewcy-tułacza: »O grób dla kości naszych na ziemi naszej — prosimy Cię, Panie!«. — Wysłuchał gorącej modlitwy słowika-poety Bohdana Zaleskiego, który żegnając naszego wieszcza imieniem narodu na cmentarzu w Montmorency, wysłał ku niebu te gorące błagalne słowa:

»Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem,
Zaprowadź zwłoki wieszcza do ojczyzny cudem!«

79. Mowa Adama Asnyka

na pogrzebie Adama Mickiewicza w Krakowie, w dniu 4. lipca 1890.

Po utracie naszej niepodległości, gdy zabrakło nam dawnych królów i hetmanów, gdy znak królewski z orłem i pogonią padł na dziejowem pobojowisku, a oręż w nierównej walce nie wystarczał do jego obrony, dla okrytego wstydem i żałobą ludu Opatrzność Boska nowego zesłała wodza. Wódz ten podniósł padający sztandar pokonanego narodu, uniósł go z zamętu przegranych walk i pogromu i rozwinął w błękitach na takich wyżynach, na jakich go już dosięgnąć nie mogły żadne nieprzyjazne moce. Przeniósł go z ziemi łez, na której ciężyła noga zwycięzcy, w nieśmiertelną krainę ducha, gdzie górować musi nad fizyczną przemocą, zmiennością doli, nad męką ciał, a nawet nad chwilowem zwątpieniem upadających pod ciężkiem brzemieniem pokoleń.

Wodzem tym był nieśmiertelnej pamięci Adam Mickiewicz.

Pod swoją buławą zgromadził on wszystkich wiernych synów narodu, zjednoczył waśniących się braci, powołał do życia uśpione dotąd siły i poprowadził na wielki bój idei, którego rozstrzygnięcie dokonać się musi ostatecznie w sumieniu ludzkości. Jemu zawdzięcza Polska, że ją uzbroił na wszystkie ciosy, zahartował na wszelkie męczarnie i dał jej w pieśni nieśmiertelne życie, zanim ją sąd ostateczny dziejów w nowe ubierze ciało.

Inne narody mają swoich wielkich poetów, mistrzów słowa i myślicieli, którzy twórczą myślą ogarniali całe epoki i wyprzedzali je nawet polotem geniuszu, zdobywali sobie ogólno-ludzkie znaczenie, nie posiadają jednak żadnego, któryby się tak zespolił miłością z rdzeniem narodowego żywota i objął całą jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, wszystkie jego smutki i niedole, wszystkie pragnienia i nadzieje, jak nasz Adam Mickiewicz. Źródłem bowiem jego natchnienia i twórczości była przedewszystkiem najczystsza, najgłębsza miłość, która, jak sam powiada w natchnionej swej improwizacyi:

...Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie,

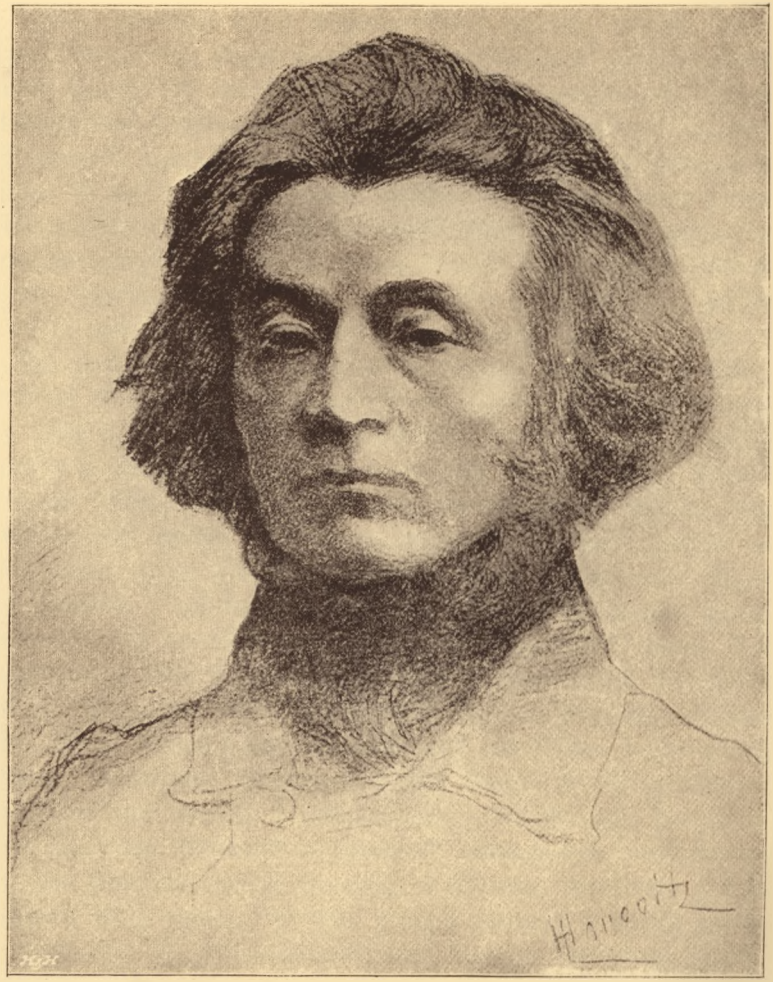

ADAM MICKIEWICZ.

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu, do łona
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec...

Ta wielka, serdeczna i promieniejąca na świat cały miłość, jaką ukochał swój nieszczęśliwy naród, miłość ogarniająca wszystkie wieki i pokolenia, umarłych, żywych i żyć dopiero mających, miłość zstępująca po namaszczenie wiary do kurhanów i pamiątek przeszłości, a po nadzieję do chat wieśniaczych jako do kolebki przyszłości, nadała geniuszowi jego w szeregu twórczych duchów świata odrębne a wyraziste piętno. Do bogatej harmonii przodujących piewców ludzkości przybył jeden potężny akord, który nigdy przedtem nie dźwięczał w takiej pełni i sile, przybył głos, który był wyrazem cierpień i uczuć całego pokutującego ludu.

Do panteonu ogólno-ludzkiej poezyi wtargnął wieszcz nawskróś narodowy i wniósł do niego przemienione na brylanty pieśni — łzy swoich współbraci. Mocą swego geniuszu otworzył światu oczy na nieznane mu widnokręgi, ukazał jak drugi Dante równie posępne krainy, nie ukryte już w otchłaniach przed wzrokiem śmiertelnych, lecz leżące na powierzchni ziemi i przymusił patrzeć na nieustanne męki ciał i duchów i na całą grozę tego ziemskiego piekła, z którego tylko płacz i zgrzytanie na zewnątrz dojść może. Jak Wergili prowadził Dantego, tak on doprowadził ludzkość przez te potępione okręgi, odsłonił wnętrza więzień, mroźne Sybiru łono, czarne pieczary kopalń, bielejące kości ofiar, daremne wysilenia ginących i całą tragedyę bezpłodnych męczeństw bez chwały i odkupienia. Jak Wergili Dantego, tak on pouczał ludzkość o rzeczach strasznych i nienazwanych, dla których niema imienia w języku żyjących, a ona zmuszona była uznać w nim swego mistrza i nauczyciela.

Jeżeli w ten sposób zabłysnął żywem światłem pierwszorzędnej gwiazdy na wszechświatowych wysokościach poezyi, dla nas był on słońcem, którego ożywcze promienie przeniknęły nawskróś pogrążoną w śnie grobowym ziemię. Pojawienie się jego było punktem zwrotnym nie tylko w naszej literaturze, tak ściśle z dziejami i wewnętrznem życiem związanej, ale zarazem w całem duchowem kształtowaniu

się społeczeństwa. Pierwsze zaś jego wystąpienie było niejako objawieniem budzącej się wiosny nowego i świeżego życia, pierwszem rozpostarciem orlich skrzydeł do lotu i wybuchem młodzieńczej siły, rwącej się do czynu i targającej krępujące ją pęta. Zrzucenie więzów, nałożonych poezyi przez niewolnicze naśladownictwo pseudoklasycyzmu było zapowiedzią usiłowań do skruszenia innych, stokroć boleśniejszych i więcej upokarzających. Był to punkt wyjścia, początek nadpowietrznej drogi na skrzydłach, które młodość podaje, do słońca prawdy i wolności. Pod światłem i ciepłem pierwszych promieni wschodzącego geniuszu stopniały lody gnuśności i samolubstwa, zakwitły pierwiosnki świeżych uczuć i dążeń — i zabiły żywiej serca młodzieży, a wieść gminna, ta arka między staremi a młodszemi laty, przemówiła głosem wiejskiego ludu, skarżącego się na tylowiekowe zaniedbanie i niedolę.

Cała Polska uczuła się silną, młodą i odrodzoną — i w ślad za Mickiewiczem zaczęła wierzyć, kochać i z pieśnią jak skowronek wzlatywać w błękity ku ukazującej się nowej jutrzni na niebie. Wstrząsnęła się fala nieokreślonych uczuć, jak pierwsze drgnienie jeszcze nieświadomej siebie miłości. Miłosny czar pieśni upajał młodociane serca, odczuwające już w sobie moc do łamania tego, czego rozum nie złamie i do popchnięcia bryły świata na nowe tory, lecz szukające jeszcze urzeczywistnienia swych ideałów w postaciach ziemskich kochanek. Rycerski zapał, żądza torowania dróg nowych i tkliwość truwerów podawały sobie ręce.

Tymczasem w duchowym rozwoju mistrza nastąpiła stanowcza przemiana. Umarł w nim Gustaw, goniący za marą ziemskiej miłości, a narodził się Konrad, poświęcony wyłącznie idei szczęścia i wielkości swego narodu. Umarł młodzieniec pożyczający barw tęczy, promieni jutrzenek i brzmień słowiczych dla swych rozkochanych pieśni, a narodził się mąż śpiżowy, nie mający litości dla cierpień własnych, i wpatrzony tylko całą duszą w cierpienia swojej ojczyzny.

I znowu w ślad za mistrzem zaczęły się zwracać wszystkie serca i urabiać na wzór dany przez niego i cała myśląca i czująca Polska przedzierzgnęła się w poważnego

i surowego Konrada, oddanego jednej myśli, jednemu uczuciu. Złote sny o osobistem szczęściu, tęskne skargi zakochanych ustąpić musiały miejsca idei zaparcia się i poświęcenia, a wszystkie pragnienia skupić się w jednem wielkiem pragnieniu ujrzenia swej ojczyzny szczęśliwą i wielką.

Pieśń mistrza przeszła w krew i życie narodu, stała się ciałem, czynem ofiarnym, dogmatem wiary, podporą w dniach klęski i proroctwem lepszej przyszłości. Wychowywały się na niej całe pokolenia, nią żyły, w jej imię walczyły i ginęły, przekazując je następnym jako palladyum odrodzenia. Silniejszą była nad wszystkie nieszczęścia i zawody i przenikała coraz to głębiej do różnych warstw narodu, powołując do życia coraz to nowych wyznawców.

Tak przeszła do naszych czasów i nic nie straciwszy na swej świeżości i sile, żyje w nas i z nami. Żyje ona w naszych instynktach, myślach, dążeniach, bądź świadomie bądź nawet nieświadomie, stała się bowiem częścią naszej duszy, składową częścią moralnego organizmu. Jej zawdzięczamy, żeśmy nie skarleli i nie znikczemnieli do szczętu, jej zawdzięczamy resztę cnót naszych, które bronią nas przed ostatecznym upadkiem.

Z niej nauczyliśmy się kochać przeszłość pomimo jej win i błędów, tem żywem uczuciem dziecka, które nie może być surowym sędzią swojej matki; z niej nauczyliśmy się stawiać czoło przeciwnościom i zarabiać na przyszłość, nie tracąc nigdy do szczętu otuchy i nadziei.

Wszyscy karmiliśmy się tem natchnionem słowem, tak, jak karmić się niem będą w przyszłości następne pokolenia.

Jakkolwiek zmieniać się mogą warunki bytu, prądy pojęć i wyobrażeń, myśl zasadnicza wieszcza stać będzie niewzruszenie ponad przelotnemi hasłami chwili. Nie jest ona bowiem własnością jednej epoki, jednej generacyi, jednego stronnictwa, jednej warstwy lub części narodu, lecz jest własnością wspólną całej cierpiącej, dobijającej się życia Polski. Pod jej wezwaniem cichną spory, wywołane zadaniami dni poprzednich, zacierają się różnice przekonań, znikają uprzedzenia i niechęci i wszystkie serca jednoczą się w bratniej zgodzie. Ten, co kochał i cierpiał za miliony, ma do rozporządzenia miliony serc zjednoczonych.

Najlepszym tego dowodem obecna chwila, w której cały naród oddaje mu cześć monarszą, wprowadzając do królewskich grobów na Wawelu drogie szczątki, cudem powracające na ojczyzny łono. Powróciły te popioły po wielu latach z obcej ziemi, by raz jeszcze z wnętrza grobu przemówić do całego ludu i zakląć go, ażeby niedostępny wszelkim pokusom lub zwątpieniom, nie zbaczał z twardej drogi obowiązku.

Ta trumna, te popioły mają wymowę, na jaką nie stać dziś żadnego z żywych. Niech więc mówią o niezłomnej wierze w sprawiedliwość Bożą, o nieśmiertelnej nadziei, której się nam wyrzec nie wolno, i o miłości, jaka serca nasze rozpalać powinna. Niech uzbroją w męstwo upadających pod brzemieniem nieszczęść i niech odsłonią tajemnicę życia, śmierci i zmartwychpowstania.

Niech głos ich głosem proroczym rozbiegnie się po całej ziemi od pałaców do chat wieśniaczych, zwiastować lepszą dolę i możność odkupienia win przeszłości przez cnotę i pracę.

Niech ten duch światła i miłości, który ożywiał niegdyś te popioły, poprowadzi nas dalej w przyszłość, jak ów słup promienisty, co prowadził niegdyś w ciemnościach lud Izraela, abyśmy następcom naszym przekazać mogli przynajmniej ciche zasługi, wytrwałość w przeciwnościach i ostatni nasz skarb: nieskalaną godność narodową.

Tem najlepiej uczcimy wielkiego męża, którego imię i chwała rozbrzmiewać będzie w Polsce po wszystkie wieki!

---

80. Ku czci Adama Mickiewicza.

(W setną rocznicę jego urodzin 1898).

...Sto lat już przeszło, odkąd bić poczęło
Najpotężniejsze serce, najgorętsze,
A miłość jego urodziła dzieło
Wielkie i wzniosłe, jak katedry wnętrze,
Gdzie się tysiące mieszczą, wznosząc czoła
W tęczową gloryę kopuły kościoła.

Co naród myślał, co kochał, w co wierzył,
I wszelką zdolność jego męskiej cnoty:

Jeden Duch w sobie przez dziwną moc dzierżył
I z serca swego ulał posąg złoty,
A kiedy naród oń sercem uderzył,
Ten posąg dźwięczy jak zbroja rycerzy.

Słuchajcie! Fala tych dźwięków w dal płynie,
Dalej i dalej... ogromna, wspaniała...
Już się po całej rozlała krainie,
Wśród pól pszenicznych i wśród łąk zagrała,
Już ją wśród lasów słychać i wśród jarów...
Idzie w dal... płynie... dzwoni... pełna czarów...

Tylko nam sercem o ten posąg złoty
Bić i dobywać zeń te dźwięki grzmiące —
Patrzcie! słuchają... Od twardej roboty
Odjęli ręce — bo oto im słońce
Jakoby nowe wschodzi w ciemne noce
I promienieje i światłem migoce.

Więc otworzyli szeroko powieki,
Połą siermięgi przetarli źrenice —
Oto głos skądsiś tu płynie daleki,
Podobny jakiejś niebieskiej muzyce —
Zali to Anioł idzie przez dąbrowy,
A flet ustrugał z gałęzi wierzbowej?...

Więc się od pługów chylą gospodarze
I w łapciach słucha z pastwiska pacholę
I dziewki krasne odwracają twarze,
A pieśń cudowna płynie z pola w pole,
Z chaty do chaty płynie między zboża,
A gra na sercach jak słońce, jak zorza...

Nam tylko sercem bić o ten dzwon złoty!
Niech dzwoni, dzwoni!... Pieśni nic nie zgłuszy!
Tysięcy armat nie zgłuszą jej grzmoty!
Tysiące katorg nie wydrą jej z duszy;
Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało«...

Kazimierz Tetmajer (Hasła).

81. Zemsta.

Komedya w czterech aktach.
(W skróceniu).

OSOBY.

Cześnik Raptusiewicz.
Klara, jego synowica.
Rejent Milczek.
Wacław, syn Rejenta.
Podstolina.
Papkin.
Dyndalski, marszałek
Śmigalski, dworzanin } Cześnika.
Perełka, kuchmistrz
Murarze, hajduki, pachołki i t. d.

Scena na wsi.

AKT PIERWSZY.

Pokój w zamku Cześnika — drzwi na prawo, lewo i w środku — stoły, krzesła i t. d. — gitara angielska na ścianie.

SCENA I.

Cześnik, Dyndalski.

(Cześnik w białym żupanie bez pasa i w szlafmycy, siedzi przy stole po prawej od aktorów stronie, okulary na nosie, czyta papiery — za stołem trochę w głębi stoi Dyndalski, ręce w tył założone).

Cześnik *(jakby do siebie)*. Piękne dobra w każdym względzie —
Lasy — gleba wyśmienita —
Dobrą żoną pewnie będzie —
Co za czynsze! — To kobieta!...
Trzy folwarki. —

Dyndalski. Miła wdowa.

Cześnik. Arcymiła, ani słowa — *kładzie papiery.*
Cóż polewki dziś nie dacie? *(Dyndalski wychodzi).*
Długoż na czczo będę czekać? *(Po krótkiem milczeniu).*
Nie — nie trzeba rzeczy zwlekać —

(Dyndalski, spotkawszy we drzwiach hajduka, niosącego na tacy wazę, talerz, chleb i t. d., odbiera od niego i wraca — zawiązuje serwetę pod szyję Cześnikowi, potem podaje talerz z polewką, co wszystko nie tamuje rozmowy).

Qua[1]) opiekun i *qua* krewny
Miałbym z Klarą sukces pewny,
Ale Klara młoda, płocha,
Chociaż dzisiaj i pokocha,
Któż za jutro mi zaręczy!

Dyndalski *(nabierając na talerz)*. Nikt rozumny, jaśnie panie.

Cześnik *(po krótkiem milczeniu, biorąc talerz)*.
Ma dochody wprawdzie znaczne —
Podstolina ma znaczniejsze;

---

[1]) Jak, jako.

Z wdówką zatem działać zacznę.
Bawi z nami — w domu Klary,
Bo krewniaczka jej daleka...
(*Chwila milczenia*).

SCENA II.

Cześnik, Dyndalski, Papkin.

(*Papkin po francusku ubrany, przy szpadzie, krótkie spodnie, buty okrągłe do pół łydki, tupet i harcopf*[1]), *kapelusz stosowany — pod pachą para pistoletów — zawsze prędko mówi*).

Papkin. Bóg z waszmością, mój Cześniku!
Pędząc cwałem na rozkazy,
Zamęczyłem szkap bez liku.
Wywróciłem ze sto razy,
Tak, że z nowej mej kolaski
Gdzieś po drodze tylko trzaski.
Cześnik. A ja za to ręczyć mogę,
Że mój Papkin tu piechotą
Przewędrował całą drogę;
A na podróż dane złoto
Gdzieś zostawił przy labecie[2]).
Papkin (*pokazując pistolet*).
Patrz, Cześniku — poznasz przecie —
Cześnik. Cóż mam poznać?
Papkin. Wystrzelony,
Wypalony.
Dyndalski (*na stronie, odchodząc*).
Gdzieś na wrony.
Papkin. Gdzie, do kogo, milczeć muszę,
Lecz nie karty są przyczyną,
Żem się w drodze spóźnił nieco.
Ani ziewnął! na mą duszę!
Tak, z mej ręki wszyscy giną!
Cześnik (*poprawiając w mowie*). Wszystkie.
Papkin. Wszystkie?
Cześnik. Ćmy, komary.
Papkin. Waszmość nigdy nie dasz wiary.
Cześnik. Bom nie głupi, mocium panie.
Papkin. Ach, co widzę! tu śniadanie.
Cześnik. Ha, śniadanie.
Papkin. Ach, Cześniku!
Już to sześć dni i sześć nocy
Nic nie miałem na języku.

---

[1]) Tupet = peruka w węzeł związana; harcopf = warkocz, którym peruka się kończyła. — [2]) Labet = gatunek gry w karty.

Cześnik. Jedz i słuchaj.
Papkin. Tak się stanie.
(*Siada po drugiej stronie stołu — jak do siebie*).
Strzelam gracko, rzecz to znana.
Cześnik. Rzecz to znana, iż w mej mocy
Kazać zamknąć waszmość pana
Za wiadome dawne sprawki.
Papkin (*zastraszony*). Zamknąć! po co?
Cześnik. Dla zabawki.
Papkin. Czyż nie znajdziesz lepszej sobie?
Cześnik. Cicho! ciszej! Ja to mówię,
By odświeżyć w twej pamięci,
Nim powierzę moje chęci,
Coś mnie winien, a ja tobie.
Papkin. Ach, co każesz, wszystko zrobię. —
Byłbym zaraz dopadł konia...
Bom jest jeździec doskonały:
Niechaj będzie wzięty z błonia,
Dzik to dziki, lew to śmiały —
W mojem ręku jak owieczka,
Bom jest jeździec doskonały...
Cześnik. A bodajżeś!..
Papkin. Tylko pozwól:
Kładłem nawet w strzemię nogę,
Kiedy nagle wielka sprzeczka
Przedsięwziętą spóźnia drogę,
A ta była w tym sposobie...
Cześnik (*uderzając w stół, aż Papkin podskoczył na krześle*).
Ależ cicho.
Papkin. Nadtoś żywy.
Cześnik. A bezbożny ty języku!
I tyrkotny i kłamliwy.
Papkin. Nadtoś żywy, mój Cześniku.
Gdybym także, równie tobie,
Namiętności nie brał w ryzy,
(*uderzając rękojeść szpady*)
Ostrze mojej Artemizy...[1])
(*Uprzedzając uderzenie w stół Cześnika*)
Proszę mówić.
Cześnik (*po krótkiej chwili*). Ojciec Klary
Kupił ze wsią zamek stary...
Papkin. Fiu! — mój ojciec miał ich dziesięć.
Cześnik (*uderza w stół i mówi dalej*).
Tu mieszkamy jakby sowy;

[1]) Szpada.

Lecz co gorsza, że połowy
Drugiej zamku — czart dziedzicem.
(*Przestrach Papkina*).
Czy inaczej: Rejent Milczek —
Słodki, cichy, z kornem licem,
Ale z dyabłem, z dyabłem w duszy...

Papkin. Jednak zgodnie jak sąsiady...

Cześnik. Jeśli nie ja memi psoty,
Nikt go stąd już nie wyruszy.
Niema dnia bez sprzeczki, zwady —
Lecz potrzebne i układy.
Pisać? — nie chcę do niecnoty —
Iść tam? ślizko, mocium panie:
Mógłby otruć, zabić skrycie,
A mnie jeszcze miłe życie.
Więc dlatego wybrał ciebie:
Będziesz posłem tam w potrzebie.

Papkin. Za ten honor ściskam nogi,
Wielki czynisz swemu słudze;
Ale nazbyt jestem srogi:
Zamiast zgody wojnę wzbudzę.
A z powicia ślub uniosłem,
Nigdy w życiu nie być posłem.

Cześnik. Czem ja zechcę, Papkin będzie;
Bo mnie Papkin słuchać musi.

Papkin. Lecz porywczy w każdym względzie
Jak sąsiada Papkin zdusi?
Jak mu kulą łeb przewierci?
Jak na bigos go posieka?...
Któż natenczas sprawcą śmierci?
Kogoż za to kara czeka?

Cześnik. Biorę wszystko na sumienie.

Papkin. Chciej rozważyć.

Cześnik. Już się stało.
Teraz inne dam zlecenie:
Mości Papkin — ja się żenię.

Papkin. Ba!

Cześnik (*przedrzeźniając*). Cóżto: ba!

Papkin. Tak się cieszę!
I w tę sprawę chętnie śpieszę.
Powiedz, gdzie mam błysnąć chwałą? —
Mamże zostać dziewosłębem?
Mamże zmusić zbyt zuchwałą?
Mamże skłonić zbyt nieśmiałą?

Cześnik. Słuchaj — mówiąc między nami,
Bez mej chluby, twej urazy,
Więcej niż ty, mój Papkinie,

Mam rozumu tysiąc razy.
(*Papkin chce przerwać, co Cześnik znakiem wstrzymuje*)
Lecz rozprawiać z niewiastami,
Owe jakieś bałamutnie
Afektowe świegotanie;
Niech mi zaraz łeb kto utnie,
Nie potrafię, mocium panie.
Ty więc musisz swą wymową...

Papkin. Już jest twoją — daję słowo —
Chcesz, przysięgnę — masz już żonę,
Bo ja szczęście mam szalone:
Idę.

Cześnik. Dokąd?

Papkin. Prawda, nie wiem.

Cześnik. Podstolina...

Papkin. Już rozumiem.

Cześnik. Ja potrafię ci odwdzięczyć (*odchodzi*).

Papkin. Za Cześnika można ręczyć.

SCENA III.

Papkin. Cześnik wulkan — aż niemiło —
Gdybym krótko go nie trzymał,
Nie wiem, coby z światem było.
(*Po krótkiem myśleniu*).
Lecz nie będę ja tu drzemał
I w podziele tak się zwinę:
Jemu oddam Podstolinę,
Malowidło nieco stare;
Sobie wezmę śliczną Klarę.
Już oddawna mam nadzieję,
Że jej serce mnie się śmieje.
(*Po chwili*)
Znak dać muszę, że tu jestem:
Niechaj lubym śpiew szelestem
W lube, drogie uszko wpadnie —
Ach, jak anioł śpiewam ładnie!

(*Śpiewa przy angielskiej gitarze. ...Wtem wchodzi Podstolina. Papkin oznajmia jej, jakie względem niej zamiary ma Cześnik i zapytuje, jak się ona zapatruje na to. Podstolina daje do poznania, iż zgodziłaby się na to, jeżeliby Cześnik prosił o jej rękę* (*sc. IV.*). *Kiedy Papkin po odejściu Podstoliny zdumiewa się nad jej postanowieniem, wpada Cześnik*).

SCENA V.

Papkin, Cześnik.

Cześnik. Cóż u czarta! ty spokojny,
Kiedy Rejent mnie napada

I otwartej żąda wojny!
Lecz godnego ma sąsiada!
Dalej żwawo! — niech kto żyje,
Biegnie, pędzi, zgania, bije!
Papkin. Cóż się stało?
Cześnik. Mur naprawia,
Mur graniczny, trzech murarzy!
On rozkazał! on się waży!
Mur graniczny! — Trzech na murze!
Trzech wybiję, a mur zburzę,
Zburzę, zniszczę, aż do ziemi.
Papkin *(zmieszany, niechcący powtarza).*
Zburzę, zniszczę...
Cześnik. Dajesz słowo? —
Zbierz więc ludzi — ruszaj z niemi!
I jeżeli nie namową,
To przemocą spędź z roboty —
Ty się trzęsiesz?
Papkin. To z ochoty.
Ale czekaj — słuchaj wprzódy
Mojej szczytnej, pięknej ody.
Cześnik. Co?
Papkin. Tak, ody do pokoju —
A jeżeli żądza boju
Nie umilknie na głos Muzy...
Cześnik *(grożąc).* Zostań — Ale! *(odchodzi).*
Papkin *(idzie za nim ze spuszczoną głową).*
Pewne guzy! —

(Odmiana sceny. — Ogród — kawał muru całego, od lewej strony ku środkowi prosty — od środka w głąb sceny załamany i w połowie zburzony — przy tej części murarze pracują. — Po lewej stronie zupełnie w głębi za częścią całego muru, baszta albo róg mieszkania Rejenta, z oknem. — Nieco na przodzie po prawej stronie podobny róg mieszkania Cześnika).

SCENA VII.

(Papkin, Śmigalski, *kilku służących z kijami* — *później* Rejent i Cześnik *w oknach).*

Papkin. Panie majster, proszę waści
Przyzwoicie, grzecznie, ładnie,
Nie murować tu z napaści,
Bo mu na grzbiet co upadnie.
(Po krótkiem milczeniu)
Wy zaś drudzy dobrzy ludzie,
Którzy młotki, piony, kielnie,
W niepotrzebnym dzisiaj trudzie

Używacie arcydzielnie,
Idźcie wszyscy precz do czarta!
(Po krótkiem milczeniu)
Będzie widzę rzecz uparta!
Ta hołota, jakby głucha,
Mego słowa ani słucha. —
No, Śmigalski! nie trać czasu —
Ściągnij za kark! weź narzędzie!
Grzecznie, ładnie, bez hałasu,
Niech wszystkiemu koniec będzie.
Nic się nie bój — ja za tobą.

(Śmigalski posuwa się ze służącymi ku murarzom — Papkin cofa się za róg domu).

Śmigalski. Precz! precz!
Rejent *(w oknie).* Stójcie! co to znaczy?
Śmigalski. Cześnik, pan mój, kazać raczy,
Aby muru nie kończono.
Cześnik *(w oknie).* Tak jest, każę, bo mam prawo.
Dalej naprzód! dalej żwawo!

(Śmigalski posuwa się naprzód — Papkin, który był wyszedł, znowu się cofa za róg domu).

Rejent. Jakie prawo?
Cześnik. Jak kupiono
Mur graniczny, tak zostanie.
Rejent. Ależ luby, miły panie,
To szaleństwo z waszej strony —
I mur będzie naprawiony.
Cześnik. Wprzódy trupem go zaścielę.
Rejent *(do murarzy).* Kończcie śmiało, przyjaciele,
Gardźcie ze mną próżnym krzykiem.
Cześnik. Chcesz więc bójki?
Rejent. Mój Cześniku,
Mój sąsiedzie, luby, miły,
Przestań też być rozbójnikiem.
Cześnik. Co! jak! — Żwawo! bij co siły!

(Śmigalski ze swoimi ludźmi wstępuje na mur — murarze cofają się tak, że bójka zostaje zakryta częścią muru całego).

Rejent. Panie majster — ja w obronie —
Nic się nie bój! — niechaj bije,
Kiedy go tam swędzą dłonie.
Dobrze! dobrze! — po czuprynie —
Ot tak — lepiej! — co się wlezie! —
Nic się nie bój! — tego trzeba —
Niechaj bije! świat nie zginie!
Ja Cześnika za to skryję,
Gdzie nie widać ziemi, nieba!

Cześnik *(wołając za siebie).*
Hej! Gerwazy! daj gwintówkę!
Niechaj strącę tę makówkę —
Prędko! *(Rejent zamyka okno).*
Ha ha! fugas chrustas! —
No, Śmigalski, dosyć będzie!
Daj półzłotka, albo złoty
Baserunku dla hołoty,
Ale zabierz im narzędzie,
Dosyć, dosyć na dziś będzie. *(Zamyka okno).*

(Po odejściu wszystkich Papkin, obejrzawszy się, że już niema nikogo, mówi ku murowi).

Papkin *(sam).* Ha! hultaje, precz mi z drogi,
Bo na miazgę was rozgniotę —
Nie zostanie jednej nogi —
A mam dyablą dziś ochotę!
Wielu was tam? chodź tu który!
Nie wylezie żaden z dziury?
O wy łotry! o wy tchórze!
Jutro cały zamek zburzę.

SCENA VIII.

Papkin, Wacław.

Wacław *(stanąwszy tuż za nim).*
Jutro? *(Papkin zdejmuje kapelusz)*
Mamże wracać w progi,
Które pewnie, z przyszłą dobą,
Zrówna z ziemią wyrok srogi?
Wolę jeńcem iść za tobą!
Papkin *(wkładając kapelusz na bakier).*
Pardon, mówisz?
Wacław. Pardon, panie.
Papkin. Znasz me męstwo?
Wacław. Jak zły szeląg.
Papkin. Boisz mnie się?
Wacław. Niesłychanie!
Papkin. Pójdziesz za mną?
Wacław. Pójdę, panie.
Papkin. Któż ty jesteś?
Wacław. Jestem, Panie.
Papkin. Lecz czem jesteś?
Wacław. Czem ja jestem? —
Jestem... jestem...
Papkin *(chwytając za broń).*
Cóż to znaczy!
Wacław. Komisarzem mego pana.

Papkin. Co? Rejenta?
Wacław. Nie inaczej.
Papkin. Czy to, proszę, rzecz słychana!
Ledwie szlachcic na wioszczynę
Z pękiem długów się wydrapie —
Już mieć musi komisarza!
Dziw się potem, gdy się zdarza,
Że wołają: »Sto tysięcy!
Kto da więcej?«
A jak krzykną po raz trzeci,
Jakby z procy szlachcic leci
I do swego komisarza
Idzie w służbę za szafarza.
Ale chodźmy. *(Na stronie).* Cześnikowi
Wielką radość jeńcem sprawię
I zapewne do mnie powie,
Gdy mu zdobycz mą przedstawię:
Niechaj Klara twą zostanie.
Chodź, mój jeńcze.
Wacław. Idę, panie.

AKT II.

(Pokój jak na początku aktu pierwszego — Cześnik siedzi przy stoliku)

SCENA I.

Cześnik, Papkin *wchodzi za nim,* Wacław, *który zostaje przy drzwiach.*

Papkin *(rzucając się w krzesło).*
A, bierz licho takie znoje!
Ledwie idę, ledwie stoję; —
Alebo to było żwawo!
Dyablem gromił w lewo, w prawo —
Ledwie żyję. — Każ dać wina
A starego — Wyschła ślina,
Pot strugami ciecze z czoła —
Któż me dzieła pojąć zdoła!
Cześnik. Ja, bom widział.
Papkin. Ha! widziałeś?
Gracko?
Cześnik. Gracko z tyłu stałeś.
Papkin. Z tyłu, z przodu nic nie znaczy,
Dobry rycerz wszędzie straszny.
Cześnik. Ta bezczelność...
Papkin. Nie inaczej.
Bezczelności trzeba było,
Aby walczyć z taką siłą.
Cześnik. Waszeć kłamiesz, mocium panie...

Papkin. Tylko słuchaj, słuchać warto:
Chciałem zdobyć rusztowanie,
Lecz skoczyłem tak zażarto,
Żem się znalazł z drugiej strony
Przyciśnięty, otoczony
Murarzami, pachołkami,
Hajdukami, pajukami.
A — kroć kroci! jak się zwinę!
Jak dwóch chwycę za czuprynę!
Dalej żwawo młynka z niemi —
Jak cepami w koło młócę;
Ile razy się obrócę,
Po dziesięciu ich na ziemi.
Tak mi rosła wciąż mogiła,
A gdy z murem równa była,
Otworzyłem obie dłonie
I stanąłem na tej stronie.
Lecz co jeszcze...

Cześnik. Tfy! do czarta!...

Papkin. Podziwienia rzecz jest warta,
Że uniosłem z sobą jeńca —
Teraz, panie, czekam wieńca.

Cześnik *(spostrzegłszy Wacława)*.
Cóż to znaczy?

Papkin *(ocierając czoło)*. Komisarza
Pana Milczka w jassyr wziąłem.

Cześnik. A to poco? — jakiem czołem?

Papkin. Ja zabieram, co się zdarza.

Cześnik (*do Wacława*).
Waszeć z Bogiem ruszaj sobie
I uwiadom swego pana,
Że, jak w jakimbądź sposobie
Mnie zaczepka będzie dana,
To mu taką finfę[1]) zrobię,
Iż, nim rzuci wkoło okiem,
Wytnie kozła pod obłokiem. —
Waść się wynoś szybkim krokiem.

Papkin. Poświęć się tu czyjej sprawie,
Walcz jak Achil — radź jak Kato,
Pozazdroszczą twojej sławie
I sto czartów dadzą za to.

Wacław (*do Cześnika*).
Przebacz, panie, słów niewiele,
Które wyrzec się ośmielę:

[1]) Finfa fimfa, właśc. dym przez rurkę papierową komuś w nos puszczony; szczutek; zniewaga; obelga.

Jesteś gniewny na sąsiada,
Że ci czasem na zawadzie...
Cześnik. Czasem? — Zawsze.
Wacław. On powiada...
Cześnik. Niech nie słyszę o tym gadzie.
Wacław. Czy nie byłoby sposobu,
Ustąpiwszy ze stron obu,
Zapomniawszy przeszłe szkody,
Do sąsiedzkiej wrócić zgody?
Cześnik. Ja, z nim w zgodzie? — Mocium panie,
Wprzódy słońce w miejscu stanie,
Wprzódy w morzu wyschnie woda
Nim tu u nas będzie zgoda
Wacław. Dzisiaj umysł niespokojny
Za porywczo sąd wyrzeka...
Cześnik. Od powietrza, ognia, wojny
I do tego, od człowieka,
Co się wszystkim nizko kłania,
Niech nas zawsze Bóg obrania.
Wacław. Lepiej nizko, niż nic wcale.
Cześnik. Brednia!
Wacław. Ale...
Cześnik. Niema: ale.
Wacław. Nie broń, panie, mieć nadzici...
Cześnik. Bronię do kroć sto tysięcy!
I niech o nim nie wiem więcej
Ni o jego *(ironicznie zmierzając do Wacława)* kaznodziei,
Bo się obu, mocium panie,
Jakem szlachcic, co dostanie.
(Odchodzi w drzwi środkowe).

SCENA II.

Papkin, Wacław.

Papkin. Dyabeł pali w tym Cześniku.
Wacław. Chcieć ich zbliżyć czasu szkoda.
Papkin. Mało zysku, dużo krzyku.
Wacław. Tych dwóch ludzi — ogień, woda.
Papkin. Cóż, paniczu, będzie z nami?
Wacław. Ha! zostanę tu w niewoli.
Papkin. Brałem jeńców tysiącami,
Co zawiśli od mej woli;
Bom lat dziesięć toczył boje,
Gdzie się lały krwawe zdroje,
Tak, że wkoło na mil cztery
Jak czerwone było morze. —
Tam zyskałem i ordery
I tytuły i honory;

Ale tego być nie może,
Zbyt to szczytne dla nas wzory;
Dziś utarczka jest igraszką,
A twa wolność będzie fraszką.
Wacław. Ja w niewoli tu zostanę.
Papkin. Prawo wstrzymać jest mi dane,
Alem zawsze był wspaniały:
Przyjmę zatem okup mały.
Wacław. Ja w niewoli zostać muszę.
Papkin. Znaj więc wielką moją duszę:
Jesteś wolny — idź do dyaska —
A za wolność dasz, co łaska.
Wacław. Ja zostanę tu w niewoli.
Papkin. Ale Cześnik nie pozwoli.
Wacław. Kto mnie ujął, niech mnie trzyma.
Papkin. Ale, bratku, sensu niema;
Nie daj grosza, a idź sobie.
Wacław. I pół kroku stąd nie zrobię.
Papkin. Idź, bom gotów użyć broni.
Wacław *(zawsze z fleymą)*. A ja tylko własnej dłoni.
Papkin (*na stronie*). Cóż za człowiek, u kaduka!
Samochcący guza szuka
I mnie jeszcze go nagoni.
(*Do Wacława*)
Bój się Boga — idź do czarta.
Wacław. Nie, nie pójdę — tu zostanę.
Papkin. A to jakaś ćma uparta!
Wacław (*pokazując sakiewkę*).
Ale patrzno, bratku, co to?
Papkin. Brzęknij tylko...
Wacław. Złoto?
Papkin. Złoto.
Wacław. Będzie twojem.
Papkin. Niech pan siada.
Wacław. Ale darmo nikt nie daje.
Papkin. Wielka prawda. — Cóż wypada,
Abym zrobił? Gdyż zostaję
W położeniu arcyciasnem:
Za procentem moim własnym
Trzeba jeździć jak w konkury,
A w kieszeni, panie bracie,
Albo pustki albo dziury.
Wacław. Kocham Klarę.
Papkin (*na stronie*). Otóż macie!
Wacław. I chcę zostać tu przy Klarze.
Papkin. To źle.
Wacław (*chowając sakiewkę*). Czy źle?

Papkin (*zatrzymując mu rękę*). Niekoniecznie.
Ale Cześnik w tym zamiarze
Będzie pewnie działać sprzecznie.
Wacław. Niechaj nie wie.
Papkin. Jak się dowie?
Wacław. Niech mnie przyjmie.
Papkin. Trudno będzie.
Wacław (*brzęcząc złotem*).
Tu początek, koniec w głowie.
Papkin. A jak Cześnik na mnie siędzie?
Wacław. Nic nie znaczy.
Papkin. Ba! jak komu.
(wzruszając głową)
I dla Klary — komisarza. —
Wacław. Jestem Wacław.
Papkin. Syn Rejenta!
O dla Boga! i w tym domu!
Waszmość obu nas naraża,
Oba idziem na praszczęta[1]). (*Wacław brzęknął sakiewką*).
Brzęczy pięknie —
Wacław. Miej za dane,
Jeśli w służbie tu zostanę.
Papkin. Ha! spróbuję (*chce wziąć sakiewkę*).
Wacław (*odsuwając*). Później nieco. —
Lecz pamiętaj, że z mej wieży
Szybko kulki na dół lecą.
Fiut z wiatrówki — Papkin leży...
Gdyby zdradzić chęć go jęła.
Papkin. W skrytym toku tego dzieła
Tak postąpię, jak należy,
Nie zważając na przymówkę.
Ale, Waciu, jak mnie kochasz,
Dzisiaj jeszcze spal wiatrówkę.
Wacław. Nie trać czasu.
Papkin. Idę, idę.
(*Na stronie*)
Dyabeł nadał tryumf taki!
Coraz głębiej włażę w biedę.
W moim jeńcu mam rywala —
Przykro zblizka — gorzej zdala —
Tamten zamknie, ten zastrzeli —
A bodaj cię dyabli wzięli!
(*Wacławowi, pragnącemu zostać na dworze Cześnika, radzi Klara, ażeby prosił o poparcie Podstoliny, bo jej, jako swojej narzeczonej,*

[1]) Praszczęta, kłopoty, udręczenia, opały (z tem. rusk.). Tutaj: narażamy się na kłopoty, przykrości.

Cześnik nie odmówi (sc. III.). Z następnej zaś rozmowy Wacława z Podstoliną (sc. V.) okazuje się, że Wacław i Podstolina znają się jeszcze z Litwy i że był czas, kiedy oboje nie byli sobie obojętni. To też Podstolina teraz żywo zajęła się osobą i losem Wacława i ku wielkiej radości Klary (sc. VI.) zabiera Wacława ze sobą, ażeby obmyślić sposób dalszego postępowania. Wchodzi Papkin, a zastawszy Klarę, oświadcza jej swoje uczucia i prosi o jej rękę).

SCENA VII.

Klara, Papkin.

Papkin. Jak w dezertej[1]) Arabii
Złotosiejny wzrok Febowy
Niesie skwarem śmierć lilii,
Aż nakłoni białej głowy,
A zebrana na błękicie
Płodorodna kropla rosy
Wraca zwiędłej nowe życie
I unosi pod niebiosy
Równo władna, równo czynna
Prezencya[2]) twoja miła,
Starościanko miodopłynna (*z ukłonem głębokim*)
Dla twojego sługi była. —

Klara (*ironicznie, oddając nizki ukłon*)
Równie z rytmu jak z oręża
Tak sławnego dostać męża
Jest zaszczytem białogłowy;
Ale każdy dziś młodzieniec
Miłosnemi czczemi słowy
Zwykł przeplatać ślubny wieniec,
Trudnoż zawsze dawać wiarę...

Papkin. Cóż nie wierzyć, wielkie nieba!
Że się kocha piękną Klarę,
Czyliż na to przysiąg trzeba?

Klara. Że się kocha — nie potrzeba;
A że zawsze równie będzie,
I przysięga nic nie znaczy.

Papkin. Ach, na serca mego grzędzie
Niech twe ziarnko bujać raczy;
A zadatek ten twój mały
Puści korzeń wieczno-trwały.

Klara. W dawnych czasach rycerz prawy,
Lubo zdobion wieńcem sławy,
Lubo staczał krwawe boje,
Nim oświadczył miłość swoję —

---

[1]) Pustynnej, skwarnej. — [2]) Obecność.

Ku czci drogiej swej kochanki
W turniejowe wjeżdżał szranki.
Tam na kopię dzielnie gonił,
Po dziesięciu zsadzał z koni,
I dopiero, gdy się skłonił
Wziąć nagrodę z lubej dłoni,
Błagał, aby sercu miła
Kochać mu się pozwoliła —
By mu wolno pod jej barwą
Kruszyć kopie, miecze ścierać,
Dla niej tylko żyć, umierać.

Papkin. Z tego stroju i z tej broni
Marsowego znać piastuna,
Co w rycerskiej zbiegł pogoni
Od bieguna do bieguna.
Oby moja Artemiza,
Światu groźne to żelazo,
Krwią jak gąbka napęczniałe,
Przemówiło choć tą razą
Wam na wiarę, mnie na chwałę. —
(*z coraz większym zapałem*)
Gdzie na skale gród kamienny,
Gdzie działami mur brzemienny,
Gdzie bagnetów ostre wały,
Gdzie sklepienie z dzid i szabli,
Tam był Papkin — lew zuchwały!
Strzelec boski! — rębacz dyabli!
Jęk, szczęk, krzyk, ryk, śmierć dokoła;
Tu bezbronny pardon woła,
Tu dziewica ręce łamie.
Matka płacze — dziecię kwili —
Ale spada moje ramię:
Ci co żywi — już nie żyli... —
(*Klara parska śmiechem*).
Przebacz zapał zgrozo-krwawy
Rycerskiego uniesienia,
Ale widzisz: dość mam sławy,
Brak mi tylko pozwolenia,
Bym w fortunnych stanął rzędzie,
Których celem Klara będzie.

Klara. Więc zezwalam.

Papkin (*klękając*). Przyjmij śluby...

Klara. Hola! teraz lata próby:
W nich dowody posłuszeństwa,
Wytrwałości i śmiałości...

Papkin. O królowo wszechpiękności!

Ornamencie człowieczeństwa!
Powiedz: w ogień skocz, Papkinie —
A twój Papkin w ogniu zginie. (*wstaje*).
Klara. Nie tak srogie me żądanie.
Klejnot rycerskiego stanu
Pastwą ognia nie zostanie. —
Lecz powtarzam waszmość panu:
Posłuszeństwa, wytrwałości —
I śmiałości żądam próby.
Papkin. W każpej znajdę powód chluby.
Klara. Posłuszeństwa chcąc dać miarę,
Milczeć trzeba sześć miesięcy.
Papkin. Nic nie gadać?
Klara. Tak — nic więcej.
Wytrwałości zaś dam wiarę,
Gdy o chlebie i o wodzie...
Papkin. Tylko przebóg, nie zbyt długo.
Klara. Rok i dni sześć.
Papkin (*boleśnie*). Jestem w grobie...
Ale zawsze twoim sługą (*z ukłonem*).
Klara. Zaś śmiałości, w tym sposobie
Da mi dowód, kto dać zechce.
W oddalonej stąd krainie
Jadowity potwór słynie,
Najmężniejszym trwogą bywa,
Krokodylem się nazywa.
Niech go schwyci i przystawi,
Moje oko nim zabawi.
Bom ciekawa jest nad miarę
Widzieć żywą tę poczwarę.
To jest wolą niewzruszoną —
A kto spełni, co ja każę,
Ten powiedzie przed ołtarze,
Tego tylko będę żoną.
(*ukłoniwszy się, w drzwi prawe*).

SCENA VIII.

Papkin (*po długim milczeniu*).

Krrrokodyla! (*Ironicznie*). Tylko tyle! —
Co za koncept, u kaduka!
Pannom w głowie krokodyle,
Bo dziś każda zgrozy szuka;
To dziś modne, wdzięczne, ładne,
Co zabójcze, co szkaradne. —
Dawniej młoda panieneczka
Mile rzekła kochankowi:

Daj mi, luby, kanareczka. —
A dziś każda swemu powie:
Jeśli nie chcesz mojej zguby,
Krrokodyla daj mi, luby. (*Po krótkiem milczeniu*).
Post, milczenie, — wszystko fraszka,
Straży przy mnie nie postawi;
Ale potwór nie igraszka,
Czart, nie Papkin, go przystawi... (*idzie ku drzwiom*)

SCENA IX.

Papkin, Cześnik (*z drzwi środkowych*).

Cześnik. Za dzisiejszą mą swawolę
I że w murze gdzieś tam dziura,
Gotów pieniać mnie szlachciura —
Więc krzyżową[1]) skończyć wolę.
Pójdziesz wyzwać, mocium panie:
Circa quartam[2]) niech mi stanie
U trzech kopców, w czarnym lesie. (*do siebie*)
Jak mu utnę jedno ucho,
A czy z drugiem się wyniesie!
Papkin. Lepiej pisać.
Cześnik. A, broń Boże!
Tam objaśnień, tam namowy,
Tam potrzeba tęgiej głowy.
Papkin. Muszę przyznać się waszmości:
Od ostatniej mej słabości
Tak zgłupiałem!
Cześnik. To być może.
Papkin. Zatem...
Cześnik. Wykręt nie pomoże.
Papkin. Miejże, człeku, Boga w duszy,
Nie wysyłaj nieboraka;
Nim mu w lesie utniesz uszy,
Mnie tam spotka hańba jaka.
Wszakżeś mówił dzisiaj rano:
Miłe mi jest jeszcze życie,
Gotów otruć, zabić skrycie.
Cześnik. Skrycie — nie na boskim świecie.
Papkin (*niekontent*). Ej tam, co tam!
Cześnik. Tać ci przecie
Mnie pod nosem łba nie utnie.
Papkin. Dyabeł nie śpi.
Cześnik. Bałamutnie!

---

[1]) Roz. sztuką, t. j. pojedynkiem. — [2]) Około czwartej (godziny).

Papkin (*pokazując powieszenie*).
A nużby mnie...
Cześnik (*grożąc*). Niech spróbuje!
Takąbym mu kurtę skroił!
Papkin. Dyabliż mi tam po tej kurcie,
Jak zadyndam gdzie na furcie.
Cześnik (*głaszcząc go*).
Wiesz co, Papciu — spraw się ładnie,
A w kieszonkę grubo wpadnie.
(*Całuje go w czoło i odchodzi we drzwi lewe. Papkin ze skrzywioną twarzą i kiwając głową we drzwi środkowe).*

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

(*Pokój Rejenta*).

SCENA I.

Rejent, Murarze.

(*Rejent siedzi przy stoliku i pisze. — Dwóch murarzy przy drzwiach stoi*).

Rejent. Mój majstruniu, mówcie śmiało,
Opiszemy sprawę całą;
Na te ciężkie nasze czasy
Boskim darem takie basy. —
Każdy kułak spieniężymy:
Że was bito, wszyscy wiemy.
Murarz. Niekoniecznie.
Rejent. Bili przecie,
Mój majstruniu.
Murarz. Niewyraźnie.
Rejent. Czegoż jeszcze wam nie stało?
Bo machano dosyć raźnie.
Murarz. Ot, szturchnięto tam coś mało.
Drugi murarz. Któż tam za to skarżyć zechce!
Rejent. Lecz kto szturcha, ten nie łechce?
Murarz. Ha! zapewne.
Rejent. A więc bije?
Murarz. Oczywiście.
Rejent. Komu kije
Porachują kości w grzbiecie,
Ten jest bity — wszak to wiecie?
A kto bity, ten jest zbity?
Co?
Murarz. Ha, dobrze pan powiada.
Ten jest zbity.
Rejent. Więc was zbili,

To rzecz jasna, moi mili.
Murarz. Ta, już jakoś tak wypada.
Rejent (*napisawszy*). Skaleczyli?
Murarz. A, broń Boże!
Rejent. Nie, serdeńko?
Murarz. Ach, nie.
Rejent. Przecie!
Znak, drapnięcie?
Murarz (*pomówiwszy z drugim*). Znajdziem może.
Rejent. A drapnięcie, pewnie wiecie,
Mała ranka, nic innego.
Murarz. Tać, tak niby.
Pejent. Mała, wielka,
Jednem słowem rana wszelka
Skąd pochodzi?
Murarz. Niby... z tego...
Rejent. Z skaleczenia.
Murarz. Nieinaczej.
Rejent. Mieć więc ranę, tyle znaczy,
Co mieć ciało skaleczone;
Że zaś raną jest drapnięcie,
Więc zapewnić możem święcie,
Że jesteście skaleczeni,
Przez to chleba pozbawieni.
Murarz. O! to znowu...
Rejent. Pozbawiony
Jesteś, bratku, i z przyczyny,
Że ci nie dam okruszyny. — (*pisze*)
Zatem, zatem — skaleczeni...
Przez to chleba pozbawieni...
Z matką — żoną — czworgiem dzieci.
Murarz. Nie mam dzieci.
Drugi murarz. Nie mam żony.
Rejent. Co? nie macie? Nic nie szkodzi —
Mieć możecie — tacy młodzi.
Murarz. Ha!
Drugi murarz. Tać prawda.
Rejent (*napisawszy*). Akt skończony.
Teraz jeszcze zaświadczycie,
Że nastawał na me życie
Stary Cześnik; — jęty szałem,
Strzelał do mnie.
Murarz. Nie widziałem.
Rejent. Wołał strzelby.
Drugi murarz. Nie słyszałem.
Murarz. Wołał wprawdzie: daj gwintówki

Lecz chciał strzelać do makówki.
Rejent. Do makówki... do makówki...
No, no, dosyć tego będzie —
Świadków na to znajdę wszędzie —
Nie brak świadków na tym świecie.
Teraz chodźcie — bliżej! bliżej! —
Znakiem krzyża podpiszecie. —
Michał Kafar — trochę niżej —
Tak, tak — Maciej Miętuz — pięknie! —
Za ten krzyżyk będą grosze,
A Cześniczek z żółci pęknie.
Murarz. Najpokorniej teraz proszę,
Coś z dawnego nam przypadnie.
Rejent. Cześnik wszystko będzie płacił.
Murarz. Jakoś, panie, to nieładnie...
Rejent. Byleś wasze nic nie stracił.
Murarz. Tum pracował...
Rejent (*popychając ku drzwiom*). Idźże z Bogiem,
Bo się poznasz z moim progiem.
Murarz. Tu zapłata, każdy powie...
Rejent (*popychając ku drzwiom*). Idź, serdeńko, bo cię trzepnę.
Murarz (*w drzwiach*). Ależ przecie...
Rejent (*zamykając drzwi*). Bądźcie zdrowi,
Dobrzy ludzie, bądźcie zdrowi! (*Wracając*).
Czapkę przedam, pas zastawię,
A Cześnika stąd wykurzę;
Będzie potem o tej sprawie
Na wołowej pisał skórze. —
Lecz tajemne moje wieści,
Jeśli wszystkie z prawdą zgodne,
Tem, czem teraz serce pieści,
Najboleśniej go ubodnę.

SCENA II.

Rejent, Wacław.

Rejent. W czas przychodzisz, drogi synu!
Pomówimy słówek parę. —
(*Siada i daje znak synowi, aby usiadł*).
Z niejednego twego czynu
Niezachwianą wziąłem wiarę,
Iż wstępując w moje ślady,
Pobożności kroczysz drogą;
Że złe myśli, podłe rady
Nigdy zwieść cię z niej nie mogą.
Rade temu serce moje.

Quandoquidem[1]) już przy grobie,
Żyję tylko jeszcze w tobie. (*Ociera łzy*).
Sekatury — gorzkie znoje,
W nieustannej alternacie[2]),
Składam kornie ciebie gwoli
Przy najwyższym Majestacie.
Bo ja tylko, moje dziecię,
Do fortunnej twojej doli
Aspiruję jeszcze w świecie.

Wacław. Łaski ojca dobrodzieja,
Acz nie częsty, dowód drogi.

Rejent. W tobie jedna ma nadzieja,
Lecz zazdroszczą mi jej wrogi;
Syna z ojcem chcą rozdzielić,
Chcą się smutkiem mym weselić;
Złego ducha pną mamidła,
Twej młodości stawią sidła.

Wacław. Nie rozumiem.

Rejent. Nie rozumiesz?
Starościanka...

Wacław. Cna dziewica,
Tę ubóstwiać...

Rejent. Skrycie umiesz...

Wacław. Jeśli była tajemnica,
To dlatego, żem chciał wprzódy
Do sąsiedzkiej skłonić zgody.

Rejent. Mnie z Cześnikiem? — O mój Boże!
Któż jej więcej pragnąć może,
Niż ja, człowiek bogobojny.

Wacław. Zezwól zatem, abym z Klarą...

Rejent. Być nie może żadną miarą;
Cześnik burda, ja spokojny.

Wacław. Lecz cóż Klara temu winna,
Że czasami stryj szalony?

Rejent. Czy tam winna, czy niewinna,
Innej waści trzeba żony;
I, serdeńko, będzie inna.

Wacław. Ach, mój ojcze, wyrok srogi...

Rejent. Nieodmienny, synku drogi.

Wacław. Moja dola, rzekłeś przecie,
Jednym celem na tym świecie.

Rejent. Bóg to widzi i ocenia.

Wacław. Ja ją kocham.

Rejent (*z uśmiechem*). To się zdaje.

---

[1]) Gdyż, zwłaszcza że. — [2]) Zmiana, koleje losu.

Wacław. Nie przeżyję rozłączenia.
Rejent. Ja się tego nie przestraszę.
Wacław. I przysięgam...
Rejent (*surowo*). Zamilcz wasze!
(*ze słodyczą*). Co los spuści, przyjąć trzeba;
Niech się dzieje wola nieba. —
Lecz, serdeńko, gdyś tak stały,
Gdzież dawniejsze twe zapały?
Milczysz — jakże? (*ironicznie*) Nie do wiary,
Jak o wszystkiem wie ten stary!
Wacław. Młodość... może...
Rejent. Podstolina
Była *quondam*[1]) ta jedyna!
Ta wybrana! ta kochana!
Teraz bawi u Cześnika.
Wacław (*z pośpiechem*). Zaręczona Cześnikowi.
Rejent. Póty temu nie uwierzę,
Póki sama nie odpowie.
Wacław. Nie odpowie? Podstolina?
Rejent. Zapytałem ją w tej mierze;
A jeżeli Bóg dozwoli,
Przyjmie rękę mego syna.
Wacław. Lecz nie przyjmie syn jej ręki.
Rejent. Syn posłuszny, Bogu dzięki —
Intercyzę[2]) przyłączyłem,
Gdzie dokładnie wyraziłem:
Która zerwać zechce strona,
Ta zapłaci sto tysięcy.
Wacław. Moje szczęście warte więcej.
Rejent. Szczęściem będzie taka żona.
Wacław. Wprzód mogiła mnie przykryje...
Lecz i Cześnik jeszcze żyje,
On nas spali w pierwszym pędzie.
Rejent (*z flegmą jak zawsze*). Ha! — to Cześnik wisieć będzie.
Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba.
Wacław. Ojcze!
Rejent. Synu!
Wacław. Ostre noże
Topisz w sercu syna twego.
Rejent. Niema złego bez dobrego.
Wacław. Zmień twój rozkaz.
Rejent. Być nie może.
Wacław (*rzucając się do nóg*). Ach, litości!
Rejent. Tę zyskałeś!

[1]) Niegdyś. — [2]) Umowa przedślubna.

Patrz, ja płaczę.
Wacław (*wstając*). Mieć nadzieję? —
Rejent. Nie, serdeńko, być nie może.
Wacław. Ja z rozpaczy oszaleję.
Rejent. Patrz, ja płaczę... ani słowa! —
Cnota, synu, jest budowa,
Jest to ziarno, które sieję...
(*Wacław odchodzi — po krótkiem milczeniu*)
Jeszcze dyable młoda głowa.

SCENA III.

Rejent. Co skłoniło Podstolinę,
Wdówkę tantną[1]), wdówkę gładką,
Za takową iść gadzinę,
To dotychczas jest zagadką;
Ale wątpić nie wypada,
Iż zamienić będzie rada...
Ale Cześnik gdy postrzeże,
Iż na dudka wystrychnięty,
Może... może... strach mnie bierze,
Apopleksyą będzie tknięty...
Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba.

SCENA IV.

Rejent, Papkin.

Papkin (*wsuwając się trwożliwie*). Wolnoż wstąpić?
Rejent. Bardzo proszę.
Papkin (*z najniższym ukłonem i nieśmiało*). Pana domu i Rejenta
Widzieć w godnej tej osobie,
Chluba wielka, niepojęta,
Spada na mnie w tejże dobie,
Jak niemylnie, pewnie wnoszę.
Rejent (*pokornie*). Tak jest — sługa uniżony.
Wolnoż mi się w odwet spytać,
Kogom zyskał honor witać?
Papkin (*na stronie*). Hm! pokorna coś szlachciurka,
Z każdem słowem daje nurka —
Niepotrzebne miałem względy. — (*Śmielej*).
Jestem Papkin.
(*Rejent wskazuje z ukłonem krzesło na środku stojące. — Papkin przypatruje się z uwagą Rejentowi, który jak zawsze z założonemi na piersiach rękoma — nieporuszenie w miejscu stoi. Papkin mówi dalej na stronie*).
Jak uważam,
Skończę wszystko bez pomocy.

[1]) Zasobną, możną.

(*Głośno, wyciągając się na krześle*)
Jestem Papkin — lew północy;
Rotmistrz sławny i kawaler —
(*ukazując gestem wstęgi orderowe*)
Tak, siak, tędy i owędy.
Mądry w radzie, dzielny w boju,
Dusza wojny, wróg pokoju. —
Znają Szwedy, Muzułmany,
Sasy, Włochy i Hiszpany
Artemizy ostrze sławne
I niem władać ramię wprawne.
Jednem słowem, krótko mówiąc,
Kula ziemska zna Papkina —
Teraz, bratku, daj mi wina.

Rejent (*po krótkiem wahaniu na stronie*).
Nemo sapiens, nisi patiens.
(*Dostaje butelkę z pod stolika kilimkiem nakrytego — patrzy w nią do światła — nalewa lampeczkę i podaje Papkinowi, który tymczasem mówi, co następuje*).

Papkin (*na stronie*).
O! — Brat szlachcic tchórzem podszyt!
Po zleceniu od Cześnika
Może sobie udrę łyka.
(*Nakrywa głowę*).
(*pije*) Cienkusz! (*pije*) deresz! (*pije*).

Rejent (*na stronie*). Nadto śmiało.

Papkin. Istna lura, panie bracie,
Cóż, lepszego tu nie macie?

Rejent. Wybacz waszmość, lecz nie stało.

Papkin. Otóż to jest szlachta nasza!
(*ze wzgardą*)
Siedzi na wsi — sieje, wieje —
Zrzędzi, nudzi, gdera, łaje,
A dać wina — to nie staje.
(*Idzie do stolika, nalewa sobie — Rejent nieporuszony prowadzi go oczyma*).
Albo jeśli przyjdzie flasza,
Samą maścią już przestrasza;
Potem prosi: jeśli łaska —
Nie proś, nie nudź, hreczkosieju,
A lepszego daj u dyaska!

Rejent. Ależ mości dobrodzieju...

Papkin (*pijąc*). Mętne, kwaśne nad pojęcie —
Istna lura, mój Rejencie!

Rejent (*na stronie*). Cierpliwości wiele trzeba;
Niech się dzieje wola nieba.

Papkin. Zwiedź piwnice wszystkie moje,

Gdzie z pół świata masz napoje,
Gdzie sto beczek stoi rzędem;
Jeśli znajdziesz co takiego,
Dam ci, bratku, konia z rzędem.
Rejent (*z ukłonem*). Pozwól spytać, panie drogi,
Gdyż nieznana mi przyczyna,
Co w nikczemne moje progi
Marsowego wiedzie syna?
Papkin (*rozpierając się na krześle przy stoliku*).
Co? Chcesz wiedzieć?
Rejent. Proszę o to.
Papkin. Więc staję tu, wiedz, niecnoto,
Z strony jaśnie wielmożnego
Cześnika Raptusiewicza,
Co go ranka dzisiejszego
Twych służalców sprośna dzicza,
Godna jednak pryncypała,
W jego zamku napaść śmiała.
Rejent. Mówże waszmość trochę ciszej,
Jego sługa dobrze słyszy.
Papkin. Mówię zawsze podług woli.
Rejent. Ależ bo mnie głowa boli.
Papkin (*jeszcze głośniej*).
Że tam komu w uszach strzyka
Albo że tam czyj łeb chory,
Przez to nigdy w pieśń słowika
Nie odmienią głos stentory[1]).
Rejent (*słodko*). Ależ bo ja mam i ludzi,
Każę oknem cię wyrzucić.
(*Papkin w miarę słów Rejenta wstaje zwolna, zdejmując kapelusz*)
A tam dobry kawał z góry.
Papkin. O, nie trzeba.
Rejent. Jest tam który!
Hola!
Papkin. Niech się pan nie trudzi.
Rejent. Pan jak piórko stąd wyjedzie.
(*do służących*)
Czekać w czterech tam za drzwiami!
Papkin. Ale nacóż to, sąsiedzie,
Tej parady między nami?
Rejent Teraz słucham waszmość pana.
(*sadzając go prawie gwałtem*)
Bardzo proszę — bardzo proszę —
(*siada blizko i naprzeciwko*)

---

[1]) Stentor, człowiek o silnym głosie (Stentor, jeden z wojowników greckich pod Troją, który odznaczał się bardzo silnym głosem).

Jakaż czynność jest mu dana?
(*nie spuszcza z oka Papkina*)
Papkin. Jesteś trochę nadto żywy;
Nie wiedziałem, Bóg mi świadkiem,
Że tak bardzo masz słuch tkliwy; —
Przestrzeż, proszę, gdy przypadkiem
Jakieś słówko głośniej powiem.
Rejent. Czy się prędko rzeczy dowiem?
Papkin (*bardzo cicho*).
Zaraz — Cześnik bardzo prosi...
Rejent. Hę?
Papkin. Czy głośniej?
(*na znak potakujący Rejenta mówi dalej*)
Cześnik prosi...
To jest... raczej, Cześnik wnosi,
Że, by skończyć w jednej chwili
Kontrowersyę[1]), co... zrobili...
(*nie mogąc uniknąć wzroku Rejenta, miesza się coraz więcej*)
Dobrze mówię... co zrobili...
Kontrowersyę... jak rzecz znana...
Że tak... to jest... że sprzy... sprzyja...
(*odwracając się, na stronie*)
A to jakiś wzrok szatana,
Cały język w trąbkę zwija.
Rejent. Ja nie jestem pojąć w stanie —
Waszmość prawisz zbyt zawiło.
Papkin (*wstając*). Bo to... bo te... wybacz panie,
Wino trochę mocne było.
A nie jestem zbyt wymowny... (*ciszej*)
Czy tych czterech jeszcze stoi?
Rejent. Jednem słowem — mój szanowny,
Dobry sąsiad czego żąda?
Papkin. Lecz się poseł trochę —
Rejent (*kończąc*). Boi.
Bądź, serdeńko, bez obawy.
Papkin. Więc Cześnika prośba niesie,
Abyś waszmość *circa quartam*
U trzech kopców w czarnym lesie
Stanął z szablą do rozprawy.
Rejent (*ironicznie*). Stary Cześnik jeszcze żwawy!
Papkin (*ośmielając się*).
Ba! — to wszyscy wiedzą przecie,
Że niemylne jego ciosy; —
Wszakże w całym już powiecie
Pokarbował szlachcie nosy,

[1]) Kontrowersya, różnica zdań, nieporozumienie, spór.

Tylko jeszcze...
Rejent. Ciszej, proszę.
Papkin *(oglądając się na drzwi).*
Prawda, ciszej. — Cicho zatem
Jego grzeczną prośbę wnoszę
I dołączam moją własną
O odpowiedź krótką, jasną.
Rejent. Tę listownie mu udzielę.
Ale jakże to się zgadza,
Wszakci jutro ma wesele?
Papkin *(śmielej).* Tamto temu nie przeszkadza.

(Wtem wchodzi zaproszona przez Rejenta Podstolina i oznajmia, iż zmieniła swe postanowienie wyjścia za mąż za Cześnika i, przyjmując ofiarowaną jej przez Rejenta rękę Wacława, podpisała warunki umowy (sc. V.). Uradowany tem Rejent śpieszy na wyzwanie Cześnika odpowiedzieć listownie, a pozostawiając Podstolinę z Papkinem, prosi, ażeby przez niego sama także zawiadomiła Cześnika o zmianie swego postanowienia).

Rejent. Daj mu pani twe zlecenie,
A ja skreślę słówek parę (*odchodzi*).

SCENA VI.

Podstolina, Papkin.

Papkin *(odprowadziwszy go oczyma).*
Podstolino! mam dać wiarę?
Co to znaczy? gdzie sumienie?
Rejent *(ukazując głowę w drzwiach).*
Proszę, ciszej.
Papkin. Prawda, ciszej. *(Na stronie)*
I przez mury czart ten słyszy.
(Cicho do Podstoliny)
Ach, co robisz, Podstolino?
Z twej przyczyny wszyscy zginą! —
Czyliż Cześnik ci nieznany?
On nie zniesie tego sromu,
On pochodnią i żelazem
Śmierć sprowadzi w wasze ściany,
Gruz zostawi z tego domu:
Bój się Boga, chodźmy razem.
(oglądając się i odprowadzając coraz dalej na stronę)
Ach, ty nie wiesz, gdzieś przybyła...
W jakiej strasznej jesteś toni...
Cicho!... Gdyby nie w tej dłoni
Artemizy groźna siła,
Jużby... sza!... niech Bóg nas broni...
Dalej we drzwi i na schody.

Podstolina (*wyrywając się*). Wolna droga.
Papkin. Niekoniecznie.
Czterech stoi.
Podstolina. Lecz weź wprzódy
Pożegnanie dla Cześnika:
Kłaniaj mu się bardzo grzecznie,
Powiedz oraz, jak mą duszę
Zbyt boleśnie żal przenika,
Że się tak z nim rozstać muszę; —
Niech porywczo mnie nie gani...
Papkin. Banialuki, moja pani,
Tych ode mnie nie usłyszy.

SCENA VII.

Podstolina, Papkin, Rejent.

Rejent. Ciszej, z łaski.
Papkin. Prawda, ciszej.
Rejent. Oto jest list do sąsiada.
Papkin. Ambasada dyable ślizka!
Rejent. Żegnam.
Papkin (*w ukłonach*). Papkin nóżki ściska,
Za przyjęcie dzięki składa.
Rejent (*ukłony i ceremonie aż do końca sceny*).
Nie ma za co.
Papkin. O, i owszem.
Rejent (*odprowadzając go*). Sługa, sługa uniżony.
Papkin. Proszę wrócić.
Rejent. Nie wypada.
Papkin. Suplikuję.
Rejent. Tylko z góry.
Papkin. Nie pozwolę.
Rejent. Jest tam który!
(*Drzwi otwierają się i widać czterech pachołków*).
Papkin. O, bez wszelkich ceremonii.
Rejent (*do pachołków*).
Panu temu wskazać drogę.
Papkin. Ściskam nóżki — trafić mogę.
Rejent. Wziąć pod ręce — nie bez laski —
Schody ciemne — macać trzeba —
Papkin. Ściskam nóżki — zbytek łaski.

(Z ukłonu jednym susem za drzwiami się znajduje — drzwi się zamykają — słychać łoskot, jak gdyby kto zleciał ze schodów. Podstolina idzie ku Rejentowi).

Rejent (*wracając*). Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba!

(Koniec aktu trzeciego).

AKT IV.

Sala w domu Cześnika — oprócz drzwi bocznych, jedne większe w głębi po prawej stronie do kaplicy — stoły po obu stronach — na stole po prawej stronie kałamarz i co trzeba do pisania — butelka i para kieliszków — w głębi przybijają girlandy.

SCENA I.

Cześnik, Dyndalski.

(*Przy podniesieniu kortyny Dyndalski stoi przy siedzącym Cześniku, trzymając dwie karabele, trzecią Cześnik ogląda podczas pierwszych wierszy — w głębi Śmigalski i Perełka).*

Cześnik (*trzymając karabelę*).
No, Śmigalski! czas przyśpiesza,
Dalej, dalej na deresza;
Inwitacyę nieś piorunem
I spełń gładko me rozkazy.
Powtórz wszystkim po trzy razy,
Że na jutro ja, pan młody,
Na weselne proszę gody.
Rozumiesz? no! ruszaj z Bogiem.
(*Śmigalski odchodzi. — Po krótkiem milczeniu*)
Hej, Perełka — waść mi jutro
Nie zaglądnij do blaszanki,
Bobym waści przypiekł grzanki.
Jutro sztukę pokaż światu:
Nie żałować, mocium panie,
Cynamonu i muszkatu
I wszelkiego aromatu,
Aby było jak należy.
Masz do ryby szafran świeży
I bakalii podostatku:
Niechże będzie dobrze, bratku.

Perełka. Jakaż cyfra, jaśnie panie,
Na pośrodku stołu stanie?

Cześnik. M. H. — M. H. — Maciej. Hanna.
W górze serca, w dole *vivat* —
A z konceptem wszystko wszędzie.

Perełka. Jaśnie panie, dobrze będzie.
(*Na znak odchodzi*).

Cześnik (*po krótkiem milczeniu, oglądając karabelę*).
Długo Papkin coś nie wraca.
Rejent siedzi jak lis w jamie,
Stąd wykurzyć ciężka praca;
Lecz wyciągnie moje ramię,
Jeśli jakie, mocium panie,
Korowody robić zechce.

Dyndalski. Ba! — bo ktobądź, bez uroku,
Z jaśnie panem w szranki stanie,
Tego wcześnie coś w nos łechce.
Cześnik (*oddając jedną, a biorąc drugą karabelę*).
A łechtliwej dyable skóry
Ci z palestry ichmościowie;
Nie dotrzyma żaden kroku,
Chociaż wyjdzie czasem który.
Dyndalski. Ba!
Cześnik (*dobywając szabli*).
He, he, he! pani Barska![1])
Pod Słonimem, Podhajcami,
Berdyczowem, Łomazami
Dobrze mi się wysłużyła.
Inna też to sprawa była!
Młódź, acz dzielna, w boju dziarska,
Prym dawała starszym w radzie,
Tak, jak w poczet Bóg nas kładzie.
Ale teraz to się staje,
Że od kury mędrsze jaje.
(*Po krótkiem milczeniu*)
Tęga głownia, mocium panie —
Lecz demeszkę[2]) przecie wolę.
(*Odmieniwszy szablę*)
Ej, to śmiga! — jakby wrosła —
Niejednego ona posła
Wykrzesała z kandydata;
Niejednemu *pro memoria*
Gdzieś przy uchu napisała. (*machając*)
»Jak się wznosi, ledwie błyśnie —
Oddaj się Bogu jak świśnie!«

SCENA II.

Cześnik, Papkin.

(*Dyndalski, pomógłszy przypasać karabelę Cześnikowi, odchodzi w drzwi lewe*).

Cześnik. Jesteś przecie...
Papkin (*kapelusz na bakier, ale włosy i suknie trochę w nieładzie*).
Z suchem gardłem —
Pozwól kapkę. To mi sprawa!
(*Nalewa sobie i pije*)
Toż mu pieprzu w nos natarłem,
Aż mu urósł na trzy piędzie.

[1]) Szabla, której Cześnik używał w konfederacyi barskiej (1768—1772); wymienia też niektóre utarczki. — [2]) Szabla ze stali damasceńskiej (z Damaszku w Azyi).

Cześnik. Toż to teraz pływać będzie!
Papkin. Lecz ten Rejent sztuczka żwawa
I szatańska przytem postać;
Omal, omal, żem nie musiał
Artemizy z pochew dostać;
Lecz się bałem, mówiąc szczerze,
Bo jak zwącha moje ramię,
Czart ją chyba zdzierży w mierze.
Cześnik. Jak ten *nequam* ostro kłamie!
Lecz cóż Rejent? — będęż wiedzieć?
Papkin. Przyjął grzecznie — prosił siedzieć —
Dodał wina, zieleniaka —
Cześnik *(jakby do siebie)*.
Otruł pewnie.
Papkin. Jakto? coto?
Cześnik. Nie, nie.
Papkin. Ale...
Cześnik. I cóż dalej?
Papkin. Otruł, mówisz?
Cześnik. Z tą niecnotą
Niema żartu, mocium panie.
Papkin. Mnie bez tego... coś tu pali.
Cześnik. Jakże przyjął me wyzwanie?
Cóż? (*Milczenie*) A tam co? głuchoniemy.
(*Papkin osłupiały, nie patrząc się, oddaje list*)
Aha! z listu się dowiemy. (*czyta*)
Co, co, co, co! (*prędko*) co, co, co, co!

(*Postępując w największej złości ku Papkinowi, za każdym krokiem krzyczy: co! jakby nie mógł słów znaleźć — Papkin cofa się aż za stolik po lewej stronie stojący*).

Co! co! co! co!
Papkin. To, to, to, to.
Cześnik. Podstolina...
Papkin (*płaczliwie sens kończąc*).
Nam skrewiła.
Cześnik. Do Rejenta...
Papkin (*jak wyżej*). Zabłądziła.
Cześnik. Do Rejenta... Do Rejenta?...
I chce... chce pójść...
Papkin *(truchlejąc)*. Za Wacława.
Cześnik. I tyś milczał, ćmo przeklęta!
Ale krótka będzie sprawa...
O płci zdradna! czci niewarta!
Obyś była, jak ta karta
W mojem ręku teraz cała, (*mnąc list*)
Tak, tu...

Papkin (*wpadając w mowę, na stronie*).
Z pysznaby się miała!
Cześnik. Utarłbym cię w proch z kretesem!
Ale czasu nie chcę tracić.
Do weselnej sarabandy
Muszę skrzypka im zapłacić —
Niech im zagra; a od ucha!
Aż się Rejent w kółko zwinie!
Pozna szlachcic po festynie,
Jak się panu w kaszę dmucha!
Hola ciury! Hej dworzanie!
Dalej, za mną, mocium panie!
(*Wychodzi środkowemi drzwiami*).

SCENA III.

Papkin, *później* Dyndalski.

Papkin (*po długiem milczeniu krzywi się, potem macając się po brzuchu*).
Tu coś boli. — O! Aj! piecze! —
Ach, to wino! takie męty!
O zbrodniarzu! O przeklęty!
Taką piękną niszczysz różę!
(*Dyndalski wychodzi z drzwi lewych*)
Ach Dyndalsiu! cny człowiecze!
Ach, powiedzcie, czy być może?
Dyndalski. Co, czy może?
Papkin. Że ta żmija,
Ten w Rejenta czart wcielony,
Dziś trucizną mnie zabija?
Dyndalski. Ej, gdzie znowu!
Papkin. Nie wierzycie?
Dyndalski. Ktoby się tam i łakomił
Na waszmości nędzne życie!
Papkin. Nic nie będzie zatem złego?
Dyndalski. Ej, nie.
Papkin. Cześnik mówił przecie...
Dyndalski. Ha, to znowu co innego.
Jaśnie panu wszystko w świecie
Tak jest znane, jakby komu,
Mój paniczu, w własnym domu.
Otruł! — proszę — co za psota!
Papkin. Jakaż wasza teraz rada?
Robić, począć co wypada?
Dyndalski. Ha! (*zażywa*) Po księdza posłać trzeba —
(*wchodząc we drzwi środkowe*)
Proszę, proszę, to niecnota!

SCENA IV.

Papkin (*rzucając się na krzesło*).

Umrzeć, umrzeć, wielkie nieba!
(*Po krótkiem milczeniu*)
Lecz gdzież była moja głowa!
Jam go beształ, mieszał z błotem,
On traktament miał dać potem;
I ten pośpiech jego wielki,
Z jakim wziął się do butelki,
Z jakim nalał lampkę całą!
Jeszcze że mi było mało! —
Tak, połknąłem, mam truciznę,
Już się z tego nie wyśliznę,
Więc testament mój ułożę —
(*z płaczem nieprzesadzonym*)
Potem pogrzeb swój zapłacę —
Potem — *Requiescat in pace.*

(*Papkin, ocierając często z łez oczy, pisze czas jakiś*).

SCENA V.

Papkin, Cześnik, Dyndalski.

Cześnik. Hola, hola, nie tak zrobię!
Wszystko to są z mydła bańki.
Lepszą zemstę przysposobię;
Ale trzeba zażyć z mańki.
Byłem syna dostał w siatkę,
Mam na niego dobrą klatkę;
A tatulem się nie straszę...
Potem o tem. — (*Do Papkina*) Puszczaj wasze.

Papkin (*nie oglądając się*).

Ja testament teraz piszę.

Cześnik. Niechże o tem już nie słyszę,
Bo do czubków odwieźć każę.

Papkin (*wstając*). Czy tak? — (*do siebie*) Zaraz legat[1]) zmażę.

(*Papkin przenosi się do stolika po lewej stronie będącego*).

Cześnik (*do Dyndalskiego*).

Siadaj waść tu — zmaczaj pióro,
Będziesz pisał po mem słowie.

Dyndalski. Stawiam tytle[2]) nie zbyt skoro.

Cześnik. Właśnie babskiej trzeba ręki —
Życie w zakład, że go złowię;
Dobrze będzie.

---

[1]) Zapis. — [2]) Duże początkowe litery (niem. Titel, napis).

Dyndalski (*usiadłszy bokiem do widzów naprzeciwko Cześnika i wkładając okulary*)
Bogu dzięki!
Cześnik. Teraz trzeba pisać właśnie,
Jakby Klara do Wacława.
Dyndalski. O! o!
Cześnik. No cóż: o, o — ?
Dyndalski (*podnosząc się*). Jaśnie
Panie, wszak to despekt[1]) dla niej.
Cześnik. Co się waszeć o to pyta!
Maczaj pióro — pisz i kwita.
(*Dyndalski siada wyprostowany na brzeżku krzesła i macza pióro. Papkin w ciągu tej sceny pisze — czasem wstaje — przechodzi się w głębi — macza pióro u stolika, przy którym Cześnik siedzi — znowu siada — ciągle płacząc, wszakże bez przesady*).
Cześnik (*po krótkiem myśleniu*).
Tylko że to, mocium panie,
Aby udać, trzeba sztuki,
Owe brednie, banialuki,
To miłosne świegotanie — (*myśli*)
Jak tu zacząć, mocium panie?
Dyndalski (*podnosząc się*).
Cnym afektem ulubiony...
Cześnik. O... o... o... o!... Jak od żony —
A tu trzeba pół, ćwierć słowa,
Ni tak, ni siak — niby owa!
O! — już wiesz — no! — na tem sztuka...
Lecz nie waści w tem nauka.
Pisz waść! (*nuci*) zaraz: (*nuci*)
(*dyktując*) Bardzo proszę. —
(*pokazując palcem na pismo*)
Co to jest?
Dyndalski (*podnosząc się — jak to za każdą razą, kiedy mówi do Cześnika*)
B.
Cześnik. To?
Dyndalski. B duże —
A capite[2]), jaśnie panie.
Cześnik (*przez stół patrząc*).
B? — to kreska — B, B duże.
Kto pomyśli, może zgadnie.
No, no — pisz waść — a dokładnie.
(*dyktuje*)
Bardzo proszę... mocium panie...

---

[1]) Ubliżenie, zniewaga. — [2]) Od początku wiersza.

Mocium panie... me wezwanie...
Mocium panie... wziąć w sposobie,
Mocium panie, wziąć w sposobie,
Jako ufność ku osobie...
Mocium panie, waszmość pana;
Która lubo mało znana,
Która lubo mało znana...
(*pokazując palcem*)
Cóż to jest?

Dyndalski (*podnosząc się*). Żyd, jaśnie panie,
Lecz w literę go przerobię.

Cześnik. Jak mi jeszcze kropla skapie,
To cię trzepnę tak po łapie,
Aż proformę[1]) wspomnisz sobie. —
Czytaj waść.
(*Dyndalski obciera pot aż po karku*)
No! jak tam było?

Dyndalski (*czyta*). Bardzo proszę mocium panie
Mocium panie me wezwanie
Mocium panie wziąć w sposobie
Mocium...

Cześnik (*wyrywa i drze papier*).
Niech cię czarci chwycą
Z taką pustą mózgownicą!
»Mocium panie« cymbał pisze!

Dyndalski. Jaśnie pana własne słowo.

Cześnik. Milcz waść! — Przepisz to *de novo*.
»Mocium panie« opuść wszędzie.

Dyndalski (*chcąc zbierać kawałki*).
Z tych kawałków trudno będzie.

Cześnik. Pisz *de novo* — pisz, powiadam! —
Mózgu we łbie za trzy grosze!
Siadaj — siadaj, mówię! —

Dyndalski. Siadam.

Cześnik. I powtarzaj. (*dyktuje*) Bardzo proszę,
Moć... (*zatyka sobie usta*).

Dyndalski (*powtarzając napisane*).
Moć.

Cześnik (*zrywając się*).
Co, Moć? cóż Moć znaczy?
Z tym hebesem nie pomoże!
Trzeba zrobić to inaczej. —
Nawet lepiej będzie może,
Gdy wyprawię doń pacholę

---

[1]) Najniższa klasa, wstępna.

Z ustną prośbą. — Tak, tak wolę.
Słuchaj. — Idź mi... Ależ, ale!
Rejentowicz od nikogo
Nie jest u mnie znany wcale.
Papkin (*obojętnie*). Wszyscy go tu poznać mogą,
Wszak był rano.
Cześnik. Co? ów młody?
Komisarzem co się mienił?
Papkin. Nieinaczej.
Cześnik. Na me szkody
W me komnaty ćwik się wkrada,
A ten milczy! nie powiada!
Papkin (*obojętnie*). Abym milczał, dał to złoto.
Cześnik (*biorąc się za głowę*).
O dla Boga! ty niecnoto!
Papkin. Kto już na pół w grobie stoi,
Twego gniewu się nie boi.
(*rzucając sakiewkę na ziemię*)
Cóż ten kruszec w takiej porze!
Cześnik. Milcz mi wasze!
Papkin. Któż go ceni!
Na cóż mi się przydać może?
(*kiedy Dyndalski chce podnieść sakiewkę, Papkin go uprzedza, kończąc mowę*).
Chyba tylko do kieszeni.
Cześnik. Cicho, cicho, bez hałasu,
Teraz na to niema czasu;
Ale jakem szlachcic prawy,
Zdasz mi poczet z twojej sprawy.
(*do Dyndalskiego*)
Wasze idź mi — wypraw Rózię,
Niech do Milczka wkraść się stara,
Niech młodemu Wacławowi,
Paniczowi — no, wiesz? — powie,
Że go prosi panna Klara,
By nie mówiąc nic nikomu,
Chciał na chwilę przyjść łaskawie,
Aby nie był wżdy w obawie,
Bo Cześnika niema w domu.
No rozumiesz?
Dyndalski. Dokumentnie.
Cześnik. Sam tymczasem zwiń się skrzętnie:
Kilku ludzi u wyłomu
Postaw w krzakach. — Jeno nogą
Panicz będzie za granicą,

Łapes capes — niech go chwycą;
A pójść nie chce — związać mogą.
Dyndalski. Ależ despekt, jaśnie panie,
Tak postąpić jakby z ciurą.
Cześnik. Wasze byłeś, jesteś rurą.
Jak rozkażę, tak się stanie. (*Chce odejść*).
Papkin (*zastępując drogę*).
Cześniku.
Cześnik. Cóż?
Papkin (*podając pióro*). Jako świadek.
Cześnik. Idź do kata!
(*Odchodzi z Dyndalskim w drzwi środkowe*).
Papkin (*sam — powtarzając*).
Idź do kata!
Wdzięczność ludzi, wielkość świata!
Każdy siebie ma na względzie,
A drugiego za narzędzie.
Póki dobre — cacko, złoto;
Jak zepsute — ruszaj w błoto.

SCENA VI.

Papkin, Klara *ze drzwi prawych.*

Papkin. O mych myśli ty bogini!
O ty jedna litościwa!
Pasmo życia jad przerywa,
Ale serce jakby w skrzyni
Miłość k'tobie zawsze kryje.
Klara. Cóż się stało?
Papkin. Już nie żyję.
Byłbym przywiózł krokodyla,
Byłbym zyskał twoją rękę;
Lecz ostatnia przyszła chwila,
Dziś rycerską kończę mękę.
Klara (*na stronie*). Stracił zmysły do ostatka.
Papkin. Ten testament wręczę tobie:
Racz posłuchać jakby matka
I zapłakać na mym grobie.
(*czyta, łzy często obcierając*)
»Ja, Józef Papkin, syn mego ojca, Jana Papkina...
(*czule*) »Jana, Jana — Jan mu było! (*czyta*)
»Będąc zupełnie zdrów na ciele i umyśle, ale nie mogąc
»wiedzieć, kiedy umrę...
Oczywiście.
»bo jestem otruty przez Rejenta Milczka w lampce wina...
W lampce wina.
»Robię ten testament czyli ostatnie rozporządzenie mojego

»ruchomego i nieruchomego majątku. Nieruchomym rozpo-
»rządzić nie mogę, bo żadnego nie mam...
Nie mogę.
»Ruchomości zaś tak rozdaję. — Tej, którąm zawsze kochał,
»czcił, szanował i ubóstwiał, JW-nej Klarze Raptusiewiczów-
»nie, Starościance Zakroczymskiej, daruję angielską gitarę
»i rzadką kollekcyę motyli, będącą teraz w zastawie. — Ar-
»temizę...
Cześnikowi dać ją chciałem,
Ale teraz przemazałem.
»Artemizę dostanie najdzielniejszy rycerz w Europie, pod
»warunkiem, aby pomnik postawił na mym grobie. — Z reszta
»ruchomości chcę być pochowany. (*Ociera łzy*). — JW.
»Cześnika zaś i JW. Starościankę jako egzekutorów testa-
»mentu suplikuję, aby moich wszystkich długów, jakie się
»tylko pokażą, nie płacili, gdyż chcę przez to braciom moim
»różnego stanu i wyznania zostawić po sobie pamiątkę. —
Józef Papkin«.
Józef Papkin *incognito* —
Na tytuły miejsca niema.
Weź więc i, co tu wyryto,
Niech twa pamięć wiecznie trzyma.

SCENA VII.

Papkin, Klara, Wacław *ze drzwi lewych.*

Wacław. Klaro, Klaro, co się dzieje!
Los nas ściga nazbyt srogo —
Wszystkie drogie nam nadzieje
W jednej chwili przepaść mogą.
Klara. Uchodź, uchodź, nie trać chwili.
Papkin. O, i moja taka rada,
Bo się wcześnie Cześnik sili
Zwabić cię tu w swoje szpony;
Poczt hajduków rozstawiony
Chwyci, zwiąże cię w potrzebie.
Klara. Jeszczeż mało to dla ciebie!
Wacław. Lecz jak będzie?
Klara (*w trwodze*). Dziś napiszę.
Wacław. Dziś wieczorem...
Klara. Hałas słyszę...
Wacław. To, cóm mówił...
Klara (*prosząc*). Potem, potem.
Wacław (*idąc ku drzwiom lewym*).
Idę teraz, lecz z powrotem...

SCENA VIII.

Klara, Papkin, Wacław, Cześnik, Dyndalski, Hajduki. *(z różnych stron).*

Cześnik (*zastępując w drzwiach lewych*).
Hola! hola! mocium panie!
Objechałem jak bartnika [1]).
Wacław. I cóż złego mi się stanie?
Widzę dużo przeciwnika,
Lecz nie myślcie, że się boję. —
(*do Cześnika*).
Jeśliś zbójca — masz mię, stoję.
Ale jeśliś człowiek prawy,
Jaką taką daj szablinę —
W Bogu wiara, że nie zginę.
Cześnik. Lubię, chłopcze, żeś mi żwawy;
Lecz nie o tem teraz mowa.
Daj więc baczność na me słowa.
Rejent wykradł narzeczonę
I chce tobie dać za żonę;
Miałby tryumf w tym sposobie
Lecz ja umiem radzić sobie:
Lub do turmy pójdziesz na dno,
Gdzie, że siedzisz, ciężko zgadną,
Albo — rękę oddasz Klarze.
A jeżeli Starościanka
Pójść nie zechce do ołtarza,
Jest tu druga jej bratanka,
Tej za ciebie pójść rozkażę.
Tobie żonka jakby nimfa,
Podstolinie grochowianka [2]),
Rejentowi tęga fimfa,
A mnie *zemsta* doskonała. —
Tak się skończy sprawa cała.
(*Milczenie*)
Wacław. Ale...
Cześnik. Tutaj niema: ale.
Wacław. Zaraz...
Cześnik. Zaraz albo wcale.
Wacław (*do Klary*). Mamyż wierzyć?
Klara. Ha, to wierzmy! —
(*Do Cześnika*)
Ślub brać dziś?
Cześnik. Dziś.
(Klara obraca się ku Wacławowi jakby o odpowiedź)
Wacław. Ha, więc bierzmy.

[1]) Niedźwiedzia. — [2]) Wieniec grochowy jako oznaka odkosza.

Cześnik. Zatem rękę daj dziewicy —
Nie od tego widzę ona.
Pleban czeka już w kaplicy
Dalej żwawo! (*na stronie*) Rejent skona.
(*Odchodząc do kaplicy*)
Papkin (*testament w ręku*).
O fortuno tygrysico!
I trucizna i wesele —
To za wiele! to za wiele!
(*Odchodzi do kaplicy*).

SCENA IX.

Dyndalski (*zbierając kawałki swojego pisma*).
Jak co sobie ubrda w głowie,
To i klinem nie wybije.
Żebym pisał, co się zowie,
Jak już długo z Bogiem żyję,
Tegom jeszcze nie powiedział;
Grzechem prezumpcya[1]) taka —
Ale jednak radbym wiedział,
Czemum dzisiaj zszedł na żaka.
Co on sobie — tylko proszę —
Mógł do tego B upatrzyć?
Co nie staje tej literze?
Czy brak w kształcie? czy brak w mierze?
Ot, krzyż Pański, a ja znoszę.
(*Siada i składa kawałki*).

SCENA X.

Dyndalski, Rejent.

(*Rejent wchodzi, oglądając się na wszystkie strony*.
Rejent (*kładąc rękę na ramieniu Dyndalskiego, który go nie widział*).
Dobry wieczór, panie bracie.
Cóż to, dżumę w zamku macie?
Żywej duszy. — Niema komu
Odpowiedzieć: pan czy w domu.
Dyndalski. Jest do usług.
Rejent. Rzecz ciekawa:
Cześnik wyzwał mnie na rękę;
Acz nie moja to zabawa,
Rzekłem jednak: wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba.
I wyszedłem, i czekałem;
Tak, czekałem nadaremnie.

[1]) Zarozumiałość, zbytnie rozumienie o sobie, przechwałka.

Może wróżył zbyt zuchwale,
Że mu Rejent nie dotrzyma;
Ale Rejent był na dziale,
Zucha tylko jeszcze niema.
Dyndalski. Ej, łaskawy mój Rejencie,
Nie wyzywaj go na cięcie.
Bo jak machnie po pętlicach,
Zdywiduje [1]), jak Bóg Bogiem.
Głosy (*w kaplicy*). Wiwat! wiwat! państwo młodzi!
Rejent. Któż wesele tu obchodzi?
Dyndalski. Rejentowicz.
Rejent (*jak oparzony*). Być nie może!
Cześnik (*za sceną*). Hej Dyndalski! tam do czarta!
Okulbaczyć mi dzianeta! [2])
(*Wychodząc*).
Już kaducznie przeszła czwarta.

SCENA XI.

Rejent, Cześnik.

(*Cześnik, przyszedłszy na przód sceny, postrzega Rejenta — staje jak wryty — Rejent kłania się nizko — czas milczenia — oko w oko patrzą — Cześnik chwyta za szablę, toż samo i Rejent — czas jakiś zastanowienia — Cześnik zdaje się walczyć z sobą — Dyndalski wybiega do kaplicy*).

Cześnik (*na stronie*). Nie wodź mnie na pokuszenie,
Ojców moich wielki Boże!
Wszak, gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może.
(*Odpasuje i rzuca karabelę na stół — Rejent zawiesza czapkę na rękojeści swojej szabli*).
Czegoż żądasz?
Rejent. Mego syna.
Cześnik. Ha! ha! rozkosz mi jedyna!
Będziesz zadość miał z tej strony
Ale z żoną, czy bez żony?
Rejent (*wstrzymując się*).
To... za wiele...
Cześnik. Co za wiele?
Tyś mi ukradł moją wdowę,
By ją zmienić na synowę;
Jam zatrzymał twego syna,
By mu sprawić tu wesele:
Masz więc byka za indyka.

---

[1]) Porąbie. — [2]) Koń okazały, dobrze ułożony (według metody hiszpańskiej).

SCENA XII.

Ciż sami, Klara, Wacław, Papkin, Dyndalski, Dworzanie, Kobiety (*wszyscy z bukietami wychodzą z kaplicy*).

Wacław. Ach mój ojcze!
Klara. Ach mój stryju,
Niech się skończy ta zawiłość.
Wacław (*klęcząc*). Przebacz, ojcze, i wzajemną
Pobłogosław naszą miłość!
Rejent. Wstań serdeńko i chodź ze mną.

SCENA XIII.

Ciż sami, Podstolina.

Podstolina. Mamże wierzyć, co się dzieje!
Wacław z Klarą —
Rejent (*na stronie*). Oszaleję!
Podstolina. Tak jest, wierzę, już się stało.
Więc wam powiem — i niemało.
Chciałam zamąż pójść czemprędzej,
By nie zostać całkiem w nędzy.
Ów majątek zapisany,
Na czas tylko był mi dany;
A w istotnym wiecznym darze
Dziś przypada szczęsnej Klarze.
Rejent (*na stronie*). Dwa majątki — kąsek gładki —
Coś stryjowi żal tej gratki.
Cześnik (*na stronie*). Zamieniał stryjek
Na siekierkę kijek.
Podstolina. Ale przez to dziś nie tracę
U Rejenta sto tysięcy...
Klara. Nie — ja z mego to zapłacę.
(*Podstolina przechodzi na prawą stronę*)
(*do Rejenta*). Nie opieraj się już więcej,
Swego gniewu zwalcz ostatki,
Pobłogosław twoje dziatki. —
(*Klęka z Wacławem, któremu podaje prawą rękę*)
Rejent. Niech się dzieje wola nieba,
Z nią się zawsze zgadzać trzeba.
(*Daje krzyżyk i podnosi klęczących*).
Papkin (*do Wacława*). Mogę przestać na twem słowie?
Ręczysz pewnie za me zdrowie?
(*na znak potakujący — do Cześnika*)
Teraz wzywam waszmość pana,
Każ nam przynieść roztruchana, [1])
Niech nam zagrzmią i fanfary,[2])

[1]) Puhar wielki, — [2]) Tryumfalna muzyka (na trąbach, z kotłami i bębnami).

Wypijemy pierwszej pary!
(Przechodzi na lewą stronę i drze testament).
Cześnik. Niechże będzie dziś wesele, 425
Równie w sercach jak i w dziele!
(podając rękę Rejentowi)
Mocium panie, z nami zgoda.
(Rejent przyjmuje rękę z nizkim ukłonem).
Wszyscy. Zgoda! zgoda!
Wacław *(wstąpiwszy w środek tak, że Klara po jego prawej, podaje rękę Cześnikowi, on zaś ojcu po lewej, i posuwając się na przód sceny)*
Tak jest, zgoda,
A Bóg wtedy rękę poda.

---

82. „Zemsta“ Aleks. hr. Fredry.

Komedya, która przy dobrej budowie, przy prostej, ale bardzo żywej i doskonale prowadzonej akcyi, przy humorze wesołym i świetnym dowcipie ma charaktery, skreślone z wielką psychologiczną prawdą: taka komedya spełnia swoje zadanie i odpowiada wszystkiemu, czego od niej żądać można. A jeżeli nadto ma jeszcze coś więcej; jeżeli jej postaci są wiernymi a pięknymi typami natury tego narodu, do którego należą; jeżeli te postaci w powszedniości swojego położenia mają niezwyczajny urok poetyczny: wtedy komedya daje już więcej, niż powinna, dotrzymuje więcej, niż obiecuje; wtedy wkracza już w sferę poezyi i ma prawo nazywać się piękną.

Na tę nazwę zasługuje »Zemsta« Al. hr. Fredry, która przez wspaniałą typowość postaci, dziś już nie istniejących, wchodzi w zakres poezyi. Ona też należy do tych dzieł w naszej literaturze, które wskrzeszają do wiecznego życia to, co z rzeczywistego zniknęło. W tej sprawie o mur graniczny stoją obok siebie i walczą dwa główne rodzaje polskiej natury, dwa kierunki powołania i życia, nawet dwa stopnie społecznego położenia. Szlachcic bogaty na dziedzicznym majątku, zakrawający na magnata i syn senatorski zapewne, choć sam tylko na ziemskim urzędzie; drugi na dorobku, zbijający grosz do grosza przez całe

życie, cierpliwie, skwapliwie, w pocie, a zapewne i w uchyleniu czoła, w atentowaniu i patronowaniu spraw (nie zawsze może czystych), przy trybunale, w pozwach i dekretach, replikach i duplikach, wyderkafach i kadukach, zapewne i w pożyczkach, zastawach i lichwach, aż wreszcie dorobił się tyle, że mógł nabyć majętność czy pół majętności i być posesyonatem, jak tamten, który go zawsze kłół w oczy swojem szczęściem, któremu całe życie zazdrościł. Bo uniżony, zgięty we dwoje Rejent, o słodkiej mowie i kocich ruchach, nie jest mniej dumnym od porywczego, hałaśliwego Cześnika: i ta głowa, zawsze schylona, zawsze o tem tylko marzyła, żeby się nosić górą i zadzierać.

Kiedy Cześnik za młodu żył hucznie, sejmikował i próbował dobroci swoich różnych karabel na łbach adwersarzy przy wyborach lub pojedynkach, a nieprzyjaciół na wojaczce: młody Milczek patrzał na niego jak na ziemskie bóstwo uprzywilejowane, obsypane wszystkimi darami fortuny, i pytał: Czemu to nie ja? Zazdrościł; ale, ufny w swój rozum i wolę, wyrachowany, mówił sobie od młodości *nemo sapiens, nisi patiens,* i kłaniał się, zginał, znosił, upokarzał, oszczędzał, pożyczał, zbierał i zdzierał w nadziei, że bodaj na starość, ale przecież raz przed śmiercią będzie tak dobry, jak tamten: aż doszedł do swego. Zazdrościć już nie ma czego, ale zazdrości przecież z nałogu, z natury; zazdrości Cześnikowi wszystkiego, głośnego i rozkazującego słowa, swobodnego i śmiałego ruchu, głowy swobodnie w górę podniesionej — on, który całe życie nawykł mówić cicho, grzbiet zginać, prosić, a nie rozkazywać: zazdrości mu zwłaszcza charakteru sympatycznego, męskiego, otwartego; zazdrości mu miłości ludzkiej, on, który czuje dobrze, że sam robi na ludzi wrażenie nieprzyjazne, odtrącające jak dotknięcie płazu.

Jeżeli wszyscy ludzie są choć trochę do jakichś zwierząt podobni, to Cześnik ma coś z natury lwiej: »bić się albo spać«, jak mówi poeta o Lechu [1]); w gniewie posunie się do gwałtu, najedzie, zagrabi, zburzy albo spali przeciwnika, ale rychło zapomni, a zapomniawszy, pojedna się

[1]) Słowacki: Lilla Weneda I., 3.

i nagrodzi. Rejent ma złość cichą i zimną, jak zwierzęta o zimnej krwi: jego gniew nie rozlega się krzykiem w powietrzu — co najwięcej syczy; jego zemsty nie słychać, kiedy się przybliża: on się czai jak lis, kąsa milczkiem jak gadzina. Jeden, gdyby jego złe skłonności wzięły górę i gdyby zajmował wielkie w świecie stanowisko, urażony, podniósłby rokosz jak Zebrzydowski, drugi jak Radziejowski wyniósłby się chyłkiem i sprowadziłby Szwedów; u jednego złe, posunięte do ostateczności, przybrałoby takie kształty, jak u starosty Kaniowskiego; drugi nie zrobi nic przeciwnego prawom i na turmę nie narazi się nigdy, ale nie zapomni nic, nie daruje nigdy, ma pamięć lepszą, nienawiść głębszą, zemstę straszniejszą: jeden umrze na apopleksyę, drugi na wątrobę.

Te dwa temperamenta, sangwiniczny i żółciowy, są u nas najpowszedniejsze, trafiają się w naszej historyi, w literaturze, w codziennem życiu i objawiają się zawsze tak, jak tu w komedyi, jeden popędliwością, gniewem, niekiedy gwałtem, drugi cichą i zdradliwą zazdrością. W obu na dnie siedzi miłość własna i duma; tylko ta namiętność główna i dominująca, połączona z temperamentem odmiennym, u każdego przybrała inny kształt i inny kierunek.

Psychologiczna prawda i wyrazistość tych dwóch charakterów w przedstawieniu dochodzi do doskonałości, a ich typowość polska utrzymana jest po mistrzowsku od głównych aż do najdrobniejszych rysów. Dwie były wielkie drogi czy formy życia, dwa powołania i zajęcia dla szlachcica w dawnej Polsce: wojna i prawo, szabla i statut; każdy z tych ludzi wybiera je podług swojej natury. Cześnik, pełen jakiejś fizycznej energii, cały na zewnątrz, był żołnierzem, później ziemianinem: Milczek palestrantem. Pierwszy zgodnie ze swoją naturą i powołaniem robi wszystko, nawet złe, otwarcie i odważnie; drugi wszystko legalnie i tą legalnością chce salwować swoją odpowiedzialność przed światem, przed własnem sumieniem, nawet przed Panem Bogiem. Hipokryzya, którą Fredro tak hojnie wyposażył Milczka, jest prawie zawsze cechą, jest uzupełnieniem, koroną takich natur zgryźliwych i zawistnych. Figury, głęboko pomyślane i po mistrzowsku narysowane pod wzglę-

dem psychologicznej prawdy i narodowej typowości i pod względem przeciwieństwa, a pod względem komiki niezrównane, bo zabawne bardzo, nie przestają być poważnemi, a głębokość, jaka w nich jest, nic nie przeszkadza komiczności.

Jaki los dziwny kazał im mieszkać obok siebie w tym samym zamku? pewna, że złośliwszej psoty wyrządzić im nie mógł. Ludzie najzgodniejsi i najprzychylniejsi sobie wzajemnie, w takich warunkach życia musieliby dojść do sąsiedzkich zatargów: cóż dopiero ci, którzy z góry skazani są na to, żeby się nie cierpieli!

Cześnik musi do takiego Rejenta czuć odrazę i upokarzać go, gdzie i kiedy tylko może, ze szczególną przyjemnością; Rejent musi Cześnika nienawidzieć, zazdrościć mu, a w duszy go lekceważyć jako głupszego od siebie. Zbliżenie tych dwóch charakterów musiało się stać zderzeniem, walką. A jak w tej walce wyglądają, jak każdy, wierny swojej naturze, walczy właściwą sobie bronią! od tej pierwszej chwili, kiedy z dwóch przeciwnych okien dwóch połów swego zamku jeden rozkazuje gwałt robić, a drugi cieszy się złośliwie, bo już obliczył, że im większy gwałt i krzywda, tem cięższa będzie skarga i kara — aż do tej chwili ostatniej, kiedy Rejent podstępem wydarł Cześnikowi narzeczoną, a Cześnik jemu gwałtem porwał syna. Jak bardzo prawdziwie: jeden nie zważa na prawo, nie myśli o niem i gwałci je, a drugi, na prawnym gruncie stając i wszystko na ten grunt sprowadzając, gwałci je także, bo je naciąga, przekręca i oszukuje, pisząc swój pozew w ślicznej pierwszej scenie trzeciego aktu. Czy to nie przeszłość także, czy nie schwytany na uczynku i odmalowany żywcem stosunek dawnego szlachcica, butnego obywatela i wykrętnego palestranta do prawa? Są przepyszni oba, są prawie genialni od początku do końca, komiczni w najwyższym stopniu i w najwyższem znaczeniu słowa, a tak prawdziwi, tak pełni życia, siły, energii i prawdy uczuć, że każdy w swoim rodzaju dochodzi prawie do ideału swego charakteru i staje się typem, a prawie nawet ideałem poetycznym.

Cześnik, czy patrzy z okna na bójkę swoich pachołków z mularzami, czy wpada w wściekłość, czy Dyndalskiemu dyktuje ów klasyczny list miłosny, jest tak żywy, tak plastyczny, tak staropolski i w takim humorze, a z taką przytem ukrytą rzewnością odmalowany, że mógłby śmiele znaleźć się w Soplicowie, w towarzystwie Podkomorzego, Sędziego i Wojskiego i w tem towarzystwie byłby zupełnie na swojem miejscu. W czwartym zaś akcie, kiedy sumienie i honor wstrzymują rękę, która na widok nieprzyjaciela już za kord chwyciła, wtedy znowu jest godzien stanąć obok tamtych, wtedy znowu, jak oni, przedstawia przeszłość nie tylko w świetle miłem, sympatycznem i pogodnem, ale pięknem, ze strony szlachetnej i pięknej. Czy Fredro znał jeszcze takich, czy tylko ich tak dobrze oczyma duszy widzieć umiał? To pewna, że my w poezyi takich, jak Cześnik, widzimy tylko w »Panu Tadeuszu«, a w całej naszej gawędowej, staroszlacheckiej poezyi takiego starego szlachcica, jak on, tak dobrego, żywego i sympatycznego, niema.

Jego adwersarz w swoim rodzaju na tej samej wysokości. Nie tak pokaźny i efektowny i z natury i z budowy sztuki, która mu właściwie zostawiła tylko jeden akt: w tym jednym pokazuje się tak zupełnym, tak skończonym typem zawistnego charakteru, namiętności zamkniętej w sobie, chłodnej a silnej, żelaznej woli człowieka, co całe życie ślęczał i oszczędzał, zdradliwej chytrości, twardego serca, palestranta, hipokryty i »milczka«: że to jego nazwisko może jak nazwisko Molierowego Tartuffa stać się wyrazem na oznaczenie całego jednego rodzaju ludzkich natur. Równy jest sobie zawsze, zawsze doskonały, a jeżeli w jednej scenie z Papkinem wydaje się świetniejszym, niż w innych, to nie, żeby na prawdę tak było, tylko że sytuacya, niezmiernie komiczna, oświeca i wydobywa na jaw wszystkie jego zalety.

A otoczenie? tło, na którem te figury stoją? Rzadko kiedy charakter czasu oddany był tak wiernie. W Rzewuskiego *Pamiątkach Soplicy* albo w *Listopadzie* ludzie noszą równie wyraźne znamiona swego czasu. Ze słów Cześnika, kiedy wspomina swoje lata żołnierskie, oznaczyć można dokładnie te, w których się *Zemsta* odbywa; ale i bez

tego czy możnaby się pomylić? Czy z każdego słowa, ze sposobu mówienia, ze stylu nie przegląda wyraźnie schyłek XVIII. wieku, równie jak z życia, z położenia, ze zwyczajów i działań ludzi? Zamek, podzielony między dwóch właścicieli, to zabytek dawniejszego czasu i obyczaj podówczas już rzadki, może nie istniejący, ale mogący jeszcze tu i ówdzie wyjątkowo istnieć. Cześnika samowola, nieświadomość prawa, doraźna i arbitralna egzekucya własnego postanowienia na rzeczy, która jest przedmiotem prawnego sporu, a przynajmniej stosunku — to wiek XVIII.; jego domowe życie, jego sługa Dyndalski, kucharz Perełka, M. H. na tortach z godłami i konceptami — wiek XVIII. Rejent, wykrętacz i hipokryta, ze złych już oczywiście czasów palestry — znowu wiek XVIII. Papkin, zwłaszcza Papkin oznacza epokę tak, że po nim samym możnaby ją poznać, jak geologowie po pewnych oznakach poznają epokę warstw i formacyi. Ze wszystkiego więc wieje atmosfera XVIII. wieku.

Nawet osoby pomniejsze, jako figury komiczne i jako figury polskie, są doskonałe. Dyndalski naprzykład, czy nie łatwo go sobie wyobrazić z półgarncem miodu na przyzbie domu między Gerwazym a Protazym, w najlepszej z nimi harmonii i konfidencyi, zajętym wielce ich rozmową i nawzajem z przyjemnością przez nich słuchanym? Budowa jest doskonała, a rozwiązanie, co u Fredry rzecz rzadka, nie tylko śliczne, ale zupełnie naturalne.

Miłość Wacława i Klary była tak skazana na nieszczęśliwy koniec, jak miłość Romea i Julietty [1]), połączenie ich na złość, wet za wet Rejentowi jest zręczne i nowe i zupełnie zgodne z namiętnością Cześnika. Udaremnić zamysły nieprzyjaciela, zemścić się nad niewierną Podstoliną, to rozkosz; to tak wiele warto, że można dla tego coś poświęcić i wydać siostrzenicę za chłopca z tego złego gniazda. Uważać warto, że Cześnik nie rozczula się wcale nad tą parą zakochanych, nie dba! i nie pyta, czy oni chcą się pobrać czy nie; jedynym powodem działania jest dla niego odwet.

---

[1]) W tragedyi Szekspira p. t. »Romeo i Julia«.

A Papkin? Że on dźwiga na sobie cały ciężar komiczności, że bez niego sztuka nie byłaby tak wesołą i zabawną, że jest w najwyższym stopniu zabawny, czy kłamie i fanfaronuje, czy się boi, czy opłakuje swoją śmierć i pisze testament, to niezawodne. Ale czy ten stopień śmieszności jest możliwym i prawdopodobnym? Czy człowiek może być takim, jak on, tchórzem, a zarazem tak bezczelnie udawać zucha, kiedy wie przecie, że mu nikt uwierzyć nie może? czy można, nie będąc zupełnie głupim (bo Papkin swój pewien rozum ma), nie pomiarkować, że udawać nie warto, kiedy się udawaniem nikogo oszukać nie zdoła? czy można wreszcie, będąc tak otwarcie i bez pudoru nikczemną figurą, biorąc pieniądze od każdego, kto je dać raczy, wybrać sobie ten rodzaj fanfaronady junackiej i wojskowej? W rzeczywistości zapewne byłoby to trudnem. Są nieraz ludzie, którzy zmyślają tak bezczelnie, jak Papkin, ale czują przecież, że to kłamstwo do czegoś ich obowiązuje, i starają się udawać nie w samych tylko słowach, ale i w postępowaniu choć trochę, dla konsekwencyi. Czy w komedyi Fredro miał prawo odstąpić nieco od ścisłego prawdopodobieństwa? Miał niezawodnie. Naprzód wymyślił on Papkina, nie na to, żeby był głęboką kreacyą, ale żeby był figurą zabawną i śmieszną, a takim zawsze więcej wolno, niż poważnym, i autor, tworząc je, nie potrzebuje ważyć i mierzyć każdego słowa i obawiać się przesady: owszem, trochę przesady nie szkodzi. Powtóre, sztuka nie naśladuje, nie powtarza wiernie rzeczywistości, tylko w niej tworzy coś nowego: a jeżeli poezyi wolno stworzyć ideał, choćby z rzeczywistością niezupełnie zgodny, to wolno i komedyi składać ideały śmieszności, karykatury. Wreszcie w tym świecie, przy Cześniku, Papkin jest nawet bardzo na swojem miejscu. Parazyt był sprzętem bardzo powszechnym w dawnych polskich domach, a nieraz bywał i nadwornym błaznem, z którego się wszyscy śmieli, a który udawał, że tego nie widzi; bywał i używanym do różnych posług, było w nim trochę lokaja, trochę faktora, a przytem najczęściej i chęć udawania jakiejś niezależności, utrzymywania się niby na równi z tymi, którym pozwalał się lekceważyć i upokarzać, bo ich potrzebował. To na do-

wód, że w takiej komedyi staropolskiej figura taka znaleźć się miała prawo. Co zaś do strony psychologicznej: jakiś recenzent niemiecki, zdając sprawę z Zemsty, którą widział czy czytał, napisał o Papkinie, że to jest »ein polnischer Falstaff«. Że Fredro o Szekspirowskim Falstaffie nie myślał, to pewna, ale czy nazwa nie jest słusznie dana, a zbliżenie trafnie odkryte? Natura jest podobna, rola, jaką każdy z nich gra w swoim świecie, jest podobna, śmieszności są podobne. Gdyby więc Papkin potrzebował usprawiedliwienia, to je ma w Falstaffie: junactwo, kłamstwo, tchórzostwo, płaskość natury i życia, posunięte do ostateczności, do karykatury, są tam jak tutaj; jeżeli tam nie rażą nikogo nieprawdopodobieństwem, jeżeli przypuszczamy możliwość Falstaffa, powinniśmy pozwolić na charakter Papkina, a to tem bardziej, że on ani pozwolenia ani usprawiedliwienia nie potrzebuje. Kto, jak on, jest najpopularniejszą figurą komiczną, zwłaszcza swego narodu, kto od lat siedmdziesięciu blizko nie może się pokazać na scenie, żeby nie wywołał głośnego i ustawicznego śmiechu: ten jest błaznem może, ale musi być dobrym błaznem, dla jednego narodu przynajmniej i z jednej epoki klasycznym.

Rozmyślając o wszystkich wdziękach i zaletach Zemsty, odkrywa się, że ona jest rodzajem komedyi, jakiego się nigdy przedtem i nigdzie indziej nie widziało. Wskutek może tego pierwiastku satyrycznego, jaki jest w komedyi, wskutek zasady *ridendo castigat mores,* komedya za przedmiot ma najczęściej teraźniejszość. Ale nigdy i nigdzie podobno prócz u Fredry nie było tego, żeby komedya brała za przedmiot życie potoczne, codzienne dawnych wieków, żeby to życie przedstawiała nie z pomocą historycznych zdarzeń i postaci, ale na figurach zmyślonych i na stosunkach codziennych; prywatnych, domowych.

W komedyi współczesnej może wystarczyć obserwacya i talent, tu trzeba jeszcze jakiegoś intuicyjnego[1]) odgadnienia przeszłości, i to z tej strony jej życia, która najprędzej znika i najmniej zostawia śladów. Wyjątkiem więc bę-

[1]) Intuicya, dar uprzytomnienia sobie jakiejś osoby lub rzeczy, choć się jej nie widziało; tutaj mowa jest o darze odgadywania i uprzytomniania sobie odległej przeszłości.

dzie ten kierunek komedyi zawsze i może powinien być wyjątkiem. Ale jak się wyjątek uda, jak humoru, dowcipu wesołości da mu autor tyle, że komedya będzie tak zabawna, zajmująca i żywa, jak gdyby nam stawiała przed oczy świat nasz własny ze wszystkiem, co w nim żyje, a zarazem tworzy typy, które w zakresie ogólnej ludzkiej prawdy noszą na sobie wyraźne znamiona ubiegłej a szanownej i szanowanej przeszłości: wtedy komedya, nie przestając być sobą, bawić i śmieszyć, nabiera jakiejś niezwykłej powagi; wtedy na jej postaci patrzymy nie jak na dobre i zabawne typy komiczne tylko, ale prawie jak na ideały poetyczne, kreślone wesoło i z humorem, z prawdą, ale i z uczuciem, z jakiemś serdecznem rozrzewnieniem, z jakiemś tęsknem wspomnieniem. I to jest urok, to jest poważna wartość, to jest piękność Zemsty. »Piękność« można powiedzieć śmiało, bo w takich razach komedya, swoim sposobem robiąc to, co zazwyczaj tylko poezya zrobić jest zdolna, do niej się zbliża i ma prawo do tytułu, który dla dzieł opartych na obserwacyi samej jest za wielki, a służy tym tylko, które wychodzą z wyobraźni i z natchnienia.

Stanisław hr. Tarnowski (Komedye Al. hr. Fredry).

---

83. Makbet.

Tragedya W. Szekspira w 5 aktach.

(W skróceniu).

Król szkocki Dunkan (w drugiej połowie XI. wieku) musiał równocześnie prowadzić wojnę z Norwegczykami, którzy państwo jego najechali, i z Makdonwaldem, który, lubo najpierwszą w państwie piastujący godność, przeciw własnemu panu podniósł chorągiew buntu. Na czele wojska królewskiego stanął Makbet i świetne nad obu przeciwnikami odniósł zwycięstwo. Wdzięcznością tedy powodowany król postanawia zwycięskiemu wodzowi nadać tę godność, którą właśnie utracił pokonany buntownik. Tymczasem powracającemu z pobojowiska zwycięzcy zachodzą drogę trzy czarownice, ażeby mu przepowiedzieć przyszłość.

AKT PIERWSZY.

Trzy czarownice. Dalej, dalej, siostry wiedźmy!
Czarodziejski krąg zawiedźmy:

Ot tak, ot tak, ot tak! —
Trzykroć tak i trzykroć wspak,
Trzykroć jeszcze do dziewięciu;
Pst! — już po zaklęciu!

(*Wchodzą Makbet i Banko*).

Makbet. Tak ponurego dnia i tak pięknego,
Jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałem.
Banko. Dalekoż jeszcze do Fores?... Ale któż są
Te tam postacie wywiędłe i szpetne?...
Nie zdają się mieć nic wspólnego z ziemią,
Są jednak na niej... Żyweż wy jesteście?
Zdolne na ludzką mowę odpowiedzieć?
Zdawałoby się, że mnie rozumiecie,
Bo wszystkie razem chude swoje palce
Do ust zapadłych przykładacie. Pozór
Niewieści macie, ale wasze brody
Nie pozwalają mi w tę płeć uwierzyć...
Makbet. Jeśli możecie, mówcie: kto jesteście?
Czar. 1. Cześć ci, Makbecie! Cześć ci, tanie Glamis!
Czar. 2. Cześć ci, Makbecie! Cześć ci, tanie Kawdor!
Czar. 3. Cześć ci, Makbecie! Przyszły królu, cześć ci!
Banko. Czego się wzdrygasz, zacny przyjacielu?
Zdajesz się jakby przerażony wróżbą
Tak mile brzmiącą... W imię prawdy mówcie:
Czyście wy tylko łudzącemi mary,
Czy rzeczywiście tem, czem się rzekomo
Jawicie oku? Szlachetnego mego
Współtowarzysza broni pozdrawiacie
Rzędem tytułów, przechodzących wszelkie
Jego nadzieje: mnie nic nie mówicie.
Jeśli, świadome siejby czasu, wiecie,
Które się ziarno udać ma, a które
Zmarnieć, żadnego nie wydawszy plonu:
Przemówcie do mnie, który ani stoję
O wasze względy ani się niełaski
Waszej obawiam.
Czarownice. Cześć ci, Banko, cześć ci!
Czar. 1. Mniej wielkim będziesz niż Makbet, a większym.
Czar. 2. Nie tak szczęśliwym, a przecie szczęśliwszym.
Czar. 3. Nie będąc królem, królów ojcem będziesz:
Cześć więc wam obu, Makbecie i Banko!
Czar. 1. Makbecie, Banko, cześć wam!
Czar. 2. Cześć wam!
Czar. 3. Cześć wam!
Makbet. Ciemne Sybille, więcej mi powiedzcie!
Przez śmierć Sinela jestem tanem Glamis;

O tem wiem. Ale skądże tanem Kawdor?
Tan Kawdor żyje i nic mu nie grozi.
Królem zaś zostać, jest to dla mnie rzeczą,
Mniej jeszcze mieścić się mogącą w sferze
Prawdobodobieństw, niż być tanem Kawdor.
Mówcie: jak dawno macie tę wiadomość?
I w jakim celu nas tu na tych wrzosach
Zatrzymujecie tak dziwnem proroctwem?
Odpowiadajcie, rozkazuję wam.
(*Czarownice znikają*).

Kiedy Makbet z przyjacielem swym Bankiem rozważali tajemniczą wróżbę, przybył od króla poseł, przynosząc dla Makbeta godność tana Kawdoru. Spełnienie jednej przepowiedni budzi w Makbecie tem większe pragnienie uzyskania i drugiej rzeczy, t. j. korony. Jego żona, otrzymawszy o wszystkiem wiadomość, postanawia zniewolić męża do tego, by się sam starał o przyśpieszenie spełnienia wróżby: a gdy król Dunkan, chcąc Makbetowi okazać swą łaskę, zjeżdża z synami do jego zamku (Invernes) w gościnę, Lady Makbet podaje mężowi myśl zamordowania króla we własnym domu.

SCENA VII.

Pokój w pałacu.

(Odgłos obojów. Pochodnie pozapalane. Krajczy nadworny, a za nim kilku sług z półmiskami i różnym przyrządem przechodzą przez scenę. Po niejakiej chwili wchodzi Makbet).

Makbet. Jeśli to, co się ma stać, stać się musi,
Niechby przynajmniej stało się niezwłocznie.
Gdyby ten straszny cios mógł przeciąć wszelkie
Dalsze następstwa, gdyby ten czyn mógł być
Sam w sobie wszystkiem i końcem wszystkiego,
Tylko tu, na tej doczesnej mieliźnie:
O przyszłe życie bym nie stał. Lecz zwykle
W podobnych razach tu już kaźń nas czeka.
Krwawa nauka, którą dajem, spada
Na własną naszą głowę. Sprawiedliwość
Zwraca podaną przez nas czarę jadu
Do własnych naszych ust. Z podwójnych względów
Należy mu się u mnie bezpieczeństwo:
Jestem i krewnym jego i wasalem.
To samo zbyt już przeważnie potępia
Taki postępek; lecz jestem, co więcej,
I gospodarzem jego, który winien
Drzwi zamknąć jego zabójcy, nie owszem
Sam mu do piersi zbójczy nóż przykładać.
A potem, Dunkan tak skromnie piastował
Swą godność, tak był nieskalanie czystym

W pełnieniu swego wielkiego urzędu,
Że cnoty jego, jak anioły nieba,
Piorunującym głosem świadczyć będą
Przeciw wyrodnym sprawcom jego śmierci
I litość jako nowonarodzone
Nagie niemowlę lub cherub, siedzący
Na niewidzialnych, powietrznych rumakach,
Wiać będzie w oczy każdemu okropny
Obraz tej zbrodni, by wiatr łzy osuszył.
Jeden, wyłącznie jeden tylko bodziec
Podżega we mnie tę pokusę, to jest
Wyniosłość, która przeskakując siebie,
Dąży powalić drugich.

(*Wchodzi Lady Makbet*).

Cóż tam?

L. Makbet. Właśnie
Wstał od wieczerzy. Pocoś się oddalił?

Makbet. Czy pytał o mnie?

L. Mak. Ty mnie o to pytasz?

Makbet. Nie postępujmy dalej na tej drodze!
Dopiero co mię obdarzył godnością
I sam dopiero co sobie kupiłem
Złotą u ludzi sławę, sławę, którą
Godziłoby się jak najdłużej w świeżym
Utrzymać blasku, nie zaś tak skwapliwie
Odrzucać.

L. Mak. Byłaż pijaną nadzieja,
Co cię niedawno jeszcze kołysała?
Zasnęłaż potem i budziż się teraz,
Żeby ospale, trwożnie patrzeć na to,
Na co tak raźnie wtedy poglądała?
Nielepsze dajesz mi wyobrażenie
I o miłości twojej. Maszli skrupuł
Mężnie w czyn przelać to, czego pożądasz?
Chciałbyś posiadać to, co sam uznajesz
Ozdobą życia, i chcesz żyć zarazem
W własnem uznaniu jako tchórz.

Makbet. Przestań, proszę.
Na wszystkom gotów, co jest godne męża;
Kto więcej waży, nie jest nim.

L. Mak. I jakiż
Zły duch ci kazał tę myśl mi nasunąć?
Kiedyś ją powziął, wtedy byłeś mężem:
O ilebyś był więcej tem, czem byłeś,
O tyle więcej byłbyś nim. Nie była
Wtedy po temu pora ani miejsce;

Jedno i drugie stworzyć byłbyś gotów:
Teraz się jedno i drugie nastręcza,
A ty się cofasz? Byłam karmicielką
I wiem, jak to jest słodko kochać dziecię,
Które się karmi; byłabym mu jednak
Wyrwała była pierś z ust nadstawionych,
Które się do mnie tkliwie uśmiechały,
I rozstrzaskała czaszkę, gdybym była
Zobowiązała się do tego czynu,
Jak ty do tego.

Makbet. Gdybyśmy chybili?

L. Mak. Chybić! obwaruj jeno swoje męstwo,
A nie chybimy. Skoro Dunkan zaśnie,
(Co naturalnie po trudach dnia prędko
Pewnie nastąpi), przyrządzonem winem
Dwóch pokojowców jego tak uraczę,
Że się ich pamięć, ten stróż mózgu, w parę,
A władz siedlisko zamieni w alembik.
Gdy snem zwierzęcym ujęci, jak trupy
Spoczywać będą, czegoż nie zdołamy
Dokazać wtedy ze śpiącym Dunkanem?
Czego nie złożyć na jego pijaną
Służbę, na którą spadnie cała wina?...

Makbet. Skoro tych śpiących ludzi krwią pomażem
I użyjemy ich własnych sztyletów,
Któż nie pomyśli, że ta zbrodnia była
Ich dziełem?

L. Mak. Któż ma pomyśleć inaczej?
Jeżeli zwłaszcza jękiem i lamentem
Nad jego śmiercią napełnimy zamek.

Makbet. Niech się więc stanie! Wszystkie moje siły
Nagnę do tego okropnego czynu.
Idźmy i szydźmy z świata jasnem czołem:
Fałsz serc i fałsz lic muszą iść społem.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Invernes. Dziedziniec zamkowy.

(Makbet wchodzi; przed nim sługa z pochodnią).

Makbet. Idź, powiedz pani, żeby zadzwoniła,
Skoro ów napój dla mnie będzie gotów.
Możesz się potem położyć.

(Wychodzi sługa).

Jestli to sztylet, co przed sobą widzę,
Z zwróconą ku mej dłoni rękojeścią?

Pójdź, niech cię ujmę!... Nie mam cię, a jednak
Ciągle cię widzę. Fatalne widziadło!
Nie jestżeś ty dla zmysłu dotykania,
Tylko dla zmysłu widzenia dostępnym?
Jestżeś sztyletem tylko wyobraźni?
Rozpalonego tylko mózgu tworem?
Widzę cię jednak tak samo wyraźnie,
Jako ten, który właśnie wydobywam.
Ty mi wskazujesz jak przewodnik drogę,
Którą iść miałem; takiego też miałem
Użyć narzędzia. Albo mój wzrok błaznem
Jest w porównaniu z resztą moich zmysłów
Albo jest więcej wart niż wszystkie razem...
Ciągle cię widzę, a na twojej klindze
I rękojeści znamiona krwi, których
Pierwej nie było. Niema ich w istocie;
Moja to krwawa myśl jawi je oczom...
Na całym teraz półobszarze świata
Natura zdaje się martwą i straszne
Marzenia szarpią snu cichą zasłonę.
Terazto władza czarodziejska święci
Ofiary bladej Hekacie i dziki
Mord, podniesiony z legowiska wyciem
Czujnego czatownika, wilka,
Którego odgłos jest dlań ekscytarzem,
Chyłkiem jak złodziej lub duch mknie do celu.
O ty spokojna, niewzruszona w swoich
Posadach ziemio, nie słysz moich kroków,
Aby kamienie nie wypowiedziały,
Gdzie idę, i nie zdradziły alarmem
Tej zgrozy, co ma nastąpić...
Ja się odgrażam, a on jeszcze żyje:
Żar czynu ziębią słów jałowe chryje.
(*Odgłos dzwonka słyszeć się daje*).
Dalej! czas nagli; już dzwonka wezwanie
Daje mi sygnał. Nie słysz go, Dunkanie,
Bo tego dzwonka melodya straszliwa
Do nieba ciebie lub do piekła wzywa.
(*Wychodzi*).

SCENA II.

Tamże.

(*Wchodzi Lady Makbet*).

L. Mak. Co ich uśpiło, to mnie ocuciło;
Co ich zniemogło, we mnie wzmogło siły.
Cóżto jest? Cicho! To puszczyk zahuczał!

Złowrogi ten stróż nocny, który groźnie
Woła: *dobranoc.* On tam jest; podwoje
Nawpół otwarte; pijane pachołki
Szydzą chrapaniem z swego obowiązku.
Taki im napój dałam, że natura
I śmierć spór teraz wiodą o ich życie.

Makbet (*za sceną*). Kto tu? hej!

L. Mak. Biada! pewnie się ocknęli
I wszystko za nic. Zamach to, nie zbrodnia
Zgubi nas. Cicho! Pokładłam sztylety
Tuż przecie przy nich; nie mógł ich nie znaleźć.
Gdyby był we śnie nie tyle podobny
Do mego ojca, byłabym się była
Niechybnie sama na to odważyła.
Ha! I cóż?

(Wchodzi Makbet).

Makbet. Stało się. Słyszałaś hałas?

L. Mak. Słyszałam sowy krzyk i poświerk świerszcza.
Cóżeś to mówił, mężu?

Makbet. Kiedy?

L. Mak. Teraz.

Makbet. Kiedym tu wchodził?

L. Mak. Tak.

Makbet. Cicho! Czy słyszysz?
Kto tam śpi w tamtym pokoju?

L. Mak. Donalbein.

Makbet. (*przypatrując się swoim rękom*)
Żałosnyż to jest widok!

L. Mak. Wstydź się mówić:
Żałosny widok; niemężny tak mówi.

Makbet. Jeden się zaśmiał przez sen, drugi krzyknął:
Ratunku! aż się przebudzili wzajem;
Jam stał i słuchał, ale oni cicho
Zmawiali pacierz i znów się spokojnie
Do snu pokładli.

L. Mak. Tam ich dwóch jest.

Makbet. Jeden
Zawołał: *Boże, zmiłuj się nad nami!*
A drugi: *Amen!* jakby mię widzieli
Z temi rękami kata stojącego
I śledzącego ich trwogę. Jam nie mógł
Powiedzieć *Amen* wtenczas, kiedy oni
Mówili: *Boże, zmiłuj się nad nami!*

L. Mak. Nie zastanawiaj się nad tem tak pilnie.

Makbet. Dlaczegoż tego nie mogłem powiedzieć?
Potrzebowałem bardzo zmiłowania,
A jednak *Amen* zamarło mi w ustach.

L. Mak. Nie trzeba sobie takich rzeczy w takiem
Świetle wystawiać; inaczejby przyszło
Oszaleć.
Makbet. Zdało mi się, że słyszałem
Głos wołający: *Nie zaśniesz już więcej!*
Makbet zabija sen, niewinny sen,
Który zwikłane węzły trosk rozplata,
Grzebie codzienne nędze; sen, tę kąpiel
Znużonej pracy, cierpiących serc balsam,
Odżywiciela natury, głównego
Posiłkodawcę na uczcie żywota.
L. Mak. Co wygadujesz?
Makbet. Ciągle mi brzmiał w uszach
Ten głos: *Nie zaśniesz, nie zaśniesz już więcej!*
Glamis sen zabił, dlatego też Kawdor
Nie zaśnie: Makbet nigdy już nie zaśnie!
L. Mak. Któżto tak wołał? O szlachetny tanie,
Rozmiękczasz w sobie tęgość ducha, marząc
Tak chorobliwie. Idź, weź trochę wody
I obmyj rękę z tych plugawych znamion.
Pocoś tu z sobą przyniósł te sztylety?
Tam jest ich miejsce. Idź, odnieś je, pomaż
Krwią tamtych ludzi.
Makbet. Już tam moja noga
Nie wnijdzie! Wzdrygam się, kiedy pomyślę
O tem, com zrobił: widok tego byłby
Nad moje siły.
L. Mak. Kaleko na duchu!
Daj te sztylety! Śpiący i umarli
Są obrazkami tylko: nikt prócz dzieci
Malowanego nie lęka się dyabła.
Sama ubarwię krwią ręce i szaty
Tych dwóch pachołków, bo oni się muszą
Wydać sprawcami zbrodni. (*Wychodzi*).
(*Słychać zewnątrz kołatanie*).
Makbet. Skąd ten odgłos?
Cóż się to ze mną stało, kiedy lada
Szmer, lada szelest przejmuje mię dreszczem?
Co to za ręce? Ha! wzrok mi pożera
Ich widok. Mógłżeby cały ocean
Te krwawe ślady spłukać z mojej ręki?
Nie, nigdy! raczejby ta moja ręka
Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić
I ich zieloność w purpurę zamienić.
(*Lady Makbet wraca*).
L. Mak. Mam teraz ręce podobne do twoich,
Ale się wstydzę, że jeszcze mam przy tem

Tak białe serce. (*Kołatanie*). Słychać kołatanie
U południowej bramy; przejdźmy żywo
Do naszych komnat. Kilka kropel wody
Oczyści nas wnet z plamy tego czynu.
Jakże on wtedy będzie lekkim! Męstwo
Całkiem cię widzę opuściło. (*Kołatanie*). Słyszysz?
Znów kołatają. Przywdziej nocny ubiór,
Ażeby, skoro wyjść potrzeba będzie,
Nie pokazało się, żeśmy czuwali.
Przestańże gubić się tak nędznie w myślach.

Makbet. Obok uczucia takiej okropności
Lepiej byłoby utracić poczucie
Samego siebie. (*Kołatanie*). Zbudź tem kołataniem
Dunkana! Obyś mógł tego dokazać!

(*Wychodzą*).

Wieść o zamordowaniu króla przeraziła wszystkich. Podejrzenie padło na dwóch synów królewskich, którzy na wieść o dokonanem skrytobójstwie, niepewni własnego życia, skrycie uciekli. Królem został Makbet. Jednakże postępowanie jego wydało się podejrzanem Bankowi i Makdufowi. Król przedewszystkiem obawiał się Banka, którego potomkom czarownice przepowiedziały królewską koronę.

AKT III.

Makbet. Być tem, czem jestem, jest to niczem nie być,
Jeślibym nie mógł być tem bez obawy.
Ten Banko jest mi groźny; ma on w sobie
Coś królewskiego, czego bać się trzeba.
Nieustraszony on i z gotowością
Ważenia się na wszystko łączy w sobie
Zimną rozwagę, która jego męstwo
Po pewnej drodze kieruje do celu;
Prócz niego niema na świecie człowieka,
Któregobym się lękał; obok niego
Czuje się duch mój uciśnionym, jako
Wedle podania czuł się uciśnionym
Duch Antoniusza przy Cezarze. Zgromił
Owe niewiasty, kiedy mię nazwały
Królem, i kazał im do siebie mówić.
Wtedy go one pozdrowiły ojcem
Szeregu królów. Mnie więc bezowocną
Dały koronę, wsadziły mi w rękę
Jałowe berło, mające plon przynieść
Komuś obcemu, nie moim potomkom.
Toż więc sumienie sobie splugawiłem
Dla rodu Banka; dla jego korzyści
Zamordowałem zacnego Dunkana;

Spokojność sobie zatrułem jedynie
Dla rodu Banka i wieczny mój klejnot
Wspólnemu ludzi nieprzyjacielowi
Na łup oddałem, po to tylko, żeby
Ukoronować ród, potomstwo Banka!
O, niech się raczej ostateczność stanie,
Losie, wyzywam cię w zapasy!

Ażeby się pozbyć groźnego współzawodnika, najmuje król (Akt III) dwóch skrytobójców, którzy mają Banka wraz z synem zamordować w podróży. Tego dnia wieczorem odbyć się ma uczta koronacyjna, na którą przybyć ma Banko.

Makbet. Znacie, panowie, swoje stopnie: siądźcież
I od pierwszego aż do ostatniego
Bądźcie nam z serca pozdrowieni.
Lordowie. Dzięki
Waszej Królewskiej Mości!
Makbet. Usiądziemy
Wpośród was, jak przystoi uprzejmemu
Gospodarzowi; co do gospodyni,
Ta zachowuje pierwsze miejsce, wszakże
W stosownej chwili zażądamy od niej
Objawu serdeczności.
L. Mak. Zechciej
Zapewnić o niej, mój małżonku, wszystkich
Naszych przyjaciół, tu się znajdujących;
Serce me bowiem wielce im jest rade.
(*Pierwszy zbójca ukazuje się we drzwiach*).
Makbet. Oni też z serca dziękują ci za to.
Już wypełnione obie strony stołu:
Ja tu w pośrodku usiądę. Wesoło,
Moi panowie! Bądźcie w pogotowiu,
Bo wnet kolejny kielich zacznie krążyć.
(*Do zbójcy*).
Na twojej twarzy krew.
Zbójca. To więc krew Banka.
Makbet. Wolę ją zewnątrz u ciebie, niżeli
Wewnątrz u niego. Więc już usunięty?
Zbójca. Krtań ma przerzniętą, Panie; tę przysługę
Jam mu wyświadczył.
Makbet. Walny z ciebie rzeźnik,
Lecz i ten niemniej walny, co z Fleancem
Również postąpił; jeśliś ty to zrobił,
Nieporównanyś zuch.
Zbójca. Najmiłościwszy!
Fleance się wymknął.
Makbet. Moja więc choroba

Powraca znowu! Byłbym, gdyby nie to,
Zdrów jak lew, silny jak marmur, jak skała
Nieporuszony, lekki jak powietrze,
Które ogarnia wszystko: tak zaś, jestem
Spętany, wątły, ścieśniony, oddany
Na łup kapryśnych trosk i niepewności.
Zabezpieczonyż aby tamten?

Zbójca. Tamten
Jak najbezpieczniej leży w dole, z głową
Tuzinem ciosów oszamerowaną,
Z których najlżejszy byłby już śmiertelnym.

Makbet. To dobrze: — stary wąż już nie powstanie.
Ów gad, co uciekł, ma w sobie zarody
Trucizny z czasem mogącej zaszkodzić;
Ale na teraz nie ma jeszcze żądła.
Oddal się, jutro rozmówim się znowu.

(*Zbójca wychodzi*).

L. Mak. Małżonku mój i panie, zapominasz
O swoich gościach: za nic wszelka uczta,
Jeśli się przy niej często nie objawia,
Że to, co dajem, dajemy ochoczo.
Lepiej się w własnym je domu; zachęta
Jest w obcym jako sól zaprawą jadła:
Bez niej gościnność byłaby niesmaczną.

Makbet. Luba mentorko! Niech się więc apetyt
Z strawnością złączy i wiwat oboje!

Lenox. Nie raczysz Wasza Królewska Mość zasiąść?

(*Duch Banka wychodzi z pod ziemi i siada na miejscu Makbeta*).

Makbet. Widzielibyśmy tu w pełni zbiór ozdób
Naszego państwa, gdyby nam nie zbywał
Kochany Banko, którego wolimy
O nieuprzejmość obwiniać, niż myśleć,
Że mu się jakie nieszczęście trafiło.

Rosse. Jego spóźnienie się lży jego słowu.
Niechże nas Wasza Królewska Mość raczy
Swem uczestnictwem uszczęśliwić.

Makbet. Wszystkie
Miejsca zajęte.

Lenox. Tu próżne jest jedno.

Makbet. Gdzie? gdzie?

Lenox. Tu, Panie. Co się stało Waszej
Królewskiej Mości?

Makbet. Kto z was to uczynił?

Lordowie. Co, miłościwy królu?

Makbet. Ty nie możesz
Powiedzieć, że to ty: nie wstrząsaj ku mnie

Tak groźnie swymi skrwawionymi włosy.
Rosse. Wstańmy, Panowie; królowi niedobrze.
L. Mak. Siedźcie, o siedźcie, zacni przyjaciele;
Naszemu Panu często się to zdarza,
Od lat najmłodszych. Pozostańcie w miejscu:
Jest to chwilowy przystęp, wkrótce minie;
Jeśli będziecie na niego zważali,
Rozdrażni go to i złe jego zwiększy.
Jedzcie i ani spojrzyjcie na niego. (*Do Makbeta*).
Jestżeś ty mężem, czy nie jesteś?
Makbet. Jestem,
I to odważnym, kiedy mogę patrzeć
Na coś, na widok czego sam Lucyper
Musiałby zblednąć.
L. Mak. Brawo! jest to godny
Utwór bojaźni twojej, jak ów sztylet,
Co to, mówiłeś, wiódł cię do Dunkana.
Takie wybryki, słupienia, drętwienia
Byłyby dobre przy słuchaniu bajek,
Opowiadanych zimą przy kominku
Przez zabobonne białogłowy, którym
Stara babunia potakuje; wstydź się,
Wyprawiać takie sceny! boć zaprawdę,
Wlepiasz wzrok w próżne krzesło.
Makbet. Patrz, spojrz tylko!
Czy widzisz? Ale cóż mnie to ma trwożyć?
Możeszli kiwać głową, to i przemów.
Jeśli kostnice i groby wracają
Tych, których grzebiem, to żołądki sępów
Będą naszymi pomnikami.
(*Duch znika*).
L. Mak. Także
Szał ci do szczętu upośledził męstwo?
Makbet. Jak żyw tu stoję, widziałem go.
L. Mak. Nędzne,
Śmiechu i wzgardy godne przywidzenie!
Makbet. Krew przelewana była z dawien dawna,
Nim jeszcze ludzkich praw nastały rządy;
Wykonywano i później morderstwa
Straszne dla ucha; ale do tej pory
Po wyjściu duszy umierali ludzie
I wszystko już się kończyło; dziś oni
Podnoszą z grobu czoło, obciążone
Mnogiemi rany, i z miejsc nas rugują:
Straszniejsze to jest od samego mordu.

L. Mak. Królu i panie, przyjaciele nasi
Czekają na cię.
Makbet. Prawda, zapomniałem!
Nie zdumiewajcie się, cni przyjaciele,
Nad tem, co zaszło; jest to osobliwsza
Słabość, nie dziwna dla tych, co mię znają.
Dalej! Niech żyje wino i wesołość!
Zaraz usiądę. Nalejcie mi kielich
Po same brzegi! — Piję za pomyślność
Moich przezacnych gości...
(*Duch się ukazuje*).
I naszego
Ukochanego przyjaciela Banka,
Który nas smuci swą nieobecnością.
W wasze i jego ręce! Oby wszystkim
Wszystko się dobrze działo!
Lordowie. Przyjm, o Panie,
Wzajemny toast na podziękowanie.
Makbet. Precz z moich oczu! Zapadnij się w ziemię!
Krew twoja zimna, kości twe bez szpiku;
Niema już siły widzenia w twych oczach,
Któremi błyszczysz.
L. Mak. Szlachetni lordowie,
Chciejcie uważać to za rzecz zwyczajną;
Jest to w istocie niczem; szkoda tylko,
Że nam zasępia swobodę tej chwili.
Makbet. Cobądź kto śmie, i ja śmiem! Przystąp do mnie
Jako kudłaty niedźwiedź puszcz północnych,
Opancerzony nosorożec albo
Tygrys hirkański; przywdziej, jaką zechcesz,
Postać, wyjąwszy tę, a silne moje
Nerwy nie zadrżą; wróć wreszcie do życia
I w głąb pustyni wyzwij mię na ostrze;
Jeśli drżąc cofnę kroku, to mię ogłoś
Lalką bez serca! Precz, okropny cieniu!
(*Duch znika*).
Zwodnicza maro, precz! Ha! znikłeś przecie!
Teraz znów jestem mężem. — Siedźcie, proszę!
L. Mak. Przerwałeś ucztę, popsułeś wesołość
Tym osobliwszym dziwactwa napadem.
Makbet. Możeż się zdarzać coś takiego? Lotnie,
Jak letni obłok, mimo nas przeciągać
I nie przejmować nas na wskróś zdumieniem?
Wy mię kłócicie z własną świadomością;
Bo nie pojmuję, jak mogliście patrzeć
Na to widziadło i zachować przytem

Na licach zdrową, naturalną cerę,
Gdy moje trwoga ubieliła.
Rosse. Jakie
Widziadło, Panie?
L. Mak. Nie mówcie nic, proszę,
Bo pogorszycie jego stan; pytania
W podobnych razach w wściekłość go wprawiają.
Dobranoc, mili panowie, odejdźcie.
Nie oczekujcie hasła etykiety,
Ale oddalcie się natychmiast.
Rosse. Dobrej
Nocy życzymy i lepszego zdrowia
Jego Królewskiej Mości.
L. Mak. Bądźcie zdrowi.

(*Lordowie i słudzy wychodzą*).

Zaślepiony powodzeniem Makbet na nic już nie zważa, niczego się nie lęka. Postanawia udać się do jaskini czarownic, ażeby się dowiedzieć, co go czeka.

AKT IV.

SCENA I.

Ciemna jaskinia. W pośrodku wrzący kocieł.

Grzmoty i błyskawice.

(*Trzy czarownice przy kotle*).

Czar. 1. Trzykroć miauknął bury bot.
Czar. 2. Tak, i trzykroć puszczyk wrzasł.
Czar. 3. Lelek jęczy: czas już, czas.
Czar. 1. Dalej, dalej, siostry wiedźmy!
Czarodziejski krąg zawiedźmy
Wkoło kotła; wrzućmy doń
Zbójczych jadów pełną dłoń.
Ropuszysko, siostro płazu,
Coś pod zimną bryłą głazu
Przez trzydzieści dni i nocy
W odrętwiałej śpiąc niemocy,
Skisło, zgniło w własnej ropie —
Ciebie naprzód w kotle topię.
Wszystkie trzy (*tańcząc wkoło kotła*).
Dalej! żwawo! hassa! hej!
Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!
Czar. 2. Bagnistego węża szczęka
Niech w ukropie tym rozmięka;
Żabie oko, łapki jeża,
Psi pysk i puch nietoperza,
Żądło żmii, łeb jaszczurzy,
Sowi lot i ogon szczurzy —

Niech to wszystko się na kupie
Warzy w tej piekielnej zupie!
Wszystkie trzy *(jak wyżej).*
Dalej! żwawo! hassa! hej!
Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!
Czar. 3. Jeszcze ingredyencyi kilka!
Łuska smocza i ząb wilka,
Z mumii sok, kiszka i ślina
Zbójcy morskiego rekina;
Korzeń lulka i cykuty,
Z łona ziemi w noc wypruty;
Język bluźniącego żyda,
Koźla żółć — i ta się przyda;
A do tego Turka nos
I z Tatara brody włos;
Dwa paluszki małych dziatek
Zaduszonych; naostatek,
Dla nadania konsystencyi
Tej przeklętej kwintessencyi —
Tygrysicy scuchłe trzewo.
Wszystkie trzy (*jak wyżej*).
Dalej! żwawo! w prawo! w lewo!
W lewo! w prawo! hassa! hej!
Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!
Czar. 2. By zaś zakląć wszelkie duchy,
Wlejcie jeszcze małpiej juchy.
(*Wchodzi Hekate*).
Hekate. Dobrzeście mi się popisały;
Trud wasz i pośpiech wart pochwały.
Terazże dalej, wszystkie społem
Opaszcie sagan skocznem kołem
I ponad parą jego warów,
Śpiewając, dokonujcie czarów. (*Wychodzi*).
(*Muzyka. Śpiew*).
Duchy czarne, białe,
Bure i szare,
Zstąpcie, zstąpcie, zstąpcie,
W tę tu pieczarę!
Czar. 2. Palec mię świerzbi, to dowodzi,
Że jakiś potwór tu nadchodzi.
Odsłońcie otwór,
Niech wnijdzie potwór.
(*Wchodzi Makbet*).
Makbet. Nuże pokątne, stare prorokinie,
Co tam stwarzacie?
Wszystkie trzy *(razem).* Bezimienne dzieło.

Makbet. W imię tych potęg, którym hołdujecie,
Jakiebądź one są i skądbądź może
Pochodzić wasza tajemnicza wiedza,
Odpowiadajcie mi, zaklinam was!
Choćbyście miały rozpętać orkany
I zwrócić wściekłość rozhukanych wichrów
Przeciw kościołom; choćby wzdęte wały
Roztrzaskać miały i pochłonąć w sobie
Wszelką żeglowną łódź; choćbyście miały
Zmiąć bujne zboża, drzewa wykorzenić,
Zamki powalić na głowy obrońców;
Choćby pałace, piramidy miały
Pochylić czoła aż do fundamentów;
Chociażby wszystkie skarby przyrodzenia
W zarodach swoich miały zmarnieć, ażby
Samo zniszczenie osłabło z znużenia:
Odpowiedzcie mi, odpowiedzcie na to,
O co was pytam.

Czar. 1. Mów.

Czar. 2. Pytaj.

Czar. 3. Słuchamy.

Czar. 1. Powiedz nam pierwej, czyli wolisz z naszych
Ust to usłyszeć, czy z ust naszych władców?

Makbet. Dobrze, wezwijcie ich, niech ich zobaczę.

Czar. 1. Trochę sadła z szubienicy,
Gdzie wisieli rozbójnicy,
Wrzućcie w kocieł.

Wszystkie (*razem*). Wielcy, mali,
Wzywamy was z blizką, z dali,
Abyście się ukazali.

(*Grzmot. Ukazuje się głowa w hełmie*) [1])

Makbet. Powiedz, nieznana potęgo...

Czar. 1 On wie, co kryje twoja głowa:
Słuchaj, nie mówiąc ani słowa.

Zjawisko. Makbecie! Makbet! Lękaj się Makdufa,
Lękaj się tana Fajf! przyjm tę przestrogę,
Jeśli jej twoja dusza nie zaufa,
Zginiesz. Dość; więcej powiedzieć nie mogę. (*Znika*).

Makbet. Ktokolwiek jesteś, dzięki ci: trafiłeś
W sam rdzeń obawy mojej! Jeszcze słowo! —

---

[1]) Niektórzy tłómaczą, iż *głowa w hełmie* oznaczać ma własną głowę Makbeta, którą mu Makduf później uciął; *dziecko* zaś w koronie, z gałązką w ręku, oznacza Malkolma, którego wojska z gałęziami w ręku pod Dunzynan przyjść mają. (Przyp. tłóm.).

Czar. 1. On nie zna, co to rozkaz. Oto drugi,
Jeszcze silniejszy.

(*Grzmot. Ukazuje się dziecko w koronie, z gałęzią w ręku*).

Makbet. Cóżto? Cóżto teraz
Zjawia się niby królewski potomek,
Z koronowanem czołem?

Wszystkie trzy. Milcz i słuchaj.

Zjawisko. Bądź jak lew śmiały, dumny, przedsiębierczy,
Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy,
Póki las Birnam ku Dunzynańskiemu
Wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw niemu (*Znika*).

Makbet. Do tego nigdy nie przyjdzie. Któż zdoła
Las wzruszyć z posad, kazać jego drzewom
Dobyć korzenie z głębokości gruntu?
Święć się, przyjazna wróżbo! Hydro buntu,
Nie podnoś głowy wprzód, aż się podniesie
Las Birnam. Wielki jak drzewa w tym lesie
Żyć będzie Makbet, nie dbając o burze,
Podległy tylko śmiertelnej naturze
I prawom czasu. — Lecz jedną rzecz jeszcze
Trzeba mi wiedzieć. O wy twory wieszcze,
Jeśli przed wami przeznaczenie chyli
Wszelką zasłonę, powiedzcie mi, czyli
Potomstwo Banka będzie kiedykolwiek
Rządzić tym krajem.

Wszystkie (*razem*). O to nas nie pytaj.

Makbet. Muszę w tym względzie być zaspokojony.
Jeśli mi tego odmówicie, niechaj
Wieczne przekleństwo na was spada! Mówcie!

(*Odgłos obojów. Kocieł znika*).

Czemu znikł kocieł i co to za odgłos?

Czar. 1. Ukażcie się!

Czar. 2. Ukażcie się!

Czar. 3. Ukażcie się!

Wszystkie trzy. Pokażcie mu to, czego chce,
Jak lekki dym lub lotny gaz;
Ukażcie się i zgińcie wraz.

(Ukazuje się ośmiu królów i przechodzą przez scenę jeden za drugim; za ostatnim, trzymającym zwierciadło w ręku, postępuje Banko).

Widokiem tym wzburzony, król wydaje rozkaz zgładzenia Makdufa, a gdy mu doniesiono, iż tenże zbiegł do Anglii, do bawiącego tamże królewicza, każe Makbet wymordować całą jego rodzinę. Makduf tymczasem stara się w Anglii o podjęcie wyprawy przeciw srogiemu tyranowi. Wieści te bardzo niepokoją króla, który traci wiarę w możność utrzymania się na tronie. Lady Makbet popada w obłąkanie.

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Dunzynan. Komnata w zamku.

(*Lekarz i jedna z dam pałacowych*).

Lekarz. Jużem z panią czuwał przez dwie nocy i przekonać się o prawdzie jej twierdzenia nie mogę. Dawnoż się to zdarzyło po raz ostatni?

Dama. Zaraz po wyjściu Jego Królewskiej Mości w pole. Widziałam na własne oczy, jak wstała z łóżka, zarzuciła na siebie nocny ubiór, weszła do gabinetu, wyjęła papier, złożyła go, napisała coś na wierzchu, przeczytała potem i zapieczętowawszy, położyła się znowu; wszystko to we śnie jak najgłębszym.

Lekarz. Dziwne zboczenie natury! Zostawać pod dobroczynnym wpływem snu i pełnić zarazem funkcye czuwającego. Ale pominąwszy jej przechadzkę i inne czynne manifestacye, nie słyszałażeś, Pani, żeby w tym sennym stanie co mówiła?

Dama. I owszem, takie rzeczy, których za nic nie powtórzę.

Lekarz. Mnie możesz, Pani; potrzeba nawet, abyś to uczyniła.

Dama. Nie powtórzę nikomu w świecie, nie mam bowiem świadka, któryby to potwierdził.

(Lady Makbet wchodzi ze świecą w ręku).

Patrz Pan, oto idzie! Tym samym trybem jak zawsze, najzupełniej uśpiona. Uważaj tylko. Stój cicho.

Lekarz. Skąd ona wzięła tę świecę?

Dama. Stała przy jej łóżku; ciągle musi mieć światło przy sobie.

Lekarz. Widzisz Pani, oczy ma otwarte.

Dama. Tak, ale ma zawartą ich władzę.

Lekarz. Cóżto ona robi? Patrz Pani, jak sobie ręce obciera.

Dama. To jej ruch zwyczajny, zdaje się jej, że tym sposobem umywa sobie ręce; widziałam ją to robiącą, bywało, przez cały kwadrans.

Lady Makbet. Jeszcze jedna plama.

Lekarz. Cicho: zaczyna mówić; muszę sobie zapisać wszystko, co usłyszę, abym mógł lepiej spamiętać.

Lady Makbet. Precz, przeklęta plamo! precz, mówię! Raz, dwa, czas działać. — Piekło ciemne. — Wstydź się, mężu, wstydź się! żołnierzem jesteś, a tchórzysz? Cóż stąd, chociażby się wydało? Nikt nas przecie nie pociągnie do tłómaczenia. Jednakże któżby się spodziewał tyle krwi w tym starcu!

Lekarz. Słyszysz, Pani?

Lady Makbet. Ten Fajf miał żonę: gdzież ona jest? Cóżto? Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą? Dość tego, mężu! Dość tego! Wszystko popsujesz tym obłąkanym wzrokiem.

Lekarz. Nieszczęsna! Wiadome jej są rzeczy, których nie powinna wiedzieć!

Dama. Powiedziała, czego nie powinna była mówić; to rzecz pewna. Bóg raczy wiedzieć, co jej jest wiadomem.

Lady Makbet. Ciągle ten zapach krwi! Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki. Oh! oh! oh!

Lekarz. Co to było za westchnienie! Ciężkież musi mieć brzemię na sercu.

Dama. Nie chciałabym mieć jej serca w mojem łonie za wszystkie zaszczyty tego świata.

Lekarz. W rzeczy samej.

Dama. Nie daj mi, Panie, tego dożyć!

Lekarz. Choroba tego rodzaju leży za obrębem mojej umiejętności. Znałem jednakże ludzi, co śpiąc chodzili, a mimoto skonali bogobojnie, na łożu.

Lady Makbet. Umyj ręce, weź szlafrok, nie wyglądaj tak blado; powiadam ci, Banko pogrzebany, nie powstanie więcej.

Lekarz. Czy tak?

Lady Makbet. Do łóżka! do łóżka! kołatają do bramy. Pójdź! pójdź! pójdź! daj rękę. Co się stało, odstać się nie może. Do łóżka! do łóżka! do łóżka!

(*Wychodzi*).

Lekarz. Teraz się idzie położyć?

Dama. Nie inaczej.

Lekarz. Zły to stan. Czyny przeciwne naturze
Rodzą przeciwny naturze niepokój;
Skrycie dręczone sumienie powierza
Nieraz poduszce tajemnice duszy.
Jej potrzebniejszy ksiądz, niż lekarz. Boże,
Przebacz nam grzesznym! Nie odstąp jej, Pani;
Miej ją na oku i pochowaj wszystko,
Czemby się mogła uszkodzić. Dobranoc.

Już nadciągają wojska angielskie z Malkolmem i Makdufem na czele; mnóstwo Szkotów przechodzi na ich stronę. Makbet gotuje się do obrony.

SCENA III.

Dunzynan. Jedna z komnat zamkowych.

(*Wchodzi Makbet, za nim przyboczny orszak*).

Makbet. Już mi języka nie przynoście! Niech mię
Wszyscy odstąpią! Dopóki las Birnam
Pod Dunzynański nie podstąpi zamek,
Urągam trwodze!
Precz więc, odstępcy, precz! Łączcie się z tymi
Niewieściuchami Anglii; nie dbam o was.
Duch mój i serce pod wyższą załogą,

Nie zwątpi nigdy ani zadrży trwogą.
(*Jeden ze sług wbiega*).
Żeby cię szatan poczernił! Nieszczęsny,
Skąd ci się wzięło to gęsie oblicze?
Sługa. O Panie, zbliża się dziesięć tysięcy...
Makbet. Gęsi, hultaju? Hę?
Sługa. Żołnierzy, Panie.
Makbet. Idź, potrzyj sobie twarz, pomaluj ćwikłą
Ten blansz tchórzostwa. Co? dziesięć tysięcy
Żołnierzy? Żeby ci język skamieniał!
Blajwajs lic twoich jest trwogi doradcą.
Jacy żołnierze, mów.
Sługa. Angielskie wojsko,
Do usług Waszej wielkości.
Makbet. Uciekaj
Z przed moich oczu! — Gdzie Sejton? Sejtonie!
Słabnę na sercu, widząc — Hola! Sejton!
To najście albo dźwignie mię na zawsze
Albo powali. Dość już żyłem; wiosna
Życia mojego prędko przeszła, prędko
Żółtym, zwarzonym pokryła się liściem!
A to, co miało być działem starości,
Cześć, posłuszeństwo, miłość, grono wiernych
Sług i przyjaciół, wszystko to nie dla mnie;
Raczej przekleństwo, nienawiść tem głębsza,
Że cicha; cześć ust, posługi służalców,
Którzyby radzi mię odbiedz, lecz nie śmią. —
Sejton!
(*Sejton wchodzi*).
Sejton. Co Wasza Królewska Mość każe?
Makbet. Cóż tam nowego?
Sejton. To, co doniesiono,
Sprawdza się, Panie.
Makbet. Walczyć będę, póki
Mi nie odrąbią mięsa z wszystkich kości.
Podaj mi zbroję.
Sejton. Jeszcze niepotrzebna.
Makbet. Wdzieję ją. Idź, zbierz co najwięcej koni,
Przebiegnij w okrąg całą okolicę;
Ktobądź da hasło popłochu, niech wisi
Na pierwszem drzewie. — Podaj mi hełm, pancerz.
(*Lekarz wchodzi*).
Jak się ma waści pacyentka?
Lekarz. Nie tyle
Chorą jest, Panie, ile udręczoną
Osobliwszemi widzeniami, które

Nie pozwalają jej użyć spoczynku.

Makbet. Wylecz ją z tego. Nie jesteśli zdolnym
Poradzić chorym na duszy? Głęboko
Zakorzeniony smutek wyrwać z myśli?
Wygnać zalęgłe w mózgu niepokoje?
I antidotem zapomnienia wyprzeć
Z uciśnionego łona ten tłok, który
Przygniata serce?

Lekarz. W takich razach chory
Musi sam sobie radzić.

Makbet. Rzuć więc w śmietnik
Swoje dryakwie, nie chcę wiedzieć o nich. —
Jest tam kto? Podać mi zbroję, buławę! —
Sejtonie, wyślij ludzi. — Patrz, doktorze,
Tanowie przeszli na stronę najezdców!
Dalej, Sejtonie, śpiesz się! — O! doktorze,
Gdybyś mógł zbadać wodę mego państwa,
Poznać z niej jego defekt i przywrócić
Jej dawny kolor zwiastujący zdrowie,
Stałbym się echem, któreby rozniosło
Po całym świecie poklask dla twej sztuki.
Sejtonie! śpiesz się! — Żeby znaleźć jaki
Senes, jalapę albo rumbarbarum,
Coby stąd wyparł tych Anglików! Pomyśl.
Słyszałeś o ich najściu?

Lekarz. Z mowy Waszej
Królewskiej Mości doszło o tem nieco
Do mojej wiedzy.

Makbet. Zanieście to za mną.
Drwię z klęsk i śmierci, póki cię, Birnamie,
Przy Dunzynańskiej nie obaczę bramie.

Malkolm, przechodząc mimo lasu Birnamskiego, każe żołnierzom wyciąć po gałęzi i nieść przed sobą (sc. IV.).

SCENA V.

Dunzynan. Wewnątrz zamku.

(*Makbet, Sejton i żołnierze wchodzą z muzyką i chorągwiami*).

Makbet. Zatknijcie sztandar na wałach! Wciąż słychać
Ten przeraźliwy okrzyk: *idą! idą!*
Warowny zamek nasz szydzi z ich groźby;
Niech go oblegną, niechaj leżą pod nim,
Dopóki ich głód i mór nie wytępi.
Gdyby nie byli wsparci przez tych, którzy
Tu być powinni, wyszlibyśmy na nich
I dalibyśmy im poczuć na karkach

Hart naszych mieczów.
(*Krzyk kobiet za sceną*).
Cóż to znów za wrzawa?

Sejton. To krzyki kobiet, miłościwy Panie! (*Oddala się*).

Makbet. Dawno już smaku trwogi zapomniałem!
Był czas, gdym drętwiał, słysząc głos puszczyka;
Gdy przy słuchaniu powieści o strachach
Włos mi się jeżył i prężył na głowie,
Jakby był żywy. Czas ten prędko minął;
Przeładowałem się okropnościami;
Spoufalone z zgrozą zmysły moje
Stępiały na wpływ wrażeń.
(*Sejton wraca*).
Co znaczyły
Te krzyki?

Sejton. Panie, królowa umarła!

Makbet. Powinna była umrzeć nieco później;
Czego się było tak śpieszyć z tą wieścią?
Ciągle to jutro, jutro i znów jutro
Wije się w ciasnem kółku od dnia do dnia,
Aż do ostatniej głoski czasokresu;
A wszystkie wczora, to były pochodnie,
Które głupocie naszej przyświecały
W drodze do śmierci. Zgaśnij, wątłe światło!
Życie jest tylko przechodnim półcieniem,
Nędznym aktorem, który swoją rolę
Przez parę godzin wygrawszy na scenie,
W nicość przepada; — powieścią idyoty,
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.
(*Wchodzi żołnierz*).
Przyszedłeś zrobić użytek z języka:
Mów prędko.

Żołnierz. Panie, przychodzęć oznajmić
Coś, co powiedzieć mogę, że widziałem,
Ale sam nie wiem, jak powiedzieć.

Makbet. Powiedz,
Jak możesz.

Żołnierz. Kiedym odbywał wartę
Ówdzie na wzgórzu, spojrzałem ku Birnam:
Wtem las, zdawało mi się najwyraźniej,
Zaczął się ruszać z miejsca.

Makbet. (*Chwytając go za piersi*). Kłamiesz, łotrze!

Żołnierz. Wywrzyj, o Panie, na mnie swój gniew cały,
Jeśli tak nie jest; o trzy mile w dali
Widać go, jak się rusza i posuwa
Prosto w tę stronę.

Makbet. Jeśli fałsz donosisz,
Dopóty żywcem wisieć nie przestaniesz,
Aż umrzesz z głodu; jeśli prawdę mówisz,
Wolno ci będzie tak uczynić ze mną. —
Teraz poznaję dwójznaczność wyrazów
Wiecznego mego wroga, który kłamiąc
Pozorem prawdy, prawił mi zdradziecko:
Nie bój się, póki las Birnam nie przyjdzie
Pod mury twego Dunzynanu! Otóż
Zbliża się jakiś las do Dunzynanu! —
Dalej, do broni! do broni i naprzód!
Jeśli to prawda, nie mam czego czekać;
Na nic mi zostać, na nic mi uciekać.
Zbrzydło mi słońce; radbym, żeby cała
Budowa świata w proch się rozleciała.
Uderzcie w dzwony! — Dmij, wichrze, wrzej, toni!
Mamli umierać — umrę z mieczem w dłoni!

(Wychodzą).

Pod murami Dunzynańskiego zamku przyszło do bitwy, w której Makbet dzielnie walczył, lecz w końcu poległ z ręki Makdufa. Po śmierci Makbeta wojsko królem obwołało Malkolma, prawego dziedzica korony szkockiej.

Tłóm. *Józ. Paszkowski.*

DODATEK.

Pieśni ludowe

I. Pieśni miłosne.

1.

Żebym-ci ja miała
Skrzydełka jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jasiem do Śląska.

Usiadłabym-ci ja
Na śląskoskim płocie:
Przypatrz się Jasiulek
Ubogij siérocie.

Żebyś-ci ty była
Uboga siérota,
Nie miałabyś wianka
Ze szczyrnego złota.

A trzy lata-ć ci ja
Na niego służyła,
Ze szczyrnego złota
Wianek'em uwiła.

Oskar Kolberg (Kujawy).

2.

Stanę ja się wodną rybeczką,
Będę pływała wielką wodeczką,
A już twoją nie będę,
Twoji woli nie czynię.

Mają rybacy takie siateczki,
Co wyławiają wszystkie rybeczki,
A ty moją musisz być,
Moją wolę uczynić.

Stanę ja się wietrznym gołębiem,
Będę siedziała w boru na dębie,
A już twoją nie będę i t. d.

A ja się stanę dzikim jastrzębiem,
Będę stróżował w boru pod dębem,
A ty moją musisz być i t. d.

Stanę ja się siwym kaczorem,
Będę pływała wielkiem jeziorem,
A już twoją i t. d.

Mają strzelcy takie wystrzały,
Co wystrzelają wszystkie kaczory,
A ty moją i t. d.

Stanę ja się gwiazdą na niebie,
Będę świeciła ludziom w potrzebie,
A już twoją i t. d.

A ja dam dziadom taką jałmużnę,
Że mi uproszą u Boga żonę,
A ty moją i t. d.

A już-ci widzę, że boskie rzędy,
Czem ja się stanę, ty za mną wszędy;
Już-ci muszę twoją być,
Twoją wolę uczynić.

Rznijcie wy skrzypki we wszystkie strony,
Dziękuję Bogu, żem dostał żony;
Kasia moją musi być
I moją wolę uczynić.

O. Kolberg (Kujawy).

3.

Descyk pada, pokropuje
Po białéj brzezinie,
Jużci moja najmilejsa
Owce wygania.

Jak wygnała, tak wygnała,
Nawraca do domu,
Obacéła swego Jasia
Na cisawym koniu.

Posła óna do gościńca
Jak biała lelija.
Leda jaka — taka w taniec,
A ją kozdy mija.

Posła óna do domecku,
Zaraz sie układła
I od wielki mankoliji
Az w chorobę wpadła.

Pyta i się gospodyni,
Cego wypłakujes,
Cyli ci sie mój chlib nie zda,
Cy ci nie smakuje.

Nic nie suodko, nic nie kwaśno,
Nic mi nie smakuje;
A mam ci ja Jasia swego,
Z insemi tańcuje.

O. Kolberg (Poznańskie).

II. Pieśni taneczne.

1.

Zagrajże mi, ty graczyku,
Cztery godziny, godziny,
A bo mi też z tą jedyną
Taneczek miły, da miły.

Ty graczyku, będziesz w niebie,
Basanista obok ciebie.

Basanisto, dobrze basuj,
A pannom się nie przypatruj.

O. Kolberg (Poznańskie).

2.

Podkóweczki niestalone
Krzesać nie mogą, nie mogą.
Dziewczę mi się rozgniewało,
Poszło mi do dom, da do dom.

Podkóweczki już stalone,
Toć krzesają jak szalone.

Podkóweczki z samej stali,
Do Marysi dalej, dalej.

Podkóweczki, dajcie ognia,
Bo Marysia tego godna.
A czy godna czy nie godna,
Podkóweczki dajcie ognia.

O. Kolberg (Poznańskie).

3.

Albośmy to jacy, jacy
Jacy, jacy,
Chłopcy krakowiacy!
Cerwona capecka,
Na cal podkówecka,
I biała sukmana,
Dana moja dana.

Karazyja wysywana,
Haftowana,
Pętlickami, snureckami,
Kółeckami, hafteckami,
Złocistemi klapeckami
Do kolusinecka,
Moja kochanecka.

I pasicek z białej skóry
Wysywany,
Przeplatany rzemyckami,
Wybijany goździckami,
Złocistemi sprzążeckami
Do kolusinecka,
Moja kochanecka.

I kozicek a stalowy,
Wyostrzony
I do pochewki włożony,
I fajecka i krzesiwko,
Na to dobre przyodziewko,

Kochajze mnie, moja dziewko,
Do kolusinecka,
Moja kochanecka.

I koszulka z kołnierzykiem,
Z faworkami, z fałdeckami,
Z obsewkami, z przysewkami,
Do kolusinecka,
Moja kochanecka.

I portecki na snurecku
Do ściągania,
Z kiesonkami, z wypustkami,
Lamowane snureckami,
Do kolusinecka,
Moja kochanecka.

I buciki wywracane,
Podkówecki nitowane
I w krojicku przesywane,
Z useckami, podwiązkami
Do kolusinecka,
Moja kochanecka.

I obrąbek do kosuli,
Com go dostał od Orsuli
Na faworek do kosuli,
Moja kochanecka.

I pieniądze za obsiewki,
Kochajciez mnie, moje dziewki,
A która mnie będzie chciała,
To, to wsystko będzie miała,
I krakowski wianek,
Złocisty pierścionek.

O. Kolberg (Krakowskie).

4.

Śpiewa słowik, śpiewa — nim słoneczko wschodzi,
Że ja kocham skrycie, cóż to komu szkodzi?
Że ja ciebie kocham, tego się nie wstydzę,
Bo ja w twoich oczach samą stałość widzę.
Będę kochać jawnie — i słowa dotrzymam,
Bo ja w swojem sercu niestałości nie mam.

5.

Na łące kwiateczek — pszczółka przy nim brzęczy;
Drugich miłość cieszy, a mnie — ona dręczy!
Kto miłości nie zna — jest bardzo szczęśliwy:
Noc wolna do spania — i dzień nie tęskliwy!

Wacław z Oleska
(Pieśni ludu galicyjskiego).

---

6. Ochota do tańca.

Czem noładni[1]) grają,
Do domu wołają:
»Pójdź do domu, dzieweczko, dzieweczko,
Pójdź do domu, dzieweczko!«

A ja sobie myśle,
Że się jeszcze wyspie;
Jeszcze do dnia daleczko, daleczko,
Jeszcze do dnia daleczko.

»Co to za dziewczyna,
Co to za jedyna,
Co tak ładnie tańcuje, tańcuje,
Co tak ładnie tańcuje?«

A ja sama widzę,
Że tak ładnie idę,
Każdy mi się dziwuje, dziwuje,
Każdy mi się dziwuje!

J. Lipiński
(Pieśni ludu wielkopolskiego).

---

[1]) Najładniej.

III. Pieśni obrzędowe.

a) Pieśni weselne.

1 *).

Na kalineńce, na łozineńce
Sołowiczek śpiwaje:
A wyjdźże, wyjdźże, młoda Marysiu,
Tatulo cię wołaje.

Niechaj wołaje, niech nadwołaje,
Ja nie będe słuchała,
Mam ci tu gości, pełne światłości,
Będe ich przyjmowała.

* * *

Tam u Dunaju, u bystrej wody
Biała rybeńka pływa,
Tamój Marysia, tamój młodziuchna
Białe liczko umywa.

Przyszła do nieji matula jeji:
Idź, Marysiu, do domu,
Masz-ci tam gości, pełne światłości,
Nima ich przyjąć komu.

Marysia wstała, odpowiedziała:
Jeszczem liczka nie myła,
Nima tam tego, Jasieńka mego,
Com ja go polubiła.

Wyszła Marysia do ogrodeńka
Do ziołeńka, na ziele:
Oj zieleż moje, ziele zielone,
Któż cię polewać będzie?

Wyszła do nieji mateńka jeji:
Nie frasuj się, Marysiu,
Poleję ziele, rano w niedzielę
Drobnemi ślozeńkami.

O. Kolberg (Lubelskie).

---

*) Pieśń tę śpiewa drużyna pana młodego w domu panny młodej przed ślubem.

2*).

Siadajże, siadaj, moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie.
Nic płakanie nie pomoże,
Stoją konie w ślubnym wozie,
Wszyscy czekają.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się z matulom nie pożegnała.
Ostaj z Bogiem, miła matko,
Wychowałaś ci mnie gładko,
Ostajże z Bogiem.

Siadajże, siadaj i t. d.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się z tatulem nie pożegnała.
Ostaj z Bogiem, miły ojcze,
Bolały cię na mnie oczy,
Ostajże z Bogiem.

Siadajże, siadaj i t. d.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się i z siostrom nie pożegnała.
Ostaj z Bogiem, miła siostro,
Bywałaś ci na mnie ostro,
Ostajże z Bogiem.

Siadajże, siadaj i t. d.

Nie będę jeszcze z wami siadała,
Bom się z ciotkami nie pożegnała.
Ostajta mi z Bogiem, ciotki,
Robiłaśta na mnie plotki,
Ostajta z Bogiem.

O. Kolberg (Kujawy).

3**).

Oj mój miły rozmarynie,
Siewałam cię po zagonie.
Już cię teraz siać nie będę,
Bo już teraz za mąż idę.
Bedą cię siać moje siostry,
Ale jeszcze nie urosły.

O. Kolberg (Poznańskie).

*) Pieśń tę śpiewają »swachy« przy wsiadaniu na wozy, które mają młodych i gości powieźć do kościoła. — **) Pieśń tę śpiewa panna młoda po ślubie, podczas uroczystości zwanej »czepiny«.

b) Pieśni sobótkowe [1]).

1.

Już wieczór teraz krótki:
Hej! zapalajmy Sobótki!
Dalej, dziewki wybrane,
Bylem w poły przepasane!

Dalej, dudarzu, teraz brzmij:
Niechaj nasze pole grzmi!
A ty, włodarzu, pilnuj dudarza,
Boć to powinność pana włodarza.

A na murawie stoi beczka piwa:
Skaczże, Kasiu, skacz, pókiś jeszcze żywa!
A wy, chłopcy, ognia patrzcie
I z dziewkami razem skaczcie.

Kładźcie sirkowe,[2])
Drzewa cisowe;
Niechaj w bęben przybijają
A wesoło wywijają:
Bo wieczór krótki,
Palmy Sobótki!

2.

Przy puszczaniu wianków na wodę.

W polu lipeńka, w polu zielona
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianuszków wiła.
Oj czego płaczesz, moja dziewczyno,
Ach cóż ci za niedola?
Oj nie płacz, Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach będziesz ci go miała.
O mój Jasieńku, o mój jedyny,
Da stałać mi się szkoda:
Uwiłam ci ja parę wianuszków,
Zabrała mi je woda!
Moja dziewczyno, moja jedyna,
Nie frasuj ty się o nie,
Oj, mam ja parę białych łabędzi,
Popłynąć one po nie.
Już jeden płynie po rokicinie,
Goni za wiankiem strzałą,
Już drugi płynie, aż się odhynie,[3])
Ale z pociechą małą.
Łabędzie płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie:
Moje wianeczki z drobnej ruteczki!
Mamli was stracić marnie?

---

[1]) Z dzieła J. Rymarkiewicza p. t. Jana Kochanowskiego Pieśń świętojańska o Sobótce (wedł. Mich. Wiszniewskiego Hist. lit. tom I. str. 210). — [2]) Świrkowe, świerkowe. — [3]) Odchynąć (odhynąć) się, skręcić się, zawrócić.

Łabędzie płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie:
Niemasz wianeczka, moja dzieweczko,
Już ja cię nie pocieszę!...

Zygmunt Gloger (Z Mazowsza nad Narwią).

---

c) Pieśni dożynkowe.

1.

(przy wiciu wieńca).

Hej, wyleć, wyleć, raba[1]) przepiórko,
Bo już nie wyjdziem w to czyste[2]) pólko,
Plon niesiem, plon!
Hej, wyleć, wyleć, raby sokole,
Bo już nie przyjdziem w to czyste pole,
Plon niesiem, plon!

2.

(w drodze do dworu).

Od zielonego gaju,
Od bystrego dunaju[3])
Niosą wianek ze złota:
Żniwiareczek robota.
Plon niesiem, plon!

Wyżęliśmy już wszytko,
I pszeniczkę i żytko,
A od granic do granic
Już na polu niema nic:
Plon niesiem, plon!

Dzisiaj do jegomości
Przybędzie dużo gości;
Zasiędziem stoły potężne,
Bo dzisiaj mamy okrężne!
Plon niesiem, plon!

3.

(przed wrotami dworu).

Nie żałuj, panie, siwego źrebca,
Ślij po muzykę, choć do Królewca!
Plon niesiem, plon!

Zaścielaj, panie, stoły i ławy!
Jedzie do ciebie gość niebywały:
Plon niesiem, plon!

---

[1]) Pstry, szary. — [2]) Zżęte. — [3]) Wogóle rzeka.

Wypraw nam, panie, sute okrężne,
Bo ci niesiemy dary potężne:
Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, szerokie wrota!
Niesiem wianeczek z szczerego złota:
Plon niesiem, plon!

Otwieraj, panie, nowy swój dwór,
Bo ci niesiemy cały twój zbiór:
Plon niesiem, plon!

Wynijdźże, panie, z całą drużyną,
Przyjm od dziewczyny wianek z kaliną:
Plon niesiem, plon;

Z. Gloger (Dożynki).

IV. Pieśni żołnierskie.

1.

Na zielonym gaju
Ptaszkowie śpiewają,
Jużci mego Jasia
Na wojnę wołają.

Siadaj, Jasiu, siadaj,
Konik osiodłany;
Komu mnie ostawisz,
Jasieńku kochany?

Zostawię cię temu,
Co świeci na niebie,
Za roczek, za drugi
Powrócę do ciebie.

Nie wyszłoć to roczku,
Już się wojsko toczy;
Nie słychać, nie widać
Jasieńka na oczy.

Wyszła nade drójżkę,
Ke wojsko jechało,
Pyta się, pyta się,
Gdzie Jasia podziało?

Żołmierze, żołmierze,
Widzieliście mego?
Widzielim, widzielim,
Ale nieżywego.

Leżyć on ta leży
Na śląskiej granicy,
A zabilić go tam
Starsi wojownicy.

Nie płacz, Kasiu, nie płacz
Jasia zabitego,
Wybiérajże sobie
Z tysiąca jednego.

Choćbym wybiérała
Ze sztérech tysięcy,
Nima i nie będzie
Mego Jasia więcy.

O. Kolberg (Poznańskie).

2.

W kotły biją, w trąby grają,
Na wojenkę wyganiają.

Starsa siostra płace, łaje,
Młodsa siostra konia daje.

Nie plac, siostro, nie płac brata,
Brat przyjedzie za trzy lata.

Jadą, jadą mospanowie,
Daleko tam brat na wojnie?

Niedaleko, w scyrnem polu
Trzyma nózke we strzemieniu;

Konik jego wedle niego,
Grzebie nóżką, załuje go.

O. Kolberg (Krakowskie).

3.

Idzie żołnierz borem, lasem, borem, lasem,
Przymierając głodu czasem, głodu czasem
Suknia na nim oblatuje, oblatuje,
Wiatr dziurami przelatuje, przelatuje.
Chociaż żołnierz obszarpany, obszarpany,
Przecie stoi między pany, między pany.
Trzebaby go obdarować, obdarować,
Chleba, soli nie żałować, nie żałować.
W kotły, bębny uderzyli, uderzyli,
Na wojenkę zatrąbili, zatrąbili
Starsza siostra usłyszała, usłyszała,
Bratu konia osiodłała, osiodłała,
A młodsza mu miecz podała, miecz podała,
Sama rzewnie zapłakała, zapłakała.
Nie płacz, nie płacz, siostro, brata, siostro, brata,
Powrócę ja za trzy lata, za trzy lata.
Nie wyszło roku półtora, roku półtora,
Wojownicy jadą z pola, jadą z pola.
Witam, witam, mospanowie, mospanowie,
Daleko tam brat na wojnie, brat na wojnie?
Leży w polu na Podolu, na Podolu,
Prawą nóżkę ma w strzemieniu, ma w strzemieniu,
Konik jego wedle niego, wedle niego,
Grzebie nóżką, żałuje go, żałuje go.
Wstawaj, panie młodziusieńki, młodziusieńki,
Ja twój konik wierniusieńki, wierniusieńki.
Póki mój pan na mnie siadał, na mnie siadał,
Tom ja czyste ziarna jadał, ziarna jadał.
Teraz nie mam sieczki, słomy, sieczki, słomy,
Rozniosą mnie kruki, wrony, kruki, wrony.
Siostra wszystko wysłuchała, wysłuchała
Potem rzewnie zapłakała, zapłakała.

Z. Gloger.

V. Obrazki z życia.

1.

Idzie Macick przez wieś, kozica za pasem,
Danaz moja dana, przyśpiewuje casem,
A kto mu w drodze stoi,
Tego przez łeb pałką złoi;
Oj! danaz moja, dana,
Dana dana, dana dana.

Oj! biedaz nam, bieda, ze nas Maciek chory,
Juz nie był w karcmisku przez ctery wiecory,
Oj! któz nam tu zaśpiéwa,
Oj! któz nam poda piwa,
Oj! danaz i t. d.

Położyli Maćka w samym środku wioski,
Zesły się do niego kmotry i kumoski,
Ale nic nie pomoze,
Bo Maciek zmarł nieboze,
Oj! danaz i t. d.

Położyli Maćka na dębowej desce;
Zeby mu zagrali, podskocyłby jesce,
Bo w Mazurze taka dusa,
Ze choć umrze, to sie rusa,
Oj! danaz i t. d.

Umarł Maciek, umarł, więcej juz nie wstanie,
Zmówze za niego: wiecne spocywanie!
Oj! był to chłopak grzecny,
Oj! skoda, ze nie wiecny,
Oj! danaz moja, dana,
Dana dana, dana dana.

Z. Gloger.

2.

Obrazek z życia rodzinnego.

Oj, chłopek-ci ja, chłopek,
W polu dobrze orzę:
Wszytko mi się dobrze dzieje —
Chwałaż tobie, Boże!

Nie boję się pana
Ani okomona,
Odrobiłem już pańszczyznę,
Siedzę sobie doma!

Odrobiłem zaciąg,
Kilka dni na dali,[1])
Za co mnie ksiądz lubi
I okomon chwali.

[1]) Dalej, na dalej, naprzód.

Mam parę koników,
Cztery wołki w pługu,
Chałupeczkę malusieńką
Bez żadnego długu!

W karczmie-m nic nie winien,
Chociaż co niedzielę
Kogo piwkiem poczęstuję,
Sam sobie podchmielę!

Mam też trzech chłopczyków
I też dwa dziewczątka,
A kto na nie spoźrzy,
Mówi, że paniątka!

A i przytem mając
Gospodarną żonę,
Nie dbam więcej o majątek
Ani o fortunę.

J. Lipiński (Pieśni ludu wielkopolskiego).

3.

Dziadowska[1]) pieśń o sierotce.

Szła sierotka po wsi — źli opadli ją psi,
Nie miał się kto obrać — sieroteczkę ognać:
Obrał ci się obrał — sam Pan Jezus z nieba,
Sieroteczkę ognał — kawałeczkiem chleba.
Gdzie ty idziesz, dziecko — mała sieroteczko?
— »Idę stukać, pukać — mojej matki szukać«.
W daleki świat zajdziesz — a matki nie znajdziesz.
Idzie sieroteczka — zielonym cmentarzem:
Matka leży w grobie — przed wielkim ołtarzem.
Któż tam puka, stuka — na tym moim grobie?
— »To ja, matuleczko — twoje dzieciąteczko!
Moja matuleczko — weźże mnie do siebie,
Bo mi na tym świecie — bardzo źle bez ciebie«.
Cóż tu będziesz jadła — co tu będziesz piła?
— »Będę piasek jadła — zimną roskę piła«.
Idź, moje dzieciątko — do młodej macierze,
Niechże ona tobie — koszulkę wypierze.
— »Oj! jak mi ją pierze — lecą z niej paździerze,
A jak mię obłóczy — po ziemi mię włóczy;
A jak ci mię myje — nakręca mi szyję,
Kiedy włosy splata — izbę mną zamiata.
A jak chleba daje — to naprzód wyłaje.
Swoim dzieciąteczkom — daje na miseczce,
A mnie sieroteczce — ino w skorupeczce;
Swoim dzieciąteczkom — chleba z masłem daje,
A mnie sieroteczce — z popiołem nakraje;
Swoim dzieciąteczkom — pierzynek naściele,

[1]) Wrodzona narodowi polskiemu gościnność zawsze osładzała dolę żebrzących. Dziad bywał nieraz i pożądanym gościem, bo opowiadał nowiny, zbierane na odpustach i po miastach. Ale dziad bywał i moralistą, gdy wstępował w progi chat wiejskich; oddziaływał dodatnio na życie domowe i sumienia ludzi ułomnych. Z. Gloger.

A mnie sieroteczce — barłożku niewiele!«
Zesłał-ci Pan Jezus — dwóch aniołów z nieba
I wzięli sierotę — na rączkach do nieba.
Zesłał-ci Pan Jezus — czarta piekielnego,
Aby wziął macochę — do piekła wiecznego.
Macocha po piekle — jak się rozejrzała:
»Dla Boga! jak tu źle!« — płacząc zawołała; —
Żebym się, mój Jezu — na świat powróciła,
Jużbym się z sierotką — lepiej obchodziła«.
Nie rychło, nie rychło — już zamknięta klatka!
Mogłaś bywać lepszą — kiedyś była matka.

Z. Gloger (Encyklopedya staropolska: Dziadowskie pieśni).

4.
(O złej siostrze).

Były trzy siostry. Przyjechał panicz, spotkał je na łące, a choć wszystkie były hoże, upodobał sobie najmłodszą i chciał ją pojąć za żonę.

W kilka dni potem poszły wszystkie trzy siostry na jagody do boru. Najstarsza, chcąc sama zostać żoną panicza, zabiła najmłodszą; średnia broniła jej, ale napróżno. Zabójczyni wykopała głęboki dół, a przysypawszy zwłoki ziemią, wróciła do domu, gdzie powiedziała, że siostrę pożarły wilki. Pocieszając głęboko zasmuconego panicza, tak go sobie zjednała, że zakochał się w niej i oświadczył o jej rękę. Miał się odbyć ślub.

Tymczasem na mogile zabitej siostry wyrosła wierzba. Mimo niej szedł pastuszek, uciął gałązkę, zrobił sobie z niej piszczałkę i zadął. Ale jakże się zdziwił, gdy piszczałka, zamiast zwykłych tonów, poczęła śpiewać żałosnym głosem:

Graj, pasterzu, graj!
Bóg ci pomagaj!
Starsza siostra mię zabiła,
Młodsza siostra mię broniła...

Gdy rodzice podali piszczałkę starszej córce, krew zamordowanej oblała jej lica, a piszczałka zaśpiewała po raz ostatni:

Graj, siostrzyczko, graj!
Boże cię skaraj!
To ty, siostro, mię zabiła,
Młodsza siostra mię broniła.

Poznano wtedy zbrodnię, przywiązano zabójczynię do dzikich koni i rozszarpano żywcem [1]).

---

[1]) Na podobnym motywie osnuł Chodźko balladę p. t. Maliny, a Słowacki tragedyę p. t. Balladyna.

5.

(O złej żonie[1]).

Stała się nam nowina,
Pani pana zabiła,
W ogródku go schowała,
Rutkę na nim posiała.
Liliję zasadziła
I tak sobie mówiła:
Rośnij lilia wysoko,
Jak pan leży głęboko.
Już lilija wyrosła,
Pani za mąż nie poszła;
»Wyjrzyj, dziewko, w ciemny las,
Czy nie jedzie kto do nas?«
»Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie«.
»Poczemżeś ich poznała,
Żeś ich braćmi nazwała?«
»Po konikach, po wronych,
Po siodełkach czerwonych,
A wszakże to i nasz pan,
Taki sam swój ubiór miał«.
Przed wrota zajechali,
O brata się pytali:
»Witaj, pani bratowa,
Nieboszczyka katowa.
Gdzieś nam brata podziała?«
»Na wojnem go wysłała«.
»Toż my z wojny jedziemy,
Nic o bracie nie wiemy.
Cóż to za krew na sieni,
Na ścianie się czerwieni?«
»Dziewka kurę zarznęła,
Krew na ścianę prysnęła.«
»Cóż to za włos po ganku,
Po ziemi i na wianku?«
»Dziewka sługę czesała,
Włos po ziemi rzucała.«
»Siadaj z nami bratowa,
Nieboszczyka katowa.«
»Jakże z wami mam jechać,
Drobnych dziatek poniechać?«
»Do ogrodu cię bierzemy,
Dziatki z sobą weźmiemy.«
Gdy wjechali w ciemny las,
Upuściła złoty pas:
»Stójcie, bracia, choć chwilę,
Niech się po ten pas schylę.«
»Nie tyś-ci go sprawiała,
Nie będziesz się schylała.«
Wyjechali za Miechów,
Dali jej gryźć orzechów;
Wyjechali za lasy
I tam darli z niej pasy.

Z. Gloger.

BIBLIOTEKA W KRAKOWIE

1) Z tej pieśni wziął Mickiewicz wątek do swej ballady pt. Lilie.

Wiadomości o pisarzach,
których utwory znajdują się w tej książce.

Szymon Askenazy (ur. 1867), od r. 1907. profesor historyi polskiej w uniwersytecie lwowskim, wydał wiele cennych dzieł historycznych (np. Przymierze polsko-pruskie; Dwa stulecia XVIII i XIX; Wczasy historyczne; Nowe wczasy; Książę Józef Poniatowski; Rosya—Polska (1815—1830); Łukasiński — i inne).

Adam Asnyk (El...y; 1838—1897; pochowany w »grobie zasłużonych« na Skałce), wydał wiele drobnych wierszy lirycznych i kilka utworów dramatycznych (np. Kiejstut; Bracia Lerche).

Władysław Bełza (ur. 1847), urzędnik Zakładu narod. im. Ossolińskich, wydał wiele utworów poetyckich (np. Zaklęte dzwony; Dzieci i ptaszki) i powiastek, zwłaszcza dla dzieci.

Bronisław Chlebowski (ur. 1846), wychowaniec warszawskiej Szkoły głównej, napisał wiele rozpraw literackich.

Adolf Dygasiński (1839—1902) wydał kilka powiastek i nowel z życia ludu, jakoteż obrazki z życia zwierząt, malujące doskonale ich wzajemne stosunki do siebie i do ludzi (np. Co się dzieje na gniazdach; Wilk, psy i ludzie; Gody życia). Zasłużył się także jako dobry tłómacz (np. Smilesa Życie i praca; Smilesa Obowiązek, i inne).

Aleksander hr. Fredro (1793—1876), znakomity komedyopisarz (np. Geldhab; Zrzędność i przekora; Damy i huzary; Śluby panieńskie; Pan Jowialski; Dożywocie; Zemsta; — Wielki człowiek do małych interesów; Dwie blizny).

Konstanty Gaszyński (1809—1866), przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, poeta (liryk; satyra: Gra i karciarze) i prozaik.

Marya z Mickiewiczów Górecka, córka poety, wydała pamiętnik p. t. Wspomnienia o A. Mickiewiczu, opowiedziane najmłodszemu bratu.

Walery Gostomski (ur. 1854), zamieszkały w Warszawie, wydał kilka pięknych studyów estetycznych (np. Arcydzieło komedyi polskiej: Fredry Śluby panieńskie; Arcydzieło poezyi polskiej: Pan Tadeusz Ad. Mickiewicza; Arcytwór dramatyczny: Wyspiańskiego Wesele, w Pamiętniku literackim z r. 1908. i inne).

Artur Grottger (1837—1866; pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie). Żywot jego znajduje się w tej książce na str. 251—259.

Ferdynand Hoesick (ur. 1867), zamieszkały w Warszawie, wydał kilka studyów literackich (np. Jul. Słowacki, biografia psychologiczna; Fryderyk Chopin, zarys biograficzny, i inne).

Zygmunt Kaczkowski (1826—1896), napisał wiele powieści, szczególnie historycznych (np. z dawniejszych: Powieści ostatniego z Nieczujów; Braeia ślubni; Starosta hołobucki; Sodalis Marianus; Annuncyata; — z nowszych: Abraham Kitaj; Olbrachtowi rycerze).

Józef Kallenbach (ur. 1861), przez lat kilka profesor uniwersytetu w Fryburgu w Szwajcaryi, obecnie prof. historyi literatury polskiej w uniwersytecie we Lwowie, wydał wiele dzieł (np. Ad. Mickiewicz w 2 tomach; Zygmunt Krasiński do r. 1838 w 2 t.; Nieznane pisma A. Mickiewicza) i rozpraw literackich (np. Czasy i ludzie; O Winc. Polu i inne).

Bernard Kalicki (1838—1884), lektor i pomocnik K. Szajnochy w pracy literackiej lat jego ostatnich, urzędnik Wydziału krajowego, wydał kilka szkiców historycznych (np. Żywot K. Szajnochy; Zarysy historyczne; Bogusław Radziwiłł i inne).

Waleryan Kalinka (1826—1886; pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie), kapłan zakonu OO. Zmartwychwstańców, znakomity historyk (Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta; Sejm czteroletni; Generał Dezydery Chłapowski).

Klemens Kantecki (1851—1885), bibliotekarz Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, napisał kilka dzieł cennych (np. Stanisław Poniatowski, ojciec króla Stanisława Augusta; Żywot Kar. Szajnochy; Dwaj krzemieńczanie: Alojzy Feliński i Józef Korzeniowski; Artur Grottger i inne).

Jan Kochanowski (1530—1584), najznakomitszy poeta polski wieku XVI. (Satyr; Psałterz Dawidów; Pieśni; Fraszki; Odprawa posłów greckich; Treny).

Marya z Wasiłowskich Konopnicka (1846—1910; pochowana na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie), poetka, napisała wiele utworów lirycznych i Obrazków z życia, epopeję p. t. Pan Balcer w Brazylii i kilka nowel (np. Dym; Głupi Franek; Nasza szkapa). Nadto wydała kilka studyów literackich (np. Mickiewicz, jego życie i duch).

Józef Ignacy Kraszewski (1812—1887; pochowany w »grobie zasłużonych« na Skałce), wydał bardzo wiele powieści, jakoteż wiele dzieł historycznych i literackich.

Teofil Lenartowicz (1822—1893; pochowany w »grobie zasłużonych« na Skałce), poeta, »lirnik mazowiecki« (np. Lirenka; Zachwycenie; Błogosławiona; Bitwa racławicka i inne).

Władysław Łoziński (ur. 1843), powieściopisarz (np. Pierwsi Galicyanie; Legionista; Opowiadania pana Narwoja; Skarb watażki; — Madonna Busowiska; Oko proroka) i historyk (Mieszczaństwo i patrycyat lwowski; Prawem i lewem i inne).

Antoni Małecki (ur. 1821), były profesor historyi literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim, zastępca kuratora Zakładu narod. im. Ossolińskich we Lwowie, autor wielu dzieł naukowych (Prelekcye o filologii klasycznej; Gramatyka polska; Biblia król. Zofii; — Jul. Słowacki, jego życie i pisma — i inne).

Adam Mickiewicz (1798—1855; pochowany w grobach królewskich na Wawelu), największy poeta polski w w. XIX (Ballady; Grażyna; Dziady; Sonety; Konrad Wallenrod; Farys; Pan Tadeusz; — Prelekcye o literaturze słowiańskiej).

Franciszek Morawski (1783—1861), generał wojsk polskich, poeta oryginalny (Bajki; Dworzec mojego dziadka) i tłómacz (szczególnie powieści poetycznych Byrona, np. Więźnia Czyllonu).

Artur Oppman, pseudonym **Or-Ot** (ur. 1867), zamieszkały w Warszawie współczesny poeta liryczny.

Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa (1842—1910) wydała bardzo wiele większych i mniejszych powieści (np. z większych: Pan Graba; Eli Makower; Marta; Meir Ezofowicz; Nad Niemnem; Bene nati i inne; — z mniejszych: Ogniwa; zbiory nowel p. t. Z różnych sfer; Melancholicy; Iskry i inne).

Wincenty Pol (1807—1872; pochowany w »grobie zasłużonych« na Skałce), poeta (Pieśni Janusza; Pieśń o ziemi naszej; Pieśń o domu naszym; — gawędy: Przygody Benedykta Winnickiego; Wit Stwosz; Mohort) i prozaik (Obrazy z życia i natury; Północny wschód Europy).

Bolesław Prus, właśc. **Aleksander Głowacki** (ur. 1847), zamieszkały w Warszawie, jeden z najznakomitszych powieściopisarzy współczesnych (Placówka; Lalka; Emancypantki; Faraon; — bardzo wiele nowel). Powszechnie znane są jego kroniki tygodniowe.

Władysław Reymont (ur. 1868), jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy współczesnych (Ziemia obiecana; Komedyantka; Fermenty; Chłopi w 4 częściach: Jesień, Zima, Wiosna, Lato).

Lucyan Rydel (ur. 1870), współczesny poeta liryczny i dramatyczny (np. Betleem polskie; Zaczarowane koło; Na zawsze), znany także jako tłómacz (np. Homera Iliady).

Henryk hr. Rzewuski (1791—1866), powieściopisarz (Pamiątki Soplicy; Listopad; Zamek krakowski; Adam Śmigielski i inne).

Lucyan Siemieński (1809—1877; pochowany w »grobie zasłużonych« na Skałce), poeta oryginalny i tłómacz (Ody Horacego; Homera Odysseja), jakoteż prozaik (np. Portrety literackie i różne studya literackie).

Henryk Sienkiewicz (ur. 1846), znakomity powieściopisarz współczesny (Nowelle np. Janko muzykant; Latarnik; Pustelnik z Maripozy i inne; z większych: Trylogia: Ogniem i Mieczem, Potop, Pan Wołodyjowski; Krzyżacy; Quo vadis?; Bez dogmatu; Rodzina Połanieckich i inne).

Piotr Skarga (1536—1612; pochowany w kościele św. Piotra w Krakowie), Jezuita, najsławniejszy kaznodzieja polski (Kazania, szczeg. sejmowe). Wydał także Żywoty świętych.

Juliusz Słowacki (1809—1849), jeden z największych poetów polskich wieku XIX (Wiersze drobne; powieści poetyczne, np. Jan Bielecki; Ojciec zadżumionych; — dramata i tragedye: np. Mindowe; Marya Stuart; Mazepa; Balladyna; Lilla Weneda i inne; — Anhelli).

Karol Szajnocha (1818—1868; pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie), historyk. Żywot jego znajduje się w tej książce na str. 285 i dal.

William Szekspir (1564—1616), znakomity angielski poeta dramatyczny (Komedye, np. Wesołe kumoszki z Windsoru; Kupiec wenecki; Sen nocy letniej; — tragedye, np. Romeo i Julia; Juliusz Cezar; Antoniusz i Kleopatra; Koryolan; — Makbet; Hamlet; Król Lear; — z historyi angielskiej: Król Jan; Henryk IV; Ryszard III i inne).

Józef Szujski (1835—1883), profesor historyi polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, historyk i poeta (Wiersze drobne; wiele utworów dramatycznych; — Dzieje Polski w 4 tomach; Roztrząsania i opowiadania w 3 t.). Tłómaczył także dramata Ajschylosa i dramat Calderona p. t. Życie snem.

Adam Szymański (ur. 1852), wywieziony na Sybir, spędził czas dłuższy w Jakucku; wydał dwa tomy »Szkiców« z życia Polaków, żyjących na wygnaniu w Jakucku (np. Srul z Lubartowa; Dwie modlitwy; Uroczysta wigilia).

Szymon Szymonowicz (1558—1629), poeta wieku Zygmuntowskiego, autor wielu utworów łacińskich i 20 sielanek polskich.

Stanisław hr. Tarnowski (ur. 1837), długoletni profesor historyi literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, prezes Akademii umiejętności w Krakowie, autor historyi literatury polskiej w 6 tomach i bardzo wielu dzieł i rozpraw literackich. Wydał także bardzo zajmująco napisany opis wycieczki do Kijowa, Moskwy, Wilna i Prus królewskich p. t. Z wakacyi.

Kazimierz Tetmajer (ur. 1865), poeta współczesny, wydał wiele (7 tomików) utworów lirycznych, kilka powieści (np. Anioł śmierci) i wiele nowel (np. Ksiądz Piotr; Na skalnem Podhalu).

Józef Tretiak (ur. 1841), profesor historyi literatury ruskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, wydał wiele cennych studyów o A. Mickiewiczu (np. A. M. w Wilnie i Kownie w 3 t.; Młodość Mickiewicza w 2 t.; Idea Wallenroda; A. M. Cześć ku Najśw. Pannie); Jul. Słowacki; świeżo o Bohdanie Zaleskim (do r. 1831).

Korneli Ujejski (1823—1897), poeta (Skargi Jeremiego; Melodye biblijne; Tłómaczenia Chopina; wiersze różne).

Stefan Witwicki (1800—1847), przyjaciel Mickiewicza, poeta (Pieśni sielskie; wiersze różne) i prozaik (Wieczory pielgrzyma; powiastki: »Gadu, gadu«).

Kazimierz hr. Wodzicki (1816—1889), autor wielu rozpraw z zakresu nauk przyrodniczych, szczeg. studyów ornitologicznych (np. Wróbel; Jastrząb; Kuropatwa; Orły i inne).

Bohdan Zaleski (1802—1886), poeta »ukraiński« (Dumy; Dumki); wydał też kilka utworów religijnych (np. Przenajświętsza Rodzina).

Stefan Żeromski, pseud. **Maurycy Zych** (ur. 1864), powieściopisarz współczesny (Ludzie bezdomni; Popioły; — Syzyfowe prace; Rozdzióbią nas kruki, wrony).